

# Mistrz magii

Feist Raymond

Książka II z Wojna Światów



calibre 0.9.27



# **MISTRZ MAGII**

**(Tłumaczył: Mariusz Terlak)**

# MILAMBER I VALHERU

*Tak, piękna królowo...*

*żaden z nas wtedy nie patrzył za siebie*

*Wierząc, że jutro będzie tak jak dziś*

*i że chłopcami będziemy na zawsze.*

William Szekspir, Opowieść zimowa, akt I, scena 2

(tłum. W. Lewik)

# NIEWOLNIK

Konający niewolnik leżał na ziemi i krzyczał rozdzierająco. Dzień był niemiłosiernie gorący. Inni niewolnicy wykonywali swoją pracę, starając się nie słyszeć krzyku agonii. W obozie pracy życie miało bardzo niską cenę. Nie warto było zastanawiać się nad losem, który miał się stać udziałem wielu z nich. Umierający został pokąsany przez relli, stworza, który przypominał węża i zamieszkiwał moczary i bagna. Jad działał powoli, lecz pogryziony cierpiał niewysłowione katusze, wyjął z bólu. Poza magią nie znano żadnego leku. Ukąszone skazany był na powolną, lecz nieuchronną śmierć.

Cisza zapadła nagle, jak nożem uciął. Pug podniósł głowę. Wartownik Tsuranich wycierał zakrwawione ostrze miecza. Pug poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Przy uchu usłyszał szept Lauriego.

– Wygląda na to, że krzyk umierającego Toffstona przeszkadzał naszemu szacownemu nadzorcy. Pug obwiązał się mocno liną w pasie.

– Przynajmniej skończył szybko.

Odwrócił się do wysokiego, jasnowłosego pieśniarza z królewskiego miasta Tyr-Sog.

– Uważaj, Laurie. To stare drzewo może być spróchniałe.

Zaczął wspinać się po pniu ngaggi, drzewa przypominającego świerk, a rosnącego na podmokłych gruntach i bagnach. Tsurani ścinali je, wykorzystując drewno i obfitość żywicy. W ich świecie prawie w ogóle nie było metali. Tsurani, zmuszeni warunkami naturalnymi, do perfekcji opanowali sztukę wyszukiwania i wykorzystywania substytutów. Z drewna ngaggi po odpowiedniej obróbce można było uzyskać surowiec przypominający papier. Po wysuszeniu jasna masa stawała się niewiarygodnie twarda, co wykorzystywano przy produkcji wielu rzeczy codziennego użytku. Odciąganą z drewna żywicę stosowano do nasycania i zewnętrznego laminowania innych gatunków drewna, a także do wyprawiania skór. Ze skór

poddanych odpowiedniej obróbce robiono pancerze, równie odporne na ciosy jak najdroższe kolczugi w Królestwie. Oręż Tsuranich wykonany z nasyconego i pokrywanego żywicą drewna niemal dorównywał twardością stali Midkemii.

Cztery lata spędzone w obozie pracy wśród bagien zahartowały ciało Puga. Kiedy wspinał się na wysokie drzewo, twarde jak stal mięśnie napinały się sprężysto pod skórą opaloną na ciemny brąz przez ostre słońce świata Tsuranich. Twarz Puga okalała zmierzwiona broda.

Dotarł do pierwszych grubych konarów i spojrzał w dół na przyjaciela. Laurie stał po kolana w mętnej wodzie, tłukąc odruchowo owady, które były plagą okolic i przekleństwem ich pracy. Pug polubił Lauriego. Trubadur właściwie nie musiał się znaleźć w obcym świecie, ale z drugiej strony nikt mu nie kazał wędrować za patrolem wojsk Królestwa w nadziei, że ujrzy przybyszów z innego świata. Tłumaczył potem, że potrzebował inspiracji i materiału, aby tworzyć ballady, które miały go uczynić sławnym w całym Królestwie. Cóż, w rezultacie Laurie zobaczył znacznie więcej, niż miał nadzieję ujrzeć. Patrol, któremu towarzyszył, nadział się na główny trzon armii ofensywnej Tsuranich i Laurie dostał się do niewoli. Przybył do obozu na moczarach ponad cztery miesiące temu i on i Pug szybko zostali przyjaciółmi.

Pug wspinał się coraz wyżej i rozglądał bystro po konarach i korze pnia. Drzewa w Kelewanie zamieszkiwało mnóstwo równie ciekawych co niebezpiecznych stworów i stworzątek. Dotarł do miejsca, gdzie mógł łatwo odciąć wierzchołek. Znieruchomiał nagle. Kątem oka dostrzegł z boku jakiś ruch. Odetchnął z ulgą. To tylko iglak, mały stworek, który chronił się przed czujnym okiem naturalnych wrogów, udając kępkę igieł ngaggi. Na widok człowieka czmychnął po konarze i zwinnie przeskoczył na sąsiednie drzewo. Pug dla pewności jeszcze raz omiół wzrokiem najbliższe sąsiedztwo i zaczął wiązać liny. Jego zadaniem było obcinanie czubków potężnych drzew, aby zmniejszyć zagrożenie przy zwalaniu drzewa.

Kilka razy dziabnął w korę ostrzem drewnianej siekiery. Po którymś razie ostrze zagłębiło się w miękką papkę. Pug zbliżył nos do pnia i powąchał uważnie. Nie było wątpliwości, że poczuł zapach zgnilizny. Zaklął pod nosem. Spojrzał w dół.

– Laurie, to jest spróchniałe. Zawiadom nadzorcę.

Czekał, spoglądając w dal ponad wierzchołkami drzew. W powietrzu aż roiło się od dziwacznych owadów i przypominających ptaki stworów. Chociaż minęły cztery lata, odkąd został niewolnikiem w tym świecie, ciągle jeszcze nie mógł się przyzwyczaić do tutejszych form życia i przyrody. Nie różniły się one co prawda aż tak bardzo od tego, co znał z Midkemii, ale przez to właśnie zarówno podobieństwa, jak i różnice przypominały mu nieustannie, że nie był w domu. Przecież pszczoły powinny mieć czarno-żółtawe paski, a nie jasno-czerwone. Kto słyszał, żeby na skrzydłach orłów lśniły żółte pasy, a u mniejszych jastrzębi czy sokołów purpurowe?! Wiedział, że tak naprawdę nie były to pszczoły, orły czy jastrzębie, lecz podobieństwo było uderzające. Już łatwiej przychodziło mu zaakceptować o wiele dziwniejsze stwory na Kelewanie niż te podobne do zwierząt na Midkemii. Udomowiona, pociągowa needra o sześciu nogach, przypominająca do złudzenia roboczego woła, któremu przyprawiono dodatkową parę kłocowatych nóg, czy Cho-ja, stwór o budowie owada służący Tsuranim, a do tego mówiący ich językiem. Przez te cztery lata przyzwyczaił się do nich. Gorzej było, kiedy kątem oka dostrzegł zbliżające się zwierzę i odwracał się, oczekując podświadomie, że zobaczy coś znajomego z Midkemii, aby po sekundzie doznać bolesnego rozczarowania. W takich momentach świadomość rozstania z domem docierała do niego z wyjątkową ostrością.

Z zadumy wyrwał go głos Lauriego.

– Nadzorca idzie.

Pug zaklął po cichu. Jeśli nadzorca, idąc do nich przez bagno, zamoczy się i ubłoci, będzie na pewno wściekły, a to oznaczało bicie i kolejne obcięcie i tak już skromnych racji

żywnościowych. Już sam chwilowy przestój w wycince na pewno wprowił go w zły nastrój. Rodzinka norowców, sześciornogich stworzeń podobnych do bobrów, zdomowała się pod wielkimi drzewami, podgryzając delikatne korzenie. Drzewa chorowały, słabły i w końcu usychały. Miękkie, papkowane drewno gniło powoli, podchodząc wodnistą ciecżą, aby w końcu zapaść się od środka pod własnym ciężarem i zwalić na ziemię. Po odkryciu wydrążonych przez norowce tuneli podkładano w nich co prawda truczkę, ale zwierzęta zdążyły już poczynić znaczne szkody.

Ochrypli głos przeklinający na czym świat stoi i towarzyszące mu wściekłe rozchlapywanie mulistej wody oznajmiły przybycie Nogamu, ich nadzorcy. Chociaż sam był niewolnikiem, udało mu się wspiąć na najwyższy, osiągalny dla niewolników, szczebel. Nie mógł co prawda nigdy liczyć na odzyskanie wolności, jednak posiadał wiele przywilejów. Między innymi pod jego właśnie komendą znajdowali się żołnierze ze straży obozowej i wolni najemnicy. Tuż za Nogamu przyszedł młody żołnierz. Na jego obliczu malował się wyraz nie skrywanego rozbawienia. Kiedy spojrzał w górę na Puga, chłopak miał okazję dobrze mu się przyjrzeć. Żołnierz miał gładko wygoloną twarz, na modłę obowiązującą pośród wolnych Tsuranich. Miał wystające policzki i prawie czarne oczy, tak charakterystyczne dla większości przedstawicieli jego rasy. Ich wzrok spotkał się. Żołnierz jakby lekko skinął głową. Błękitna zbroja, którą miał na sobie, nie była znana Pugowi, co jednak przy dziwnej strukturze i organizacji armii Tsuranich wcale go nie zdziwiło. W ich świecie każdy miał swoją mniejszą czy większą armię, nawet poszczególne rodziny, majątki ziemskie, prowincje czy miasta. Zrozumienie wzajemnych zależności i powiązań między nimi w ramach struktury Imperium wykraczało poza jego pojmowanie.

Nadzorca stanął pod drzewem, unosząc wysoko nad błotem swoją szatę. Burczał coś pod nosem jak rozeźlony niedźwiedź, którego zresztą do złudzenia przypominał. Zadarł głowę



do góry.

– Co znowu z tym drzewem?

Pug, który poza kilkoma starymi niewolnikami Tsuranich był w obozie najdłużej, opanował język Tsuranich lepiej niż inni niewolnicy z Midkemii.

– Śmierdzi zgnilizną. Powinniśmy chyba przygotować inne drzewo, a to zostawić w spokoju, Panie Niewolników. Nadzorca potrząsnął wściekle pięścią.

– Śmierdzące lenie! Drzewo jest zdrowe. Szukacie tylko pretekstu, aby nie pracować.

Zabieraj się natychmiast do roboty! Ścinaj!

Pug westchnął. Sprzeczenie się z Niedźwiedziem, jak nazywali go wszyscy niewolnicy z Midkemii, nie miało najmniejszego sensu. Coś go najwyraźniej gryzło, a płacili za to oczywiście niewolnicy. Zaczął rąbać i po chwili czubek spadł na ziemię. Z przeciętego pnia buchnął kwaśny odór zgnilizny. Pug błyskawicznie odwiązał liny. W chwili, kiedy przyczepiał do pasa ostatni kawałek, tuż przed nim rozległ się rozdzierający trzask.

– Uwaga! Leci! – krzyknął do stojących na dole. Rozbiegli się natychmiast. Wśród pracujących w lesie okrzyk „leci” nigdy nie był ignorowany. Po odcięciu wierzchołka pień rozszczepił się u góry na pół. Chociaż nie zdarzało się to często, czasami jednak, gdy proces gnicia był daleko posunięty, najmniejsze naruszenie kory powodowało rozszczepienie i zawalenie się drzewa rozrywanego na boki ciężarem konarów. Gdyby Pug był nadal przywiązany, liny przed rozerwaniem przecięłyby go na pół.

Pug ocenił błyskawicznie kierunek upadku pnia. W chwili, kiedy połówka, na której stał, zaczęła się przechylać, odepchnął się mocno i skoczył. Uderzył płasko plecami o wodę, starając się, aby jej powierzchnia jak najbardziej złagodziła siłę uderzenia. W tym miejscu woda miała tylko około pół metra głębokości i po uderzeniu o powierzchnię nastąpiło drugie, silniejsze, o dno, ale ponieważ było ono muliste, Pug nie odniósł większej szkody. Chłopak

krzyknął rozdzierająco, kiedy impet uderzenia wypchnął powietrze z płuc. Zawirowało mu w głowie, lecz nie stracił przytomności. Działając bardziej podświadomie niż celowo, usiadł i zaczął gwałtownie, jak ryba, chwycić powietrze ustami.

Niespodziewanie ogromny ciężar uderzył go w brzuch, pozbawiając oddechu i wciskając głowę pod wodę. Przygniótł go ogromny konar. Z najwyższym trudem wystawił usta ponad powierzchnię, by złapać haust powietrza. Płuca płonęły żywym ogniem. Zaczerpnął gwałtownie powietrza i do środka wdarła się woda. Zaczął się dusić. Kaszląc i prychając na wszystkie strony, usiłował zwalczyć narastającą panikę. Z całych sił napierał na przygniatający go ciężar. Na próżno, konar był zbyt ciężki. Głowa niespodziewanie znalazła się ponad wodą.

– Pluj, Pug! Pluj, ile wlezie! – krzyczał Laurie. – Wypluj muł, bo dostaniesz bagiennej gorączki płuc.

Pug zaczął kaszleć i pluć jak szalony. Laurie trzymał jego głowę nad powierzchnią wody, umożliwiając mu normalne oddychanie.

– Unieście konar! Ja go wyciągnę.

Rozchlapując wysokie fontanny mulistej wody, nadbiegło kilku ociekających potem niewolników. Zanurzyli ramiona, chwycili drewno i z trudem unieśli o kilka centymetrów. Nic z tego, Laurie nadal nie mógł wyciągnąć Puga.

– Przynieście siekiery. Trzeba odciąć konar od pnia. Kilku z nich ruszyło po siekiery, lecz powstrzymał ich głos Nogamu.

– Wracać! Zostawcie go. Nie ma na to czasu. Trzeba ścinać następne drzewa.

– Nie możemy go tak zostawić! – wrzasnął Laurie. – Utopi się!

Nadzorca podbiegł do Lauriego i z całej siły uderzył go pejczem w twarz, rozcinając mu głęboko skórę na policzku, lecz Laurie nie puścił głowy przyjaciela.

– Z powrotem do roboty, niewolniku! Wieczorem dostaniesz baty za to, że odezwałeś

się do mnie w ten sposób. Są inni, którzy potrafią ścinać wierzchołki. Puszczaj go!

Znowu uderzył pieśniarza. Laurie skrzywił się boleśnie, lecz nie wypuścił głowy Puga z rąk.

Nogamu wznosił ramię do trzeciego uderzenia, kiedy powstrzymał go jakiś głos z tyłu:

– Odciąć gałąź i wyciągnąć niewolnika!

Laurie podniósł wzrok i zobaczył, że słowa te wypowiedział młody żołnierz, który towarzyszył nadzorcy. Nogamu, nie przyzwyczajony, aby kwestionowano jego rozkazy, odwrócił się błyskawicznie i w ostatniej chwili przygryzł wargi, aby nie powiedzieć tego, co zamierzał. Skłonił nisko głowę.

– Wedle woli mego pana.

Dał znak niewolnikom z siekierami, aby uwolnili Puga, i po chwili chłopak został wyciągnięty spod konara. Laurie wziął go na ręce i zaniósł pod nogi młodego żołnierza.

Pug wykaszlał ostatnie kropelki wody i wydusił ochryłym szeptem: – Dziękuję, panie... za uratowanie mi życia...

Młodzieniec nie odezwał się ani słowem. Poczekał, aż zbliży się nadzorca, i zwrócił się do niego:

– To niewolnik miał rację, a nie ty. Drzewo było rzeczywiście zmurszałe. Nie miałeś prawa karać go za swój błąd i zły humor. Powinieneś otrzymać baty, ale szkoda marnować na to czas. Praca posuwa się powoli. Mój ojciec nie jest zadowolony.

Nogamu skłonił się nisko.

– Straciłem honor i twarz przed moim panem. Czy udzielisz, panie, pozwolenia, abym odebrał sobie życie?

– Nie. To zbyt wielki honor dla ciebie. Wracaj do pracy. Twarz nadzorcy

poczerwieniała z bezsilnej wściekłości i wstydu. Wskazał pejczem na Puga i Lauriego.

– Wy dwaj, natychmiast wracać do roboty!

Laurie powstał, Pug także próbował się podnieść. Kolana trzęsły się pod nim z wyczerpania i nerwów po dramatycznej walce o życie. Po kilku próbach udało mu się.

– Zwalniam tych dwóch z pracy na resztę dnia – powiedział młody panicz. – Ten – wskazał na Puga – nie nadaje się w tej chwili do niczego. Tamten opatrzy mu rany zadane przez ciebie, żeby nie wdało się zakażenie. – Odwrócił się do strażnika. – Zaprowadź ich do obozu i zajmij się nimi.

Pug był bardzo wdzięczny za okazane serce nie tyle ze względu na samego siebie, co raczej ze względu na Lauriego. On sam po krótkim odpoczynku mógł przecież powrócić do pracy, lecz otwarte rany na bagnie oznaczały niechybną śmierć w męczarniach. Wysoka temperatura, brud i muł stanowiły doskonałą pożywkę dla wielu infekcji, których nie potrafiono leczyć.

Poszli za strażnikiem. Kiedy opuszczali teren wyrębu, Pug zauważył, że nadzorca patrzy za nimi z zimną nienawiścią w oczach.

Deski podłogi zatrzeszczały. Pug natychmiast przebudził się. Wyrobiona w czasie pobytu w niewoli instynktowna ostrożność podszeptała mu, że ten dźwięk nie powinien się pojawić w baraku w środku nocy.

Wpatrywał się intensywnie w mrok. Kroki zbliżały się, aby po chwili zatrzymać się u stóp jego posłania. Usłyszał, jak śpiący obok Laurie gwałtownie wciąga powietrze. Trubadur też się przebudził. Nie tylko on, pomyślał, pewnie połowa niewolników w baraku wyczekiwała z napięciem na to, co się teraz stanie. Obcy wahał się przez moment. Pug czekał. Nerwy miał napięte do ostatnich granic. Coś sieknęło cicho i Pug, nie czekając ani sekundy, stoczył się błyskawicznie z posłania. Na matę spadł jakiś ciężar, a po chwili jego uszu doszedł głuchy odgłos sztyletu uderzającego w miejsce, gdzie przed sekundą znajdowała się jego pierś. W

pomieszczeniu zawrzało nagle. Niewolnicy wydzielali się wniebogłosy. Ktoś z głośnym tupotem bosych stóp biegł w stronę drzwi.

Pug wyczuł raczej, niż zobaczył wyciągające się do niego w mroku ręce. Klatkę piersiową przeszył potworny ból. Sięgnął na ślepo przed siebie, starając się wyrwać napastnikowi sztylet. Kolejny świst ostrza w ciemności. Pug złapał się za rozciętą głęboko prawą dłoń. Napastnik znieruchomiał nagle. Pug wyczuł, że ciało niedoszłego zabójcy zostało przygniecione przez kogoś trzeciego.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wbiegli żołnierze z latarniami w rękach. Pug spojrzął na podłogę. Laurie leżał rozciągnięty na nieruchomej postaci Nogamu. Niedźwiedź dyszał jeszcze, ale sądząc ze sterczącego spomiędzy żeber sztyletu, niewiele zostało mu życia. Do baraku wszedł młody żołnierz, który rano ocalił życie Pugowi i Lauriemu. Reszta rozstąpiła się przed nim z szacunkiem. Stał koło trzech uczestników bójki.

– Nie żyje? – spytał krótko.

Oczy nadzorcy rozchyliły się z trudem.

– Żyję, mój panie... – wyszeptał ledwo słyszalnym głosem – lecz umrę od klingi... –

Zlaną potem twarz rozjaśnił słaby, lecz wyzywający uśmiezek.

Młody żołnierz nie pokazał nic po sobie, lecz oczy zagorzały strasznym gniewem.

– Nie sądzę – wycedził cicho przez zęby. Odwrócił się do dwóch najbliższych stojących żołnierzy. – Wyprowadzić go natychmiast na zewnątrz i powiesić. Jego klan nie będzie śpiewał pieśni o chwalebnej i honorowej śmierci. Zostawcie ciało, niech zeżre je robactwo. To będzie przestroga, że należy wykonywać moje polecenia. Marsz!

Twarc konającego pobladła nagle.

– Panie! Nie... – wyszeptał drżącymi wargami – pozwól mi umrzeć od klingi...

blagam... tylko parę minut... – W kącikach ust pojawiła się krwawa piana.

Dwóch krzepkich wartowników schyliło się i nie zważając na jego ból, wywlokło krzyczącego przeraźliwie Nogamu na dwór. Strach przed stryczkiem wyzwolił w nim na moment, w ostatniej chwili życia, resztki energii.

Zgromadzeni w baraku zamarli w bezruchu jak posągi. Po chwili wycie nadzorcy przeszło w krótki, zdławiony okrzyk śmierci. Zapadła pulsująca w uszach cisza. Młody oficer zwrócił się do Puga i Lauriego. Pug usiadł z trudem. Z długiej, płytkiej rany na piersi sączyła się krew. Lewą ręką podtrzymywał skrwawioną prawą dłoń. Ta rana była bardzo głęboka. Nie mógł poruszać palcami.

– Podnieś rannego przyjaciela i chodź ze mną – powiedział oficer do Lauriego.

Trubadur dźwignął Puga na nogi i wyprowadził go z baraku. Oficer zaprowadził ich do swojej kwatery i polecił wejść do środka. Zawołał strażnika i rozkazał, aby sprowadzono obozowego lekarza. Czekali na niego w milczeniu. Lekarzem był stary Tsurani ubrany w szaty kapłana jednego z ich bogów, chociaż żaden z chłopców nie wiedział którego. Obejrzał dokładnie rany Puga i stwierdził, że cięcie na piersi jest powierzchowne. Gorzej było z ręką.

– Rana jest głęboka. Zostały przecięte mięśnie i ścięgna. Zagoi się oczywiście po pewnym czasie, lecz ruchy i siła mięśni dłoni będą ograniczone. Tą ręką będzie mógł wykonywać jedynie najprostsze czynności.

Oficer kiwnął głową, a na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz: mieszanina obrzydzenia i zniecierpliwienia.

– W porządku. Opatrz rany i zostaw nas. Lekarz oczyścił rany, założył kilka szwów na dłoń i zabandażował. Na odchodnym ostrzegł Puga, aby nie zanieczyścił ran. Pug zastosował stare ćwiczenie umysłowe, aby złagodzić ból i napięcie.

Po wyjściu lekarza młody oficer przyglądał się im obu przez dłuższą chwilę.

– Zgodnie z prawem powinienem was kazać powiesić za zabicie nadzorcy.

Nie odzywali się ani słowem. Niewolnicy nie mieli prawa zabierać głosu, dopóki nie otrzymali takiego polecenia.

– Ale ponieważ to ja go powiesiłem, mam prawo darować wam życie, jeżeli jest to w zgodzie z moimi planami. Mogę was ukarać za zranienie nadzorcy – zawiesił na moment głos – czujcie się ukarani.

Machnął ręką.

– Zostawcie mnie teraz, ale zameldujcie się o świcie. Muszę zdecydować, co z wami począć.

Wyszli, zdając sobie doskonale sprawę, jakie mieli szczęście. Według wszelkich prawideł sztuki u Tsuranich, powinni teraz dyndać na sznurze obok byłego nadzorcy.

– O co tu chodzi? – zastanawiał się głośno Laurie.

– Za bardzo mnie boli, żeby teraz nad tym główkować. Na razie jestem tylko wdzięczny za to, że ujrzymy jutrzejszy poranek.

Przez całą drogę do baraku Laurie nie odezwał się ani słowem.

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, Pug, że młody oficer trzyma coś w zanadrzu...

– Nieważne. Już dawno zrezygnowałem z prób zrozumienia motywów postępowania naszych panów. I dlatego, Laurie, udało mi się przeżyć tak długo. Robię po prostu, co mi każą, i staram się wytrzymać.

Pug wskazał na kołyszące się na drzewie w słabej poświacie księżycy – tej nocy wzeszedł tylko mniejszy księżyc – ciało Nogamu.

– Zbyt łatwo można skończyć w ten sposób. Laurie pokiwał powoli głową.

– Może masz rację, ale ja nadal nie rezygnuję z ucieczki. Pug zaśmiał się krótko i gorzko.

– I gdzie to chcesz uciekać, pieśniarzu? Dokąd? Do służy i dziesięciu tysięcy

Tsuranich?

Laurie nie odezwał się ani słowem. Położyli się na swoich posłaniach i próbowali zasnąć w tę gorącą, parną noc.

Młody oficer siedział, zgodnie ze zwyczajem Tsuranich, ze skrzyżowanymi nogami na stosie poduszek. Oddalił wartownika, który przyprowadził Puga i Lauriego, i kazał im usiąść. Posłuchali polecenia z pewnym wahaniem, ponieważ niewolnikom zazwyczaj nie pozwalano na siadanie w obecności pana.

– Jestem Hokanu, z rodu Shinzawai. Obóz jest własnością mego ojca – zaczął bez zbędnych wstępów. – Jest bardzo niezadowolony z tegorocznych wyników. Wysłał mnie tutaj, żebym się zorientował, co można z tym zrobić. Teraz, jak wiecie, nie mam nawet nadzorcy, który by potrafił nadzorować roboty, ponieważ ten idiota was obciążył winą za swoją własną głupotę. Co mam robić? Milczeli.

– Jak długo tu jesteście?

Odpowiedzieli po kolei. Zastanawiał się przez chwilę.

– Ty – wskazał na Lauriego – jak się dobrze zastanowić, nie jesteś nikim nadzwyczajnym, no może poza tym, że lepiej niż reszta opanowałeś nasz język. Ale ty – wskazał na Puga – udało ci się przeżyć dłużej niż większości waszych rodaków o sztywnych karkach. Dobrze też władasz językiem Tsuranich. Od biedy mógłbyś nawet ujść za wieśniaka z odległej prowincji.

Siedzieli w milczeniu, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza Hokanu. Pug zdał sobie nagle ze zdziwieniem sprawę, że jest pewnie o rok czy dwa starszy od tego młodego pana.

Hokanu był bardzo młody, a miał tak wielką władzę. Zwyczaje Tsuranich były bardzo dziwne.

W Crydee Hokanu byłby terminatorem lub gdyby był szlacheckiego pochodzenia, ćwiczyłby się nadal w sztuce rządzenia państwem u boku starszych.



– Jak to możliwe, że władasz tak dobrze naszym językiem?

– Byłem jednym z pierwszych siedmiu, panie, którzy dostali się do waszej niewoli i zostali przetransportowani do waszego świata. Byliśmy jedynymi niewolnikami z Midkemii wśród ogromnej rzeszy niewolników Tsuranich. Wszyscy staraliśmy się nauczyć, jak przetrwać, lecz po pewnym czasie byłem jedynym, któremu się to udało. Reszta zmarła od zainfekowanych ran, trawiona gorączką bagienną czy po prostu zabita przez wartowników. Nie został ani jeden człowiek, z którym mógłbym rozmawiać w ojczystym języku, a przez ponad rok nie sprowadzano nowych niewolników z Midkemii.

Oficer pokiwał głową. Popatrzył na Lauriego.

– A ty?

– Ja, panie, jestem wędrownym pieśniarzem, trubadurem. Podróżując dużo po kraju, musiałem się nauczyć wielu języków. Oprócz tego mam dobry, muzyczny słuch. Wasz język, panie, należy do grupy języków tonalnych, jak nazywamy je w naszym świecie. Oznacza to, że słowa o takich samych głoskach, lecz wypowiedziane w różnej intonacji, mają inne znaczenie. Na południu naszego Królestwa mamy kilka takich języków, a ja szybko się uczę.

Oczy młodego oficera rozbłysły zainteresowaniem.

– Dobrze jest dowiadywać się czegoś nowego. – Zamyślił się na chwilę. Pokiwał powoli głową. – Wiele czynników kształtuje los człowieka, niewolnicy. – Uśmiechnął się i przez moment wyglądał bardziej na chłopca niż dorosłego mężczyznę. – Ten obóz to rzeźnia. Moim zadaniem było przygotowanie raportu dla ojca, pana Shinzawai. Chyba już wiem, na czym polega główny problem. – Wskazał palcem na Puga. – Chciałbym, żebyś się podzielił ze mną swoimi przemyśleniami na ten temat. Jesteś tutaj dłużej niż wszyscy inni.

Pug skupił się. Już dawno nikt nie prosił go o wypowiedzenie opinii na jakiś temat.

– Panie, pierwszy nadzorca, którego zastałem w obozie po dostaniu się do niewoli, był

mądrym człowiekiem. Dobrze rozumiał, że nawet niewolników nie można zmusić do ciężkiej i efektywnej pracy, jeżeli są zbyt wycieńczeni głodem. Dostawaliśmy wtedy lepsze jedzenie, a jeżeli ktoś był ranny czy chory, miał czas, aby dojść do siebie. Nogamu był okropny i każde niepowodzenie czy opóźnienie w pracy przyjmował jako osobisty afront. Kiedy kolonia norowców zaatakowała kawałek lasu, winni byli niewolnicy. Kiedy umierał jakiś niewolnik, traktował to jak spisek, mający na celu zniszczenie jego reputacji jako nadzorcy robót. Każda trudność kończyła się kolejnym obcięciem racji żywnościowych lub wydłużeniem dnia pracy, natomiast wszelkie postępy traktował jako słusznie mu się należącą nagrodę za jego wysiłki.

– Podejrzywałem to. Nogamu był kiedyś bardzo ważnym człowiekiem. Był hadonra – zarządzającym posiadłościami swego ojca. Jego rodzinę uznano winną knucia spisku przeciwko Imperium i jego klan sprzedał wszystkich jej członków do niewoli, to znaczy tych, których nie powieszono od razu. Nogamu nigdy nie był dobrym niewolnikiem. Uznano wtedy, że powierzenie mu odpowiedzialności za obóz mogło się przyczynić do praktycznego wykorzystania jego zdolności. No cóż, popełniono omyłkę. Jak sądzicie, czy pośród niewolników jest ktoś, kto mógłby sprawnie zarządzać obozem? Laurie lekko skłonił głowę.

– Pug, panie.

– Nie sędzę. Co do was, mam osobne plany.

Pug zdziwił się. Zastanawiał się, do czego tamten zmierzał.

– Może Chogana, panie. Był kiedyś rolnikiem. Został sprzedany w niewolę, bo nie mógł zapłacić podatków, gdy miał kiepskie zbiory. Ma bardzo trzeźwą głowę.

Oficer klasnął w dłonie. Wartownik pojawił się błyskawicznie w pokoju.

– Poślij po niewolnika Choganę. Wartownik zasalutował i wyszedł.

– Dobrze, że Chogana to Tsurani. Wy, barbarzyńcy, nie znacie swego miejsca. Aż mnie ciarki przechodzą, gdy pomyślę, co by się stało, gdybym mianował kogoś z Midkemii. Nie

minęłoby wiele czasu, a żołnierze ścinałoby drzewa, podczas gdy niewolnicy trzymaliby przy nich wartę.

Przez chwilę panowała cisza, po czym Laurie zaśmiał się głębokim, szczerym śmiechem. Hokanu uśmiechnął się. Pug obserwował go uważnie. Młody człowiek, od którego zależała ich śmierć czy życie, starał się ze wszystkich sił zdobyć ich zaufanie. Laurie już go polubił, jednak Pug trzymał swe uczucia na wodzy. Dłużej niż Laurie nie miał kontaktu ze społeczeństwem na „starej” Midkemii, gdzie braterstwo broni czasu wojny uczyło dzielić biedę i wspólną żołnierską miskę, zarówno prostych, jak i szlachetnie urodzonych bez względu na stopień. Tutaj, już na samym początku niewoli, nauczył się jednego: Tsurani nigdy, nawet na krótką chwilę, nie zapominali o swojej pozycji w hierarchii społecznej. Wszystko, co działo się w tej chacie, działo się za sprawą woli i planu młodego oficera i na pewno nie zdarzyło się przypadkiem. Hokanu wyczuł na sobie wzrok Puga. Spojrzał na niego. Ich wzrok spotkał się na krótki moment. Po chwili Pug opuścił oczy – tego oczekiwano od niewolnika. Przez tę krótką chwilę rozciągnęła się między nimi cienka nić porozumienia, jakby młody oficer chciał powiedzieć Pugowi: „Nie wierzysz, że jestem waszym przyjacielem? Niech i tak będzie, pod warunkiem że odegrasz swoją rolę”.

Hokanu machnął ręką.

– Wracajcie do baraku. Dobrze wypocznijcie. Wyruszamy zaraz po południowym posiłku.

Wstali, skłonili się nisko i wycofali tyłem z chaty. Pug szedł pogrążony w milczeniu.

Laurie zerknął na niego.

– Ciekawe, gdzie nas biorą? – Kiedy nie usłyszał żadnej odpowiedzi, dodał: –

Przynajmniej jedno jest pewne, nie będzie tam gorzej niż tutaj.

Pug zastanawiał się, czy aby na pewno Laurie ma rację.

Ktoś potrząsnął Puga za ramię. Obudził się. Wykorzystując dodatkowy czas na odpoczynek, drzemał w miłym, porannym cieple. Po obiedzie mieli opuścić obóz w towarzystwie młodego szlachcica. Chogana, były rolnik, którego Pug zaproponował na stanowisko nadzorcy, przyłożył palec do ust i pokazał na śpiącego głębokim snem Lauriego. Pug wyszedł za starym niewolnikiem z baraku. Usiedli w cieniu pod ścianą. Chogana zawsze mówił powoli, z uwagą dobierając słowa.

– Mój pan, Hokanu, mówi, że odegrałeś decydującą rolę w mianowaniu mnie nadzorcą obozu. – Kiedy to mówił, jego pobrużdżona, śniada twarz wyglądała bardzo szlachetnie. Skłonił się głęboko przed Pugiem. – Jestem twoim dłużnikiem.

Pug oddał formalny ukłon, co w warunkach obozowych było niesłychaną rzadkością.

– Nie ma mowy o żadnym długu. Jestem pewien, że będziesz się zachowywał i działał, jak na prawdziwego nadzorcę przystało, i dobrze opiekował swoimi braćmi.

Usta Chogany rozchyliły się w szerokim uśmiechu, ukazując zęby pożółkłe ze starości i od soku orzechów tateen, które stary ciągle gryzł. Występowały one na bagnach w dużych ilościach. Miały lekko narkotyczne działanie i nie wpływając na efektywność pracy, czyniły ją jednak nieco lżejszą. Pug, jak i reszta niewolników z Midkemii, starał się nie popadać w nie-szkodliwy nałóg, chociaż gdyby go zapytać, nie potrafiłby odpowiedzieć dlaczego. Być może dlatego, że wyglądałoby to na ostateczne poddanie się utracie wolności.

Chogana patrzył na obóz wąskimi szparkami oczu. Słońce świeciło ostro. Teren był opustoszały. Poza osobistą ochroną młodego pana i oddziałem kucharza nie było nikogo. Z daleka dochodziło echo pokrzykiwań pracujących przy wycince.

Stary spojrzał na Puga.

– Kiedy byłem chłopcem na farmie mego ojca w Szetac, odkryto, że mam talent.

Zostałem poddany badaniu, po którym stwierdzono, że jestem niepełny. – Pug nie zrozumiał

ostatniej uwagi, ale nie przerywał Choganie. – Więc jak mój ojciec, zostałem rolnikiem. Ale talent był... Czasem widzę różne rzeczy, Pug, różne rzeczy wewnątrz ludzi. Gdy dorastałem, wiadomość o moim talencie rozchodziła się po okolicy. Ludzie, najczęściej biedni, zaczęli przychodzić do mnie, szukając rady. Jako młody chłopak bywałem arogancki i pewien siebie. Kazałem sobie słono płacić za wyjawienie tego, co ujrzałem w ich wnętrzu. Potem, kiedy się zestarzałem, spokorniałem i brałem to, co mi dawano, lecz nadal opowiadałem wszystko, co zobaczyłem. I tak źle, i tak nie dobrze – ludzie zawsze odchodzili źli, wiesz dlaczego? – zapytał na koniec, chichocząc radośnie. – Pug pokręcił przecząco głową. – Ponieważ nie przychodzili po to, aby usłyszeć prawdę, chłopcze, lecz po to, aby usłyszeć to, co chcieli usłyszeć.

Pug również zaczął się śmiać.

– Cóż miałem robić? Udałem, że talent widzenia zaniknął i z czasem ludzie przestali przychodzić na moją farmę. Ale talent nie zniknął, Pug, nadal czasami potrafię dostrzec, co się dzieje w środku. W tobie także coś ujrzałem, chłopcze. Powiem ci o tym, zanim odejdziesz stąd na zawsze. Ja umrę w obozie, ale przed tobą jest zupełnie inna przyszłość. Czy gotów jesteś tego wysłuchać? – Pug skinął powoli głową. – W twoim wnętrzu uwięziona jest wielka moc... jakaś siła. Co to jest i co oznacza, nie wiem.

Pug, znając dziwne podejście Tsuranich do magów, poczuł narastającą w nim panikę – może Chogana odkrył jego poprzednie powołanie. Dla większości współwięźniów był po prostu innym niewolnikiem, a tylko dla kilku byłym szlachcicem z Midkemii.

Chogana mówił dalej z zamkniętymi oczami.

– Miałem sen o tobie, Pug. Ujrzałem cię na szczycie ogromnej wieży, gdy walczyłeś ze strasznym przeciwnikiem. – Otworzył oczy. – Nie mam pojęcia, co ten sen oznacza, ale o jednym musisz wiedzieć. Zanim wejdziesz na szczyt wieży, aby zmierzyć się ze swoim przeciwnikiem, musisz odnaleźć swoją jaźń; jest to ów tajemniczy środek twego bytu, miejsce

idealnego spokoju we wnętrzu. Kiedy uda ci się tam dotrzeć, będziesz bezpieczny, nie ci nie zagrozi. Twoje ciało może cierpieć, nawet umrzeć, ale we wnętrzu swej jaźni będziesz nadal trwał w pokoju. Pug, musisz starać się ze wszystkich sił, bo tylko nielicznym udaje się odnaleźć własną jaźń.

Chogana wstał.

– Wkrótce nas opuścisz, Pug. Chodź, musimy obudzić Lauriego.

Ruszyli w stronę baraku.

– Chogana, dziękuję ci bardzo, ale chciałbym ci zadać jeszcze jedno pytanie.

Wspomniałeś coś o wrogu na wieży. Czy możesz go opisać... wskazać?

Chogana roześmiał się głośno, kiwając szybko głową.

– O tak, o tak... dobrze mu się przyjrzałem. – Wchodził na stopnie baraku, nie przestając chichotać radośnie. – To przeciwnik, którego wszyscy obawiają się najbardziej. – Zmrużył oczy i spojrzał z uwagą na Puga. – To byłeś ty sam.

Pug i Laurie siedzieli na schodach świątyni. Dookoła kręciło się sześciu wartowników.

Strażnicy przez całą niezbyt trudną, ale uciążliwą i męczącą podróż byli, jak na Tsuranich, dosyć uprzejmi. Nie mając koni ani żadnych innych zwierząt, które mogłyby je zastąpić, każdy Tsurani, który nie podróżował w wozie ciągniętym przez needra, poruszał się za pomocą nóg, swoich własnych lub cudzych. Szerokie bulwary aż się roiły od różnych wielmożów wygodnie podróżujących w lektykach dźwiganych przez złanych potem niewolników.

Pug i Laurie otrzymali proste, krótkie szaty w szarym kolorze, które zazwyczaj nosili niewolnicy. Przepaski na biodra, których używali w czasie pracy na bagnach, uznano za nieobyczajne dla podróży pośród obywateli Tsuranich, którzy przywiązywali do skromności stroju pewną wagę, chociaż nie tak wielką jak mieszkańcy Królestwa na Midkemii.

Wędrowali drogą wzdłuż wybrzeża wielkiej wody zwanej potocznie Zatoką Bitwy. Pug

zastanawiał się po drodze, że jeżeli istotnie była to zatoka, to swymi rozmiarami była na głowę wszystkie, o których słyszał na Midkemii, ponieważ nawet z wysokich skał górujących ponad wodami zatoki nie było widać drugiego brzegu. Po kilku dniach wędrówki wkroczyli w okolice uprawnych pól i pastwisk i wkrótce dostrzegli zbliżający się drugi brzeg. Minęło kilka następnych, nim dotarli do miasta Jamar.

W czasie, kiedy Hokanu składał ofiarę w świątyni, Pug i Laurie przyglądali się leniwie przechodzącym obok. Wszystko wskazywało na to, że Tsurani mieli bzika na punkcie kolorów. Nawet najprostszy robotnik był tutaj ubrany w bajecznie kolorową, krótką szatę. Bogatsi odziani byli zazwyczaj w kunsztownie uszyte stroje, ozdobione zawiłymi wzorami. Na tym kolorowym tle tylko niewolnicy wyróżniali się szarością i prostotą ubioru.

Miasto tętniło życiem. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, kłębił się kolorowy tłum farmerów, handlarzy, karawan kupieckich i podróżników. Ulicami toczyły się kolumny wozów z produktami rolniczymi i towarami, ciągniętych w statecznym tempie przez sześcionogie needra. Już sama liczba tłoczących się ludzi zapierała obu chłopcom dech w piersi. Tsurani do złudzenia przypominali im mrówki – pędzili bez wytchnienia przed siebie, tak jakby handel w Imperium nie mógł ani na moment spocząć na laurach, dając chwilę wytchnienia ludziom. Co jakiś czas przechodnie przystawali i przyglądali się z ciekawością ogromnym barbarzyńcom z Midkemii. Wzrost większości mieszkańców Imperium nie przekraczał stu siedemdziesięciu centymetrów, więc nawet Pug, który miał prawie metr siedemdziesiąt pięć, uważany był za bardzo wysokiego. Midkemianie zaś nazywali Tsuranich między sobą kurduplami.

Pug i Laurie rozglądali się ciekawie dookoła. Czekali w samym środku miasta, gdzie znajdowały się wielkie świątynie. Pośród rozlicznych parków i zieleńców rozsiadło się dostojnie dziesięć piramid. Ich ściany zdobiły bogate malowidła lub mozaiki z błyszczących kafelków. Ze stopni świątyni, na których siedzieli, widzieli przed sobą trzy parki. Wszystkie

zostały założone na malowniczo schodzących w dół tarasach. Pośród drzew i klombów płynęły miniaturowe strumyczki, a tu i ówdzie lśniły w słońcu maleńkie wodospady. Rozległe trawniki, zajmujące większą część parków, urozmaicały zarówno specjalnie prowadzone karłowate drzewka, jak i wielkie, rozłożyste, dające dużo cienia. Między kępami krzewów i drzew przechadzali się spokojnym krokiem muzykanci grający na fletach i dziwnych instrumentach strunowych, obco brzmiące, polifoniczne melodie, urozmaicając czas przechadzającym się po parku i przechodniom na ulicach.

Laurie nagle zaczął nasłuchiwać.

– Pug! Posłuchaj tylko... te półtony! I te wyciszone dźwięki minorowe! – Westchnął głęboko i popatrzył ze smutkiem w ziemię. – Obco brzmi, ale to piękna muzyka. – Spojrzał na Puga i tym razem nie było w jego oczach zwykłych u niego wesołych iskierek. – Gdybym tylko mógł znowu grać. – Popatrzył na przechadzających się w oddali muzyków. – Mógłbym nawet polubić muzykę Tsuranich. – Pug nic nie odpowiedział, zostawiając Lauriego sam na sam z jego marzeniami.

Rozejrzał się po gwarным placu, usiłując uporządkować bogactwo wrażeń; których doświadczał nieustannie od chwili wkroczenia do przedmieść. Wszędzie dookoła śpieszyli się ludzie zajęci swoimi sprawami. Nie opodal gmachów świątyń rozłożył się targ, podobny do tych w Królestwie, ale znacznie większy. Gwar, krzyki przekupniów i kupujących, unoszące się nad targowiskiem zapachy, gorąco, wszystko to w jakiś nieuchwytny sposób przypominało mu o domu.

Pospólstwo rozstępowało się przed grupą Hokanu. Na jej czele kroczyło kilku żołnierzy, którzy nieustannie krzyczeli:

„Shinzawai! Shinzawai!”, dając znać, że zbliża się przedstawiciel rodu szlacheckiego.

Tylko raz oddział Hokanu ustąpił drogi grupie mężczyzn ubranych w długie szaty ze szkar-



łatnych piór. Idący na jej czele Tsurani, którego Pug uznał za wysokiego kapłana, miał na twarzy czerwoną, drewnianą maskę w kształcie czaszki. Twarze pozostałych były pomalowane na czerwono. Dmuchali w gwizdki zrobione z trzciny i ludzie rozpierzchali się gwałtownie na boki, zostawiając im wolne miejsce. Jeden z żołnierzy Hokanu wykonał ochronny gest. Pug dowiedział się później, że byli to kapłani Turakamu, pożeracza serc, brata bogini Sibi, tej, która jest śmiercią.

Pug zwrócił się do najbliższego stojącego żołnierza i gestem dłoni poprosił o pozwolenie odezwania się. Żołnierz kiwnął głową.

– Panie, jaki bóg zamieszkuje tę świątynię? – zapytał, wskazując na tę, w której modlił się Hokanu.

Żołnierz popatrzył na niego z politowaniem, ale przyjaźnie.

– Ach, ci nieokrzescani barbarzyńcy... Bogowie nie zamieszkują tych wspaniałych budowli, lecz żyją w Niebie Wyższym i Niższym. Świątynia jest dla ludzi, aby mieli gdzie się modlić. Syn mego pana składa teraz ofiarę i prosi Chochocana, dobrego boga z Nieba Wyższego, i jego sługę, Tomachaca, boga pokoju, o powodzenie i szczęśliwość dla rodu Shinzawai.

Po powrocie Hokanu znowu ruszyli w drogę przez miasto, a Pug z uwagą obserwował mijanych przechodniów. Natłok nowych wrażeń był niewiarygodnie wielki i gwałtowny i Pug dziwił się, jak mogli to wytrzymać bez rozstroju nerwowego. Pug i Laurie zachowywali się zupełnie jak wieśniacy, którzy po raz pierwszy zawitali do wielkiego miasta – szli, gapiąc się na otoczenie z otwartymi z podziwu gębami, zachwycając się wspaniałościami Jamar. Nawet trubadur Laurie, który przecież uchodził za wielkiego światowca, nie mógł powstrzymać okrzyków oczarowania. Nie minęło wiele czasu, a strażnicy chichotali otwarcie z niekłamanego zachwyty barbarzyńców nad zupełnie przyziemnymi rzeczami.

Ogromna większość budynków w mieście była zbudowana z drzewa i półprzeźroczystego materiału, cienkiego, lecz sztywnego. Kilka, jak na przykład świątynie, wzniesiono z bloków kamiennych. Najbardziej jednak zdumiewało przybyszów z Midkemii to, że wszystkie domy, poczynając od wspaniałych świątyń, po najskromniejsze chatynki robotników, były pomalowane w całości na biało, z wyjątkiem belek na obrzeżach konstrukcji i futryn drzwi, które pozostawiono w naturalnym kolorze głębokiego, wypolerowanego brązu. Wszystkie wolne powierzchnie ozdobiono barwnymi malowidłami, wśród których dominowały obrazy przedstawiające zwierzęta, krajobrazy, rozlicznych bogów czy sceny bitewne. W którąkolwiek by stronę spojrzeć, zewsząd atakowała zmysły patrzącego feeria barw.

Na północ od kompleksu świątyń, po drugiej stronie jednego z parków, a naprzeciwko szerokiego bulwaru, pośród otoczonego żywopłotami szerokiego trawnika wznosił się pojedynczy budynek. Przy wejściu stało na straży dwóch wartowników noszących zbroje i henny podobne do tych, jakie mieli towarzyszący im żołnierze. Kiedy oddział Hokanu zbliżył się, wartownicy zasalutowali.

Nie czekając na rozkaz, żołnierze Hokanu pomaszerowali na tyły budynku, zostawiając młodego oficera z niewolnikami. Hokanu dał znak ręką i jeden z wartowników odsunął na bok duże, pokryte materiałem drzwi. Weszli do środka. Hokanu poprowadził ich szerokim korytarzem z szeregiem drzwi po obu stronach do samego końca. Niewolnik otworzył przed nimi ostatnie z nich.

Pug i Laurie stwierdzili, że budynek był zbudowany na planie kwadratu, w środku którego znajdował się duży ogród, dostępny ze wszystkich czterech stron. Nad brzegiem sadzawki z chlupoczącą wodą siedział starszy mężczyzna ubrany w prostą, lecz uszytą z drogiego materiału szatę w kolorze ciemnego błękitu. Czytał z uwagą jakiś zwój. Kiedy

weszli, podniósł wzrok i powstał, aby przywitać się z Hokanu.

Młodzieniec zdjął hełm i stanął na baczność. Pug i Laurie trzymali się nieco z tyłu nie odzywając się. Mężczyzna skinął głową i Hokanu podszedł. Objęli się.

– Mój synu, jak to dobrze znów cię widzieć. Jak było w obozie?

Hokanu przedstawił ojcu zwięzły raport o obozie, nie pomijając żadnego istotnego aspektu. Na koniec przedstawił kroki, które poczynił, aby naprawić zastaną sytuację.

– Tak więc, ojcze, nowy nadzorca ma dopilnować, żeby niewolnicy otrzymywali regularnie odpowiednie racje żywnościowe i mieli właściwy odpoczynek. Możemy się spodziewać, że wkrótce zwiększą produkcję.

Starszy mężczyzna pokiwał powoli głową.

– Sądzę, że postąpiłeś roztropnie, mój synu. Za kilka miesięcy będziemy musieli znowu kogoś tam wysłać, aby ocenił postępy, lecz wydaje mi się, że gorzej niż było, dłużej być nie mogło. Komendant żąda wyższej produkcji i niewiele brakowało, abyśmy popadli u niego w niełaszkę.

Spojrzał na Puga i Lauriego, jakby dopiero teraz ich zauważył.

– A ci? – spytał krótko, wskazując na obu niewolników.

– Są wyjątkowi, ojcze. Myślałem o naszej wieczornej rozmowie przed wyjazdem brata na pomoc. Mogą być użyteczni.

– Czy mówiłeś o tym z kimś jeszcze? Wokół szarych oczu starego rozciągała się sieć głębokich zmarszczek i chociaż był znacznie niższy, żywo przypominał Pugowi księcia Borrica.

– Nie, ojcze. Wiedzą tylko ci, którzy tamtego wieczora uczestniczyli w radzie.

Pan domu przerwał mu krótkim ruchem ręki.

– Zachowaj swoje uwagi na potem. „Nie powierzaj miastu sekretów”. Zawiadam

Septiema. Zamykamy dom i o świcie wyruszamy do naszych posiadłości.

Hokanu skłonił się lekko i odwrócił, by odejść.

– Hokanu. – Zatrzymał go głos ojca. – Dobrze się spisałeś.

Na twarzy młodzieńca pojawił się wyraz nie skrywanej dumy. Z uśmiechem opuścił ogród.

Pan domu usiadł na rzeźbionej w kamieniu ławie przy niewielkiej fontannie.

Przypatrzył się uważnie obu niewolnikom.

– Jak was nazywają?

– Pug, panie.

– Laurie, panie.

Przez moment starszy mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby w wyniku tych prostych i krótkich odpowiedzi uzyskał jakąś wiedzę, głębsze zrozumienie.

– Te drzwi – powiedział, wskazując w lewo – prowadzą do kuchni. Mój hadonra nazywa się Septiem. On zajmie się waszymi potrzebami. Odejdźcie teraz.

Skłonili się i wyszli z ogrodu. Po drodze, kiedy wychodzili z za rogu, Pug wpadł na młodą dziewczynę i omal jej nie przewrócił. Ubrana była w prostą suknię niewolniczą i dźwigała pod pachą wielką górę mokrego prania. Wszystko rozsypało się na podłogę.

– Och! – krzyknęła. – Dopiero co to wyprałam. A teraz będę musiała od nowa...

Pug pośpiesznie schylił się i zaczął zbierać porzucane pranie. Zerknął na dziewczynę. Jak na Tsuranich, była bardzo wysoka, prawie dorównywała mu wzrostem, i ładnie zbudowana. Kasztanowe włosy miała związane w koński ogon, piwne oczy zakrywały długie, ciemne rzęsy. Pug przestał zbierać rozsypane rzeczy i wpatrywał się w nią z nie skrywanym podziwem. Spostrzegła to i zamarła na chwilę w bezruchu, po czym szybko pozbierała resztę ubrań i odeszła. Laurie śledził wzrokiem jej szczupłą sylwetkę i opalone na

ciemny brąz nogi, widoczne spod krótkiej, niewolniczej sukni.

Laurie klepnął z rozmachem Puga w plecy.

– Ha! A nie mówiłem, że otwiera się przed nami jasna przyszłość!

Wyszli z domu i ruszyli w stronę kuchni. Zapach gotujących się potraw sprawił, że pociekła im ślina.

– Zrobiłeś na niej piorunujące wrażenie, Pug. Doświadczenie Puga z kobietami było skromne i teraz, po uwadze przyjaciela, poczuł, że pieką go uszy. W obozie niewolników wiele rozmów krążyło wokół tematu kobiet, co sprawiało, że czuł się w tym zagadnieniu o wiele bardziej niedoświadczonym chłopcem niż w każdym innym. Odwrócił się, żeby sprawdzić, czy Laurie nie nabija się z niego. Zauważył, że jasnowłosego trubadur wpatruje się w coś poza jego plecami. Skierował swój wzrok w to samo miejsce i zdążył jeszcze zauważyć, jak w jednym z okien domu znika nieśmiało uśmiechnięta twarz dziewczyny.

Następnego dnia w domu rodziny Shinzawai zapanowało niezwykle poruszenie.

Niewolnicy i służby uwijali się jak w ukropie, szykując się do podróży na północ. Ponieważ wszyscy byli zajęci swoimi sprawami, nikt nie miał głowy, aby wyznaczyć chłopcom jakąś robotę i w rezultacie pozostawiono ich samych sobie. Usiedli w cieniu rozłożystego, podobnego do wierzby drzewa, napawając się nową dla siebie sytuacją, wolnym czasem, i przypatrywali się z ciekawością rozgardiaszowi.

– Oni są szurnięci, Pug. U nas w domu, pamiętam, nie ma tylu przygotowań, kiedy wyrusza duża karawana. Wygląda tak, jakby chcieli zabrać ze sobą swój cały dobytek.

– Może rzeczywiście chcą? Tsurani przestali mnie już dziwić. – Pug wstał i oparł się wygodnie o pień drzewa. – Widziałem już rzeczy, które przeczą podstawowej logice.

– Masz rację. Ale kiedy się widziało tyle różnych krajów i ziem co ja, przekonujesz się, że im bardziej coś się wydaje różne, w rzeczywistości tym bardziej jest podobne jedno do

drugiego.

– Co masz na myśli?

Laurie wstał i oparł się plecami o drzewo z drugiej strony.

– Nie jestem pewien – powiedział cichym głosem. – ale coś wisi w powietrzu. Coś... w czym, bądź pewien, odgrywamy jakąś rolę. Jeżeli będziemy sprytni, możemy to obrócić na naszą korzyść. Nigdy nie zapominaj, bracie, jeżeli ktoś czegoś od ciebie chce, zawsze możesz się potargować, bez względu na to, jak wielka może być między wami różnica.

– Oczywiście. Daj mu to, czego chce, a on pozwoli ci żyć.

– Jesteś zbyt młody, aby być takim cynikiem, Pug – sprzeciwił się Laurie z wesołym błyskiem w oczach. – Coś ci powiem. Zostaw tę pozę zmęczonego życiem i światem takim starym podróżnikiem jak ja, a ja już dopilnuję, żebyś nie przegapił żadnej okazji.

– Jakiej znów okazji? – prychnął Pug.

– No cóż, po pierwsze – powiedział Laurie, wskazując coś za plecami Puga – ta mała, której wczoraj omal nie przewróciłeś, najwyraźniej nie może sobie poradzić z tymi ciężkimi skrzynkami.

Pug odwrócił się szybko i zobaczył, jak dziewczyna z pralni z trudem usiłuje ustawić wysoki stos skrzynek, które miały być zapakowane na wozy.

– Odnoszę wrażenie, że przydałaby się jej jakaś pomocna, silna, męska dłoń, nie wydaje ci się? Pug zmieszał się.

– Co?

Laurie popchnął go delikatnie w tamtą stronę.

– Rusz tyłek, głupku. Teraz trochę pomocy, a potem... kto wie?

Pug potknął się.

– Potem?

– O Bogowie! – krzyknął Laurie i żartobliwie kopnął Puga w siedzenie.

Humor trubadura był zaraźliwy i kiedy Pug podchodził do dziewczyny, uśmiechał się wesoło. Usiłowała właśnie postawić jedną ciężką skrzynię na drugiej. Pug zabrał ją od niej.

– Daj, mnie będzie łatwiej.

Niepewna, co ma zrobić, odsunęła się o krok.

– Nie jest ciężka... tylko trochę dla mnie za wysoko – powiedziała, patrząc wszędzie, tylko nie na Puga.

Pug dźwignął skrzynię i z łatwością postawił na szczycie innych, trochę uważając na swoją słabszą rękę.

– No i gotowe – powiedział, starając się mówić naturalnym głosem.

Dziewczyna odgarnęła z czoła kosmyk włosów, który wchodził jej w oczy.

– Jesteś barbarzyńcą, prawda? – spytała z wahaniem w głosie.

Pug skrzywił się.

– To wy tak nas nazywacie. Ja uważam, że jestem równie cywilizowany jak wszyscy inni. Zaczerwieniła się.

– Nie chciałam cię urazić. Mój lud też tak nazywają. Każdy, kto nie jest Tsuranim, to dla nich barbarzyńca. Chciałam przez to powiedzieć, że pochodzisz z innego świata.

Pug kiwnął głową.

– Jak ci na imię?

– Katala – odpowiedziała i spytała pośpiesznie: – A tobie?

– Pug. Uśmiechnęła się.

– Pug to dziwne imię... – powiedziała cicho, ale widać było, że jego brzmienie podoba się jej.

W tym momencie zza rogu wyszedł hadonra, Septiem, stary, lecz wyprostowany jak

trzcina i przypominający godnym wyglądem generała w stanie spoczynku.

– Hej, wy dwoje! – powiedział ostrym głosem. – Robota czeka! Nie stójcie beczynn timer!

Katala odwróciła się szybko i pobiegła do domu. Pug stał, przestępując z nogi na nogę przed zarządcą ubranym w długą, żółtą szatę

– A ty? Jak ci na imię?

– Pug, panie.

– Widzę, że ty i ten twój ogromny przyjaciel nie macie nic do roboty. Trzeba jakoś temu zaradzić. Zawołaj go.

Pug westchnął ciężko. Tak oto skończył się ich wolny czas. Machnął ręką do Lauriego i gdy ten podszedł, obu zapędzono do ładowania wozów.

## **W MAJĄTKU**

W ostatnich trzech tygodniach znacznie się ochłodziło.

Pomimo to nadal było ciepło, jak w lecie. W świecie Tsuranich typowa zima, jeżeli w ogóle przychodziła, trwała zaledwie sześć tygodni i praktycznie sprowadzała się do krótkotrwałego okresu obfitych opadów deszczu, które gnał z północy chłodny wiatr.

Większość drzew zachowywała błękitno-zielone listowie i nic w przyrodzie nie świadczyło o tym, że skończyła się jesień. Pug spędził na obcej ziemi Tsuranuanni już cztery lata i ani razu nie ujrzał, tak dobrze znanych z domu, znaków przemijania pór roku: nie było tutaj wędrowek ptaków na południe, ostrych, szczypiących przymrozkiem poranków, marznącej mżawki, śniegu czy wreszcie szaleństwa rozkwitających na wiosnę polnych kwiatów.

Ziemia Tsuranich wydawała się stale pogrążona w delikatnym bursztynie lata.

Przez kilka pierwszych dni podróży podążali z Jamar główną drogą na północ, do miasta Sulan-qu. Po wodach towarzyszącej drodze rzeki Gagajin niósł się nieustanny skrzyp płynących barek, statków i łodzi, łopot żagli, plusk wiosel i świst wiatru w olinowaniu. Na



drodze również panował nieustanny ruch i harmider: przechodziły dostojnie juczne karawany, turkotały chłopskie wozy, niewolnicy niosący lektyki szlachty pokrzykiwali donośnie, torując przejście swoim panom.

Pan Shinzawai odpłynął pierwszego dnia statkiem do Świętego Miasta, aby wziąć udział w obradach Wysokiej Rady. Jego domownicy poruszali się w wolniejszym tempie. Hokanu zatrzymał się na dłuższy czas na przedmieściach Sulan-qu, bo chciał złożyć wizytę pani Acoma; Pug i Laurie mieli okazję trochę poplotkować z niedawno schwytanym niewolnikiem z Midkemii. Wieści o przebiegu wojny nie były pocieszające. Od ostatnich wiadomości, które do nich dotarły, praktycznie nic się nie zmieniło – na froncie ciągle utrzymywała się patowa sytuacja.

Pan Shinzawai dołączył do orszaku syna niedaleko Świętego Miasta, na obrzeżach Miasta Silmani. Od tego momentu dalsza droga na północ, do posiadłości Shinzawai, przebiegała monotonnie.

Karawana zbliżała się do granic północnych ziem pozostających pod władaniem rodu Shinzawai. Poza prostymi obowiązkami, jak ładowanie i wyładowywanie zapasów i naczyń kuchennych w juki czy usuwanie z drogi nieczystości pozostawionych przez needra, Pug i Laurie nie mieli w drodze wiele do roboty. Siedzieli teraz na tyle wozu i bujali zwieszonymi nogami. Laurie wbił zęby w soczysty miąższ owocu jomach przypominającego wyglądem duży, zielony granat o wnętrzu arbuza.

– Jak ręka? – spytał, wypluwając jednocześnie pestki. Pug przyjrzał się z uwagą prawej dłoni przeciętej czerwoną pręgą szramy.

– Ciągle sztywna. Rana się zagoiła, ale obawiam się, że lepiej już nie będzie.

Laurie nachylił się i spojrzał na rękę przyjaciela.

– Chyba już nigdy nie weźmiesz miecza do ręki. – Uśmiechnął się szeroko. Pug zaśmiał

się.

– Obawiam się, że ty również. Coś mi mówi, Laurie, że Tsurani nie pałają zbyt dużą chęcią, aby zapewnić ci miejsce w oddziałach cesarskich lansjerów.

Laurie wypluł z impetem strumień pestek, które odbiły się rykoszetem od nosa needry ciągnącej wóz za nimi. Sześcionoga bestia prychnęła gniewnie, a woźnica pogroził im batem.

– Poza drobną uwagą, że Cesarz nie ma żadnych lansjerów, co wynika z prostego faktu, iż nie posiada ani jednego konia, byłoby to miejsce w sam raz dla mnie.

Pug zaśmiał się drwiąco.

– Wiedz, mój dobry człowieku – powiedział Laurie arystokratycznie wyniosłym tonem

– że my, trubadurzy, często stajemy twarzą w twarz z mniej powabnym rodzajem klientów, z rozbójnikami i rzezimieszkami wszelkiej maści, którzy są zainteresowani naszymi skromnymi, bo skromnymi, ale zarobionymi ciężką pracą pieniędzmi. Jeżeli ktoś nie posiadał umiejętności skutecznej obrony własnej osoby, wypada z interesu, jeżeli rozumiesz, do czego piję.

Pug uśmiechnął się. Dobrze wiedział, że trubadurzy otoczeni byli w mieście niemal bałwochwalczą czcią. Gdyby został skrzywdzony czy obrabowany, wiadomość o tym rozeszłaby się szeroko po kraju i żaden inny już nigdy nie zawitałby w progi takiego miasta.

Jednakże w drodze sprawy miały się zupełnie inaczej. Pug nie miał co prawda wątpliwości, że Laurie dobrze potrafi zadbać o własną osobę, lecz z drugiej strony, nie miał zamiaru pozwolić przyjacielowi, aby zwracał się do niego tym nadętym tonem i siedział zadowolony z siebie, bez żadnej repliki z jego strony. Już otwierał usta, aby się odciąć, kiedy przerwały mu dochodzące od czoła karawany okrzyki. Strażnicy popędzili do przodu. Laurie spojrzął zdziwiony na Puga.

– O co im chodzi?

Nie czekając na odpowiedź, zeskoczył z wozu i pobiegł za żołnierzami. Pug podążył w jego ślady. Dotarli do czoła kolumny i stanęli za lektyką pana Shinzawai. W perspektywie

drogi ujrzeli zbliżające się do nich szybko sylwetki. Laurie gwałtownie chwycił Puga za rękaw.

– Jeźdźcy!

Pug nie mógł uwierzyć własnym oczom. Rzeczywiście, wyglądało na to, że z zabudowań posiadłości Shinzawai pędzili na ich spotkanie jeźdźcy. Kiedy po chwili zbliżyli się nieco, spostrzegł, że to nie jeźdźcy, ale raczej jeden człowiek na koniu i trzy, towarzyszące mu, ciemnoniebieskie Cho-ja.

Jeździec, młody i wyższy niż większość Tsuranich, o kasztanowych włosach, zsiadł niezdarnie z konia.

– Jeżeli wszyscy trzymają się na grzbiecie jak on – zauważył Laurie – nigdy nie będą dla nas stanowili zagrożenia militarne. Spójrz, ani siodła, ani uzdy, tylko jakaś prymitywna uprzęż ze skórzanych pasków. A koń... popatrz, wygląda tak, jakby przez miesiąc nikt się nim nie zajmował.

Kiedy jeździec zbliżył się do nich, zasłona w lektyce odchyliła się na bok. Niewolnicy zatrzymali się i postawili lektykę na ziemi. Pan Shinzawai wysiadł. Hokanu opuścił grupę żołnierzy, pośród których podróżował w tyle karawany, podszedł do ojca i po chwili obejmował się mocno z jeźdźcem, wymieniając ciepłe słowa powitania. Po chwili nowo przybyły objął pana Shinzawai. Do uszu Puga i Lauriego doszło kilka słów.

– Ojczy! Jak to dobrze znów cię widzieć.

– Kasumi! Widok mego pierworodnego syna cieszy niezmiernie moje oczy. Kiedy wróciłeś?

– Niecały tydzień temu. Miałem zamiar jechać do Jamar, ale powiedziano mi, że ty z kolei wyruszyłeś już w drogę tutaj, więc czekałem.

– Cieszę się bardzo. Kto ci towarzyszy? – spytał, wskazując na niebieskie stwory.

– To – odpowiedział Kasumi, wskazując na pierwszego – jest dowódca uderzenia

X'calak, który dopiero co powrócił z walk z małymi ludźmi pod górami na Midkemii.

Stwór wystąpił o krok i wznosił prawą rękę w geście powitania, podobnie jak czynią to ludzie.

– Witaj, Kamatsu, panie Shinzawai – powiedział wysokim, piszczącym głosem. –

Oddaję honor twemu domowi. Pan rodu Shinzawai skłonił się lekko.

– Witam, X'calak. Przyjmij wyrazy honoru dla twego kopca. Cho-ja są zawsze mile widzianymi gośćmi pod moim dachem.

Stwór cofnął się i czekał. Pan Shinzawai odwrócił się i spojrzał z ciekawością na konia.

– Czy powiesz mi, na czym siedziałeś przed chwilą, mój synu?

– To koń, ojciec. Zwierzę, na którym barbarzyńcy ruszają do boju. Opowiadałem ci już kiedyś o nich. Wierz mi, to naprawdę wspaniałe zwierzę. Siedząc na jego grzbiecie, mogę pędzić o wiele szybciej niż najsprawniejszy biegacz Cho-ja.

– A jak się utrzymujesz na grzbiecie konia? Starszy syn Shinzawai zaśmiał się głośno.

– Z wielkim trudem. Boję się po prostu. Barbarzyńcy opanowali jakieś sztuczki, których ja się jeszcze muszę nauczyć. Hokanu uśmiechnął się.

– Być może uda się zorganizować parę lekcji, kto wie? Kasumi klepnął go radośnie w plecy.

– Prosiłem o to kilku barbarzyńców, ale tak się nieszczęśliwie złożyło, że wszyscy byli już martwi.

– Mam tutaj dwóch, którzy są jeszcze żywi. Brat poszedł za jego wzrokiem i zobaczył górującego nad resztą niewolników Lauriego.

– A rzeczywiście. Widzę. No cóż, musimy go poprosić. Ojciec, jeżeli pozwolisz, pojedę z powrotem do domu i przygotuję wszystko na twój powrót.

Kamatsu objął syna i pozwolił mu się oddalić. Syn złapał w garść wiązkę skórzanych

pasków udających uprząż i jednym skokiem znalazł się na grzbiecie konia. Pomachał wszystkim ręką i pogalopował z powrotem.

Pug i Laurie szybko powrócili na swoje miejsce na wozie.

– Widziałeś już kiedyś takie stwory? – spytał Laurie. Pug kiwnął głową.

– Tak. Tsurani nazywają je Cho-ja. Mieszkają w ogromnych kopcach, jakby ziemnych ulach... no wiesz, jak ziemne mrówki. Pytałem o nie w obozie niewolników Tsuranich. Mówią, że stwory są z nimi tak dawno, jak sięga pamięć. Pozostają lojalne wobec Imperium, chociaż z drugiej strony ktoś wspomniał, że każdy ul posiada własną królową.

Laurie wychylił się daleko poza wóz i trzymając się jedną ręką, spojrział do przodu.

– Nie chciałbym się z nimi potykać na piechotę. Tylko spójrz, jak pędzą!

Pug nic nie odpowiedział. Uwaga starszego syna Shinzawai o „małych ludziach” pod górami sprawiła, że powróciły stare wspomnienia. Jeżeli Tomas żyje, jest już dorosłym mężczyzną, jeśli żyje...

Siedziba rodowa Shinzawai była naprawdę ogromna i imponująca. Był to z pewnością największy pojedynczy budynek, poza świątyniami i pałacami, jaki Pug widział w życiu.

Rozsiadł się on dostojnie na szczycie pagórka, skąd rozciągał się daleki i wspaniały widok na okolicę. Dom był kwadratowy, jak ten w Jamar, lecz kilkakrotnie większy. Ten z miasta mógłby się spokojnie pomieścić w wewnętrznym ogrodzie wiejskiej posiadłości Shinzawai.

Poza głównym budynkiem rozrzucone były inne pomniejsze zabudowania gospodarcze, kuchnia i kwatery niewolników.

Pug wyciągał szyję, starając się wchłonąć oczami jak najwięcej wspaniałości ogrodu.

Szli jednak bardzo szybko i nie było czasu na podziwianie.

Septiem, hadonra, szturchnął go w ramię.

– Nie ociągaj się!

Pug przyspieszył kroku i dogonił Lauriego. Pomimo szybkiego tempa marszu sporo zobaczył. Ogród robił rzeczywiście ogromne wrażenie. Wokół trzech sadzawek, które otoczone były miniaturowymi drzewkami i kwitnącymi krzewami, rozsiadło się kilka wspaniałych, rozłożystych i dających dużo cienia drzew. W kilku zacisznych miejscach spostrzegł kamienne ławy, służące kontemplacyjnemu wypoczynkowi. Wśród zieleni wiły się wąskie ścieżki wysypane drobnym żwirem. Wokół tego miniaturowego parku wznosiły się trzypiętrowe ściany budynku. Wzdłuż dwóch górnych poziomów ciągnęły się balkony połączone kilkoma klatkami schodowymi. Pug rozglądał się ciekawie dookoła. Na górnych piętrach zauważył przemykających pośpiesznie służących. W ogrodzie nie było poza nimi żywej duszy, przynajmniej w części, przez którą przechodzili.

Doszli do szerokich, rozsuwanych na boki drzwi. Septiem odwrócił się do nich i spojrzał surowym wzrokiem.

– Wy, barbarzyńcy, uważajcie na swoje maniery w obecności panów tego domu. Bo jak nie... to na bogów, każę was obedrzeć ze skóry. Macie robić wszystko, co wam każę, dokładnie i sumiennie. W przeciwnym razie pożałujecie gorzko, że pan Hokanu nie zostawił was w obozie, abyście zgnili w bagnach.

Odsunął skrzydło drzwi i oznajmił przybycie niewolników. Zezwolono na ich wejście i Septiem szorstkim ruchem popchnął ich do środka. Znaleźli się w przestronnym pokoju oświetlonym barwnym światłem wpadającym przez wielkie, przezroczyste drzwi pokryte kolorowymi malowidłami. Ściany były ozdobione licznymi obrazami, tkaninami i płaskorzeźbami. Wszystkie maleńkie dzieła sztuki były delikatne, skromne i wykonane ze smakiem. Na podłodze, zgodnie ze zwyczajem Tsuranich, piętrzyły się wielkie i miękkie poduchy. Kamatsu, pan Shinzawai, siedział na wielkiej poduszce, a naprzeciwko niego jego dwaj synowie. Cała trójka była ubrana w krótkie i skrojone wygodnie szaty z drogocennych

materiałów, które zwykle nosili, kiedy znajdowali się pod własnym dachem. Pug i Laurie stali spokojnie ze spuszczonego wzrokiem i czekali, aż ktoś do nich przemówi.

Pierwszy odezwał się Hokanu.

– Ten olbrzymi blondyn nazywa się Loh-'re, a ten drugi, prawie normalnego wzrostu, to Puuug.

Laurie już otwierał usta, aby coś powiedzieć, ale Pug błyskawicznie szturchnął go łokciem pod żebra i uciszył.

Starszy syn zauważył to.

– Czy chciałeś coś powiedzieć?

Laurie spojrzał na niego, po czym szybko opuścił wzrok. Instrukcje nie pozostawiały wątpliwości: nie wolno mówić bez wyraźnego polecenia. Laurie nie był pewien, czy to pytanie retoryczne, czy też trzeba na nie odpowiedzieć.

Najstarszy przedstawiciel rodu spojrzał na niego.

– Mów.

Laurie podniósł wzrok na Kasumi.

– Mam na imię Laurie, panie. Lori. A mój przyjaciel nazywa się Pug, a nie Puuug.

Hokanu, zaskoczony tym, że niewolnik go poprawia, podniósł gwałtownie głowę.

Starszy brat, odwrotnie, pokiwał głową i kilka razy powtarzał powoli i dokładnie oba imiona, aż wypowiedział je prawidłowo. Uśmiechnął się i spojrzał na nich.

– Jeździliście na koniu? Obaj skinęli głowami.

– To dobrze. Pokażecie mi i nauczycie mnie, jak robić to najlepiej.

Pug starał się, pochylając głowę, spuszczać wzrok, jednak kątem oka zauważył coś, co przykuło jego uwagę. Na podłodze obok pana Shinzawai leżała szachownica, a na niej jakby znajome figury. Kamatsu zauważył to.

– Znasz tę grę? – spytał. Sięgnął po szachownicę i położył ją przed sobą.

– Tak, panie. Znam tę grę. Nazywamy ją szachy. Hokanu spojrział na brata, który pochylił się do przodu.

– Jest tak, jak wielu już mówiło, ojczcie. Kiedyś w przeszłości musiał już nastąpić kontakt z barbarzyńcami. Jego ojciec machnął niecierpliwie ręką.

– To tylko teorie. – Spojrział na Puga. – Siadaj i pokaż mi, jakie ruchy wykonują figury. Pug usiadł przed nim, próbując przypomnieć sobie, czego nauczył go Kulgan. Chociaż nie był w tej materii zbyt pilnym uczniem, zapamiętał jednak kilka podstawowych ruchów. Przesunął pionek do przodu.

– Ta figura może się poruszać tylko o jedno pole, panie, chyba że ruszamy ją po raz pierwszy w grze – wtedy może się przesunąć o dwa.

Gospodarz pokiwał głową i dał mu znak, aby mówił dalej.

– Ta figura nazywa się skoczek i porusza się w ten sposób... jakby zgodnie ze swoją nazwą.

Pug zademonstrował ruchy pozostałych figur. Pan Shinzawai pokiwał głową.

– My nazywamy tę grę shah i chociaż mamy inne określenia na poszczególne figury, nie ma wątpliwości, że to ta sama gra. Chodź, zagramy.

Kamatsu dał mu białe pionki i Pug rozpoczął grę klasycznym otwarciem. Kamatsu skontrolował. Pug grał dosyć kiepsko i wkrótce został na pobitym polu. Reszta zgromadzonych obserwowała grę w absolutnej ciszy. Kiedy skończyli, Kamatsu popatrzył uważnie na Puga.

– Czy pośród swoich ludzi uważany jesteś za dobrego gracza?

– Nie, panie. Gram bardzo kiepsko. Kamatsu uśmiechnął się. Wokół oczu pojawiła się siateczka niezliczonych zmarszczek.

– Dochodzę zatem do wniosku, chłopcze, że twoi ludzie nie są takimi barbarzyńcami,



za jakich się ich powszechnie uważa. Wkrótce znowu zagramy.

Skinął głową w kierunku starszego syna i Kasumi powstał. Skłonił się ojcu i stanął przed Pugiem i Lauriem.

– Chodźcie.

Obaj skłonili się nisko gospodarzowi i wyszli za Kasumi z pokoju. Zaprowadził ich do mniejszego pomieszczenia z przygotowanymi posłaniami i poduszkami.

– Tu będziecie spali. Mój pokój jest obok. Chcę mieć was zawsze pod ręką.

Laurie spojrzał na niego śmiałym wzrokiem.

– Czego sobie życzy od nas nasz pan? Kasumi przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– Wy, barbarzyńcy, nigdy nie będziecie dobrymi niewolnikami. Zbyt często zapominacie o tym, gdzie jest wasze miejsce.

Laurie zaczął bąkać coś pod nosem, przepraszając za niewłaściwą postawę, lecz

Kasumi przerwał mu.

– To nie ma znaczenia. Twoim zadaniem, Laurie, jest nauczyć mnie paru rzeczy: jazdy na koniu i posługiwania się waszym językiem. To dotyczy was obu. Chcę się nauczyć i rozumieć, co znaczą te wasze dziwne dźwięki, które słyszę, kiedy ze sobą rozmawiacie. – W tym miejscu urwał i zabełkotał coś pod nosem, naśladowując śmiesznie ich mowę.

Dalsza rozmowa została przerwana dźwiękiem pojedynczego uderzenia w dzwon, który rozległ się donośnym echem po całym domu.

– Wielki przybył. Zostańcie w swoim pokoju. Muszę już iść, aby razem z ojcem go powitać.

Wyszedł pośpiesznie z pokoju, zostawiając dwóch Midkemian zastanawiających się nad nowym zwrotem w ich życiu.

W czasie dwóch następnych dni Pug i Laurie dwukrotnie zauważyli ważnego gościa

domu Shinzawai. Wyglądem bardzo przypominał pana rodu, był jednak nieco szczuplejszy i nosił czarną szatę Wielkiego, jak nazywali go powszechnie wszyscy Tsurani. Pug popytał trochę wśród domowników i służby, i zdobył nieco informacji na jego temat. Według zgodnej opinii Puga i Lauriego, nic nie dawało się porównać do szacunku i respektu graniczącego ze strachem i grozą, jakim wszyscy Tsurani darzyli swoich Wielkich. Wydawało się, że tworzą jakby państwo w państwie, jakoś samą w sobie. Pug nie za bardzo jeszcze rozumiał społeczną rzeczywistość Tsuranich, umiejscowienie magów w istniejących strukturach państwa i społeczeństwa przychodziło mu więc z trudem. Z początku wydawało mu się, że byli w jakiś sposób napiętnowani społecznie, ponieważ wszyscy, z którymi o tym rozmawiał, mówili mu, że Wielcy są „poza prawem”. Skończyło się tym, że któryś z niewolników, zirytowany do granic wytrzymałości totalną ignorancją Puga w najważniejszych sprawach, wyjaśnił mu, że Wielcy nie mają żadnych lub jedynie niewielkie społeczne ograniczenia w zamian za jakieś wielkie, nie nazwane z imienia, usługi świadczone na rzecz Cesarstwa.

Któregoś dnia Pug dokonał odkrycia, które rozjaśniło nieco uczucie stale towarzyszącej mu w niewoli obcości. Za zagrodą needra natknął się na psiarnię pełną rozszczekanych i machających radośnie ogonami zwierząt. Były to jedyne zwierzęta na Kelewanie, które do złudzenia przypominały te, które znał z Midkemii. Kiedy je odkrył, poczuł, jak zalewa go fala nie dającego się niczym wytłumaczyć szczęścia, którego powodem była ich obecność. Pognał natychmiast do pokoju i przyprowadził Lauriego do psiarni. Siedzieli teraz na jednym z wybiegów pośród kłębiących się dookoła radośnie psiaków.

Laurie zaśmiewał się do łez z ich zabawy. Różniły się trochę wyglądem od psów myśliwskich Księcia. Miały dłuższe nogi, były szczuplejsze i bardziej smukłe. Ich spiczaste uszy stawały ostro na każdy dźwięk.

– Widziałem już podobne w Gulbi. To miasto na wielkim pomocnym szlaku

handlowym w Keshu. Nazywają się charty i używane są do polowań na drapieżne koty i antylopy na trawiastych równinach Doliny Słońca. Wspaniale biegają i potrafią doścignąć najszybsze zwierzęta.

Pojawił się koło nich opiekun psiarni, szczupły, niewielki człowieczek o sennym spojrzeniu. Miał na imię Rachmad. Podszedł bliżej i przyglądał im się podejrzliwie.

– Co tu robicie?

Laurie spojrział na srogo wyglądającego Rachmada i żartobliwie pociągnął za pysk rozbawionego szczeniaka.

– Rachmad, nie widzieliśmy psów od chwili, kiedy opuściliśmy naszą rodzinną ziemię.

Nasz pan jest zajęty z Wielkim, więc pomyśleliśmy sobie, że odwiedzimy twoją wspaniałą psiarnię.

Na wzmiankę o „wspaniałej psiarni” oblicze Rachmada rozchmurzyło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Staram się, jak mogę, żeby psy były zdrowe i wyglądały porządnie. Musimy je trzymać w zamknięciu, ponieważ próbują tropić i ścigać Cho-ja, które nie cierpią ich za to z całego serca.

Przez chwilę Pug myślał, że psy, podobnie jak koń, zostały zabrane z Midkemii, lecz kiedy spytał Rachmada o ich pochodzenie, ten spojrział na niego, jakby nagle oszalał.

– Mówisz, jakbyś zbyt długo przebywał na słońcu z odkrytą głową. Psy były tu od zawsze.

Tym ostatnim, dobitnym stwierdzeniem uznał temat za wyczerpany i opuścił z godnością ich towarzystwo.

Późno w nocy Pug obudził się nagle. Otworzył oczy. Do pokoju wchodził właśnie Laurie.

– Gdzie ty łazisz?

– Cicho! Chcesz obudzić cały dom? Śpij.

– Gdzie byłeś? – Pug powoli pytanie przyciszonym głosem. W słabym świetle zobaczył, że Laurie uśmiecha się szeroko.

– Odwiedziłem pewną pomocnicę kucharza, żeby... pogawędzić.

– Och, Almorella?

– Tak. – Padła radosna odpowiedź. – Kapitalna dziewczyna. – Młoda niewolnica wodziła za nim nieustannie wzrokiem, od kiedy karawana przybyła do majątku cztery dni wcześniej.

Na chwilę zapadła cisza. Laurie spojrzał na Puga.

– Ty też powinieneś się postarać zdobyć paru przyjaciół. Od razu inaczej spojrzysz na świat.

– W to akurat nie wątpię... – powiedział Pug trochę zgryźliwie z dezaprobatą pomieszaną ze znaczną dawką zazdrości w głosie. Almorella była pełną energii dziewczyną mniej więcej w jego wieku. W jej błyszczących, ciemnych oczach zawsze migotały wesołe iskierki.

– A co z tą małą... Katala? Najwyraźniej wpadłeś jej w oko, Pug.

Pug zaczerwienił się po uszy. Cisnął w przyjaciela poduszką.

– Och, zamknij się wreszcie i idź spać. Laurie zdusił w sobie wybuch śmiechu i położył się na pościeli, zostawiając Puga sam na sam z jego myślami.

Przyjemne chłodne podmuchy wiatru niosły zapowiedź deszczu. Pug z radością powitał zmianę pogody. Laurie siedział na koniu przyprowadzonym przez Kasumiego. Młody oficer stał z boku i przyglądał się uważnie. Rzemieślnicy Tsuranich wykonali pod kierunkiem Lauriego siodło i uprzęż dla wierzchowca i teraz Laurie demonstrował ich zastosowanie.

– Ten koń był specjalnie przygotowany do bitwy – krzyczał Laurie. – Można nim kierować za pomocą wodzy lub za pomocą nóg. – mówiąc, kładł jednocześnie wodze raz z jednej, raz z drugiej strony szyi konia. – Wzniósł obie ręce do góry i zademonstrował starszemu synowi pana domu, jak należy to uczynić.

Już od trzech tygodni wprowadzali młodego szlachcica w arkana jazdy konnej. Uczeń był pojętny i wykazywał się naturalnymi zdolnościami. Laurie zeskoczył z konia i Kasumi zajął jego miejsce. Z początku nie przyzwyczajony do siodła Tsurani jechał niezgrabnie. Okręzał ich, telepiąc się na grzbiecie rumaka jak worek z kartoflami.

– Panie! – krzyknął Pug. – Trzeba mocno docisnąć łydki do boków konia.

Wierzchowiec natychmiast wyczuł zmianę i ruszył zgrabnym kłusem. Kasumi, zamiast się przestraszyć większej szybkości, wydawał się wniebowzięty.

– Obciągnij pięty, panie! – krzyknął Pug. Po chwili, nie czekając na dalsze instrukcje Lauriego czy Puga, Kasumi kopnął ostro piętami boki konia i zwierzę ruszyło galopem przez pola.

Laurie patrzył za nim, jak znika w oddali.

– Albo to urodzony jeździec, albo facet chce się zabić. Innej możliwości nie widzę. Pug przytaknął ruchem głowy.

– Zdaje się, że chwycił, na czym to polega. Jednego nie można mu odmówić – z pewnością nie brakuje mu odwagi.

Laurie wyrwał z ziemi długie źdźbło trawy i wsadził w zęby. Pochylił się i zaczął drapać za uszami leżącą u jego stóp sukę. Miało to jej sprawić przyjemność, jak też odwieść od chęci ścigania rumaka. Przewróciła się na grzbiet i zaczęła gryźć dla zabawy jego dłoni.

Laurie skierował uwagę na Puga.

– Ciągle się zastanawiam, Pug, jaką to grę rozgrywa nasz młody przyjaciel.

Pug wzruszył ramionami.

– O co ci chodzi?

– Pamiętasz, jak to było, kiedy przyjechaliśmy tu na początku? Usłyszałem wtedy, że Kasumi miał od razu gdzieś jechać z tymi swoimi Cho-ja. Dzisiaj rano, kiedy wojownicy Cho-ja odjechali – i dlatego mogli w końcu wypuścić Bethel z psiarni – podsłuchałem plotki, że zmieniono nagle i niespodziewanie rozkazy starszego syna Shinzawai. Dodaj teraz dwa do dwóch, czyli lekcje jazdy i naukę języka, i do czego dochodzimy?

Pug przeciągnął się.

– Nie mam pojęcia.

– Ja też nie – powiedział Laurie zrezygnowanym głosem. – Ale jestem pewien, że ma to duże znaczenie. – Spojrzał w dal, na łąki i pola, i dodał beztróskim tonem: – Tak naprawdę to zawsze pragnąłem podróżować bez końca, snuć wspaniałe opowieści, śpiewać pieśni i któregoś dnia spotkać bogatą wdowę, właścicielkę przydrożnej gospody. Pug ryknął śmiechem.

– Coś mi mówi, że po tych wspaniałych przygodach prowadzenie zajazdu wydałoby ci się nudne i monotonne.

– Phi, też mi przygody. Jadę sobie spokojnie z oddziałem lokalnego pospolitego ruszenia i dup... wjeżdżam w sam środek całej armii Tsuranich. A potem co? Kilka razy dostałem baty, ponad cztery miesiące taplałem się w bagnie, aby w końcu przemaszerować pół tego świata...

– Jeżeli pamięć mnie nie zawodzi, to jechałeś na wozie.

– Niech ci będzie. Przewędrowałem przez pół świata, a teraz udzielam lekcji jazdy konnej Kasumiemu Shinzawai, starszemu synowi pana Tsuranuanni. To niekoniecznie najlepszy materiał na wspaniałą balladę.

Pug uśmiechnął się z żalem.

– Mogłeś spędzić w bagnach cztery lata, Laurie. Na twoim miejscu cieszyłbym się, że mam szczęście. Przynajmniej możesz zakładać, że jutrzejszy poranek też cię tu zastanie pod warunkiem, że Septiem nie nakryje cię, jak się skradasz późno w nocy koło kuchni.

Laurie przyjrzał się Pugowi z uwagą.

– Wiem, że się zgrywasz... to znaczy, jeżeli chodzi o Septiema. Już kilka razy chciałem cię o to zapytać, Pug, dlaczego nigdy nie mówisz o swoim życiu przed dostaniem się do niewoli?

Pug spojrział przed siebie pustym wzrokiem.

– To przyzwyczajenie, które mi chyba pozostało po pobycie w obozie na bagnach.

Przypominanie sobie, roztrząsanie tego, kim się było w przeszłości, nie opłaca się, Laurie. Nie raz, nie dwa widziałem, jak odważni i wspaniali ludzie umierali tylko dlatego, że nie mogli zapomnieć, iż kiedyś byli wolni.

Laurie pociągnął lekko psa za ucho.

– Ale tu jest inaczej.

– Czyżby? Pewien jesteś? Przypomnij sobie, co powiedziałeś w Jamar o człowieku, który czegoś od ciebie chciał. Wydaje mi się, że im prędzej przyzwyczaisz się i zaadaptujesz do tutejszych warunków, tym łatwiej dla nich uzyskać to, czego od ciebie oczekują. Ten stary Shinzawai nie jest głupi. Dobrze wie, co robi. – Na chwilę Pug jakby zmienił temat. – Jak myślisz, Laurie, czy lepiej tresować psa albo konia batem czy dobrocią i spokojem?

Laurie podniósł gwałtownie głowę.

– Co? No, dobrocią, ale dyscyplina też jest potrzebna. Pug kiwnął głową.

– Troszczą się o nas równie dobrze jak o Bethel i resztę psów. Tak mi się wydaje. Nie zapominaj jednak, że nie przestaliśmy być niewolnikami, nigdy o tym nie zapominaj, Laurie, nigdy.

Laurie podniósł wzrok i zapatrzył się w daleki horyzont. Trwał tak przez dłuższy czas, nie mówiąc ani słowa.

Z zamyślenia wyrwały ich okrzyki powracającego Kasumi. Po chwili go ujrzeli.

Ściągnął wodze konia tuż przed nimi i zeskoczył na ziemię.

– Ten koń wprost lata! – krzyknął łamanym językiem Królestwa. Był zdolnym uczniem i szybko chwycił nowy język. Naukę słownictwa i gramatyki uzupełniał nie kończącym się potokiem pytań dotyczących ziem i ludów zamieszkujących Midkemię. Nie było ani jednego aspektu życia w Królestwie, którym by się nie interesował. Prosił o podawanie przykładów dotyczących najbardziej przyziemnych spraw, takich jak się targować z przekupniami na targu lub jak się należy we właściwy sposób zwracać do ludzi o różnym pochodzeniu i randze społecznej.

Kasumi podprowadził konia do zbudowanej specjalnie dla niego szopy. Pug dokładnie obejrzał kopyta sprawdzając, czy wierzchowiec nie skaleczył się. Na zasadzie prób i błędów z drewna utwardzonego żywicą zrobili dla niego podkowy. Trzymały się nieźle. Kasumi zerknął na Puga.

– Od pewnego czasu zastanawiam się nad pewnym zagadnieniem, Pug. Nie potrafię zupełnie zrozumieć, jak wasz Król sprawuje władzę... mówiliście wiele o Zgromadzeniu Panów i tak dalej... nie wiem, nie rozumiem. Wy tłumacz mi to, proszę.

Laurie spojrział na Puga z uniesioną ze zdziwienia brwią. Chociaż Pug nie był lepszym od niego ekspertem w dziedzinie polityki Królestwa, potrafił jednak przystępniej przedstawić i wytłumaczyć to, co wiedział.

– Kongres wybiera Króla, chociaż w zasadzie to tylko kwestia formy.

– Formy?

– Tradycja. Zawsze wybierany jest następca tronu, chyba że sukcesja nie jest z jakichś



powodów jasna. Uważa się, że to najlepszy sposób zapobiegania wojnom domowym, ponieważ postanowienia kongresu są ostateczne i nie ma od nich odwołania. – Pug wyjaśnił szczegółowo przypadek księcia Kronloru, który przekazał koronę swemu bratankowi i to, że kongres przychylił się do jego woli. – A jak to wygląda w Imperium?

Kasumi zastanawiał się przez chwilę.

– Chyba, wbrew pozorom, dosyć podobnie. Każdy Cesarz jest wybrańcem bogów, ale z tego, co mi powiedziałaś, wynika że nie jest podobny do waszego Króla. Władza on w Świątym Mieście, ale jego przewodnictwo nad krajem jest duchowe. Chroni nas przed gniewem bogów.

– W takim razie kto sprawuje rzeczywiste rządy? – spytał Laurie.

Dotarli do szopy. Kasumi zdjął z konia siodło i uprzęż i zaczął wycierać jego boki.

– Tutaj jest inaczej niż na waszej ziemi. – Dobór właściwych słów sprawiał mu trudność i przeszedł na język Tsuranich. – Pan władający rodziną jest absolutnym autorytetem na terenie swoich włości. Każda rodzina należy do jakiegoś klanu, a najbardziej wpływowy pan w obrębie klanu jest jego komendantem wojennym. Wszystkie głowy poszczególnych rodzin w danym klanie piastują różne stanowiska, których znaczenie i ranga są uzależnione od wpływów każdego z nich. Rodzina Shinzawai należy do klanu Kanazawai. Nasza rodzina w hierarchii klanu zajmuje drugie miejsce po najsilniejszej rodzinie Keda. W młodości mój ojciec był komendantem wojsk klanu, komendantem wojennym, kimś, kogo nazwalibyście w waszym świecie generałem. Pozycja rodzin w klanach zmienia się z pokolenia na pokolenie, więc jest mało prawdopodobne, abym ja osiągnął kiedykolwiek tak wysokie stanowisko. Najważniejszy pan z każdego klanu zasiada w Wysokiej Radzie. Jest to ciało doradcze Wodza Wojny. Choć władza on krajem w imieniu Cesarza, ten jednak ma decydujący głos i gdyby zaszła taka konieczność, może unieważnić postanowienia Wodza Wojny.

– Czy zdarzyło się kiedyś, aby Cesarz to uczynił? – spytał Laurie.

– Nigdy.

– Jak jest wybierany Wódz Wojny? – spytał Pug.

– Trudno to wyjaśnić. Po śmierci starego wodza wszystkie klany spotykają się razem.

Jest to wielkie spotkanie panów, ponieważ uczestniczą w nim nie tylko członkowie Rady, ale także głowy wszystkich rodzin. Spotykają się razem, snują intrygi, namawiają i knują. Czasem między klanami dochodzi do krwawych rozpraw, ale w końcu dokonuje się wyboru nowego Wodza Wojny.

Pug odgarnął z czoła kosmyk włosów.

– Co więc powstrzymuje klan Wodza od obsadzenia tego stanowiska, skoro i tak są najpotężniejsi? Kasumi zakłopotał się.

– Bardzo trudno to wyjaśnić. Nie wiem, czy nie trzeba być Tsuranim, aby to do końca pojąć. Są oczywiście prawa, ale o wiele ważniejsze są zwyczaje, tradycje. Bez względu na to, jak wielką siłę i wpływy może zdobyć jakiś klan czy też jedna rodzina wchodząca w jego skład, tak naprawdę Wodzem Wojny może być obrany tylko pan jednej z pięciu rodzin. Są to rodziny Keda, Tonmargu, Minwanabi, Oaxatucan i Xacatecas. Jak widzicie, w rachubę wchodzi tylko pięciu panów. Obecnie Wodzem Wojny jest szef rodziny Oaxatucan, więc światło Kanazawai tli się wątłym płomieniem. Klan Wodza, Omechan, zyskuje teraz na znaczeniu, jego gwiazda rośnie. Jedynym, godnym ich rywalem jest obecnie Minwanabi, lecz teraz obie rodziny zjednoczyły się, chcąc sprostać wysiłkom wojennym Imperium. Tak to mniej więcej działa.

Laurie pokręcił głową.

– Wygląda na to, że nasza polityka, wobec tych wszystkich zawiłości rodzinno-klanowych, jest prościutka i jasna. Kasumi zaśmiał się.

– To nie polityka. Polityka jest domeną partii.

– Partii? – spytał zupełnie zbity z tropu Laurie.

– Jest wiele partii. Partia Błękitnego Koła, Żłocistego Kwiatu, Szmaragdowego Oka, Partia Postępu, Partia Wojny i wiele, wiele innych. Rodziny mogą należeć do różnych partii, każda z nich chce bowiem jak najlepiej wspierać swe własne interesy i cele. Zdarza się, że rodziny z tego samego klanu przynależą do różnych partii albo tworzą nagle nową, całkowicie odmienną konfigurację koalicyjną, aby zaspokoić swe doraźne cele. Kiedy indziej znowu jedna rodzina może popierać dwie partie naraz lub nie popierać żadnej z nich.

– To wygląda na bardzo niestabilną władzę – zauważył Laurie.

Kasumi znowu się zaśmiał.

– Ten system rządów trwa już od ponad dwóch tysięcy lat. Mamy takie stare powiedzenie: „W Wysokiej Radzie nie znajdziesz brata”. Jeżeli będziesz o tym pamiętał, być może zrozumiesz, na czym to polega.

Pug przez dłuższą chwilę zastanawiał się, jak najlepiej sformułować swe następne pytanie.

– Panie, mówiłeś wiele o zasadach zarządzania, lecz ani razu nie wspomniałeś o Wielkich. Dlaczego?

Kasumi raptownie przestał wycierać boki konia. Przez chwilę przyglądał się z uwagą Pugowi, po czym znowu zajął się wierzchowcem.

– Oni nie mają nic wspólnego z polityką. Pozostają poza prawem i nie należą do żadnego klanu. – Zamilkł na moment. – Dlaczego pytasz?

– Pytam, bo zauważyłem, że cieszą się tutaj wielkim szacunkiem, a ponieważ niedawno gościł w waszej rodzinie jeden z nich, myślałem, że będziesz mógł oświecić mnie trochę w tej materii.

– Szacunek i respekt, jakimi są otaczani, wynika z tego, że los Imperium spoczywa cały czas w ich rękach. To wielka odpowiedzialność. Rezygnują ze wszystkich kontaktów i po-

wiązań z ludźmi. Tylko nieliczni mają prywatne życie poza społecznością magów. Ci, którzy mają rodziny, mieszkają osobno. Ich dzieci odsyłane są do ich byłych rodzin, gdzie dorastają z dala od ojca. To bardzo trudne. Magowie ponoszą wiele wyrzeczeń.

Pug przyglądał się z uwagą Kasumiemu. Jego pan sprawiał wrażenie, jakby to, o czym mówił, niepokoiło go.

– Wielki, który przybył, aby zobaczyć się z moim ojcem, jako chłopiec był członkiem tej rodziny, moim wujem. To bardzo trudna sytuacja dla nas, ponieważ musi on przestrzegać pewnych zasad formalnych i nie może powoływać się na więzy rodzinne. Byłoby lepiej, gdyby trzymał się od nas z daleka... tak mi się wydaje. – Ostatnie słowa wypowiedział po cichu i łagodniejszym tonem.

– Dlaczego, panie? – spytał Laurie przyciszonym głosem.

– Ponieważ to bardzo trudne dla Hokanu, który zanim został moim bratem, był synem Wielkiego.

Skończyli pracę przy koniu i wyszli z szopy. Bethel pognała przodem, doskonale wiedziała, że zbliżał się czas karmienia. Kiedy mijali psiarnię, Rachmad zawołał ją i po chwili dołączyła do reszty psów.

Resztę powrotnej drogi do domu odbyli w całkowitym milczeniu i Kasumi bez słowa poszedł do swojego pokoju. Pug siedział zadumany na posłaniu, czekając na gong wzywający na obiad. Zastanawiał się nad nowo zdobytą wiedzą o świecie Tsuranich. Chociaż w wielu rzeczach dziwaczni, mimo wszystko byli jednak bardzo podobni do innych nacji. Spostrzeżenie to z jednej strony sprawiło Pugowi ulgę, lecz z drugiej, zaniepokoiło go.

W dwa tygodnie później Pug stanął twarzą w twarz z kolejnym problemem, który musiał jakoś przetrwać. Oto Katala przestała się kryć ze swoim niezadowoleniem z powodu braku należytej uwagi z jego strony. Z początku delikatnie i w sposób zawoalowany, z

upływem czasu zaś coraz mocniej i coraz bardziej jednoznacznie starała się wzbudzić jego zainteresowanie swoją osobą. W końcu, kiedy po południu natknął się przypadkiem na nią na tyłach kuchennej szopy, doszło do konfrontacji.

Laurie i Kasumi przy pomocy drzeworytnika z rodu Shinzawai usiłowali wspólnie zbudować niewielką lutnię. Któregoś dnia Kasumi wyraził zainteresowanie muzyką trubadura i teraz, od paru dni, śledził z wielką uwagą nie kończące się dyskusje i kłótnie obu artystów, którzy spierali się co do wyboru drewna, właściwego układu jego słoików, najbardziej odpowiedniego kształtu instrumentu czy wreszcie sposobu cięcia materiału. Był zupełnie zafascynowany fachowymi wywodami o tym, czy jelito needry będzie się nadawało na struny, i o tysiącu innych, drobnych szczegółów. Pug, odwrotnie, nie przejawiał zbyt wielkiego zainteresowania tematem i po paru dniach wykorzystywał każdy, nadarżający się pretekst, aby opuścić ich towarzystwo. Zapach poddawanego różnorodnej obróbce drewna za bardzo przypominał mu ścinanie drzew na bagnach, aby mógł się cieszyć przebywaniem w szopie drzeworytnika, pośród garnków napełnionych aromatycznymi żywicami.

Tego popołudnia leżał sobie w cieniu za kuchenną szopą, kiedy zza rogu wyszła Katala.

Serce stanęło mu w gardle na jej widok. Dziewczyna bardzo mu się podobała, lecz za każdym razem, kiedy próbował się do niej odezwać, nie miał pojęcia, od czego zacząć i co powiedzieć. Zazwyczaj bąkał wtedy pod nosem kilka idiotycznych zdań, peszył się tym jeszcze bardziej i po chwili zmykał, gdzie pieprz rośnie. Dlatego ostatnio wybrał sposób, który polegał na tym, że po prostu w ogóle się do niej nie odzywał. Kiedy zbliżyła się do niego, uśmiechnął się niezobowiązująco i dziewczyna już miała koło niego przejść bez słowa, kiedy nagle zatrzymała się w pół kroku, odwróciła i spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– Pug, czy ze mną jest coś nie tak? Czy jestem aż tak brzydka, że nie możesz znieść mojego widoku?

Pug usiadł gwałtownie z rozdziawionymi ustami. Ze zdumienia i pomieszania zupełnie odjęło mu mowę. Stała przez chwilę nad nim bez słowa, po czym kopnęła go ze złością w nogę.

– Głupi barbarzyńca! – prychnęła i pobiegła przed siebie. A teraz zmieszany, nieswój i zupełnie zagubiony po nieoczekiwanym spotkaniu siedział w swoim pokoju i rozmyślał. Nie opodal Laurie wycinał z drzewa ozdobne kołki do swojej lutni. W końcu odłożył nóż i drzewo na bok. Popatrzył na przyjaciela.

– No i czym tak się gryziesz, Pug? Wyglądasz, jakby cię przed chwilą awansowali na nadzorcę niewolników i wysyłali z powrotem na bagna.

Pug wyciągnął się na posłaniu i wbił oczy w sufit.

– To przez Katalę.

– Ooo...

– Co ma znaczyć to „ooo”?

– Eee... nic. Almorella powiedziała mi, że dziewczyna od dwóch tygodni jest po prostu nie do zniesienia, a ty ostatnio jesteś tak radosny jak wół w rzeźni, który zarobił w łeb obuchem.

Pug, co się dzieje?

– Nie mam pojęcia. Ona jest... ona po prostu jest... kopnęła mnie dzisiaj!

Laurie aż zatoczył się ze śmiechu.

– Na bogów! Dlaczego to zrobiła?

– Nie wiem. Po prostu przykopała mi.

– Co zrobiłeś?

– Nic nie zrobiłem.

– Ha! – ryknął radośnie Laurie. – No to masz kłopot, Pug. Jest tylko jedna rzecz, której kobieta nienawidzi bardziej niż sytuacji, kiedy mężczyzna, którego nie cierpi, okazuje jej zbyt wielkie zainteresowanie – a jest nią brak zainteresowania ze strony mężczyzny, którego bardzo

lubi.

Pug spojrział na niego zgnębionym wzrokiem.

– Spodziewałem się tego...

Na twarzy Lauriego pojawiło się nieopisane zdumienie.

– Co ty? Nie lubisz jej?

Pug pochylił się do przodu, opierając łokciami o kolana.

– Nie, to nie to. Lubię ją. Jest bardzo ładna i chyba miła, tylko że...

– Tylko że co?

Pug spojrział na przyjaciela ostrym wzrokiem sprawdzając, czy nie nabija się z niego.

Co prawda Lawie uśmiechał się, ale przyjaźnie, starając się dodać mu otuchy.

– Tylko że... jest ktoś inny.

Laurie otworzył ze zdumienia usta. Po chwili zamknął je, głośno łapiąc powietrze.

– Kto to? Poza Almorellą Katala to najładniejsza dziewczyna, jaką widziałem na tym zapomnianym przez bogów świecie. – Westchnął przeciągle. – A tak między nami, to nawet jest ładniejsza od Almorelli... tylko trochę. Poza tym nie widziałem, abyś chociaż raz kiedyś otworzył gębę do jakiejś innej kobiety, nie mówiąc już o tym, że kto jak kto, ale ja przecież na pewno bym zauważył, gdybyś się z kimś cichaczem prowadził.

Pug pokręcił głową i popatrzył smutno w ziemię.

– Nie, Laurie. Nie tutaj, w domu. Laurie padł ciężko na posłanie, jęcząc przy tym głucho i przeciągle.

– W domu! No nie. I co ja mam począć z takim dzieciuchem? Chyba ci padło na rozum?

Gadasz jak potłuczony! – Wsparł się na łokciu i popatrzył na przyjaciela. – Czy ja dobrze słyszę? Czy to możliwe, aby te słowa padły z ust Puga? Młodzieńca, który nie tak dawno jeszcze pouczał mnie, abym nie myślał o przeszłości? Tego, który stanowczo twierdził, że

rozpamiętywanie przeszłości prowadzi nieuchronnie do szybkiej śmierci?

Pug zignorował przycinki.

– To coś innego.

– Jak to: coś innego? Na Ruthię, która w chwilach dobrego usposobienia chroni głupców, pijaków i bardów, jak możesz twierdzić, że to coś innego? Czy chociaż przez moment przyszło ci do głowy, że masz choć jedną szansę na milion, że jeszcze kiedyś ujrzysz tamtą dziewczynę, kimkolwiek była?

– Wiem, Laurie, lecz myślenie o Carline uchroniło mnie przed utratą zmysłów o wiele więcej razy. – Westchnął ciężko. – Wszystko, czego nam trzeba, Laurie, to tylko jeden sen, jedno marzenie.

Laurie przyglądał mu się długo w milczeniu.

– Tak, masz rację. Wszystkim nam potrzebne jest jedno marzenie. No, ale... – dodał – marzenia to jedno, a życie, oddychanie i ciepła kobietka u boku to drugie. – Spostrzegł, że ta uwaga zdenerwowała Puga, więc szybko zmienił temat. – Kto to jest Carline, Pug?

– Córka mego pana, księcia Borrica.

Oczy Lauriego zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

– Księżniczka Carline? Pug skinął głową.

– Najbardziej pożądana córa szlacheckiego rodu w Zachodnim Królestwie, poza córką księcia Kronloru? – spytał z rozbawieniem. – Ho, ho! Widzę, Pug, że w twoim bogatym wnętrzu kryją się tajemnice, o które nigdy bym cię nie podejrzewał. Musisz mi o niej opowiedzieć!

Pug rozpoczął swoją opowieść. Z początku mówił powoli, jakby z oporami, po chwili jednak się rozkręcił. Opowiedział o swoim chłopięcym zauroczeniu Księżniczką, które potem rozwinęło się w głębsze uczucie. Laurie słuchał w milczeniu, odkładając na później pytania.



Chciał pomóc Pugowi uwolnić się od narastających przez lata emocji. Pug powoli kończył opowieść.

– I chyba to właśnie najbardziej niepokoi mnie w Kalali. W pewien sposób bardzo przypomina Carline. Obie mają mocne charaktery, są uparte i nie kryją się za bardzo ze swoimi nastrojami.

Laurie pokiwał ze zrozumieniem głową, ale nic nie powiedział. Pug zamilkł na chwilę.

– Kiedy byłem w Crydee, przez pewien czas myślałem, że Kocham Carline, ale teraz sam już nie wiem. Czy to coś dziwnego?

Laurie pokręcił głową.

– Nie, Pug. Kochać można na wiele sposobów. Czasami zdarza się, że tak bardzo pragniemy kochać, iż nie przywiązujemy większej wagi do tego, kogo obdarzamy swoim uczuciem. Innym razem z kolei czynimy z miłości tak czyste i szlachetne uczucie, że żadna biedna ludzka istota nie jest w stanie sprostać naszej wizji. Ale najczęściej bywa tak, że miłość jest pewnego rodzaju poznaniem, okazją do powiedzenia: „Jest w tobie coś, co pragnę czcić”. I nie musi się to od razu wiązać z małżeństwem czy nawet fizyczną miłością. Jest przecież miłość rodziców, miłość do miasta czy narodu, miłość życia czy też miłość do ludzi. Każda jest inna, lecz wszystkie są miłością. Ale powiedz mi jedno, Pug. Czy uważasz, że twoje uczucia do Katali przypominają ci uczucie, jakim darzyłeś Carline? Pug wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Nie, niezupełnie... nie do końca. Z Carline czułem, że powinienem trzymać ją na dystans, nie pozwolić się jej zbliżyć za bardzo. Jakbym kontrolował to, co się między nami działo... tak mi się wydaje.

Laurie delikatnie spróbował dowiedzieć się czegoś więcej.

– A Katala?

Pug znowu wzruszył ramionami.

– Nie wiem. To coś innego. Nie czuję, że powinienem ją kontrolować... czy coś w tym rodzaju. Raczej mam wrażenie, że jest coś, co bardzo jej chcę powiedzieć, ale nie wiem jak. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy i uśmiechnęła się do mnie, było tak samo: wszystko we mnie nagle zamarło. Z Carline mogłem rozmawiać, to znaczy, kiedy była cicho i mi na to pozwalała. Katala milczy, lecz ja mimo to nie wiem, co powiedzieć. – Przerwał na chwilę. Z piersi wydobyło się ni to westchnienie, ni to jęk. – Już samo myślenie o Katali sprawia mi ból, Laurie.

Laurie położył się na wznak na posłaniu. Zaśmiał się dobrodusznie.

– O tak! Dobrze znam ten ból. Muszę przyznać, że masz dobry gust, który wiedzie cię ku bardzo interesującym kobietom. Z tego, co widzę, Katala jest naprawdę wspaniała, a księżniczka Carline...

– Zrobię wszystko, aby cię jej przedstawić, kiedy wrócimy – przerwał lekko poirytowany Pug.

– Trzymam cię za słowo. – Laurie zignorował jego przytyk. – Słuchaj, Pug, miałem tylko na myśli, że masz prawdziwy dar odkrywania kobiet, które są naprawdę godne zachodu. To nic złego. – Po chwili dodał zasmuconym tonem:

– Szczerze żałuję, że ja nie mam takiego talentu. Zwykle wplątuję się w jakieś dziwne znajomości z dziewczuchami z knajpy, córkami jakichś wsiowych prostaków czy po prostu, mówiąc krótko, ze zwykłymi ulicznicami. Nie mam pojęcia, co ci powiedzieć.

– Laurie... – zaczął Pug.

Laurie usiadł na posłaniu i popatrzył na przyjaciela.

– Nie wiem, nie wiem, co robić.

Laurie przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym jakby go nagle olśniło.

Przechylając głowę w tył, zaniósł się gromkim śmiechem. Spostrzegł, jak na twarzy Puga narasta gniew. Wzniósł ręce w błagalnym geście.

– Przepraszam, Pug. Wybacz mi. Nie chciałem wprawiać cię w zakłopotanie. Po prostu akurat nie to spodziewałem się usłyszeć.

Udobruchany nieco Pug spojrział na niego uważnie.

– Kiedy dostałem się do niewoli, byłem bardzo młody. Miałem niecałe szesnaście lat.

Zawsze byłem drobniejszy i niższy niż reszta chłopaków i dziewczyny nie zwracały na mnie uwagi. Dopiero Carline... A potem, kiedy otrzymałem tytuł szlachecki, bały się do mnie odezwać. Niech to szlag trafi, Laurie. Cztery lata gniłem w bagnach. Kiedy niby miałem poznać jakąś kobietę, co?

Laurie milczał, aż napięcie zelżało.

– Pug, nie miałem pojęcia... no tak, masz rację, kiedy miałeś się tym zajmować?

– Co mam robić? Poradź mi, Laurie.

– A co byś chciał zrobić? – spytał Laurie, patrząc z troską na przyjaciela.

– Chciałbym pójść do niej. Tak mi się wydaje... zresztą, nie wiem.

– Posłuchaj, nigdy nie sądziłem, że będę miał tego rodzaju rozmowę z kimś innym niż z synem... jeżeli kiedyś będę go miał. – Laurie potarł brodę w zadumie. – Nie nabijałem się z ciebie, wierz mi. Tylko że to przyszło tak nagle... nie spodziewałem się po prostu. – Zbierając myśli, spojrział w dal. – Mój ojciec wyrzucił mnie z domu, kiedy miałem zaledwie dwanaście lat. Byłem najstarszym synem, a on miał siedem gąb do wykarmienia, a poza tym i tak nigdy nie ciągnęło mnie za bardzo do rolnictwa. Razem z drugim chłopakiem z sąsiedztwa powędrowaliśmy do Tyr-Sog, gdzie przez rok żyłem, włócząc się po ulicach. Mój towarzysz dołączył do bandy najemników – został chłopakiem na posyłki u ich kucharza. Potem, jak się dowiedziałem, sam zostałem żołnierzem. Ja z kolei zahaczyłem się przy wędrownej trupie

muzyków. Przez jakiś czas byłem w terminie u zonglera i od niego właśnie nauczyłem się pieśni, podań, opowieści i ballad. A przy okazji ciągle wędrowałem, wędrowałem i jeszcze raz wędrowałem.

Kiedy skończyłem trzynaście lat, byłem już właściwie dorosłym mężczyzną. W trupie artystów była pewna kobieta, wdowa po pieśniarzu, która spędzała życie na włóczędze ze swoimi braćmi i dalszymi kuzynami. Dopiero co skończyła dwadzieścia lat, ale mnie wydawała się strasznie stara. To ona właśnie wprowadziła mnie w arkana przeróżnych gier damsko męskich.

Przerwał na chwilę, przypominając sobie dawno zapomniane przeżycia. Na twarzy zagościł na chwilę przygaszony uśmiech.

– To było piętnaście lat temu... a ja ciągle widzę jej twarz. Oboje byliśmy trochę zagubieni. Żadne z nas tego nie planowało, to po prostu zdarzyło się pewnego popołudnia na drodze. Była bardzo delikatna. – Spojrzał na Puga. – Dobrze wiedziała, że za buńczuczną maską gotowego na wszystko młodzieńca skrywał się przerażony chłopaczek. – Uśmiechnął się i przymknął oczy. – Kiedy zamykam oczy, ciągle widzę promienie słońca przeświecające poprzez gałęzie drzew, i na tym tle jej twarz... czuję zapach jej skóry pomieszany z upajającą wonią polnych kwiatów. – Otworzył oczy. – Spędziliśmy ze sobą całe dwa lata, kiedy uczyłem się śpiewać. A potem opuściłem trupę.

– Dlaczego? Co się stało? – spytał zaciekawiony Pug. Nigdy przedtem Laurie nie opowiadał mu o swoich młodych latach.

– Wyszła za mąż po raz drugi. To był bardzo dobry człowiek. Miał oberżę przy drodze między Krzyżem Malaka a Doliną Duronnie. Jego żona zmarła rok wcześniej w czasie zarazy, zostawiając go z dwoma małymi synami. Starła się mi to wytłumaczyć, ale nie chciałem słuchać. O czym mogłem wtedy mieć pojęcie? Nie skończyłem nawet szesnastu lat i świat

wydawał mi się miejscem, gdzie obowiązywały bardzo proste zasady.

Pug pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Dobrze cię rozumiem.

– Posłuchaj, Pug. Mówię o tym wszystkim, bo rozumiem twój problem i potrafię chyba wytłumaczyć, jak to się dzieje.

– Wiem. Nie byłem wychowany w klasztorze.

– Ale nie wiesz, jak to naprawdę się dzieje. Pug kiwnął głową i obaj wybuchnęli śmiechem.

– A niech to! Pug, powiem krótko. Wydaje mi się, że powinienes do niej pójść i powiedzieć, co do niej czujesz.

– Po prostu mam z nią porozmawiać?

– Oczywiście. Z miłością jest jak z większością rzeczy na tym świecie – najlepiej robić to z głową. Zostaw bezmyślne wysiłki dla bezmyślnych rzeczy. A teraz rusz się. Idź do niej.

– Teraz? Od razu? – spytał Pug zduszonym głosem. Bliska perspektywa spotkania z Katalą przeraziła go.

– Przecież szybciej niż teraz już nie można, prawda? Pug kiwnął zdecydowanie głową i ruszył przed siebie. Szedł ciemnymi i cichymi korytarzami w stronę kwater dla niewolników. Odnalazł jej drzwi. Wzniósł rękę, aby zapukać, lecz zawahał się. Stał przez chwilę bez ruchu, próbując się zdecydować, co ma począć, kiedy niespodziewanie drzwi się otworzyły. W progu stała Almorella. Jedną ręką przytrzymała szatę na piersi. Włosy miała w nieładzie.

– Och! – szepnęła. – Myślałam, że to Laurie. Poczekaj chwilę. – Zniknęła na moment we wnętrzu pokoju. Po minucie pojawiła się znowu, trzymając w rękach spore zawiniątko. Poklepała Puga po ramieniu i poszła w stronę pokoju jego i Lauriego.

Pug stał w progu. Po chwili wszedł powoli do środka. Katala leżała na posłaniu

przykryta kocem. Podszedł i przykucnął przy niej. Dotknął jej ramienia, wypowiadając po cichu jej imię. Obudziła się i raptownie usiadła. Owinęła się ciasno kocem.

– Co ty tu robisz?

– Chciałem z tobą porozmawiać. – Teraz, kiedy zaczął, słowa zaczęły się wylewać z niego niepowstrzymanym strumieniem. – Przepraszam, jeżeli zrobiłem coś, co cię rozgniewało... albo czegoś nie zrobiłem. Chcę powiedzieć, że... Laurie powiedział, że jeżeli ktoś oczekuje od ciebie działania, a ty tego nie robisz, to jest znacznie gorsze niż narzucanie się wbrew woli. To znaczy... nie jestem pewien... – Katala zakryła gwałtownie usta, aby zdusić chichot. Mimo panującego mroku widziała, jak był roztrzęsiony. – Chcę powiedzieć... chcę powiedzieć, że mi przykro i... przepraszam. Przepraszam za to, co zrobiłem. Albo za to, czego nie...

Uciszyła go, kładąc mu palec na ustach. Spod koca, płynnym ruchem, wysunęła się ręka i objęła go za szyję. Katala przyciągnęła jego głowę do siebie i całowała go długo i powoli.

– Głuptas. Idź i zamknij drzwi.

Leżeli na posłaniu. Pug patrzył w sufit. Katala obejmowała go jedną ręką. Dziewczyna mruzczała coś sennym i rozleniwionym głosem, a on gładził jej gęste włosy i delikatną skórę ramion.

– O co chodzi? – spytała rozmarzonym głosem.

– Nie, nic... myślałem sobie tylko, że od dnia, kiedy zostałem członkiem dworu Księcia, nigdy nie byłem tak szczęśliwy.

– Hm... – Przebudziła się nieco. – Co to jest Książę? Pug zastanawiał się przez chwilę.

– To taki ktoś jak tutejszy pan... tylko trochę inaczej. Mój Książę był kuzynem Króla i trzecim, najpotężniejszym człowiekiem w całym Królestwie.

Wtuliła się w niego mocniej.

– Skoro byłeś członkiem dworu tak ważnego człowieka, to sam też musiałeś być bardzo ważny.

– Niezupełnie. Wyświadczyłem mu pewną przysługę i w ten sposób zostałem wynagrodzony. – Pug nie chciał wspominać o Carline. Wobec dzisiejszej nocy jego chłopięce fantazje na temat Księżniczki wydały mu się bardzo dziecinne.

Katala przekręciła się na brzuch. Uniosła głowę i wsparła ją na dłoni.

– Dużo bym dała, żeby to wszystko wyglądało inaczej.

– O czym mówisz, kochana?

– Mój ojciec był farmerem w Thuril. Jesteśmy jednymi z ostatnich wolnych ludzi w Kelewanie. Gdybyśmy tylko mogli tam pojechać, mógłbyś zająć miejsce w Coaldra, Radzie Wojowników. Oni zawsze potrzebują zaradnych i pełnych inicjatywy ludzi. Moglibyśmy być razem.

– Tutaj też jesteśmy razem, prawda?

– Tak, kochany. – Katala pocałowała go delikatnie. – Ale oboje dobrze jeszcze pamiętamy, jaki smak miała wolność, prawda?

Pug usiadł.

– Staram się w ogóle o tym nie myśleć. Objęła go i przytuliła mocno jak dziecko.

– Na bagnach musiało być strasznie. Słyszysz się co prawda to i owo, ale nikt nie wie na pewno, jak tam jest naprawdę – powiedziała miękko.

– Wierz mi, że tak jest lepiej.

Pocałowała go i po chwili powrócili do tego bezpiecznego, dzielonego przez dwoje bliskich ludzi miejsca, gdzie nie liczy się czas i gdzie nie docierają myśli i wspomnienia o żadnych okropnościach i przeciwnościach losu. Reszta nocy upłynęła im na cieszeniu się sobą i poznawaniu nowych dla obojga głębokich doznań. Pug nie potrafił powiedzieć, czy Katala

miała już kogoś przed nim, ale nie pytał. To nie miało znaczenia. Ważne było tylko, że jest tu teraz, z nią. Zalewały go coraz to nowe fale wspaniałych uczuć i przyjemności. Co prawda nie potrafił do końca określić swoich uczuć, ale jednego był pewien, to, co czuł do Katali, było o wiele bardziej rzeczywiste, prawdziwsze i zniewalające niż bałwochwalcze i niejasne tęsknoty, których doświadczał, kiedy był z Carline.

Mijał tydzień za tygodniem i Pug stwierdził, że jego życie wchodzi na spokojne i dodające otuchy tory rutyny. Co parę dni grywał wieczorami z panem Shinzawai w szachy, jak nazywano tutaj tę grę, i prowadzone w czasie tych spotkań rozmowy i dyskusje pozwoliły mu zdobyć głębszą wiedzę o naturze życia Tsuranich. Nie potrafił już o nich myśleć jak o obcych. Mając stały kontakt z ich codziennym życiem, nie mógł nie zauważyć, że bardzo przypominało jego własne, kiedy był chłopcem na Midkemii. Istniały co prawda zadziwiające różnice, jak na przykład kurczowe przestrzeganie zasad kodeksu honorowego, lecz podobieństw było dużo więcej.

Kalala stała się centrum jego życia. Wykorzystywali każdą wolną chwilę, aby się spotkać, spożyć wspólnie posiłek, zamienić w przelocie kilka słów, czy też wykraść jakoś wspornic spędzoną noc. Pug był przekonany, że inni niewolnicy w domu dobrze wiedzieli o tych nocnych eskapadach, lecz stała bliskość ludzi w życiu Tsuranich wykształciła pewnego rodzaju niedostrzeganie osobistych zwyczajów u innych. W rezultacie nikt nie przywiązywał specjalnej wagi do tego, co porabia dwoje niewolników.

W kilka tygodni po pierwszej nocy spędzonej z Kalala Pug znalazł się sam na sam z Kasumim, ponieważ Laurie po raz setny wdał się w słowne utarczki z artystą-rzemieślnikiem, który kończył dla niego wykonywanie lutni. Tsurani powątpiewał trochę o rozsądku Lauriego, kiedy ten sprzeciwił się gwałtownie pomalowaniu instrumentu na jaskrawożółty kolor z czerwonym szlaczkiem. Nie był w stanie pojąć, dlaczego Laurie upierał się przy pozostawieniu



naturalnej barwy drewna, i docenić tego. Pug i Kasumi zostawili pieśniarza, który tłumaczył oponentowi, jakie drewno trzeba wybrać, aby pudło instrumentu dawało właściwy rezonans, przy czym Laurie najwyraźniej zawział się, aby przekonać Tsuraniego nie tylko siłą argumentów, lecz i siłą swego głosu.

Poszli w stronę stajni. Ludzie pana Shinzawai kupili kilka następnych koni schwytych na Midkemii i przysłali je do jego posiadłości. Pug podejrzewał w duchu, że było to połączone nie tylko z wielkimi wydatkami, lecz i niezłym lawirowaniem i politykowaniem. Ilekroć Kasumi przebywał sam na sam z niewolnikami, mówili zawsze w języku Królestwa. Nalegał ponadto, aby zwracać się do niego po imieniu. W nauce języka Kasumi wykazał się równie wielkim talentem, jak w jeździe konnej.

– Nasz przyjaciel Laurie – zaczął starszy syn gospodarza – z punktu widzenia Tsuranich nigdy nie będzie dobrym niewolnikiem. Nie docenia w ogóle naszej sztuki.

Pug odwrócił głowę i przez chwilę nasłuchiwał krzyków dochodzących z pracowni drzeworytnika.

– Mam wrażenie, że spowodowane jest to głównie tym, iż największą wagę przywiązuje do tego, aby to jego własna sztuka była doceniona.

Zbliżyli się do ogrodzonego żerdziami wybiegu. Widząc ich, ognisty, siwy ogier stanął dęba i zarżał donośnie. Wierzchowiec został sprowadzony przed tygodniem i przywiązany mocno do wozu kilkoma sznurami. Za każdym razem, ilekroć ktoś usiłował się do niego zbliżyć, koń atakował go.

– Dlaczego akurat ten koń sprawia tyle kłopotów, Pug? Jak sądzisz? – Pug przyglądał się z uwagą, jak wspaniałe zwierzę cwałuje wokół wybiegu, odganiając inne konie od ludzi. Kiedy klacze i drugi, bardziej uległy ogier znalazły się w bezpiecznej odległości, siwek odwrócił się w stronę ludzi i obserwował ich czujnie.

– Nie jestem pewien, Kasumi. Albo, mówiąc krótko, ma fatalny charakter – być może źle się z nim obchodzono – albo to specjalnie przygotowany do bitwy wierzchowiec. Większość naszych rumaków bojowych jest specjalnie trenowana – nie płoszą się w czasie bitwy. Kiedy jeździec trzyma je za pysk, zachowują się po cichu i zawsze, nawet w największym zamieszaniu bitewnym, reagują na komendy swego jeźdźca. Są też takie, chociaż niezbyt liczne i prawie wyłącznie w posiadaniu możnowładców, które reagują jedynie na głos swego pana. Są one w równym stopniu środkiem transportu, jak i żywym orężem, ponieważ uczono je, jak atakować. Może to jeden z nich.

Kasumi obserwował z napięciem, jak koń grzebie kopytem w ziemi i nerwowo rzuca głową.

– Któregoś dnia go dosiądę – powiedział zdecydowanym głosem. – Jednego jestem pewien, niewątpliwie da początek silnej i zdrowej linii potomków. Mamy już pięć klaczy, a ojciec zapewnił sobie kolejnych pięć. Są już w drodze. Przybędą za kilka tygodni. Nasi ludzie zaglądną w każdą dziurę, przetrząsają posiadłości ziemskie w najdalszych zakątkach Imperium w poszukiwaniu następnych. – Kasumi zamyślił się i zapatrzył marzycielsko w dal. – Kiedy po raz pierwszy znalazłem się w twoim świecie, Pug, nienawidziłem widoku koni. Zbliżały się galopem do nas i nasi żołnierze padali jak muchy. Z czasem jednak zacząłem dostrzegać i doceniać, jakie to wspaniałe stworzenia. Zanim tu powróciłem, rozmawiałem z innymi jeńcami, którzy twierdzili, że bywają u was szlacheckie rodziny, które właściwie nie są znane z niczego innego jak tylko z tego, że hodują wspaniałe konie. Zobaczysz, któregoś dnia najwspanialsze konie w Imperium będą w rodzinie Shinzawai.

– Patrząc na te, można śmiało powiedzieć, że początek masz wspaniały. Z drugiej strony jednak, chociaż zastrzegam, że nie znam się na tym najlepiej, wydaje mi się, że dla celów hodowlanych potrzebujesz większego stada.

– Będziemy mieli ich tyle, ile będzie trzeba.

– Kasumi, jak wasi przywódcy mogą na to pozwalać, aby schwyte konie nie brały udziału w wojnie? Przecież to jasne jak słońce... sam to chyba widzisz, że jeżeli macie zamiar kontynuować wasze podboje, musicie jak najszybciej stworzyć oddziały kawalerii.

Kasumi spochmurniał.

– Większość naszych przywódców, Pug, jest zaślepiona tradycją. Z góry odrzucają wszelkie, nawet najbardziej rozsądne i praktyczne, argumenty przemawiające za tworzeniem konnych oddziałów wojska. To głupcy. Wasi jeźdźcy rozjeżdżają naszą piechotę, jak chcą i kiedy chcą, a nasi wodzowie z uporem maniaka nazywają was barbarzyńcami i udają, że nie możemy się od was niczego nauczyć. Oblegałem kiedyś w twojej rodzinnej ziemi zamek i szczerze przyznaję, że jego obrońcy wiele mnie nauczyli w dziedzinie sztuki wojennej. Wielu moich okrzyknęłoby mnie za to zdrajcą, ale stanowczo twierdzą, że zdołaliśmy utrzymać nasze pozycje tylko dlatego, że przewyższaliśmy ich znacznie liczbą. Bardzo wielu waszych generałów ma większe zdolności i wiedzę. Dokładanie starań, aby za wszelką cenę utrzymać własnych żołnierzy przy życiu, zamiast posyłać ich na pewną śmierć, dowodzi i uczy pewnej przebiegłości. A tak naprawdę to chodzi o to, że naszymi przywódcami są ludzie, którzy... – Zamilkł nagle, ponieważ zdał sobie sprawę, że zapędził się niebezpiecznie daleko. – Chodzi o to – powiedział w końcu – że mamy tak samo sztywne karki, jak i wy.

– Wpatrywał się uważnie przez parę chwil w twarz Puga. W końcu uśmiechnął się. – Zaraz na początku wojny zdobyliśmy cztery konie, tak żeby Wielcy Wodza Wojny mogli zbadać bestie i stwierdzić, czy są to wasi sprzymierzeńcy, tak jak nasze Cho-ja, czy po prostu są to zwykłe zwierzęta. To było bardzo śmieszne. Wódz uparł się, aby być pierwszym, który spróbuje jazdy konnej. Podejrzewam, że jego wybór padł na rumaka przypominającego tego wielkiego siwka, ponieważ nie zdążył nawet do niego podejść blisko, kiedy zwierzę za-

atakowało go i omal nie zabiło. Ze względu na podtrzymanie jego osobistego honoru, nikt inny nie mógł już dosiąść konia, skoro jemu się nie powiodło. On sam zaś chyba po prostu bał się spróbować z innym wierzchowcem. Nasz Wódz Wojny, Almecho, nawet jak na Tsuraniego, wyróżnia się wielką dumą i niezrównoważonym charakterem.

– Jak zatem twój ojciec może kupować następne, schwyte u nas konie? I jak ty możesz na nich jeździć wbrew rozkazom Wodza?

– Mój ojciec posiada w Radzie znaczne wpływy. – Kasumi wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. – Nasza rzeczywistość polityczna jest dziwacznie pogmatwana. Istnieje wiele sposobów, aby nagiąć czy złamać każde polecenie czy rozkaz, nawet samego Wodza Wojny lub Wysokiej Rady, każde, z wyjątkiem samej Światłości Niebios. Lecz głównie polega to na tym, Pug, że konie są tutaj, a Wódz nie. – Zaśmiał się znowu. – Wódz ma najwyższą władzę jedynie na polu bitwy, tutaj zaś, na terenie majątku, nikt nie ma prawa kwestionować woli mego ojca.

Od chwili przybycia do posiadłości Shinzawai Pugowi nie dawało spokoju, co też knują Kasumi i jego ojciec. To, że wplątani byli w jakieś polityczne knowania Tsuranich, nie budziło jego najmniejszych wątpliwości. Wielką niewiadomą pozostawało jedynie, co to była za gra. Tak potężny pan jak Kamatsu nie poświęcałby tyle czasu i wysiłków jedynie po to, aby zaspokoić zachcianki nawet tak faworyzowanego i kochanego syna jak Kasumi. Pug był jednak wystarczająco rozsądny i ostrożny, aby nie wchodzić głębiej w żadne układy poza tymi, w których się znalazł zmuszony niejako okolicznościami. Zmienił temat rozmowy.

– Kasumi, od pewnego czasu zastanawiam się nad jedną sprawą.

– Tak?

– Co mówi prawo na temat małżeństwa niewolników? Kasumi najwyraźniej nie był za bardzo zdziwiony pytaniem.

– Niewolnicy mogą wchodzić w związki małżeńskie po uzyskaniu przyzwolenia swego pana. Jednakże taka zgoda jest udzielana rzadko. Po zawarciu małżeństwa nie wolno rozdzielać męża i żony, nie wolno też sprzedawać dzieci, dopóki ich rodzice żyją. Tak stanowi prawo. Gdyby się zdarzyło, że jakieś małżeństwo będzie żyło długie lata, posiadłość może być obciążona nadmiernym ciężarem trzech czy czterech pokoleń niewolników, zbyt wielkim, aby podołać mu ekonomicznie. Czasem jednak pozwolenia takie są udzielane. Dlaczego pytasz? Chcesz, aby Katala została twoją żoną?

Pug spojrział na niego zdziwiony.

– To ty wiesz?

Bez okazywania wyższości czy arogancji Kasumi powiedział:

– W majątku mego ojca nie może się zdarzyć nic, o czym by on nie wiedział. Mówi mi o wszystkim. To wielki honor dla mnie.

Pug powoli pokiwał głową.

– Sam jeszcze nie wiem. Jest bardzo bliska memu sercu, ale coś mnie wstrzymuje. To tak jak... – Wzruszył ramionami, nie mogąc znaleźć właściwego słowa.

Kasumi przyglądał mu się z uwagą przez dłuższy czas.

– Zarówno to, że w ogóle żyjecie, jak i to, w jaki sposób żyjecie, zależy od kaprysu mego ojca. – Kasumi zamilkł na moment i Pug zdał sobie boleśnie sprawę, jak wielka przepaść ciągle ich dzieliła. Z jednej strony stał syn potężnego pana, a z drugiej najmniej licząca się własność tegoż pana, niewolnik. Fałszywa powłoka przyjaźni została brutalnie zdarta i Pug stanął wobec nagiej prawdy, którą tak dobrze poznał, pracując na bagnach: na tej ziemi życie przedstawiało bardzo lichą wartość, i jedynie dobry czy zły humor tego człowieka czy jego ojca dzielił go od unicestwienia.

Jakby czytając w jego myślach, Kasumi powiedział: – Pamiętaj, Pug, prawo jest

surowe. Niewolnik nigdy nie może odzyskać wolności. Z drugiej jednak strony... zauważ także, że są bagna, ale i jest też ten majątek. Dla nas, Tsuranuanni, wy z Królestwa jesteście bardzo niecierpliwi.

Pug domyślał się, że Kasumi próbował mu coś zakomunikować, prawdopodobnie coś bardzo ważnego. Kasumi, przy całej swojej otwartości, którą czasem okazywał, potrafił jednocześnie gładko i niepostrzeżenie powrócić do typowego dla wszystkich Tsuranich zachowania, którego Pug nie umiał określić inaczej, jak tylko mianem pewnego rodzaju tajemniczości. W słowach Kasumiego wyczuwał jakieś napięcie i uznał, że lepiej będzie nie naciskać na niego. Znowu zmienił temat rozmowy.

– Co tam słyhać na wojnie? Kasumi westchnął ciężko.

– Złe... dla obu stron. – Przyglądał się siwemu ogierowi. – Walki toczą się ciągle wzdłuż tej samej, nie zmienionej od trzech lat linii frontu. Nasze dwie ostatnie ofensywy zostały zatrzymane, ale i wasza armia nie poczyniła żadnych postępów. Kilka tygodni upływa spokojnie, bez żadnych walk, po czym twoi rodacy robią wypad na jeden z naszych przyczółków, my odwzajemniamy komplement, i tak w kółko. Poza rozlewem krwi nic się przez to nie osiąga. To wszystko jest zupełnie bez sensu, Pug, tym bardziej że nawet nie można sobie zasłużyć na wielką chwałę.

Pug słuchał zdziwiony. Wszystko, co do tej pory zaobserwował u Tsuranich, potwierdzało i wręcz wzmocniało opinię wyrażoną kilka lat temu przez Meechama, że Tsurani to bardzo wojowniczy naród. W czasie podróży do posiadłości Shinzawai, gdziekolwiek rzucił okiem, widział żołnierzy. Obaj synowie gospodarza domu byli żołnierzami, podobnie jak ich ojciec w młodości. Hokanu jako drugi syn pana Shinzawai był Pierwszym Dowódcą Uderzenia w garnizonie ojca, lecz to, w jaki sposób załatwił sprawę z nadzorcą niewolników w obozie na bagnach, uwidocznilo w sposób aż nadto wyraźny bezwzględność skuteczność jego działania.

Pug doskonale pojmował, że nie był to tylko chwilowy kaprys. Hokanu był Tsuranim, a kodeks postępowania każdego Tsuraniego był im wpajany od najmłodszych lat i wypełniany co do joty, bez względu na okoliczności.

Kasumi jakby wyczuł, że jest obiektem rozważań Puga.

– Obawiam się, że twoje przedziwne postępowanie i sposób myślenia sprawiają, że staję się miękki. – Zamilkł na moment. – Opowiedz mi coś więcej o twoich ziomkach, i co... – Słowa zamarty mu w gardle. Chwycił gwałtownie Puga za ramię i przechylił głowę, nasłuchując pilnie. Po kilku sekundach krzyknął: – No nie! To niemożliwe! – Obrócił się gwałtownie i wrzasnął na całe gardło: – Napad! Napad Tłumów!

Pug wyteżył słuch. Z oddali dochodził cichy grzmot, dudnienie, jakby po równinie galopowało stado koni. Wspiął się na żerdzie wybiegu i wyteżając wzrok, patrzył w dal. Poza wybiegiem, jak okiem sięgnąć, rozciągała się ogromna łąka. Daleko na horyzoncie przechodziła w teren porośnięty tu i ówdzie kępami drzew. Kiedy za plecami rozległo się bicie w dzwony na trwogę, ujrzał, jak spomiędzy drzew wyłaniają się przedziwne sylwetki.

Pug patrzył z przerażeniem, a zarazem fascynacją na stwory zwane Thunami, galopujące w stronę posiadłości. Pędząc jak oszalałe, rosły w oczach z każdą chwilą. Wyglądem przypominały olbrzymie centaury. Z daleka zdawało się, że to konie z jeźdźcami na grzbiecie. Kiedy dystans zmniejszył się, Pug zaczął rozróżniać szczegóły ich budowy. Dolna część ciała sprawiała wrażenie dużego jelenia czy łośa, lecz była potężniej umięśniona. Górna połowa do złudzenia przypominała ciało ludzkie, z tą jedynie różnicą, że w miejscu twarzy znajdował się wydłużony, małpi pysk. Całe ciało, poza pyskiem, pokrywało szarobure futro o dosyć długim włosiu. Każdy stwór dzierżył w dłoni pałkę albo prostą siekierę, wykonaną z kamienia przywiązanego skórzanymi paskami do drewnianego trzonka.

Z kwater żołnierskich nadbiegli wartownicy dowodzeni przez Hokanu i sprawnie zajęli

pozycje w pobliżu wybiegu dla koni. Łucznicy napinali swój oręż, a uzbrojona w miecze piechota stanęła w równym szeregu, gotowa przyjąć na siebie uderzenie wroga.

Nagle przy boku Puga pojawił się Laurie, trzymając pod pachą prawie wykończoną lutnię.

– Co się dzieje?

– Napad Thunów!

Laurie, równie zafascynowany niezwykłym widokiem, jak przed chwilą Pug, stał jak wryty i patrzył. Po kilku chwilach odłożył na bok lutnię i przeskoczył ogrodzenie wybiegu.

– Laurie! Co ty wyprawiasz? – krzyknął Pug. Laurie wykonał błyskawiczny manewr mający zmylić wielkiego ogiera i wskoczył na grzbiet innego konia, przewodzącej stadu klaczy.

– Spróbuję uratować zwierzęta!

Pug kiwnął głową i otworzył drewnianą bramę. Laurie chciał wyjechać, pociągając za sobą resztę koni, lecz siwek wysforował się przed niego i zaganiał je z powrotem do środka.

Pug wahał się przez chwilę.

– Algon, mam nadzieję, że wiesz, czego mnie uczyłeś – szepnął po chwili pod nosem i spokojnym krokiem ruszył w stronę ogiera. Idąc, próbował bezgłośnie zdominować go swoją siłą woli. Wierzchowiec położył uszy i chrapliwie parsknął na niego.

– Stój!

Koń, usłyszawszy komendę, postawił gwałtownie uszy i jakby się wahał, co począć.

Pug dobrze wiedział, że najważniejsze teraz było właściwe zsynchronizowanie działań. Nie gubiąc rytmu kroków, zbliżał się do konia. Ogier zezował na niego czujnie, kiedy Pug stanął u jego boku. – Stój! – powtórzył zdecydowanym głosem i zanim rumak zdążył odskoczyć, złapał mocno za grzywę i jednym skokiem znalazł się na jego grzbiecie.



Przygotowany specjalnie do bitwy koń bojowy przez zrządzenie losu czy łut szczęścia uznał, że Pug w wystarczającym stopniu przypomina jego poprzedniego właściciela, aby okazać posłuszeństwo. Być może przyczyniła się również do tego rozlegająca się dookoła wrzawa bitewna lub jakieś inne powody, dość na tym, że ogier ściśnięty nogami Puga rzucił się w przód i galopem wypadł przez wrota. Pug, walczący o życie i utrzymanie się na grzbiecie, z całych sił trzymał się nogami boków końskich. W chwili, kiedy przelatywał przez bramę, odwrócił się w stronę Lauriego.

– Zabierz resztę! – krzyknął. Po chwili jego wierzchowiec skręcił w lewo. Pug rzucił okiem za siebie. Laurie wyjeżdżał właśnie przez wrota, a za jego klaczą pędziły pozostałe konie.

Pug ujrzał Kasumiego wybiegającego z szopy. W rękach trzymał siodło.

– Hoooo! – krzyknął Pug i na ile pozwalała jazda na oklep, przydusił zad konia. Ogier zatrzymał się w miejscu.

– Stój! – rzucił komendę Pug. Siwek, w oczekiwaniu na walkę, nerwowo grzebał kopytem w ziemi. Kasumi podbiegł do niego.

– Trzymaj konie z dala od bitwy! To Szarża Krwi. Thuny nie odstąpią, dopóki każdy z nich nie zabije chociaż jednego przeciwnika. – Krzyknął na Lauriego, aby zatrzymał konie, i kiedy stadko krążyło nerwowo dookoła, osiodłał szybko i sprawnie jedną z klaczy i ruszył w przeciwnym kierunku.

Pug kopnął w boki ogiera i wraz z klaczą dosiadaną przez Lauriego przejechali wzdłuż domu na czele reszty koni, starając się je trzymać zbite w stado, aby nie wpadły w oko nacierającym Thunom.

Zza rogu wybiegł żołnierz niosący broń. Zatrzymał ich gestem ręki.

– Mój pan, Kasumi, rozkazuje wam, abyście bronili koni. Nawet za cenę życia –

krzyknął. Podał Pugowi i Lauriemu miecze i tarcze, odwrócił się na pięcie i pomknął z powrotem na pole walki.

Pug przyglądał się dziwnemu orężu. Zarówno tarcza, jak i miecz ważyły połowę tego co oręż, którym ćwiczył na Midkemii. Przerażliwy okrzyk przerwał oględziny broni. Zza rogu wypadł Kasumi na koniu. Pędząc cwałem, walczył z Tłumem. Najstarszy syn Shinzawai dobrze już jeździł i chociaż nie miał dużego doświadczenia w walce z konia, jednak był doskonałym szermierzem. Szczęśliwie braki te były zrekompensowane brakiem doświadczenia Thuna w walce z końmi, bo chociaż potyczka ta nie była aż tak bardzo różna od walki z innym Thunem, jednak koń również atakował, kłusując go w pierś i pysk.

Ogier Puga poczuł zapach stwora i stanął nagle dęba, omal nie zrzucając Puga na ziemię. Pug z całej siły złapał się grzywy, przyciskając jednocześnie łydki do boku konia. Kilka innych koni zarżało i z trudem powstrzymywał rumaka przed ruszeniem do ataku.

– Nie podoba im się smród tych bestii! – krzyknął Laurie. – Patrz, jak się zachowuje koń Kasumiego.

Niedaleko pojawił się następny Thun i Laurie, wydając przeciągły okrzyk bojowy, skoczył do przodu, aby zabiec tamtemu drogę. Zwarli się z łoskotem oręża. Laurie przyjął cios pałki Thuna na tarczę i jednocześnie ciał mieczem w odkrytą pierś wroga. Stwór krzyknął coś w zduszonym, gardłowym języku. Chwiał się przez moment na nogach, po czym runął na ziemię.

Z wnętrza domu rozległ się krzyk. Pug obejrzał się. Jedne z rozsuwanych drzwi eksplodowały nagle na zewnątrz i na dziedziniec wyleciało czyjeś ciało. Oszołomiony niewolnik ze służby domowej stanął chwiejnie na nogach, lecz po chwili padł na ziemię. Z rany na głowie buchała krew. Przez wyrwę w ścianie wybiegły pośpiesznie następne postacie.

Pośród grupki uciekających w popłochu Pug zauważył Katalę i Almorellę. Tuż za nimi

pędził ogromny Thun. W kilku podskokach zbliżył się do Katali z wzniesioną nad głową ciężką pałką.

Przerażony Pug wykrzyknął jej imię. Siwy ogier wyczuł strach swego pana i nie czekając na jego komendę, runął do przodu, przecinając drogę pędzącemu tuż za dziewczyną Thunowi. Ogier, rozdygotany i rozeźlony czy to odgłosami bitwy, czy smrodem Thuna, natarł z impetem na przeciwnika, gryząc i kopiąc wściekle przednimi kopytami. Nogi Thuna ugięły się pod ciężarem ciała i przeciwnik padł ciężko na ziemię. Siła zderzenia rzuciła Puga na ziemię. Leżał przez chwilę oszołomiony. Z trudem podniósł się na nogi. Chwiejąc się i zataczając podszedł do skulonej na ziemi Katali i odciągnął ją od rozwścieczonego rumaka.

Siwy ogier stanął dęba nad nieruchomym Thunem. Ciężkie kopyta ze świstem opadły w dół. I jeszcze raz. I znowu. Bojowy koń bił wroga kopytami aż do chwili, kiedy nie było żadnej wątpliwości, że w ciele stwora nie tliła się już nawet najmniejsza iskierka życia.

Pug krzyknął głośno do konia, żeby przestał i stanął spokojnie. Wierzchowiec parsknął z obrzydzeniem i pogardą, i przestał atakować Thuna, jednak uszy kładł ciągle po sobie i drżał na całym ciele. Pug podszedł ostrożnie do niego i zaczął go gładzić po szyi, aż wierzchowiec uspokoił się nieco i przestał dygotać.

Zapadła niesamowita cisza. Pug rozejrzał się. Laurie, galopując na jednej z klaczy, zaganiał pozostałe konie do zagrody. Pug zostawił ogiera i wrócił do Katali. Siedziała na ziemi, trzęsąc się jak liść osiki. U jej boku przysiadła Almorella.

Ukląkł przy Katali.

– Nic ci się nie stało?

Westchnęła głęboko i uśmiechnęła się do niego trwożliwie.

– Nic... ale przez chwilę myślałam, że stratuje mnie na śmierć.

Pug spojrzał na niewolnicę, która tyle teraz dla niego znaczyła.

– Ja też.

Niespodziewanie oboje uśmiechnęli się radośnie do siebie. Almorella wstała, bąkając pod nosem, że musi zająć się rannymi.

– Tak się bałem, że coś ci się stało. Kiedy zobaczyłem, jak uciekasz przed tą bestią, myślałem, że postradam zmysły.

Katala dotknęła delikatnie policzka Puga. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że po twarzy ciurkiem leciały mu łzy.

– Tak się o ciebie bałem...

– A ja o ciebie. Kiedy wpadłeś na Thuna, myślałam, że zginąłeś... – Zaczęła łkać głośno. Przytuliła się do niego. – Nie wiem, co bym zrobiła ze sobą, gdybyś... gdyby cię zabili...

– Pug przysunął się bliżej i objął ją z całej siły. Siedzieli razem przez kilka minut, aż Katala uspokoiła się nieco. Odsunęła się delikatnie od niego.

– Popatrz, cały majątek w ruinie... Septien zaraz będzie miał dla nas tysiące poleceń i zadań. – Zaczęła się podnosić, lecz Pug chwycił ją mocno za rękę. Wstał pierwszy.

– Nie wiedziałem... to znaczy przedtem. Kocham cię, Katala.

– I ja ciebie, Pug. – Uśmiechnęła się ciepło i delikatnie dotknęła jego policzka.

Moment odkrycia wspólnej dla obojga prawdy został przerwany pojawieniem się pana Shinzawai w towarzystwie młodszego syna. Stał, rozglądając się wokół, i oceniał powstałe straty. Nagle, zza rogu domu wyjechał zlany krwią Kasumi.

Kasumi zasalutował po żołniersku przed ojcem.

– Uciekli. Rozkazałem, aby wysłano ludzi do strażnic na północy. Żeby tu się przedrzeć, musieli zdobyć jeden z garnizonów.

Pan Shinzawai pokiwał ze zrozumieniem głową. Odwrócił się w stronę domu i na odchodnym krzyknął na swego Pierwszego Doradcę i innych starszych ze służby, aby zdali mu

sprawozdanie z poniesionych w czasie napadu strat.

Katala nachyliła się do ucha Puga.

– Porozmawiamy później... – szepnęła i odkrzyknęła głośno banderze Septienowi,

który zwoływał wszystkich ochryłym głosem. Pug podszedł do Lauriego, który podjechał właśnie do boku Kasumiego.

Trubadur przyglądał się przez parę chwil ciałom poległych w walce stworów.

– Kto... co to jest?

– To Thunowie – odpowiedział Kasumi. – Należą do plemion nomadów z obszarów północnej tundry. Na każdej przełęczy u podnóża wzgórz rozdzielających nasze ziemie mamy forty i strażnice. Dawniej wałęsali się tu i tam po tych wzniesieniach, ale zepchnęliśmy ich na pomoc. Co jakiś czas próbują jednak powrócić na cieplejsze ziemie na południu. –

Wyciągniętym palcem wskazał na talizman przywiązany do futra jednej z bestii. – To była Szarża Krwi. Wszyscy, co do jednego, to młode samce, które nie sprawdziły się w swoich rodzimych bandach, i te, które nie zdobyły jeszcze partnerki. W czasie letniego rytuału walki przegrały swoje pojedynki i zostały przegnane przez silniejsze samce. Ich obowiązkiem i warunkiem ponownego przyjęcia do społeczności bandy było udanie się na południe i zabicie przynajmniej jednego Tsuraniego. Każdy miał wrócić z głową Tsuraniego lub nie pokazywać się w ogóle. Taki u nich zwyczaj. Ci, którym udało się dziś uciec, zostaną wytropieni i złapani, bo z pewnością nie wrócą już nigdy na swoje wzgórza.

Laurie potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– Czy to się często zdarza?

– Każdego roku – odpowiedział Hokanu z krzywym uśmiechem. – Załogi strażnic i fortów śledzą ich każdy krok i zazwyczaj udaje im się odeprzeć najazd, ale tego roku musiało przejść granicę wyjątkowo duże stado. Najprawdopodobniej wielu z nich już wcześniej

powróciło na północ, do swoich, z łupem w postaci głów obciętych żołnierzom z fortów.

– Musieli też w takim razie wybić do nogi dwa patrole – dorzucił Kasumi. Pokręcił głową. – Straciliśmy od sześćdziesięciu do stu ludzi.

Hokanu, podobnie jak brat, zasępił się bardzo dotkliwą stratą.

– Osobiście poprowadzę patrol, aby wszystko doprowadzić do porządku na granicy.

Kasumi udzielił mu pozwolenia i Hokanu niezwłocznie odszedł. Kasumi zwrócił się do

Lauriego:

– Jak konie?

Laurie wskazał na ogiera pilnującego jak zwykle swego małego stadka.

– Kasumi – odezwał się nagle Pug – chciałbym poprosić twego ojca, aby udzielił mi zgody na poślubienie Kalali. Oczu Kasumiego zwężyły się w wąskie szparki.

– Posłuchaj uważnie, Pug. Usiłowałem ci to wytłumaczyć, ale chyba nie rozumiałeś mnie dobrze. Wasza rasa nie należy do subtelnych. Wobec tego będę mówił zupełnie otwarcie.

Możesz oczywiście prosić, ale nie otrzymasz zgody. – Pug zaczął protestować, lecz Kasumi przerwał mu ostro. – Jak mówiłem, jesteście bardzo niecierpliwi. Są powody. Nie mogę więcej powiedzieć, Pug, ale uwierz mi... są powody.

Oczy Puga zaiskrzyły się gniewem. Kasumi obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Wypowiedz chociaż jedno słowo podniesionym głosem – powiedział powoli w języku Królestwa – jeżeli w pobliżu będzie jakiś żołnierz z tego domu, a szczególnie mój brat, to po sekundzie będziesz już martwym niewolnikiem.

– Niech się stanie wedle twojej woli, panie – powiedział sztywno Pug.

Widząc rozgoryczenie i żal na twarzy Puga, Kasumi podszedł do niego bliżej i położył mu rękę na ramieniu.

– Pug, wierz mi, naprawdę są ku temu powody – powtórzył ciepłym głosem. Przez

chwilę starał się nie być panem i władcą Tsuranich, lecz przyjacielem, który pragnie złagodzić ból przyjaciela. Popatrzył prosto w oczy Puga. Po chwili jednak zasłona jakby opadła na miejsce i znowu byli – niewolnikiem i jego panem. Pug opuścił wzrok, jak tego oczekiwano od niewolnika. – Zajmij się końmi, Pug – powiedział Kasumi i odszedł wolnym krokiem, zostawiając go samego.

Pug nie wspominał nigdy Katali o swej prośbie skierowanej do Kasumiego. Wyczuwała jednak, że coś go trapi i nie daje spokoju, coś, co tkwiło jak cierń w szczęściu, które dzielili wspólnie. Pug zrozumiał głębię jej miłości ku niemu i zaczął coraz lepiej poznawać zawiłości jej natury i charakteru. Poza tym, że miała bardzo silną wolę i upór, była bardzo inteligentna i bystra. Wystarczyło, że tylko raz jej coś wytłumaczył, a chwytła to w lot. Nauczył się też cenić jej ironiczne poczucie humoru i cięte odpowiedzi, tak charakterystyczne dla Thuril, ludu, z którego pochodziła, a które teraz, w niewoli, wyostrzyły się jeszcze bardziej i cięły jak nóż. Kalala obserwowała wnikliwie toczące się wokół niej życie i spotykanych ludzi, a następnie komentowała bez litości wszelkie zauważone słabości domowników, ku ich utrapieniu, a uciesze Puga. Nalegała, aby Pug nauczył ją swego języka, zaczęli więc lekcje języka królewskiego. Kalala udowodniła, że potrafi być bardzo pilną i zdolną uczennicą.

Dwa kolejne miesiące upłynęły bez większych wydarzeń. Pewnego wieczoru niespodziewanie Pug i Laurie zostali wezwani do jadalni pana domu. Laurie zakończył szczęśliwie prace nad swoją lutnią i chociaż nie był do końca usatysfakcjonowany dziesiątkami drobnych szczegółów, uważał, że od biedy można na niej grać. Dziś wieczorem miał zagrać przed panem Shinzawai.

Weszli do pokoju. Pan domu zabawiał rozmową swego gościa, ubranego w czarne szaty mężczyznę, Wielkiego, tego samego, którego widzieli kilka miesięcy wcześniej. Pug stanął przy drzwiach, a Laurie zajął miejsce przy końcu niskiego stołu, siadając na podłodze.

Poprawił poduszkę i zaczął grać.

Kiedy pierwsze dźwięki wibrowały jeszcze w powietrzu, zaczął śpiewać starodawną, dobrze znaną Pugowi pieśń. Wysławiała ona radości czasu żniw i bogactwo plonów ziemi. Była to ulubiona pieśń wieśniaków w całym Królestwie. Spośród zebranych, poza Pugiem, jedynie Kasumi rozumiał jej treść, chociaż jego ojciec wyłapywał poszczególne słowa, których nauczył się w czasie swoich szachowych spotkań z Pugiem.

Pug jeszcze nigdy nie słyszał śpiewającego Lauriego i teraz jego śpiew wzbudził w nim nieklamany zachwyty. Mimo całej błazenady trubadura, Laurie był zdecydowanie lepszy od wszystkich, których Pug miał kiedyś okazję słuchać. Jego głos był czysty i pełny jak doskonały instrument, którym artysta posługiwał się ze swadą, aby przekazać w ekspresyjny sposób zarówno treść słów, jak i charakter muzyki. Kiedy skończył, zebrani przy stole uprzejmie zaczęli postukiwać nożami w blat, co, jak Pug sądził, było tsurańskim odpowiednikiem oklasków.

Laurie rozpoczął następną melodię, wesołe rytmy, grane często w czasie różnych świąt i również szeroko znane na całym obszarze Królestwa. Pug przypomniał sobie, kiedy słyszał je po raz ostatni – było to w czasie święta Banapis, na rok przed wyruszeniem z Crydee do Rillanonu. Przed oczami, jak żywe, stanęły obrazy z domu. Po raz pierwszy od wielu lat owładnęła nim bez reszty fala głębokiego smutku i tęsknoty.

Z trudem przełknął ślinę przez ściśnięte wzruszeniem gardło. Wielka tęsknota za domem rodzinnym i narastająca z każdą chwilą beznadzieja burzyły się w nim. Poczł, że z takim trudem zdobyta samokontrola ulatuje i pryska jak bańka mydlana. Szybko zastosował uspakajające ćwiczenia, których nauczył go Kulgan. Po chwili zalała go fala szczęścia i dobrego samopoczucia. Odprężył się. W czasie, kiedy Laurie grał, Pug maksymalnie koncentrował uwagę, aby odpędzić prześladowające go uporczywie wspomnienia domu.



Zmobilizował wszelkie posiadane umiejętności i po pewnym czasie otoczyła go aura spokoju i równowagi wewnętrznej, sfera ucieczki przed nie prowadzącym do niczego wzburzeniem, jedyną spuścizną wspomnień.

Kilkakrotnie podczas śpiewu Lauriego Pug czuł na sobie spojrzenie Wielkiego. Czarno odziany mężczyzna obserwował Puga, a w jego oczach widać było nieme pytanie. Kiedy trubadur skończył, Wielki nachylił się do ucha gospodarza.

Pan Shinzawai skinął na Puga, aby ten zbliżył się i usiadł przy stole.

– Muszę cię o coś zapytać – powiedział Wielki. Mówił czystym, głębokim głosem, a jego ton żywo przypominał mowę Kulgana, kiedy przygotowywał Puga do lekcji. – Kim jesteś? Zadane wprost pytanie sprawiło, że wszyscy zgromadzeni przy stole spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Pan domu, niepewny co do znaczenia pytania, zaczął na nie odpowiadać. – To niewolnik...

Wzniesiona ręka Wielkiego powstrzymała go w pół słowa.

– Nazywają mnie Pug, panie.

Ciemne oczy maga ponownie wbiły się w twarz Puga.

– Kim jesteś?

Pug poczuł narastające wzburzenie. Nigdy nie lubił znajdować się w centrum zainteresowania innych, a tym razem ich uwaga skupiała się na nim jak nigdy przedtem.

– Mam na imię Pug, kiedyś byłem członkiem dworu księcia Crydee.

– Kim jesteś, aby stać przed nami i emanować moc? Cała trójka panów Shinzawai spojrzała po sobie zaskoczona. Laurie patrzył na Puga, nie mogąc się połapać, w czym rzecz.

– Jestem niewolnikiem, panie.

– Pokaż mi rękę.

Pug niepewnie wyciągnął rękę przed siebie. Wielki wziął ją mocno w dłoń. Jego usta

poruszały się bezgłośnie, a oczy zasnuła jakby ciemna zasłona. Pug poczuł, jak poprzez dłoń rozlewa mu się po całym ciele ciepło. Pokój wydawał się promieniować delikatną, białą mgiełką. Po chwili widział tylko oczy maga. Czas zatrzymał się w miejscu, a jego umysł zakrył tuman mgły. Wewnątrz głowy poczuł narastające ciśnienie, jakąś presję, tak jakby coś starało się wdrzeć do jej wnętrza. Próbował to pokonać i po chwili napór zelżał.

Wracała ostrość widzenia, a dwoje ciemnych oczu odsuwało się powoli od twarzy. Po paru chwilach ponownie widział cały pokój. Mag puścił jego dłoń.

– Kim jesteś? – Jedyne krótki błysk w głębi czarnych oczu zdradził wewnętrzne napięcie maga.

– Jestem Pug, terminator maga Kulgana. Pan Shinzawai pobladł gwałtownie. Na twarzy malowało się niedowierzanie i pomieszanie.

– Jak...

Czarna postać maga podniosła się raptownie.

– Niewolnik ten przestaje być własnością tego domu – oznajmił. – Od tej chwili przechodzi pod władanie Zgromadzenia.

W pokoju zapadła martwa cisza. Pug nie mógł się połapać, co się dzieje, i zaczął się trochę bać.

Spomiędzy fałd szaty mag wyciągnął jakiś przyrząd, identyczny jak ten, który Pug widział w czasie napadu na obóz Tsuranich. Poczuł, jak włosy na głowie jeżą mu się ze strachu. Mag uruchomił przyrząd, który zaczął bzyrzeć i skwierczeć, jak tamten w obozie. Potem położył rękę na ramieniu Puga i natychmiast pokój zasnuła szara mgiełka.

# ODMIENIEC

Książę Elfów siedział w milczeniu.

Calin czekał na matkę. Pod czaszką kłębiły mu się różne myśli i czuł, że musi z nią dziś wieczorem porozmawiać. Ostatnimi czasy nie było ku temu zbyt wielu sposobności. Wojna nasilała się i obejmowała swoim zasięgiem coraz większą część kraju i po prostu nie miał czasu na przebywanie w cienistych labiryntach konarów Elvandaru. Od chwili, kiedy obcy po raz ostatni usiłowali przedrzeć się na drugą stronę rzeki, jako wódz Elfów, był na polu walki prawie każdego dnia.

Od czasu oblężenia Crydee, trzy lata temu, obcy najeźdźcy nadciągali każdej wiosny i całe ich mrowie, kłębiąc się w wodzie, parło na drugą stronę rzeki, z przewagą po kilkunastu na każdego Elfa. Co roku też, niezmiennie, magia Elfów zwyciężała wroga. Setki nacierających wdzierały się do gajów snu, gdzie nieuchronnie zapadały w sen nieprzespany, sen bez końca, podczas gdy ziemia powoli wchłaniała ich ciała, dając pożywienie czarodziejskim drzewom. Inne zastępy, zwiedzione nawoływaniem boginek leśnych, driad, szły na oślep za czarowanymi dźwiękami pieśni duchów aż do chwili, kiedy w rozpalonym namiętnością pożądaniu ku podstawowym bytom świata, umierali z tęsknoty niespełnienia w objęciach nieziemskiej miłośnicy, karmiąc ją swym życiem i ciałem. Inni z kolei padali ofiarą rozlicznych i różnorodnych stworów puszczańskich, ogromnych wilków, niedźwiedzi i lwów, które szły w leśny bój przywołane donośnym dźwiękiem wojennych rogów Elfów.

Nawet zwykłe gałęzie, konary i korzenie w kniejach Elfów stawiały opór wrogom, aż ci w popłochu uciekali na drugą stronę rzeki.

W tym roku jednak po raz pierwszy pojawiły się Czarne Szaty. Magiczna moc Elfów została w wielu miejscach stępiona. Co prawda Elfy i tym razem zwyciężyły, lecz Calin z troską zastanawiał się, co się stanie, jeżeli nadejdą znowu.

W tym roku również Krasnoludy z Szarych Wież ponownie udzieliły wsparcia Elfom.

Kiedy moredhele odeszły z głębin Zielonego Serca, Krasnoludy przeszły szybkim marszem z zimowisk w górach, zasilając szeregi obrońców Elvandaru. To już trzeci rok z rzędu od zakończenia oblężenia Crydee, kiedy obecność Krasnoludów przyczyniała się w istotnym stopniu do utrzymania obcych w ryzach, po drugiej stronie rzeki. A wraz z Krasnoludami przyszedł do nich człowiek imieniem Tomas.

Calin podniósł głowę. Nadchodziła matka. Powstał, królowa Aglaranna zasiadła na tronie.

– Mój synu, jak to dobrze znów cię widzieć.

– Matko, ja również się cieszę, że mogę cię ujrzeć. – Usiadł u jej stóp i czekał na słowa, których potrzebował. Matka, wyczuwając jego przygnębienie, siedziała w milczeniu.

– Niepokoi mnie Tomas. – Nie wytrzymał w końcu.

– Mnie też – odpowiedziała Królowa, a jej twarz spochmurniała. Zamyśliła się głęboko.

– Czy dlatego cię nie ma, kiedy pojawia się na dworze?

– Tak, dlatego i... z innych przyczyn.

– Jak to możliwe, aby magia Starodawnych, po tylu przecież wiekach, trzymała tak mocno? Zza tronu dobiegł ich czyjś głos.

– Zatem o to chodzi?

Odwrócili się zdziwieni. Z mroku wyłonił się Dolgan. Podchodząc bliżej, zapalał fajkę.

Na twarzy Aglaranny pojawiło się wzburzenie.

– Czy Krasnoludy z Szarych Wież są znane właśnie z tego, że podsłuchują, Dolgan?

Wódz niskiego narodu zignorował uszczypliwość Królowej.

– Raczej nie, pani, ale akurat wyszedłem na krótki spacer. Te dziup... chciałem

powiedzieć te niewielkie pokoje w drzewach, bardzo szybko wypełniają się dymem i

przypadkiem usłyszałem, o czym mówiliście. Nie chciałem przeszkadzać.

Calin spojrział na Krasnoluda spod lekko przymrużonych powiek.

– Mój przyjacielu Dolganie, kiedy chcesz, potrafisz się poruszać naprawdę bardzo cicho.

Dolgan wzruszył ramionami i wypuścił ogromny kłęb dymu.

– Nie tylko Elfy opanowały sztukę bezszelestnego stąpania, mój panie. No, ale mówiliśmy przecież o chłopaku. Jeżeli to, co powiedziałaś, jest prawdą, zaiste sprawa jest poważna. Gdybym wiedział, nigdy bym mu nie zezwolił na przyjęcie daru.

– Nie ma w tym twej winy, Dolganie. – Królowa uśmiechnęła się. – Przecież nie mogłeś wiedzieć. Obawiałam się tego, od momentu kiedy Tomas wszedł pomiędzy nas w płaszczu Starodawnych. Z początku sądziłam, że w stosunku do niego, śmiertelnika, magia Valheru nie będzie działać, lecz teraz widzę, że z roku na rok staje się coraz bardziej nieśmiertelny...

Doprowadził do tego łańcuch niefortunnych wypadków. Nasi czarodzieje odkryliby ten skarb już całe wieki temu, lecz na przeszkodzie stanęła magia smoka. Od setek lat tropimy, a kiedy znajdziemy, niszczymy podobne relikty przeszłości, aby nie dostały się nigdy w ręce moredheli. Teraz już za późno. Tomas nigdy nie zgodzi się dobrowolnie na zniszczenie zbroi.

Dolgan pykał fajkę.

– Każdej zimy snuje się bez celu po długich, mrocznych korytarzach i salach, oczekując przyścia wiosny, a wraz z nią bitew. Wszystko inne może dla niego nie istnieć. Siedzi i pije albo stoi w drzwiach, wpatrując się w śnieżną dal, widząc rzeczy, których nikt inny poza nim nie potrafi dostrzec. Przez całą zimę trzyma zbroję pod kluczem w swoim pokoju, a kiedy rusza kampania wiosenna, nie zdejmuje jej ani na chwilę, nawet do snu. Zmienił się bardzo... i to w nienaturalny sposób. Nie, jestem przekonany, że z własnej woli nie pozbędzie się nigdy zbroi.

– Możemy spróbować go zmusić do tego – powiedziała Królowa – lecz, z drugiej

strony, nie byłby to rozsądny krok. Coś w nim się spełnia, coś się rodzi... coś, co może ocalić mój naród, a dla mojego narodu jestem gotowa podjąć nawet największe ryzyko.

– Tego, pani, nie rozumiem. O czym mówisz? – Dolgan popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Sama nie jestem pewna, czy wiem, co mówię, Dolganie, lecz jestem Królową ludu, który kroczy od kilku lat po ścieżce wojennej. Straszny wróg pustoszy nasze rodzinne ziemie, z każdym rokiem rośnie w siłę i staje się coraz bardziej zuchwały. Magia z obcego świata jest potężna, być może silniejsza niż jakakolwiek inna od czasów Starodawnych. A może właśnie magia obecna w darze smoka ocali mój lud, któż to może wiedzieć?

– Dziwne to jednak, iż moc tak potężna wciąż może gościć w zwykłej, metalowej zbroi.

– Dolgan pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Czyżby, Dolgan? – Aglaranna uśmiechnęła się do Krasnoluda ciepło. – A co powiesz o Młocie Tholina, który trzymasz za pasem? Czyż i on nie jest wyposażony w moc z zamierzchłych czasów? Moc, która przecież ciebie właśnie, a nie kogoś innego, wskazała ponownie jako dziedzica tronu Krasnoludów Zachodu?

– Pani, dużo wiesz o naszych dziejach i życiu. – Dolgan spojrzał na Królową twardym wzrokiem. – Muszę pamiętać, aby już nigdy nie dać się zwieść twemu dziewczęcemu wyglądowi, pod którym, jak pod maską, kryje się mądrość i doświadczenie długich wieków. – Niedbałym ruchem ręki odrzucił jej pytania. – My, na Zachodzie, już dawno skończyliśmy z władzą królewską... od czasów kiedy Młot Tholina zaginął w czeluściach Mac Mordain Cadal. Radzimy sobie bez króla równie dobrze jak ci, którzy słuchają rozkazów starego króla Halfdana w Dorgin. Gdyby jednak nasz naród wyraził wolę przywrócenia tronu, zostanie zwołane zgromadzenie ludowe. Nie stanie się to jednak przed końcem wojny. Ale, ale, powróćmy do głównego tematu. Co z chłopakiem?

– Staje się tym, kim się staje. – Aglaranna popatrzyła na niego zakłopotana. – Nasi czarodzieje już nad tym pracują. Gdyby miała w nim wzrosnąć pełnia mocy Valheru, bez żadnego ukierunkowania czy narzuconych z zewnątrz ograniczeń, byłby w stanie odgarnąć na bok osłaniającą nas, obronną moc magii, tak jak ty czynisz na szlaku, kiedy odsuwasz ręką przeszkadzającą ci gałązkę. Trzeba jednak pamiętać, że Tomas nie jest Starodawnym z urodzenia. Jego wrodzona natura jest obca Valheru, tak jak ich natura była obca wszystkim innym. Przy pomocy i pod kierunkiem naszych czarodziejów jest szansa, że jego ludzkie zdolności kochania, odczuwania, okazywania współczucia i rozumienia innych mogą utemperować nieco niepowstrzymaną moc Valheru. I jeżeli tak by się stało... no cóż, jest nadzieja, że obecność Tomasa okaże się dla nas wszystkich wielką łaską i dobrodziejstwem... – Przez moment Dolgan miał pewność, że Królowa chciała dodać coś jeszcze, lecz nie odezwał się ani słowem. Aglaranna mówiła dalej: – Gdyby jednak moc Valheru miała połączyć swe siły z ludzką zdolnością do ślepej nienawiści, dzikości serca i okrucieństwa, wtedy Tomas będzie kimś, kogo wszyscy będą musieli się bać. Tylko czas może pokazać, co wyjdzie z tej mieszaniny.

– Jeźdźcy Smoków... – powiedział Dolgan. – W naszej tradycji, w księgach, są krótkie wzmianki o Valheru, ale ta wiedza nie jest spójna. Parę oderwanych fragmentów, ot, parę słów tu, kilka innych tam, nic więcej. Za twoim przyzwoleniem, pani, chciałbym dowiedzieć się i zrozumieć więcej.

– Nasza tradycja i wiedza, najstarsze w dzisiejszym świecie, opowiadają o Valheru, Dolgan. – Królowa zapatrzyła się na chwilę w dal. – Jest tam wiele rzeczy, o których nie wolno mi mówić, imiona mocy... mocy zbyt przerażającej, by przywoływać jej imię, straszliwe wydarzenia czy zjawiska, na samo wspomnienie o nich przeszywa mnie śmiertelny strach. Taak... ale trochę mogę ci powiedzieć. Na długo, długo przed pojawieniem się na tym świecie

człowieka czy Krasnoludów, władali nim Valheru. Valheru byli częścią tego świata, uczynieni z samej materii stworzenia. Swą mocą dorównywali niemal bogom, chociaż cel ich zaistnienia nie był znany. Zostali wyposażeni w chaotyczną i nieprzewidywalną naturę. Byli potężniejsi niż ktokolwiek inny. Dosiadali wspaniałych i ogromnych latających smoków. Nie było miejsca we wszechświecie, które znajdowałoby się poza ich zasięgiem. Powodowani kaprysem, porywali się na inne światy, siejąc śmierć i zniszczenie, plądrowali je i wracali do domu z tym, co się im spodobało zabrać – skarbami czy wiedzą, z której ograbili inne istoty. Nie podlegali żadnym prawom, poza własną wolą czy fantazją. Nie było chwili, żeby nie walczyli pomiędzy sobą i tylko śmierć była w stanie rozstrzygać spory. Ich ziemią był właśnie ten świat, a my byliśmy ich stworzeniami...

W tamtych czasach my i moredhele stanowiliśmy jedno, byliśmy jednym ludem.

Valheru hodowali nas, jak wy dzisiaj bydło. Niektórych, z obu ras, zabierano jako osobiste maskotki, hodowane specjalnie dla ich piękności i innych wartości. Inni byli hodowani, aby opiekować się polami i lasami. Ci z nas, którzy żyli na wolności, stali się przodkami Elfów, ci zaś, którzy przebywali w towarzystwie Valheru to ojcowie przyszłych moredheli.

Lecz nadszedł w końcu czas wielkich przemian. Nasi władcy zaprzestali walk na śmierć i życie pomiędzy sobą i połączyli swe siły. Nikt z nas już nie pamięta, co było powodem tej decyzji, chociaż, być może, któryś z moredheli wie, bo przecież ich przodkowie żyli bliżej Valheru niż my, Elfy. Nie wykluczam, że i Elfy wiedziały... wtedy, lecz potem nastął czas Wojen Chaosu i wiele rzeczy zostało utraconych na zawsze. Wiemy tylko, że cała służba Valheru odzyskała wolność i potem ani żaden Elf, ani moredhel nie widział już nigdy Valheru. Kiedy rozszalały się Wojny Chaosu, w materii czasu i przestrzeni powstało wiele rozdarć, pojawiło się wiele przesmyków między różnymi światami. I to przez nie właśnie przedostały się do tego świata gobliny, ludzie i Krasnoludy. Ocalały jedynie nieliczne Elfy czy moredhele. Ci, którym



udało się przetrwać, odbudowali z czasem swe domostwa. Moredhelom marzyło się odziedziczenie mocy ich zaginionych władców. Zamiast odnaleźć własne przeznaczenie, jak to uczyniły Elfy, wykorzystywały swą przebiegłość i spryt, aby szukać pozostałości po Valheru. I tak oto wkroczyli na Mroczny Szlak. I to jest główny powód, dla którego, chociaż jesteśmy braćmi, tak bardzo się różnimy.

Starodawna moc jest nadal potężna. Tomas siłą i odwagą może dorównać każdemu. On jednak przyjął moc nieświadomie, bezwiednie, i to, być może, będzie źródłem różnicy. Moce starodawnej magii przemieniły moredheli w Bractwo Mrocznego Szlaku, ponieważ one same, powodowane mrocznym pożądaniem, szukały jej za wszelką cenę. Tomas był chłopcem dobrego i szlachetnego serca, a jego dusza była wolna od piętna zła. Być może, jeżeli los pozwoli, uda mu się zapanować nad ciemną stroną magii.

Dolgan poskrobał się powoli po głowie.

– Zaiste, z twoich słów, pani, wnoszę, że wielkie to i straszne ryzyko. To prawda, niepokoiłem się bardzo o chłopca i nie dbałem wiele o szerszą perspektywę zdarzeń i faktów. Znasz się, pani, na tym o wiele lepiej niż ja, lecz mam nadzieję, że w przyszłości nie będziemy żałować, iż pozwoliliśmy mu zatrzymać zbroję.

– Ja również, Dolgan, mam taką nadzieję. – Królowa wstała i zeszła z tronu. – Tutaj, w Elvandarze, stara magia nie ma takiej siły i Tomas jest w dużo lepszym nastroju. Jest to, być może, znak, że postępujemy właściwie, nie sprzeciwiając się i nie stawiając barier następującym w nim zmianom, a starając się jedynie ulepszać ten proces i kierować nim.

Dolgan skłonił się przed Aglaranną z szacunkiem.

– Zdaję się, pani, na twój osąd i mądrość. Będę się modlił, żebyś miała rację.

Królowa życzyła im dobrej nocy i odeszła.

– Ja też się modlę, żeby przez Królową Matkę przemawiała mądrość, a nie... jakieś inne

uczucia – powiedział Calin.

– Co księżę Elfów ma na myśli? Nie rozumiem. Calin spojrzał w dół w twarz

Krasnoluda.

– Dolgan, nie udawaj głupiego przede mną. Twa mądrość i bystrość umysłu jest szeroko znana i wysoko ceniona. Widzisz to równie dobrze jak ja. Pomiędzy Tomaszem a moją matką... coś się rodzi.

Dolgan westchnął głęboko. Orzeźwiający podmuch wiatru przegnał kłęby dymu z fajki.

– Tak, Calin, masz rację. I ja to dostrzegam. Przelotne spojrzenie, czasem coś więcej, gest... ale to wystarcza.

– Patrzy na Tomasza jak kiedyś na Króla Ojca, chociaż sama przed sobą nie przyznaje się jeszcze do tego.

– W Tomasie też się coś dzieje – powiedział Krasnolud, wpatrując się pilnie w twarz Calina. – Choć jego uczucia nie są tak ciepłe i delikatne jak u twojej pani. Na razie, trzeba przyznać uczciwie, chłopak trzyma je na wodzy.

– Dolgan, miej baczenie na twego przyjaciela. Jeżeli będzie próbował... jeżeli stanie się zbyt natarczywy, będą kłopoty.

– Tak bardzo go nie lubisz, Calin?

– Nie, Dolgan. – Księżę Elfów przypatrywał się z namysłem Krasnoludowi. – To nie to, że go nie lubię. Obawiam się go, a to wystarcza. – Zamilkł na chwilę. – My, którzy zamieszkujemy Elvandar, już nigdy nie zegniami kolana przed innym panem i władcą. Gdyby nadzieje mej matki co do kierunku zmian w Tomasie miały się nie spełnić, przyjdzie nam wszystkim zapłacić słony rachunek.

– Nieszczęsny to byłby dzień... – Dolgan pokiwał powoli głową.

– Tak, Dolgan... bardzo. – Calin opuścił krąg Rady, przeszedł koło tronu matki i

zostawił Krasnoluda samego. Dolgan zapatrzył się w migotliwe światelka Elvandaru, błyszczące tajemniczo w mroku niebotycznych drzew, i modlił się w duchu, aby nadzieje królowej Elfów nie okazały się płonne.

Po równinach z wyciem hulały wichury. Ashen-Shugar siedział na szerokim grzbiecie Shurugi. Myśli wielkiego, złocistego smoka dotarły do jego pana. „Zapolujemy?” W umyśle smoka wyczuł głód.

– Nie. Czekamy.

Władca Orlich Szczytów czekał obserwując, jak nie kończący się wąż moredheli podążał w stronę rosnących murów wznoszonego miasta. Całe ich setki ciągnęły gigantyczne, kamienne bloki wydarte ziemi w kamieniołomach gdzieś na końcu świata i wlokły je w stronę budowanego na równinie miasta. Wielu z nich zmarło lub zginęło, wielu kolejnych umrze, lecz nie to było ważne. „A może jednak było?” Ta nowa i dziwna myśl zaniepokoiła Ashen-Shugara.

Nad głową rozległ się ogłuszający ryk. Zataczając szerokie koła, zbliżał się ku ziemi inny wielki smok – olśniewające wspaniałością, czarne jak noc, ryczące wyzwanie. Shuruga wzniosł pysk ku górze i w odpowiedzi ryknął przeraźliwie. Jego myśl przekazała panu następne pytanie: „Będziemy walczyć?”

– Nie.

Ashen-Shugar wyczuł rozczarowanie swego wierzchowca, ale postanowił nie zwracać na to uwagi. Obserwował, jak drugi smok ląduje z wdziękiem na ziemi niedaleko od nich i składa potężne skrzydła na grzbiecie. Promienie przyćmionego chmurami słońca odbijały się w czarnych łuskach jak w polerowanym hebanie. Jeździec wzniosł ramię na powitanie.

Ashen-Shugar odpowiedział identycznym gestem. Nowo przybyły zbliżał się ostrożnie.

Shuruga zasyczał groźnie. Ashen-Shugar od niechcienia walnął smoka pięścią w kark i bestia

zamilkła.

– Czy Władca Orlich Szczytów zdecydował się w końcu na przyłączenie się do nas? – spytał jeździec czarnego smoka, Draken-Korin, władca Tygrysów. Pomarańczowe i czarne pasy na jego zbroi rzucały ogniste błyski, kiedy zsiada) ze smoka.

Nie chcąc być nieuprzejmym, Ashen-Shugar również zsiadł, jednak jego prawa dłoń ani na moment nie puściła białej rękojeści złocistego miecza, bo chociaż czasy się zmieniły, żaden Valheru nie ufał nigdy innej istocie. Gdyby spotkanie nastąpiło w dawnych czasach, już dawno wzięliby się za łby, lecz teraz zdobycie informacji było o wiele ważniejsze. Ashen-Shugar spojrzał mu w oczy.

– Nie. Po prostu patrzę.

Draken-Korin przyglądał się uważnie Władcy Orlich Szczytów. Bładoniebieskie oczy pozbawione były wszelkiego wyrazu.

– Tylko ty jeden nie wyraziłeś zgody, Ashen-Shugar.

– Wspólne plądrowanie kosmosu to jedno, a ten wasz plan to czyste szaleństwo.

– Na czym polega to szaleństwo? Nie wiem, o czym mówisz? Jesteśmy. Działamy. Cóż więcej trzeba?

– My tak nie postępujemy.

– Nie możemy pozwalać innym, aby sprzeciwiali się naszej woli. Te nowe byty próbują z nami współzawodniczyć.

– Prawdę mówisz. – Ashen-Shugar wznosił oczy ku niebu. – Rzeczywiście. Lecz oni nie są tacy jak inni. Zostali stworzeni z samej materii wszechświata... jak my.

– A jakie to ma znaczenie? Zapomniałeś, ilu własnych braci pozbawiłeś życia? Jak wiele krwi przeszło przez twe wargi? Ktokolwiek stanie przeciwko tobie, musi zginąć lub zabić ciebie. Ot, i cała filozofia.

– A co z tymi, którzy zostali, z moredhelami i Elfami?

– Jak to, co z nimi? Są niczym.

– Należą do nas.

– Zdziwaczałeś pod tymi swoimi górami, Ashen-Shugar. To nasi słudzy. Nie posiadli prawdziwej mocy. Istnieją wyłącznie dla naszej przyjemności, nic więcej. Co cię gryzie? O co ci chodzi?

– Sam nie wiem... ale jest coś.

□ Tomas.

Przez ułamek sekundy Tomas istniał w dwóch światach. Potrząsnął głową i wizja zniknęła. Odwrócił się. Galain leżał w krzakach obok niego. Oddział złożony z Elfów i Krasnoludów przycisnął się w pewnej odległości za nimi. Młody kuzyn księcia Calina pokazywał w kierunku obozu Tsuranich po drugiej stronie rzeki. Wzrok Tomasa powędrował za palcem towarzysza. Wokół ognisk siedzieli żołnierze wroga. Uśmiechnął się. – Nie wychylają nosa z obozów – szepnął.

– Nieźle oberwali, więc teraz wolą siedzieć w obozie i grzać się przy ogniu. – Galain przytaknął.

Była późna wiosna. Wieczorna mgła wypełzała na odkrytą przestrzeń, okrywając obóz Tsuranich białym całunem. Nawet blask ognisk przygasł. Tomas z uwagą badał wzrokiem obóz wroga.

– Doliczyłem się trzydziestu. Plus dwie następne trzydziestki w sąsiednich obozach na wschód i zachód.

Galain nie odzywał się, czekając na komendę Tomasa. Chociaż był w czasie wojny jednym z najwyższych dowódców Elvandar, Tomas wziął na siebie dowództwo nad oddziałem Elfów i Krasnoludów. Moment, w którym się to stało, umknął uwadze wszystkich.

Nastąpiło to niejako w naturalny sposób, samo przez się. Tomas mężniał i wraz z jego dorastaniem coraz bardziej rozszerzał się zakres jego przewodnictwa. W czasie bitwy krzyczał po prostu, że coś trzeba zrobić, a Elfy i Krasnoludy niezwłocznie wykonywały jego rozkazy. Z początku odbywało się to na zasadzie akceptowania logiki i oczywistości jego komend.

Wkrótce jednak praktyka ta stała się przyjętym przez wszystkich wzorcem, w rezultacie czego wykonywali jego komendy, ponieważ padły właśnie z jego ust.

Tomas dał znak Galainowi, aby ten poszedł za nim. Powoli zaczął się wycofywać z brzegu, aż znaleźli się bezpiecznie poza zasięgiem wzroku Tsuranich. Po paru chwilach dotarli do oddziału ukrytego pomiędzy drzewami. Dolgan popatrzył na młodzieńca, którego kiedyś wyratował z mroków kopalni Mac Mordain Cadal.

Tomas miał prawie dwa metry i dorównywał wzrostem większości Elfów. Szedł mocnym, zdecydowanym krokiem, jak urodzony wojownik. W ciągu tych sześciu lat, które spędził z Krasnoludami, stał się dojrzałym mężczyzną... i kimś więcej. Dolgan obserwował spod oka Tomasa, który oceniał wzrokiem zgromadzonych przed nim żołnierzy. Krasnolud był pewien, że teraz Tomas mógł śmiało i bez obaw o własne bezpieczeństwo wkroczyć w mrok podziemnych chodników kopani pod Szarymi Wieżami.

– Czy wróciła reszta zwiadowców? Dolgan kiwnął głową i dał znak, aby wystąpili do przodu. Podeszły do nich trzy Elfy i trzy Krasnoludy.

– Widzieliście Czarne Szaty?

Kiedy wszyscy zwiadowcy zaprzeczyli, młodzieniec w bieli i złocie zachmurzył się.

– Dobrze by było schwytać chociaż jednego i przyprowadzić do Elvandar. Podczas ostatniego ataku głęboko wdarli się na nasze tereny. Dużo bym dał, aby poznać granice mocy, którą dysponują.

Dolgan spojrzął za siebie, ocenił, że znajdują się wystarczająco daleko od rzeki, i

wyciągnął fajkę.

– Tsurani strzegą Czarnych Szat jak smok swych skarbów – powiedział, zapalając tytoń.

Tomas zaśmiał się i przez króciutką chwilę Dolgan rozpoznał w nim chłopaka, którego znał w przeszłości.

– Tak, tak... lecz Krasnolud mężny jamę smoka złupił... Galain podszedł do nich.

– Jeżeli będą postępowali według wzorca z trzech ostatnich lat, możemy chyba przyjąć, że w tym roku skończyli już zabawę z nami. Niewykluczone, że aż do następnej wiosny nie zobaczymy ani jednej Czarnej Szaty.

Tomas zamyślił się. Jego jasne oczy zdawały się płonąć wewnętrznym ogniem.

– Według wzorca... ich wzorzec to zabrać, przytrzymać, a potem zabrać jeszcze więcej.

Podświadomie zgodziliśmy się na to, aby postępowali wedle własnej woli i planów, pod warunkiem że nie przejdą na drugą stronę rzeki. Nadszedł czas, aby odmienić ten wzorzec i jeżeli wystarczająco mocno zaleziemy im za skórę, może nadarzy się okazja do schwytania jednego z Czarnych.

Dolgan z powątpiewaniem pokiwał głową. W propozycji Tomasa kryło się ogromne i nieuniknione ryzyko. Po chwili Tomasz uśmiechnął się szeroko.

– A poza tym, jeżeli nie uda się nam poluznić na jakiś czas ich pierścienia wzdłuż brzegu rzeki, będziemy zmuszeni, Krasnoludy i ja, do przezimowania u was, ponieważ obcy wdarli się już głęboko w Zielone Serce.

Galain spojrzał na wysokiego przyjaciela. Z roku na rok Tomasz coraz bardziej upodabniał się do Elfa i Galain cenił sobie bardzo nieco sarkastyczne poczucie humoru, które towarzyszyło jego słowom. Dobrze wiedział, że Tomasz z radością powitałby okazję przebywania w bliskości Królowej. Chociaż Elf obawiał się magii obecnej w Tomasz, polubił

go szczerze.

– Jak?

– Wyślij łuczników do obozów po prawej i lewej stronie, a właściwie nawet dalej.

Kiedy krzyknę jak dzika gęś, niech zaczną ostrzeliwać obozy od wschodu i zachodu, tak jakby stamtąd szło natarcie. – Na jego ustach pojawił się złowrogi uśmiech. – To powinno odizolować obóz przed nami na tyle, aby dać nam czas na krwawą zabawę.

Galain kiwnął głową i wysłał łuczników na wyznaczone pozycje. Reszta szykowała się do natarcia. Kiedy upłynął odpowiedni czas, Tomas podniósł złożone dłonie do ust i krzyknął przeciągle jak dzika gęś. Po chwili z drugiego brzegu rzeki, od wschodu i zachodu, doszły ich uszu przeraźliwe okrzyki. Żołnierze ze środkowego obozu zerwali się na równe nogi, rozglądając się niepewnie. Kilku z nich podeszło nad samą wodę i wpatrywało się w mroczny las po drugiej stronie. Tomas wznosił ramię do góry i opuścił gwałtownie w dół jak przy uderzeniu toporem.

Deszcz strzał Elfów spadł nagle na obóz Tsuranich. Żołnierze rozbiegli się na wszystkie strony, szukając osłony za tarczami i drzewami. Zanim zdążyli ochłonąć po pierwszym uderzeniu, Tomas poprowadził do ataku oddział Krasnoludów. Weszli w wodę i idąc płytkim, piaszczystym brodem zbliżali się do przeciwległego brzegu. Ponad głowami przemknęła kolejna chmura strzał. Po wystrzeleniu drugiej salwy Elfy zarzuciły łuki na plecy, dobiły mieczów i ruszyły biegiem w ślad za Krasnoludami. W lesie zostało tylko kilkunastu bieżników, którzy w razie potrzeby mieli osłaniać odwrót.

Tomas jako pierwszy wdarł się na przeciwległy brzeg. Jednym cięciem miecza zwałił żołnierza, który zastąpił mu drogę na skraju wody. W okamgnieniu znalazł się w samym środku obozu przeciwnika, siejąc śmierć i spustoszenie. Krew Tsuranich tryskała fontannami spod złocistej klingi. Wilgotny mrok nocy wypełniły wrzaski umierających i rannych.



Dolgan rozplątał głowę Tsuraniego, rozejrzał się, lecz w pobliżu nie dostrzegł żadnego przeciwnika. Kilka kroków dalej, nad zwłokami kolejnego obcego stał Galain, lecz jego wzrok skierowany był w zupełnie inną stronę. Krasnolud spojrzął w tamtym kierunku. Tomas stał nad Tsuranim, po którego twarzy płynęły strumienie krwi z rany na głowie. Ranny wznosił ręce w błagalnym geście, prosząc o litość. Twarz Tomasa przykrywała straszna maska nieokiełznanej wściekłości i szału. Z jego ust wydarł się przedziwny i potworny okrzyk, ochryply i pełen okrucieństwa. Błyskawicznym ruchem ciął mieczem i dobił Tsuraniego. Odwrócił się szybko w poszukiwaniu następnych przeciwników. Kiedy żadnego nie dostrzegł, przez moment zamarł w bezruchu, wpatrując się w przestrzeń pustym wzrokiem. Po chwili oczy ożyły i spojrzął przytomniej dookoła.

Galain usłyszał okrzyk Krasnoluda.

– Nadchodzą!

Od strony sąsiednich obozów wroga dochodziły krzyki i nawoływania. Odkryli już podstęp i szybko nadbiegali ku właściwemu polu bitwy. Oddział Tomasa w milczeniu wbiegł w nurt rzeki i ruszył na drugą stronę. Kiedy docierali do brzegu, nadleciały pierwsze strzały Tsuranich. W odpowiedzi Elfy z brzegu natychmiast zaczęły szyc z łuków. Powracający oddział błyskawicznie wtopił się w mrok pomiędzy drzewami i po chwili byli już bezpieczni, poza zasięgiem strzał wroga. Zatrzymali się i porozsiadali na ziemi, żeby złapać oddech i uspokoić wzburzoną, po emocjach bitwy, krew.

Galain zerknął na Tomasa.

– Nieźle nam poszło. Żadnych strat, tylko kilku lekko rannych, a zlikwidowaliśmy trzydziestu obcych.

Tomas nie uśmiechnął się. Zmarszczył czoło, zastanawiając się nad czymś... jakby coś słyszał. Podniósł głowę i spojrzął na Galaina, jakby dopiero teraz dotarły do niego jego słowa.

– Tak, tak. Poszło nieźle, ale musimy znowu uderzyć, jutro, pojutrze, następnego dnia i tak długo ich nękać, aż zaczną działać.

Noc w noc przekraczali rzekę. Napadali na jakiś obóz, aby następnego dnia uderzyć kilkanaście kilometrów dalej. Jedna noc mijiała spokojnie, a potem jeden obóz był atakowany przez kolejne noce z rzędu. Czasami samotna straża przeszywała mrok nocy ponad wodą, kładąc trupem wartownika na brzegu. Jego towarzysze zrywali się na nogi, gotowi do walki i czekali całą noc na atak, który nie następował; Kiedyś z kolei przebili się przez linie wroga o świcie, gdy obrońcy zdecydowali, że ataku tej nocy nie będzie. Zlikwidowali obóz, wdarli się na kilka kilometrów w południowe lasy i zdobyli tabory, zabijając wszystkich i wszystko, co napotkali, nawet dziwaczne sześcionogie stwory ciągnące wozy. W drodze powrotnej z wypadu stoczyli pięć potyczek, w których stracili trzech Elfów i dwóch Krasnoludów.

Tomas siedział w lesie ze swoim oddziałem liczącym teraz ponad trzystu Elfów i Krasnoludów, czekając na wieści z innych obozów. Posilali się dziczyzną przyprawioną mchami, korzonkami i bulwami wonnych, leśnych ziół. Goniec podbiegł do Tomasa i Galaina.

– Wiadomość z Armii Królewskiej. – Szaro ubrana postać, stojąca za nim, podeszła do obozowego ogniska. Tomas i Galain powstali.

– Witaj nam, Leonie z Natalii – przywitał gościa Elf.

– Witaj, Galain – odpowiedział wysoki, czarnoskóry strażnik leśny.

Elf przyniósł chleb i dymiącą miche duszonej dziczyzny. Poprosił, aby usiedli i zjedli coś.

– Jakie wieści od Księcia? – spytał Tomas.

– Książę Borric przesyła pozdrowienia – odpowiedział strażnik między jednym kęsem a drugim. – Sprawy wyglądają kiepsko. Na południu Tsurani powoli posuwają się do przodu, jak mech zarastający pień drzewa. Zdobędą kilka metrów i przyczajają się na jakiś czas. Nie

śpieszą się. Książę jest zdania, że w przyszłym roku będą chcieli dotrzeć do wybrzeża, odcinając w ten sposób Wolne Miasta od północy. Potem zaatakują prawdopodobnie w kierunku Zun lub La-Mut. Ale kto to może wiedzieć?

– A co słychać w Crydee? – pytał dalej Tomas.

– Tuż przed moim wyruszeniem w drogę przyleciały gołębie. Książę Arutha twardo stawia opór Tsuranim. Tam też mają pecha, jak tutaj, lecz ciągle posuwają się na południe, przez Zielone Serce. – Przyjrzał się Krasnoludom i Tomasowi. – Nie mogę wyjść z podziwu, że udało wam się dotrzeć do Elvandaru.

– To była długa droga. – Dolgan powoli pykał nieodłączną fajkę. – Musieliśmy przemieszczać się szybko, a zarazem bezszelestnie. Nie wydaje mi się, żeby nam się udało powrócić w góry teraz, kiedy wróg został postawiony na nogi ciągłymi atakami. Kiedy już zdobędą jakiś teren, bardzo niechętnie się go pozbywają.

Tomas spacerował przed ogniskiem.

– Jak wam się udało ujść uwadze strażników?

– Wasze napady wprowadziły sporo zamieszania w ich szeregach. Ściągnęli nawet posiłki nad rzekę, z linii frontu z Armiami Zachodu. Poszedłem po prostu za jednym z oddziałów. Nawet im przez myśl nie przeszło, żeby się oglądać do tyłu. Potem musiałem się już tylko prześlizgnąć przez ich linie, kiedy się wycofali, i jeszcze przy samej rzece.

– Czy wiesz, jak duże siły ściągnęli przeciwko nam? – spytał Calin.

Leon wzruszył ramionami.

– Ja sam widziałem sześć kompanii, ale z pewnością to nie wszystko.

Oceniali, że kompania Tsuranich składa się z dwudziestu trzydziestoosobowych pododdziałów.

Tomas klasnął w dłoń.

– Nie ściągaliby z innego frontu ponad trzech tysięcy ludzi, gdyby nie planowali ponownego przejścia na naszą stronę. Chcą zapewne zapędzić nas głęboko w lasy, abyśmy przestali nękać ich pozycje.

Podszedł szybkim krokiem do czarnoskórego leśnika.

– Czy przyszły z nimi jakieś Czarne Szaty?

– Tak. Czasami widywałem jakiegoś w kompanii, za którą szedłem.

Tomas z radości zatarł ręce.

– No, to rozumiem, tym razem nadchodzą jak trzeba. Musimy powiadomić resztę naszych obozów. Za dwa dni wszystkie oddziały spotykają się w Elvandarze, przy dworze Królowej. Na stanowiskach zostają tylko zwiadowcy i kurierzy, żeby obserwować ruchy obcych. Siedzący wokół ognisk kurierzy zerwali się błyskawicznie i popędzili bez słowa w las, aby powiadomić inne obozy Elfów rozciągnięte wzdłuż brzegów rzeki Crydee.

Ashen-Shugar siedział na tronie, nie zwracając uwagi na tancerki. Wszystkie, ze względu na ich urodę i wdzięk, zostały wybrane spośród kobiet moredheli, lecz on pozostawał nieczuły na ich powabne wdzięki. Myślami był bardzo daleko. Oczekiwał zbliżającej się bitwy. Gdzieś w środku czuł, jak rodzi się w nim i narasta dziwne, nieokreślone poczucie pustki. „To się nazywa smutek”, podszepnął mu wewnętrzny głos. Ashen-Shugar zastanawiał się: Kimże jesteś, aby nawiedzać mnie w mej samotności?

„Jestem tym, kim się stajesz. To tylko sen, wspomnienie”. Ashen-Shugar zerwał się gwałtownie z tronu, dobywając miecza i rycząc z gniewu. Muzycy zamarli w pół gestu. Zapadła martwa cisza. Tancerki, słudzy i muzykanci padli na ziemię przed swym panem i władcą.

– Ja jestem! To nie sen!

„Jesteś tylko wspomnieniem przeszłości”, powiedział głos. „Stajemy się jednością”.

Ashen-Shugar wzniosł miecz i ze świstem opuścił w dół. Głowa skulonego na podłodze

sługi potoczyła się po posadzce. Ashen-Shugar ukląkł i zanurzył dłoń w fontannie tryskającej krwi. Uniósł palce do ust i spróbował słonawego smaku.

– Czyż nie jest to smak życia! – krzyknął. „To złudzenie. Wszystko minęło”.

– Dziwnie się czuję, to niepokój, który sprawia, że jestem... brak mi słów.

„To strach”.

Ashen-Shugar ciął mieczem i młoda tancerka odeszła na zawsze.

– To, tutaj... oni znają strach. Ale co strach może mieć wspólnego ze mną?

„Boisz się. Wszystkie stworzenia obawiają się zmiany, nawet bogowie”.

Kim jesteś, powiedz? – zapytał bezgłośnie Valheru.

„Jestem tobą. Jestem tym, kim się staniesz. Jestem tym, kim byłeś. Jestem Tomas”.

Okrzyk z dołu wyrwał Tomasa z marzeń. Wstał, wyszedł z maleńkiego pokoiku i przeszedł przez most z gałęzi na poziom dworu Królowej. Wyjrzał przez zabezpieczającą barierę. Daleko w dole, w mroku rozświetlonym niewyraźnie blaskiem obozowych ognisk siedziały setki Krasnoludów. Stał przez dłuższą chwilę, chłonąc oczami tajemniczy obraz. Z każdą mijającą godziną przybywały do Elvandaru na jego wezwanie nowe setki wojowników, Elfów i Krasnoludów, powiększając szeregi tworzonej przez niego armii. Jutro zasiądzie, aby radzić wspólnie z Calinem, Tatharem, Dolganem i innymi. Jutro też przedstawi im swój plan przeciwstawienia się nadciągającej sile wroga.

Trwające już sześć lat walki stwarzały dziwną przeciwwagę dla snów, które stale nawiedzały go w nocy. Kiedy wpadał w szaleńczy wir bitwy, istniał w snach tego innego.

Kiedy oddalał się od puszczy Elfów, wezwanie do pogrążenia się w ten sen stawało się jeszcze bardziej natarczywe i jeszcze trudniejsze do opanowania. Nie obawiał się teraz, jak z początku, kiedy przychodził czas dziwnych odwiedzin. Na skutek marzeń sennych dawno zmarłej istoty stawał się kimś więcej niż zwykłym śmiertelnikiem. Pojawiły się w jego wnętrzu moce. Moce,

którymi będzie potrafił się posłużyć. Stanowiły one teraz częśćkę jego własnego ja, tak jak kiedyś były nieodłączną częścią tego, który chodził w bieli i złocie. Dobrze wiedział, że już nigdy nie będzie Tomasem z Crydee... lecz kim się stawał?

Usłyszał za plecami ledwo słyszalny szelest czyichś kroków.

– Dobry wieczór, moja pani – powiedział, nie odwracając głowy.

Królowa Elfów podeszła bliżej i stanęła u jego boku. Patrzyła na niego poważnym wzrokiem.

– Twoje zmysły są teraz jak zmysły Elfów – powiedziała w swym języku.

– Chyba tak. Lśniący Księżycu – odpowiedział w tym samym języku, posługując się starożytnym tłumaczeniem jej imienia.

W jej wzroku dostrzegł zdziwienie. Wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie jego twarzy.

– Czy to ten sam chłopiec, który na samą myśl, że ma rozmawiać z królową Elfów w komnatach rady książęcej, czerwienił się jak rak i nie mógł wyjąkać słowa, przemawia teraz w prawdziwym języku, jakby go znał od urodzenia?

– Jestem, kim jestem. Jestem tym, kogo widzisz. – Odsunął delikatnie jej dłoń.

Jego głos był pewny siebie, władczy.

Wpatrywała się z uwagą w jego twarz, powstrzymując z trudem dreszcz przerażenia, kiedy rozpoznała w niej coś strasznego.

– Lecz co ja widzę, Tomas?

– Pani, dlaczego mnie unikasz? – spytał, ignorując jej pytanie.

– Między nami, Tomas – zaczęła delikatnym tonem – rodzi się coś, co nie powinno było się zrodzić i nie ma prawa trwać. Stało się to w chwili, kiedy przybyłeś do nas po raz pierwszy.

Tomas obrzucił ją rozbawionym spojrzeniem.

– Wcześniej, pani. Od chwili, kiedy cię ujrzałem po raz pierwszy. – Patrzył w dół, w jej

oczy. – Dlaczego uważasz, że to niemożliwe? Czy jest ktoś lepszy ode mnie, kto mógłby zasiać przy twym boku, pani?

Odsunęła się. Na moment straciła kontrolę nad tym, co się działo koło niej. Tomas przez ułamek sekundy widział coś, czego świadkiem było tylko kilka osób w jej życiu: królowa Elfów była zmieszana, niepewna, podawała w wątpliwość swą starożytną mądrość i doświadczenie.

– Kimkolwiek jesteś, Tomas, przede wszystkim jesteś człowiekiem. Bez względu na moce, którymi zostałeś obdarzony, czas twego życia jest czasem ludzkim. Będę panowała aż do chwili, kiedy mój duch uleci do Błogosławionych Wysp, aby połączyć się z moim panem, który już odbył tę podróż. Potem władcą będzie Calin, jako syn Króla, jako Król. Tak to już jest u mojego ludu.

Tomas wyciągnął rękę, ujął jej twarz i obrócił delikatnie w swoją stronę.

– Nie zawsze tak bywało.

W oczach Aglaranny zamigotały iskierki strachu.

– Nie... nie zawsze byliśmy wolnym ludem. Wyczuła narastające w nim zniecierpliwienie; zarazem jednak zauważyła, że toczy wewnętrzną walkę. Zmusił się do spokojnego tonu.

– Więc nic nie czujesz?

Cofnęła się o krok.

– Skłamałabym, gdybym zaprzeczyła, Tomas. Ale to bardzo dziwne uczucie, które napełnia mnie niepewnością i lękiem. Gdybyś miał się przemieniać coraz bardziej w Valheru, poza granice panowania nad zmianą twojej ludzkiej natury... musiałbyś opuścić nasze progi. Nie możemy pozwolić na powrót Starodawnych.

Tomas zaśmiał się głośno, lecz w śmiechu słychać było przedziwną mieszaninę

rozbawienia i goryczy.

– Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy jako chłopiec, zapragnąłem cię po chłopięcemu.

Teraz, kiedy jestem dorosłym mężczyzną, pragnę cię po męsku. Czyż moc, która czyni mnie na tyle śmiałym, aby cię pożądać i szukać, moc, która daje mi środki, aby to osiągnąć, ma być jednocześnie przyczyną naszej rozłąki?

– Nie wiem, Tomas. – Aglaranna położyła dłoń na policzku. – Rodzina panująca nigdy nie była inna niż my sami. Inni mogą szukać związków z ludźmi. Nie chcę przeżywać beznadziejnego smutku, kiedy ty będziesz stary i siwy, a ja wciąż taka, jaką mnie dzisiaj widzisz.

– Nigdy się tak nie stanie, pani. – Oczy Tomasa rozbliły się, a w głosie zabrzmiały ostre nuty. – Będę mieszkał w tej puszczy przez tysiąc lat. Wiem to na pewno. Nie mam cienia wątpliwości, że tak będzie. Ale nie będę cię już więcej niepokoił, dopóki nie zostaną załatwione inne sprawy. Aglaranna, tak musi być, to zrzędzenie losu, przeznaczenie. Nadejdzie czas, że to zrozumiesz, pani.

Stała z dłonią uniesioną do ust, a w jej oczach zalśniły łzy. Odszedł, zostawiając ją samą na jej własnym dworze, aby przemyślała to, co jej powiedział. Po raz pierwszy od śmierci jej Pana – Króla – Aglarannę rozdzierały dwie, sprzeczne emocje: strach i tęsknota.

Ze skraju polany dobiegł okrzyk. Tomas odwrócił się. Od strony lasu szedł Elf, a za nim prosto ubrany człowiek. Przerwał rozmowę z Calinem i Dolganem i cała trójka pośpieszyła w ślad za nieznanym, którego prowadzono wprost na dwór Królowej. Aglaranna zasiadła na tronie, a po obu jego stronach, na ławach, zajęli miejsca starsi Elfów. Tathar stał obok Królowej.

Nieznajomy podszedł do tronu i skłonił się lekko. Tathar rzucił szybkie spojrzenie w stronę wartownika, który przyprowadził gościa, lecz ten wyglądał jak zamroczony. Człowiek



odziany w prostą, brązową szatę podniósł głowę i spojrzął na Królową.

– Bądź pozdrowiona, pani – odezwał się, posługując się doskonale językiem Elfów.

– Śmiało wchodzisz pomiędzy nas, nieznajomy – odpowiedziała Aglaranna w języku Królestwa.

Mężczyzna wsparł się na kiju wędrownym i uśmiechnął się.

– Lecz jak widzisz, postarałem się jednak o przewodnika, ponieważ nie chciałem przekraczać granic Elvandaru nieproszony.

– Odnoszę wrażenie, że twój przewodnik nie miał wielkiego wyboru – powiedział Tathar.

– Zawsze jest wybór, chociaż przyznaję, nie zawsze jest on oczywisty.

– W jakim celu przybywasz? – Tomas wystąpił o krok do przodu. Na dźwięk jego głosu nieznajomy odwrócił się.

– Ach! A oto ten, który nosi dar smoka! Witaj, cieszę się, że cię spotykam, Tomasie z Crydee.

Tomas cofnął się o krok. Oczy obcego promieniowały mocą, a pod płaszczkiem swobodnych manier wyczuwało się wielką siłę.

– Kto jesteś, mów!

– Mam wiele imion, lecz tutaj zwą mnie Czarnym Macrosem. – Podniósł laskę i zatoczył krąg dookoła, obejmując tym gestem wszystkich zebranych. – Przybyłem, ponieważ postanowiliście zrealizować śmiały plan. – Wymawiając te słowa, wskazał końcem kija na Tomasa. Opuścił koniec laski i znowu wsparł się na niej. – Wiedźcie jednak, że plan pochwycenia Czarnej Szaty nie doprowadzi do niczego dobrego, sprowadzi na Elvandar jedynie nieszczęście i zniszczenie... jeżeli nie będziecie mieli mojej pomocy. – Uśmiechnął się lekko. – Przyjdzie czas, że będziecie mieli Czarną Szatę, lecz nie teraz jeszcze. – W jego głosie słychać

było nutkę ironii. Aglaranna powstała z tronu. Wyprostowana jak trzcina popatrzyła prosto w jego oczy.

– Dużo wiesz.

Macros lekko skłonił głowę.

– O tak, zaiste wiem dużo, nawet więcej... by inni mogli zachować dobre samopoczucie.

Przeszedł koło niej i położył rękę na ramieniu Tomasa. Popchnął go lekko i podprowadził do ławy koło miejsca, gdzie stała Królowa. Delikatnie ścisnął ramię Tomasa i zmusił go, aby usiadł. Sam też zajął miejsce koło niego, a kij podróżny oparł na ramieniu.

Spojrzał na Królową.

– O świcie nadejdą Tsurani. Przedrą się wprost do Elvandaru.

– Skąd wiesz o tym? – Tathar stanął przed Macrosem.

– Czyżbyś mnie nie pamiętał, jak radziłem z twym ojcem? – Macros ponownie się uśmiechnął.

Tathar cofnął się o krok z oczami rozszerzonymi jak spodki.

– Ty...

– Tak, ja to on, ten sam, we własnej osobie... chociaż nie nazywają mnie już jak wtedy.

– To było tak dawno temu. – Tamar stał zmieszany. Nie sądziłem, że to możliwe...

– Wiele jest możliwe. – Powiódł znacząco wzrokiem od Królowej do Tomasa.

– Jesteś czarnoksiężnikiem? – Aglaranna powoli usiadła, usiłując ukryć zmieszanie.

Macros kiwnął głową.

– Tak mnie nazywają, chociaż moja historia jest znacznie dłuższa, za długa, aby teraz rozwodzić się nad nią. Czy wysłuchasz mnie i postąpisz zgodnie z radą?

Tamar zwrócił się w stronę Królowej i pokiwał głową.

– Dawno temu człowiek ten pośpieszył nam z pomocą. Nie rozumiem, co prawda, jak to

możliwe, że to ten sam człowiek, lecz był wtedy prawdziwym przyjacielem, bardzo cenionym przez twego i mojego ojca. Pewien jestem, pani, że możemy mu zaufać.

– Jakaż więc jest twa rada? – spytała Królowa.

– Magowie Tsuranich namierzili wasze straże. Doskonale wiedzą, gdzie każdy ma swoje stanowisko. Przybędą wraz z nadejściem świtu, przechodząc przez rzekę dwoma falami, na kształt rogów byka. Kiedy zastąpicie im drogę na dwóch frontach, wówczas w środek waszych linii, tam, gdzie jesteście najsłabsi, uderzą tabuny stworów zwanych Cho-ja. Do tej pory nie wykorzystali ich w walkach przeciwko Elfom, lecz Krasnoludy mogą coś powiedzieć na temat ich kunsztu wojennego.

– O tak, pani. – Dolgan wysunął się do przodu. – To przerażające stworzenia. Potrafią walczyć w ciemności równie dobrze jak moi ludzie. Myślałem nawet, że wykorzystują je tylko w kopalniach.

– Tak też było aż do czasu nasilenia waszych wypadów na tamten brzeg. Sprowadzili w te strony całe tabuny. Gotują się teraz do walki w głębi ich pozycji, tam, gdzie nie docierają już wasi zwiadowcy. Nadciągną w wielkiej liczbie. Tsurani mają już dosyć waszych napadów i są zdecydowani położyć kres walkom nad rzeką. Czarne Szaty trudziły się ostatnio w pocie czoła, aby odkryć sekrety Elvandaru. Wiedzą już, że jeśli święte serce puszczy Elfów przestanie bić. Elfy przestaną się liczyć.

– W takim razie cofniemy nasze linie, by bronić środka – powiedział Tomas.

Macros siedział przez chwilę w milczeniu, skupiony, jakby sobie coś przypominał.

– To na początek. Musicie wiedzieć, że przyjdą razem z magami, którzy za wszelką cenę postanowili zrealizować swój plan. Ich magia pozwoli wojownikom Tsuranich przejść bez przeszkód przez waszą puszcę. Tym razem nie pomogą zaklęcia czarnoksiężników Elfów. Tsurani dotrą aż tutaj.

– Zatem stawimy im tu czoło i wytrwamy aż do końca.

– Mężna jesteś, pani Elfów, lecz będziecie potrzebowali mej pomocy. – Macros pokiwał głową z uznaniem.

A cóż może zdziałać j eden człowiek? – Dolgan przyglądał się spod oka czarnoksiężnikowi.

– Wiele. – Macros podniósł się z ławy. – Jutro przekonacie się sami. Nie trzeba się obawiać, Dolgan. Bitwa będzie ciężka, długa i krwawa. Wielu wyruszy w podróż do Błogosławionych Wysp, lecz z mocnym postanowieniem zwycięstwa w sercach zwyciężymy.

– Mówisz, jakbyś już to widział, jakby to się już zdarzyło – powiedział Tomas.

Macros uśmiechnął się tajemniczo, a jego oczy mówiły wszystko i nic zarazem.

– Zaiste, Tomasie z Crydee, nieprawdaż? – Odwrócił się do reszty zebranych, wznosił laskę i zatoczył krąg nad ich głowami.

– Przygotujcie się. Będę z wami. – Zwrócił się do Królowej: – Chciałbym udać się teraz na spoczynek, jeżeli znajdziesz dla mnie miejsce, pani?

Królowa spojrzała na Elfa, który przyprowadził Macrośa do Elvandaru.

– Zaprowadź go do pokoju i zatroszcz się, aby otrzymał wszystko, o co poprosi.

Czarnoksiężnik skłonił się i udał się za swoim przewodnikiem. Reszta zebranych stała przez dłuższy czas w milczeniu.

W końcu Tomas przerwał ciszę.

– Przygotujmy się.

Noc ustępowała powoli przed świtem. Aglaranna stała samotnie koło tronu. Przez wszystkie lata swego długiego panowania jeszcze nigdy nie doświadczyła takiego czasu jak teraz. Przez myśl przelatywały setki obrazów i wizji, zarówno z odległych lat młodości, jak i ostatnich wydarzeń, sprzed dwóch dni zaledwie.

– Szukasz odpowiedzi w przeszłości, pani? Odwróciła się. Niedaleko za nią stał czarnoksiężnik. Jak zwykle, wspierał się na swym kiju. Podeszedł bliżej i stanął obok.

– Potrafisz czytać w moich myślach, czarnoksiężniku?

– Nie, pani. – Uśmiechnął się i machnął ręką. – Jednak wiem wiele i wiele też potrafię dostrzec. Ciężko ci na sercu, a i myśli masz niewesołe.

– Czy znasz przyczynę?

– Bez wątpienia, pani. – Macros zaśmiał się po cichu. – Lecz gotów jestem pomówić o tym z tobą.

– Dlaczego, czarnoksiężniku? Jaka jest twa rola w tym wszystkim?

Macros spojrział w dal, na światelka Elvandar.

– Rola? No cóż, podobna to tych, jakie wszyscy inni odgrywają.

– Lecz ty znasz swoją tak dobrze.

– To prawda. Niektórzy zostali obdarzeni darem dostrzegania i rozumienia rzeczy, które dla innych pozostają zakryte. Taki już mój los.

– Dlaczego przybyłeś?

– Ponieważ jest ku temu potrzeba. Beze mnie Elvandar może upaść, a do tego nie wolno dopuścić. Tak zostało postanowione, a ja mogę jedynie spełnić właściwie przeznaczoną mi rolę.

– Czy zostaniesz u nas, jeśli wygramy bitwę?

– Nie. Czekają mnie inne zadania. Wiedz jednak, że przybędę, jeśli tylko znowu zaistnieje wielka potrzeba mej obecności tutaj.

– Kiedy?

– Tego wyjawić ci nie mogę.

– Czy nastąpi to szybko?

– Wystarczająco szybko, chociaż może nie aż tak szybko,

– Mówisz zagadkami.

– Życie to zagadka. – Na twarzy Macrosa zagościł krzywy, smutny uśmiezek. – Jest w rękach bogów. Stanie się wedle ich woli, a wielu śmiertelnych stwierdzi, że ich życie uległo zmianie.

– Tomas? – Aglaranna wpatrzyła się głęboko w ciemne oczy czarnoksiężnika.

– On w sposób najbardziej widoczny, lecz dotyczy to jednak wszystkich, którym przyszło żyć w tych czasach.

– Kim on jest?

– A kim byś chciała, żeby był?

Nie mogła się zdobyć na odpowiedź. Macros położył delikatnie dłoń na jej ramieniu i w tym momencie poczuła, jak spływa na nią fala spokoju. Usłyszała niespodziewanie własne słowa.

– Nie chcę sprowadzać na mój lud nieszczęścia i kłopotów, lecz kiedy go widzę, serce moje napęłnia się tęsknotą. Pragnę mężczyzny... mężczyzny z jego mocą i siłą. On o tym nie wie, ale jest taki sam jak mój zmarły pan i mąż. Jednocześnie obawiam się go, ponieważ kiedy już złożę ślubowanie, kiedy wyniosę go ponad siebie... utracę moc władania. Sądzisz, że starsi udzielą swego przyzwolenia? Mój lud nigdy nie zgodzi się dobrowolnie, aby ponownie wziąć na swe barki brzemień Valheru.

Czarnoksiężnik milczał przez dłuższą chwilę.

– Pomimo całego kunsztu i wiedzy magicznej, którą posiadam, są rzeczy, które i przede mną pozostają zakryte. Jedno wszakże musisz wiedzieć, pani. Jest w tym obecna magia, której wielkość i moc przerastają zdolność naszego pojmowania. Nic więcej nie mogę wyjawić, poza tym może, że jej siła i działanie sięgają poprzez czas... o wiele bardziej, niż nam się może

wydawać. Wiedz bowiem, pani, że chociaż to prawda, iż Valheru jest dziś obecny w Tomasie, to również prawdą jest, że i Tomas istnieje w Valheru w zamierzchłych, dawno minionych wiekach. Tomas nosi zbroję Ashen-Shugara, ostatniego Jeźdźca Smoków. Kiedy rozszalały się Wojny Chaosu, on jeden pozostał na tym świecie, ponieważ doświadczał i odczuwał rzeczy, które były całkowicie obce jego rasie.

– Tomas?

– Nie zastanawiaj się nad tym zbyt długo, pani. – Macros uśmiechnął się. – Takie paradoksy, gdy za wiele poświęcamy im uwagi, wprowadzają jedynie zamęt myśli i niepokój wewnętrzny. Ashen-Shugar odczuł, że za wszelką cenę powinien bronić tego świata. Aglaranna wpatrywała się długo w twarz Macrosa oświetloną migotliwym światłem Elvandaru.

– Czarnoksiężniku, poznałeś starożytną wiedzę w stopniu większym niż inni ludzie.

– Powierzono mi bardzo wiele, pani. – Zapatrzył się w dal ponad szczytami drzew puszczy Elfów.

– Dla Tomasa nadejdzie już niedługo czas próby – mówił bardziej do siebie niż do Królowej. – Nie wiem, nie jestem pewien, co nastąpi i czym się to skończy, jednak wiem jedno: ten chłopiec z Crydee w swej prostej, ludzkiej miłości do ciebie i twojego ludu zdołał w przedziwny i niewytłumaczalny sposób stawić czoło najbardziej potężnemu przedstawicielowi najpotężniejszej rasy śmiertelnych, która zamieszkiwała kiedykolwiek ten świat. Straszny ból, jakiego doświadcza, kiedy zmagają się w nim dwie przeciwstawne natury, w dużym stopniu łagodzi moc delikatnych czarów, którymi otoczyli go czarodzieje Elvandaru.

– Więc i o tym wiesz? – Aglaranna spojrzała na niego twardym wzrokiem.

– Wiedz, pani, że i ja nie jestem wolny od pewnej próżności i pychy. – Macros roześmiał się w szczerym rozbawieniu. – Zabolało mnie, kiedy zasugerowałaś, że mógłbym nie

dostrzec misternej sieci zaklęć, którą Tomas jest otoczony. Prawie nie ma takiej magii, która by mogła ujść mej uwadze. To, co zrobiłaś, jest bardzo roztropne, wierz mi, i być może przesądzi o tym, że szala przechyli się na korzyść Tomasa.

– To myśl, którą się bronię sama przed sobą – powiedziała Aglaranna cicho. – Kiedy dostrzegam w Tomasie pana, który dorównuje Królowi lat mej młodości, mężowi, który przedwcześnie mnie opuścił. Czy to może się spełnić?

– Jeżeli uda mu się przetrwać czas próby, tak. Być może konflikt będzie końcem zarówno dla Tomasa, jak i Ashen-Shugara, kto wie? Jeśli jednak przetrwa, będzie mógł stać się tym, za czym tęsknisz w swych najskrytszych marzeniach. Wyjawię ci, pani, coś, co teraz jest wiadome jedynie bogom i mnie. Co prawda potrafię przewidzieć i ocenić wiele zdarzeń, które dopiero nastąpią w przyszłości, lecz z drugiej strony, wiele faktów pozostaje dla mnie okrytych mgłą tajemnicy. Jednego jestem pewien: przy twoim boku, pani, Tomas ma szansę stać się dobrym i mądrym władcą. Kiedy młodość zostanie zastąpiona dojrzałą mądrością i doświadczeniem, może się stać panem twych marzeń i tęsknot, jednak pod warunkiem, że jego ludzkie serce zdoła zapanować nad jego straszną mocą. Jeżeli zostanie stąd wyrzucony, zarówno Królestwo, jak i wolne ludy Zachodu czeka straszliwy los.

W jej oczach trwało nieme pytanie.

– Pani, nie potrafię zgłębić mroków tej przyszłości, mogę jedynie przypuszczać. Gdyby miało się zdarzyć, że Tomas osiągnie pełnię mocy, a ciemna jej strona zdominuje jego działania, wtedy... no cóż, stanie się siłą tak potężną i straszliwą, że trzeba ją będzie zniszczyć. Nie będzie innego wyjścia. Ci, którzy mieli okazję oglądać go, kiedy przychodzi na niego szaleństwo bitwy, widzą jedynie cień prawdziwego mroku, który tkwi w jego wnętrzu. Nawet w przypadku zachowania równowagi obu natur, kiedy ludzka strona zdoła przetrwać, a ty, mimo wszystko, odeślesz go, wtedy może dojść do głosu ciemniejsza strona ludzkiej natury, z



jej gniewem, bólem i nienawiścią. Pytam przeto, pani, co się stanie, jeżeli Tomas zostanie wypędzony i któregoś dnia wzniesie na północnych krańcach sztandar smoków?

Królowa przeraziła się. Spod maski samokontroli wyłonił się strach.

– Moredhele... moredhele się zjednoczą.

– Tak, pani, nie inaczej. I to nie w drobnych grupkach uciążliwych dla otoczenia

bandytów, lecz jako jeden naród. Dwadzieścia tysięcy Mrocznych Braci, a z nimi sto tysięcy goblinów, nie licząc band ludzi, którym mroczna strona natury każe szukać korzyści w zniszczeniu i okrucieństwach, rozleje się po całym kraju w następstwie ich zjednoczenia.

Ogromna i potężna armia, kierowana żelazną pięścią urodzonego wojownika, wodza, za którym nawet twoi ludzie pójną bez wahania.

– Radzisz mi więc, abym go tutaj zatrzymała?

– Ja mogę jedynie wskazać możliwości... decyzję musisz podjąć sama, pani.

Królowa Elfów odrzuciła głowę do tyłu. Grzywa złocisto-rudych włosów zawirowała wokół twarzy. W oczach zalśniły łzy. Wpatrywała się z bolesnym napięciem w rozciągający się dookoła Elvandar. Na wschodzie pojawiło się blade pasemko świtu. Różowe światło jutrenki przebijało się przez gęste korony drzew, rzucając błękitne cienie u ich podnóża. Budziły się pierwsze ptaki, witając śpiewem nowy dzień. Odwróciła się do Macrosa, chcąc podziękować mu za rady, lecz jego już nie było. Odszedł.

Tsurani nadeszli tak, jak przepowiedział Macros. Cho-ja zaatakowały, przekraczając rzekę w linii prostej, gdyż już dwie nawały ludzkie przerwały linię frontu na obu flankach.

Tomas, aby stworzyć pozory obrony, wysłał do przodu niewielkie grupki żołnierzy, którzy angażowali siły nacierającego wroga w drobnych potyczkach, oraz bieźników w towarzystwie nielicznych tarczowników. Oddziały te, rażąc wroga strzałami, wycofywały się powoli.

Tomas stanął na czele zjednoczonych armii Elvandaru i Krasnoludów z Szarych Wież.

Pod swoją komendą miał tysiąc pięciuset żołnierzy. Tsurani nadciągali w sile sześciu tysięcy ludzi wspomaganych przez magów. obrońcy Elvandaru czekali w milczeniu. Wróg zbliżał się nieubłaganie. Echo niosło po lesie okrzyki wojowników Tsuranich i wrzaski tych, którzy zostali trafieni strzałami Elfów. Tomas spojrzął w górę, na Królową, która stała wysoko ponad nimi, na platformie z konarów. Obok niej stał czarnoksiężnik.

Nagle zaroilo się od biegnących ku nim Elfów. Pomiędzy drzewami pojawiły się pierwsze, jaskrawo-kolorowe błyski zbroi i oręża Tsuranich. Kiedy wszyscy z pierwszej linii dobiegli do głównych sił, Tomas wznosił miecz.

– Poczekaj! – Rozległ się donośny głos ponad ich głowami. Czarnoksiężnik wyciągnął ramię i wskazał na pierwszych Tsuranich wypadających spomiędzy drzew na polanę.

Spostrzegli nieruchome szeregi czekającej armii Elfów. Zatrzymali się, czekając, aż dołączą do nich następni. Oficerowie uwijali się w pierwszej linii, formując i przegrupowując szeregi.

Nareszcie mieli do czynienia z walką, na której się znali i którą dobrze rozumieli. Na otwartej przestrzeni spotykały się dwie armie, a przewaga była po ich stronie.

Cho-ja również stanęły w karnych szeregach, wykonując wykrzykiwane donośnym głosem rozkazy oficerów. Tomas patrzył jak urzeczoną. Do tej pory nie wiedział wiele o stworach, uznając je zarówno za zwierzęta, jak i za zdolnych do inteligentnego myślenia sprzymierzeńców Tsuranich.

– Czekaj! – krzyknął ponownie Macros. Wznosił laskę i zaczął kreślić w powietrzu szerokie koła. Nad polaną i otaczającym ją lasem zapadła nienaturalna cisza i spokój.

Nagle tuż koło głowy Tomasa przeleciała sowa, zmierzając prosto ku szeregom Tsuranich. Krążyła przez chwilę ponad ich głowami, po czym runęła lotem nurkowym w dół i uderzyła w twarz żołnierza. Obcy krzyknął przeraźliwie, kiedy szpony ptaka wydarły mu oczy. Nad Elfami przemknął jastrząb i idąc w ślady sowy, zaatakował innego żołnierza. Po

chwili czarny jak smoła gawron, pikując z nieba, wpił się szponami w twarz kolejnego.

Spośród listowia niebotycznych drzew Elvandaru wzbiła się w powietrze chmara wróbli i latając nad szeregami Tsuranich, dziobała zawzięcie ich twarze i odkryte ramiona. Po paru minutach nad polaną kłębiły się z szumem skrzydeł tysiące puszczańskich ptaków atakujących niezmordowanie zastępy napastników. Na polanę zleciały się chyba wszystkie zamieszkujące knieję Elfów, od najmniejszych mysikrólików po ogromne latające majestatycznie orły. Wszystkie, bez względu na wielkość i upierzenie, rzucały się na Tsuranich. Wśród szeregów podniósł się krzyk. Tu i ówdzie któryś z żołnierzy wyłamywał się z szyku i pędził na oślep przed siebie, opędzając się przed ptakami, które ostrymi dziobami i szponami atakowały oczy, rozrywały skórę twarzy i szarpały odzież. Szeregi Cho-ja stawały dęba, cofając się w popłochu, bo chociaż okryta pancerzem skóra nie była narażona na atak, to jednak ich ogromne, błyszczące oczy, stanowiły dla pierzastych napastników łatwy cel.

Kiedy szyki Tsuranich załamały się, Elfy wzniosły radosny okrzyk. Tomas wydał komendę i łucznicy dołączyli do ogólnego zamieszania pierzaste strzały. Żołnierze przeciwnika, zanim jeszcze zdążyli zetrzeć się z wrogiem, padali martwi na ziemię. Ich własne zastępy łuczników nie mogły odpowiedzieć na atak, ponieważ były zajęte oganianiem się przed chmarami maleńkich napastników.

Elfy przyglądały się spokojnie, jak Tsurani za wszelką cenę usiłowali utrzymać porządek i pozycje, podczas gdy ptaki niezmordowanie kontynuowały krwawe dzieło. Obcy bronili się, jak mogli. Wiele ptaków ginęło w locie trafionych uderzeniami wroga, lecz w miejsce każdego martwego pojawiały się natychmiast trzy następne.

Nagle ponad wrzawą rozległ się potworny, rozdzierający uszy, syczący, jakby skwierczący dźwięk. Na moment zapadła głucha cisza, a wszystko, co się ruszało po stronie Tsuranich, zamarło w bezruchu. Niespodziewanie chmury ptactwa wzbiły się w górę, a za nimi

z trzaskiem i sykiem leciały błyskawice, jak rzucona na wiatr garść suchego igliwia. Ptaki uciekły z polany. Tomas zauważył, że pośród szeregów wroga pojawiły się czarne szaty magów, którzy krążąc wśród żołnierzy, przywracali porządek i spokój. W trawie leżały setki jęczących z bólu Tsuranich. W krótkim czasie zaprawieni w bojach i rwący się do walki obcy przeszeregowali się, zostawiając rannych własnemu losowi.

Nad polaną pojawiła się niespodziewanie znowu ogromna chmura ptaków. Doleciały nad zastępy najeźdźcy i runęły w dół lotem nurkowym. W tej samej chwili ponad głowami Tsuranich rozpostarła się tarcza pulsującej czerwienią energii. Kiedy ptaki uderzały w drgającą płaszczyznę, sztywniały i padały martwe. Skrzydła dymiły, napełniając powietrze smrodem tłących się piór i palonych kości. Strzały Elfów, uderzając w barierę, stawały w płomieniach i nie czyniąc szkód, opadały spokojnie na ziemię.

Tomas krzyknął, aby wstrzymać bezcelowe strzelanie z łuków. Odwrócił się i spojrzał w górę na Macrosa.

– Poczekaj! – zawołał ponownie czarnoksiężnik.

Macroś zakreślił kijem krąg i pozostałe przy życiu ptaki, słysząc bezgłośnie komendę, rozpierzchły się w okamgnieniu. Czarnoksiężnik wyciągnął przed siebie laskę, mierząc w czerwoną tarczę nad przeciwnikiem. Z końca kija wystrzelił nagle złocisty piorun. Przemknął nad polaną, przedarł się przez barierę pulsującej energii i wbił w pierś czarno odzianego maga. Nad szeregami Tsuranich wzbil się okrzyk przerażenia i wściekłości, kiedy ciało ich maga osunęło się bezwładnie na ziemię. Pozostali magowie skierowali swą uwagę na platformę nad głowami Elfów i po chwili ku Macrosowi pomknęły błękitne kule ognia.

– Aglaranna! – krzyknął rozwścieczony Tomas, kiedy niebieskie, iskrzące energią gwiazdy uderzyły w platformę, spowijając ją momentalnie oślepiającym całunem eksplodującego światła. Po chwili odzyskał zdolność widzenia.

Czarnoksiężnik stał niewzruszenie na platformie. Obok niego zaś stała cała i zdrowa Aglaranna. Tathar odciągnął ją na bok. Macros wymierzył znowu swój kij i po chwili następny mag wroga padł martwy na ziemię. Pozostała czwórka Czarnych Szat patrzyła na Macrosa – który nie tylko przeżył ich uderzenie, ale sam ponownie zaatakował – z wyrazem osłupienia pomieszanego z wściekłością, co było wyraźnie widoczne z drugiej strony polany. Podwoili swe wysiłki, miotając w stronę Macrosa kolejne fale błękitnego światła i ognia, które rozбивały się o ochronną barierę wokół czarnoksiężnika. Oślepiające światło wyzwalonej energii było tak intensywne, że wszyscy stojący na ziemi, w obawie przed utratą wzroku, odwrócili się w drugą stronę. Po pewnym czasie atak magów ustał. Tomas błyskawicznie spojrział w górę i odetchnął z ulgą. Czarnoksiężnik, cały i zdrowy, stał na platformie.

Z ust jednego z magów wydarł się okrzyk pełen udręki i bezsilnej wściekłości.

Spomiędzy fałd czarnej szaty wyciągnął jakiś przyrząd, uruchomił go i zniknął z polany. Po chwili pozostała czwórka poszła w jego ślady. Macros opuścił wzrok w dół, na Tomasa, i wyciągnął laskę w stronę szeregów wroga.

– Teraz! – krzyknął.

Tomas wzniosł miecz i dał sygnał do ataku. Ruszył biegiem przez łąkę. Ponad głowami pierwszego szeregu poszybowała ku Tsuranim chmura strzał. Przeciwnik był już zdemoralizowany zniweczeniem ich pierwszego uderzenia przez ptaki oraz widokiem śmierci dwóch magów i ucieczki pozostałych. Mimo to mężnie stawili czoło nacierającym Elfom. Chociaż setki padły pod ciosami dziobów i szponów, a jeszcze większe zastępy pod strzałami Elfów, nadal jednak mieli przewagę trzech na jednego.

Bitwa rozgorzała na dobre. Na Tomasa spłynęła czerwona mgła, odsuwając na bok wszelkie myśli, poza jedną: zabijać! Tnąc na lewo i prawo, posuwał się powoli do przodu, wyrąbując w szeregach wroga ścieżkę. Wszystkie próby, aby go powalić, kończyły się

niepowodzeniem i kolejnym śmiertelnym krzykiem przeciwnika. Parł do przodu, ostrzem miecza rozdzielając śmierć równo i sprawiedliwie pośród wszystkich, którzy stanęli mu na drodze, bez względu na to, czy byli to żołnierze Tsuranich czy Cho-ja.

Skłębiona masa ciał przewalała się z jednego krańca polany na drugi. Trup słał się gęsto. Po kilkunastu minutach w trawie leżały pospołu zwłoki Tsuranich, Cho-ja, Elfów i Krasnoludów. Słońce wspinało się powoli po nieboskłonie, lecz w czasie bitwy nie ma odpoczynku. Nad polaną wznosiły się śmiertelne okrzyki konających, a jeszcze wyżej krążyły już majestatyczne sępy.

Stopniowo nieustanny napór Tsuranich spychał Elfy i Krasnoludy do tyłu. Powoli, lecz nieubłagane cofali się w stronę serca Elvandaru. Przez chwilę zapanował spokój, jakby nastąpiło przesilenie, i żaden z przeciwników nie mógł osiągnąć przewagi. Szeregi odsunęły się od siebie, zostawiając pośrodku pas wolnej przestrzeni. Ponad przytłumionym gwarem rozległ się krystalicznie czysty, donośny głos czarnoksiężnika.

– Cofnąć się!

Jak jeden mąż armia Elvandaru wycofała się.

Tsurani wahali się przez moment, a potem, wyczuwając niepewność Elfów i Krasnoludów, ruszyli do przodu. Nagle rozległ się przeciągły grzmot, a ziemia drgnęła w posadach. Wszyscy na polanie zamarli. Tsurani rozglądali się wokół przerażeni.

Ziemia dygotała coraz gwałtowniej. Tomas spojrzał na chwiejące się na wszystkie strony drzewa. Nad głowami rozpętało się istne piekło. Potworny grzmot eksplodował nad ziemią, jakby w polanę uderzył praprzodek wszystkich piorunów świata. Wraz z narastającym grzmiotem wystrzeliła w górę, jakby wyniesiona gigantyczną ręką, ogromna bryła ziemi.

Stojący w tym miejscu Tsurani poszybowali w górę jak wystrzeleni z procy, aby po chwili spaść z łoskotem na ziemię. Ci, którzy stali nie opodal, przewracali się niezdarnie.

Ekspłodowała kolejna bryła ziemi. Po chwili następna. Nagle powietrze wypełniło się latającymi blokami ziemi, które spadały na Tsuranich, przywalając ich swym ogromnym ciężarem. Wśród szeregów wroga podniósł się wrzask przerażenia. Zastępy Tsuranich odwróciły się i poczęły umykać w stronę rzeki. Czynili to w nieładzie, popłochu, pędząc przed siebie na oślep – uciekali przecież z miejsca, gdzie sama ziemia wystąpiła przeciwko nim. Tomas przyglądał się w milczeniu, jak łąka pustoszała. Po paru minutach zostali tylko martwi i umierający.

Zapadała cisza. Ziemia stopniowo uspokajała się i osiadała, powracając na właściwe jej miejsce. Echo niesło niewyraźne, przeraźliwe krzyki wycofujących się nieprzyjaciół, opowiadając z oddali o innych, ścigających ich przez puszcze potwornościach.

Tomas poczuł narastającą falę zmęczenia i słabości. Przyjrzał się sobie – ramiona miał zbryzgane krwią. Co prawda kaftan, tarcza i złoty miecz lśniły, jak zwykle, nieskazitelną czystością, lecz po raz pierwszy w życiu czuł się jakby zbrukany ludzkim życiem, które odebrał innym. Kiedy przebywał w Elvandarze, szaleństwo bitwy ulatywało natychmiast po walce, a teraz czuł, jak w głąb serca przenika smutek, przerażenie i zwątpienie.

Odwrócił się do stojących za nim szeregów.

– Już po wszystkim – powiedział ledwo słyszalnym głosem.

Elfy i Krasnoludy wzniosły okrzyk zwycięstwa, lecz jakoś cicho i bez entuzjazmu.

Żaden z nich nie czuł się prawdziwym zwycięzcą. Byli po prostu świadkami, jak ogromne zastępy wroga zostały powalone w proch przez pierwotne moce, przez dziewicze, nieziemskie, nie dające się opisać słowami żywioły.

Tomas przeszedł powoli koło Calina i Dolgana i zaczął wchodzić na schody. Książę Elfów wysłał żołnierzy, aby śledzili wycofujących się Tsuranich, zajęli się rannymi Elfami i Krasnoludami oraz skrócili męki konającym na polanie wrogom.

Tomas dotarł do swego małego pokoiku i odsunął na bok zasłonę. Usiadł ciężko na posłaniu, ciskając w kąt miecz i tarczę. Tępy, tętniący ból głowy zmusił go do przymknięcia oczu. Wspomnienia napłynęły jak fala powodziowa.

Rozszalałe wiry energii rozdzierały pociemniałe niebiosa od horyzontu po horyzont.

Ashen-Shugar siedział na potężnym karku Shurugi przyglądając się, jak pęka elementarna materia czasu i przestrzeni.

Rozległ się donośny, zwiastujący początek klangor, który usłyszał dzięki sile swej magii. Chwila, na którą czekał, nadeszła. Ścisnął Shurugę kolanami i smok wzbił się w górę. Wzrok Ashen-Shurugi omiatał niebiosa w poszukiwaniu tego, co musiało się pojawić na tle oszalałych żywiołów. Dokładnie w chwili, kiedy spostrzegł swą ofiarę, poczuł, jak smok pod nim sztywnieje. On też ją zauważył. Sylwetka Draken-Korina dosiadającego potężnego, kruczocznego smoka rosła w oczach. W oczach Draken-Korina dostrzegł przedziwny wyraz i po raz pierwszy w swym długim życiu Ashen-Shugar zaczynał rozumieć, co oznacza przerażenie. Nie potrafił co prawda tego nazwać, nie był w stanie opisać, lecz wyraźnie widział to w udręczonym spojrzeniu Draken-Korina.

Ashen-Shugar pchnął smoka w przód. Ogromny, złocisty smok ryknął, rzucając wyzwanie. Czarna, równie potężna bestia ryknęła w odpowiedzi. Oba potwory zwarły się w powietrzu, a ich jeźdźcy rozwinęli kunszt swej sztuki wojennej.

Ashen-Shugar wznosił złocisty miecz ponad głowę, wygiął się w tył i ciął strasznie.

Czarna tarcza z podobizną szczerzącego kły tygrysa rozpadła się na dwie połowy. Szło zbyt łatwo, pomyślał Ashen-Shugar, ale wiedział przecież z góry, że tak właśnie będzie.

Draken-Korin poświęcił zbyt wiele swego jestestwa temu, co się właśnie tworzyło. Teraz, wobec potęgi i mocy ostatniego Valheru, tylko nieznacznie przewyższał zwykłego śmiertelnika. Ashen-Shugar uderzył raz, drugi i trzeci i to, co zostało z jego brata, spadło z



grzbietu czarnego smoka i kręcąc się w powietrzu, uderzyło ciężko o ziemię. Posługując się siłą woli, Ashen-Shugar opuścił grzbiet Shurugi i spłynął delikatnie w dół, stając po chwili przy bezradnym ciele Draken-Korina. Złoty smok też kończył swój pojedynek z ledwie żywym przeciwnikiem.

W potwornie zniekształconej, krwawej masie u stóp Ashen-Shugara tliła się jeszcze iskierka życia, życia, w którym kołatało się wspomnienie minionych wieków. Draken-Korin spojrział na Ashen-Shugara błagalnym wzrokiem.

– Dlaczego? Ashen-Shugar wskazał złocistym ostrzem na niebiosa.

– Nigdy nie powinno się było dopuścić do tej plugawości. Sprowadzasz koniec na świat, który był nam znany, świat, który był naszym światem.

Wzrok Draken-Korina powędrował ku górze za mieczem tego, który go pokonał.

Patrzył w milczeniu na rozszalały, ryczący grzmotem pokaz pierwotnej energii, śmigającej poprzez pociemniały firmament tęczowymi zygzakami poskręcane go, skwierczącego światła.

Był oto naocznym świadkiem narodzin i formowania się nowego, potwornego bytu, stworzonego z wykrzywionej i zwyrodniałej siły życiowej swych braci i sióstr; szalejącego, bezmyślnego bytu, kwintesencji nienawiści i wściekłości.

– Byli tacy silni... – powiedział Draken-Korin ochrypłym głosem. – Nawet nie mogliśmy marzyć... – Jego twarz skurczyła się w grymasie przerażenia i nienawiści, kiedy

Ashen-Shugar wznosił złocistą klingę. – Miałem prawo! – wrzasnął potwornym głosem.

Ashen-Shugar opuścił miecz, oddzielając gładko głowę Draken-Korina od reszty ciała.

W tej samej chwili obie części zostały otoczone migotliwym światłem. Powietrze wokół Ashen-Shugara zasyczało złowrogo. Po chwili padły w walce Valheru zniknął bez śladu, a jego istota, sedno bytu, wróciła do bezmyślnego potwora szalejącego przeciwko nowym bogom.

– Nie ma prawa – powiedział Ashen-Shugar gorzko. – Jest tylko siła.

„Czy tak właśnie to było?”

– Tak, tak oto zabiłem ostatniego z moich braci.

„A inni?”

– Są częścią tego... – Wskazał na straszne niebo. Zawsze razem, nigdy osobno, patrzyli na szaleństwo nad głowami, gdzie rozpętały się Wojny Chaosu.

– Chodź – odezwał się Ashen-Shugar po pewnym czasie – to koniec. Skończmy już z tym.

Ruszyli w kierunku czekającego Shurugi. A potem powrócił głos.

– Jesteś milczący.

Tomas otworzył oczy. Tuż przed nim klęczała Aglaranna. W rękach trzymała misę z wonną, ziołową wodą i lniany ręcznik. Pomogła mu zdjąć kaftan, ściągnąć złotą kolczugę.

Siedział wyczerpany na posłaniu, wpatrując się w nią, a ona w milczeniu obmywała mu twarz i ramiona z krwi.

Kiedy był umyty, wytarła twarz suchym ręcznikiem.

– Zmęczony jesteś, mój panie.

– Widzę wiele rzeczy, Aglaranna, rzeczy, które nie były przeznaczone dla oczu człowieka. Czuję na duszy ciężar wieków, jestem zmęczony.

– Czy nie można ulżyć twemu cierpieniu? Spojrzał na nią. Ich oczy spotkały się. Co prawda władcze spojrzenie łagodziła iskierka delikatności, lecz i tak musiała opuścić wzrok.

– Naśmiewasz się ze mnie, pani? Pokręciła powoli głową.

– Nie, Tomas. Przyszłam, aby cię pocieszyć, przynieść ulgę, jeżeli tego potrzebujesz...

Wziął ją za rękę i przyciągnął ku sobie, patrząc na nią wygłodniałym wzrokiem. Objął ją mocno. Czują, jak gwałtownie narasta w nim pożądanie i uczucie.

– Moja potrzeba jest wielka, pani – usłyszała szept przy uchu.

Wpatrzyła się w jego jasne oczy, zrzucając ostatnie dzielące ich bariery.

Jak i moja, panie...

# NAUKA

Wstał, kiedy jeszcze było ciemno.

Włożył prostą, białą szatę, oznakę jego stanu i opuścił celę. Czekał przed małym, prostym pokoikiem, w którym znajdowało się posłanie, pojedyncza świeca i półka na zwoje pergaminów, czyli wszystko, co uznano za konieczne dla nauki. Spojrzał w dół korytarza, gdzie przed drzwiami identycznych cel stali inni, wszyscy znacznie młodszy od niego. Pojawił się pierwszy czarno odziany mistrz-nauczyciel. Stał przed jednym z uczniów. Mężczyzna skinął bez słowa głową, chłopak ruszył za nim i po chwili obaj zniknęli w mrocznej głębi korytarza. Przez wysokie, wąskie okna sączyło się łagodne, szare światło poranka. Podobnie jak reszta, on też z pierwszymi oznakami brzasku zgasił pochodnię znajdującą się na ścianie naprzeciwko jego drzwi. Kolejny mistrz w czarnej szacie nadszedł korytarzem i następny młodzieniec opuścił korytarz. Po chwili pojawił się trzeci, zaraz potem czwarty. W końcu został sam. W korytarzu panowała absolutna cisza.

Z ciemności wyłoniła się jakaś postać. Czarne szaty sprawiły, że ujrzał ją, kiedy była już tylko parę kroków od niego. Mistrz stanął przed młodzieńcem, skinął głową i wskazał w dół korytarza. Młodzieniec stanął za swym przewodnikiem w czarnej szacie i ruszyli razem przez płataninę korytarzy oświetlonych płonącymi pochodniami, kierując się w stronę serca wielkiej budowli, która odkąd młodzieniec pamiętał, była jego domem. Szli coraz dalej. Po pewnym czasie wkroczyli w labirynt niskich tuneli, gdzie wiało stęchlizną wieków i wilgocią, jak gdyby znajdowali się już głęboko pod poziomem jeziora, które ze wszystkich stron otaczało budynek. Mężczyzna w czerni zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami, odsunął rygiel i otworzył je. Młodzieniec wszedł za nim do środka. Stał przed kolumną drewnianych korytek. Każde z nich miało długość połowy wzrostu dorosłego człowieka i około jednej czwartej szerokości. Jedno z korytek stało na podłodze. Reszta została umocowana za pomocą

drewnianych podpór jedno nad drugim tak, że najwyższe korytko znajdowało się na wysokości głowy. Wszystkie, poza stojącym na podłodze, miały w dnie dziurę znajdującą się ponad korytem położonym poniżej. W najniższym chlupotała woda, wibrując lekko w takt ich kroków na kamiennej posadzce.

Mężczyzna w czarnej szacie wskazał bez słowa na drewniany cebrzyk, odwrócił się i wyszedł, zostawiając młodzieńca w bieli samego.

Młody człowiek podniósł wiadro i zabrał się do roboty. Wszystkie polecenia kierowane do ubranych na biało wydawane były bez słów. Szybko się też nauczył, kiedy tylko się zorientował, że tym, którzy nosili białe szaty, nie wolno było mówić. Wiedział, że potrafi mówić, ponieważ rozumiał, na czym polega istota mowy, a nawet próbował po cichu wypowiedzieć parę słów, kiedy leżał po ciemku w swojej celi. Podobnie jak w odniesieniu do innych spraw, rozumiał ten fakt, chociaż nie był świadom, na jakiej zasadzie go rozumie. Wiedział, że istniał, zanim po raz pierwszy obudził się w swojej celi, lecz brak pamięci zupełnie go nie niepokoił. Przeciwnie, wydawał się odpowiedni i usprawiedliwiony.

Zabrał się do wykonywania powierzonego zadania. I znowu podobnie jak wiele innych prac, które mu zlecono, ta również wydawała się niemożliwa do wykonania. Zanurzył wiadro w najniższym korycie, po czym wylał wodę do najwyższego. Tak samo, jak w poprzednich dniach, woda ściekała z najwyższego koryta do położonych niżej, aż cała zawartość wiadra znalazła się ponownie w stojącym na podłodze. Zabrał się z uporem do pracy pozwalając, aby myśli błądziły swobodnie, podczas gdy ciało zajęte było mechanicznym działaniem.

Tak jak poprzednio, kiedy zostawiano go samego sobie, myśli zaczęły tańczyć i przeskakiwać od jednej wizji do drugiej; jasne rozbłyski kształtów i kolorowych plam, nie dających się pochwycić, kiedy próbował je złapać i zatrzymać w wyobraźni. Jako pierwszy pojawił się na ułamek sekundy obraz plaży. Fale rozbijające się z hukiem o czarne, rzeźbione wiatrem i

wodą skaliste złomy wybrzeża. Walka. Dziwnie wyglądająca, zimna, biała substancja pokrywająca ziemię, słowo „śnieg”, które prysnęło w dal równie szybko, jak się pojawiło. Obóz w błotnistym terenie. Ogromna kuchnia, a w niej pełno chłopców uwijających się przy różnych pracach. Pokój w wysokiej wieży. Wszystkie wizje przemykały przez myśl z oślepiającą zmysły szybkością, zostawiając na moment w umyśle rozmazany pędem obraz. Dzień w dzień gdzieś we wnętrzu głowy rozbrzmiewał głos, a jego własny umysł udzielał odpowiedzi, podczas gdy on sam trudził się nad wykonaniem zadania nie mającego końca. Głos zadawał zwykle jakieś proste pytanie, a jego umysł śpieszył z odpowiedzią. Kiedy odpowiedź nie była prawidłowa, pytanie pojawiała się ponownie. Gdy błędna odpowiedź padała kilkakrotnie, głos zaprzestawał zadawania pytań. Wracał czasem później tego samego dnia lub nie pojawiał się już w ogóle.

Biało ubrany robotnik odczuł znajomą, nagłą materię jego myśli obecność.

– „Czym jest prawo?” – spytał głos.

– „Prawo to struktura, która otacza nasze życie i nadaje mu znaczenie” – odpowiedział.

– „Jaka jest najwyższa forma wcielenia prawa?”

– „Imperium jest najwyższą formą wcielenia prawa”.

– „Kim jesteś?” – Usłyszał następne pytanie.

– „Jestem sługą Imperium”.

Kontakt myślowy migotał przez chwilę, po czym został przywrócony ponownie, jakby pytający rozważał, jak najlepiej sformułować następne pytanie.

– „W jaki sposób zezwala ci się służyć?” Pytanie to, już kilkakrotnie zostało zadane w przeszłości, lecz zawsze jego odpowiedź spotykała się z pustką wewnętrznej ciszy, która mówiła mu, że odpowiedział nieprawidłowo. Tym razem zastanawiał się długo i z rozważą, wykluczając nie tylko wszystkie udzielone wcześniej odpowiedzi, ale również te, które

stanowiły kombinację lub ekstrapolację wszystkich niepoprawnych.

– „W taki, jaki sam uznam za stosowny” – odpowiedział w końcu.

Zalała go z zewnątrz fala emocji, poczucia aprobaty, po czym pojawiło się następne pytanie.

– „Gdzie znajduje się przypisane ci miejsce?” Znowu chwila zastanowienia. Wiedział, że najbardziej oczywista odpowiedź jest zapewne nieprawidłowa, lecz nie zaszkodzi jej przetestować.

– „Moje miejsce jest tutaj” – odpowiedział po namyśle. Tak jak się spodziewał, kontakt myślowy został przerwany. Wiedział, że jest poddany szkoleniu, jednak jego cel został przed nim ukryty. Miał teraz czas, aby rozważyć dogłębnie ostatnie pytanie w świetle poprzednio udzielonych odpowiedzi oraz dojść, być może, do właściwej odpowiedzi.

Tej nocy śnił.

Dziwny mężczyzna w brązowej szacie przepasanej wełnianym sznurem szedł drogą.

Człowiek w brązie odwrócił się do niego.

– Pośpiesz się – powiedział. – Nie mamy zbyt wiele czasu. Nie możesz zostawać w tyle.

Próbował przyspieszyć kroku, lecz nagle stwierdził, że stopy ma ciężkie jak z ołowiu, a ramiona przywiązane do boków. Idący szybkim krokiem człowiek w brązowej szacie zatrzymał się.

– No cóż, niech i tak będzie. Załatwiamy rzeczy po kolei, po jednej na raz.

Spróbował coś powiedzieć, lecz stwierdził, że usta odmówiły mu posłuszeństwa.

Mężczyzna pogładził się z namysłem po brodzie.

– Rozważ to: jesteś architektem swego własnego uwięzienia.

Spojrzał w dół i zobaczył, że jego bosa stopy stoją w pyłe drogi. Podniósł głowę.

Człowiek w brązie znowu oddalał się szparkim krokiem. Chciał ruszyć za nim, lecz znowu

stwierdził, że nie może tego uczynić.

Zbudził się zlany zimnym potem.

I znowu zapytano go, gdzie jest jego miejsce, i jak poprzednio, odpowiedź: „Tam, gdzie jestem potrzebny”, nie usatysfakcjonowała pytającego. Mozolił się nad następnym bezcelowym zadaniem, wbijając gwoździe w grubą, wełnianą płachtę, tak że wypadały drugą stroną na ziemię. Podnosił je i znowu wbijał w wełnę. Rozmyślenia nad ostatnio zadany mu pytaniem zostały przerwane, kiedy drzwi za plecami otworzyły się i jego przewodnik dał znak, aby udał się za nim. Ruszyli w górę długimi, krętymi korytarzami na poziom, gdzie mieli zjeść skromny, poranny posiłek.

Weszli do dużej sali. Przewodnik zajął miejsce przy drzwiach. Nadchodzili kolejni, ubrani na biało uczniowie, eskortowani jak i on przez mistrzów w czarnych szatach. Był to dzień, w którym przewodnik młodzieńca miał stać i obserwować chłopców w bieli, którzy podobnie jak i jego podopieczny powinni spożywać posiłek w absolutnym milczeniu.

Codziennie inny właściciel czarnej szaty pełnił tę funkcję.

Młody człowiek jadł, rozważając w myślach ostatnie, zadane rano pytanie. Ważył każdą możliwą odpowiedź, szukając ukrytych słabości, a po ich stwierdzeniu odrzucał natychmiast, przechodząc do następnej. Niespodziewanie jedna odpowiedź pojawiła się sama, nieproszona. Intuicyjny przeskok, kiedy podświadomość dostarczyła mu rozwiązanie problemu. „Jestem architektem własnego uwięzienia”. Już kilka razy w przeszłości, kiedy jakiś szczególnie zawiliwy problem wstrzymywał jego postęp, następowało podobne zjawisko, dzięki czemu bardzo szybko posuwał się do przodu. Rozwagał ewentualne błędy czy słabości takiej odpowiedzi, a kiedy upewnił się ponad wszelką wątpliwość, że jest prawidłowa, wstał z miejsca. Inni obserwowali go ukradkiem, swym zachowaniem pogwałcił bowiem ogólnie przyjęte reguły.



Wyszedł z za stołu i podszedł do swego przewodnika, który patrzył na jego zbliżanie się z doskonale kontrolowanym wyrazem twarzy. Jedyłą oznaką zdziwienia było ledwo zauważalne uniesienie brwi.

– To już nie jest moje miejsce – powiedział bez zbędnych wstępów młody człowiek w bieli.

Mężczyzna w czarnej szacie nie okazał żadnej emocji, położył jedynie rękę na ramieniu młodzieńca i lekko skinął głową. Sięgnął pomiędzy fałdy szaty, wyciągając małe dzwoneczki. Zadzwoił raz. Po krótkiej chwili ukazał się inny ubrany w czerń mężczyzna. Nowo przybyły zajął bez słowa miejsce przy drzwiach, a zwolniony z funkcji przewodnik dał znak młodzieńcowi, aby poszedł za nim.

Szli w milczeniu, jak to czynili wiele razy poprzednio, aż doszli do pokoju, w którym przewodnik odwrócił się do młodzieńca i powiedział:

– Otwórz drzwi.

Uczeń wyciągnął rękę w stronę klamki i nagle na skutek wewnętrznego przeblysku cofnął dłoń. Koncentrując się zmarszczył brwi i po chwili uczynił to siłą woli. Drzwi otwierały się pomału. Mistrz w czerni spojrzał na niego i uśmiechnął się.

– Dobrze – powiedział przyjemnym, łagodnym głosem. Weszli do środka. Na kołkach w ścianie wisiało mnóstwo białych, szarych i czarnych szat.

– Przebierz się w szarą szatę.

Młodzieniec szybko spełnił polecenie i stanął przed mistrzem. Nauczyciel przyglądał się długo i uważnie właścicielowi nowej, szarej szaty.

– Nie masz już obowiązku milczenia. Na wszystkie twoje pytania zostanie udzielona odpowiedź, najlepsza z możliwych, chociaż są jeszcze sprawy, z którymi poczekamy, aż przywdziejesz czarną szatę. Wtedy posiadasz pełnię zrozumienia. Chodź.

Młody człowiek w szarym stroju przeszedł za przewodnikiem do następnego pomieszczenia. Wokół niskiego stołu leżały poduszki, a na blacie stało naczynie z gorącą chochą, wonnym napojem o słodkavo-gorzki smaku.

Mistrz w czerni napełnił dwie filiżanki, jedną podał młodzieńcowi, wskazując jednocześnie gestem ręki, aby usiadł. Obaj usiedli na poduszkach.

– Kim jestem? – spytał młody. Nauczyciel wzruszył ramionami.

– Sam będziesz musiał o tym zdecydować, ty jeden bowiem możesz dotrzeć do prawdy twojego imienia. Jest to imię, którego nie możesz nikomu wyjawić, aby nie posiadał władzy nad tobą. Od tej chwili będziesz się nazywał Milamber.

Nowo ochrzczony Milamber zastanawiał się przez moment.

– Może być. A ciebie jak nazywają?

– Nazywają mnie Shimone.

– Kim jesteś?

– Twoim przewodnikiem i nauczycielem. Teraz będziesz miał innych. Ja zostałem obarczony odpowiedzialnością za pierwszą, najdłużej trwającą część twojej nauki.

– Jak długo tu jestem?

– Prawie cztery lata.

Milamber zdziwił się, niewiele bowiem pamiętał z tego, co działo się wcześniej.

– Kiedy zostaną mi zwrócone wspomnienia? Shimone uśmiechnął się. Milamber nie spytał bowiem, czy mu zostaną zwrócone, lecz kiedy, i to sprawiło mu radość.

– Twój umysł będzie przywoływał twoje wspomnienia stopniowo, wraz z uzyskiwaniem równowagi w nauce, z początku powoli, potem w szybszym tempie. Są ku temu powody. Musisz umocnić się na tyle, aby wytrzymać moc przyciągania i urok twoich poprzednich związków z rodziną, narodem czy przyjaciółmi w domu. W twym przypadku jest

to szczególnie istotne.

– Dlaczego?

– Kiedy twa przeszłość powróci do ciebie, zrozumiesz. – To było wszystko, co powiedział Shimone z uśmiechem na ustach. Jego ostre rysy i wyraz ciemnych oczu wyraźnie mówiły, że temat został wyczerpany.

Milamberowi cisnęły się na usta następne pytania, lecz odrzucił je, ponieważ nie odnosiły się bezpośrednio do bieżącej sytuacji.

– Co by się stało, gdybym otworzył drzwi ręką? – spytał w końcu.

– Straciłbyś życie – odpowiedział Shimone beznamiętnie. Milamber nie był wcale zdziwiony czy zaszokowany, po prostu zaakceptował odpowiedź.

– Czemu miałoby to służyć?

To pytanie zdziwiło Shimone'a i nie wahał się tego okazać po sobie.

– Nie możemy rozkazywać jedni drugim. Jedyne, co możemy uczynić, to zapewnić, aby każdy nowy mag był w stanie wywiązać się z nałożonej na jego uczynki odpowiedzialności.

Wyraziłeś swoją ocenę, że twoje miejsce nie jest już z tymi, którzy noszą białe szaty, z nowicjatem. Jeżeli rzeczywiście nie było to już twe miejsce, w takim razie powinieneś być w stanie wykazać, że potrafisz poradzić sobie z odpowiedzialnością wynikającą ze zmiany.

Bystry, lecz głupi często kończą życie właśnie na tym etapie.

Milamber rozważał przez chwilę odpowiedź i doszedł do wniosku, że test był jak najbardziej właściwy i usprawiedliwiony.

– Jak długo będzie jeszcze trwała moja nauka?

– Tak długo, jak będzie trzeba. – Shimone uczynił wymijający ruch ręką. – Nie możesz zapominać, że bardzo szybko robisz postępy, więc wydaje mi się, że w twoim przypadku, nie potrwa to już długo. Zostałeś obdarzony pewnymi naturalnymi talentami, a także, zrozumiesz

to lepiej, kiedy zostanie ci przywrócona pamięć, masz pewną przewagę nad innymi, młodszymi, którzy rozpoczęli naukę razem z tobą.

Milamber wpatrywał się z uwagą w zawartość filiżanki. Wydawało mu się, że przez mgnienie oka dostrzegł w głębi ciemnego płynu pojedyncze słowo, które zniknęło, kiedy spróbował skoncentrować na nim wzrok. Nie dałby co prawda głowy, ale był prawie pewien, że było to krótkie, proste imię.

Tej nocy znowu nawiedził go sen. Mężczyzna w brunatnej, długiej szacie szedł drogą, lecz tym razem Milamber był w stanie podążać za nim.

Widzisz, istnieje kilka obiektywnych ograniczeń. To, czego cię uczą, jest oczywiście pożyteczne i konieczne, lecz pamiętaj, aby nigdy nie akceptować sugestii, że jeżeli pewne rozwiązanie jest odpowiedzią na problem, oznacza to jednocześnie, iż jest to jedyne rozwiązanie. Mężczyzna zatrzymał się.

– Spójrz na to – powiedział, wskazując na przydrożny kwiatek. Milamber schylił się, chcąc lepiej przyjrzeć się temu, co mu nieznajomy wskazuje. Małeńki pajaczek rozsnuwał pajęczynę między dwoma listkami. – To stworzenie – mówił dalej przewodnik – mozoli się, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Każdy z nas, powodowany kaprysem, mógłby jednym ruchem stopy zetrzeć z powierzchni ziemi jego istnienie. Zastanów się więc nad tym: gdyby to małeńkie stworzonko mogło w jakiś sposób nas dostrzec, zdać sobie sprawę z naszego istnienia i wynikającego z tego zagrożenia jego własnego życia, czy czciłoby nas?

– Nie wiem – odpowiedział Milamber. – Nie wiem, jak pająki myślą.

Człowiek w brązowej szacie wsparł się na kiju podróznym.

– Zważywszy, jak wiele jest rozbieżności w tym, jak ludzie myślą, można założyć, że pajaczek zareagowałby strachem, przekorą, nieposłuszeństwem, obojętnością, jakimś fatalizmem czy wreszcie niedowierzaniem. Wszystko jest możliwe. – Wyciągnął kij i delikatnie

zebrał pajęczynę z kwiatka. Uniósł pajęczka i przeniósł na drugą stronę drogi. – Jak sądzisz, czy to stworzenie zauważyło, że to już inny kwiatek?

– Nie wiem.

– Niewykluczone, że to najbardziej rozsądna odpowiedź ze wszystkich. – Mężczyzna uśmiechnął się. Ruszył w dalszą drogę. – Ujrzysz wkrótce wiele rzeczy. Niektórych nie będziesz mógł zrozumieć. Kiedy to nastąpi, pamiętaj tylko o jednym.

– O czym?

– Rzeczy nie zawsze są takimi, jakimi się wydają. Wspomnij na pajęczka, który teraz być może wznosi do mnie modły, dziękując za niespodziewaną obfitość pożywienia. – Odwrócił się i wskazał laską na przydrożny kwiatek. – Na tym jest o wiele więcej żuczków i innych owadów niż na tamtym. – Podrapał się fraszobliwie w brodę i dodał: – Zastanawiam się, czy kwiatek również wznosi modły dziękczynne?

W towarzystwie Shimone'a i kilku innych nauczycieli spędził kilka tygodni.

Dowiedział się trochę więcej o swoim życiu, chociaż był to jedynie drobny fragment tego, do czego nie miał jeszcze dostępu. Był niewolnikiem. Odkryto, że ma w sobie moc. Przypomniawsobie kobietę. Ledwo widoczny, zatarty w pamięci obraz sprawiał, że odczuwał we wnętrzu lekki niepokój.

Szybko zdobywał wiedzę. Wszystkie lekcje opanowywał w ciągu jednego, a najdalej dwóch dni. Błyskawicznie analizował i rozkładał na czynniki pierwsze każdy przedstawiony problem, a kiedy nadchodził czas, aby go przedyskutować z nauczycielami, jego pytania zawsze trafiały w dziesiątkę, były gruntownie przemyślane i właściwe.

Pewnego dnia zbudził się, wstał – zajmował teraz inną, trochę lepszą, lecz wciąż prostą celę – i wyszedł na korytarz, gdzie czekał na niego Shimone.

– Od tej chwili, aż do momentu kiedy wypełnisz powierzone ci zadanie, nie wolno ci

wypowiedzieć ani jednego słowa.

Milamber skinął głową i ruszył w ślad za swym przewodnikiem. Starszy mag poprowadził go labiryntem korytarzy do miejsca, w którym jeszcze nigdy nie był. Wchodzili po nie kończących się schodach, ciągle wyżej i wyżej, wiele pięter ponad miejsce, z którego zaczęli wspinać się. Znaleźli się w końcu przed drzwiami, które otworzył Shimone. Milamber pierwszy przekroczył próg. Znajdował się na płaskim dachu wysokiej wieży. Ze środka dachu wznosiła się ku niebu kamienna, zwężająca się ostro ku górze kolumna. Wokół niej wiły się wąskie, wykute w ścianie schodki. Wzrok Milambra podążał za linią schodów, aż zniknął w zakrywających szczyt chmurach. Był zafascynowany niezwykłym widokiem przede wszystkim dlatego, że budowla ta wydawała się łamać kilka podstawowych zasad fizyki, które uczył się nie tak dawno. Jednak fakty mówiły za siebie. Kolumna stała tuż przed nim, co więcej, jego przewodnik zachęcał go ruchem ręki, aby wszedł na górę.

Ruszył przed siebie. Kiedy okrążył kolumnę po raz pierwszy, spojrzął w dół i stwierdził, że Shimone zniknął za drewnianymi drzwiami. Milamber, pozostawiony sam sobie, rozejrzał się dookoła, chłonąc wzrokiem wspaniałą panoramę.

Znajdował się na szczycie najwyższej wieży, górującej nad lasem innych wież. W którymkolwiek kierunku się zwrócił, wszędzie widział setki skierowanych ku niebu strzelistych, kamiennych iglic, patrzących ślepo w przestrzeń oczodołami okien. Jedne, jak ta, na której sam się znajdował, miały otwartą konstrukcję; inne pokryte były kamiennym dachem, a jeszcze inne okrywało sklepienie z migotliwego światła. Jednak tylko ta wieża, na której stał, zwieńczona była strzelistą kolumną z kamiennych bloków. Poniżej wznosiły się ku niebu dumne łuki spinających wieże mostów, a gdy sięgnął wzrokiem jeszcze dalej w dół, spostrzegł ogromną bryłę niesamowitej, podtrzymującej wszystko budowli. Przyjrzał się dokładnie. Budynek sprawiał monstrualne wrażenie. Rozciągał się we wszystkich kierunkach na całe

kilometry. Wędrując wielokrotnie nie kończącymi się korytarzami, zdawał sobie sprawę, że miejsce, w którym przebywał, jest ogromne, lecz w niczym nie umniejszało to wrażenia, jakie robił na nim widok rozciągający się wokół niego.

Zmrużył oczy, aby lepiej widzieć. Daleko, gdzie ledwo, ledwo sięgał wzrokiem, zieleniła się jasną plamą ledwo widoczna trawa, okalająca cienkim pasem ciemną bryłę budowli, a za nią iskrzące się w promieniach słońca wody jeziora, którego skrawek ujrzał kiedyś podczas jednej z wędrówek. Jeszcze dalej, gdy maksymalnie wyteżył wzrok, tam gdzie niebo zdawało się stykać z ziemią, dostrzegał jakby mglisty zarys gór. Kiedy jednak patrzył normalnie, odnosił nieodparte wrażenie, jakby cały świat rozpościerał się u jego stóp. Ruszył w górę, idąc dookoła kolumny. Każde kolejne okrążenie przynosiło nową ucztę dla oczu. Samotny ptak, nieświadom spraw ludzkich, krążył powoli nad tymi wspaniałościami. Szeroko rozpostarte, szkarłatne skrzydła chwyciły pewnie wiatr, podczas gdy ostry wzrok wędrował czujnie po tafli jeziora. Nagle, tuż pod powierzchnią wody, dostrzegł trwający ułamek sekundy błysk. Ptak zwinął skrzydła i runął w dół. Rozbryzg piany i ptak znów wznosił się powoli ku górze, a w zaciśniętych mocno szponach trzepotała srebrzysta zdobycz. Nad niezmierną pustką rozległ się okrzyk zwycięstwa. Ptak zatoczył krąg i pomknął na zachód. Obrót głowy. Taniec wiatru we włosach. Każdy podmuch niósł ze sobą obietnicę dalekich i obcych lądów. Powiew wiatru z południa przyniósł wspomnienie gorącej i dusznej dżungli, gdzie niewolnicy w pocie czoła wydzielali oma ziemię spod władzy śmiertelnych bagien. Bryza ze wschodu niosła rytmiczny hymn zwycięstwa kilkunastu wojowników Konfederacji Thuril, którzy w potyczce na granicy zmiotli z powierzchni ziemi równie liczny oddział żołnierzy Imperium. Jak kontrapunkt rozbrzmiewał niewyraźny krzyk konającego żołnierza Tsuranich, który przywoływał rozpaczliwie swą rodzinę. Z pomocy nadleciał niepokojący zapach lodu i głuchy tętent Tłumów galopujących przez zamarzną tundrę na po-

ludnie, ku cieplejszym okolicom. Z zachodu echo przyniosło perlisty śmiech młodej małżonki potężnego pana, która w czasie gdy mąż załatwiał interesy z kupcem w Tusan, na południu kraju, próbowała nakłonić do zdrady jednego ze strażników pilnujących domu, ten zaś – rozdarty wewnętrznie między paraliżującym go strachem a pożądaniem – stał jak mumia nie wiedząc, co ma ze sobą począć. Od wschodu, na fali ostrych, korzennych zapachów przypraw, niósł się nieznośny harmider kupców targujących się zawzięcie na rynku w dalekiej Yankorze. Znowu poryw wiatru z południa, a wraz z nim drażniący nozdrza zapach soli z Morza Krwi. Północ, smagane huraganem lodowe pola, na których nie stanęła nigdy ludzka stopa, ale po których kroczyły kiedyś istoty nieporównywalnie starsze i bardziej rozumne niż ludzie, istoty, które z uporem przemierzały lodową pustac w poszukiwaniu znaku na niebiosach, znaku, który nigdy nie był dany. Każdy podmuch wiatru przynosił jakiś dźwięk i ton, barwę i odcień innej, smak i aromat. Wokół niego przepływała na falach wiatru esencja, chropawy kształt świata. Oddychał pełną piersią, smakując życie.

Kolejne okrążenie. Pod stopami wyczuwał rytmiczne pulsowanie – to biło serce świata. Rozchodząc się promieniście ku górze, przez skalisty grunt wyspy, na wskroś pogmatwanego labiryntu niezwyklej budowli, przez niewzruszoną konstrukcję wieży, potem jeszcze wyżej, poprzez rdzeń strzelistej kolumny i wreszcie jego ciało, przenikało natarczywe, a jednak wieczne bicie serca planety. Opuścił wzrok i jego oczom ukazały się przepastne głębie jaskiń. Te wyższe zostały wydarte ziemi przez niewolników kopiących w poszukiwaniu nielicznych drogocennych metali, węgla dającego ciepło i skał służących do wznoszenia budynków. Pod nimi znajdowały się następne, część z nich utworzyła sama natura, lecz pozostałe to szczątki zaginionego miasta, przysypanego pyłem, który wraz z upływem wieków przemienił się w glebę. Te mroczne głębie zamieszkiwały kiedyś stwory tak przedziwne, że nawet sama wyobraźnia cofała się bojaźliwie przed strasznym obrazem. Wizja ścigała go wciąż głębiej i



głębiej, w dziedzinę wiecznego ognia i światła, gdzie zmagaly się pierwotne siły natury. Płynna skała, rozpalona oślepiającym szkarłatem, bezwolna wobec bezmyślnych sił przyrody, dążyła ku górze, napierając na chłodniejszą, bardziej ustatkowaną siostrę. I jeszcze głębiej, do królestwa czystej mocy, gdzie serce świata przesywały bezduszne, milczące zygzaki energii. Kolejne okrążenie i znalazł się na maleńkiej platformie wieńczącej szczyt wieży.

Długość boków kwadratowej przestrzeni nie przekraczała jego wzrostu – maleńkie, kruche gniazdo na szczycie świata. Opanowując zawrót głowy, który kusił, by z krzykiem agonii na ustach przekroczyć krawędź, stanął na środku platformy. Siłą woli zmobilizował wszystkie swe zmysły, wiedzę i możliwości, aby wytrwać na miejscu, chociaż nikt mu tego nie powiedział, doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli teraz zawiedzie – umrze.

Uwolnił umysł od poczucia strachu i rozejrzał się dookoła oniemiały z zachwyty i atawistycznej grozy. Ogrom otaczającej go pustki zniewalał. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak naprawdę samotny i opuszczony przez wszystkich. Pomiędzy nim a tym, co przeznaczył mu los, nie było absolutnie nic.

Świat rozciągał się u jego stóp, a ponad głową puste niebiosy. W twarz uderzył wilgotny podmuch wiatru. Z południa pędził granatowy wał chmur. Cała wieża, czy może sama kolumna, zachwiała się lekko. Przerzucił ciężar ciała na jedną nogę, równoważąc ruch pod stopami.

Skłębione, czarne chmury pędziły szybko w jego stronę. Nagle tuż nad głową oślepiający błysk światła i grzmot. Już sam huk mógł zwalić go z platformy w przepaść. Żywioły zmusiły go, aby się cofnął, zanurzył głębiej w wewnętrzny obszar mocy, w to milczące miejsce znane jedynie pod pojęciem jaźń. Odnalazł tam siłę, aby przeciwstawić się naporowi burzy.

Wicher miotał nim i szarpał za ubranie, spychając w stronę krawędzi. Zatoczył się.

Złapał równowagę. Czarna otchłań przeciągała się zachęcająco zapraszając: – Skocz! Leć!

Zmobilizował całą siłę woli. Jeszcze raz opanował zawrót głowy i wyteżył umysł, skupiając go na zadaniu, które miał wykonać.

Usłyszał wewnętrzny głos. – „Nadszedł oto czas próby. Wiedz, że musisz wytrwać na szczycie tej wieży, a gdyby twa własna wola cię zawiodła, czeka cię upadek w otchłań”.

Na chwilę zapadła w nim głucha cisza.

– „Patrz uważnie! Zobacz i zrozum, jak to było”.

Otchłań czerni buchnęła ku górze, pochłaniając go całkowicie.

Przez czas pewien unosi się i płynie, bezimienny i zagubiony. Mikroskopijny punkcik migoczącej świadomości, nie znany nikomu pływak, przemierzający czarną pustkę morza, A potem pojedynczy dźwięk wdziera się w otchłań pustki. Drży, wibruje, bezgłośny dźwięk, pozbawiony zmysłów intruz zakłócający spokój zmysłów. – „Skąd postrzeganie, gdy nie ma zmysłów?” – pyta jego własny umysł. Jego umysł! – „Jestem!” – krzyczy i miliony przeróżnych filozofii krzyczą wraz z nim, zadziwione. – „Jeśli ja jestem, więc co nie jest mną” – zastanawia się.

Echo powtarza: – „Jesteś tym, czym jesteś, a nie tym, czym nie jesteś”.

– „Niezadowolająca odpowiedź” – mówi sam do siebie.

– „Dobrze” – odpowiada echo.

– „Co to za dźwięk?” – pyta.

– „To dotyk snu starca na chwilę przed śmiercią”.

– „Co to za dźwięk?”

– „To barwa zimy”.

– „Co to za dźwięk?”

– „To głos nadziei”.

– „Co to za dźwięk?”

– „To smak miłości”.

– „Co to za dźwięk?”

– „To sygnał, abyś się obudził”.

Płynie. Unosi się. Wokół unoszą się miliardy miliardów gwiazd. Wielkie konstelacje rozżarzone energią. Feeria barw. Obrót. Stałe wirowanie. Gigantyczne czerwienie i błękity, mniejsze pomarańcze i żółcie i najmniejsze, całkiem malutkie – czerwień i biel. Te czarne, bezbarwne i wściekłe, spijają zachłannie oblewający je ze wszystkich stron nektar nawałnicy kolorów, inne wyrzucają z siebie rytmicznym pulsem energię, posyłając ją ku nieznanemu widmu. A jeszcze inne skręcają materię przestrzeni i czasu, a gdy chce uchwycić chwilę, kiedy go mijają, wzrok jego pływa i mąci się. Każda z każdą powiązana smugą energii; wszystkie pochwycone w sieć mocy. Po sznurach pajęczyny ślizga się żywa energia, tam i z powrotem, tam i z powrotem, pulsując życiem, które nie jest życiem. Gwiazdy przemykające obok wiedzą. Zdają sobie sprawę z jego obecności, lecz nie dają tego po sobie poznać. Jest zbyt maleńki, by zwracać na niego uwagę. Wokół niego rozciąga się w nieskończoność wszechświat cały.

W różnych punktach pajęczyny odpoczywają lub trują się stwory mocarne, byty nieodgadnione, każdy inny niż pozostałe, lecz nieuchwytnie jakoś identyczne. Widzi, że niektóre z nich to bogowie, są mu znane i bliskie – niektóre bardziej, inne mniej. Każdy pełni jakąś rolę. Jedne obserwują go, jego obecność nie pozostaje nie zauważona; inne są ponad to, zbyt wielkie, by go dostrzec i jako takie stają się jeszcze mniejsze niż on sam. Jeszcze inne przyglądają mu się z napięciem i uwagą, ważą na szali porównań swoje i jego zdolności i siły. On też przygląda im się uważnie. Panuje martwa cisza, wszyscy milczą.

Mknie pośród konstelacji i mocarnych istnień, aż dostrzega w oddali gwiazdę, jedną z miliarda, lecz ta jedna właśnie przyzywa go. Z gwiazdy prowadzi w przestrzeń dwadzieścia

pasm mocy i energii, a przy każdym z nich czuwa byt wszechmocny. Nie wiedząc jak, wie jednak, że ma oto przed sobą starożytnych bogów Kelewanu. Każdy z nich gra na swojej smudze mocy, zmieniając wedle uznania strukturę pobliskiej przestrzeni i czasu. Niektórzy współzawodniczą pomiędzy sobą, inni pochłonięci dziełem nie zwracają uwagi na zmagania i niesnaski, a jeszcze inni, zdaje się, nie czynią zgoła nic.

Zbliża się. Samotna planeta wiruje wokół gwiazdy. Zielono-modra kula spowita w białe chmury. Kelewan.

Rzuca się w dół po smugach mocy. Dociera na powierzchnię. Dostrzega świat nie tknięty stopą człowieka. Ogromne bestie o sześciu nogach przemierzają majestatycznie ziemię, młoda rasa zmyślnych i szybkich jak iskra stworzeń skrywa się w cieniu, schodząc im z drogi. Cho-ja, kilka stadek przemykających ukradkiem stworzeń, małeńki krok w rozwoju cywilizacji; niewiele więcej niż wielkie owady, przez które zostały spłodzone. Boją się śmiertelnie ogromnych, polujących na nie drapieżników, one same zaś wzbudzają paralizujący strach u mniejszych zwierząt. Zaczęły posługiwać się rozumem i oto ich królowe, wydając na świat nowe istnienia, wyznaczają każdemu konkretny cel w życiu, więc silni i doskonale uzbrojeni żołnierze strzegą teraz swych braci przetrząsających las w poszukiwaniu żywności. Do ula trafia więcej pożywienia, rasa kwitnie i zaczyna rozwijać się.

Gdzieś na równinach młode samce z rasy Thunów walczą pomiędzy sobą na śmierć i życie, w ruch idą głazy, pałki, pięści i kły. Nie wiedzą, o co chodzi, nie rozumieją. Idą za beziemiennym głosem przynaglającym je, żądającym, by ten czy inny przegnał pozostałych ze stada i płodził następne pokolenia młodych. Miną wieki, zanim zawita do nich logiczna myśl, zanim staną się rozumnymi stworzeniami, które będą w stanie skrzyknąć się, aby wspólnie wystąpić przeciwko dwunogim istotom, które dopiero zawitają na tę ziemię.

Nad morzem, które kiedyś w przeszłości miało nazwą upamiętniać krew tysięcy,

przelaną nad jego brzegami, przycupnęły Surmy, zbite ciasno, jeden koło drugiego. Dopiero co opuściły morską toń i chociaż nie czuły się jeszcze najlepiej na suchym lądzie, nie potrafiły już mieszkać w mrocznych głębinach oceanu. Obawiając się wszystkich i wszystkiego, kryły się w nadbrzeżnych jaskiniach, gdzie szukały bezpieczeństwa, a przebywając w stałej izolacji, same ze sobą, budowały specyficzny stosunek do zewnętrznego świata, który w przyszłych pokoleniach miał się stać przyczyną ich totalnej zagłady.

Wysoko ponad szczytami gór krążyły majestatycznie Thrillillil. Ich organizacja w początkowych stadiach rozwoju, w załączku zaledwie, niewiele więcej niż luźny związek pojedynczych par i ich młodych. W cieniu rzucanym przez ich ogromne, lecz delikatnej budowy, skrzydła kryły się sprytne Nummongnumy. Kudłate i szarobure przypominały do złudzenia kamienie. Korzystając z ich osłony, podkradały się cichaczem do gniazd Thrillillili, wykradając jajka, dając początek trwającej tysiąc lat wojnie, której kres miała położyć dopiero jednoczesna zagłada obu ras.

Okrutny świat, w którym, jak z rogu obfitości, wylewały się najprzeróżniejsze formy życia, lecz życia przesyconego walką o przetrwanie, gdzie dla słabych nie było litości. Spośród ras, które miał przed oczami, przeżyły tylko dwie: Thuny i Cho-ja. Sięga wzrokiem dalej, przed siebie. Ciemność, gnana jak chmura na skrzydłach burzy, nadciąga błyskawicznie i pochłania świat dookoła.

Jak po burzy nastaje spokój, tak i teraz zajaśniała światłość. Stoi na szczycie skalistego brzegu i patrzy na bezkresną, trawiastą równinę, oddzieloną od morza wąskim paskiem plaży. Powietrze zaczyna drgać jak w czasie upału, kiedy krajobraz dookoła zdaje się unosić w przestrzeni falując i zanikając. Obraz morza zamazuje się. Dookoła pojawiają się roziskrzone kolory. Nagle materia przestrzeni i czasu zostaje rozdarta jak rękami olbrzyma. Pojawia się szczelina, która poszerza się z sekundy na sekundę. Już widzi, co jest po drugiej stronie. Chaos.

Pokaz rozszalałej energii, jak gdyby wszystkie pasma mocy i energii w tamtym wszechświecie zostały podarte, potargane na strzępy. Gigantyczne błyskawice, tak wielkie, że w ułamku sekundy unicestwiają słońca i planety, eksplodują przerażającym i bajecznie kolorowym blaskiem. Oko zwykłego śmiertelnika nie jest w stanie objąć całego spektrum, a pod powieką jeszcze długo kłębią się barwne plamy. Z głębi ogromnej szczeliny opuszcza się w dół, na trawiastą równinę, szeroki most ze złotego światła. Pojawiają się na nim tysiące postaci. Biegną. Uciekają ku pokojowi i łagodności równin przed szaleństwem, które rozpętało się po drugiej stronie rozdarcia materii wszechświata.

Śpieszą się. Jedni niosą w tobołkach na plecach cały swój majątek, inni podążają ciągnionymi przez zwierzęta wozami i saniami, wypełnionymi po brzegi wszelakim dobrem. Wszyscy prą do przodu, uciekając przed bezimiennymi potwornościami.

Przygląda się z uwagą postaciom. Chociaż w pierwszej chwili wydają mu się zupełnie obce, po wnikliwej obserwacji dochodzi do wniosku, że przecież nie do końca. Wielu ubranych jest w krótkie, proste szaty. Wie, że patrzy oto na praojców rasy Tsuranich. Rysy ich twarzy są proste, różnicują się dopiero później, kiedy na przestrzeni wieków lud ten wymiesza się z innymi. Większość ma jasną cerę i kasztanowe lub blond włosy. Między uchodzącymi kręcą się nerwowo szczekające psy. Są wysokie i wysmukłe. To charty.

Patrzy dalej. Obok schodzą dumni wojownicy. Mają skośne oczy, a ich cera jest śniada.

To ludzie czynu i walki, lecz nie zorganizowani w jakieś struktury. Każdy ma szatę innego kroju, długości i barwy. Przechodzą most równym, spokojnym krokiem. Kilku jest rannych.

Spod niewzruszonej maski obojętności wyziera jednak przerażenie. Zdradza ich wyraz oczu.

Długie miecze z najwspanialszej stali i cudownej roboty kołyszą się na plecach. Szczyt głowy gładko wygolony. Reszta włosów ściągnięta w węzeł. Patrzą przed siebie dumnym wzrokiem ludzi, którzy nie są pewni, czy to, że przeżyli bitwę, było dla nich lepszym rozwiązaniem.

Gdzieniedzie pośród nich można dostrzec jakichś obcych.

Pojawiają się przedstawiciele innej rasy. Są niscy, a dźwigane na ramionach sieci wskazują, że to lud rybacki. W jakim morzu łowią? Tylko oni wiedzą. Ciemnowłosi, o ziemistej cerze i szarzielonych oczach. Mężczyźni, kobiety i dzieci są jednakowo ubrani w proste, futrzane spodnie. Torsy lśnią nagością.

Tuż za nimi pojawia się wysoki, szlachetnie wyglądający lud o czarnej skórze. Bogate stroje. Pastelowe, delikatne kolory. Na wielu czołach lśnią drogocenne kamienie, a na rękach złote bransolety. Lud płacze za utraconą ziemią ojczystą, której już nigdy nie zobaczy.

Nadchodzą następni. Inni. Dosiadają pewnie bestii, jakich jeszcze nigdy nie widział.

Wyglądają one jak latające węże o ptasich głowach. Twarze jeźdźców zdobią jaskrawe i bogato zdobione w pióra maski. Przybywają z gorącego klimatu. Ich ciała pokrywa jedynie farba.

Swoją nagość traktują zupełnie naturalnie, jak ubranie. Ich ciała są piękne, jakby wyszły spod dłuta genialnego rzeźbiarza. Są uzbrojeni w oręż z czarnego szkła. Za nimi podążają kobiety i dzieci. Ich twarze są odkryte. Maluje się na nich udręka. Rysy są wyostrzone cierpieniem i nienawiścią. Uciekają z okrutnego świata. Jeźdźcy Węży zwracają swe wierzchowce ku wschodowi i odlatują. Wielkie latające węże wyginą szybko w chłodnym klimacie wzgórz na wschodzie, lecz na zawsze pozostaną w legendach dumnych Thurilów.

Po złotym moście idą kolejne tysiące wędrowców, by po raz pierwszy postawić stopę na ziemi Kelewanu. Schodzą na równinę. Niektórzy ruszają w dalszą podróż ku innym częściom planety, wielu jednak zostaje i w milczeniu obserwuje, jak most przekraczają następne setki i tysiące. Czas płynie. Po pierwszym dniu następuje noc, a potem przychodzi kolejny świt.

Oni ciągle idą. Nieprzebrane tłumy uciekają przed oszalałą burzą chaosu.

Wraz z nimi nadeszło dwadzieścia bytów mocy. One także uciekają przed całkowitą zagładą wszechświata. Niezliczone rzesze nie widziały ich przejścia, lecz on tak. On wie, że

wkrótce staną się dwudziestoma bóstwami Kelewanu, Dziesięcioma Niższymi i Dziesięcioma Wyższymi Bytami. Wzlatują w górę, by wyrwać linie mocy i potęgi starożytnym, wątlm bytom, które dotąd panowały nad tym światem. Obywa się bez walki. Nowi bogowie obejmują władzę spokojnie, ponieważ stare moce dobrze wiedzą, że w ich świat wkracza nowy porządek. Po kilku dniach podpatrywania zauważa, że strumień uciekinierów przerzedził się nieco. Setki mężczyzn i kobiet ciągną na kołach wykonanych z ciemnej substancji ogromne, błyszczące w promieniach słońca, łodzie wykonane z jakiegoś metalu. Docierają na równinę i za wąską plażą dostrzegają błysk morskich fal. Z głośnym okrzykiem radości ciągną czym prędzej łodzie nad brzeg i spuszcza na wodę. Z pięćdziesięciu pokładów wspinają się po masztach ku górze białe płachty żagli i po chwili wszystkie łodzie kierują się przez ocean na południe, ku lądowi, który w przyszłości będzie nazwany Tsubar, zaginiony lud.

W skład ostatniej grupy wchodziły tysiące mężczyzn w szatach różnego kroju i barwy. Wiedział, że to kapłani-magowie różnych ludów. Stoją razem, wspólnie powstrzymując napór rozwścieczonego szaleństwa. W czasie kiedy patrzył, wielu padło, a ich życie dopalało się jak płomień świecy. Słysząc z góry umówiony sygnał i wielu z nich, lecz najwyżej jeden na stu stojących na szczycie złotego mostu, odwraca się i biegnie ku równinie. Trzymają w rękach księgi, zwoje pergaminu oraz inne zapisy wiedzy tajemnej. Docierają do końca mostu, odwracają się i patrzą z napięciem na dramat rozgrywający się na szczycie.

Tłoczący się na górze, nie oglądając się na tych, którzy uciekli, lecz obserwując czujnie to, co powstrzymują, wydają nagle przeciągły krzyk, wypowiadają wielkie zaklęcie, rzucają na szalę moc przepotężnej magii. Stojący poniżej powtarzają słowa zaklęcia jak echo. Ci, do których dotarły słowa czaru, kurczą się z przerażenia. Poczynając od miejsca, gdzie jest jego początek w trawie równiny, most zaczyna znikać, rozplýwać się w powietrzu. Przez szczelinę wlewa się gwałtownie straszna fala nienawiści i grozy. Kapłani i magowie strzegący przejścia



padają, kurczą się i zwijają jak liście w ogniu. W chwili, kiedy pomost i szczelina znikają z pola widzenia, z wąskiej szparki bucha jeszcze gigantyczny podmuch furii, bezsilnej wściekłości.

Wielu magów na równinie pada na ziemię oszołomionych, jak trzcina miotana wicherą.

Zapada cisza. Ci, którym udało się ująć cało przed bezimienną grozą czającą się po drugiej stronie, stoją długo w milczeniu. Po pewnym czasie zaczynają się powoli rozchodzić.

On wie, że w ciągu lat i wieków, które miały dopiero nadejść, ci obdarci uchodźcy podbiją tę ziemię. To przecież praojcowie narodów zamieszkujących Kelewan. Wie, że oglądał oto narodziny ludów oraz ich ucieczkę przed wrogiem, grozą bez imienia, która obróciła w ruinę domy wielu narodów i ras ludzkich, rozpraszając je po wielu wszechświatach.

I znowu spowija go zasłona czasu. Zapada ciemność.

A po niej jasność.

Na pustej poprzednio równinie wznosi się wielkie miasto. Jego białe wieżycy unoszą się ku niebu. Lud je zamieszkujący jest przedsiębiorczy, a miasto kwitnie. Łądem ciągną długie karawany wozów wyładowanych dobrami. Do portów zawijają wspaniałe żaglowce ze wszystkich stron świata. Jak w kalejdoskopie mkną kolejne lata, przynosząc raz czas wojen i głodu, a potem czas pokoju i obfitości.

Pewnego dnia do portu zawija statek. Jest w równie opłakanym stanie jak jego załoga.

Doszło do wielkiej bitwy, a ten statek jest jednym z nielicznych, który ocalał. Wkrótce nadejdą ci z drugiej strony wody i jeżeli pomoc nie dotrze na czas, Miasto Równin padnie.

Szybkonodzy posłańcy są wysłani na północ, do miast położonych nad brzegami wielkiej rzeki.

Jeśli białe miasto upadnie, już nic nie zdoła powstrzymać najeźdźców od uderzenia na północ.

Posłańcy wracają i przynoszą dobre wieści. Armie innych miast mają wkrótce nadciągnąć.

Obserwuje uważnie, jak wojska zbierają się, by zastąpić drogę wrogowi nad morzem.

Nieprzyjaciel zostaje pokonany i odrzucony, lecz cena, którą przyszło za to zapłacić, jest

naprawdę wielka, bitwa bowiem szaleje przez dwanaście dni. Sto tysięcy ludzi traci życie. Przez całe miesiące piaski wybrzeża są czerwone od krwi. Płonie tysiąc okrętów. Czarny, gęsty dym zasnuwa niebo. Przez długie dni sadza i popiół pokrywają ziemię drobnutkim, delikatnym prochem w promieniu wielu kilometrów. Miasto bieli staje się miastem szarości. Od dnia zakończenia bitwy morze nosi miano Krwawego, a wielka bitwa, która rozegrała się nad jego brzegami, przechodzi do historii jako Bitwa. W jej wyniku tworzy się przymierze, w ziemię pada ziarno przyszłego Imperium Tsuranuanni, które swym zasięgiem obejmie cały świat. Mrok nadchodzi niepostrzeżenie jak cisza.

I nagle, jak dźwięk trąb, powraca jasność. Stoi na szczycie świątyni w sercu najważniejszego miasta Imperium. Poniżej gromadzą się tysięczne tłumy. Zbici ciasno, ramie przy ramieniu, wypełniają szczelnie ulice miasta. W uszach brzmi monotony śpiew. Tysiące rąk podają sobie ponad głowami drewniane platformy, na których stoją możnowładcy Imperium, Panowie Pięciu Wielkich Rodzin. Na ostatniej, największej platformie znajduje się złoty tron, wykuty z metalu, który jest rzadkością w tym ubogim w minerały świecie. Na tronie siedzi chłopiec. Kiedy platforma dociera do Wielkiego Placu Dwudziestu Wyższych i Niższych Bogów, opuszczają ją na ziemię, a tron na barkach obywateli wędruje na szczyt najwyższej świątyni.

Opuszczają go ostrożnie na ziemię. Jest zwrócony przodem w kierunku południowo-wschodnim; stamtąd przyszły narody u prapoczątku. Z mrocznych lochów świątyni wyrusza dwanaście ubranych na czarno kapłanek. U ich boku podążają kapłani w czerwonych szatach. Kapłanki Bogini Śmierci wskazują wybrane osoby w tłumie, a czerwono odziani kapłani Boga Zabijania chwytają je. Chwytają mężczyzn, kobiety, a czasem nawet dzieci. Wybrani zaciągani są na sam szczyt świątyni, gdzie już czekają kapłani Szkarłatnego Boga, by wyciąć im żywcem serca. Kapłani i kapłanki pozostałych osiemnastu porządków

spoglądają w milczeniu. Kiedy już poświęcono bogom setki istnień ludzkich, a schody świątyni spływają krwią, Wielka Kapłanka Bogini Śmierci dochodzi do wniosku, że bogowie zostali usatysfakcjonowani. Kładą na palec chłopca srebrny pierścień, a na jego czoło złotą opaskę i ogłaszają go Światłością Niebios, Minjochka, po jedenastokroć Cesarz. Chłopczyk bawi się drewnianą zabawką, którą dostał tego samego dnia rano. Szybko się znudził oglądaniem nie kończących się tłumów, które przesuwają się u stóp tronu, aby zanurzyć dłoń we krwi swoich rodaków, poczytując to sobie za wielkie szczęście.

Niebo na wschodzie pociemniało. Nadchodzi noc.

O wschodzie słońca stoi przy magu, który prześlęczał nad swoją robotą całą noc. Mag przegląda swoje obliczenia i na jego twarzy pojawia się strach. Wzbudza zakłęcie, które przenosi go w inne miejsce. Obserwator wędruje tam w ślad za nim. Niewielka komnata. Kilku innych magów. Kiedy słyszą wieści przyniesione przez pierwszego maga, na ich twarzach również maluje się przerażenie. Wysyłają posłańca do Wodza Wojny, który włada Imperium w imieniu Cesarza. Wódz wzywa do siebie magów. Obserwator udaje się za nimi. Magowie wyjaśniają znaczenie otrzymanej informacji. Znaki w gwiazdach oraz zapisy w starożytnych księgach zwiastują zbliżanie się wielkiego nieszczęścia. W miejscu, gdzie przedtem ziała pustka, została dostrzeżona wędrowna gwiazda. Co prawda zatrzymała się w miejscu, lecz świeci coraz jaśniej. Sprowadzi zagładę na całe narody. Co prawda Wódz podchodzi do całej sprawy dosyć sceptycznie, lecz ostatnio coraz więcej możnowładców słucha rad magów. Jak sięgnąć pamięcią, krążyły pośród ludów legendy, w których magowie ocalali narody przed nieprzyjacielem, lecz niewielu traktuje je poważnie. Teraz powstała jednak nowa wspólnota magów, którzy utworzyli coś, co się nazywa Zgromadzeniem. Po co? Jedyne sami magowie wiedzą. Pamiętając o zmieniających się czasach, Wódz zgadza się powiadomić Cesarza. Po pewnym czasie Zgromadzenie otrzymuje polecenie od Cesarza. Władca żąda dowodów.

Magowie potrząsają głowami i wracają do swych skromnych komnat.

Mijają dziesięciolecia. Magowie nieustrudzenie prowadzą kampanię propagandy, starając się uzyskać wpływ na każdego, szlachetnie urodzonego w Imperium, który skłonny jest ich wysłuchać. Nadchodzi dzień, w którym cały kraj obiega wiadomość, że Cesarz zmarł, a władcą Imperium został jego syn. Magowie wraz ze wszystkimi, którzy mogą podróżować w Imperium, przybywają do Świętego Miasta na koronację nowego Cesarza.

Ulicami miasta ciągną w stronę wielkich świątyń sznury lektyk ze szlachetnie urodzonymi Imperium. Wzdłuż ulic stoją nieprzebrane tłumy gapiów. Nowy Cesarz paradyje na starodawnym, złotym tronie niesionym przez stu krzepkich niewolników. W chwili, kiedy zakładają mu na głowę koronę, głęboko w lochach świątyni boga śmierci Turakamu zostaje złożony w ofierze niewolnik. Kapłani błagają bogów, aby dusza zmarłego Cesarza spoczywała w pokoju w niebiosach.

Tłum wiwatuje. Sudkahanchoz, po trzydziestoczekroć Cesarz, jest ich ulubieńcom.

Dzisiaj widzą go po raz ostatni w życiu. Teraz nowy Cesarz przenosi się do Świętego Pałacu, gdzie jego dusza trwać będzie przez całe życie w czujnym napięciu, strzegąc szczęścia swoich poddanych. Rządy sprawować będą Wódz Wojny i Wysoka Rada. Nowy Cesarz będzie wiódł życie kontemplacyjne. Będzie czytał, malował, studiował wielkie księgi w świątyniach, starając się oczyścić duszę, by sprostać trudom tego żmudnego życia.

Ten Cesarz różni się od swego ojca. Kiedy docierają do niego od Zgromadzenia przerażające wieści, natychmiast rozkazuje wzniesienie wielkiego zamku na wyspie, pośrodku gigantycznego jeziora w górach Ambolina.

Czas.....mija.

Setki odzianych w czarne szaty magów stoją na szczytach wież wznoszących się ponad miastem na wyspie. Nie jest to jeszcze ów wspaniały, pełen harmonii kompleks budynków,

który powstanie tu w przyszłości. Minęło dwieście lat i teraz na niebie płoną dwa słońca. Jedno ciepłe i żółtozielone. Drugie białe, bardzo małe i gniewne. Obserwator patrzy, jak magowie rzucają zaklęcie, największy czar rzucony w historii narodów. Nawet legendarny pomost z zewnątrz, początek czasów, nie był tak wielkim i wspaniałym dziełem. Wtedy poruszali się tylko pomiędzy dwoma światami, teraz zaś poruszają gwiazdę. Obserwator wyczuwa obecność setek innych niewidocznych dla oka magów. Przyłączają swą moc do stojących na górze.

Zaklęcie, opracowane w najdrobniejszych szczegółach i z największą ostrożnością, powstało w ciągu kilku ostatnich lat w oczekiwaniu na zbliżenie się Nieznanej Gwiazdy. Chociaż mocy zaklęcia nie da się do niczego przyrównać, jednocześnie jest ono niezwykle delikatnej natury. Najmniejsze potknięcie może obrócić wniwecz jego moc i oddziaływanie. Spogląda w górę. Nieznana Gwiazda przybliżyła się nieuchronnie po stycznym do planety kursie. Nie uderzy w Kelewan. Nie ma jednak wątpliwości, że jej ciepło, dodane do i tak gorącej gwiazdy Kelewanu, spowoduje, że życie na planecie będzie zamierać szybko. Przez ponad rok Kelewan będzie zawieszony pomiędzy swą macierzystą gwiazdą a Przybyszem. Nastanie nie kończący się dzień. Wszyscy magowie są zgodni co do tego, że jedynie nielicznym, ukrytym w czeluściach najgłębszych jaskiń, uda się przetrwać, aby powrócić na wypaloną planetę. Teraz muszą przystąpić do działania, zanim będzie za późno, aby spróbować jeszcze raz, gdyby zaklęcie nie poskutkowało za pierwszym razem.

Już działają. Wszyscy razem, jak jeden mąż. Wypowiadają ostatnie słowa misternej, czarodziejskiej formuły. Wydaje się, że świat na chwilę zatrzymał się w bezruchu, wibrując ledwo wyczuwalnie i wsłuchując się z uwagą w echo ostatnich słów zaklęcia. Wibracja narasta powoli. Jest coraz głośniejsza. Amplituda drgań rośnie. Pojawiają się nowe układy harmoniczne, nowe odcienie dźwięku. Powstaje nowe zjawisko, jakoś sama w sobie. Dźwięk jest tak ogłuszający, że stojący na wieżach magowie zatykają uszy. Czarny tłum poniżej stoi

oniemiały z wrażenia. Wszystkie oczy skierowane są w niebo, gdzie rozpoczyna się niezemska gra światła i barw. Poszarpane zygzaki błyskawic. Blask wyładowań energii jest tak oślepiający, że na moment obie gwiazdy przygasają. Kilku magów traci wzrok na zawsze. On sam jest bezpieczny. Huk wyładowań i rozżarzone do białości błyskawice pozostawiają go nietkniętym, jakby jakaś siła chroniła go przed skutkami obserwowanych wydarzeń. Na niebie pojawia się gigantyczna szczelina, bardzo podobna do tej, przez którą wieki temu spłynął na równinę złocisty most. Patrzy na to wszystko chłodnym okiem. Najsilniejsze uczucie, jakiego doznaje, to jakby oderwana od niego, wizualna fascynacja widowiskiem. Rozdarcie na niebie pomiędzy Kelewanem a Nieznaną Gwiazdą powiększa się i odsuwa od planety, zbliżając się ku Przybyszowi, który chce wtargnąć w ich życie.

Jednak oto zaczyna się dzieć coś jeszcze. Z serca szczeliny eksploduje potworna moc, gigantyczna energia, przewyższająca swą gwałtownością miliony razy energię z czasów złotego mostu. Przerazający, straszny chaos i dorównująca mu, obezwładniająca fala nienawiści. Zła moc – przeciwnik, który zmusił narody do ucieczki na Kelewan, zamieszkuje stale wszechświat po drugiej stronie i nie zapomniał uciekinierów sprzed wieków. Nie może się co prawda przebić przez ochronną barierę szczeliny, ponieważ aby przekroczyć granicę pomiędzy dwoma światami, potrzebuje znacznie więcej czasu niż czas trwania przetoki w czasie i przestrzeni, sięga jednak swymi mackami i wypacza jej strukturę, odsuwając dalej od Przybysza. Śluza poszerza się gwałtownie i stojący na ziemi widzą wyraźnie, że za chwilę obejmie swym obszarem cały Kelewan, wchłaniając go z powrotem do Królestwa Nieprzyjaciela. Obserwator, odwrotnie niż Ci, którzy go otaczają, patrzy na to wszystko beznamiętnie, ponieważ wie, że to nie koniec świata. Szczelina pędzi jak huragan w stronę planety. Jeden z magów występuje do przodu, przed innymi.

Obserwator przygląda mu się uważnie, ponieważ wydaje mu się, że postać ta nie jest

mu zupełnie obca. Człowiek ten, inaczej niż pozostali, ubrany jest w brązową szatę przepasaną wełnianym sznurem. W rękę trzyma drewniany kij. Wznosi go ponad głowę i intonuje zaklęcie. Wygląd szczeliny zmienia się. Kolory nie dające się opisać za pomocą zwykłych określeń przechodzą gwałtownie w nieprzeniknioną czerń, kiedy uderza ona w planetę.

Następuje wszechogarniająca eksplozja, po czym zapadają ciemności. Kiedy wreszcie ustępują, słońce, macierzysta gwiazda Kelewanu, chowa się właśnie za horyzontem.

Magowie, którzy ocaleli i nie postradali zmysłów, patrzą z przerażeniem i niedowierzaniem. Niebo ponad głowami jest absolutnie czyste. Nie ma ani jednej gwiazdy. Mężczyzna w brązowej szacie odwraca się do niego.

– Pamiętaj, rzeczy nie zawsze są takie, jakie się wydają. Czerń...

...ponownie zwiastuje upływ czasu. Stoi w sali Zgromadzenia. Magowie ukazują się regularnie, posługując się wzorem na posadzce jako ośrodkiem tranzytu. Każdy z nich zapamiętuje, jak adres, konkretny wzór i sprowadza się siłą woli dokładnie w to miejsce.

Przychodzi wiadomość od Cesarza. Władca błaga ich o rozwiązanie problemu, obiecując wszelką, konieczną pomoc.

Obserwator mknie przez pokolenia do przodu i znowu widzi magów stojących na szczytach wież. Tym razem nie wpatrują się w intruza. Nieznaną Gwiazdę, lecz w bezgwiezdne niebo. Rzucają inne zaklęcie, którego opracowanie zajęło im kilka lat. Kiedy pada ostatnie słowo, ziemią wstrząsają potężne moce. Niebo zapełnia się nagle punkcikami gwiazd.

Kelewan znowu jest w swym starym, zwykłym miejscu.

– Rzeczy nie zawsze są takie, jakie się wydają – mówi głos.

Cesarz przesyła rozkaz, aby Zgromadzenie w pełnym składzie natychmiast stawiło się w Świątym Mieście. Posługując się wzorem, pojedynczo i parami przemieszczają się do Kentosani. Obserwator podąża tam za nimi. Po przybyciu po raz pierwszy w historii Imperium

magowie zaproszeni zostają do wewnętrznych komnat cesarskiego pałacu.

Spośród siedmiu tysięcy magów, którzy zgromadzili się sto lat temu, aby udaremnić plany Nieznanej Gwiazdy, ocalało tylko dwustu. Nawet teraz, kiedy ich liczba nieznacznie wzrosła, na wezwanie Cesarza mógł odpowiedzieć nawet nie co dwudziesty spośród tych, którzy wówczas stanęli na wieżach przeciwko Przybyszowi. Zbliżają się, by stanąć przed obliczem Tukamaco, po czterdziestokroć Cesarza i potomka Sudkahanchocha i Światłości Niebios. Cesarz pyta członków Zgromadzenia, czy jest gotowe przyjąć na siebie obowiązek czuwania nad Imperium i jego obrony, a także odpowiedzialność za nie aż do końca czasów. Magowie konferują, po czym wyrażają zgodę. Cesarz zstępuje wtedy z tronu i korzy się przed zebranymi magami z pochylonym czołem, czyni coś, czego nikt przed nim nie uczynił. Nie wstając z klęczek, prostuje się, rozkłada szeroko ramiona i oświadcza wszem i wobec, iż począwszy od tego dnia, magowie otrzymują tytuł Wielkich i zostają zwolnieni ze wszystkich zobowiązań wobec Cesarstwa z wyjątkiem powierzonego i przyjętego przez nich zadania. Znajdują się ponad prawem i nikt, włączając w to Wodza, który stoi z boku z marsem na twarzy, nie ma prawa im rozkazywać. To, czego zażądają, będzie im dane, kiedy tylko poproszą; ich słowa będą traktowane na równi z prawem.

Jeden z magów uśmiecha się znacząco do innego, stojącego nie opodal.

Ciemność.....i czas mijają.

Obserwator stoi przed tronem Wodza Wojny. Przed Wodzem stoi delegacja magów.

Przedstawiają mu dowód potwierdzający ich słowa. Udało się otworzyć, w pełni kontrolowaną i będącą poza zasięgiem i wpływem nieprzyjaciela, szczelinę w czasie i przestrzeni. Po drugiej stronie znaleziono inny świat. Nie nadaje się on do zamieszkania, ale odkryto już następny, bogaty i zasobny. Pokazują mu wielki majątek, który w ich świecie mógłby stanowić dorobek całego życia. Są to różne metalowe przedmioty, które zostały tam wyrzucone jako bez-



użyteczne. Obserwując scenę uśmiecha się sam do siebie, kiedy dostrzega w oczach Wodza wielkie poruszenie na widok pękniętego napierśnika, zardzewiałego miecza i garści pogiętych gwoździ. Aby jeszcze dobitniej wykazać Wodzowi, że to obcy świat, magowie pokazują mu przedziwny, lecz piękny kwiat. Wódz wącha go. Kwiat pięknie pachnie, co sprawia mu wyraźną przyjemność. Obserwator kiwa głową, bo przecież on także zna przebogaty aromat róży z Midkemie.

Kruczoczarne skrzydło mijającego czasu okrywa go ponownie.

I znowu stoi na platformie, na szczycie wieży. Rozgląda się dookoła. Burza szalała wciąż z tą samą siłą. Jedyne dzięki swej nieświadomej woli potrafił ustać na platformie, podczas gdy jego świadomy umysł zajęty był roztaczaniem przed nim panoramy dziejów Kelewanu. Pojął teraz naturę próby. W czasie jej trwania stracił ogromne zasoby energii. Był kompletnie wyczerpany. W czasie, kiedy wpajano mu końcowe instrukcje odnośnie jego miejsca w tym społeczeństwie, był jednocześnie poddawany próbie dzikiej furii natury. Po raz ostatni rzucił okiem dookoła. Zobaczył zamknięte okiennice w wieżach. Widok poszarpanego grzywami fal jeziora, choć ponury i przygnębiający, zaczął jakoś przemawiać do jego wyobraźni i spodobał mu się. Za wszelką cenę pragnął pochwycić i zamknąć w sobie ten obraz, jakby chciał mieć pewność, że na zawsze zapamięta moment, w którym osiągnął pełnię zrozumienia, chwilę, w której narodził się Wielki. Z pamięci i uczuć opadły wszystkie bariery i blokady. Smakował swą moc. Już nie był Pugiem, chłopcem z zamku. Teraz był magiem władającym mocami, których jego nauczyciel, Kulgan, nie byłby sobie w stanie nawet wyobrazić. Wiedział także, że już nigdy ani Midkemia, ani Kelewan nie będą dla niego takie same jak poprzednio.

Siłą woli spłynął łagodnie pośród podmuchów rozszalałej wichury na dach wieży.

Drzwi otworzyły się same przed nim, jakby czekały na jego przybycie, a kiedy wszedł,

zamknęły się. Shimone czekał na niego z uśmiechem na ustach. Kiedy szli długimi korytarzami miasta-budynku Zgromadzenia, niebiosa na zewnątrz eksplodowały erupcjami błyskawic oznajmiając jego przybycie.

Hochopepa siedział na macie, czekając na przybycie gościa. Zwalisty, łysy mag chciał sprawdzić, jakie było usposobienie i ambicje najnowszego członka Zgromadzenia, który poprzedniego dnia przybył do jego posiadłości odziany w czarną szatę.

Rozległ się dzwonek oznajmiający przybycie gościa. Hochopepa wstał i przeszedł przez bogato umeblowane pomieszczenie. Odsunął na bok drzwi wejściowe.

– Witaj, Milamber. Cieszę się, że zgodziłeś się przyjąć moje zaproszenie.

– Jestem zaszczycony – odpowiedział krótko Milamber, wchodząc do środka. Rozejrzał się. Ze wszystkich pomieszczeń, jakie miał okazję odwiedzić w budowli Zgromadzenia, to wnętrze z pewnością należało do najbogatszych. Ciężkie, bogato zdobione haftem tkaniny wisiały na ścianach. Na półkach zauważył kilka drogocennych przedmiotów z metalu.

Milamber z uwagą przyjrzał się także gospodarzowi. Wysoki i zwalisty mag wskazał Milamberowi wygodną poduszkę przy niskim stole, a następnie napełnił chochą dwie filizanki. Pulchne dłonie wykonywały delikatne, lecz pewne i precyzyjne ruchy. Ciemne, prawie czarne oczy błyszczały spod krzaczastych brwi, stanowiących główny akcent twarzy, której wyraz był zwodniczo dobroduszny. To był największy i najgrubszy mag, jakiego Milamber kiedykolwiek widział. Większość tych, którzy nosili czarne szaty, miała szczupłe sylwetki i ascetyczny wygląd. Milamber podejrzewał, że było to celowe działanie, aby sprawiać wrażenie kogoś, kto jest zajęty przyjemnościami ciała i nie przykłada wielkiej wagi do głębokich przemyśleń i ważkich spraw.

Wypili pierwszy łyk choćby.

– Stwarzasz mi pewien problem, Milamber. – Kiedy Milamber nie skomentował jego

wypowiedzi, Hochopepa ciągnął dalej: – Nic nie mówisz. – Milamber potwierdzająco skinął głową. – Przypuszczam, że twoje pochodzenie sprawia, że jesteś trochę ostrożniejszy, niż jest to tu ogólnie przyjęte.

– Przyznasz, że niewolnik zostający magiem... jest się nad czym zastanawiać.

Hochopepa machnął ręką.

– Przyznaję, nieczęsto się zdarza, aby niewolnik przywdziewał czarną szatę, ale bywały już takie przypadki. Czasem moc nie zostaje rozpoznana aż do osiągnięcia dojrzałego wieku.

Prawo jednak jest w tym zakresie absolutnie jednoznaczne:

bez względu na to, w jakim okresie życia moc zostaje rozpoznana; bez względu na to, jak niska może być pozycja osoby, która ją okazała, z chwilą jej stwierdzenia, ktoś odpowiada jedynie przed Zgromadzeniem. Zdarzyło się kiedyś, że pan kazał powiesić żołnierza za jakieś przewinienie. Człowiek ten, wykorzystując jedynie siłę swej woli, zawisł w powietrzu. Tylko milimetry dzieliły go od uduszenia. Jak widać, jego moc objawiła się dopiero wówczas, gdy było to najbardziej potrzebne. Został przekazany do Zgromadzenia. Co prawda, przetrwał czas nauki, lecz potem okazał się niezbyt dobrym magiem o dosyć kiepskiej mocy.

No tak, ale przecież nie o tym chciałem mówić. Kłopot, który mi sprawiasz, należy do innej kategorii. Chodzi o to, że jesteś, przepraszam, byleś barbarzyńcą.

Milamber uśmiechnął się znowu. Gdy opuścił Wieżę Próby, znów pamiętał dokładnie wydarzenie swego życia, chociaż okres nauki pozostawał nadal dość mglisty. Zrozumiał procesy, które sprawiły, że w końcu stał się panem posiadanej magii. To między innymi dzięki nim wyróżnił się spośród stu tysięcy innych, jemu podobnych, zostając Wielkim. Był teraz jednym z dwóch tysięcy magów w czarnej szacie pośród dwustu milionów mieszkańców Imperium. Ostrożność wyniesiona z czasów niewoli, jak to słusznie zauważył Hochopepa, w połączeniu z wrodzoną inteligencją sprawiły, że milczał. Hochopepa najwyraźniej do czegoś

zmierzał i Milamber postanowił w duchu, że poczeka, aż sam to wyjawia, bez względu na to, jak okreśną drogę wybierze, by dojść do celu. Nie odezwał się ani słowem. Hochopepa zerknął na niego spod oka.

– To, że jesteś magiem, jest dziwne z kilku powodów. Po pierwsze, jesteś pierwszą osobą nie pochodzącą z tego świata, która nosi czarne szaty. Po drugie, byłeś terminatorem u maga Niższej Sztuki Magicznej.

– Kulgan? – Milamber uniósł brew do góry. – Nie wiedziałem, że słyszałeś o mojej poprzedniej nauce.

Hochopepa głęboko i szczerze się roześmiał. Milamber odprężył się nieco i spojrzał na gospodarza nieco ufniejszym okiem.

– Oczywiście. Nie było ani jednego aspektu dotyczącego twego pochodzenia, którego byśmy nie zbadali w najdrobniejszych szczegółach. Byłeś uprzejmy dostarczyć nam bardzo wielu cennych informacji o swoim świecie. – Hochopepa spojrzał uważnie na swego gościa. – Co prawda Wódz Wojny może podjąć decyzję o napaści na świat, którego prawie nie znamy, wbrew, mogę śmiało dodać, radom niektórych doradców-magów, lecz my, członkowie Zgromadzenia, przyglądamy się najpierw z uwagą naszym przeciwnikom. Nie powiem, bardzo nam ulżyło, kiedy dowiedzieliśmy się, że posługiwanie się magią w twoim świecie ogranicza się właściwie do kapłanów i magów Niższej Drogi.

– Po raz drugi wspomniałeś o Niższej Drodze czy Sztuce.

Co masz na myśli?

Tym razem Hochopepa zdziwił się.

– Zakładałem, że wiesz o tym. – Milamber potrząsnął przecząco głową. – Drogą Magii Niższej kroczą ci, którzy siłą swej woli uzyskali, co prawda, kontrolę nad niektórymi mocami, lecz moce te należą do innego porządku niż ten, praktykowany przez czarne szaty.

– Zatem wiesz o moim poprzednim niepowodzeniu.

– Tak. – Hochopepa znowu się roześmiał. – Gdybyś był w mniejszym stopniu

predestynowany do Wyższej Drogi, być może powiodłoby ci się wtedy i opanowałbyś jego sztukę. No cóż, twe wrodzone zdolności były jednak zbyt wielkie, aby mogło ci się udać na Niższej Drodze. Niższa Droga jest raczej pewnego rodzaju uzdolnieniem, talentem niż sztuką. Droga Wyższa jest prawdziwą wiedzą. To droga dla ludzi nauki.

Milamber kiwnął głową. Ilekroć Hochopepa wyjaśniał jakieś pojęcie, Milamber miał wrażenie, jakby znał je przez całe życie. Powiedział o tym gospodarzowi.

– To wystarczająco proste, aby zrozumieć. Nauczono cię wielu pojęć i faktów. W

pierwszym etapie wykładano podstawowe koncepcje magii, a dopiero później mówiono ci o twej odpowiedzialności wobec Imperium. Część procesu doprowadzania zdolności do pełnej ich dojrzałości stanowi wymóg, aby wszystkie te fakty były dostępne wtedy, kiedy będziesz ich potrzebował. Z drugiej jednak strony, duża część materiału, który ci przekazano, została ukryta.

Uzyskasz do niego dostęp wtedy, kiedy będziesz go potrzebował, kiedy uzyskasz pełnię władzy nad swym umysłem. Nadejdzie taki moment, gdy myśli będą same cię nawiedzały od czasu do czasu. Sformułujesz pytanie, odpowiedź na nie sama pojawi się w umyśle. Innym razem odpowiedź przyjdzie podczas lektury lub usłyszysz ją od kogoś. To bardzo przydatny i pomocny mechanizm. Zapobiega przeciążeniu umysłu i zmysłów, które musiałyby nieuchronnie nastąpić, gdyby cała, poznana w ciągu wielu lat wiedza przyszła do ciebie w jednej chwili.

Można to na przykład przyrównać do zaklęć, dzięki którym dane ci były wizje na Wieży

Próby. Nie dysponujemy oczywiście środkami pozwalającymi „zobaczyć”, co się działo przed czasami mostu lub w jakimkolwiek innym momencie dziejów, możemy jednak przedstawić sugestie, stworzyć iluzję...

„Rzeczy nie są tym, czym się wydają”. Milamber z najwyższym trudem zdołał ukryć zdziwienie, kiedy w umyśle zabrzmiał ten nieoczekiwany głos.

– ...oraz zapewnić pewnego rodzaju szkielet, który możesz uzupełnić, obudować obrazami, które są dla ciebie najbardziej istotne. Osobiście nie mogę oprzeć się wrażeniu, że cała ta prezentacja na Wieży trąci trochę wspaniałym, imponującym co prawda, lecz jednak przedstawieniem operowym. Gdyby ktoś poszukiwał naprawdę tylko faktów historycznych, powinien raczej skorzystać z zasobów biblioteki, a nie teatru. – Hochopepa zauważył, że myślami Milamber jest daleko stąd. – No tak, ale przecież mówiliśmy o czymś innym.

– Chciałbym usłyszeć, co to za problem, o którym wspomniałeś.

Hochopepa poprawił szatę, wygładzając jej fałdy.

– Pozwól mi jeszcze na małą dygresję. To wszystko ma związek z powodem, dla którego zaprosiłem cię do siebie.

Milamber dał znak ręką, aby Hochopepa mówił dalej.

– Wiedza o naszych ludach przed Ucieczką jest bardzo skromna. Wiemy, że narody przybyły tutaj z wielu różnych światów. Istnieją także hipotezy, że niektórzy ludzie zdołali zbiec przed Nieprzyjacielem do innych niż nasz światów. Twój był świat, być może, jest jednym z nich. Są, co prawda, strzępy dowodów, które zdają się potwierdzać ten punkt widzenia, lecz na tym etapie to jedynie przypuszczenia.

Milamber przypomniał sobie w tym momencie o partii w szachy, którą rozgrywał z panem Shinzawai. Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Przybyliśmy tutaj jako wygnańcy, rozbitkowie. Spośród milionów jedynie tysiące przetrwały, by zaludnić i zagospodarować tę ziemię. Kiedy przybyliśmy, świat ten już był stary i wyeksploatowany. Na tych ziemiach kwitły niegdyś wielkie i wspaniałe cywilizacje. W miejscach, gdzie kiedyś stały miasta, pozostały po nich jedynie wygładzone milionami stąpnień

kamienie. Nikt nie wie, kim były te istoty. Świat ten jest bardzo ubogi w metale, a to, co tu trafiło razem z falą uciekinierów, zużyło się na przestrzeni wieków. Wszystkie nasze zwierzęta z wyjątkiem psów wyzdychały, podobnie jak wasze konie i bydło. Musieliśmy się przystosować zarówno do naszego nowego domu, jak i zaakceptować siebie samych. W okresie pomiędzy wielką Ucieczką a przybyciem Nieznanej Gwiazdy toczyliśmy wiele wojen. Aż do chwili Bitwy Tysiąca Okrętów stanowiliśmy niewiele więcej niż rozrzucone po tej ziemi państwa-miasta. I wtedy właśnie najniższa, najmniej znacząca rasa Tsuranich powstała i ruszyła na podbój pozostałych, jednocząc większość mieszkańców tego świata pod skrzydłami jednego Imperium.

My, członkowie Zgromadzenia, wspieramy Imperium nie dlatego, że jest ono szlachetne, sprawiedliwe, piękne czy słuszne, lecz dlatego, że jest to największa siła stojąca na straży porządku. Dzięki Imperium ogromna większość ludzkości może żyć i pracować nie nękana wojnami w swoich ojczyznach, może żyć, nie obawiając się głodu, zarazy i innych nieszczęść, które nas nękały w dawnych czasach. My zaś, w Zgromadzeniu otoczeni pokojem, możemy bez przeszkód kontynuować nasze prace.

To właśnie w czasie próby odparcia Nieznanej Gwiazdy stało się dla nas wszystkich jasne, że musimy mieć możliwość nie zakłóconej przez nikogo, włączając Cesarza, pracy, mając do dyspozycji wszelkie potrzebne ku temu środki. Brak zrozumienia i współpracy ze strony Cesarza w chwili, kiedy dotarła do nas wiadomość o zbliżaniu się Gwiazdy, pozbawił nas cennego i potrzebnego do działania czasu. Gdyby nam udzielono wsparcia od razu, może udałoby się nam przeciwstawić Nieprzyjacielowi, kiedy naruszył strukturę szczeliny. Właśnie z tego powodu, w zamian za absolutną wolność przyjęliśmy na siebie ciężar obrony i służenia Imperium.

– Kiedy to mówisz, wszystko wydaje się takie oczywiste i proste, ja jednak ciągle

czekam, abyś wyjawiał swój problem, który mnie dotyczy.

– Wszystko w swoim czasie, przyjacielu. – Hochopepa westchnął głęboko. – Pozwól, że dokończę jeszcze jedną, ostatnią już myśl. Jeżeli chcesz mieć nadzieję przetrwania dłużej niż kilka tygodni, musisz dobrze zrozumieć, dlaczego Zgromadzenie działa w ten właśnie, a nie inny sposób.

– Przetrwania? – Milamber nie krył swego zdziwienia.

– Tak, Milamber, przetrwania. Wiedz, że jest wielu, którzy najchętniej, jeszcze w czasie nauki, widzieliby cię na dnie jeziora.

– Dlaczego?

– Pracujemy nad tym, aby przywrócić Wyższą Sztukę. Kiedy u początku dziejów uciekaliśmy przed Nieprzyjacielem, spośród tych, którzy stawili mu opór, ocalał zaledwie jeden mag na tysiąc. Większość z nich to magowie niższej drogi czy wręcz terminatorzy. Tworzyli oni niewielkie grupki w celu ocalenia od zapomnienia wiedzy, którą wynieśli ze swoich światów. Z czasem grupki takie zaczęły szukać kontaktu z innymi. Z początku oczywiście kontakty te zamykały się w ramach jednego narodu, lecz później, kiedy narastała w nich chęć odzyskania zaginionej sztuki, zaczęły powstawać większe związki. Po kilku wiekach założono Zgromadzenie, do którego zaczęli przybywać magowie ze wszystkich stron świata. Dzisiaj wszyscy, którzy kroczą Wyższą Drogą, są członkami Zgromadzenia. Także większość braci idących Niższym Szlakiem jest z nami, lecz nie cieszą się tak wielkim szacunkiem i wolnością. Przeważnie są od nas lepsi w konstruowaniu magicznych przyrządów. Lepiej też niż my, noszący czarne szaty, rozumieją siły przyrody. To oni, na przykład, budują kule, którymi posługujemy się, przenosząc się z miejsca na miejsce. Chociaż Magowie Niższej Sztuki podlegają prawu. Zgromadzenie chroni ich przed mieszaniem się innych w ich sprawy. Wszyscy magowie pozostają pod wyłączną opieką Zgromadzenia.



– Zatem uzyskaliście wolność działania według naszej i tylko naszej woli, oczywiście pod warunkiem, że działamy w najlepiej pojętym interesie Imperium?

Hochopepa skinął głową.

– To, co robimy, nie ma znaczenia. Nie ma znaczenia nawet to, że dwóch magów może zajmować skrajnie przeciwne stanowiska w odniesieniu do tego czy innego zagadnienia.

Wszystko jest w porządku tak długo, jak długo obaj są wewnętrznie przekonani, że działają w najlepiej pojętym interesie Imperium.

– Z mojego, trochę „barbarzyńskiego” punktu widzenia to dość dziwne prawo.

– Nie prawo, tradycja. W tym świecie, mój barbarzyński przyjacielu, tradycja i zwyczaj mogą stanowić o wiele silniejsze ograniczenie niż wszystkie prawa razem wzięte. Prawa się zmieniają, tradycja pozostaje wciąż ta sama.

Wydaje mi się, że już wiem, na czym polega twój problem, mój cywilizowany przyjacielu. Ponieważ jestem przybyszem z innego świata, nie masz pewności, czy będę działał w najlepiej pojętym interesie Cesarstwa. Hochopepa krótko kiwnął głową.

– Gdybyśmy chociaż przez chwilę mieli pewność, że będziesz zdolny działać przeciwko Imperium, natychmiast byś zginął. Ale tak się składa, że tej pewności nie mamy, chociaż sądzimy, jest to raczej mało prawdopodobne.

Po raz pierwszy Milamber zaczął powątpiewać, czy dobrze słyszy.

– Odnosiłem wrażenie, że zawsze dysponowaliście środkami zapewniającymi, że ci, których szkolicie, nie tylko będą lojalni wobec Imperium, ale że będą traktowali to jako swój pierwszy i podstawowy obowiązek.

– Zazwyczaj tak jest. W twoim przypadku jednak natknęliśmy się na zupełnie nowe dla nas problemy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jesteś ze wszech miar oddany sprawie bractwa magów, porządkowi Imperium. Prawie zawsze mamy stuprocentową pewność.

Wnikamy po prostu do wnętrza umysłu terminatora i odczytujemy wszystko, co tam się znajduje. W twoim przypadku nie udało się nam. Musieliśmy więc oprzeć się na wyzwajających prawdę narkotykach, długich rozmowach i przesłuchaniach oraz specjalnych ćwiczeniach, których zadaniem jest wykazanie nawet najmniejszej dwuznaczności.

– Dlaczego?

– Przyznaję, że powody nie są dla nas zrozumiałe. Zaklęcia maskujące myśli są dobrze znane. Mamy pewność, że nie o to chodzi. Jest raczej tak, jakby twój umysł posiadał jakąś swoistą, charakterystyczną jedynie dla ciebie cechę, na którą nigdy przedtem się nie natknęliśmy. Być może jakiś wrodzony i nie znany nam talent, który jest czymś normalnym w twoim świecie? Może też być to skutkiem specjalnych ćwiczeń zaaplikowanych ci przez twego mistrza, maga Niższej Drogi, ćwiczeń które teraz skutecznie zabezpieczają twój umysł przed odczytaniem.

Tak czy inaczej bądź pewien, że wywołało to spore poruszenie w komnatach i korytarzach Zgromadzenia. Kilkakrotnie w czasie twego szkolenia podnoszono problem dalszego ciągu i za każdym razem niemożność odczytania twoich myśli wysuwana była jako główny argument, aby skończyć z tobą. Za każdym jednak razem większość magów była za tym, abys kontynuował. Ogólnie rzecz ujmując, potencjalnie stanowisz dla nas ogromne źródło nowej wiedzy i jako taki zasługujesz, aby wątpliwości rozstrzygać na twoją korzyść... oczywiście wyłącznie dlatego, żebyśmy po prostu nie utracili tak cennego, nowego nabytku w magazynie talentów.

– Oczywiście – potwierdził Milamber sucho.

– Wczoraj wątpliwości co do celowości... kontynuowania osiągnęły punkt krytyczny.

Kiedy doszło do momentu ostatecznego przyjęcia cię w szeregi Zgromadzenia, poddano sprawę pod głosowanie. Remis. Był jeden głos wstrzymujący się – ja. Kwestia twego

przetrwania pozostaje sporna tak długo, dopóki nie przyłączę się do jednej czy drugiej frakcji. Dopóki to nie nastąpi, dopóki nie rzucę na szalę swego głosu, który przypieczętuje twoje przyjęcie w poczet Zgromadzenia lub je odrzuci, możesz swobodnie działać jako pełnoprawny członek Zgromadzenia. Nasza tradycja nie zezwala na zmianę głosu. Przysługuje nam prawo jednokrotnego głosowania. Nie dotyczy to głosów wstrzymujących się. Ponieważ nikt z nieobecnych w czasie pierwszej tury nie ma prawa dorzucić swojego głosu, jak widzisz, jestem jedynym, który może przełamać impas. Końcowy rezultat, bez względu na to, jak długo będziemy czekali, zależy wyłącznie ode mnie.

Milamber patrzył długo twardym wzrokiem w oczy starszego maga.

– Rozumiem.

– Wątpię. – Hochopepa pokręcił powoli głową. – Żeby ująć to najprościej – wszystko sprowadza się do jednego pytania: co mam z tobą począć? Chociaż tego nie pragnąłem ani nie planowałem, znalazłem się w sytuacji, w której twoje życie spoczywa w moich rękach. Muszę zdecydować, czy masz być zabity czy też nie. Dlatego właśnie chciałem spotkać się z tobą, żeby sprawdzić, czy nie pomyliłem się w swojej ocenie.

Niespodziewanie Milamber odrzucił głowę w tył i wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem. Po policzkach spływały łzy. Po chwili uspokoił się. Hochopepa popatrzył na niego uważnie.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego.

Milamber wznosił rękę w przeproszającym geście.

– Nie chciałem cię urazić, mój cywilizowany przyjacielu. Z pewnością dostrzegasz jednak ironię sytuacji, w której się znalazłem. Byłem niewolnikiem, a moje życie zależało od kaprysu innych. Teraz, mimo całej nauki i wyniesienia w hierarchii społecznej, stwierdzam, że nie zmieniło się to ani na jotę. – Przerwał na chwilę, a na ustach pojawił się przyjazny uśmiech.

– Nieważne, i tak wolę, aby moje życie spoczywało w twych rękach niż byłego nadzorca.

Dlatego się śmiałem, Hochopepa.

Hochopepa zaniemówił ze zdumienia, po czym sam wybuchnął śmiechem.

– Niewielu naszych braci przywiązuje teraz wagę do nauk z dawnych czasów, lecz jeśli nie są ci obcy nasi starsi filozofowie, zrozumiesz właściwie me słowa. Wydajesz się człowiekiem, który odnalazł swoje „wał”. Odnoszę wrażenie, mój barbarzyński przyjacielu, że zadzierzgnęła się między nami nie porozumienia. Zrobiliśmy dobry początek.

Milamber przyglądał się z uwagą gospodarzowi. Nie zdając sobie sprawy z podświadomego procesu, który go do tego doprowadził, doszedł do wniosku, że odnalazł oto sprzymierzeńca, a być może prawdziwego przyjaciela.

– Też tak myślę. Myślę również, że ty też jesteś człowiekiem, który odkrył swoją jaźń.

Hochopepa wyłaził ze skóry, aby przybrać skromny wygląd.

– Ja, cóż ja? Jestem tylko prostym człowiekiem, zniewolonym ponad miarę przyjemnościami ciała. Aż dziw, że osiągnąłem tak doskonały stan koncentracji. – Westchnął głęboko, pochylił się ku gościowi i zaczął mówić z napięciem w głosie. – Posłuchaj mnie uważnie, Milamber. Bez względu na wszystkie wymienione poprzednio powody jesteś zarówno źródłem nowej wiedzy, jak i bronią, której należy się obawiać.

Tsurani to niewolnicy polityki, o czym może zaświadczyć każdy student Gry Rady.

Chociaż my, członkowie Zgromadzenia, teoretycznie i oficjalnie jesteśmy ponad te sprawy, wśród nas też istnieją frakcje i rozgrywki, które nie zawsze załatwia się w pokojowy i bezkrwawy sposób.

Niestety, wielu naszych braci to niewiele więcej niż przesadne kmiotki, nieufne wobec wszystkiego, co obce i nieznanne. Od dzisiaj musisz skupić się na jednym, i tylko jednym, zadaniu. Staraj się zamknąć, ukryć w spokojnym wnętrzu swojej jaźni, zostań prawdziwym

Tsuranim. Musisz stworzyć pozory, musisz być bardziej Tsuranim niż wszyscy inni członkowie Zgromadzenia. Zrozumiałeś?

– Tak – odpowiedział krótko Milamber. Hochopepa napelnił znowu filiżanki chochą.

– Miej się szczególnie na baczności przed pieskami Wodza, Elgoharem i Ergoranem, a także lekkomyślnym młodzieńcem imieniem Tapek. Ich pan dręczy się nieustannie postępowaniem działań wojennych w twoim byłym świecie i stale jest podejrzliwie nastawiony do Zgromadzenia. Szczególnie teraz, kiedy dwóch naszych braci zginęło w czasie wielkiej kampanii, coraz mniej braci jest gotowych wspierać dalej to przedsięwzięcie. Ci nieliczni, którzy nadal pozostają w jego frakcji, są przeciążeni. Coraz częściej słyszy się, że trzeba prawdziwego cudu, aby podporządkować sobie nowe tereny twego byłego świata. Aby to osiągnąć, trzeba by zjednoczonej Wysokiej Rady, a już prędzej Thuny zostaną rolnikami spokojnie uprawiającymi ziemię czy poetami, niż frakcje Rady się pojednają, lub bardzo wielu Czarnych Szat, którzy przystaliby na jego żądania. To drugie może się zdarzyć jakiś rok po tym, jak Thuny osiadą na roli... Jak widzisz, polityczna sytuacja naszego Wodza Wojny jest raczej kiepska. Wodzowie, którzy zawiedli w prowadzeniu działań wojennych raczej szybko popadają w niełaskę. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Ale oczywiście my, członkowie Zgromadzenia, jesteśmy ponad sprawy polityczne. – Spoważniał znowu. – Musisz zdawać sobie sprawę z jednego: Wódz może uważać cię za potencjalne zagrożenie. Może się obawiać, że będziesz wpływał na innych, aby go nie popierali, lub że otwarcie wystąpisz przeciwko niemu, powodowany zakorzenioną głęboko sympatią do twojej byłej ojczyzny. Co prawda nie grozi ci bezpośrednie działanie z jego strony, lecz możesz się nadziać na jego pieski. Niektórzy nadal ślepo idą za jego przewodnictwem.

– „Droga mocy i władzy to pełna zakrętów droga wiodąca pośród innych, większych zakrętów” – zacytował Milamber.

Hochopepa z satysfakcją pokiwał głową. Oczy rozbłyły mu radośnie.

– Oto prawdziwy Tsurani. Szybko się uczysz.

W ciągu następnych tygodni Milamber przyzwyczajał się i wrastał w swoją nową rolę i pozycję w społeczeństwie, ucząc się jednocześnie wynikającej z niej odpowiedzialności. Wielokrotnie komentowano, czasem z nieufnością, że jedynie bardzo nieliczni okazywali tyle dojrzałości i zdolności zaraz po przywdzianiu czarnej szaty.

Mimo tak wielu zmian w swym życiu, Milamber odkrył, że niektóre jego elementy nie uległy zmianie. Ćwicząc stwierdził, że nadal pozostają w jego wnętrzu obszary mocy, do których uzyskuje dostęp wyłącznie w chwilach wielkiego napięcia. Rozważał, studiował zagadnienie, trudił się, aby poddać kontroli te dzikie, nieokiełznane zasoby mocy, lecz bez sukcesu. Stwierdził także, że potrafi odłożyć jakby na bok pewne uwarunkowania umysłu nałożone na niego w procesie nauki, lecz zdecydował się nie wyjawiać tego nikomu, nawet Hochopepie. To przeorganizowanie uwarunkowań wewnętrznych przywróciło mu coś jeszcze, obezwładniające niemal pragnienie, aby znowu być z Katalą. Na razie jednak powstrzymał nieodpartą chęć, aby natychmiast udać się do pana Shinzawai i zażądać jej uwolnienia, co teraz, kiedy był Wielkim, leżało całkowicie w zasięgu jego możliwości. Zawahał się z obawy przed reakcją innych magów, jak również z obawy, że jej uczucia do niego mogły ulec zmianie. Zamiast tego bez reszty pogрузzył się w nauce.

Zgodnie z tym, co mu mówiono, pobyt w Zgromadzeniu wydobył na światło dzienne jego prawdziwą osobowość, prawdziwe „ja”. To właśnie ta tożsamość okazała się kluczem do niezrównanego mistrzostwa w opanowaniu tajników Wyższej Drogi magii. Był bowiem istotą dwojga światów, światów powiązanych razem wielką rysą w czasie i przestrzeni. I tak długo, jak długo oba światy pozostawały połączone razem, czerpał moc z obydwu. Dysponował mocą dwukrotnie większą niż ta, która była dostępna innym, noszącym czarne szaty. Ta świadomość

objawiła jego prawdziwe imię, imię, którego nie wolno mu było wymówić, aby ktoś inny nie zyskał władzy nad nim. W prastarym języku Tsuranich, którym od czasów Ucieczki nikt się już nie posługiwał, oznaczało ono „Tego, który stoi pomiędzy dwoma światami”.

# WYPRAWA

Martin obserwował uważnie.

Gestem ręki dał znak swoim towarzyszom, po czym bezszelestnie, nie zauważeni przez tych na łące, przemknęli się przez granicę lasu. Z obozu Tsuranich dochodziły wydawane donośnym głosem rozkazy. Martin przykucnął, schylając się ku ziemi, aby najmniejszy ruch

listowia nie zdradził ich obecności. Tuż za nim przyczaili się Garret i Charles, były jeniec Tsuranich. W ciągu sześciu lat, które minęły od oblężenia Crydee, Charles spełnił warunki i oczekiwania Martina, dziesiątki razy udowadniając swoją lojalność i przydatność w walce.

Wyćwiczył się również na tyle, że został niezłym tropicielem i zwiadowcą, chociaż nigdy nie dorównał wrodzonej łatwości, z jaką śmigali po lasach Martin i Garret.

Charles nachylił się do ucha Martina.

Łowczy, dostrzegłem wiele nowych sztandarów – szepnął.

– Gdzie?

Charles wskazał w stronę oddalonego krańca obozu. Przy pomocy Krasnoludów, którzy pozostali w wysoko położonych wioskach, Martinowi i jego dwóm towarzyszom udało się dokonać niebezpiecznego przejścia przez szczyty Szarych Wież. Z łatwością ominęli niepostrzeżenie kilka posterunków wroga rozstawionych wzdłuż zachodniej krawędzi doliny, flanki Tsuranich, którą nieprzyjaciel uznał za najbardziej bezpieczną i spokojną i nie wymagającą przez to ścisłego nadzoru. Znajdowali się teraz w odległości zaledwie kilkuset metrów od głównego obozu Tsuranich.

Garret gwizdnał po cichu przez zęby.

– Niech go kule biją! Ma oczy jak jastrząb. Ledwo widzę te sztandary, nie mówiąc już o szczegółach.

– Ja po prostu wiedziałem, czego szukać.



– Co oznaczają te nowe flagi i proporce? – spytał Martin Długi Łuk.

– Złe wieści, wielki łowczy. To sztandary rodzin, które były lojalne wobec Partii

Błękitnego Koła. Przynajmniej do czasu, zanim zostałem pojmany. Nie pojawiali się tutaj od oblężenia Crydee. Może to oznaczać tylko jedno: kolejne, wielkie przegrupowanie sił w Wysokiej Radzie. – Spojrzał uważnie na twarz Martina. – To sygnał, że w Partii Wojny nastąpiły kolejne przetasowania sił. W przyszłym roku, na wiosnę możemy oczekiwać następnej, wielkiej ofensywy.

Martin dał znak, aby wycofali się w głąb lasu. Drzewa tonęły w orgii jesiennych kolorów. Głębokie czerwienie przeplatały się z cienistymi brązami, upstrzonymi, tu i ówdzie, złocistymi plamami. Skradali się cichutko pośród pierwszych, opadłych już liści. Dotarli do starego dębu, którego pień otulał szczelnie gęsty krzak. Uklękli za jego osłoną. Martin wyciągnął niewielki kawałek suszonej wołowiny i zaczął powoli żuć. Wspinaczka po skalistych szczytach Szarych Wież, mimo ofiarnej pomocy Krasnoludów, wycisnęła na nich wyraźne piętno. Byli głodni, zmęczeni i brudni.

– A gdzie są nowe oddziały? – spytał Martin.

– Nie przeprowadzą ich na tę stronę przed przyjściem wiosny. Łatwiej im przeczekać zimę w łagodniejszym klimacie Kelewanu, na obrzeżach Miasta Równin. Przekroczą szczytną linię tuż przed nadejściem odwilży, a kiedy w ogródku księżniczki Carline znowu zakwitną kwiaty, będą już maszerowali po waszej ziemi.

Na pomocy rozległ się wysoki, przejmujący dźwięk. Charles gwałtownie podniósł głowę. Nerwowo rozglądał się dookoła.

– Cho-ja! – szepnął. Obrzucił wzrokiem najbliższą okolicę i po chwili wskazał ręką ku górze.

Martin skinął głową, stanął przy pniu dębu i złączył dłonie. Pomógł dźwignąć się w

górze najpierw Charlesowi, a potem Garretowi. Kiedy znaleźli się bezpiecznie na grubym konarze, podskoczył i chwycił wyciągnięte ku niemu dłonie. Po sekundzie wciągnęli go na górę.

Szybko wspinali się na wyżej położone gałęzie. Dobyli broni i zamarli w bezruchu w pobliżu wierzchołka drzewa. Po paru chwilach w polu widzenia pojawił się patrol Cho-ja.

Sześć, przypominających do złudzenia gigantyczne mrówki, stworów przemaszerowało równym krokiem pod dębem. Ich dowódca w hełmie zwieńczonym wysokim pióropuszem, idący na przedzie, stanął nagle, zatrzymując pozostałych ruchem dłoni. Zwrócił się w jedną, potem w drugą stronę. Piskliwym głosem wyrzucił z siebie strumień rozkazów. Pozostała piątka rozbiegła się i przez ponad dziesięć minut przeszukiwała hałaśliwie okolice.

Powróciły w końcu pod drzewo, ustawiły się w szyku i odmaszerowały równym krokiem. Martin odczekał, aż stwory znalazły się poza zasięgiem głosu, i nachylił się do towarzyszy.

– O co tu chodziło?

– Wyczuły naszą woń. Mój zapach też się zmienił na skutek jedzenia pożywienia z Midkemii. Obca woń powiedziała im, że to nie Tsurani.

Zaczęli schodzić z drzewa.

– Cho-ja z trudem patrzą w górę, więc nie czynią tego często.

– A co by było, gdyby towarzyszył im jeden z twych dawnych ziomków? – spytał Garret. Charles wzruszył ramionami.

– Cho-ja mówiłyby językiem Tsuranich. Ich języka właściwie nie można się nauczyć, więc nikt nawet nie próbuje.

– Czy potrafiłyby iść naszym śladem? – zapytał Martin.

– Nie sądzę, ale... – przerwał w pół słowa, kiedy od strony obozu doszło ich głośnie

szczekanie. – Psy!

– Mogą nas wytropić – powiedział Martin. – Szybko – dodał i zaczął biec swobodnym, wyciągniętym krokiem z powrotem, w stronę odwiecznego szlaku wiodącego przez góry. Od dawna nie używana ścieżka, którą Martin i jego dwaj towarzysze dostali się na dno doliny, była prawie całkowicie zarośnięta i do tej pory nie została odkryta przez Tsuranich.

Przez kilka minut trojka przemykała między drzewami, nasłuchując pilnie odgłosów z tyłu. Szczekanie przeszło nagle w gwałtowne ujadanie i wycie.

– Złapały wiatr – powiedział Garret.

Martin nic nie odpowiedział. Skinął tylko głową i przyspieszył kroku. Biegli dalej.

Szczekanie psów za plecami przybierało na sile. Martin zatrzymał się nagle i złapał mocno za ramię pędzącego za nim Garreta. Ruchem głowy wskazał kierunek w bok od szlaku i puścił się przed nimi w kierunku niewielkiego strumyczka.

– Przypomniałem sobie, że słyszałem plusk wody, kiedy szliśmy w tamtą stronę – powiedział, wchodząc do wody. Charles i Garret weszli do strumienia.

– Mamy niewielką przewagę, najwyżej kilka minut – ciągnął dalej Martin. – Będą szukali w górę i dół strumienia.

– W którą stronę? – spytał Garret.

– W dół. Najpierw pójdą w górę myśląc, że chcemy wydostać się z doliny.

– Mam inny sposób – powiedział nagle Charles. Zdjął szybko plecak i wyciągnął spory, skórzany woreczek. Rozwiązał rzemyk i zaczął posypywać czarnym proszkiem ziemię w miejscu, w którym weszli w wodę.

Oczy Garreta zaszkliły się łzami. Wypuścił gwałtownie powietrze przez nos, powstrzymując się z całej siły, aby nie kichnąć.

– Pieprz!

– Kucharz Megar będzie się złościł, ale pomyślałem sobie, że pieprz może nam się przydać. Kiedy Cho-ja i psy wetkną tu nosy, na kilka godzin stracą powonienie.

– Chodźmy w górę strumienia! – ponaglił ich Martin. Trzech mężczyzn rozbryzgiwało wodę, aby po chwili przejść w spokojny, rytmiczny i cichy bieg. Wbiegli za zakręt strumienia, kiedy ujadanie psów przeszło nagle w głośne zawodzenie i prychanie. Usłyszeli jeszcze wykrzykiwane rozkazy i płaczliwy skowyt psów. Charles uśmiechnął się radośnie. Biegli dalej. Po paru minutach dotarli do zwieszającej się nisko nad wodą gałęzi. Martin pomógł towarzyszom wspiąć się na konar, a następnie sam zwinnie wspiął się na górę. Przeszli po gałęziach na drugą stronę pnia i przeskoczyli na sąsiedni, rozłożysty dąb.

Zeskoczyli na ziemię kilkanaście metrów od brzegu strumienia. Martin rozejrzał się czujnie sprawdzając, czy nie ma w pobliżu nieprzyjaciela, potem dał im znak głową i ruszył w stronę Szarych Wież.

Podmuchy wiatru od morza uderzały o mury zaniku. Arutha patrzył w dal ponad miastem na fale. Kasztanowe włosy tańczyły na wietrze. Wysoko na niebie pędziły pierzaste chmury. Plamy światła i cienia przesuwwały się szybko po ziemi. Arutha stał nieruchomo wpatrzony w odległy, poszarpany białymi grzywami fal horyzont Bezkresnego Morza.

Podmuchy wiatru niosły odgłosy pracy z miasta. Robotnicy podnosili z ruin kolejny budynek. W progi Crydee zawitała kolejna, ósma już od wybuchu wojny, jesień. Całe szczęście, myślał Arutha, że ani tej wiosny, ani latem nie doszło do ofensywy Tsuranich, chociaż z drugiej strony nie było wielu powodów do radości. Dowodzenie nie fascynowało go już tak, jak na początku, kiedy objął komendę nad zamkiem. Po kilku latach walk był doświadczonym, patrzącym na wydarzenia chłodnym okiem żołnierzem. Miał tylko dwadzieścia siedem lat, a oglądał więcej krwawych zmagania i był zmuszony do podjęcia większej liczby decyzji niż większość mieszkańców Królestwa w całym swoim życiu. Opierając się na doświadczeniu i

popartych faktami przeczuciach, zdawał sobie sprawę, że Tsurani powoli wygrywają wojnę. Przez chwilę pozwolił swoim myślom błądzić swobodnie, po czym wrócił do rzeczywistości. Chociaż nie poddawał się już tak łatwo nastrojom jak wtedy, kiedy był chłopcem, nadal przejawiał tendencję do wsłuchiwania się w swoje wnętrze. Stwierdził, że najlepszym lekarstwem na takie bezproduktywne marnowanie czasu jest wynajdywanie sobie kolejnych zajęć.

– Jesień jest krótka w tym roku.

Arutha odwrócił się w lewo. Tuż koło niego stał Roland. Młody panicz zastał Księcia zatopionego w myślach i podszedł nie zauważony. Arutha zirytował się. Po chwili otrząsnął się ze zdenerwowania.

– A po krótkiej jesieni, krótka zima, Rolandzie. A na wiosnę...

– Są jakieś wieści o Marunie?

Arutha ścisnął dłoń w rękawicy w pięść i począł powoli i miarowo uderzać w mur, co było u niego widomym objawem głębokiej frustracji.

– Setki razy żałowałem, że musieli pójść. Z całej trójki tylko Garret jest stosunkowo rozważny. Charles to tsurański szaleniec pożerany przez swe zwariowane poczucie honoru, a Długi Łuk...

– To Długi Łuk – dokończył za niego Roland.

– Jeszcze nigdy nie spotkałem człowieka, który byłby równie skryty jak on, Rolandzie.

Nawet gdybym miał żyć tak długo jak Elfy, i tak nie zrozumiałem, co w nim siedzi, co sprawia, że jest właśnie taki.

Roland oparł się o chłodny mur.

– Jak myślisz, nic im się nie stało? Arutha zapatrzył się na morze.

– Jeżeli ktokolwiek z Crydee jest w stanie pokonać szczyty górskie, dotrzeć do doliny

zajętej przez Tsuranich i wrócić bezpiecznie, to właśnie Martin, ale i tak niepokoję się o niego, o nich.

Wyznanie to bardzo zdziwiło Rolanda. Arutha, podobnie jak Martin, nie należał do tych, którzy wyjawiają swe odczucia. Wyczuł głęboki niepokój Księcia i zmienił temat.

– Dostałem wiadomość od ojca.

– Tak, wiem. Mówili mi, że w poczcie z Tulan była prywatna wiadomość do ciebie.

— Zatem wiesz, że ojciec prosi, abym wrócił do domu?

– Tak. Przykro mi, że złamał nogę.

– Ojciec nigdy nie był najlepszym jeźdźcem. To już drugi raz spada z konia i łamie sobie coś. Poprzednio, byłem wtedy jeszcze mały, złamał rękę.

– Dawno nie byłeś w domu, Rolandzie. Roland wzruszył ramionami.

– Teraz, kiedy mamy wojnę, nie czułem potrzeby powrotu. Większość walk toczyła się tutaj. A poza tym – dodał z uśmiechem – są powody innej natury, które skłaniają mnie raczej do pozostania w Crydee.

– Czy powiedziałaś już Carline? – Arutha uśmiechnął się szeroko.

– Jeszcze nie. – Uśmiech znikł z twarzy Rolanda. –

Myślałem, że będzie lepiej, jak poczekam z tym do czasu, kiedy zorganizuję jakiś statek na południe. – Teraz, kiedy Bractwo Mrocznego Szlaku opuściło Zielone Serce, podróż lądem na południe była praktycznie niemożliwa, ponieważ Tsurani odcięli wszystkie drogi do Carse i Tulan. Ze szczytu wieży rozległ się okrzyk. Odwrócili się.

– Nadchodzą tropiciele.

Arutha zmrużył oczy i w blasku słońca odbijającym się na powierzchni morza dostrzegł trzy postacie biegnące drogą. Kiedy zbliżyły się na tyle, aby można je było rozpoznać, Arutha spojrzał na Rolanda z uśmiechem.

– Długi Łuk. – W jego głosie wyraźnie było słychać ulgę.

Arutha zszedł z murów na podwórzec zamkowy, aby tam czekać na przybycie wielkiego łowczego i jego towarzyszy. Roland stał z boku. Po krótkiej chwili pod sklepieniem bramy pojawiły się trzy pokryte kurzem od stóp do głów postacie. Garret i Charles milczeli.

– Witam waszą wysokość – odezwał się Martin.

– I ja witam, Martin. Jakie wieści?

Martin zaczął wyliczać długą listę wiadomości zdobytych w pobliżu obozu Tsuranich.

Po kilku zdaniach Arutha przerwał mu.

– Lepiej oszczędzaj siły na posiedzenie Rady, Martin. Roland, zawołaj proszę ojca

Tully'ego, mistrza Fannona i Amosa Traska. Niech przyjdą do sali posiedzeń.

Roland odszedł pośpiesznie, aby wykonać polecenie Księcia.

– Garret i Charles też się mają stawić, Martin. Garret zerknął na byłego jeńca Tsuranich.

Charles wzruszył ramionami. Już wiedzieli, że od dawna oczekiwany gorący posiłek będzie musiał jeszcze poczekać, aż Księżę uzna za stosowne ich zwolnić.

Martin zajął miejsce obok Amosa Traska. Charles i Garret stali skromnie z boku. Były kapitan statku skinął Martinowi głową na powitanie. Arutha, jak zwykle, kiedy spotykał się ze swoimi doradcami, nie zważał w ogóle na formalności. Odsunął krzesło i usiadł przy stole. Amos, który jak się okazało z biegiem lat, był człowiekiem ze wszech miar przedsiębiorczym i posiadającym wiele niespodziewanych i często zaskakujących talentów, od czasu oblężenia Crydee został nieoficjalnym członkiem komitetu doradczego Księcia.

Po prawej stronie Księcia zajął miejsce Fannon. Gdy odniósł ranę, zgodził się bez oporów przekazać dowództwo Anicie, o czym powiadomił zresztą pisemnie księcia Borrica. Księżę zatwierdził formalnie zmianę na stanowisku głównodowodzącego Crydee i Fannon powrócił do swojej poprzedniej roli adiutanta. Stary Mistrz Miecza wydawał się całkowicie

ukontentowany swoim stanowiskiem.

– Martin powrócił przed chwilą z bardzo ważnej misji – zaczął posiedzenie Arutha. –

Opowiedz nam, proszę, co udało ci się zobaczyć.

– Wspięliśmy się na szczyty Szarych Wież i przedostaliśmy się do doliny, gdzie Tsurani mają swoją kwaterę główną.

Fannon i Tully podnieśli gwałtownie głowy, obrzucając Martina zdumionym spojrzeniem. Amos Trask parsknął swym rubasznym śmiechem.

– A niech mnie kule biją! Kwitujesz całą epopeję jednym, krótkim zdaniem.

Martin przemilczał komentarz marynarza.

– Najlepiej będzie, jeżeli pozwolimy, aby Charles sam opowiedział, co udało nam się podpatrzeć.

– Wszystkie znaki wskazują, że Wódz Wojny szykuje się do poważnej ofensywy na wiosnę przyszłego roku. – W głosie byłego jeńca wyczuwało się zaniepokojenie.

Wszyscy obecni w pokoju, z wyjątkiem Fannona, zaniemówili.

– Skąd ta pewność? Czy widziałeś w obozie nowe oddziały?

– Nie. – Charles pokręcił przecząco głową. – Nowi żołnierze przybędą do obozu nie wcześniej niż krótko przed pierwszą odwilżą na wiosnę. Moi byli ziomkowie nie przepadają za waszym chłodnym klimatem. Przezimują na Kelewanie i dopiero tuż przed rozpoczęciem ofensywy przekroczą próg przejścia w dolinie.

Chociaż upłynęło już pięć lat, Fannon wbrew odczuciom i przekonaniu Martina ciągle powątpiewał w lojalność Charlesa.

– Skąd więc masz pewność, że w ogóle będzie ofensywa? Od czasu wyprawy przeciwko Elvandarowi, trzy lata temu, nie działo się nic poważnego.

– W obozie Wodza Wojny pojawiły się nowe sztandary, mistrzu Fannonie. Sztandary



domów należących do Partii Błękitnego Koła. Nie było ich tutaj od sześciu lat. Ich obecność teraz może oznaczać tylko jedno: w Wysokiej Radzie zaszły istotne zmiany. Ponownie sformowano Partię Wojny.

Spośród zebranych jedynie Tully wydawał się rozumieć, o czym Charles mówi. Stary kapłan, wykorzystując obecność schwytanych w bitwach jeńców Tsuranich, starał się jak najwięcej dowiedzieć o ich życiu na Kelewanie.

– Charles, musisz chyba wyjaśnić dokładniej, o co chodzi. Charles zbierał przez kilka chwil myśli, aby jak najprecyzyjniej przedstawić zagadnienie.

– Musicie zrozumieć jeden, podstawowy fakt dotyczący mojej byłej ojczyzny. Ponad wszystkim, z wyjątkiem honoru i posłuszeństwa wobec Cesarza, stoi Wysoka Rada. Uzyskanie decydujących wpływów ma bardzo dużą wartość, opłaca się nawet ryzykować utratę życia. Niejeden ród uległ całkowitej zagładzie na skutek intryg i knowań w Radzie. My, mieszkańcy Imperium, nazywamy to „Grami Rady”.

Moja rodzina znajdowała się na bardzo dobrym miejscu w hierarchii klanu Hunzan.

Nasza pozycja nie była na tyle wysoka, abyśmy stanowili zagrożenie dla rywali naszego klanu, ale z drugiej strony, nie była tak niska, aby spychano nas do podrzędnej roli. Byliśmy w tym korzystnym położeniu, że wiedzieliśmy wiele o sprawach rozważanych w Wysokiej Radzie, a nie musieliśmy się jednocześnie zbytnio zajmować tym, jakie decyzje zostaną w końcu podjęte.

Ponieważ w naszych rodzinach było wielu ludzi nauki, kapłanów, artystów, nauczycieli i uzdrowicieli, działaliśmy aktywnie w Partii dla Postępu.

Potem nadszedł moment, kiedy z przyczyn znanych jedynie najwyżej postawionym głowom rodów i co do których ja mogę jedynie spekulować, klan Hunzan opuścił szeregi Partii dla Postępu. Klan mój połączył się z klanami Partii Błękitnego Koła, jednej z najstarszych, reprezentowanych w Wysokiej Radzie. Chociaż, oczywiście, partia ta nie jest tak potężna jak

Partia Wojny Wodza Wojny czy Imperialna Partia tradycjonalistów, członkostwo w niej to wielki honor i wpływy.

Przed sześcioma laty, kiedy przybyłem do waszego świata po raz pierwszy. Partia Błękitnego Koła połączyła się z Partią Wojny i razem uformowały koalicję na rzecz wojny.

My, członkowie pomniejszych rodzin, nie zostaliśmy poinformowani o przyczynach tak radykalnego zwrotu w przymierzu; nie było jednak najmniejszej wątpliwości, że wynikało to z Gier Rady.

Moje osobiste popadnięcie w niełaskę i utrata wolności były z pewnością potrzebne, aby członkowie mojego klanu znaleźli się poza wszelkim podejrzeniem, aż do nadejścia odpowiedniego momentu dla podjęcia dalszych kroków, bez względu na to, w którym kierunku wiodły. Teraz stało się jasne, w którą stronę planowano ten ruch.

Od czasów oblężenia zamku nie widziałem ani jednego żołnierza, który należałby do którejś z rodzin Błękitnego Koła. Uznałem, że koalicja na rzecz wojny rozpadła się.

Fannon przerwał mu.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że rozwój sytuacji w tej wojnie to jedynie pewien fragment, prowadzonej w Wysokiej Radzie, gry politycznej?

– Mistrzu Miecza, zdaję sobie sprawę, człowiekowi o tak niewzruszonej lojalności w stosunku do swego narodu, jakim ty jesteś, trudno jest to zrozumieć, ale właśnie to miałem na myśli.

Istnieją powody, dla których rozpoczęto działania wojenne. Są one istotne dla

Tsuranich. Wasz świat obfituje w bogate złoża metali, które bardzo cenimy na Kelewanie. Inną przyczyną jest krwawa historia naszego narodu, w wyniku której powstało w nas przekonanie, że należy się obawiać i ujarzmić wszystkich, którzy nie są z pochodzenia Tsuranuanni. Skoro nam się udało odkryć wasz świat, czy nie jest także możliwe, że którego dnia i wam mogłoby

się to również udać?

Najistotniejsze jednak w tym wszystkim jest to, że w ten sposób może zdobyć wielkie wpływy na forum Wielkiej Rady. Przez całe wieki walczyliśmy z konfederacją Thuril, a kiedy wreszcie przymuszono nas, abyśmy zasiedli do stołu rokowań, zmalało bardzo znaczenie Partii Wojny w Radzie. Dzięki wojnie można odzyskać stracony grunt, ponownie zyskać na znaczeniu. Cesarz rzadko sam rządzi, pozostawiając władzę do wyłącznej dyspozycji Wodza Wojny. Nie można jednak zapominać, że przecież Wódz pozostaje ciągle panem swego własnego rodu, komendantem wojennym całego klanu, i jako taki działa nieustannie, aby jego własny klan i rodzina zyskały jak największą przewagę w Grzech Rady. Tully był zafascynowany opowieścią.

– Zatem przyłączenie się Partii Błękitnego Koła do partii Wodza, po którym nastąpiło raptowne wycofanie poparcia, było jedynie klasycznym manewrem w grze politycznej, krokiem, który miał pomóc w uzyskaniu przewagi?

– To bardzo charakterystyczne dla nas, Tsuranich, dobry ojcze. – Charles uśmiechnął się. – Wódz bardzo starannie zaplanował swoją pierwszą kampanię, po czym, po trzech latach działań wojennych, zostaje niespodziewanie z połową armii. Nie wytrzymuje obciążenia, nie może przedstawiać Wysokiej Radzie i Cesarzowi dobrych wieści z frontu o druzgocących zwycięstwach nad przeciwnikiem. Notowania jego pozycji i prestiżu w Grze spadają gwałtownie.

– Nie do wiary! – krzyknął Fannon. – Iz takiej przyczyny giną setki ludzi!

– Na tym polegają Gry Rady, mistrzu. Wódz Wojny Almecho to bardzo ambitny człowiek. Trzeba nim być, aby zostać Wodzem. Musi opierać się na wielu innych, ambitnych, którzy tylko czyhają na najmniejsze potknięcie, aby zabrać mu władzę. Aby ich utrzymać koło siebie jako sprzymierzeńców, a nie wrogów, czasem musi przymykać oko na niektóre sprawki.

W pierwszym roku wojny człowiek zwany Tasio z rodu Minwanabi, zastępca Wodza, rozkazał zaatakować jeden z garnizonów La-Mut. Poza tym, że jest drugim co do ważności dowódcą kampanii w waszym świecie, Tasio jest także kuzynem pana Jingu z rodu Minwanabi. Rozkaz zaatakowania garnizonu otrzymał Pan Sezu z rodu Acoma, zajadły wróg Jingu. Wojska Acomy zostały wybite prawie do nogi. Poległ też pan Sezu i jego syn. Tasio spóźnił się zaledwie o kilka chwil z odsieczą, lecz nie na tyle, żeby nie zwyciężyć w tej bitwie i nie obdarować Wodza jeszcze jednym zwycięstwem.

Fannon nie mógł uwierzyć własnym uszom. Jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.

– To najokropniejsza dwulicowość, o jakiej słyszałem w życiu!

– A zarazem bardzo sprytne posunięcie w mniemaniu Tsuranich – wtrącił Arutha.

Charles potwierdził skinieniem głowy trafność uwagi Księcia.

– Wódz oczywiście przebaczył Tasiowi, że z zimną krwią dopuścił do jatki, w której wyrżnięto całą armię Acomy i w której zginął jeden z lepszych dowódców, w zamian za zwycięstwo i zwiększone poparcie ze strony Minwanabi.

Każdy z panów, którzy nie mieli w tej grze bezpośredniego udziału, pochwalił ten krok przyznając, że było to mistrzowskie zagranie. Uczynili to nawet ci, którzy cenili pana Sezu.

Almecho i pan Jingu zyskali wtedy w Radzie wielu zwolenników. W konsekwencji przeciwnicy polityczni Wodza Wojny, szukający sposobów, aby przeciwstawić się jego rosnącej sile i władzy, doprowadzili do powstania sytuacji, którą opisałem poprzednio. Wódz został nagle bez środków do prowadzenia efektywnych działań wojennych. Po wykonaniu tak skutecznego uderzenia wiele rodów, które do tej pory pozostawały w zasięgu oddziaływania Partii Wojny, zostało przeciągniętych na stronę Partii Błękitnego Koła i jej sprzymierzeńców.

– No tak – wtrącił się Arutha – ale dla nas istotne jest w tej chwili jedno: Partia

Błękitnego Koła ponownie sprzymierzyła się z Wodzem Wojny, a jej żołnierze podejmą dzia-

łanie wojenne wraz z nadejściem wiosny.

Charles spojrzął po zgromadzonych w sali posiedzeń.

– Zupełnie nie potrafię odgadnąć, z jakiego powodu znowu doszło do tak istotnego przegrupowania sił w Radzie. Już długi czas nie miałem kontaktu z Grami. Ale jak to słusznie zauważyła Jego Wysokość, dla nas w Crydee ważne jest to, że na wiosnę może stanąć naprzeciwko nas, na jednym z frontów, dziesięć tysięcy wypoczętych żołnierzy.

– Aż mnie ciarki przeszły. – Amos nachmurzył się. – Niech to wszyscy...

Arutha rozwinął kilka pergaminów.

– Większość z was czytała te wiadomości w ciągu ostatnich kilku miesięcy. – Spojrzął na Tully'ego i Fannona. – Zauważyliście, że zaczęła się pojawiać pewna prawidłowość. – Wziął do ręki jeden ze zwojów. – Od ojca: „Nieustanne wypadki i ataki Tsuranich utrzymują naszych żołnierzy w niepewności. Brak możliwości otwartego starcia z wrogiem rzuca cień na wszystko, co robimy. Zaczynam się obawiać, że ta wojna może się ciągnąć w nieskończoność...” Od barona Bellamy'ego: „...rosnąca aktywność Tsuranich w okolicach garnizonu Jonril. Uważam za wskazane zwiększenie nacisku w tym rejonie w czasie tej zimy, kiedy zwykle Tsurani są mniej aktywni. W przeciwnym razie istnieje groźba utraty pozycji na wiosnę”. Pan Roland będzie nadzorował wspólne zasilenie Jonril przez oddziały z Carse i Tulan.

Kilka osób spojrzęło w stronę stojącego za Arutha Rolanda. Księżę mówił dalej:

– A teraz informacja przesłana od księcia Dulanica, głównodowodzącego Krondoru:

„Chociaż Jego Wysokość łączy się z wami w trosce o dobro i bezpieczeństwo kraju, to jednak sądzimy, iż nie ma zbyt wielu powodów do trwogi. Jeżeli wasz wywiad nie jest w stanie dostarczyć faktów, które by potwierdziły i uwiarygodniły wasze obawy odnośnie przyszłej ofensywy Tsuranich, na razie zalecam Księżciu, aby odrzucił prośbę o przeniesienie niektórych

oddziałów garnizonu z Krondoru w rejon Dalekiego Wybrzeża...” – Arutha obrzucił wzrokiem zebranych. – Teraz sytuacja jest jasna.

Książę odłożył pergaminowe zwoje i wskazał na mapę przymocowaną do blatu stołu.

– Zaangażowaliśmy wszystkie dostępne oddziały. Nie możemy ściągnąć ludzi z południa, ponieważ Tsurani mogą uderzyć na Jonril. Gdyby się udało wzmocnić garnizon, przez pewien czas mielibyśmy tutaj w miarę stabilną sytuację. Jeśli wróg zaatakuje garnizon, można ściągnąć posiłki z Carse i Tulan. Gdyby Tsurani mieli się zwrócić przeciwko któremuś z nich, zostawiają wtedy na swoich tyłach Jonril. Lecz to wszystko na nic, jeżeli mielibyśmy ogołocić te garnizony z części ludzi.

Co do sił pod komendą ojca, to wiemy, że są zaangażowane wzdłuż bardzo długiej linii frontu i nie ma tam żadnych rezerw. – Spojrzał na Charlesa. – Jak sądzisz, w którym miejscu mogą zaatakować?

Były jeniec Tsuranich przyglądał się przez chwilę mapie, po czym wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Wasza Wysokość. Gdyby rozpatrywać sytuację wyłącznie z wojskowego punktu widzenia, Wódz powinien zaatakować na którymś ze słabszych frontów albo w kierunku Elfów, albo tutaj. Lecz w Cesarstwie niewiele się dzieje bez politycznych uwarunkowań. – Studiował z uwagą rozmieszczenie oddziałów na mapie. – Gdybym ja był na miejscu Wodza Wojny i potrzebował szybkiego, łatwego zwycięstwa dla podreperowania pozycji w Wysokiej Radzie, jeszcze raz zaatakowałbym Crydee. Z drugiej jednak strony, gdybym był na miejscu Wodza o bardzo osłabionej i niepewnej pozycji w Radzie, któremu do odzyskania utraconego prestiżu niezbędne jest jakieś spektakularne, wielkie uderzenie, pewnie bym zaryzykował, postawił wszystko na jedną kartę i ruszył przeciwko głównym siłom Królestwa, czyli armiom pod komendą księcia Borrica. Zgniecenie głównych sił Królestwa zapewniłoby mi dominującą pozycję w Radzie na kilka następnych lat.

Fannon wyprostował się i westchnął ciężko.

– Zatem stanęliśmy twarzą w twarz z możliwością kolejnego ataku na Crydee na wiosnę, a do tego, ze względu na możliwość ataku w innym miejscu, nie mamy skąd ściągnąć posiłków. – Szerokim gestem ręki objął mapę na stole. – Stoimy przed identycznym problemem jak Książę. Wszystkie siły, którymi dysponujemy, są zaangażowane wzdłuż linii frontu z Tsuranimi. Jedyni ludzie, którymi możemy wzmocnić nasze pozycje, to ci, którzy są na przepustkach w miastach, ale to przecież kropla w morzu.

Nie możemy w nieskończoność trzymać wojska w polu. Nawet książę Borric i Brucal zimują w La-Mut z tamtejszym Księciem, zostawiając w polu tylko niewielkie posterunki, aby miały baczenie na ruchy wojsk Tsuranich. – Zniecierpliwiony machnął ręką. – No tak, ale zbaczam z tematu. Najważniejsze w tej chwili, to natychmiast zawiadomić twego ojca o możliwości ataku. Jeżeli zostanie uprzedzony, wróci wcześniej z La-Mut na pozycje i gdyby Tsurani ruszyli w tamtym kierunku, będzie gotowy na ich powitanie. I nawet jeśli przeciwnik wprowadzi do boju dziesięć tysięcy nowych żołnierzy, będzie miał czas, aby ściągnąć posiłki z kresowych garnizonów w Yabon, a to jest minimum dwa tysiące żołnierzy.

– Dwa tysiące przeciwko dziesięciu? To kiepsko brzmi, mistrzu Fannonie – zauważył Amos. Fannon rozłożył ręce.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy. Oczywiście nie ma gwarancji, że to wystarczy.

– Przynajmniej macie jazdę – powiedział Charles. – Moi byli towarzysze broni nie pałają miłością do koni.

– Zgadzam się – Fannon kiwnął głową. – Ale mimo wszystko obraz przedstawia się w ponurych barwach.

– Jest jedno wyjście – odezwał się niespodziewanie Arutha, podnosząc zwój pergaminu. – Wiadomość przekazana przez księcia Dulanica wyraźnie mówi o informacjach

dostarczonych przez wywiad, dowodach, które potwierdziłyby i uwiarygodniły nasze żądanie przysłania posiłków. Dysponujemy teraz, jak sędzę, wystarczającymi dowodami, aby go usatysfakcjonować.

– Już niewielki procent ludzi z garnizonu w Krondorze wystarczyłby, abyśmy byli w stanie stawić opór ofensywie. Nie możemy jednak zapominać, że jest już późno i jeżeli odsiecz miałaby nadejść na czas, wiadomość musi być wysłana natychmiast.

– Święte słowa – powiedział Amos. – Nawet jeżeli ktoś wyruszy dzisiaj po południu, ledwo zdąży dotrzeć do Mrocznych Cieśnin, zanim zima zamknie przejście na dobre. Za dwa tygodnie będzie już za późno.

– Myślałem nad tym. Wydaje mi się, że sytuacja usprawiedliwia ryzyko mej podróży do Krondoru. Fannon wyprostował się gwałtownie.

– Ale ty, księżę Arutha, jesteś przecież komendantem Armii Księstwa. Nie wolno ci, nie możesz schodzić z posterunku.

– Mogę i zrobię to. – Arutha uśmiechnął się. – Wiem dobrze, że nie palisz się, aby objąć tu ponownie komendę, ale to zrobisz. Jeżeli mamy uzyskać pomoc od Erlanda, muszę go o tym przekonać osobiście. Kiedy za pierwszym razem ojciec zawiózł wiadomość do Erlanda i Króla o pojawieniu się Tsuranich, przekonałem się o korzyściach wynikających z osobistej rozmowy. Erland to bardzo ostrożny człowiek. Będę musiał użyć wszystkich środków, aby go przekonać. Amos prychnął z rozdrażnieniem.

– Za pozwoleniem Waszej Wysokości, ale jak Księżę ma zamiar dotrzeć do Krondoru?

W przypadku drogi lądem, między nami a Wolnymi Miastami obozują przynajmniej trzy armie Tsuranich. W porcie zaś stoi zaledwie kilka statków, a i one, to niewielkie lugry zdolne jedynie do żeglugi przybrzeżnej. Do takiego rejsu potrzebna jest pełnomorska jednostka.

– W porcie stoi jeden pełnomorski okręt, Amos. Poranna Bryza czeka przy nabrzeżu.



Amosowi opadła szczęka.

– Poranna Bryza? – krzyknął z niedowierzaniem w głosie. – Jest niewiele większy od lugra, a poza tym został już przygotowany do przezimowania w porcie. Słyszałem też niedawno na własne uszy, jak jego kapitan rozpaczał nad pękniętym kilem, rozwalonym miesiąć temu, kiedy jakiś kapitan półgłówek wchodził do portu uszkodzonym statkiem. Trzeba wyciągnąć statek na brzeg, obejrzeć dokładnie stępkę, poszycie dna i wymienić kil. Bez tego kil jest za słaby, by wytrzymać zimowe sztormy. W takim stanie jak jest, równie dobrze można się wypuścić w morze w beczce po śledziach, z przeproszeniem Waszej Wysokości. I tak pójdzie się na dno jak kamień, lecz przynajmniej innym oszczędzi to wielu kłopotów i cierpień.

Słyszając uwagi i ton Amosa, Fannon aż poczerwieniał ze złości. Jednak ojciec Tully, Martin, Roland i Arutha spojrzeli na byłego wilka morskiego z rozbawieniem.

– Kiedy wysyłałem Martina w góry – powiedział Arutha – już wtedy wziąłem pod uwagę, że być może będę potrzebował statku do Kronodoru. Dwa tygodnie temu wydałem polecenie, aby został naprawiony. Na pokładzie aż się roi od cieśli okrętowych i innych robotników. – Spojrzał na Amosa pytającym wzrokiem. – Powiedziano mi oczywiście, że to nie to samo, co wyciągnięcie statku na brzeg, ale powinno wystarczyć.

– Tak, z pewnością, ale tylko dla przybrzeżnych rejsów i to na wiosnę, kiedy wieją łagodne wiatry. Ale chciałem zauważyć, że teraz mowa jest o zimowych sztormach i o zimowym przejściu przez Mroczne Cieśniny.

– Będzie sobie musiał jakoś poradzić. Za kilka dni opuszczam port. Ktoś musi przekonać Erlanda, że pomoc jest dla nas niezbędna, i tym kimś muszę być ja sam.

Amos nie pozwolił, aby temat zakończył się.

– A czy Oscar Danteen zgodził się kapitanować w rejsie przez cieśniny?

– Jeszcze nie wyjawilem mu celu podróży.

– Tak myślałem. – Amos pokiwał głową. – Ten człowiek ma serce rekina, czyli w ogóle go nie ma, a odwagę meduzy, czyli jest tchórzliwy jak zajac. Kiedy po wejściu na pokład dowiedział się o celu podróży, poderżnię Księżciu gardło, ciało wyrzucił za burtę, przezimuje z piratami na Wyspach Zachodzącego Słońca, a potem, z nadejściem wiosny skieruje się wprost do portów Wolnych Miast. Wynajmie tam bez zwłoki natalskiego skrybę, który spłodzi kwiecisty list do twego ojca, opisujący twą szlachetność i odwagę tuż przed tym, jak wypadłeś za burtę w czasie bitwy z piratami. A potem cały rok będzie chlał za złoto, które otrzymał za rejs.

– Amos, ja kupiłem ten statek. Jestem jego właścicielem.

– Właściciel czy nie, Księżę nie Księżę, to nie ma najmniejszego znaczenia, na pokładzie statku jest tylko jeden pan, jego kapitan. Jest królem, wysokim kapłanem, wszystkim. Nikt mu nie mówi, co ma, a czego nie ma robić... no, może z wyjątkiem pilota w porcie, a i wtedy z wielkim szacunkiem i uważaniem. Nie, Wasza Wysokość, Księżę nie przeżyje tej podróży, jeśli na pokładzie będzie dowodził Oscar Danteen.

W jego oczach pojawiły się wesołe iskierki.

– Masz, kapitanie, inną propozycję?

Amos westchnął przeciągle i ciężko wsparł się na krześle.

– Ot i stary głupiec, dał się złapać na haczyk. Równie dobrze możesz mnie teraz panie wypatroszyć, oczyścić i podać na talerz. Zawiadom Danteena, aby zwolnił kajutę kapitańską i załogę. Sam zajmę się skompletowaniem nowej załogi, chociaż o tej porze roku w porcie siedzą tylko różne moczymordy, młodzi chłopcy i rzezimieszki spod ciemnej gwiazdy. I, na wszystkich bogów, zaklinam cię, nie wspominaj chociaż jednym słowem, dokąd płyniemy. Jeśli chociaż jeden z tych zapijaczonych łotrów dowie się, że chcesz, panie, zaryzykować zimowe przejście przez Mroczne Cieśniny, będziesz musiał postawić na nogi cały garnizon, aby przeczesać okoliczne lasy w poszukiwaniu dezertersów.

– Bardzo dobrze. Zostawiam ci wszystkie przygotowania. Wypływamy, jak tylko

ocenisz, że statek jest gotów do rejsu. – Zwrócił się do Martina: – Wielki Łowczy, pragnę abys tym razem udał się ze mną.

Długi Łuk spojrział na niego zdziwiony.

– Ja, Wasza Wysokość?

– Chcę, żeby Dulanic i Księżę mieli możliwość porozmawiania z naocznym świadkiem.

Martin zachmurzył się na moment.

– Jeszcze nigdy nie byłem w Krondorze, Wasza Wysokość. – Na twarzy zagościł mu niespodziewanie charakterystyczny, krzywy uśmiezek. – Chociaż z drugiej strony, mogę już nie mieć innej okazji.

Donośny głos Amosa niósł się ponad wyciem wiatru. Ostre podmuchy wichury rzucały słowa w kierunku młodego majtka o cokolwiek zagubionym wyrazie twarzy.

– Nie! Ty półgłówku skończony, nie napinaj szotów tak mocno, do cholery. Będą wyły jak struny lutni. To nie szoty ciągną statek, kretynie, tylko maszt. Liny tylko pomagają, kiedy wiatr zmienia kierunek. – Patrzył uważnie, jak chłopak reguluje napięcie szotów. – Tak, dobrze... nie, teraz za luźno, – Zaklął szpetnie na całe gardło. – No! Nareszcie. Tak jest dobrze.

Amos dostrzegł wchodzącego na górę Aruthę.

– Rybacy, którzy uważają, że są żeglarzami – wy sapał kompletnie zde gustowany. – I moczymordy. I kilku bandziorów od Danteena, których byłem zmuszony zamustrować. Załoga jak się patrzy, Wasza Wysokość, co?

– Podołają?

– Lepiej niech uważają. Bo jak nie, to się do nich osobiście dobiorę. – Krytycznym okiem spoglądał w górę. gdzie żeglarze posuwali się ostrożnie po linach, sprawdzając każdy węzeł i splot, wszystkie liny czy szoty. – Potrzeba nam trzydziestu dobrych ludzi. Mogę liczyć

najwyżej na ośmiu. A reszta? Chcę zawinąć po drodze do Carse i Tulan. Może uda nam się wymienić gołowąsów i tych, na których nie mogę polegać, na prawdziwych, doświadczonych żeglarzy.

– To jeszcze opóźni przejście przez cieśniny.

– Gdybyśmy tam dotarli dziś, dalibyśmy radę. Ale kiedy tam rzeczywiście dopłyniemy, o wiele ważniejsza będzie zgrana i doświadczona załoga niż to, czy znaleźliśmy się tam tydzień wcześniej czy później. Niedługo będzie już prawdziwie zimowa pogoda. – Popatrzył uważnie na Aruthę. – Czy wiesz, Książę, dlaczego to przejście nazywane jest Mrocznymi Cieśninami? Arutha wzruszył ramionami.

– To nie jest zwykły przesąd żeglarski. W nazwie jest zawarty opis tego, co tam zastaniemy. – Zamilkł na chwilę i zapatrzył się w dal. – Można godzinami opowiadać o różnych spotykających się tam prądach z Gorzkiego i Bezkresnego Morza, szalonych i zmieniających się w nie dający się przewidzieć sposób zimowych przyptywach, kiedy wszystkie księżycy wchodzą w najgorszy z możliwych układ, lub o tym, jak to z północy nadciągają z wyciem wichury, sypiąc śniegiem tak gęstym, że ograniczają widoczność na pokładzie do kilku kroków. Ale z drugiej strony... tak naprawdę to nie ma słów, które byłyby w stanie oddać to, co się dzieje w cieśninach w czasie zimy. Przez dzień, dwa, a czasem nawet trzy dni trzeba żeglować na ślepo. I nawet jeżeli wiatry nie gnają cię z powrotem na Bezkresne Morze, to spychają cię w przeciwnym kierunku, na skały na południu. Bywa jednak, że zapada martwa cisza, nieprzenikniony tuman mgły spowija wszystko dookoła, a przeciwne prądy miotają cię na wszystkie strony, obracając w kółko.

– Straszny obraz malujesz, kapitanie – powiedział Arutha z gorzkim uśmiechem na ustach.

– To wszystko prawda. Jesteś, Wasza Wysokość, młodzieńcem o wyjątkowo bystrym i

praktycznym umyśle. Nerwy masz ze stali. Nie raz, nie dwa widziałem cię przecież w sytuacjach, w których inni już dawno by wzięli nogi za pas, a ty wytrwałeś na posterunku. Nie chcę cię straszyć. Chcę po prostu, abyś zdawał sobie sprawę, panie, co naprawdę oznacza twój plan. Jeżeli ktoś jest w stanie przedrzeć się przez Mroczne Cieśniny o tej porze roku, to jedynie Amos Trask, i nie są to wcale czcze przechwałki. Bywały co prawda lata, kiedy utrzymywała się stała pogoda i praktycznie nie było żadnej różnicy między jesienią a zimą i między zimą a wiosną. Ale powiem jedno: przed opuszczeniem portu Crydee, pożegnaj się czule z siostrą, napisz listy do brata i ojca i uporządkuj sprawy majątkowe, spisując stosowny testament.

– Listy i testament są już gotowe – powiedział Arutha, nie zmieniając wyrazu twarzy. –

A dziś wieczorem ja i Carline spotykamy się na wspólnej kolacji, tylko ona i ja.

Amos kiwnął z uznaniem głową.

– Wyruszamy z porannym przyływem. Ten statek to ociążała, stara i biorąca wodę wszystkimi szczelinami, krypa, Wasza Wysokość, lecz pokona cieśniny, nawet jeżeli miałbym ją przenieść na własnym grzbiecie.

Arutha pożegnał się i odszedł. Kiedy zniknął, Amos zwrócił oczy ku niebu.

– Astalon – wezwał boga sprawiedliwości. – To prawda, że wielki ze mnie grzesznik.

Jeśli jednak pragniesz wymierzyć sprawiedliwość, czy musisz to czynić w ten właśnie sposób?

– Uspokoiwszy w ten sposób sumienie i pogodziwszy się z losem, Amos zajął się nadzorowaniem ostatnich przygotowań do podróży.

Carline spacerowała po ogrodzie, a więdnące kwiaty doskonale oddawały stan jej ducha. Roland szedł kilka kroków za nią, starając się znaleźć słowa pocieszenia.

– Pewnego dnia zostanę baronem Tulan. Już od dziewięciu lat nie byłem w domu, Carline. Muszę udać się na południe z Arutha.

– Wiem, Rolandzie – powiedziała cicho. Dostrzegł na jej twarzy wyraz przygnębienia i

rezygnacji. Podszedł i wziął ją w ramiona.

– A ty będziesz baronową Tulan, Carline. Przytuliła się do niego mocno, po czym odsunęła o pół kroku. Zmusiła się, aby przybrać niefrasobliwy ton.

– Przecież przez te wszystkie lata twój ojciec jakoś sobie dawał radę bez ciebie.

– Miał przezimować w Jonril, nadzorując razem z baronem Bellamym wzmocnienie garnizonu. – Uśmiechnął się. – Pojadę zamiast niego. Wszyscy moi bracia są zbyt młodzi, aby podołać temu zadaniu. Teraz, kiedy Tsurani okopali się na zimę, to jedyna szansa, aby rozbudować fort.

– Przynajmniej nie będę się musiała zamartwiać, że będziesz podbijał serca dam na dworze twego ojca – powiedziała to, zdobywając się na lekki ton.

– Nie mam na to szans. – Zaśmiał się głośno. – Zgromadzono już potrzebne materiały i zapasy. Ludzie czekają w pogotowiu. Przygotowano także barki, którymi mamy popłynąć w górę rzeki Wyndermeer. Kiedy Amos wysadzi mnie na brzeg w Tulan, spędzę w domu dzień czy dwa i znowu w drogę. To będzie długa zima, Carline. Długa i nudna zima spędzona w towarzystwie żołnierzy i kilku rolników w zapomnianym przez bogów i ludzi forcie.

Carline zakryła usta ręką i zachichotała radośnie.

– Mam nadzieję, że na wiosnę twój ojciec nie stwierdzi nagle, że jego synalek przegrał w karty cały majątek i tytuł.

– Będę za tobą tęsknił, Carline. – Roland uśmiechnął się ciepło.

– I ja za tobą. – Dziewczyna ujęła jego dłonie w swoje. Stali w milczeniu przez parę chwil, po czym nagle maska odwagi i pewności siebie opadła i Carline rzuciła mu się w ramiona.

– Nie pozwól, aby ci się coś stało. Nie zniosłabym, gdybyś... gdyby...

– Wiem – powiedział delikatnie. – Ale ty musisz pamiętać, aby inni nie dostrzegli, że

się martwisz. Fannon będzie bardzo potrzebował twojej pomocy. Wszystkie sprawy dworu i całego zamku spoczną teraz na twojej głowie i barkach. Będziesz panią Crydee i wielu ludzi będzie szukało u ciebie rady i pociechy.

Patrzyli oboje na łopoczące w podmuchach wieczornego wiatru sztandary. Powiało przenikliwym chłodem. Roland owinał siebie i Carline swym płaszczem. Dziewczyna drżała.

– Rolandzie, wróć do mnie.

– Wrócę, Carline – powiedział miękko. Próbował zwalczyć narastające w sercu lodowate przeczucie. Na próżno.

Arutha i Roland stali na schodni. Mrok nocy ustępował wschodzącemu za horyzontem słońcu.

– Mistrzu Miecza, miej baczenie na wszystko – powiedział Arutha.

Fannon, mimo mijających nieubłagane lat, stał przy burcie wyprostowany dumnie, z dłonią na rękojeści miecza.

– Wszystkiego dopilnuję, Wasza Wysokość.

– A kiedy Gardan i Algon wrócą z patrolu, poleć im, aby się tobą zaopiekowali. –

Arutha uśmiechnął się lekko.

– Bezczelny szczeniak! – wybuchnął Fannon, jak rażony piorunem. Oczy mu rozbłysły.

– Poradzę sobie z każdym w zamku, z wyjątkiem twego ojca. Zejdź no tylko z pokładu, smarkaczu, i dobądź broni, a pokażę ci, dlaczego ciągle noszę tytuł Mistrza Miecza.

Arutha wznosił obie ręce w żartobliwym geście błagania o litość.

– Fannon, dobrze widzieć, jak ci oczy błyszczą, sypiąc iskry gniewu. Mając takiego Mistrza Miecza, Crydee może spać spokojnie.

Fannon podszedł bliżej i położył dłoń na ramieniu Aruthy.

– Uważaj na siebie, Arutha. Zawsze byłeś mym najlepszym uczniem. Nie chciałbym cię

stracić.

Księżę uśmiechnął się ciepło do swego starego nauczyciela i mistrza.

– Wielkie dzięki, Fannon. – Zmienił się nagle na twarzy. – Ja też nie chcę cię stracić.

Wrócę na pewno. I sprowadzę ze sobą żołnierzy Erlanda.

Arutha i Roland wbiegli na pokład lekkim krokiem. Żegnający tłum stał na nabrzeżu, machając im. Martin Długi Łuk stał oparty o reling przyglądając się, jak majtkowie ściągają schodnię i rzucają liny. Amos Trask wykrzykiwał donośnym głosem komendy. Opuszczano żagle. Statek powoli odsuwał się od nabrzeża na wody portu. Arutha w towarzystwie Martina i Rolanda wpatrywał się w oddalający się brzeg.

– Cieszę się, że Księżniczka nie zdecydowała się przyjść. Nie wytrzymałbym jeszcze jednego pożegnania – powiedział Roland.

– Rozumiem – odparł Arutha. – Bardzo jej na tobie zależy, chociaż nie mam pojęcia dlaczego. – Roland spojrzał na niego, chcąc się upewnić, czy Księżę żartuje. Arutha uśmiechał się lekko. – Nie mówiłem o tym do tej pory – ciągnął dalej Księżę – ale ponieważ przez dłuższy czas nie będziemy się widzieli, kiedy opuścisz nas w Tulan, chciałbym, abyś wiedział, że kiedy będziesz rozmawiał poważnie z moim ojcem, masz moje poparcie.

– Dziękuję, Arutha.

Zarysy miasta rozplynęły się w mroku. Obok burty widać było groblę wiodącą do latami morskiej. Żłudne światło poranka rozświetlało niepewnie okolice, malując wszystko w szarościach i czerniach. Po paru chwilach przy prawej burcie wzniosły się majestatycznie w górę kamienne złomy Skał Strażniczych.

Amos wydał komendę i statek wykonał ostry zwrot na południe. Postawiono kolejne żagle. Okręt nabierał szybkości, mknąc coraz prędzej pchany pełnym wiatrem. Nad pokładem rozkrzyczały się mewy. Arutha podniósł głowę i nagle zdał sobie sprawę, że już nie jest w



Crydee. Przeszył go zimny dreszcz. Owinął się ciaśniej peleryną.

Obok Aruthy trzymającego miecz w pogotowiu na nadbudówce stał Martin ze strzałą założoną na cięciwę łuku. Amos Trask i pierwszy oficer Vasco także dobyli broni. Na niższym pokładzie stała szóstka rozwścieczonych marynarzy. Reszta załogi przyglądała się konfrontacji w milczeniu.

– Okłamałeś nas, kapitanie! – krzyczał jeden z marynarzy. – Nie wracamy wcale na północ do Crydee, jak mówiłeś w Tulan. Jeżeli nie płyniemy do Elarial w Keshu, to na południe od nas nie ma już nic poza cieśninami. Kapitanie, czy chcesz przejść przez Mroczne Cieśniny?

– Do stu tysięcy beczek starego oleju, sprzeciwiasz się moim rozkazom? – ryknął na całe gardło Amos.

– A tak, Kapitanie. Dobrze wiesz, że jest niepisana tradycja, która unieważnia umowę między kapitanem a załogą, jeżeli chodzi o przepłynięcie cieśnin zimą. Chyba że cała załoga wyrazi zgodę. Okłamałeś nas i nie musimy płynąć z tobą.

– Patrzcie go, znalazł się specjalista od prawa morskiego.

– Arutha usłyszał, jak Amos burknął pod nosem. Na twarzy kapitana pojawił się nagle uśmiech. – Bardzo dobrze – powiedział do marynarza. Oddał miecz Vasco, zszedł na główny pokład i ruszył w stronę zbuntowanych marynarzy.

– Słuchajcie no, chłopcy – powiedział, kiedy zbliżył się do sześciu marynarzy trzymających w dłoniach ciężkie, drewniane kołki. – Będę z wami uczciwy, książę Arutha musi dotrzeć do Krondoru, bo w przeciwnym razie na wiosnę przyjdzie nam wszystkim zapłacić wielką cenę. Tsurani zbierają wielką armię, która może wyruszyć przeciwko Crydee.

– Położył ogromną łapę na ramieniu rzecznika zbuntowanych. – A to wszystko sprowadza się do jednego: musimy płynąć do Krondoru. – Gwałtownym i niespodziewanym ruchem otoczył zgiętym ramieniem gardło marynarza, zaciągnął go błyskawicznie do burty i

wyrzucił w morze.

– Jeżeli nie po drodze ci z nami, płyn sobie sam do Tulan!

– krzyknął.

Jeden z grupki zbuntowanych ruszył groźnie w kierunku Amosa, lecz stanął jak wryty, kiedy w deski pokładu, tuż przed jego stopami wbiła się strzała. Spojrzał w górę. Martin mierzył w niego z łuku.

– Nie radziłbym – powiedział spokojnym głosem Wielki Łowczy.

Marynarz cisnął kołek na pokład, jakby buchnął nagle ogniem, i cofnął się. Amos zwrócił się do reszty załogi: – Zanim dotrę na górny pokład, chcę widzieć wszystkich w olinowaniu, gdzie jest wasze miejsce, albo za burtą. Wszystko mi jedno, co wybieriecie.

Każdego, kto za minutę nie będzie przy swojej pracy, powieszę jak wściekłego psa. Za bunt nie ma innej kary.

Amos wszedł spokojnie na górny pokład. Zza burty rozległy się słabe okrzyki wyrzuconego marynarza. Vasco wskazał na niego ręką.

– Rzućcie temu idiocie linę, a jak będzie rozrabiał, wywalcie go znowu za burtę.

– Stawiać wszystkie żagle! – krzyknął Amos. – Kierunek: Mroczne Cieśniny!

Arutha mrugał gwałtownie oczami, próbując wycisnąć z nich słoną wodę. Z całej siły trzymał się liny bezpieczeństwa. Przez burtę przewaliła się z rykiem kolejna fala, oślepiając go znowu. Poczul, jak od tyłu chwytają go stalowe ręce.

– Nic ci się nie stało? – usłyszał w mroku głos Martina.

– Nie! – krzyknął, prychając słoną wodą, i dalej parł wzdłuż napiętej liny w stronę górnego pokładu. Martin szedł tuż za nim. Poranna Bryza miotła się na wszystkie strony i zanim dotarł do schodni wiodącej na górny pokład, dwa razy poślizgnął się i upadł na deski.

Wszystkie pokłady oplatała pajęczyna lin bezpieczeństwa. Przy takim sztormie nie sposób było

się utrzymać na nogach, jeśli nie miało się czego uchwycić.

Arutha wspinał się z trudem na górę, potykając się i zataczając na wszystkie strony, dotarł do Amosa. Kapitan czekał w pogotowiu przy sterniku, by w razie potrzeby wesprzeć go swą siłą i ciężarem ciała w utrzymywaniu rumpla we właściwej pozycji. Stał z szeroko rozstawionymi stopami jak wmurowany w pokład. Przy każdym przechyle statku przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą, nie odrywając oczu od ledwo majaczących w mroku żagli, masztu i olinowania. Obserwował, wsłuchiwał się i wczuwał wszystkimi zmysłami w rytm statku. Arutha dobrze wiedział, że Amos nie zmrużył oka przez ostatnie dwa dni, poprzednią noc i większą część dzisiejszej.

– Jak długo jeszcze? – zapytał, przekrzykując łoskot fal.

– Dzień, dwa? Któż to może wiedzieć? Gdzieś w górze rozległ się gwałtowny trzask przypominający pęknięcie wiosennego lodu na rzece Crydee.

– Ostro na lewą burtę! – krzyknął Amos, napierając jednocześnie całym ciężarem ciała na rumpel. Statek przechylił się gwałtownie w skręcie. – Jeszcze jeden dzień tego przekłętego huraganu, a będziemy mieli wielkie szczęście, jeśli uda nam się wrócić cało do Tulan.

Od Tulan byli oddaleni o dziewięć dni drogi, z czego ostatnie trzy żeglowali w nieustannym sztormie. Ogromne fale i wichura przypuszczały na okręt nieubłagany atak i Amos już trzy razy schodził do ładowni sprawdzić, czy naprawy dokonane przy kilu wytrzymują. Kapitan oceniał, że są dokładnie na zachód od Cieśnin, lecz dopóki sztorm trwał, nie mógł mieć absolutnej pewności. Uderzyła w nich fala wielka jak dom. Statek zadygotał cały.

– Granica frontu! – rozległ się okrzyk z bocianiego gniazda.

– Kierunek? – odkrzyknął Amos.

– Z prawej burty!

– Zwrot! – zakomenderował Amos i sternik napał mocno na rumpel.

Arutha wyteżał wzrok, mrużąc oczy w szczypiących solą rozbryzgach piany.

Wydawało mu się, że jakoś poświata przesuwają się powoli wzdłuż burty i zatrzymują przed dziobem. Z każdą chwilą robiło się coraz jaśniej i jaśniej. Wychodzili ze strefy burzy, jak z ciemnego pokoju do światła. Niebiosa otworzyły się nagle ponad nimi i nad głową ujrzał przebliski zasnutego szarymi chmurami nieba. Co prawda w burty nadal tłukły ogromne bałwany, ale wyraźnie wyczuwało się, że impet huraganu zelżał. Spojrzał przez ramię, gdzie za rufą kłębiła się, odsuwając w tył, czarna masa.

Z każdą chwilą grzywy fal stawały się coraz mniejsze. Po raptownym wyjściu z szalejącego sztormu morze wydało się nagle ciche i spokojne. Chmury podnosiły się wyżej. Gdzieś tam przeświecał błękit. Robiło się coraz jaśniej.

– Świta – powiedział Amos. – Straciłem poczucie czasu. Wydawało mi się, że to ciągle noc.

Arutha przyglądał się ustępującej w tył strefie sztormu, czarnej, nieprzeniknionej masie, kłębiącej się białą grzyw fal i chmur, odcinającej się wyraźną linią od jasnoszarego nieba nad nimi. Wraz ze wschodzącym za horyzontem słońcem szary kolor przechodził niepostrzeżenie w perłowy, a potem w perłowo-błękitny. Błysnęły pierwsze promienie. Przez prawie godzinę Arutha wpatrywał się jak urzeczony we wspaniałe widowisko natury, podczas gdy niestrudzony Amos szybko wydawał rozkazy. Wezwał na górę dzienną wachtę, a nocną odesłał pod pokład na spoczynek.

Sztorm kierował się na wschód, zostawiając po sobie wzburzone morze. Arutha nie odrywał zachwyconego wzroku od horyzontu. Czas jakby stanął w miejscu. Coś przykuło nagle jego uwagę. Wyteżył wzrok. Wydawało się, jakby końcówka burzy i sztormu stanęła w miejscu pochwycona przez majaczące na horyzoncie, ciemne palce lądu. W wąskim przesmyku

fale wznosiły się ku niebu, nie mogąc przedrzeć się przez zaporę. Z odległości sprawiało to wrażenie, jakby czarna masa fal przemieszanych z granatowymi kłębami chmur dostała się w szpony nadprzyrodzonych sił nie pozwalających na ucieczkę.

– Mroczne Cieśniny. – Arutha usłyszał za plecami głos Amosa.

– Kiedy przechodzimy? – spytał spokojnym głosem.

– Zaraz – odpowiedział Amos. Odwrócił się. – Dzienna wachta na górę. Następna czeka w pogotowiu! Sternik, kurs na wschód!

Marynarze z dziennej wachty zaczęli się szybko wspinać na olinowanie. Inni

wychodzili spod pokładu, ociążali i senni po zaledwie kilku godzinach snu. Arutha ściągnął kaptur. Poczuł, jak lodowaty wichur omiata mokre włosy. Amos chwycił go mocno za ramię.

– Mogliśmy całymi tygodniami czekać na sprzyjający wiatr i w ogóle się nie doczekać.

Ten sztorm to, wbrew pozorom, błogosławieństwo niebios. Da nam kopa na początek.

Nabierzemy właściwej szybkości, żeby przeskoczyć przez Cieśniny.

Arutha patrzył zafascynowany. Gnali coraz szybciej i szybciej na skrzydłach wiatru w stronę wąskiego przesmyku. Jakiś kaprys natury, kombinacja prądów morskich, pogody, wiatru, sprawiały, że przez całą zimę Cieśniny spowite były mrocznymi oparami wirującego śniegu, mgły i piany morskiej. Także w czasie sprzyjającej pogody przejście to było bardzo niebezpieczne. Z pozoru cieśnina wydawała się szeroka, lecz pod powierzchnią wody kryły się w wielu miejscach niebezpieczne głazy i skały. Większość kapitanów uważała, że w sztormie po prostu nie da się przejść przez Mroczne Cieśniny. Gwałtowne szkwały czy śnieżycy pędzone wiatrem z najdalej na południe wysuniętych wierzchołków Szarych Wież próbowały opaść na powierzchnię morza, lecz gwałtowne podmuchy kłębiące się ponad grzywami fal podrywały je z powrotem w górę i wzbijały pod niebo, po czym historia powtarzała się od nowa. Gigantyczne grzywacze, niesione przeciwnymi prądami, zderzały się nagle, tryskając w

górze oślepiającym białą pianą i wirującym szaleńczo słupem wody, który po kilka chwilach zapadał się w sobie z hukiem i sykiem. Wieczny i mglisty mrok rozświetlały co chwila upiornym, biało-fioletowym światłem zygzaki błyskawic, a grzmot wyładowań niósł się dudniącym echem ponad białymi grzywami fal, gdzie nieokiełznane siły przyrody walczyły wściekle ze sobą o panowanie nad Mrocznymi Cieśninami.

– Wysoka fala! – krzyknął Amos. – To dobrze. Będziemy mieli większy margines bezpieczeństwa nad podwodnymi skałami. I albo przemkniemy w okamgnieniu, albo jeszcze szybciej roztrzaskamy się o głazy. Jeżeli wiatr utrzyma się, powinniśmy być po drugiej stronie przed zachodem słońca.

– A co będzie, jeśli wiatr osłabnie?

– Lepiej się nad tym nie zastanawiać!

Gnali do przodu, atakując wzniesione wysoko ponad dziobem spienione nurty cieśnin.

Kadłub zadygotał, jakby wzdrygając się przed ponownym wejściem w sztorm. Arutha chwycił mocno za reling i w tym momencie statkiem zaczęło rzucać na wszystkie strony. Amos prowadził okręt pewną ręką, starając się unikać raptownych bocznych podmuchów i trzymać zachodniego wiatru, żeglując śladem uciekającego przed nimi sztormu.

Zapanowały nieprzeniknione ciemności. Statek był oświetlany jedynie tańczącymi upiornie po pokładzie i olinowaniu żółtawymi, migocącymi plamami rzucanymi niepewnie w mrok przez latarnie sztormowe. Dobiegający zewsząd, dudniący huk fal rozbijających się o skalne wybrzeże mącił zmysły.

– Będziemy się trzymać samego środka – krzyczał na całe gardło Amos. – Jeśli zejdziemy z kursu w prawo czy lewo albo jeśli nas obróci, jak nic roztrzaskamy kadłub o skały. Arutha kiwnął głową, a kapitan zaczął wydawać odpowiednie komendy załozde.

Arutha, przygięty do pokładu podmuchami wichury, dotarł z trudem do dziobowego

relingu górnego pokładu i zawołał Martina. Wielki Łowczy odkrzyknął z dołu, że wszystko w porządku, tylko jest przemoczony do suchej nitki. Przód statku począł się osuwać w głąb bruzdy pomiędzy falami. Arutha chwycił się z całej siły relingu. Po chwili, napotkawszy przeciwną ścianę wody, dziób zaczął wznosić się ku górze. Wydawało się, że przez całe wieki statek wspina się i wspina na grzbiet gigantycznej fali. W końcu przelała się ponad dziobem w fontannie piany i okręt runął znowu w dół. Śliska powierzchnia relingu stała się dla Aruthy jedynym kontaktem z namacalnym, rzeczywistym światem pośród lodowatego, mokrego chaosu. Od kurczowego trzymania się barierki mięśnie i ścięgna piekły żywym ogniem.

I tak, w kakofonii rozpętanej furii żywiołów, mijała godzina za godziną. Amos ani na chwilę nie zszedł z posterunku, komenderując załogą, by sprostać każdemu wyzwaniu rzuconemu przez wiatr i fale. Co jakiś czas atramentowe ciemności przesywał oślepiający zygzak światła, ukazując wszystko dookoła z zadziwiającą ostrością. Po chwili zapadał jeszcze czarniejszy mrok, a pod powiekami długo wirowały żółto-szkarłatne obrazy-wizje.

Szarpnęło gwałtownie. Kadłub ześlizgnął się w bok. Arutha poczuł, jak traci grunt pod nogami, kiedy statek przechylił się gwałtownie na bok. Chwycił się z całej siły poręczy relingu. W uszy wdzierał się przeciągły, ogłuszający zgrzyt. Kadłub wyprostował się raptownie. Arutha podciągnął się na rękach i stanął niepewnie na nogi. Rozejrzał się dookoła w rozświetlonym, tańczącym plamami światła mroku. Rumpel miotał się jak szalony to w lewo, to w prawo. Sternik leżał bezwładnie na deskach pokładu. Z otwartych ust płynęła strużka krwi. Amos gramolił się rozpaczliwie na nogi, wyciągając ręce w stronę drzewca rumpla. Ryzykując połamaniem żeber, chwycił się go kurczowo i przywarł do niego, starając się odzyskać kontrolę nad statkiem.

Arutha, potykając się o własne nogi i zataczając jak pijany, dotarł wreszcie do rumpla i

rzucił się w jego kierunku całym ciężarem ciała. Od prawej burty rozległ się niski, przeciągły zgrzyt. Kadłub zadrżał gwałtownie.

– Rusz się! Skręcaj, do stu tysięcy zdechłych wielorybów! – wrzeszczał Amos, wpierając się w ramię rumpła resztką sił. Arutha poczuł w mięśniach rozdzierający ból, kiedy z całej siły pchał z pozoru nieruchomy rumpel. Ruszył. Z początku przerażająco powoli, milimetr po milimetrze. Centymetr, dwa, trzy. Zgrzyt narastał upiornie w uszach. Kręciło mu się w głowie.

Nagle rumpel ożył. Arutha wychylił się zbyt daleko i poleciał przyczepiony do ramienia na drugą stronę. Uderzył całym ciałem w coś ciężko. Upadł i leciał przed siebie, ślizgając się po mokrych deskach przechylonego pokładu. Rąbnął z rozpędu w parapet. Otwartymi szeroko ustami łapał z trudem powietrze. Na moment przykryła go fala wdzierająca się na pokład. Gwałtownie kaszlał i pluł dookoła, wyrzucając z płuc całe litry wody. Wstał chwiejnie na nogi i zataczając się ruszył z powrotem w stronę steru.

W słabej poświacie rzucanej przez rozhuśtane latarnie dostrzegł białą jak płótno z wyczerpania twarz Amosa. Oczy miał wytrzeszczone, a na ustach igrał szaleńczy uśmiech.

– Przez chwilę myślałem, że cię zmyło za burtę. Arutha wparł się znowu w rumpel i wspólnymi siłami sprawili, że ten ożył. Ponad pokładem poniósł się nagle wariacki śmiech Amosa.

– Co cię tak, do cholery, śmieszy?

– Tam! Patrz!

Dysząc ciężko z wysiłku, Książę spojrział we wskazanym kierunku. Ujrzał w mroku, wznoszące się przy burtach ku górze gigantyczne, czarniejsze od otaczającej czerni, zarysy.

– Mijamy Wielkie Skały Południowe! Ciągnij! Ciągnij, książę Crydee, jeśli ci życie miłe i chcesz jeszcze zobaczyć suchy ląd!



Arutha rzucił się na rumpel, zmuszając bezwładną masę statku do ruchu. Przemknęli obok potwornych, kamiennych objęć w odległości zaledwie paru metrów. Kolejny wstrząs i donośny zgrzyt z dołu. Amos zawył z radości jak szalony.

– Jeśli ta krypa będzie miała dno, kiedy przejdziemy cieśniny, to potem uwierzę już we wszystko!

Arutha poczuł, jak lodowate kleszcze paniki ściskają mu żołądek. Po chwili zalała go niespodziewanie fala przedziwnej, irracjonalnej radości. Walcząc o utrzymanie statku na kursie, czuł się lekki i szczęśliwy. W opętańczej kakofonii dźwięków usłyszał jeszcze jeden, obcy. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że sam wtóruje Amosowi, śmiejąc się w nos szalejącej dookoła nich furii. Nie było się już czego bać. Albo wytrzyma i przetrwa, albo nie. Nie miało to już teraz żadnego znaczenia. Jedyne, co mógł zrobić, to skupić całą uwagę i siły na jednym zadaniu: utrzymać statek na kursie pomiędzy ostrymi złomami skalnymi. Każda komórka jego ciała śmiała się ze zgrozy radując się, że jest zredukowana do najniższego poziomu egzystencji, do stanu pierwotnego. Poza tą jedną czynnością, jedną rzeczą, od której zależało wszystko inne, nie istniało absolutnie nic.

Arutha wkroczył jakby w nowy stan świadomości. Sekundy, minuty czy godziny przestały się liczyć, straciły jakiegokolwiek znaczenie. Chociaż walczył wraz z Amosem o utrzymanie statku pod kontrolą, jednak jego zmysły rejestrowały wszystko z drobiazgową dokładnością. Poprzez przemokniętą na wylot skórę rękawicy czuł wyraźnie nierówności drewnianego ramienia rumpla. Mokry materiał bawełnianych pończoch zwijał się między palcami stóp, w ciężkich od wody butach. Podmuchy wiatru niosły zapach soli i smoły, mokrej wełny czapek i przesiąkniętego wodą żaglowego płótna. Z bolesną wprost dokładnością słyszał każdy skrzyp drewna, trzask napiętej liny uderzającej o maszt czy okrzyk marynarza wysoko w olinowaniu statku. Na twarzy czuł uderzenia wiatru i zimny, mokry dotyk topniejących

płatków śniegu i rozbryzgów piany morskiej. Wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuł, że jest tak blisko śmierci, a jednocześnie tak pełen życia.

Mięśnie napięły się, ze zdwojoną energią gotując się do walki z pierwotną i przerażającą ogromem potęgą przyrody. Z każdą chwilą zagłębiali się coraz bardziej w szaleństwo Mrocznych Cieśnin.

Arutha słyszał nieustanny potok komend Amosa, który jak dyrygent precyzyjnie co do sekundy planował i egzekwował wszystkie, nawet najmniejsze działania każdego członka załogi. Kapitan grał na statku jak wielki artysta na lutni, wyczuwał najmniejsze drgnienie i zmianę tonu, dążąc do perfekcyjnej harmonii współdziałania, które miało bezpiecznie przeprowadzić Poranną Bryzę przez niebezpieczne wody Cieśnin. Załoga zaś w okamgnieniu wykonywała skrupulatnie wszystkie jego polecenia, ryzykując nie raz i nie dwa życiem w zdradzieckim olinowaniu, ponieważ dobrze wiedziała, że to, czy przetrwają, zależy wyłącznie od umiejętności Amosa Traska.

I nagle było po wszystkim. Teraz walczyli jeszcze szaleńczo, aby przedrzeć się pośród skał i wyjść cało z ogarniętych furją żywiołów cieśnin, by za moment płynąć spokojnie popychani silną, równą bryzą, zostawiwszy za rufą czarny wał.

Niebo było zaciągnięte szarymi chmurami, lecz sztorm, w którego szponach tkwili przez kilka ostatnich dni, był już tylko ciemnym pasem nad dalekim, wschodnim horyzontem.

Arutha spojrział na swe ręce, jakby należały do kogoś innego. Zmobilizował całą siłę woli, aby rozprostować zaciśnięte kurczowo na rumplu palce.

Zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie pochwycili go marynarze. Położyli go delikatnie na deski pokładu. Przez dłuższy czas kręciło mu się i szumiało w głowie. Uniósł głowę i spostrzegł siedzącego nie opodal Amosa, którego miejsce przy sterze zajął teraz Vasco. Amos popatrzył na Księcia rozbawionym wzrokiem.

– Udało się, chłopcze. Jesteśmy już na Morzu Gorzkim.

– Dlaczego jest tak ciemno? – Arutha popatrzył z niedowierzaniem dookoła.

– Już prawie wieczór. – Amos parsknął śmiechem. – Słońce niedługo zajdzie.

Sterczeliśmy przy rumplu przez ładnych parę godzin.

Arutha zawtórował mu śmiechem. Jeszcze nigdy zwycięstwo nie smakowało tak

wspaniale. Śmiał się, aż z wyczerpania popłynęły po twarzy łzy, a boki go rozbolewały. Amos podczołgał się do niego.

– Arutha, poznałeś dzisiaj, jak to jest, kiedy człowiek śmieje się śmierci prosto w twarz.

Już nigdy nie będziesz taki, jak kiedyś.

– Z początku myślałem, żeś postradał zmysły, Amos. – Arutha dyszał ciężko, z trudem łapiąc oddech.

Amos chwycił podany przez marynarza bukłak z winem i pociągnął łąpczywie kilka łyków. Podał worek Księciu.

– Oj tak, tak. To samo pomyślałem o tobie. Tylko bardzo nielicznym dane jest poznać w życiu to uczucie. To wizja czegoś tak absolutnie klarownego, czystego i prawdziwego, że musi graniczyć z szaleństwem. Widzisz wtedy wyraźnie, co warte jest życie... wiesz, co oznacza śmierć.

Arutha podniósł wzrok na stojącego przy nim marynarza i poznał, że to ten sam człowiek, którego Amos wyrzucił za burtę, by zapobiec buntowi na pokładzie. Vasco obserwował go uważnie ze zmarszczonym czołem, lecz marynarz nawet nie drgnął. Amos zerknął na niego.

– Kapitanie, chciałem tylko powiedzieć, że nie miałem racji. Żegluję od trzynastu lat i gotów byłem założyć się o własną duszę z Lims-Kragma, że żaden kapitan nie będzie w stanie przeprowadzić takiej krypy przez cieśniny. – Spuścił wzrok. – Kapitanie, z ochotą przyjmę karę

chłosty za mój postępek, lecz potem, na jedno twoje skinienie, pozęgluję pod twoją komendą wszędzie, choćby do samych Siedmiu Dolnych Kręgów Piekła, jak i każdy tutaj na pokładzie.

Arutha rozejrzał się dookoła. Wokół nich zacieśniał się krąg marynarzy. Inni przyglądali im się z olinowania. Usłyszał okrzyki: „Tak, kapitanie”, „Prawdę gada” i temu podobne.

Amos dźwignął się z trudem na nogi, opierając się o reling. Kolana dygotały pod nim. Obrzucił wzrokiem marynarzy cisnących się dookoła.

– Nocna wachta na górę! Wachta pośrednia i dzienna – odpoczynek! – Zwrócił się do

Vasco: – Sprawdź na dole, czy nie ma uszkodzeń kadłuba. Potem otworzyć kambuz. Kurs na Krondor.

Arutha przebudził się w kabinie. Martin siedział u jego boku.

– Masz, pij. – Wielki Łowczy podawał mu kubek z parującym rosołem.

Arutha wsparł się na łokciu, zmuszając poobijane i wyczerpane ciało do wysiłku. Wypił kilka łyków gorącego napoju.

– Jak długo spałem?

– Zasnąłeś na pokładzie zaraz po zachodzie słońca. Lub raczej, jeżeli chcesz znać prawdę, straciłeś przytomność. Słońce wstało trzy godziny temu.

– Jaka pogoda?

– Znośna. Przynajmniej nie ma sztormu. Amos jest z powrotem na pokładzie. Uważa, że pogoda powinna się utrzymać do końca podróży. Na dole nie ma poważnych uszkodzeń.

Powinno się udać, jeżeli nie będziemy musieli stawić czoła kolejnemu huraganowi. A nawet gdyby nas dopadła zła pogoda, Amos mówi, że w razie potrzeby możemy znaleźć wzdłuż wybrzeża Keshu kilka spokojnych miejsc do zakotwiczenia.

Arutha zwlókł się z koi, ubrał i wyszedł na pokład. Martin podążył za nim. Amos stał

przy rumplu, obserwując uważnie, jak żagiel pracuje na wietrze. Kątem oka spostrzegł wchodzących na górny pokład Aruthę i Martina. Przez dobrą chwilę przyglądał się to jednemu, to drugiemu, marszcząc czoło w zamyśleniu. Uśmiechnął się, kiedy Arutha spytał:

– No, jak sobie radzimy?

– Mamy niezły wiatr, praktycznie od wyjścia z Cieśnin. Jeżeli utrzyma się ten sam, z pomocnego zachodu, powinniśmy wkrótce dotrzeć do Krondoru. Ale tego rodzaju wiatry z reguły nie utrzymują się długo, więc może nam to zabrać kilka dni dłużej.

Z bocianiego gniazda rozległ się okrzyk.

– Żagiel!

– Kierunek? – krzyknął Amos.

– Dwie rumby z lewej burty, za rufą! Amos wpatrywał się pilnie w horyzont i po chwili dostrzegł maciupeńką, białą plamkę.

– Jakie statki? – krzyknął w górę.

– Galery, kapitanie!

– Pewnie z Queg. – Amos zastanawiał się na głos. – Jeżeli to statki wojenne, płyną trochę za daleko na południe jak na zwykły patrol. Bo nie myślę, aby to były okręty handlowe.

– Wydał rozkaz, aby postawiono dodatkowe żagle. – Jeżeli wiatr się utrzyma, przemkniemy się, zanim zblizą się do nas. To zwykle, płaskodenne balie z wetkniętym żaglem, a wioślarze nie wytrzymają tempa na takim odcinku.

Arutha patrzył zafascynowany, jak obce statki rosna na horyzoncie. Najbliższa galera płynęła po kursie przecinającym ich własny i po pewnym czasie mógł już odróżnić na tle fal zwalistą bryłę kadłuba, strzeliste maszty i majestatycznie wyglądające żagle ponad przednim i tylnym pokładem. Z każdej burty sterczały trzy rzędy pracujących w dzikim tempie wiosel.

Kapitan galery chciał przyspieszyć za wszelką cenę, chociaż na krótki dystans. Jednakże

przewidywania Amosa okazały się słuszne i po paru chwilach było wyraźnie widać, że dystans między Poranną Bryzą a obcym statkiem rośnie z minuty na minutę.

– Płyną pod flagą królewskiego Queg – zauważył Arutha. – Co wojenne galery z Queg robią tak daleko na południu?

– Tylko bogowie wiedzą. Może szukają piratów, a może pilnują, aby okręty z Keshu nie zapędzały się zbyt daleko na pomoc? Kto wie? Trudno zgadnąć. Queg traktuje cały akwen Morza Gorzkiego jako wewnętrzne morze. Nie jestem aż tak ciekaw, aby ryzykować spotkanie z nimi.

Reszta dnia upłynęła bez specjalnych wydarzeń i Arutha cieszył się chwilą wytchnienia po niebezpieczeństwach kilku ostatnich dni. Noc przyniosła czyste, bezchmurne niebo i cudowny pokaz gwiazd. Książę spędził na pokładzie kilka godzin, wpatrując się zafascynowany w roziskrzony dywan nad nimi. Martin wyszedł na pokład i zastał Aruthę stojącego z zadartą głową. Książę usłyszał kroki Wielkiego Łowczego.

– Kulgan i Tully mówią, że gwiazdy to słońca bardzo podobne do naszego, a wydają się tak małe z powodu wielkiej odległości.

– Wydaje się to nieprawdopodobne, ale myślę, że mają rację – powiedział Martin.

– Czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym, że być może jedna z tych gwiazd nad nami to ojczysta planeta Tsuranich?

– Wiele razy. Wasza Wysokość. – Martin wsparł się na relingu. – Kiedy jestem w górach i kiedy pogasną obozowe ogniska, widać tak samo gwiazdy jak teraz. Ich blasku nie przyćmiewają światła zamku czy miasta i płoną jak pochodnie od horyzontu do horyzontu.

Wielokrotnie myślałem sobie, że jedna z nich to planeta, na której mieszkają nasi nieprzyjaciele. Charles opowiadał mi, że ich słońce jest jaśniejsze niż nasze, a klimat bardziej gorący.

– Wydaje się, że to niemożliwe prowadzić wojnę po drugiej stronie bezkresnej pustki...

to przeczy wszelkiej logice.

Stali ramię przy ramieniu, w milczeniu chłonąc wzrokiem potęgę i wspaniałość nocy, nie zważając na chłodne ułtucia wiatru niosącego ich do Kronodoru. Usłyszeli za sobą kroki.

Odwrócili głowy. Zbliżał się Amos Trask. Zawahał się na moment, gdy zobaczył ich twarze, po czym dołączył do nich, opierając się o reling.

– Co, obserwujemy gwiazdy?

Nie odpowiedzieli. Amos rozejrzał się po pokładzie, potem spojrzał w niebo.

– Nic się nie da porównać z morzem, panowie. Ci, którzy całe życie spędzają na lądzie, nigdy nie będą w stanie tego zrozumieć. Morze jest podstawą, pierwszym elementem... czasem jest okrutne, czasem łagodne i zawsze nieprzewidywalne. Jednak takie noce, jak dzisiejsza właśnie, sprawiają, że jestem wdzięczny i dziękuję bogom z głębi serca, że pozwolili mi zostać żeglarzem.

– A trochę i filozofem – dorzucił Arutha. Amos zachichotał pod nosem.

– Weź, Książę, pierwszego lepszego żeglarza pełnomorskiego, który tak często jak ja zaglądał śmierci prosto w oczy, zeskrob trochę wierzchniej powłoki, a głowę daję, że pod spodem odkryjesz filozofa. Żadnych tam uczonych terminów, pojęć czy teorii, oczywiście, ale głęboko zakorzenione poczucie i świadomość swego miejsca w świecie. Najstarsza, znana modlitwa żeglarzy to modlitwa do Ishap. „Ishap, twe morze przeogromne, a łódź moja maleńka, miej litość nade mną”. W tych kilku prostych słowach zawiera się cała prawda. Martin przemówił po cichu, jakby bardziej do siebie niż do pozostałych.

– Pamiętam, kiedy byłem małym chłopcem, miałem podobne wrażenie, gdy znalazłem się w lesie pomiędzy niebotycznymi drzewami. Kiedy się stoi przy pniu drzewa, które jest starsze niż pamięć rodzaju ludzkiego, uzmysławia ci to, jakie jest naprawdę twoje miejsce w

świecie. Arutha przeciągnął się.

– Późno już. Życzę wam obu dobrej nocy. – Już miał ich opuścić, kiedy nagle, jakby

tknięty jakąś myślą, odwrócił się. – Co prawda nie mam takich skłonności filozoficznych, ale chciałem wam podziękować, że dane mi było odbyć tę podróż w waszym towarzystwie.

Kiedy Książę odszedł, Martin jeszcze przez jakiś czas obserwował gwiazdy. Po

pewnym czasie zdał sobie sprawę, że Amos przypatruje mu się uważnie. Spojrzał żeglarzowi prosto w oczy.

– Od pewnego czasu coś cię nurtuje, Amos, prawda?

– A tak, Mistrzu – odparł kapitan, wspierając się wygodnie na relingu. – Od mego przybycia do Crydee minęło pełnych siedem lat. Muszę przyznać, że od momentu, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, pewna myśl nie daje mi spokoju.

– O czym mówisz?

– Martin, jesteś bardzo tajemniczym człowiekiem. Chociaż i w moim życiu jest wiele faktów, których raczej wolałbym nie wyciągać na światło dzienne, lecz w twoim wypadku to coś innego.

Martin słuchał z pozoru obojętnie, lecz jego oczy nagle ledwo dostrzegalnie się zwężyły.

– Niewiele jest rzeczy mnie dotyczących, które nie są znane w Crydee.

– Tak, to prawda, ale właśnie to niewiele nie daje mi spokoju.

– Nie ma sensu, abyś się tym zajmował, Amos. Jestem Wielkim Łowczym księcia Borrica i nikim więcej.

– Chyba jednak kimś więcej, Martin – powiedział Amos po cichu. – W ciągu siedmiu lat włóczenia się po ulicach miasta, kiedy nadzorowałem jego odbudowę, nasłuchiwałem się na twój temat wielu plotek. Jakiś czas temu poskładałem drobne fragmenty w całość i oto pojawiła



się odpowiedź. Tłumaczy ona, dlaczego, kiedy widzę cię w towarzystwie Aruthy, a szczególnie Księżniczki, twoje zachowanie ulega zmianie, chociaż, przyznaję, ledwo dostrzegalnej.

– Amos, snujesz starą jak świat i wyblakłą bajdę. – Martin zaśmiał się. – Co, wydaje ci się, że jestem biednym myśliwym zakochanym po uszy w młodej Księżniczce? Myślisz, że kocham Carline?

– Nie, chociaż nie mam najmniejszej wątpliwości, że darzysz ją miłością. Miłością, jaką każdy brat darzy swą siostrę.

W ułamku sekundy Martin wyciągnął do połowy nóż, lecz nie zdążył więcej. Amos chwycił go za nadgarstek. Potężny i silny jak tur żeglarz trzymał rękę Martina w stalowym uchwycie, tak że Łowczy nie mógł wykonać najmniejszego ruchu.

– Martinie, powstrzymaj swój gniew. Nie zmuszaj mnie do wyrzucenia cię za burtę, abyś się trochę ochłodził.

Martin zaprzestał beznadziejnego szamotania i rozprostował palce na rękojeści noża, który wślizgnął się z powrotem do pochwy. Amos trzymał jego rękę jeszcze przez moment, a potem puścił.

– Ani ona, ani jej bracia nie wiedzą o tym – powiedział po chwili milczenia Martin. – Aż do dzisiaj wydawało mi się, że tylko Książę i może jedna czy dwie osoby wiedzą. Jak się dowiedziałeś?

– To nie było trudne. Ludzie bardzo często nie zauważają tego, co mają przed nosem. – Amos odwrócił się i obserwował żagle, bezwiednie sprawdzając pracę załogi. – Widziałem portret Księcia w wielkiej sali. Gdybyś zapuścił brodę, jak on, podobieństwo aż biłoby w oczy. Wszyscy mieszkańcy zamku mówią, jak to Arutha z każdym rokiem coraz mniej przypomina matkę, a coraz bardziej ojca. Od chwili pierwszego spotkania ciągle nie dawało mi spokoju, dlaczego nikt nie zauważa, jak bardzo młody Książę przypomina również ciebie. Sądzę, że po

prostu jest im z tym wygodniej. Zresztą to wiele wyjaśnia: dlaczego ksiązę Borric obdarzył cię specjalnymi względami, dając pod opiekę starego Łowczego, i dlaczego ty zostałeś wybrany nowym Wielkim Łowczym, kiedy stało się to konieczne. Podejrzywałem to już od pewnego czasu, ale dziś w nocy nabrałem pewności. Kiedy wszedłem na górny pokład z dołu i spostrzegłem was obu, wpatrzonych w gwiazdy, przez dobrą chwilę nie mogłem się zorientować, który jest który.

– Amos, jeżeli piśniesz komuś choć słówko, zabiję cię – powiedział Martin spokojnym, pozbawionym wszelkich emocji, głosem.

Amos oparł się wygodniej o reling.

– Należę do ludzi, Martinie Długi Łuk, którzy kiepsko znoszą, kiedy się ich straszy.

– To sprawa honoru.

Amos skrzyżował ramiona na piersi.

– Ksiązę Borric ani nie jest pierwszym, ani ostatnim panem, który jest ojcem bękarta.

Wielu z nich otrzymuje nawet stanowiska i tytuły. W jaki niby sposób honor księcia Crydee miałby być narażony na szwank?

Martin chwycił mocno za poręcz relingu. Stał nieruchomo w mroku nocy, jak posąg.

Słowa, które wypowiadał, wydawały się przychodzić jakby z daleka.

– Nie jego honor, kapitanie, lecz mój. – Stał twarzą w twarz z Amosem. W jego oczach płonęły ognie, odbłask światła rzucanego przez latarnię. – Ksiązę dowiedział się o moich narodzinach i z tylko sobie znanych powodów sprowadził mnie do Crydee, kiedy byłem jeszcze bardzo mały. Jestem pewien, że powiedział o wszystkim ojcu Tully'emu, Ksiązę ma do niego, pełne zaufanie. Być może Kulgan wie również. Żaden z nich jednak nie podejrzewa, że ja też znam prawdę. Wydaje im się, że nie wiem nic o swoim pochodzeniu.

– Trudny problem do rozwiązania, Martin. – Amos pogładził się po brodzie. – Sekrety

w sekretach, i tak dalej. No cóż, masz moje słowo, dane z przyjaźni, a nie ze strachu przed groźbą, że nikomu o tym nie powiem, chyba że za twoim przyzwoleniem. Chociaż, jeżeli właściwie oceniam Aruthę, wkrótce i on się domyśli.

– Tylko ja będę o tym decydował, Amos, nikt inny. Być może któregoś dnia mu o tym powiem, a może nie. Amos odepchnął się od relingu.

– No, czas już na mnie, jeszcze mam dużo roboty przed spaniem. Chcę ci jednak powiedzieć jeszcze jedno, Martin. Obrałeś sobie samotny kurs, nie zazdroszczę ci tej wędrówki. Dobranoc.

– Dobranoc. – Kiedy kapitan zostawił go, Martin stał wpatrzony w znajome gwiazdy. Towarzyski jego samotnych wędrówek po lasach i wzgórzach Crydee patrzyły na niego błyszczącymi oczami. Konstelacje Łowcy Bestii i Wielkiego Ogara, gwiazdozbiór Smoka, Krakeny i Pięć Klejnotów. Opuścił wzrok na powierzchnię morza, wpatrując się w czerń nocy, zatopiony w myślach, które jak sądził kiedyś, pogrzebał na zawsze w niepamięci.

– Ziemia! – krzyknął majtek z bocianiego gniazda.

– Kierunek? – odkrzyknął Amos.

– Na wprost, kapitanie.

Arutha, Martin i Amos szybko wyszli z nadbudówki i pobiegli na dziób. Stali, wyciągając wzrok, i czekali, aż w polu widzenia pojawi się ląd.

– Czujecie te drgania, ilekroć wchodzimy na falę? Jeżeli się znam na budowie statku, a wiecie, że znam się doskonale, to z pewnością kil. Po dotarciu do Kronodoru trzeba będzie wyciągnąć statek na brzeg i porządnie naprawić.

Arutha przyglądał się, jak w popołudniowym, lekko przymglonym świetle wąziutki skrawek ziemi na horyzoncie rośnie i staje się coraz lepiej widoczny.

– Powinniśmy mieć wystarczająco dużo czasu. Chcę wracać do Crydee, jak tylko uda

mi się przekonać Erlanda o zagrożeniu kolejnym najazdem, ale nawet jeśli natychmiast wyrazi zgodę, i tak trochę czasu zejdzie, zanim zorganizuję ludzi i statki.

– Jeżeli chodzi o mnie, to wolę poczekać, aż pogoda się trochę poprawi. Nie chcę znowu płynąć przez Mroczne Cieśniny w takich warunkach jak teraz – powiedział sucho Martin.

– Człowieku słabego ducha, dopiero co dokonałeś tego w najtrudniejszych z możliwych warunkach. Rejs ku Dalekiemu Wybrzeżu w środku zimy jest tylko odrobinę samobójczy. Arutha milczał wpatrzony w coraz lepiej widoczny ląd. Nie minęła godzina, a mogli już rozróżnić wznoszące się ku niebu, strzeliste wieże Kronodoru, statki stojące na kotwicy w porcie.

– No cóż – powiedział Amos – jeżeli chcecie mieć godne powitanie, czas najwyższy, abym kazał rozwinąć sztandar Księstwa i wciągnąć go na maszt.

Arutha powstrzymał go, chwytając za ramię.

– Amos, wstrzymaj się. Czy widzisz ten statek u wejścia do portu?

Przez dłuższy czas stali w milczeniu, patrząc uważnie na rosnący w oczach okręt.

– Niech mnie kule biją! Ale sztuka! Tylko patrzcie, jaki wielki. Widzę, że teraz Książę buduje o wiele większe statki niż te, które widziałem, kiedy ostatnio byłem w Kronodorze.

Trzymasztowiec. Patrzcie, reje... olinowanie... na co najmniej trzydzieści żagli... wszystko ma na miejscu, od kliwra po bezan. Sądząc po kształcie kadłuba, jest szybki jak chart, nie ma dwóch zdań. Nie chciałbym stawać przeciwko niemu, mając do dyspozycji mniej niż trzy galery z Queg. Żeby się do niego zbliżyć, konieczni są wioślarze. Tylko spójrzcie na te ogromne wyrzutnie oszczepów na dziobie i rufie. W okamgnieniu zrobią sieczkę z olinowania...

– Teraz przynajmniej wiemy, dlaczego galery z Queg wypuściły się tak daleko od

domu. Jeżeli Królestwo wprowadza na wody Morza Gorzkiego takie okręty, to Queg...

– Zwróć uwagę na flagę na szczycie masztu, Amos – przerwał mu Arutha.

Wchodzili do portu, mijając z bliska wielki statek. Na dziobie pysznił się wspaniały napis Królewski Gryf.

– Okręt wojenny Królestwa, nie ma wątpliwości, ale jeszcze nigdy nie widziałem żadnego, który by pływał pod inną flagą niż flaga Krondoru – powiedział Amos. Na szczycie masztu trzepotała w podmuchach bryzy czarna flaga ze złocistym orłem. – Wydawało mi się, że znam wszystkie flagi, jakie pojawiają się na Morzu Gorzkim, ale muszę przyznać, że takiej nie widziałem. To jakaś nowa.

– Spójrz, ten sam sztandar powiewa na nabrzeżu, Arutha – powiedział Martin, wskazując ręką w stronę odległego miasta.

– Taki sztandar nigdy jeszcze nie gościł na Morzu Gorzkim – powiedział cicho Arutha.

Twarz przybrała nagle zacięty wyraz. – Zapamiętajcie sobie, że dopóki nie powiem inaczej, jesteśmy zwykłymi kupcami z Natalu.

– Arutha, czyj to sztandar, wyduś wreszcie – przynaglił go Amos.

Księżę chwycił mocno za reling.

– To sztandar drugiego co do starszeństwa rodu w Królestwie. Jego obecność świadczy o tym, że mój daleki kuzyn, Guy, księżę Bas-Tyra, przebywa w Krondorze.

# KRONDOR

W gospodzie było tłoczno.

Amos prowadził Aruthę i Martina przez ogólną salę do pustego stolika w pobliżu kominka. Usiedli. Pomieszane urywki rozmów docierały z sąsiednich stolików. Po dokładniejszym wsłuchaniu się w gwar i przyjrzeniu gościom można było zauważyć, że nastrój w gospodzie nie był aż taki swobodny i beztroski, jak można było sądzić z początku.

Arutha myślał gorączkowo. Jego plany zapewnienia sobie pomocy Erlanda runęły w pierwszej minucie po tym, jak postawili nogę na suchym lądzie. Wszędzie dookoła dostrzegali znaki mówiące wyraźnie, że Guy du Bas-Tyra nie gościł w mieście, lecz nim rządził.

Członkowie straży miejskiej podążali karnie za oficerami w czerni i złocie Bas-Tyra, a sztandar Guya powiewał ze szczytu każdej wieży miasta.

Kiedy wreszcie podeszła do ich stolika niechlujna dziewczucha, Amos zamówił trzy kufle piwa, po czym czekali w milczeniu, aż zostaną obsłużeni. Gdy zostali sami, Amos popatrzył po pozostałych spod oka.

– Musimy się teraz bardzo pilnować.

Arutha patrzył przed siebie twardym wzrokiem.

– Ile potrzebujesz czasu, żeby wyruszyć?

– Kilka tygodni, przynajmniej trzy. Musimy naprawić poszycie statku i wymienić kil.

Jak długo to potrwa, zależy wyłącznie od cieśli. Zima to kiepski okres. Kupcy, którzy wolą żeglować w dobrych warunkach, wyciągają statki na ląd na te kilka miesięcy, żeby dobrze je przygotować na wiosnę. Z samego rana rozpylam się co i jak.

– Gdyby miało nam to zabrać zbyt wiele czasu, lepiej kup nowy statek. Amos uniósł brwi.

– Masz pieniądze, Książę?

– W skrzyni na statku. – Uśmiechnął się krzywo. – Nie tylko Tsurani wykorzystują wojnę do różnych rozgrywek politycznych. Dla wielu panów z Krondoru i w ogóle ze wschodu wojna to coś odległego, prawie abstrakcja. Pamiętajmy, że ciągnie się już prawie dziewięć lat, a wszystko, co z niej tutaj widzieli, to kurierzy z wiadomościami. A przecież nasi lojalni i oddani Królestwu kupcy nie dostarczają zapasów i statków powodowani miłością do króla Rodrica. Moje złoto to zabezpieczenie kosztów sprowadzenia żołnierzy krondorskich do Crydee, zarówno jeżeli chodzi o rzeczywiste koszty, jak i łapówki.

– No tak – powiedział powoli Amos. – Nawet w tej sytuacji zajmie to tydzień lub dwa. Jeżeli chcemy uniknąć zwrócenia na siebie uwagi, nie możemy po prostu wejść do agenta i kupić pierwszy z brzegu statek, płacąc złotem. Poza tym większość statków wystawionych na sprzedaż nie nadaje się do niczego. Muszę mieć trochę czasu.

– No i nie wolno nam przecież zapominać o Cieśninach – wtrącił Martin.

– Racja – zgodził się Amos. – Chociaż z drugiej strony, możemy popłynąć spokojną trasą wzdłuż wybrzeża do Sarth i poczekać tam na dobrą pogodę, by przeskoczyć Mroczne Cieśniny.

– Nie – zaproponował Arutha. – Sarth leży jeszcze w obrębie tego Księstwa i jeżeli Guy sprawuje kontrolę nad Krondorem, będzie tam miał swoich agentów i żołnierzy. Dopóki nie opuścimy wód Morza Gorzkiego, nie będziemy bezpieczni. W Krondorze nie zwracamy na siebie takiej uwagi, jest o wiele bardziej ruchliwy niż Sarth i obcy nie są tu rzadkością. Amos długo przyglądał się Anicie.

– Nie twierdzę, że znam cię. Książę, tak dobrze, jak kilka innych osób, które spotkałem w swoim życiu, ale me wydaje mi się, żebyś aż tak bardzo dbał o własną skórę. Chodzi o coś innego, prawda?

Arutha rozejrzał się po sali.

– Znajdźmy lepiej trochę spokojniejsze i nie tak publiczne miejsce. Musimy porozmawiać.

.Ni to z westchnieniem, ni z jękiem Amos dźwignął się ciężko zza stołu.

– Gospoda Spokojna Przystań Żeglarza nie jest co prawda tym miejscem, gdzie chciałbym się zatrzymać na dłużej, ale dla naszych celów powinna być w sam raz. – Przecisnął się przez tłum do długiego baru i przez dłuższy czas rozmawiał z oberżystą. Zwalisty właściciel gospody wskazał na schody prowadzące na piętro i Amos pokiwał głową. Wskazał ręką swoim towarzyszom, żeby poszli za nim. Przecisnęli się przez zbity, gwarny tłum, weszli na górę, a potem długim korytarzem pomaszerowali do końca. Amos zatrzymał się przed ostatnimi drzwiami, otworzył je i zaprosił ich gestem dłoni do środka.

Niewielki pokój stanowczo nie mógłby się ubiegać o palmę pierwszeństwa, jeżeli chodzi o wygody, nawet w bardzo poślednim konkursie. Cztery wypchane słomą legowiska znajdowały się wprost na podłodze przy ścianach. Wielka skrzynia w kącie służyła za szafę. Na środku stał koślawy stół, a na jego blacie poobijana prosta lampka oliwna, w której pływał okopcony knot. Kiedy Martin zapalił go, po pokoju rozszedł się straszny smród. Amos zamknął drzwi.

– Już wiem, co miałeś na myśli, mówiąc o wyborze kwatery na pobyt w Krondorze – skomentował Arutha, obrzucając wewnątrz niechętnym spojrzeniem.

– Sypiałem już w o wiele gorszych warunkach – odpowiedział Amos, sadowiac się na jednym z materacy. – Jeżeli chcemy zachować wolność, musimy przede wszystkim ustalić dla siebie samych jakąś nową i w miarę wiarygodną tożsamość. Na razie będziemy się do ciebie zwracali Arthur. Imię to wystarczająco przypomina twe własne. Książę. Może się to przydać, gdyby trzeba się było tłumaczyć, jak ktoś zawoła cię prawdziwym imieniem, a ty się odwrócisz czy odpowiesz coś odruchowo. A poza tym łatwo je zapamiętać. Arutha i Martin usiedli, a



Amos ciągnął dalej.

– Arthur, lepiej zacznij się już przyzwyczajać do nowego imienia, wiesz o miastach portowych tyle co nic, a i tak jest to dwa razy więcej niż to, co wie Martin. Wydaje mi się, że mógłbyś uchodzić za syna jakiegoś pomniejszego pana z zapadłej dziury na końcu świata.

Martin, ty będziesz myśliwym ze wzgórz Natalu.

– Nawet nieźle posługuję się ich językiem.

– Daj mu szarą kapotę, a będzie z niego strażnik natalski, jak się patrzy. – Arutha uśmiechnął się lekko. – Ja nie mówię ani w języku Natalu, ani Keshu, ustalmy więc, że jestem synem pomniejszego szlachcica ze wschodu, który przyjechał tu dla rozrywki. Wątpię, by ktoś w Krondorze znał choćby połowę baronów ze wschodu.

– Pod warunkiem, że nie znajdziemy się zbyt blisko Bas-Tyry. Pełno się tu kręci facetów w czarnych kaftanach. Nieźle byśmy wpadli, gdybyśmy się nadziali wśród oficerów Guya na rzekomego kuzyna.

Arutha spochmurniał nagle.

– Amos, miałeś rację co do moich obaw. Nie opuszczę Krondoru, dopóki nie dowiem się dokładnie, co Guy tu robi i jaki to nią związek z wojną.

– Nawet jeżeli jutro uda mi się znaleźć jakiś statek dla nas, chociaż jest to mało prawdopodobne, będziesz miał wystarczająco dużo czasu, aby powęszyć dookoła. Prawdopodobnie odkryjesz więcej, niż byś chciał wiedzieć. Miasto to paskudne miejsce dla utrzymania tajemnicy. Głowę daję, że na rynku codziennie aż roi się od plotkarzy i każdy człowiek w mieście wie wystarczająco dużo, aby odmalować wiemy obraz sytuacji. Pamiętaj tylko, żeby trzymać gębę na kłódkę, a uszy szeroko otwarte. Bądź pewien, że plotkarze wszelkiej maści natychmiast wyjawią ci to, co cię będzie interesowało, i równie skwapliwie, nim się obejrzysz, doniosą straży miejskiej, żeś ich o to czy tamto pytał. – Amos przeciągnął się. – Jeszcze

wcześniej, ale zjedzmy coś gorącego, a potem do łóżek. Jutro czeka nas całodniowa łaźoga po mieście. – Powstał z posłania, otworzył drzwi, zeszli na dół do sali ogólnej.

Arutha przeżuwał powoli ledwo ciepły placek z mięsem. Spuściwszy nisko głowę, zmuszał się do zjedzenia jeszcze kęsa ociekającego tłuszczem produktu sprzedawcy ciast. Wolał nie myśleć, co, poza kawałkami wołowiny i wieprzowiny, jak twierdził uliczny sprzedawca, składało się na nadzienie pod na pół surową i rozmiękłą skorupą ciasta. Spod oka zerkał na drugą stronę placu targowego, przyglądając się uważnie bramom pałacu księcia Erlanda. Skończył jeść. Szybkim krokiem podszedł do kramu z piwem i zamówił kufel ciemnego piwa, aby spłukać ohydny smak posiłku. Przez ostatnią godzinę udawał syna jakiegoś pomniejszego pana z prowincji, włócząc się bez celu od straganu do straganu, od wozu do wozu, i kupował drobiazgi. W ciągu tej godziny sporo się dowiedział.

Kątem oka dostrzegł zbliżających się Amosa i Martina. Pojawili się prawie na godzinę przed umówionym terminem. Obaj mieli zatroskane twarze i rzucali ukradkiem na boki nerwowe spojrzenia. Przeszli obok niego. Amos nie zatrzymując się, dał mu znak wzrokiem, aby ruszył za nimi. Przepychając się przez południowy tłum, opuścili szybko okolice wielkiego placu targowego. Wkroczyli w wyglądające mniej zachęcająco, lecz i mniej ludne, dzielnice miasta. Szli szybkim krokiem aż do chwili, kiedy Amos wskazał na jakiś dom. Weszli do środka.

Kiedy tylko przekroczyli próg, buchnęło im w nos gorące, parne powietrze.

Natychmiast pojawił się ktoś z obsługi.

– Łaźnia? – spytał z niedowierzaniem Arutha.

– Arthurze, trzeba zmyć z siebie kurz drogi – powiedział Amos poważnym głosem.

Zwrócił się do posługacza: – Łaźnia dla wszystkich.

Posługacz zaprowadził ich do przebieralni, wręczył każdemu gruby, ostry ręcznik i

płócienny worek na rzeczy. Rozebrali się i owinęli ręcznikami. Zapakowali ubranie i broń do worków i weszli do buchającego parą pomieszczenia.

Sporych rozmiarów sala wyłożona była od podłogi po sufit kafelkami, chociaż na podłodze i ścianach tu i ówdzie widać było zielonkawe naloty i plamy. Cuchnące powietrze stało nieruchomo. Na środku, przed stosem parujących kamieni siedział w kucki mały, półnagi chłopak. Na przemian to podkładał drewno do ogromnego paleniska, to polewał rozpalone do czerwoności kamienie wodą, co powodowało powstanie ogromnych kłębow pary.

Usiedli na ławie w najdalszym kącie.

– Dlaczego w łaźni? – spytał Arutha. Amos nachylił się ku niemu.

– Pokoje w naszej gospodzie mają bardzo cienkie ściany, Wiele interesów załatwia się w takich miejscach jak to, więc trzech mężczyzn szepczących w kącie nie zwróci niczyjej uwagi. – Podniósł głowę i spojrzał w stronę chłopaka. – Hej, chłopcze! – krzyknął. – Skocz no i przynieś nam schłodzone wino. – Cisnął chłopcu srebrną monetę, którą tamten pochwycił zgrabnie w locie. Kiedy chłopak nie ruszył się z miejsca, Amos rzucił mu drugi pieniążek i dopiero wtedy posługacz zerwał się na nogi i wybiegł. Amos westchnął ciężko. – Widzę, że cena chłodzonego wina podwoiła się od czasu, kiedy byłem tutaj po raz ostatni. No, przez chwilę mamy spokój, ale niedługo chłopak wróci.

– O co chodzi? – spytał Arutha rozdrażnionym głosem, nawet nie starając się ukryć złego humoru. Ciało pod grubym ręcznikiem swędziało niemiłosiernie, a w łaźni śmierdziało jak w wychodku. Miał poważne wątpliwości, czy opuszczając to pomieszczenie, będzie bardziej czystszy, niż byłby wówczas, gdyby w ogóle nie opuszczał targu.

– Martin i ja mamy złe wiadomości.

– Ja również. Dowiedziałem się, że Guy został wicekrólem Krondoru. A czego wy się dowiedzieliście?

– Podśluchałem rozmowę, z której wnoszę, że Guy uwięził w pałacu Erlanda i całą jego rodzinę – powiedział Martin. Oczy Aruthy zwęziły się w wąskie szparki.

– Nawet Guy nie ośmieliłby się skrzywdzić księcia Krondoru – powiedział niskim głosem, w którym drżał gniew.

– Chyba że Król dałby mu wolną rękę – zauważył Martin. – Niewiele wiem o konflikcie pomiędzy Księciem a Królem, ale jasne jest, że to Guy rządzi teraz w Krondorze, za przyzwoleniem Króla, jeżeli nawet nie z jego błogosławieństwem. Wspominałeś mi o ostrzeżeniu Caldrica, kiedy po raz ostatni byłeś w Rillanonie. Niewykluczone, że choroba Króla poczyniła postępy od tego czasu.

– Szaleństwo, jeżeli już mamy mówić otwarcie – wypalił Arutha.

– Aby jeszcze bardziej skomplikować i zaciemnić sprawę w Krondorze, wszystko wskazuje na to, że jesteśmy w stanie wojny z Wielkim Keshem.

– Co?! – krzyknął Arutha.

– To tylko pogłoski. – Amos zaczął mówić szybko i po cichu. – Zanim odnalazłem Martina, kręciłem się trochę i węszyłem w okolicach wesołego domku, nie opodal koszar garnizonowych. Podśluchałem kilku swobodnie rozmawiających żołnierzy, którzy twierdzili, że bladym świtem wyruszają na wojnę. Kiedy jedna z „dziewczynek” spytała swego wojaka, kiedy go znowu ujrzy, odpowiedział, że „Nie będzie mnie tyle czasu, ile trzeba, aby dojść do doliny i z powrotem, jeżeli będziemy mieli szczęście”. W tym miejscu wezwał głośno imienia Ruthii, by Pani Szczęścia nie patrzyła krzywym okiem na to, że rozmawiają o dziedzinach życia, które pozostają pod jej władaniem.

– Do doliny? – spytał Arutha. – To mogło jedynie oznaczać wymarsz do Doliny Snów.

Wynika z tego, że Kesh zaatakował i wybił do nogi garnizon w Shamata. Guy nie jest głupi. Dobrze wie, że jedyną rozsądną odpowiedzią jest błyskawiczny, pewnie przeprowadzony atak,

aby pokazać Cesarzowej Wielkiego Keshu, że potrafimy bronić naszych granic. Po wyparciu ich oddziałów zaczepnych z doliny czeka nas kolejna runda bezcelowych i bezsensownych rokowań pokojowych na temat praw do niej. A to z kolei oznacza, że nawet jeśli Guy chciałby, w co wątpię, przyjść z pomocą Crydee, nie będzie mógł. Jest zbyt mało czasu, aby załatwić wojska Keshu, wrócić i dotrzeć do Crydee na wiosnę czy nawet wczesnym latem. – Arutha zaklął pod nosem. – Złe wieści przynosisz, Amos.

– To jeszcze nie wszystko. Dziś rano pofatygowałem się i odwiedziłem nasz statek, ot tak, by upewnić się, czy Vasco panuje nad wszystkim i czy załoga za bardzo nie buntuje się, że nie dostała pozwolenia zejścia na ląd. Statek jest pod obserwacją.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie. Nie opodał płacze się bez przerwy paru chłopaków. Udają, że naprawiają sieci czy coś w tym rodzaju, ale tak naprawdę, nic nie robią. Pilnie mnie obserwowali, kiedy płynąłem łodzią do statku i z powrotem.

– Kim są, jak myślisz?

– Nie mam bladego pojęcia. Mogą to być agenci Guya albo ludzie wciąż lojalni wobec Erlanda. Mogą być agentami Wielkiego Keshu, przemytnikami czy nawet Szydercami.

– Szydercami...? – spytał Martin.

– To Cech Złodziei – odpowiedział Arutha. – Niewiele się dzieje w Krondorze bez wiedzy ich przywódcy, Sprawiedliwego.

– Ta tajemnicza postać rządzi Szydercami żelazną ręką. W szeregach panuje absolutna dyscyplina, o wiele ostrzejsza niż wśród załogi na pokładzie statku. W Krondorze są takie miejsca, gdzie nie sięga nawet władza Księcia. Lecz nie ma żadnego, które byłoby poza zasięgiem Sprawiedliwego. Jeżeli to on właśnie zainteresował się nami, wszystko jedno z jakiego powodu, musimy się mieć na baczności.

Rozmowę przerwał powrót chłopaka. Postawił przed nimi cynowy dzban z chłodzonym winem i trzy kubki.

– Chłopcze, skocz no teraz na najbliższy stragan z wonnościami. Śmierdzi tu strasznie.

Kup jakieś słodko pachnące kadzidło i wrzuć do ognia.

Chłopak spojrział na niego lekko zniechęconym wzrokiem, po czym kiedy Amos cisnął mu następną monetę, wzruszył ramionami i wybiegł. Amos zwrócił się do swoich towarzyszy.

– Zaraz wróci, a ja już nie mam pomysłu, jak się go pozbyć. Zresztą zaraz tu będzie tłoczno. Jest już późno i wkrótce pojawią się kupcy, by spędzić popołudnie w łaźni.

– Kiedy posługacz wróci, napijemy się trochę wina i odpoczniemy nieco. Pamiętajcie, by nie wychodzić zbyt szybko. Ale wracając do meritum, w całej tej ponurej gmatwaninie tli się jedna pomyślna iskierka.

– O co chodzi, mów szybko – przynaglił Arutha.

– Guy wkrótce opuści miasto.

– To niewiele zmienia. – Arutha zmrużył oczy. – Zostawi swoich ludzi, którzy na wszystkim położą łapę. Chociaż z drugiej strony, to rzeczywiście pomyślna wiadomość. W Krondorze jest teraz niewielu ludzi, którzy znają mnie z widzenia. Od ostatniej bytności minęło prawie dziewięć lat, a większość z tych, którzy mogliby mnie rozpoznać, siedzi pewnie pod kluczem jako ludzie Erlanda. Poza tym mam pewien plan, nad którym się zastanawiam od dłuższego czasu. Będzie łatwiej go zrealizować, kiedy Guya nie będzie w mieście.

– Jaki plan? – spytał Amos.

– Powiem, gdy go dokładnie przemyślę. Gdzie możemy się spotkać bezpiecznie?

Amos zastanawiał się przez chwilę.

– Wszystkie burdele, szulernie i inne jaskinie zdrożnych uciech są równie niepewne jak gospody. Bo albo są pod całkowitą kontrolą Szyderców, którzy pilnie śledzą każdego, kto

wchodzi i wychodzi, albo kręcą się tam inne typy w poszukiwaniu informacji do sprzedania. Jeśli wypowiesz niewłaściwe słowo, w ciągu kilku minut będziesz miał na karku albo bandę Szyderców, albo oddział straży miejskiej. – Zamyślił się na chwilę, po czym jego twarz rozpromienił szeroki uśmiech. – Mam! O to nam chodziło! Kiedy warta oddzwoni z wieży pełną godzinę, dwie godziny po zachodzie słońca, spotkajmy się na wschodnim krańcu Placu Świątynnego.

Powrócił chłopak. Niedbałym ruchem rzucił do ognia niewielką wiązkę wonnych ziół. Zamilkli. Arutha usiadł wygodniej i zaczął sączyć zimne wino. Robiło się coraz cieplej. Przy-  
mknął oczy, lecz nie odpoczywał. Jego umysł pracował intensywnie, rozważając różne warianty sytuacji. Po pewnym czasie doszedł do wniosku, że jego plan mógłby się powieść pod warunkiem, że uda mu się dotrzeć do Dulanica. Zniecierpliwił się biernym czekaniem. Wstał gwałtownie, opłukał się w chłodnej wodzie, ubrał i jako pierwszy wyszedł na ulicę.

Arutha czekał spokojnie, aż Martin i Amos, przecinający Plac Świątynny z różnych kierunków, zbliżą się do niego. Ogromny plac ze wszystkich stron otaczały świątynie wzniesione ku czci największych i pomniejszych bóstw. W kilku z nich kłębił się tłum pielgrzymów i wyznawców wchodzących i opuszczających ich podwoje. Pozostałe świątynie świeciły pustkami.

Amos podszedł do Księcia.

– Jak ci poszło po południu?

– Spędziłem ten czas w tawernie – powiedział cicho Arutha. – Sam na sam z sobą i swymi myślami. Udało mi się podsłuchać jakieś strzępki rozmowy o Erlandzie, lecz kiedy przysunąłem się bliżej, rozmawiający wyszli. Poza tym przede wszystkim zastanawiałem się nad moim planem, o którym wam wspominałem.

Martin rozejrzał się po okolicy.

– Wybrałeś pechowe miejsce, Amos. Wszystkie świątynie po tej stronie placu

poświęcone są bogom i boginiom chaosu i ciemności.

Amos wzruszył ramionami.

– Co również oznacza, że po zapadnięciu zmroku spotkasz tu tylko nielicznych podróżników. A poza tym z daleka widzisz, czy ktoś się nie zbliża. – Spojrzał na Aruthę. – No dobrze, co z tym planem?

Arutha nachylił się ku nim i zaczął mówić szybko przyciszonym głosem.

– Dziś rano zauważyłem dwie rzeczy: teren pałacu nadal jest patrolowany przez osobistą gwardię Erlanda, z czego wynika, że władza Guya nie jest absolutna. Po drugie, wielu dworzan Erlanda wchodzi na teren pałacu i opuszcza go w miarę swobodnie, a z tego wynika, że większość spraw związanych z zarządzaniem Ziemiami Zachodu toczy się zwykłym torem.

– To logiczne. – Amos gładził się po brodzie, myśląc intensywnie. – Guy sprowadził tu przecież swoją armię, a nie urzędników. Zarządcy i administratorzy zostali w Bas-Tyrze.

Co oznacza, że Dulanic i inni, którzy nie do końca popierają Guya, będą mogli, być może, udzielić nam pomocy. Jeżeli Dulanic pomoże, moja misja i tak się powiedzie. Jestem o tym przekonany.

– W jaki sposób? – spytał Amos.

– Dulanicowi, jako marszałkowi Erlanda, podlegają garnizony wasalne Krondoru. On sam, wydając rozkaz, może postawić pod broń garnizony w Dolinie Durrony i Krzyżu Ma-laka. Jeżeli da im rozkaz wymarszu do Sarth, mogą się tam połączyć z lokalnymi wojskami i zabrać na statek do Crydee. To długi i ciężki marsz, ale zdążylibyśmy dotrzeć do Crydee przed nastaniem wiosny.

– I oszczędzić dodatkowych kłopotów twemu ojcu. Miałem ci właśnie powiedzieć, że słyszałem, jakoby Guy wysłał żołnierzy z garnizonu Krondor do księcia Borrica.



- To dziwne... – powiedział Arutha. – Nie podejrzewałem Guya o chęć pomocy ojcu.
- Nie takie znowu dziwne. – Amos pokręcił głową. – Twój ojciec pomyśli najpewniej, że Guy został wysłany przez Króla Erlandowi na pomoc. Podejrzewam, że wieści o tym, że Księżę jest więźniem we własnym pałacu, jeszcze nie zdążyły się rozejść szeroko. A poza tym to wspaniały pretekst, aby pozbyć się z miasta oficerów nadal lojalnych wobec Erlanda.
- I nie można zapominać, że nie jest to podarunek, z którego łatwo można zrezygnować. Z tego, co słyszę, prawie cztery tysiące ludzi albo już opuściło miasto, albo zaraz się uda na północ, by zasilić szeregi Borrrica. Ten dodatkowy zastrzyk może wystarczyć, gdyby Tsurani zdecydowali się wystąpić przeciw nam na tamtym froncie.
- A jeżeli ruszą na Crydee? – spytał Martin.
- I dlatego właśnie musimy szukać wsparcia. Trzeba się dostać do środka pałacu i odszukać Dulanica.
- Ale jak? – spytał Amos.
- Miałem nadzieję, że podsuniecie jakieś rozwiązanie. Amos wbił wzrok w ziemię, marszcząc czoło w zamyśleniu.
- Czy znasz kogoś w pałacu, Księżę, na kim możesz absolutnie polegać i komu możesz zaufać?
- W przeszłości mógłbym wymienić kilkanaście osób, ale teraz, kiedy sprawy tak się mają, podejrzewam każdego. Nie mam zielonego pojęcia, kto stoi za Wicekrólem, a kto jest jeszcze stronnikiem Księcia.
- No to nie ma innego wyjścia, jak tylko jeszcze trochę powęszyć. Trzeba też dobrze nastawiać ucha, a może wpadnie jakaś wiadomość o statkach, które by się nadawały do naszych celów, do transportu wojska. Kiedy uda się wynająć kilka, będziemy mogli je wyprowadzić po cichu z Kronodoru w ciągu kilku dni, po jednym, dwa dziennie, aby nie wzbudzić podejrzeń.

Potrzebujemy co najmniej dwudziestu, by przetransportować załogi trzech garnizonów.

Oczywiście, pod warunkiem że uda się zdobyć wsparcie Dulanica, co znowu nas sprowadza do punktu wyjścia, czyli jak się dostać do pałacu. – Amos zaklął pod nosem. – Czy jesteś pewien, Książę, że nie chcesz tego wszystkiego rzucić w diabły i zostać korsarzem? – Wyraz twarzy Aruthy powiedział mu wyraźnie, że jego uwaga wcale nie rozbawiła Księcia. Amos westchnął ciężko. – Tak też myślałem.

– Amos, sprawiasz wrażenie, że doskonale znasz miasto od podszewki. Rusz głową, skorzystaj ze swego doświadczenia i wynajdź jakiś sposób, żebyśmy mogli się dostać do pałacu, choćbyśmy mieli czołgać się kanałami. Będę się rozglądał na rynku, może spotkam któregoś z ludzi Erlanda. Ty, Martin, musisz mieć po prostu uszy i oczy szeroko otwarte. Amos westchnął z rezygnacją.

– Przedostanie się do pałacu to ryzykowne zadanie, że już nie wspomnę o szansach powodzenia całego planu. – Wskazał kciukiem na pobliską świątynię. – Może dojść nawet do tego, że osobiście wdepnę na chwilę do świątyni Ruthii, by poprosić Panią Szczęścia, by zechciała obdarzyć nas swym uśmiechem.

Arutha wysupłał z mieszka złotą monetę i rzucił ją Amosowi.

– Odmów modlitwę także w moim imieniu. Do zobaczenia w tawernie.

Arutha zniknął w mroku. Amos wskazał ruchem głowy na świątynię Bogini Szczęścia.

– Martin, co byś powiedział na złożenie bogom jakiegoś daru, co?

Nocną ciszę przerwały dźwięki trąbek wzywających żołnierzy pod broń. Arutha pierwszy znalazł się przy oknie. Jednym ruchem rozchylił okiennice i wyjrzał w mrok.

Nieliczne światła rozświetlające ciemności uspionego miasta nie były w stanie przyćmić blasku na wschodzie. Amos podszedł do okna, a za nim podążył Martin.

– Obozowe ogniska, całe setki – powiedział Martin. Spojrzał w górę, wypatrując

położenia gwiazd na bezchmurnym niebie. – Do świtu dwie godziny.

– Guy szykuje armię do wymarszu – szepnął Arutha. Amos wychylił się mocno przez okno. Wyciągając szyję, mógł dostrzec skrawek portu. Na pokładach statków rozlegały się głośnie komendy.

– Wygląda na to, że szykują też statki. Arutha wsparł się obiema rękami na stole stojącym przy oknie.

– Guy wysłała piechotę na okrętach wzdłuż wybrzeża do Morza Snów, do Shamaty, a kawalerię wysła lądem na południe. Piechota dotrze na miejsce na tyle świeża i wypoczęta, że będzie w stanie wspomóc obronę, a konie nie będą chorowały po podróży morskiej. Obie armie powinny dotrzeć na miejsce prawie w tym samym czasie, może być dzień, dwa różnicy.

Jakby na potwierdzenie jego słów od wschodu dobiegł ich odgłos maszerujących żołnierzy. Po kilku minutach w perspektywie ulicy pojawiły się pierwsze oddziały piechoty Bas-Tyry. Arutha i jego towarzysze obserwowali z głębi pokoju, jak szeregi wojska maszerują przed otwartą bramą prowadzącą z dziedzińca gospody na ulicę. Kołyszące się w takt wybijanego nogami równego rytmu latarnie oświetlały kolumny żołnierzy niezwykłym światłem. Nad głowami oddziałów trzepotały na wietrze sztandary ze złocistym orłem.

– Są dobrze wyszkoleni – zauważył Martin.

– Można o Guyu powiedzieć wiele rzeczy, przeważnie niepochlebnych, ale jednego nie można mu odmówić: to najlepszy generał w całym Królestwie. Nawet mój ojciec byłby zmuszony to przyznać, chociaż poza tym nie powie o nim dobrego słowa. Gdybym był na miejscu Króla, niezwłocznie wyprawiłbym pod jego dowództwem Armie Wschodu przeciwko Tsuranim. Już trzykrotnie Guy wyruszał na Kesh i za każdym razem rozbijał ich wojska w puch. Nawet jeśli wojska Keshu nie wiedzą, że Guy nadciąga ze wschodu, już sam widok jego sztandarów na polu bitwy może sprowadzić ich do stołu rokowań. Czują przed nim ogromny

respekt i obawiają się go. – Arutha zamyślił się na chwilę. – Kryje się w tym jakaś tajemnica. Kiedy Guy został księciem Bas-Tyra, miało miejsce jakieś zdarzenie, które okryło go hańbą i niesławą; ojciec nigdy nie chciał powiedzieć, o co chodziło. To wtedy właśnie Guy zaczął ubierać się na czarno. Miało to być pewnego rodzaju symbolem czy coś w tym rodzaju. I stąd wzięło się jego przezwisko – Czarny Guy. Podobne okoliczności często idą w parze z przedziwną, osobistą odwagą. Można wszystko o nim powiedzieć, ale nikt nie zarzuci, że Czarny Guy du Bas-Tyra jest tchórzem.

U wylotu bramy widać było ciągnące się w nieskończoność kolumny żołnierzy. Arutha i jego towarzysze obserwowali to w milczeniu. W chwili, kiedy ostatni żołnierz zniknął w perspektywie ulicy portowej, wzeszło słońce.

Tego poranka, kiedy armia Guya wymaszerowała z Krondoru, Krondor został ogłoszony miastem zamkniętym. Bramy zamknięto przed nosem podróżnych, a port został zablokowany. Arutha uznał te działania za rutynowe i usprawiedliwione, aby uniemożliwić agentom Keshu opuszczenie miasta na szybkim statku lub konno, by uprzedzić swoich o wymarszu armii Guya. Amos wykorzystał wizytę na pokładzie Porannej Bryzy, żeby zbadać sytuację w porcie. Stwierdził, że blokada nie jest bardzo szczelna, Guy wysłał bowiem większość statków dalej w morze, gdzie czaiły się rozrzucone w odpowiednim szyku, wypatrując ewentualnego pojawienia się floty Keshu, na wypadek gdyby wróg dowiedział się, że Krondor został praktycznie pozbawiony obrony. Ulice miasta były teraz patrolowane przez oddziały straży miejskiej w barwach Guya, gdyż wszystkie jednostki krondorskie wymaszerowały już na północ. Wieść gminna niosła, że także obsada garnizonu w Shamata zostanie wysłana na północny front, kiedy tylko wojsko upora się z Keshem, co doprowadzi do sytuacji, w której wszystkie garnizony w prowincji będą obsadzone przez żołnierzy lojalnych wobec Bas-Tyry.

Arutha większość czasu spędzał na włóczeniu się po tawernach, miejscach uczęszczanych przez kupców i targowiskach, wypatrując znajomych twarzy z pałacu. Amos wałęsał się w okolicach nabrzeży portowych oraz w zakazanych regionach miasta, a szczególnie w dzielnicy biedoty, a także zaczął dyskretnie rozpytywać się o możliwość wydzierżawienia statków. Martin z kolei, wykorzystując przebranie prostego człowieka z głuszy leśnej, wciskał się w każde wyglądające obiecująco miejsce.

W ten sposób minął prawie tydzień. Nie udało im się zdobyć żadnej istotnej informacji.

Ale oto szóstego dnia od wyjścia armii Guya z Krondoru nastąpił gwałtowny zwrot sytuacji.

Arutha spacerował po ruchliwym placu targowym, kiedy niespodziewanie został zatrzymany przez Martina.

– Arthur! – krzyknął myśliwy i podbiegł do Aruthy. – Szybko! – powiedział zdyszczanym głosem i pociągnął go za sobą w stronę nabrzeża, do Spokojnej Przystani Żeglarza.

Dobiegli do oberży. Amosa zastali w ich pokoju. Odpoczywał na posłaniu przed nocną eskapadą do dzielnicy biedoty. Martin zamknął szybko drzwi.

– Chyba wiedzą, że Arutha jest w Krondorze. Amos zerwał się na równe nogi.

– Co? Jak to...? – krzyknął zduszonym głosem Arutha.

– Tuż przed obiadem zaniósł mnie do tawerny w pobliżu koszar. Teraz, kiedy wojska nie ma w mieście, ruch tam słabiutki. Kiedy już miałem wychodzić do środka, pojawił się jakiś człowiek. Jak się okazało po chwili, był to pisarz z kwatermistrzostwa. Aż go rozpierało, żeby podzielić się z kimś zasłyszanyimi plotkami, i szukał chętnego słuchacza. Udałem prostaka z lasu i okazałem szacunek tak wielkiej osobistości. Za pomocą wina zyskałem jego sympatię. Powiedział mi trzy rzeczy. Książę Dulanic zniknął z Krondoru tej nocy, kiedy odszedł Guy. Mówi się co prawda, że teraz, kiedy Guy został Wicekrólem, Dulanic zaszył się w jakimś nieznanym z imienia majątku na pomocy, lecz skryba kwatermistrza nie bardzo w to wierzył.

Druga wiadomość dotyczy śmierci pana Barry'ego.

Arutha podniósł gwałtownie głowę.

– Admirał Księcia nie żyje?

– Ten człowiek powiedział, że podobno Barry umarł w tajemniczych okolicznościach, chociaż nie przewiduje się wydania w tej kwestii oficjalnego oświadczenia. Jakiś pan ze wschodu, Jessup chyba, otrzymał dowództwo nad flotą Krondoru.

– Jessup to człowiek Guya – powiedział Arutha. – Dowodził jednostkami z Bas-Tyrą w królewskiej flocie.

– A po trzecie i najważniejsze, człowiek ten robił wielce tajemnicze miny i szepnął mi na ucho, że wie sporo o trwających w mieście poszukiwaniach kogoś, kogo nazwał „królewskim kuzynem Wicekróla”.

Amos zaklął szpetnie.

– Nie wiem gdzie i kiedy, ale ktoś cię musiał zauważyć. Teraz, gdy Erland i jego rodzina praktycznie są więźniami w pałacu, nie wydaje mi się, żeby przez ostatnie kilka dni plątał się po ulicach Krondoru jakiś królewski kuzyn, chyba że trzymasz jakichś na boku i nie nam o tym nie powiedziałaś.

Arutha zignorował wątpliwe poczucie humoru Amosa. W ciągu krótkiego czasu, gdy Martin przedstawiał swoje rewelacje, runęły w gruzy jego plany zdobycia pomocy dla Crydee. Miasto pozostawało pod absolutną kontrolą ludzi lojalnych wobec Guya lub takich, którym było zupełnie obojętne, kto rządzi w imieniu Króla. Nie miał w Krondorze nikogo, do kogo mógłby się zwrócić o pomoc. Poczul gorycz porażki. Nikt nie przyjdzie na odsiecz Crydee.

– No cóż – powiedział po cichu z rezygnacją w głosie. – Nie mamy innego wyjścia, trzeba najszybciej wracać do domu.

– To może nie być wcale takie łatwe – zauważył Amos. – W mieście dzieją się inne,

bardzo dziwne rzeczy. Odwiedziłem miejsca, gdzie zwykle bez specjalnego kłopotu można nawiązać kontakt z kimś, kto gotów jest omówić z tobą ciemne sprawy, lecz wszędzie, gdzie pytałem, a wierzcie mi, że robiłem to naprawdę dyskretnie i ostrożnie, napotykałem na nieprzebyty mur milczenia. Gdybym nie wiedział, że jest inaczej, można by pomyśleć, że Sprawiedliwy zamknął kram, a wszyscy Szydercy służą teraz w armii Guya. Jeszcze nigdy w życiu nie natknąłem się na taką kolekcję głuchoniemych barmanów, dziwek, które o niczym nie słyszały, żebraków, którzy nie mają do sprzedania nawet najmniejszej informacji, czy hazardzistów, którym nagle wyrwano język. Nie trzeba być wcale geniuszem, by stwierdzić, że ktoś szepnął stosowne słówko. Nikomu nie wolno gadać z obcymi, choćby transakcja wyglądała nie wiadomo jak obiecująco. Zatem nie mamy się do kogo zwrócić o pomoc, by uciec z miasta, a jeśli agenci Guya rzeczywiście wiedzą, że jesteś w Krondorze, nie będzie zniesienia blokady czy otwarcia bram miasta, aż cię znajdą, i to bez względu na to, jak głośno kupcy będą protestować.

– No to wpadliśmy po uszy – zgodził się Martin.

– Lecz jeśli ludzie Guya jedynie podejrzewają, że jestem w mieście, być może za jakiś czas znudzi im się szukanie igły w stogu siana.

– Tak, to prawda – powiedział Amos. – Aż czasem może i Szydercy otworzą się trochę. Gdyby się zgodzili pomóc, oczywiście za odpowiednią cenę, bądź tego pewien. Książę, zyskalibyśmy wszechwładnego sojusznika, przy którego pomocy moglibyśmy opuścić miasto. Arutha zwinął dłoń w pięść i z całej siły uderzył nią w materac.

– Niech szlag trafi tego Bas-Tyrę. Jakbym go teraz dorwał, obdarłbym go ze skóry własnymi rękami. Nie tylko naraża na niebezpieczeństwo zachodnie ziemie Królestwa, ale jeszcze prowokuje głębszy rozdźwięk między dwoma częściami, zagarniając pod swój sztandar to Księstwo. Jeżeli tylko coś się stanie Erlandowi czy komuś z jego rodziny, wojna domowa

gwarantowana.

Amos powoli pokręcił głową.

– Wszystko się wali. Cała nasza misja, wszystko, ale przecież nie z twojej winy, Arutha.

– Westchnął. – No, ale nie możemy poddawać się panice. Przecież nie da się wykluczyć, że nasz przyjaciel Martin źle zrozumiał tego skrybę w knajpie albo tamten po prostu plecie, co mu ślina na język przyniesie, bo lubi sam siebie słuchać. Musimy oczywiście zachować najdalej posuniętą ostrożność i rozwagę, ale nie możemy zerwać się i uciekać, gdzie pieprz rośnie.

Gdybyś zniknął nagle, wtedy dopiero mógłby to ktoś zauważyć. Najlepiej zrobisz, jak będziesz się trzymał blisko oberży, ale zachowuj się nadal tak, jakby się nic nie stało. Przynajmniej na razie. Ja nadal będę się starał dotrzeć do kogoś, kto znajdzie sposób na wydostanie się z miasta... może przemytnicy, jeśli nie Szyderycy.

Arutha podniósł się z posłania.

– Nie mam co prawda apetytu, ale co wieczór jedliśmy razem kolację w ogólnej sali, więc lepiej chodźmy już na dół.

Amos wskazał ręką, aby Arutha znowu usiadł.

– Zostań tu jeszcze trochę. Pójdę na nabrzeże i zajrzę na statek. Jeśli ten pisarczyk Martina nie plótl byle czego, z pewnością będą przeszukiwali statki w porcie. Muszę ostrzec Vasco i załogę, żeby w razie potrzeby byli gotowi czmychnąć za burtę i znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę dla twojej skrzyni. Do naprawy kadłuba na suchym lądzie nie przystąpią wcześniej jak za tydzień, musimy więc działać z rozwagą. Już kilka razy w życiu przedzierałem się przez blokadę. Inna rzecz, że wolałbym nie ryzykować takiej eskapady na pokładzie Porannej Bryzy z przeciekającym kadłubem, ale jeśli nie znajdziemy innego statku... – Kiedy był już przy drzwiach, odwrócił się do Martina i Aruthy. – Przed nami wzburzone wody, chłopcy, ale bywaliśmy już w gorszych opałach.



Arutha i Martin siedzieli spokojnie przy stole w kącie ogólnej sali, kiedy do środka wszedł Amos. Żeglarz przysunął sobie wolne krzesło i gromkim głosem krzyknął, aby podano piwo i jedzenie. Kiedy został obsłużony, nachylił się ku swym towarzyszom.

– Wszystko załatwione. Póki statek stoi na kotwicy, twoja skrzynia jest bezpieczna.

– Gdzie ją ukryłeś?

– Została szczelnie owinięta nasączonym oliwą płótnem i mocno przywiązana do kotwicy.

– Pod wodą? – Arutha popatrzył na Amosa z podziwem.

– Możesz sobie kupić nowe ubrania, a złoto i klejnoty przecież nie rdzewieją.

– Co z załogą? – spytał Martin.

– Narzekają i pomstują, że już kolejny tydzień stoją w porcie, a jeszcze nie zeszli na ląd, ale to porządne chłopaki, nie zawiodą.

Otworzyły się drzwi i do sali weszło sześciu mężczyzn. Pięciu zajęło wolne krzesła w pobliżu drzwi, szósty zaś rozglądał się bacznie po sali.

Amos syknął cicho.

– Widzicie tę szczurzą mordę przy drzwiach? To jeden z tych, którzy obserwowali statek przez ostatni tydzień. Wygląda na to, że byłem śledzony.

Nowo przybyły zauważył Amosa i podszedł do ich stołu. Miał prostacki wygląd i nijaki wyraz twarzy. Rudoblond włosy kłębiły się w nieładzie wokół głowy. Był ubrany w prosty, żeglarski strój. W rękach miętosił wełnianą czapkę i uśmiechał się przymilnie.

Amos skinął głową.

– Jeżeli jesteście kapitanem Porannej Bryzy, to chciałbym zamienić słówko.

Amos uniósł brew i nie odezwał się. Niedbałym gestem dłoni wskazał na wolne krzesło i mężczyzna usiadł.

- Mam na imię Radburn. Chciałbym się zamustrować. Amos rozejrzał się dookoła leniwym wzrokiem. Pięciu towarzyszy Radburna udawało, że nie patrzy w kierunku ich stołu.
- Dlaczego akurat na mój statek?
- Próbowałem szczęścia na innych, ale mają komplety. Pomyślałem, że nie zawadzi zapytać pana, kapitanie.
- Kto był twoim ostatnim kapitanem i dlaczego opuściłeś służbę?
- Radburn zaśmiał się przyjaźnie.
- No cóż, przyznaję, że ostatnio utknąłem na rok na barkach promowych, wożąc towary ze statków na brzeg. – Umilkł, kiedy zbliżyła się posługująca przy stołach dziewczyna. Amos zamówił następną kolejkę piwa. Kiedy postawiono przed Radburnem kufel, ten uśmiechnął się szeroko.
- Dzięki, kapitanie. – Pociągnął tęgi łyk i otarł usta wierzchem dłoni. – Zanim wpadłem na mieliznę i utknąłem na tych barkach, pływałem pod kapitanem Averym na pokładzie Bantaminy.
- Znam Małego Koguta i Avery'ego, chociaż nie widziałem go od czasu, kiedy po raz ostatni byłem w Durbinie, pięć czy sześć lat temu.
- No cóż, przyznaję, że popiłem kiedyś tego i kapitan powiedział mi, że nie będzie tolerował na pokładzie pijaków. Nie piję więcej niż inni, kapitanie, utrzymuję się w normie, że tak powiem, ale znasz kapitana Avery'ego, to abstynent, nie pije ani kropelki i jest naśladowcą Białego Sunga.
- Amos spojrzał na Martina i Aruthę, lecz nie odezwał się ani słowem.
- To twoi oficerowie, kapitanie? – spytał Radburn.
- Nie, partnerzy w interesach.
- Kiedy stało się jasne, że Amos nie zamierza rozwodzić się na ten temat, Radburn

przestał się interesować tym, kto jest kto.

– Przybyliśmy do miasta niecały tydzień temu – odezwał się w końcu Amos. – Byłem cały czas zajęty osobistymi sprawami, co tu słychać ostatnio?

Radburn wzruszył ramionami.

– Wojna trwa nadal. Kupcy są zadowoleni, reszta nie bardzo. No a teraz znowu ta sprawa z Keshem. Poprzednio kłopoty ograniczały się do Dalekiego Wybrzeża, lecz teraz... Jeżeli Wicekról nie przegoni tych psów z Keshu, może się okazać, że Kronдор nie jest wcale takim bezpiecznym miejscem. A poza tym, no cóż, zwykle plotki... – rozejrzał się sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje – a czasem niezwykle.

Amos podniósł kufel do ust, nic nie mówiąc.

– Od kiedy nastał w Krondorze Wicekról – zaczął po cichu – już nie jest tak, jak dawniej bywało. Uczciwy człowiek już nie może czuć się bezpiecznie na ulicach. Pełno tu się kręci łapaczy ze statków floty, łowców niewolników z Durbinu, sam nie wiem, którzy gorsi. Dlatego chcę się zaciągnąć na porządny statek, kapitanie.

– Łapacze z floty wojennej! – krzyknął wzburzony Amos. – Od trzydziestu lat nie było łapaczy w żadnym królewskim mieście.

– Zgoda, tak było kiedyś. Teraz czasy się zmieniły. Popije sobie trochę człowiek, nie znajdzie bezpiecznej przystani na noc, nadchodzą ludzie z gangu i już, lądujesz w lochu. To nie w porządku, panie. Fakt, że człowiek akurat zszedł z jednego statku, a nie znalazł sobie jeszcze następnego, nie daje nikomu prawa, by wysyłać go przymusowo na siedem lat w morze z flotą admirała Jessupa. Siedem lat tropienia i ścigania piratów albo użerania się z galerami wojennymi z Queg!

– Jak to jest, że Guy teraz rządzi w mieście? – Oczy Amosa zwięziły się w wąskie szparki. – Słyszałem przedziwne opowieści, ale nie mogę się w tym wszystkim połąpać.

– Oj, co prawda to prawda, kapitanie. – Radburn pokiwał głową ze zrozumieniem. –

Rzeczywiście, trudno się w tym połapać. Jakiś miesiąc temu do miasta wjeżdża książę Guy, a za nim jego armia. Flagi łopocą, bębny walą, no i tak dalej. Książę, jak mówią, pięknie go wita, gości w pałacu, chociaż Bas-Tyra przybywa z papierem od Króla, który czyni go Wicekrólem. Mówiono, że książę Erland nawet mu pomagał aż do chwili, kiedy doszły do niego słuchy o łapaczach i tak dalej. – Zniżył głos do szeptu i nachylił się jeszcze bardziej ku nim. – Słyszałem, że kiedy przyszedł do Guya poskarżyć się, ten go zwinął i zamknął na klucz w pokojach pałacowych. Mówią, że to bardzo ładne pokoje i w ogóle, ale jeżeli nie można wyjść, to tak samo jakbyś był w celi, no nie? Tak mówią na mieście.

Arutha poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Niewiele brakowało, by wybuchnął, ale Amos chwycił go mocno za ramię, nakazując wzrokiem milczenie.

– No cóż, Radburn, zawsze mi się przyda porządny chłop, który żeglował pod komendą kapitana Avery'ego. Wiesz co? Muszę dziś wieczorem jeszcze raz skoczyć na statek, a mam w pokoju trochę drobiazgów, które chcę mieć na pokładzie. Chodź, pomożesz mi je zanieść.

Amos wstał i nie dając mu czasu na sprzeciw, chwycił mocno pod ramię i poprowadzili go w stronę schodów. Arutha zerknął spod oka na grupkę przy drzwiach. Wyglądało na to, że nie zdążyli się zorientować, co się święci po drugiej stronie zatłoczonej sali. Amos wchodził po schodach, popychając przed sobą Radburna, a Martin i Arutha ruszyli za nimi.

Amos przemierzał szybkim krokiem korytarz, poganiając przed sobą Radburna. Kiedy tylko przekroczyli próg pokoju, okręcił go dookoła osi i z całej siły rąbnął pięścią w żołądek. Radburn zgiął się wpół. Brutalny cios kolaniem w twarz i rudzielec leżał na ziemi nieprzytomny.

– Amos, co ty wyprawiasz? – spytał Arutha.

– Ten facet łąze jak pies. Kapitan Avery jest napiętnowany w Keshu. Dwadzieścia lat

temu wydał zdradziecko kapitanów z Durbinu flocie z Queg. A on nawet nie mrugnął okiem, kiedy mu powiedziałem, że widziałem Avery'ego sześć lat temu w Durbinie. A poza tym zbyt otwarcie źle się wyraża o Wicekrólu. Jego historyjka śmierdzi na kilometr. Głowę daję, że jak tylko przekroczymy próg karczny w jego towarzystwie, będziemy mieli zaraz na karku kilkunastu łobuzów.

– Co robimy?

– Spadamy stąd. Jego kolesie za chwilę będą na górze. Wskazał na okno. Martin stanął na czatach przy drzwiach. Arutha jednym ruchem zdarł brudną zasłonę i otworzył okiennice.

– Rozumiecie teraz, dlaczego wybrałem ten właśnie pokój? – spytał Amos. Niecały metr pod oknem był dach przylegającej do budynku stajni.

Arutha wyskoczył na zewnątrz, a za nim Martin i Amos. Zsunęli się ostrożnie po stromym daszku i zatrzymali na jego krawędzi. Arutha nie zastanawiając się zeskoczył lekko, a w sekundę po nim uczynił to Martin. Amos z głuchym sieknięciem wylądował niezdarnie na ziemi, lecz nie ucierpiała przy tym jego godność osobista.

Usłyszeli gwałtowny kaszel i przekleństwo. Spojrzeli w górę. Z okna wystawała pokrwawiona twarz.

– Są na podwórzu! – krzyczał Radburn. Trojka uciekinierów ruszyła pędem ku bramie..

Amos zaklął szpetnie.

– Powiniennem być poderżnąć mu gardło. – Wybiegli przez wrota na ulicę. Amos chwycił gwałtownie Aruthę za ramię. Grupa rosłych pacholków pędziła ku nim. Arutha i jego towarzysze pobiegli w przeciwną stronę i po chwili zniknęli w ciemnym zaułku.

Gnali na łeb na szyję wąską uliczką pomiędzy ślepyimi ścianami domów. Przecięli zatłoczoną uliczkę, przewracając kilka wózków kramarzy, i wpadli w następny zaułek ścigani przekleństwami rozjuszonych straganiarzy. Biegli bez wytchnienia dalej, słysząc ciągle za sobą

odgłosy pościgu. Kluczyli wąskimi uliczkami, zaułkami i placami pogrążonego w mroku Krondoru.

Dobiegli do rogu i znaleźli się na długiej i wąziutkiej uliczce. Po obu stronach wznosiły się wysokie ściany domów. Amos pierwszy wypadł za róg. Dał znak, aby się zatrzymali. Nachylił się do Martina i Aruthy.

– Martin, pędź do końca i zobacz, co jest za rogiem – szepnął. – Arutha, ty leć w drugi koniec. – Wskazał ręką w kierunku przyćmionego światła. – Ja zostanę tu na straży. Gdybyśmy się rozdzielili, kierować się do statku. Szansę przedarcia się przez blokadę są mamę, ale gdyby wam się udało, każcie Vasco płynąć na Durbin. Złoto zapewni wam ochronę i naprawę statku. Potem wracajcie do Crydee. No już, nie ma was. Szybko!

Martin i Arutha popędzili w przeciwnych kierunkach, a Amos został na straży u wylotu uliczki. Nagle w wąwozie zaułka rozległy się głośnie okrzyki. Arutha zatrzymał się i obejrzał za siebie. Na drugim krańcu zobaczył niewyraźną w mroku sylwetkę Martina walczącego z kilkoma mężczyznami. Ruszył na pomoc.

– Arutha! Wracaj! Ja mu pomogę. Uciekaj! – powstrzymał go krzyk Amosa.

Arutha zawahał się przez moment, po czym zawrócił i pobiegł w kierunku majaczącej u wylotu poświaty. Dotarł do rogu, dysząc ciężko z wysiłku. Zatrzymał się gwałtownie, nieomal wpadając w poślizg na kostce bruku. Znalazł się na szerokiej, ruchliwej i jasno oświetlonej ulicy. Straganiarze stojący przy ozdobionych kolorowymi latarniami wózkach zachwalali głośno swoje towary mieszczanom, którzy wybrali się na wieczorną przechadzkę. Było ciepło jak na tę porę roku i nic nie zapowiadało rychłych opadów śniegu. Po ulicach przechadzał się gęsty tłum. Sądząc po wyglądzie sąsiednich domów i dostatnich strojach przechodniów, Arutha wywnioskował, że znalazł się w jednej z bogatszych dzielnic miasta.

Wmieszał się w tłum zmuszając się, aby iść spokojnym krokiem. Kiedy u wylotu

uliczki, którą przed chwilą opuścił, ukazało się kilka postaci, odwrócił się i zaczął udawać, że z zainteresowaniem ogląda stroje na straganie. Ściągnął z kołka jaskrawoczerwoną kapotę.

Założył sobie na plecy i naciągnął kaptur na głowę.

– Ej, ty tam, co ty wyprawiasz? – Usłyszał przy uchu ochrypły szept starucha o wysuszonej i pomarszczonej twarzy.

– Mój dobry człowieku – odparł Arutha nosowym głosem – chyba nie oczekujesz, że kupię to ubranie od ciebie, nie sprawdzisz przedtem, czy na mnie pasuje?

Uliczny kramarz, stanąwszy twarzą w twarz z potencjalnym klientem, błyskawicznie stał się obłudnie przyjazny.

– Ależ oczywiście, jaśnie panie, oczywiście. – Przekrzywił na bok głowę i obrzucił przymilnym wzrokiem Aruthę stojącego przed nim w fatalnie uszytej kapocie. – Leży jak ulał. Świetnie leży, a i kolor, za pozwoleniem wielmożnego pana, doskonale pasuje.

Arutha zerknął spod oka na ścigających go ludzi. Człowiek o imieniu Radburn, chociaż twarz miał pokrytą zakrzepłą krwią, a nos spuchnięty jak bania, stał na rogu i kierował dalszymi poszukiwaniami. Arutha poprawił na sobie obszerną, koszmarnie skrojoną i uszytą kapotę, która sięgała prawie do samej ziemi.

– Tak myślisz? Nie chciałbym pokazywać się na dworze, wyglądając jak jakiś włóczęga.

– Och, na samym dworze, wielmożny panie? Akurat tego ci trzeba. Dodaje elegancji i powagi, wierz mi na słowo.

– Ile to kosztuje? – Arutha patrzył ukradkiem, jak ludzie Radburna ruszają powoli, przeciskając się przez gęsty tłum i zaglądając do każdej tawerny czy sklepu. Druga grupka ruszyła w przeciwną stronę. U mrocznego wylotu uliczki pojawiło się więcej postaci. Radburn wydawał pośpieszne rozkazy. Zostawił kilku na miejscu, aby obserwowali ulicę, a sam z po-

zostałymi zawrócił.

– To najwspanialszy materiał tkany w samym Ran, panie. – rozgądał się sprzedawca. –

Nakładem wielkich kosztów został sprowadzony aż z wybrzeża Morza Królestwa. Nie mogę się pozbyć tego wykwintnego stroju za mniej niż dwadzieścia złotych talarów.

Arutha pobladł gwałtownie. Horrendalnie wysoka cena tak go wytrąciła z równowagi, że przez chwilę zapomniał, w jakiej znajduje się sytuacji.

– Dwadzieścia! – wrzasnął i natychmiast ściszył głos, kiedy przechodzący obok człowiek Radburna rzucił szybkie spojrzenie w jego kierunku. – Mój dobry człowieku – ciągnął dalej, zwracając się do przekupnia. – Nie wiem, czy zauważyłeś, ale ja chcę po prostu kupić ubranie, a nie ustanawiać roczną rentę dla twoich wnuków. – Człowiek Radburna odwrócił się i po chwili zniknął w kłębiącym się dookoła tłumie. – Przecież to prosta i zupełnie zwyczajna kapota. Uważam, że dwa talary to aż nadto.

Staruch spojrział na niego z boleścią w oku.

– Panie, czy chcesz mnie puścić z torbami? – powiedział płaczliwym głosem. – Serce mi krwawi, kiedy pomyślę, że mógłbym rozstać się z tym pięknym płaszczem za mniej niż osiemnaście talarów.

Targowali się zawzięcie jeszcze z dziesięć minut, aż w końcu Arutha odszedł z kapotą pod pachą po zapłaceniu ośmiu talarów i dwóch srebrnych groszy. Zapłacił dwa razy więcej, niż powinien był, ale dzięki temu szukający wytrwale ludzie Radburna zignorowali zupełnie klienta targującego się zawzięcie z ulicznym sprzedawcą, a to było warte nawet stukrotnie wyższej ceny.

Arutha szedł spokojnie ulicą i rozglądając się ukradkiem, sprawdzał co jakiś czas, czy nie jest śledzony. Niestety, nie znał zupełnie miasta, a po kluczeniu w czasie ucieczki zupełnie stracił orientację w terenie. Starał się trzymać bardziej uczęszczanych ulic i w pobliżu



większych grupek przechodniów wtapiał się w tłum.

Na rogu, kilka przecznic przed sobą spostrzegł mężczyznę stojącego z pozoru

bezczyinnie, lecz uważnie obserwującego przechodniów. Arutha rozejrzał się szybko.

Naprzeciwko znajdowała się tawerna. Nad wejściem pysznił się wymalowany jaskrawą farbą

gołąb. Szybko przeszedł na drugą stronę ulicy i odwracając twarz od czujki na rogu, zbliżył się

do drzwi. Sięgał już do klamki, kiedy czyjaś dłoń chwyciła go za poły kapoty. Odwrócił się

błyskawicznie, wyciągając do połowy miecz z pochwy. Tuż przed nim stał kilkunastoletni

chłopak ubrany w prostą, wielokrotnie łątaną kurtę i męskie spodnie z nogawkami obciętymi na

wysokości kolan. Miał ciemne, błyszczące oczy i umorusaną twarz, którą w tej chwili

rozjaśniał szeroki uśmiech.

– Nie tam, panie – powiedział wesoło.

– Zmykaj, chłopcze. – Arutha wsunął miecz do pochwy. – Nie mam teraz czasu na

dyskusje z żebrakami czy stręczycielami, nawet tak drobnej postury.

Uśmiech jeszcze bardziej rozjaśnił twarz chłopca.

– Skoro nalegasz, panie, ale tam w środku jest ich dwóch. Arutha zrezygnował z

nosowego akcentu i zaczął mówić normalnym głosem.

– Kto?

– Ludzie, którzy cię ścigali od tamtej bocznej uliczki. Arutha rozejrzał się. Wyglądało

na to, że chłopak jest sam. Spojrzał mu prosto w oczy.

– O czym ty mówisz, chłopcze?

– Widziałem, jak sobie radziłeś, całkiem nieźle. Szybki jesteś. Ale cały teren jest

obstawiony. Bez pomocy nie wyślizgniesz się im.

Arutha pochylił się nad małym.

– Kim jesteś?

Chłopak zamasztył ruchem odrzucił włosy z czoła.

– Na imię mam Jimmy. Pracuję w tej okolicy. Mogę cię stąd wyprowadzić, no... nie za darmo, oczywiście.

– A dlaczego sądzisz, że pragnę się stąd wydostać, co?

– Oj, panie, nie udawaj przede mną głupka jak przed tym handlarzem. W tej chwili twoją główną potrzebą, panie, jest zejść z oczu temu, kto gotów jest szczerze sypnąć groszem, jeśli mu wskażę miejsce twojego pobytu. Miałem już kiedyś do czynienia z Radburnem i jego ludźmi, więc bądź pewien, że obstaję raczej za tobą niż za nim. Pod warunkiem oczywiście, że jesteś gotowy dać więcej za swą wolność niż on za schwywanie ciebie.

– Znasz Radburna?

Jimmy uśmiechnął się szelmowsko.

– Nooo... nie aż tak bardzo, żeby o tym mówić, ale ubiliśmy już kilka interesów.

Aruthę uderzyło zimne wyrachowanie w zachowaniu chłopca, co było zupełnie obce jego rówieśnikom z Crydee. Stał oto oko w oko z wytrawnym wygą, który niejedno już widział i słyszał w zdradzieckich i niebezpiecznych zaułkach półświatka Kronodoru.

– Ile?

– Radburn zapłaci mi dwadzieścia pięć talarów za wskazanie ciebie, a pięćdziesiąt, jeśli wyjątkowo mu zależy na twojej skórze.

Arutha wyjął sakiewkę z kieszeni i wręczył chłopcu.

– Jest tam ponad sto talarów, chłopcze. Wyciągnij mnie stąd i zaprowadź do portu, a podwoję stawkę.

Przez dobrych kilka chwil chłopak mrugał z niedowierzaniem oczami, lecz ani na moment nie zrzucił maski szerokiego uśmiechu.

– Musiałeś nadepnąć na odcisk komuś bardzo ważnemu i wpływowemu. Idziemy.

Chłopak przysnął w tłum tak szybko, że Arutha nieomal stracił go z oczu. Mały przemykał się z wprawą między tłoczącymi się dookoła ludźmi, podczas gdy Arutha starał się uważać, aby ich nie potrącać.

Jimmy zaprowadził go w ciemny zaułek, kilka przecznic dalej. Po zrobieniu kilku kroków w głąb uliczki Jimmy zatrzymał się i odwrócił.

– Lepiej pozbądź się tej kapoty. Czerwony nie należy do moich ulubionych kolorów, kiedy staram się przemknąć gdzieś nie zauważony. – Arutha cisnął ubranie do pustej beczki. – Za chwilę będziemy w porcie. Jak się nadziejesz na kogoś nieodpowiedniego, pamiętaj, że jesteś sam, ja cię nie znam. Ale za tę drugą setkę zrobię, co będę mógł, aby doprowadzić cię na miejsce.

Przeciskali się ku końcowi alejki, która sądząc po wielkim nagromadzeniu śmieci, wyrzuconych sprzętów domowych, połamanych skrzyń, mebli i innych rupieci piętrzących się pod ścianami, nie była zbyt uczęszczana. Jimmy odciągnął na bok jedną ze skrzyń. Z tyłu ziała czarna dziura.

– No, to powinno nam pomóc prześlizgnąć się przez sieć Radburna, taką mam przynajmniej nadzieję.

Arutha, by pójść w ślady chłopca, który wpełzł zwinnie do środka, musiał zgiąć się wpół. Straszny smród bijący z dziury nie pozostawiał wątpliwości, że jakiś czas temu wczołgało się tam jakieś zwierzę i zdechło. Jakby czytając w jego myślach, Jimmy odwrócił się do Aruthy.

– Co parę dni wrzucamy tu zdechłego kota, żeby nieproszeni goście nie wtykali tu swoich długich nosów.

– My?

Jimmy zignorował pytanie i wytrwale posuwał się do przodu. Po kilkunastu krokach

wyszli po drugiej stronie na podobną, zawałoną śmieciami alejkę. U jej wylotu Jimmy kiwnął na Aruthę, aby się zatrzymał i poczekał na niego, sam zaś pobiegł wzdłuż ciemnego pasażu. Po chwili wrócił biegiem.

– Ludzie Radburna. Musieli wiedzieć, że podążasz w stronę portu.

– Damy radę prześliznąć się koło nich?

– Nie ma mowy. Pełno ich tam jak wszy na żebraku. – Chłopak ruszył w przeciwną stronę i Arutha podążył za nim. Minęli kolejny zaułek. Arutha zastanawiał się coraz częściej, czy zaufawszy chłopakowi, nie postawił na niewłaściwego konia. Po paru minutach szybkiego marszu Jimmy zatrzymał się.

– Znam w pobliżu jedno miejsce, gdzie mógłbyś się przycziąć aż do chwili, gdy znajdę kogoś, kto pomoże mi przeszmuglować cię na statek. Ale to cię będzie kosztowało więcej niż stówkę.

– Doprowadź mnie na statek przed świtem, a dam ci tyle, ile zażadasz.

Jimmy uśmiechnął się szeroko, szczerząc zęby.

– Hm... mogę poprosić o bardzo wiele. – Przypatrywał się Anicie przez dłuższą chwilę, po czym kiwnął krótko głową i ruszył przed siebie. Arutha podążył za nim. Szli krętymi i wąskimi uliczkami, zagłębiając się coraz bardziej w trzewia miasta. Gwar uliczny cichł powoli za plecami. Wchodzili w rejony rzadziej uczęszczane nocą. Wygląd budynków dookoła świadczył dobitnie, że zbliżali się do kolejnej uboższej dzielnicy miasta, chociaż jeśli Arutha był w stanie ocenić kierunki, nie znajdowali się tak blisko portu jak poprzednio.

Kilka ostrych zakrętów w ciemne zaułki i Arutha zupełnie stracił orientację.

Niespodziewanie Jimmy zatrzymał się i odwrócił do niego.

– No, jesteśmy na miejscu. – Otworzył jedyne drzwi w ślepej ścianie domu i wszedł do środka, a za nim Arutha. Wspinali się długo po stromych schodach.

Jimmy prowadził pewnie do drzwi na końcu korytarza, na samej górze. Otworzył je i dał znak, aby Arutha wszedł do środka. Arutha zrobił krok i stanął jak wryty. Prosto w jego brzuch mierzyły ostrza trzech mieczów.

# UCIECZKA

Mężczyzna dał znak, aby Arutha wszedł do środka.

Siedział przy niewielkim stole naprzeciwko drzwi. Pochylił się ku światłu bijącemu od małej lampy na stole.

– Proszę wejść.

Plama światła wydobywała z mroku podziobaną dziurami po ospie twarz zakończoną wielkim, haczykowatym nosem. Jego przenikliwy wzrok ani na moment nie opuścił twarzy Aruthy, kiedy trzech mężczyzn z mieczami w dłoniach cofnęli się, robiąc mu przejście. Arutha zawahał się na moment, gdy spostrzegł leżących w kącie pod ścianą Martina i Amosa, byli skrepowani i nieprzytomni. Kapitan jęknął i poruszył się lekko. Martin leżał nieruchomo. Arutha ocenił dystans dzielący go od trzech uzbrojonych ludzi. Jego dłoń powolutku powędrowała w stronę rękojeści rapiera. Kiedy jednak poczuł na plecach ostrze sztyletu, natychmiast porzucił zamiar odskoczenia i dobytcia broni. Z tyłu wysunęła się czyjaś ręka i uwolniła go od ciężaru rapiera.

Jimmy wysunął się przed Aruthę. Chowając pieczołowicie sztylet w luźnych fałdach swego ubrania, przyglądał się z wielką ciekawością broni Księcia.

– Widziałem już kilka razy podobne. Jest na tyle lekki, że sam mógłbym go używać.

– Zważywszy na okoliczności – wtrącił sucho Arutha – nie byłoby chyba nie na miejscu, gdybym zapisał ci go w spadku... niech ci służy, synu.

– Patrzcie go, żarty się go trzymają – powiedział ospowaty. – Nie bądź taki sprytny.

Jeden z uzbrojonych mężczyzn wprowadził Aruthę dalej. Drugi odłożył na bok miecz i związał mu ręce na plecach, po czym pchnął go brutalnie na krzesło naprzeciwko siedzącego mężczyzny.

– Ja jestem Aaron Kucharz. Poznałeś już Jimmy'ego Rączkę, prawda? – Wskazał na

chłopaka. – Pozostali trzej wolą na razie pozostać anonimowi.

Arutha spojrział zdziwiony na chłopaka.

– Jimmy Rączka?

Chłopak dość zgrabnie wykonał dworski ukłon.

– Najlepszy kieszonkowiec w Krondorze, mocno zaawansowany na drodze kariery, by stać się także najlepszym złodziejem w mieście. Gdyby, oczywiście, ktoś chciał przyjąć za dobrą monetę jego własną ocenę. No tak, ale teraz przejdźmy do rzeczy. Kim jesteś?

Arutha wyrecytował historyjkę o tym, że jest partnerem Amosa w interesach, że nazywa się Arthur i tak dalej. Przez cały czas Kucharz słuchał uważnie, patrząc na niego ze stoickim spokojem. Westchnął z rezygnacją i dał znak jednemu z mężczyzn, a ten podszedł do Aruthy i uderzył go w twarz. Jego głowa aż odskoczyła w tył od siły uderzenia, oczy zaszkliły się z bólu.

– Mój przyjacielu, Arthurze – powiedział Aaron Kucharz, kiwając powoli głową. –

Możemy podejść do tej naszej rozmowy w dwojaki sposób. Radziłbym ci serdecznie, abyś raczej nie wybierał trudniejszej wersji. Jest ona nad wyraz nieprzyjemna, a w końcu i tak się dowiemy wszystkiego, co chcemy wiedzieć. Zastanów się więc dobrze nad swoją odpowiedzią.

– Powstał, obszedł stół i stanął przed nim.

– Kim jesteś?

Arutha ponownie zaczął opowiadać wyuczoną historyjkę. Człowiek, który go uderzył, zbliżył się ponownie i uderzył go po raz kolejny. Człowiek zwany Kucharzem schylił się nad nim tak, że jego twarz znalazła się na wysokości twarzy Aruthy. Księżę gwałtownie mrugał oczami, aby uwolnić je od napływających łez.

– Przyjacielu, powiedz nam to, czego chcemy się dowiedzieć. A teraz, by niepotrzebnie nie marnować czasu – wskazał za siebie na Amosa – wierzymy, że ten tam jest kapitanem

twego statku, ale partnerem w interesach... nie wydaje mi się. Drugi facet włóczył się po tawernach udając, że jest myśliwym z gór. To chyba nie maskarada. Rzeczywiście chyba dużo lepiej zna góry niż ulice miasta, ma wygląd, który, wierz mi, bardzo trudno podrobić. – Przez dłuższą chwilę przyglądał się z uwagą twarzy Aruthy. – Lecz ty... ty jesteś przynajmniej żołnierzem, a drogie buty i wspaniałe rapier wskazują dobitnie, żeś szlachetnie urodzony. To chyba jednak nie wszystko... – Spojrzał głęboko w oczy więźnia. – No dobra, krótko: dlaczego ta mała, Radburn, tak bardzo chce cię dorwać?

– Nie wiem. – Arutha spojrział mu prosto w oczy. Człowiek, który go bił, ruszył w ich kierunku, lecz Kucharz powstrzymał go ruchem ręki.

– Być może to prawda. Zachowywaliście się jak głupcy. Wszędzie was było pełno, nieustanne włóczenie się wokół bramy pałacowej, udawanie głupka... albo jesteście kiepskimi szpiegami, albo beznadziejnymi głupcami. Nie ma jednak wątpliwości, że wzbudziliście zainteresowanie ludzi Wicekróla, a więc i nasze.

– Kim jesteście?

– Radburn jest wyższym oficerem w tajnej policji Wicekróla. – Kucharz zignorował pytanie. – Mimo tej swojej otwartej, uczciwej twarzy to jeden z najbardziej niewzruszonych i okrutnych sukinsynów, jakimi bogowie w swej łaskawości zechcieli obdarzyć padół ziemski. Bez mrugnięcia okiem, wręcz z radością wydarłby żywcem serce swej własnej babce, gdyby podejrzewał, że staruszka nie traktuje z należytą powagą tajemnicy państwowej. Fakt, że sam bierze udział w akcji, świadczy o tym, że przynajmniej potencjalnie uważa cię za bardzo ważną osobistość.

Dzień czy dwa po waszym przybyciu dowiedzieliśmy się, że trzech mężczyzn myszkuje po mieście, a kiedy doszło do naszych chłopców, że ludzie Radburna mają was na oku, postanowiliśmy uczynić to samo. Gdy po paru dniach otworzyli sakiewkę i gotowi byli



sypnąć groszem temu, kto dostarczy o was informacji, nasze zainteresowanie wzrosło w dwójnasób. Na razie wystarczyło nam trzymanie was na oku i czekanie na wasz ruch.

Lecz gdy ta mała Radburn i jego zbiry pojawili się w Spokojnej Przystani Żeglarza, zostaliśmy zmuszeni do działania. Zwinęliśmy Radburnowi sprzed nosa tych dwóch, lecz jego osiłki weszły pomiędzy nas a ciebie. Nie było więc innego wyjścia, jak tylko odstawić schwytanych w bezpieczne miejsce. A potem mieliśmy po prostu szczęście. Jimmy natknął się na ciebie zupełnie przypadkiem, nie miał wtedy pojęcia, że postanowiliśmy cię zwinąć. – Kiwnął z uznaniem w stronę chłopaka. – Chwacko się sprawiłeś, sprowadzając go tutaj. – Obserwowałem to wszystko ze szczytu dachów. – Jimmy zaśmiał się głośno. – Kiedy złapaliście tych dwóch, od razu zorientowałem się, że i tego też chcecie.

Jeden z mężczyzn zaklął.

– Lepiej, mały, nie podskakuj za bardzo. Czekaj na swoją kolej, aż przyjdzie polecenie od Mistrza Nocy.

Kucharz podniósł rękę do góry i mężczyzna zamilkł.

– Teraz już nie ma znaczenia, że dowiesz się, iż niektórzy z nas tutaj to Szydercy... lecz nie wszyscy. Jesteśmy wszyscy zaangażowani w przedsięwzięcie najwyższej wagi. Arthur, chciałbym, abyś dobrze zrozumiał to, co powiem. Masz jedyną szansę wyjścia stąd żywym, a jest nią nasze przekonanie, że nie będziesz stanowił zagrożenia dla sprawy, o której wspominałem. Być może zainteresowanie Radburna tobą jest przypadkowe i nie ma wielkiego związku z innymi sprawami, którymi się interesuje. Nie można także wykluczyć, że pewne wątki są wspólne i kryje się za nimi na razie niewidoczny, „układający się w spójną całość wzór. Tak czy siak, dojdziemy w końcu do prawdy. Jeśli to, co powiesz, rozwieje nasze wątpliwości, uwolnimy cię, a być może nawet pomożemy tobie i twym towarzyszom, jeśli nie, zginiesz. A teraz zacznij od początku. W jakim celu przybyłeś do Krondoru?

Arutha zastanawiał się przez chwilę. Kłamiąc, niewiele zyska, co najwyżej ból, a w końcu śmierć. Z drugiej strony jednak, nie miał zamiaru wyjawiać całej prawdy. Nie był do końca przekonany, że ludzie ci nie pracowali dla Guya. Przecież mógł to być przemyślany plan, a Radburn siedział w sąsiednim pokoju z uchem przy ścianie. Po dłuższym namyśle zdecydował, co powinien powiedzieć.

– Jestem agentem z Crydee. Zostałem wysłany, by spotkać się osobiście z księciem Erlandem i Dulanikiem i prosić ich o pomoc w walce z powodu zbliżającej się ofensywy Tsuranich. Kiedy dowiedzieliśmy się, że kontrolę nad miastem przejął Guy du Bas-Tyra, zdecydowaliśmy, że najpierw rozejrzemy się trochę, by zorientować się lepiej w sytuacji przed podjęciem konkretnych kroków.

Kucharz słuchał uważnie.

– Dlaczego emisariusz z Crydee miałby się wkradać cichcem do miasta? Dlaczego nie przybył ze sztandarami i całą pompą, by być powitany z honorami?

– Bo zanim by się zdążył obrócić, Guy wsadziłby go do ciemnicy, głupku.

Kucharz odwrócił się błyskawicznie. Amos siadał, z trudem opierając się o ścianę.

Kręcił głową na wszystkie strony.

– Kucharzu, chyba rozwaliłeś mi czaszkę. Aaron Kucharz spojrzał twardo na Amosa.

– Znasz mnie?

– A tak, ty morski szurze z mózgiem jak ziarnko piasku. Znam cię. Znam cię na tyle dobrze, żeby nie puścić pary z ust, dopóki nie sprowadzisz tu Trevora Hulla.

Aaron Kucharz wstał od stołu z niepewnym wyrazem twarzy. Dał znak jednemu z mężczyzn stojących przy drzwiach, po nim też było widać, że usłyszawszy słowa Amosa, poczuł się nieswojo. Mężczyzna skinął głową w stronę Kucharza i wyszedł z pokoju. Wrócił po kilku minutach w towarzystwie innego mężczyzny. Nowo przybyły był wysoki i chociaż gęste

włosy miał już mocno przyprószone siwizną, był jeszcze krzepki i energiczny. Długa szrama o poszarpanych brzegach biegła od czoła poprzez prawe, zmatowiałe i niewiążące oko w dół policzka. Przyglądał się przez chwilę Amosowi, po czym ryknął głębokim, niepowstrzymanym śmiechem, wskazując jednocześnie na pojmany.

– Rozwiążcie ich.

Dwóch mężczyzn dźwignęło z trudem Amosa na nogi i pośpiesznie uwolniło z pęt.

Kiedy sznury opadły na podłogę, Amos spojrzał na nowo przybyłego.

– Myślałem, że cię powiesili całe wieki temu, Trevor. Rozbawiony Trevor walnął Amosa w plecy.

– To samo myślałem o tobie, Amos.

Kucharz patrzył na Trevora pytającym wzrokiem. Po chwili rozwiązano Aruthę, a

Martina ocucono chluśnięciem wody w twarz. Człowiek zwany Trevorem Hullem spojrzał na Kucharza.

– Co ty, Kucharzu, zgłupiałeś na starość czy co? Ludzi nie poznajesz? Zapuścił brodę i sściął swoje słynne, długie loki. Na górze ubyło mu nieco włosów, za to pod brzuchem przybyło, ale przecież to ten sam stary kapitan Amos Trask.

Kucharz przypatrywał się z uwagą Amosowi. Po chwili oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

– Kapitan Trenchard?

Amos kiwnął głową i Arutha spojrzał na niego ze zdumieniem. Nawet w dalekim Crydee słyszeli przecież o Trenchardzie Piracie, słynnym Sztylcie Mórz. Jego kariera była krótka, lecz znana w całym świecie. Mówiono powszechnie, że nawet wojenne galery z Queg zawracały w popłochu, kiedy na horyzoncie pojawiała się flota Trencharda. Wszystkie miasta na wybrzeżach Morza Gorzkiego żyły w ciągłej bojaźni przed jego zbirami.

Aaron Kucharz wyciągnął dłoń.

– Przepraszam, kapitanie. Całe lata minęły od czasu, kiedyśmy się widzieli po raz ostatni. Nie mogliśmy wiedzieć, czy nie uczestniczycie w knowaniach Radburna, który chce nas wytropić za wszelką cenę.

– Kim jesteście? – powtórzył pytanie Arutha.

– Wszystko w swoim czasie – odparł Trevor. – Chodźcie, Jeden z nich pomógł wstać Martinowi, który ciągle chwiał się na nogach. Kucharz i Trevor zaprowadzili ich do bardziej wygodnego i przytulnego pokoju, gdzie starczyło krzeseł dla wszystkich. Kiedy wszyscy usiedli, Amos rzucił okiem na Aruthę i Martina.

– Ten stary łobuz to Trevor Hull, kapitan Białooki, dowódca Czerwonego Kruka.

– Już nie, Amos, już nie. – Hull pokręcił ze smutkiem głową. Cesarska marynarka Keshu spaliła go doszczętnie trzy lata temu w pobliżu Elarial. Mój pierwszy, Kucharz i paru chłopców zdołało dotrzeć jakoś ze mną do brzegu. Reszta załogi poszła na dno razem z Czerwonym Krukiem. Wróciliśmy do Durbinu, lecz czasy się zmieniają. Wojna i w ogóle. Do Kronodoru dotarliśmy jakiś rok temu i od tego czasu pracujemy tutaj.

– Pracujemy? Co ja słyszę, Trevor, ty pracujesz? Mężczyzna uśmiechnął się, a jego blizna na policzku zmarszczyła się.

– Mały szmugielek, jeśli chodzi o ścisłość. W ten sposób skumaliśmy się z Szydercami.

Niewiele można zdziałać w Kronodorze w tym interesie, jeśli nie masz przyzwolenia Sprawiedliwego. Kiedy Wicekról przybył do Kronodoru, zaczęły się potyczki z Radburnem i jego tajną policją. Od samego początku deptał nam po piętach. Te chwytaki poniżej pasa – strażnicy przebrani za prostych chłopków ze wsi węszących w każdym kącie miasta – to nieuczciwe.

– Od razu wiedziałem, że powinienem mu wtedy, kiedy miałem ku temu okazję, poderżnąć gardło – mruknął pod nosem Amos. – Następnym razem nie będę taki cholernie

cywilizowany i uprzejmy.

– Robisz się powolny, Amos, co? Tydzień temu dostaliśmy cynk od Sprawiedliwego, że chce wysłać z miasta jakiś cenny ładunek. Musieliśmy się uzbroić w cierpliwość, dopóki nie przygotują właściwego statku. Radburn dałby wszystko, by położyć łapę na naszym towarze, zanim ten opuści Krondor. Jak widzisz, sytuacja jest nad wyraz delikatna. Nie możemy tego wywieźć z miasta, dopóki nie zniosą blokady lub do czasu, kiedy znajdziemy kapitana z blokady, którego da się przekupić. Kiedy doszły nas wieści, że wasza trójka kręci się po mieście, zadając różne pytania, z początku myśleliśmy, że to jakiś wielki plan Radburna, by zlokalizować nasz ładunek. Teraz, gdy sytuacja się wyjaśniła, chciałbym mimo wszystko usłyszeć dokładniejszą odpowiedź na pytanie Kucharza. Dlaczego emisariusz z Crydee miałby się obawiać, że zostanie odkryty przez ludzi Wicekróla?

– Podśluchiwało się, co? – Amos odwrócił się do Aruthy, który skinął głową. – To nie jest zwykły emisariusz, Trevor. Nasz młody przyjaciel to książę Arutha, syn księcia Borrica. Oczy Aarona Kucharza zrobiły się okrągłe jak spodki, a człowiek, który uderzył Aruthę, zbladł jak papier. Trevor Hull pokiwał głową ze zrozumieniem. – To by się zgadzało, Wicekról byłby gotów szczerze zapłacić, gdyby tylko mógł położyć łapę na synu swego starego wroga, szczególnie teraz, kiedy nadchodzi czas, by przepchnąć uznanie swoich praw przed kongresem.

– Jakich praw? – spytał Arutha. Hull pochylił się, wspierając łokcie na kolanach.

– No tak, przecież nie możecie nic o tym wiedzieć. Do nas samych wieści dotarły zaledwie parę dni temu. Nie mówi się jeszcze o tym szeroko. No ale... nie mogę nic powiedzieć bez pozwolenia.

Wstał i wyszedł z pokoju. Arutha i Amos wymienili pytające spojrzenia, po czym Książę zwrócił się do Martina.

– Jak się czujesz?

Martin dotknął ostrożnie głowy.

– Dojdę jakoś do siebie, chociaż rąbnęli mnie zdrowo. Czym mnie załatwili, pniem sosny?

Jeden z siedzących uśmiechnął się prawie przyjaźnie, przeprasząc i poklepał pieszczotliwie drewnianą pałkę zatknietą za pas.

– Oj, co prawda, to prawda, moja przyjaciółeczka przemawia twardym głosem.

Hull powrócił po paru chwilach, lecz nie sam. Mężczyźni znajdujący się w pokoju wstali jak na komendę. Amos, Arutha i Martin rozejrzeli się zdziwieni i powoli zrobili to samo.

Za Hullem pojawiła się młoda, najwyżej szesnastoletnia dziewczyna. Aruthę uderzyły oznaki jej przyszłej, wielkiej urody. Ogromne szmaragdowe oczy, prosty i delikatnie zarysowany nos oraz kształtne usta. Na jasnej skórze widoczne były drobniutkie piegi. Wysoka i szczupła poruszała się z wdziękiem. Przeszła przez pokój, podeszła do Aruthy, wspięła się na palce i lekko go pocałowała w policzek. Arutha popatrzył na nią otwartymi szeroko ze zdumienia oczami. Dziewczyna cofnęła się z uśmiechem na ustach. Miała na sobie prostą, ciemnoniebieską suknię. Rudo-kasztanowe włosy opadały na ramiona.

– No tak – powiedziała po chwili milczenia – ależ jestem głupia. Przecież mnie nie znasz. Widziałam cię, kiedy byłeś ostatnio w Krondorze, ale nie spotkaliśmy się. Jestem twoją kuzynką, Arutha, mam na imię Anita, a moim ojcem jest Erland.

W Aruthę jakby grom strzelił. Nie dość, że uroda dziewczyny poruszyła go do głębi a piękny uśmiech i jasne spojrzenie zupełnie wytrąciły z równowagi, to teraz dowiadywał się, że jest jego kuzynką, a do tego przebywa w towarzystwie bandziorów. Usiadł powoli, ona zaś zajęła miejsce na sąsiednim krześle. Arutha był tak przyzwyczajony do braku formalności na dworze swego ojca, że gdy usłyszał, jak dziewczyna zezwala innym, aby usiedli, zdumiał się

bardzo.

– Jak? – zaczął Arutha.

– Cenny ładunek Sprawiedliwego? – przerwał mu Amos. Hull pokiwał tylko głową, a Księżniczka zaczęła mówić z nagle zachmurzoną twarzą.

– Kiedy księżę Bas-Tyra przybył tu z rozkazami od Króla, ojciec powitał go ciepło i nie sprzeciwiał się. Z początku ojciec robił wszystko, co było w jego mocy, by umożliwić mu objęcie dowodzenia armią, lecz gdy dowiedział się, co Guy wyprawia, posługując się tajną policją i gangami łapaczy, złożył oficjalny protest. Następnie, kiedy po śmierci pana Barry'ego Guy, wbrew opinii ojca, ustanowił dowódcą floty pana Jessupa, pan Dulanic zaś zniknął w tajemniczych okolicznościach, ojciec wysłał list do Króla, żądając w nim, by Guy został odwołany. Bas-Tyra przechwycił to pismo, a nas kazał zamknąć pod kluczem w jednym ze skrzydeł pałacu. Potem zaś, którejs nocy, Guy przyszedł do mojego pokoju...

Wzdrygnęła się. Arutha nie wytrzymał i wybuchnął.

– Nie musisz opowiadać o takich rzeczach! – krzyknął. Gwałtowny wybuch gniewu zaskoczył dziewczynę.

– Nie, Arutha, to nie tak. Zachowywał się bardzo poprawnie, sztywno i wręcz formalnie. Poinformował mnie po prostu, że zostaniemy małżeństwem i że król Rodne mianuje go następcą tronu Kronodoru. Sprawiał wrażenie, że taki plan działania denerwuje go.

Arutha uderzył pięścią w ścianę za sobą.

– No to wszystko jasne! Guy przymierza się do korony Erlanda, a potem Rodrica. On chce zostać Królem!

– Na to wygląda. – Anita spojrzała na Aruthę nieśmiało. – Ojciec nie czuje się najlepiej i nie mógł się bronić, chociaż odmówił złożenia podpisu pod aktem zaręczynowym. Guy kazał go wtrącić do lochu i ma tam przebywać aż do chwili, kiedy zgodzi się podpisać. – Oczy zaszły

jej łzami. – Ojciec nie pożyje długo w zimnym i mokrym lochu. Boję się, że zanim się złamie i spełni wolę Guya, umrze. – Z najwyższym trudem starała się opanować, lecz kiedy mówiła o uwięzieniu ojca i matki, łzy płynęły jej ciurkiem po twarzy. – Któregoś dnia jedna z moich dam do towarzystwa powiedziała, że służąca zna w mieście kogoś, kto być może zechce nam pomóc.

– Za pozwoleniem, Wasza Wysokość – wtrącił się Hull. – Jedna z dziewcząt w pałacu jest siostrą Szydery. Kiedy wieści o uwięzieniu szeroko się rozeszły, Sprawiedliwy zdecydował, że włączając się może tę sytuację obrócić na własną korzyść. W nocy, kiedy Guy wymaszerował z wojskiem z miasta, zorganizował przeszmuglowanie Księżniczki z pałacu. Od tamtej pory jest z nami.

– Zatem pogłoski o poszukiwaniu „królewskiego kuzyna”, które dotarły do nas tuż przed ucieczką z oberży, dotyczyły Anity, a nie Aruthy – powiedział Amos.

Hull wskazał na Księcia.

– Być może Radburn i jego osiłki ciągle jeszcze nie mają pojęcia, kim jesteś naprawdę.

Prawdopodobnie dobrali się do was w nadziei, że okażecie się współorganizatorami ucieczki Księżniczki. Ponieważ panienka zniknęła z zamku już po jego wymarszu, jesteśmy prawie pewni, że Wicekról nic o tym nie wie. Sądzę, że Radburn za wszelką cenę chce ją sprowadzić z powrotem, zanim jego pan wróci z wojny z Keshem.

Arutha przyglądał się Księżniczce z uwagą i czuł, jak rośnie w nim nieprzewyciężone pragnienie, by coś dla niej uczynić, i to wcale nie po to, by pokrzyżować plany Guya.

Odepchnął dziwne, nie znane mu dotąd uczucie. Zwrócił się do Trevora Hulla.

– W jaki sposób Sprawiedliwy chce z nim walczyć? Dlaczego nie odda jej po prostu w zamian za sowy nagrodę?

Trevor spojrział w stronę Jimmy'ego Rączki. Chłopak uśmiechnął się szelmowsko.



– Mój mistrz i pan, najbardziej przewidujący człowiek, jakiego znam, od razu dostrzegł, że pomoc udzielona Księżniczce najlepiej służyć będzie jego interesom. Od czasu, kiedy Erland został księciem Krondoru, interesy w mieście idą dobrze i gładko, co stwarza sprzyjające warunki dla powodzenia licznych przedsięwzięć mego mistrza. Bo widzisz, panie, stabilność sytuacji jest dobra dla wszystkich. Kiedy pojawił się Guy, a wraz z nim tajna policja, wprowadziło to zamęt w interesach naszego cechu. Ale przede wszystkim jesteśmy lojalnymi i oddanymi poddanymi Jego Wysokości księcia Krondoru. Jeśli nie chce on, aby jego córka poślubiła Wicekróla, to również nie jest to naszym życzeniem. – Wybuchnął śmiechem i dodał: – A poza tym Księżniczka zgodziła się wypłacić mistrzowi dwadzieścia pięć tysięcy talarów w złocie, gdyby cechowi udało się wydostać ją z miasta. Pieniądze te mamy otrzymać, kiedy jej ojciec powróci na tron lub inne zrządzenie losu sprawi, że sama na nim zasiądzie. Arutha wziął jej dłoń w swoją.

– No cóż, kuzynko, nic więcej nie możemy na razie zrobić. Przy pierwszej nadarzącej się okazji musimy zabrać cię do Crydee.

Anita uśmiechnęła się do niego i Arutha stwierdził z niejakim zdziwieniem, że odpowiedział jej tym samym.

– Jak już powiedziałem wcześniej – odezwał się Trevor

– czekaliśmy na odpowiedni moment, aby przesznułować ją przez granice miasta. –

Zwrócił się do Amosa. – Amos, ty się najlepiej do tego nadajesz. Na Morzu Gorzkim nie ma drugiego takiego specjalisty od przedzierania się przez blokadę jak ty, oczywiście poza mną, ale ja muszę się zająć na miejscu innymi sprawami.

– Przez kilka najbliższych tygodni nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Nawet gdyby dzisiaj jeszcze zniesiono blokadę, i tak nie mogę wyjść w morze. Mój statek wymaga poważnej naprawy. A poza tym, jeśli dziś jeszcze podnieśliśmy kotwicę i tak musielibyśmy się

pokręcić po tych wodach, dopóki pogoda się nie polepszy. Mając na karku flotę Jessupa czającą się u wybrzeży, byłoby to ryzykowne. Wolę tu poczekać jakiś czas. Potem szybki skok na zachód przez cieśniny i bez zwłoki w górę Dalekiego Wybrzeża.

– Dobra, to mi się podoba. – Hull klepnął go w plecy.

– Będziemy mieli więcej czasu. Słyszałem co nieco o twym statku. Chłopcy mówią, że to stara krypa, właściwie trochę tylko lepsza niż barka. Znajdziemy ci coś innego. Zawiadomię twoich chłopaków na pokładzie, gdy nadejdzie właściwy moment. Najprawdopodobniej Radburn, mając nadzieję, że w końcu będziesz się musiał pojawić na statku, zostawi załogę w spokoju. Przemycimy ich nocami na nowy statek, po kilku naraz, i zastąpimy moimi chłopakami, żeby Radburn nie zauważył zmiany na pokładzie.

– Wasza Wysokość – zwrócił się do Aruthy – tutaj będziecie w miarę bezpieczni. Dom ten jest jednym z wielu w posiadaniu Szyderców i nikt się do niego nie zbliży bez uprzedniego ostrzeżenia. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, wydostaniemy was wszystkich z miasta. A teraz idźcie do waszego pokoju i odpocznijcie trochę.

Arutha, Martin i Amos zostali zaprowadzeni do pomieszczenia w drugim końcu korytarza. Anita wróciła do swojego pokoju. Pokój, do którego weszli, był prosty, ale starannie utrzymany i czysty. Wszyscy trzej byli bardzo zmęczeni. Martin zwałił się ciężko na jedno z posłań i natychmiast zasnął jak kamień. Amos usiadł powoli, obserwowany spod oka przez Aruthę. Uśmiechnął się lekko.

– Kiedy po raz pierwszy przybyłeś do Crydee, pomyślałem, że jesteś piratem.

Amos z trudem ściągał but z nogi.

– Prawdę powiedziawszy. Wasza Wysokość, to chciałem wtedy zerwać z przeszłością.

– Parsknął śmiechem. – Być może była to zemsta bogów na mnie. Przez piętnaście lat, a zacząłem jako chłopiec, byłem korsarzem i kapitanem, a potem, kiedy po raz pierwszy w życiu

próbuję zarobić uczciwym handlem, mój statek zostaje napadnięty i spalony, załoga wyrznięta w pień, a mnie los wyrzuca na brzeg gdzieś na krańcach Królestwa.

Arutha położył się na posłaniu.

– Byłeś dobrym doradcą, Amosie Trask, oraz oziębłym i walecznym towarzyszem.

Pomagając nam przez tych kilka lat, zyskałeś wiele przebaczenia za złe uczynki z przeszłości, ale z drugiej strony – potrząsnął głową z niedowierzaniem – Trenchard Pirat! Na bogów, człowieku, tyle jest jeszcze do przebaczenia.

Amos ziewnął szeroko i przeciągnął się.

– Kiedy wrócimy do Crydee, możesz mnie kazać powiesić, Arutha, ale teraz, miej litość nade mną – przymknij się łaskawie i zgaś światło. Robię się już za stary na te wszystkie wygłupy, potrzebuję snu.

Arutha wyciągnął rękę i zasłonił płomień lampy. Długo jeszcze leżał w ciemności, a pod czaszką kłębiły się myśli i dziwne wizje. Myślał o ojcu i o tym, co on by zrobił, będąc na jego miejscu. Zastanawiał się, co się dzieje z bratem i siostrą. Myśli o Carline przypomniały Rolanda, a z nim rozważania nad tym, jak postępują prace przy umacnianiu fortyfikacji w Jonril. Siłą woli odpędził natrętne myśli pozwalając, by umysł odpoczął. Tuż przed pogrążeniem się w głębokim śnie przypomniawszy sobie nagle, jak Anita wspięła się na palce, by pocałować go w policzek, i natychmiast poczuł dziwne drżenie serca. Na jego wargach pojawił się delikatny uśmiech, po czym zapadł w sen.

Anita klasnęła w dłonie z uznaniem, gdy Arutha odbił w bok ostrze miecza Jimmy'ego.

Złodziejaszek zaczerwienił się aż po uszy, wstydząc się swojej niezdarności.

– Tym razem było już trochę lepiej – pochwalił go Arutha.

Książę i Jimmy ćwiczyli podstawy szermierki. Jimmy za złoto, które otrzymał od

Księcia, kupił sobie rapier. Już od miesiąca zabijali czas, ćwicząc codziennie, podczas gdy

Anita zapamiętała im kibicowała. Za każdym razem, kiedy Księżniczka była w pobliżu, zwykle pewny siebie Jimmy Rączka stawał się dziwnie cichy, a do tego czerwienił się jak rak, ilekroć Anita przemówiła do niego. Arutha był pewien, że złodziejasek padł ofiarą najbardziej fatalnego zauroczenia Księżniczką, która była starsza od niego tylko o trzy lata. Arutha dobrze rozumiał duchowe cierpienia chłopaka, ponieważ sam czuł się w jej towarzystwie dość nieswojo. Przekroczywszy niedawno próg kobiecości, dziewczyna nosiła się z wdziękiem i dostojeństwem wyuczonym na dworze. Była bardzo bystra i wykształcona, a jej dziewczęca uroda zdradzała oznaki przyszłej dojrzałej piękności. Arutha stwierdzał coraz częściej, że o wiele łatwiej myśli mu się o wszystkim innym niż o Księżniczce.

Piwnica, w której ćwiczyli szermierkę, była wilgotna i kiepsko wentylowana, więc wkrótce zrobiło się duszno i jeszcze bardziej wilgotno.

– Wystarczy na dzisiaj, Jimmy. Ciągle jeszcze jesteś zbyt niecierpliwy, zbyt szybko dążysz do zakończenia walki. Jesteś bardzo szybki i wczesnie zacząłeś nauki. To bardzo dobrze, ale pamiętaj, że w przeciwieństwie do nieco starszych od ciebie jeszcze nie masz tej siły w rękach, która jest niezbędna do zadania mocnego ciosu. Nie wolno ci o tym zapominać, szczególnie jeżeli walczysz rapierem, bo to może się okazać fatalne w skutkach. Pamiętaj, ostrze służy do cięcia...

– ...a końcówka do zabijania – dokończył Jimmy z nieśmiałym uśmiechem na ustach. –

Rozumiem teraz, dlaczego trzeba być ostrożnym, kiedy się walczy z przeciwnikiem uzbrojonym w miecz. Jeżeli spróbuję zablokować jego cios, a nie odparować, może złamać mi klingę. Ale co trzeba zrobić, jeśli stanie się twarzą w twarz z jednym z tych obcych wojowników? Opowiadałeś, że mają takie wielkie miecze?

Arutha roześmiał się wesoło.

– Wtedy będziesz mógł praktycznie przekonać się, który z was biega szybciej. – Śmiech

Anity dołączył do rehotu Jimmy'ego i Aruthy. – A poważnie mówiąc – ciągnął dalej Arutha – musisz trzymać się trochę z boku. Przeciwnik uzbrojony w wielki miecz może za jednym zamachem zadać tylko jeden cios, a wtedy masz otwartą pozycję...

Otworzyły się drzwi i do środka weszli Amos, Martin i Trevor Hull.

– Niech to szlag trafi... upraszam o wybaczenie Waszą Księżęcą Wysokość... stało się najgorsze, Arutha – zawołał Amos zdenerwowanym głosem.

Arutha otarł ręcznikiem pot z czoła.

– Nie stój tak czekając, aż zgadnę. Co się stało?

– Dziś rano otrzymaliśmy wiadomość. Guy wraca do Krondoru. – powiedział Trevor.

– Dlaczego? – spytała Anita.

– Wygląda na to – powiedział Amos – że nasz pan z Bas-Tyra wjechał do Shamaty jak nóż w masło i wkrótce było po wszystkim, a na murach powiewał już jego sztandar.

Komendant z Keshu zdobył się co prawda na jeden kontratak, ale tylko po to, by uratować swój honor. Zaraz potem omal nie dostał raptury, tak pędził z powrotem do domu. Zostawił kilku swoich ze szlachty, żeby się wyklócali z oficerami Guya o warunki zawieszenia broni, zanim opracuje się tekst formalnego traktatu pomiędzy Królem a Cesarzową Keshu. Może być tylko jeden powód, dla którego Guy tu śpieszy.

– Dowiedział się o mojej ucieczce – powiedziała cicho Anita.

– Tak, Wasza Wysokość – odpowiedział Trevor. – Czarny Guy jest chytry i podstępny.

Musiał mieć swojego człowieka w oddziałach Radburna. Wygląda na to, że nawet własnej tajnej policji nie darzy zbyt wielkim zaufaniem. Bogom niech będą dzięki, że nadal mamy w pałacu ludzi, którzy są lojalni wobec twego ojca, w przeciwnym razie nie wiedzielibyśmy o zmianie sytuacji.

Arutha usiadł koło Księżniczki.

– No cóż, musimy szybko zniknąć z Krondoru. Popłyniemy albo do domu, albo do Ylith, by dotrzeć do ojca.

– Wybór właściwie żaden. – Amos westchnął głęboko. – Nie wiadomo, który kierunek gorszy. Oba mają plusy i minusy.

– Nie wydaje mi się, by obóz wojenny Księcia był odpowiednim miejscem dla młodej kobiety. – Martin spojrzął na dziewczynę.

Amos usiadł obok Aruthy.

– Twoja obecność w Crydee nie jest niezbędna, przynajmniej nie w tej chwili. Fannon i Gardan doskonale sobie poradzą, a gdyby zaszła potrzeba, to i twoja siostra może się okazać niezgorszym komendantem. Powinni utrzymać wszystko pod kontrolą równie sprawnie i dobrze jak ty sam.

Martin podszedł do nich.

– Arutha, musisz sobie postawić jedno pytanie: co uczyni ojciec, gdy dowie się, że Guy nie rządzi w Krondorze jako doradca i pomocnik Erlanda, lecz ma tu władzę absolutną, że nie wyśle odsieczy na Dalekie Wybrzeże i że chce przechwycić tron?

Arutha pokiwał gwałtownie głową.

– Tak, masz rację, Martin. Znasz ojca dobrze. To oznacza wojnę domową. – Na twarzy pojawił się smutek. – Wycofa połowę Armii Zachodu i pomaszeruje ku wybrzeżu, na Krondor. I nie spocznie, dopóki głowa Guya nie zostanie zatknięta na kiju u bram miasta. A wtedy nie będzie już odwrotu. Będzie musiał ruszyć na wschód przeciwko Rodricowi. I chociaż nie pragnie korony dla siebie, kiedy zacznie, nie będzie mógł przerwać aż do osiągnięcia pełnego zwycięstwa lub porażki. To oznacza z kolei, że prędzej czy później utracimy Ziemię Zachodu na rzecz Tsuranich. Brucal z połową armii nie utrzyma się długo.

– Wojna domowa to fatalna sprawa... – wtrącił Jimmy. Arutha pochylił się i oparł łokcie

na kolanach. Otarł pot z czoła i popatrzył na zebranych spod mokrych kosmyków włosów.

– Nie mieliśmy żadnej od dwustu pięćdziesięciu lat, kiedy to pierwszy Borric zgładził swego przyrodniego brata, Jona Pretendenta. W porównaniu z tym, co teraz by nas czekało, kiedy ruszą na siebie Armie Wschodu i Zachodu, to tylko drobna potyczka.

Amos popatrzył na Aruthę z troską na twarzy.

– Historia nie należy do moich mocnych stron, lecz wydaje mi się, że najlepiej uczynisz, jeżeli utrzymasz ojca w nieświadomości co do rozwoju wydarzeń aż do zakończenia wiosennej ofensywy Tsuranich.

Arutha westchnął głęboko.

– Nie pozostaje mi nic innego. Wiemy, że Crydee nie otrzyma pomocy. Zdecyduję, co robić po powrocie. Być może do spółki z Fannonem i innymi uda się wymyślić jakiś plan obrony, zanim Tsurani znowu ruszą. – Mówił zrezygnowanym, bezbarwnym głosem. – Ojciec i tak dowie się o knowaniach Guya w swoim czasie. Trudno utrzymać w tajemnicy takie wieści. Możemy mieć jedynie nadzieję, że dotrą do niego już po kampanii Tsuranich. Zresztą, być może, do tego czasu i tu sytuacja ulegnie zmianie. – Ton, jakim wypowiedział te słowa, wskazywał jednak, że Arutha nie uważa, aby było to prawdopodobne.

- Nie możemy wykluczyć, że Tsurani zdecydują się na atak na Elvandar lub ruszą przeciwko wojskom ojca. Któż to może wiedzieć? – powiedział Martin.

Arutha odchylił się w tył na oparcie krzesła i dopiero w tym momencie zauważył, że dłoń Anity spoczywa delikatnie na jego ręku.

– Stanęliśmy przed strasznym wyborem – powiedział po cichu. – Albo musimy się liczyć z utratą Crydee i całego Dalekiego Wybrzeża na rzecz Tsuranich, albo pogрузić Królestwo w odmętach wojny domowej. Zostaliśmy chyba znienawidzeni przez bogów.

Amos powstał.

– Trevor mówi, że znalazł statek. Za kilka dni możemy wyruszyć. Jeśli będziemy mieli szczęście, kiedy dotrzemy do Cieśnin, pogoda już się ustabilizuje.

Zatopiony w ponurych myślach o własnej porażce, Arutha ledwie go usłyszał. Przecież przybył do Kronodoru taki pewny siebie. Miał zdobyć poparcie Erlanda dla swojej sprawy i ocalić Crydee przed Tsuranimi. A teraz? Teraz stanął twarzą w twarz z sytuacją o wiele bardziej dramatyczną, niż gdyby w ogóle nie ruszał się z domu. Wszyscy zostawili go w spokoju z wyjątkiem Anity, która po prostu siedziała przy nim w milczeniu.

Ciemne sylwetki posuwały się bezszelestnie w stronę portu. Trevor Hull prowadził kilkunastu ludzi wraz z Arutha i jego towarzyszami wymarłą i cichą uliczką. Szli ostrożnie, trzymając się ścian domów. Arutha co parę kroków oglądał się za siebie sprawdzając, jak sobie radzi Anita. Za każdym razem odpowiadała mu dzielnym uśmiechem, ledwo widocznym w mroku przed świtem.

Arutha wiedział, że przyległymi ulicami posuwa się ponad stu ludzi, którzy przeczesywali teren sprawdzając, czy nie ma ludzi Radburna. Szydercy stawili się w wielkiej liczbie, by Arutha i inni mogli bezpiecznie opuścić miasto. Poprzedniej nocy Trevor przyniósł wiadomość, że Sprawiedliwemu udało się załatwić za spore pieniądze, aby jeden ze statków blokady „zdryfował” nieco ze swojej pozycji. Gdy Sprawiedliwy poznał prawdziwy stan rzeczy, włącznie z planami Guya objęcia książęcego tronu Kronodoru, zaangażował natychmiast wcale niemałe środki, by pomóc w ucieczce Księciu i Anicie. Anita nie raz, nie dwa zastanawiała się w duchu, czy komuś spoza Cechu Złodziei uda się kiedyś poznać prawdziwą tożsamość ich tajemniczego przywódcy. Z kilku przypadkiem zasłyszanych strzępów rozmowy Arutha wywnioskował, że tylko kilku Szyderców wiedziało, kim jest Sprawiedliwy.

Mając na karku rychły powrót Guya, ludzie Radburna dosłownie wpadli w szal poszukiwań. Wprowadzono w mieście godzinę policyjną. W środku nocy przeszukiwano domy



na chybił trafił. Wszyscy znani w Krondorze kapusie, informatorzy, żebracy i pospolici roznosiciele plotek zostali zaciągnięci do lochów, gdzie ich nieustannie przesłuchiowano. I nawet jeśli ludziom Radburna udało się z nich coś wyciągnąć, to i tak nie dowiedzieli się o miejscu ukrycia Księżniczki. I nie miało absolutnie żadnego znaczenia, jak bardzo mieszkańcy miasta obawiali się Radburna, strach przed Sprawiedliwym był bowiem stokroć większy.

Anita usłyszała, jak Trevor szepcze coś do Amosa.

– Ten statek już nieraz przerywał blokadę. Nazywa się Rączy Koń i ta nazwa świetnie do niego pasuje. Poza nielicznymi statkami wojennymi z floty Jessupa, które uczestniczą w blokadzie, nie ma w porcie szybszego statku. Powinieneś mieć niezły czas, płynąc na zachód. Przez większość trasy będzie dobry wiatr, wieje równo, głównie z pomocy.

– Trevor, pływałem trochę po Morzu Gorzkim i jak wszyscy dobrze wiem, jakie wiatry występują o tej porze roku.

– Dobra, radź sobie, jak potrafisz. – Hull prychnął gniewnie, – Twoi ludzie i złoto Księcia są bezpieczni na pokładzie. Psy Radburna niczego chyba nie zauważyły. Jak kot wpatrzony w mysia dziurę, ani na chwilę nie spuszczają z oka Porannej Bryzy, Rączego Konia zostawili w spokoju. Załatwiliśmy u agenta lewe papiery świadczące, że jest na sprzedaż, więc nawet gdyby nie było blokady, nie przyszłoby im do głowy, że w najbliższym czasie wyjdzie z portu.

Dotarli do nabrzeża i pośpieszyli do czekającej łodzi. W pewnej chwili dotarł do ich uszu przytłumiony hałas. To Szyderycy i przemytnicy pozbywali się czujek Radburna, pomyślał Arutha.

Nagle z tyłu rozległy się krzyki. Ciszę poranka rozdarł szcęk stali.

– Do łodzi! – krzyknął Trevor.

Dał się słyszeć łomot ciężkich buciorów na deskach nabrzeża, a po chwili wrzawa

pościgu. Z sąsiadujących z portem uliczek i zaułków wypadały niezliczone rzesze Szyderców, rzucając się na każdego, kto by chciał powstrzymać uciekających.

Dobiegli do przystani i czekającej u podnóża drabiny łodzi. Arutha pozostał na górze, aż Anita znalazła się bezpiecznie na jej pokładzie, potem odwrócił się, by zejść na dół. Postawił już stopę na górnym szczeblu, kiedy usłyszał zbliżający się szybko tętent kopyt. Przez tłum Szyderców przedzierał się oddział konnych. Jeźdźcy w czerni i złocie Bas-Tyry cięli mieczami usiłujących ich powstrzymać złodziejasków i przemytników.

Martin krzyknął z łodzi i Arutha szybko zszedł na dół. Zeskoczył z wysokości kilku ostatnich szczebli.

– Szczęśliwej podróży! – rozległ się okrzyk. Anita spojrzała w górę. Ponad krawędzią nabrzeża ujrzeli bladą twarz Jimmy'ego Rączki. Na jego ustach igrał nerwowy uśmiezek. Arutha nie miał pojęcia, jak chłopakowi udało się dołączyć do nich, kiedy wszyscy myśleli, że jest bezpieczny w kryjówce. Dotarło nagle do niego, że chłopak nie jest uzbrojony. Odpiał szybko rapier i cisnął w górę.

– Niech ci służy!

Ręka Jimmy'ego wysunęła się w przód błyskawicznie jak atakujący wąż i chwyciła broń, po czym równie szybko Jimmy zniknął im z oczu.

Marynarze z całych sił naporli na wiosła i łódź pomknęła po falach portu. Wrzawa bitewna nasilała się z każdą chwilą. Na nabrzeżu pojawiały się coraz to nowe światła zapalanych latarń. Mimo bardzo wczesnej pory słyszeli, jak wartownicy pilnujący statków i towarów krzyczą: „Co się dzieje?”, „Stój, kto idzie?”. Anita spoglądała przez ramię, obserwując z ciekawością wydarzenia za plecami. Coraz więcej latarń. Nagle na nabrzeżu buchnął ogień. Podpalono bele czegoś, co trzymane było pod nieprzemakalnym brezentem. Siedzący w łodzi mogli wyraźnie obserwować walkę. Wielu złodziei uciekało w

popłochu w boczne uliczki. Inni skakali w lodowate wody portu. Arutha wyteżał wzrok, ale nigdzie nie mógł dojrzeć ani siwowłosej sylwetki Trevora, ani drobnej postaci Jimmy'ego Rączki. Ujrzał za to nagle postać Radburna ubranego jak poprzednio w prostą kurtę. Podeszedł on do krawędzi nabrzeża i patrzył za oddalającą się łodzią. Wskazał na uciekinierów mieczem i wykrzyknął coś, co zginęło w ogólnej wrzawie.

Arutha odwrócił się. Anita siedziała obok niego. Kaptur odrzuciła na plecy. Jej twarz była wyraźnie widoczna w blasku płomieni na brzegu. Wpatrywała się zafascynowana w rozgrywające się przed nią wydarzenia, nie zdając sobie sprawy z tego, że została odkryta. Arutha gwałtownie nasunął jej kaptur na głowę, wrywając brutalnie z zauroczenia, lecz wiedział, że było za późno. Obejrzał się na powrót ku nabrzeżu, gdzie Radburn wysyłał swoich ludzi w pościg za wycofującymi się Szydercami. Stał przez chwilę samotnie, aby zniknąć w mroku w momencie, kiedy łódź podpłynęła do burty Rączego Konia.

Kiedy tylko znaleźli się na pokładzie, załoga Amosa rzuciła liny i popędziła w górę, na olinowanie, by postawić żagle. Rączy Koń zaczął powoli wychodzić z portu.

Po chwili ich oczom ukazała się przerwa w blokadzie i Amos skierował statek w tamtą stronę. Przemknęli się, zanim ktokolwiek zdążył przeciąć im drogę, i po paru minutach znaleźli się na otwartym morzu.

Arutha poczuł, jak zalewa go fala przedziwnej lekkości. Wyrwali się z Kronodoru.

Nagle, tuż za sobą, usłyszał przekleństwo Amosa.

– Patrz!

W złudnej poświacie przedświtu ujrzał, w miejscu gdzie wskazywał Amos, szary kształt. Królewski Gryf, trzymasztowy okręt wojenny, który widzieli, wchodząc do Kronodoru, stał na kotwicy poza falochronem, niewidoczny z miasta.

– Myślałem, że jest razem z flotą Jessupa. A niech go szlag trafi! – złościł się Amos. –

Radburn, ty przebiegła świnio! Kiedy tylko dotrze na jego pokład, zaraz zaczniesz deptać nam po piętach. – Krzyknął, by natychmiast postawiono wszystkie żagle, a potem patrzył na oddalający się wielki statek. – Odmówię modlitwę do Ruthii, Wasza Wysokość. Jeżeli uda nam się zyskać teraz na czasie, zanim przygotują statek i ruszą za nami w pościg, będziemy mieli szansę im uciec. Potrzebne nam są jednak wszystkie zasoby szczęścia, jakie Bogini Szczęścia ma w zapasie i jakimi zechce nas w łaskawości swej obdarzyć.

Ranek był pogodny i zimny. Amos i Vasco patrzyli z uznaniem na uwijającą się załogę.

Mniej doświadczeni marynarze zostali zastąpieni nowymi, których osobiście dobierał Trevor Hull. Wykonywali swoje obowiązki bardzo sprawnie i dokładnie i Rączy Koń mknął lekko po falach na zachód.

Anitę zaprowadzono do kabiny pod pokładem, a Martin i Arutha towarzyszyli

Amosowi na pokładzie. Obserwator na bocianim gnieździe meldował co jakiś czas, że horyzont jest nadal czysty.

– Nasze szczęście wisi na włosku. Książę. Jeżeli udało im się przygotować tę bestię do

drogi najszybciej, jak to możliwe, zyskaliśmy najwyżej godzinę czy dwie przewagi. Oczy-

wiście są szansę, że ich kapitan obierze niewłaściwy kurs, lecz ponieważ zauważyli z

pewnością, że chcieliśmy uniknąć statków z blokady Jessupa, założę się, że popłyną wzdłuż

wybrzeży Keshu i raczej zaryzykują spotkanie z ich statkiem wojennym, niż mieliby

zrezygnować z pościgu. Nie odetchnę, dopóki nie odskoczymy od nich o dwa dni drogi.

Jednakże nawet jeśli ruszyli od razu, będą się zbliżali do nas bardzo powoli. Zatem do

chwili, kiedy będziemy mieli pewność, że nas spostrzegli, proponuję, aby wszyscy trochę

odpoczęli. Idźcie pod pokład. Jeżeli coś się będzie działo, zawołam.

Arutha skinął głową i odszedł, a Martin podążył za nim. Arutha życzył Łowczemu

dobrego wypoczynku i odprowadził go do drzwi kabiny, którą Martin dzielił z Vasco. Sam

wszedł do swojej i stanął zdumiony na progu. Na koi siedziała Anita. Zamknął powoli drzwi.

– Myślałem, że śpisz w swojej kabinie.

Pokręciła lekko głową. Po sekundzie zerwała się na równe nogi, przebiegła

błyskawicznie dzielącą ich przestrzeń i przytuliła się mocno do Aruthy, kładąc mu głowę na piersi. Całe jej ciało drżało i łkała spazmatycznie.

– Tak bardzo się starałam być dzielna, Arutha, ale przez cały czas tak strasznie się bałam...

Księżę stał przez chwilę nieporadnie nie wiedząc, co począć. Po chwili objął ją delikatnie. Pewna siebie poza legła w gruzach i do Aruthy dopiero teraz dotarło, jak była jeszcze młoda. Zdobyte na dworze wychowanie i opanowanie pomogło jej przetrwać ten miesiąc w towarzystwie Szyderców, lecz teraz maska opadła, napięcie okazało się zbyt wielkie.

– Wszystko będzie dobrze. No, już dobrze, dobrze.... Stali przytuleni, a on pocieszał ją i dodawał otuchy, nie bardzo sobie zdając sprawę z tego, co mówi, ponieważ jej bliskość rodziła w nim niepokój. Była jeszcze wystarczająco młoda, by mógł ją oceniać jak dziewczynę, lecz z drugiej strony, na tyle dorosła, by podać ten osąd w wątpliwość. W przeciwieństwie do Rolanda nigdy nie potrafił przekomarzać się lekko i żartobliwie z młodymi kobietami na dworze. Zawsze wolał otwartą, poważną rozmowę, co sprawiało, że trzymały się od niego na dystans. A poza tym nigdy nie przyciągał ich uwagi jak Lyam, przystojny, z jasnymi włosami i wesołym spojrzeniem na świat. Wszystko razem sprawiało, że w towarzystwie kobiet zazwyczaj czuł się niezręcznie i nieswojo, a w towarzystwie tej kobiety czy raczej dziewczyny – nie mógł jeszcze zdecydować – szczególnie nieswojo.

Kiedy łzy przestały płynąć po policzkach, podprowadził ją do jedynej krzesła w kabinie i posadził. Sam usiadł na koi. Pociągnęła nosem.

– Przepraszam, takie zachowanie nie uchodzi. Arutha wybuchnął nagle śmiechem.

– Ależ z ciebie dziewczyna! – krzyknął z prawdziwym uczuciem. – Gdybym ja był na twoim miejscu... ucieczka z pałacu, ukrywanie się pośród morderców i złodziei, wymykanie się szpiclom Radburna... dawno już bym nie wytrzymał z nerwów.

Wyciągnęła z rękawa małą chusteczkę i z gracją wytarła nos. Uśmiechnęła się.

– Dziękuję za słowa pociechy, ale wydaje mi się, że trzymałbyś się o wiele lepiej.

Martin wiele mi o tobie opowiadał w ciągu ostatnich sześciu tygodni. Z jego słów wynika, że jesteś bardzo odważny.

Arutha zmieszał się.

– Wielki Łowczy ma skłonność do przesady – powiedział, zdając sobie sprawę, że to nieprawda, i szybko zmienił temat. – Amos mówi, że jeśli w ciągu najbliższych dwóch dni nie ujrzymy ścigających, to wygraliśmy, będziemy wolni.

– To dobrze. – Spuściła wzrok. Pochylił się i otarł pojedynczą łzę, która pojawiła się niespodziewanie na jej policzku. Poczł zakłopotanie i cofnął rękę.

– W Crydee będziesz z nami bezpieczna, z daleka od knoń Guya. Zobaczysz, moja siostra powita cię jak najmilszego gościa.

Uśmiechnęła się słabo.

– Wiem, ale martwię się ciągle o ojca i mamę. Arutha starał się za wszelką cenę ukoić jej obawy.

– Teraz po twojej ucieczce z Krondoru Guy nic nie może zyskać, robiąc krzywdę rodzicom. Może wymusić na ojcu zgodę na twój ślub z nim, lecz nawet jeśli Erland ulegnie, nic to teraz nie znaczy. Zaręczyny, kiedy ty będziesz poza jego zasięgiem, to tylko puste słowo.

Nie martw się, zanim wszystko się zakończy, wyrównamy rachunki z drogim kuzynem Guyem.

Westchnęła, a na jej ustach pojawił się radośniejszy uśmiech.

– Dziękuję, Arutha. Pocieszyłeś mnie i już mi trochę ulżyło.

– Spróbuj teraz przespać się trochę. Na razie przeniosę się do twojej kabiny. – Wstał.

Uśmiechnęła się ciepło i położyła na jego koi. Zamknął za sobą drzwi. Odzyskał niespodziewanie siły i odechciało mu się spać. Wyszedł na pokład. Amos stał przy sterniku ze wzrokiem utkwionym w horyzont za burtą. Arutha podszedł do niego.

– Tam, na horyzoncie, widzisz? – spytał kapitan. Arutha zmrużył oczy i po chwili dostrzegł maciupenką, białą plamkę na tle niebieskiej połaci nieba.

– Radburn?

– Ano chyba tak. – Amos splunął za rufę. – Przewaga, jaką zyskaliśmy, ciągle maleje.

Jak jednak mówi stare porzekadło, pościg za rufą to długi pościg. Jeżeli utrzymamy wystarczająco duży dystans, może będziemy mogli wymknąć się im w nocy... pod warunkiem że chmury zakryją księżyc, bo inaczej będą nas widzieli jak na dłoni.

Arutha nic nie odpowiedział i dalej wpatrywał się w maleńką plamkę na horyzoncie.

Przez cały dzień obserwowali z napięciem, jak ścigający ich statek powoli stawał się coraz większy. Z początku działało się to z doprowadzającą niemal do szału powolnością, lecz teraz, odwrotnie, biała plamka z godziny na godzinę rosła w oczach. Arutha rozpoznawał już wyraźne zarysy żagli, a nie jak poprzednio zamazaną, białawą masę. Na szczycie głównego masztu czernił się malutki punkcik, niewątpliwie flaga Guya.

Amos obserwował słońce zachodzące na wprost dziobu Rączego Konia, a potem ścigający ich okręt. Zadarł głowę i krzyknął w stronę bocianiego gniazda.

– Rozpoznajesz już?

– Wojenny trzymasztowiec, kapitanie.

– Tak, to Królewski Gryf. – Amos spojrzał na Aruthę.

– Doścignie nas o zachodzie słońca. Gdybyśmy tak mieli chociaż dziesięć minut więcej albo gdyby pogoda się zmieniła, jakieś chmury, mgła... albo gdyby byli choć odrobinę

wolniejsi...

– Co możemy zrobić?

– Niewiele. Przy takich wiatrach jest na tyle szybszy, że nie zdołamy ich zgubić

żadnymi specjalnymi manewrami. Gdybym spróbował zwrotu, kiedy się zbliży, mógłbym trochę zwiększyć dystans, bo chociaż obaj wytracilibyśmy szybkość, oni odpadaliby przez pewien czas szybciej. Jednak potem, natychmiast po wyrównoważeniu statku mielibyśmy ich znowu na karku. Ale taki manewr zepchnąłby nas na południe, a tam, wzdłuż wybrzeża rozciąga się pas dosyć niebezpiecznych płyczn i raf. Spore ryzyko. Nie, podejda od nawietrznej. Gdy znajdą się dostatecznie blisko, ich wyższe maszty odetną nam wiatr i kiedy zwolnimy dostatecznie, wejdą spokojnie na pokład.

Przez następne pół godziny Arutha obserwował zbliżający się statek. Martin też wyszedł na pokład i patrzył, jak z każdą minutą odległość między statkami maleje o metr czy dwa. Amos trzymał statek ostro na wiatr, wyciskając z niego maksymalną szybkość, lecz pościg mimo to zbliżał się.

– Niech to szlag! – krzyknął, spluwając ze złością. – Gdybyśmy płynęli na wschód, zgubiłbym ich w mroku, a tak płynąc na zachód, jeszcze przez jakiś czas po zachodzie słońca będziemy doskonale widoczni na tle jasnego nieba. My nie będziemy mogli ich dostrzec, za to oni będą nas mieli jak na dłoni.

Słońce znalazło się tuż nad horyzontem, a pościg trwał dalej. Kiedy zawisło nad czarno-zielonymi wodami morza wielką, krwistoczerwoną kulą, statek wojenny oddalony był zaledwie o niecały kilometr.

– Gdybyśmy nie mieli na pokładzie dziewczyny, pewnie ostrzelaliby pokład lub przynajmniej poszarпали nasze olinowanie z wyrzutni na pokładzie, ale w takiej sytuacji Radburn będzie się obawiał, by nic się jej nie stało.



Dziewięćset metrów, osiemset. Królewski Gryf zbliżał się nieubłaganie. Arutha widział wyraźnie w olinowaniu ścigającego okrętu małe, czarne sylwetki na tle krwawych, w promieniach zachodzącego słońca, żagli.

Kiedy pościg znajdował się zaledwie w odległości pięciuset metrów, obserwator na bocianim gnieździe krzyknął:

– Mgła!

Amos poderwał głowę.

– Kierunek?

– Południowy zachód. Około mili.

Amos pognał na dziób, a Arutha podążył za nim. Daleko na horyzoncie zachodziło słońce, a po lewej stronie ponad czarnymi wodami morza rozciągał się białawy, niewyraźny pas.

– Bogowie! – zakrzyknął Amos. – Mamy jeszcze szansę.

Kapitan wrzasnął do sternika, aby wziął kurs na południowy zachód i pobiegł na rufę.

Arutha popędził za nim. Zwrot skrócił odległość o prawie połowę. Amos obejrzał się na Martina.

– Martin, widzisz ich sternika?

Martin zmrużył oczy, wpatrując się w dal.

– Trochę już ciemno... ale to nie jest trudny cel.

– Może byś więc spróbował zająć go czymś innym niż trzymaniem statku na kursie?

Martin ściągnął z pleców łuk, z którym nigdy się nie rozstawał, i napiął cięciwę.

Wyciągnął z kołczana strzałę i wycelował w nadciągający statek. Czekał spokojnie, kołysząc się na ugiętych lekko nogach, by zrównoważyć kołysanie statku. Po chwili wypuścił strzałę.

Pomknęła łukiem ponad wodą jak roześlony ptak, mijając o metr rufę Królewskiego Gryfa.

Martin śledził uważnie lot pocisku, mrużąc coś pod nosem. Jednym, płynnym ruchem dobył następną strzałę, założył na cięciwę, napiął łuk i strzelił. Drugi pocisk pomknął torem pierwszego, tym razem jednak nie wpadł do wody, lecz wbił się, drgając w reling na rufie, mijając o kilka centymetrów głowę sternika.

Marynarz puścił ster i przywarł do pokładu. Statek wojenny zmienił gwałtownie kurs.

– Za bardzo wieje, by celnie strzelać – mruknął Martin i wypuścił następną strzałę. Po kilku sekundach drgała wbita tuż koło poprzedniej. Przy sterze ścigającego statku nadal nikogo nie było.

Powoli, bardzo powoli odległość między dwoma statkami zaczęła się powiększać.

Amos zwrócił się do stojących w pobliżu marynarzy.

– Przekażcie dalej: kiedy wydam rozkaz ciszy na pokładzie, każdy kto szepnie choć jedno słówko, idzie na przynętę dla ryb.

Ścigający okręt płynął przez kilka chwil zygzakiem, po czym powrócił na właściwy kurs.

– Patrz, Amos – powiedział Martin – ustawili się inaczej, nie mogę do nich strzelać przez żagle.

– Masz rację, ale jeśli możesz, trzymaj tych chłopaków z daleka od wyrzutni na dziobie, dobra? Będę ci wdzięczny do grobowej deski. Coś mi mówi, że nielicho wkurzyłeś Radburna.

Obsługa wyrzutni uwijała się jak w ukropie, szykując ją do strzału. Martin zasypał dziób ścigającego okrętu gradem strzał. Zanim jeden pocisk zdążył pokonać połowę drogi.

Łowczy wypuszczał już następną. Pierwsza strzała ugodziła jednego z marynarzy w nogę.

Upadł na pokład. Reszta rozbiegła się na boki, szukając osłony.

– Mgła na wprost, kapitanie! – rozległ się krzyk ze szczytu masztu.

– Ster ostro na lewą burzę! – krzyknął Amos do sternika.

Rączy Koń przechylił się w zwrocie na południe. Królewski Gryf zwinął się w ostrym skřęcie tuż za nimi, niecałe czterysta metrów. Po zmianie kursu wiatr uciszył się nagle.

Podchodzili siłą rozpędu do nieprzeniknionej ściany mgły.

– We mgle wiatr nie większy niż pierdnięcie ryby – powiedział Amos do Aruthy. –

Zwinę żagle, żeby łopot płótna nie zdradził naszej pozycji.

Nagle opadła ich ściana buro-szarej, gęstej mgły, która teraz po zapadnięciu słońca za linię horyzontu ciemniała z minuty na minutę. Kiedy tylko statek za rufą zniknął, Amos odwrócił się do załogi.

– Zrefować żagle!

Marynarze błyskawicznie wykonali rozkaz. Statek zwalniał szybko.

– Ster ostro na prawą burtę! Cisza na pokładzie. Przekazać dalej.

W okamgnieniu na całym statku zapadła grobowa cisza.

Amos nachylił się nad uchem Aruthy.

– W tym rejonie są prądy płynące na zachód. Pozwolimy, aby nas zniosły. W bogach nadzieja, że kapitan Radburna to żeglarz z Morza Królestwa i nie zna tych wód.

– Wyrównaj rumpel – szepnął do sternika. Zwrócił się do Vasco: – Przekaż dalej, żeby unieruchomili reje. Ci na górze mają stać bez najmniejszego ruchu.

Arutha zdał sobie nagle sprawę z absolutnej ciszy panującej dookoła. Po hałasie towarzyszącym pościgowi, ostrych podmuchach północnego wiatru śpiewającego w olinowaniu i rejach, nieustannym łopocie żagli, wytłumione dźwięki we mgle były nienaturalnie ciche. Co jakiś czas jękliwy skrzyp ruszającej się rei czy trzask napiętej liny – to były jedyne odgłosy w mroku. Trwoga sprawiała, że czas oczekiwania zdawał się ciągnąć w nieskończoność.

W pewnej chwili, jak sygnał alarmowy, dotarły do ich uszu krzyki i odgłosy płynącego

statku. Echo niosło ze wszystkich stron jednostajne trzeszczenie rei i łopot żagli wolno płynącego okrętu. Przez kilka minut Arutha nie mógł niczego dostrzec. Potem przez mroczną ścianę mgły za rufą przebił się lekki odblask. Światło latarń na pokładzie Królewskiego Gryfa przesunęło się z północnego wschodu ku południowemu zachodowi. Każdy człowiek na pokładzie i w olinowaniu Rączego Konia zamarł w absolutnym bezruchu bojąc się, by zwielokrotniony, niesiony po wodzie hałas nie zdradził ich pozycji. Usłyszeli okrzyk z tamtego statku.

– Cicho, do cholery! Tak hałasujecie, że tamtych nie słychać!

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Tylko łopot żaglowego płótna i skrzyp lin na pokładzie Królewskiego Gryfa.

Wydawało się, że czas stanął w miejscu. Czekali w ciemności. Nagle rozległ się okropny, rozdzierający uszy dźwięk. Jak echo gromu, przeciągły, głuchy trzask rozdzieranego, miażdżonego drewna. We mgle wybuchły paniczne okrzyki strachu. Amos zwrócił się do pozostałych, ledwo widocznych w mroku.

– Wpadli na mieliznę. Sądząc po odgłosie, wyrwało im całe dno. Już po nich. – Rzucił sternikowi rozkaz szybkiej zmiany kursu i skierował statek z dala od raf i mielizn. Marynarze uwijali się jak mrówki, stawiając na powrót żagle.

– Straszna śmierć – powiedział Arutha cicho. Martin, oświetlony mdłym światłem wyniesionych na pokład latarń, wzruszył ramionami.

– A jest jakaś dobra? Widziałem już gorsze. Arutha opuścił górny pokład. Echo niosło po wodzie przytłumione, rozdzierające serce okrzyki tonących. Jak przerażający kontarpunkt rozległ się niespodziewanie prosty okrzyk Vasco, który zarządził, by otwarto kambuz. Arutha zamknął drzwi do zejścia pod pokład, odcinając się od nieszczęsnych wrzasków. Otworzył cicho drzwi do swojej kabiny i zajrzał do środka. Anita spała spokojnie w łagodnym świetle

przysłoniętej świecy. Kasztanowo-rude włosy, rozsypane wokół głowy, wyglądały jak czarne.

Zamykał już drzwi, kiedy usłyszał jej głos.

– Arutha?

Wszedł do środka. Przyglądała mu się uważnie. Usiadł na skraju pośłania.

– Jak się czujesz? – spytał z troską. Przeciągnęła się i pokiwała głową.

– Spałam jak zabita – Oczy rozszerzyły się nagle. – Czy... czy wszystko w porządku? –

Usiadła na koi, pochylając się ku niemu.

Wyciągnął rękę i objął ją, trzymając blisko siebie.

– Tak, wszystko w porządku. Jesteśmy bezpieczni. Westchnęła i położyła mu głowę na ramieniu.

– Arutha... dziękuję za wszystko.

Owładnięty nagłym uczuciem nic nie odpowiedział. Opanowała go przemożna chęć, by otoczyć ją opieką, nie pozwolić, by coś się jej stało, dbać o nią... Siedzieli tak bez ruchu przez dłuższy czas. W końcu Arutha opanował wzbierające w nim uczucia. Odsunął się delikatnie.

– Musisz być głodna jak wilk? Roześmiała się radośnie, szczerze.

– A tak, jeśli mam być szczerą, umieram z głodu.

– Poproszę, aby ci coś przysłali, chociaż obawiam się, że jedzenie będzie proste, nawet w porównaniu do tego, co jadłaś u Szyderców.

– Cokolwiek, byle zaraz.

Arutha poszedł na pokład i polecił napotkanemu marynarzowi, aby ten przyniósł z kambuza posiłek dla Księżniczki, a potem wrócił do niej. Zastał ją przy czesaniu włosów.

– Pewnie wyglądam jak wiedźma.

Anita spostrzegła, że Arutha walczy z wzbierającym w nim śmiechem. Nie miał pojęcia dlaczego, ale czuł się niesamowicie szczęśliwy.

– Ależ skąd. Właściwie to wyglądasz całkiem ładnie. Przestała się czesać i Arutha nie mógł się nadziwić, jak w jednej chwili dziewczyna może wyglądać tak młodo, a w następnej sprawiać wrażenie dojrzałej kobiety. Uśmiechnęła się.

– Pamiętam, jak cię podglądałam przez szparę, kiedy ucztowałeś na dworze mego ojca w czasie ostatniej bytności w Krondorze.

– Podglądałaś mnie? Na niebiosa, po co?

Zignorowała pytanie.

– Pamiętam, że wtedy też ładnie wyglądałeś, chociaż trochę sztywno. Był ze mną chłopiec, który mnie podniósł do góry, abym mogła się lepiej przyjrzeć. Przyjechał razem z twoim ojcem. Zapomniałam, jak miał na imię, ale pamiętam, że był terminatorem u maga.

– To był Pug. – Uśmiech Aruthy przygasł.

– Co się z nim stało?

– Zaginął w pierwszym roku wojny.

– Och, tak mi przykro. – Odłożyła grzebień. – Był bardzo miły i uprzejmy dla nieznośnego bachora.

– Tak, to był bardzo miły chłopak. Miał zacięcie do wspaniałych i odważnych czynów.

Moja siostra darzyła go szczególnym uczuciem. Kiedy zaginął, przez długi czas nie mogła się otrząsnąć z żalu po nim. – Starał się odgonić ponure myśli. – Ale, ale. Dlaczegoż to księżniczka Krondoru chciała podglądać dalekiego kuzyna z prowincji, co? Anita patrzyła mu w oczy przez długą chwilę.

– Chciałam cię zobaczyć, ponieważ nasi ojcowie uważali, że być może kiedyś się pobierzemy.

Aruthę zamurowało. Z najwyższym trudem zdołał zachować zimną krew. Przysunął sobie jedyne znajdujące się tam krzesło i usiadł.

– Czy twój ojciec nigdy ci o tym nie wspominał? – spytała.

Arutha nie był w stanie wydobyć z siebie żadnej rozsądnej odpowiedzi. Pokręcił tylko głową.

– No tak, rozumiem. – Anita pokiwała powoli głową. – Ta cała wojna i w ogóle. Zaraz po waszym wyjeździe do Rillanonu wszystkie sprawy stanęły na głowie.

Arutha przełknął z trudem ślinę. W gardle wyschło mu zupełnie.

– Anita, o co tu chodzi? To znaczy... co to za plan naszych ojców, abyśmy... żeby wziąć ślub?

Przyjrzał się jej uważnie. W zielonych oczach dziewczyny migotał odbity płomień świecy i coś jeszcze...

– Obawiam się, że chodziło o interes państwa. Ojciec pragnął zapewne wzmocnić moje prawa do tronu, a Lyam, jako starszy, nie był zbyt pewnym kandydatem. Ty byłeś najbardziej odpowiedni, Król pewnie nie stawiałby sprzeciwu... to znaczy wtedy, jak sądzę. Teraz zaś, kiedy Guy zagiął na mnie parol i Król chyba wyraził na to zgodę...

Arutha zirytował się nagle, chociaż nie wiedział właściwie z jakiego powodu.

– A nas oczywiście nikt nie pyta o zdanie, prawda! – wyrzucił z siebie podniesionym głosem.

– Arutha, proszę, przecież nie miałam z tym nic wspólnego.

– Przepraszam. Nie chciałem ci robić przykrości. Tylko że nie myślałem właściwie do tej pory o małżeństwie, a już na pewno nie ze względu na interes państwa. – Na jego twarzy pojawił się znowu charakterystyczny trochę krzywy uśmiech.

– To przeważnie problemy najstarszego syna. My, urodzeni w dalszej kolejności, musimy sobie radzić najlepiej, jak potrafimy: stara, owdowiała hrabina lub córka bogatego kupca.

– Starał się przybrać lekki ton. – Piękna córka bogatego kupca, jeśli mamy szczęście, chociaż przeważnie go nie mamy.

– Udawanie nie było w jego stylu. Spoważniał i zamyślił się na chwilę. – Anita, zostaniesz w Crydee tak długo, jak będzie to konieczne. Przez pewien czas może ci grozić niebezpieczeństwo, wiesz, Tsurani, ale jakoś zaradzimy temu. Może wyślemy cię na jakiś czas do Carse? Zobaczymy. Obiecuję ci, że natychmiast, gdy skończy się wojna, wrócisz bezpiecznie do domu. I nigdy, przenigdy nikt nie zmusi cię, abyś czyniła coś wbrew własnej woli.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Marynarz przyniósł na tacy miskę parującej, zawieszistej zupy z ostryg, suchary i soloną wieprzowinę. Postawił tacę na stoliku i nalał wina do kubka. Przez cały czas jego krzątania w kabinie Arutha nie spuszczał wzroku z Anity. Kiedy majtek wyszedł, Anita zaczęła jeść.

W czasie posiłku Arutha rozmawiał z nią o tym i owym, oczarowany znowu jej swobodnym i niewymuszonym zachowaniem się. Kiedy w końcu życzył jej dobrej nocy i zamknął drzwi do kabiny, uderzyła go niespodziewanie myśl, że idea zawierania małżeństwa w interesie państwa aż tak bardzo mu nie przeszkadza. Wyszedł na pokład. Mgła ustąpiła i znowu płynęli pchani lekką bryzą. Zapatrzył się w rozgwieżdżone niebo i po chwili, po raz pierwszy od wielu lat, zaczął gwizdać cichutko wesołą melodię.

Amos i Martin siedzieli w pobliżu steru, dzieląc się sprawiedliwie zawartością bukłaka z winem.

– Księżę jest wyjątkowo radosny – zauważył cichym głosem Amos.

Martin pyknął z fajki, a kłęb szarego dymu, niesiony podmuchem wiatru błyskawicznie zniknął z pokładu.

– Idę o zakład, że nawet nie ma pojęcia, z jakiej przyczyny. Anita jest młoda, ale nie aż



tak młoda, by mógł dłużej ignorować jej zainteresowanie sobą. Jeśli powzięła postanowienie, a wygląda mi na to, że tak właśnie jest, nie minie rok, nim skutecznie go usidli. A on będzie cały szczęśliwy, że dał się złapać.

Amos zaśmiał się cicho.

– Chociaż minie jakiś czas, zanim się sam przed sobą przyzna do tego. Idę o zakład, że młody Roland zostanie zaciągnięty przed ołtarz wcześniej niż Anita.

– Eee tam, to żaden zakład. – Martin pokręcił głową. – Roland wpadł po uszy już ładnych kilka lat temu, a przed Anitą jeszcze sporo pracy.

– A ty nigdy nie byłeś zakochany?

– Nie, Amos. Leśniczy, podobnie jak i żeglarz, to kiepski materiał na męża. Nigdy nie usiedzi spokojnie w domu. Całe dni, a nawet tygodnie spędza w samotności, włócząc się po leśnych głuszach, dumając nad światem i sobą. A ty?

– Jak widzisz. – Amos westchnął ciężko. – Im robię się starszy, tym bardziej się zastanawiam, co utraciłem.

– A nie chciałbyś zmienić czegoś w swym życiu?

– Raczej nie, Martin, raczej nie. – Amos zachichotał pod nosem.

Kiedy statek dobił do nabrzeża, Fannon i Gardan zsiadli z koni. Arutha sprowadził Anitę z pokładu i przedstawił Mistrzowi Miecza Crydee.

– Nie mamy co prawda w Crydee powozów, Wasza Wysokość, lecz natychmiast każę sprowadzić jakiś wygodny wóz. Do zamku daleka droga.

Anita uśmiechnęła się.

– Potrafię jeździć konno, mistrzu Fannonie. Każdy niezbyt narowisty wierzchowiec będzie odpowiedni.

Fannon nie zwlekając rozkazał dwom żołnierzom, by podążyli na zamek i

przyprawdzili jednego z rumaków Carline z odpowiednim, damskim siodełm.

– Co nowego? – spytał Arutha. Fannon odprowadził Aruthę nieco na bok.

– Odwilż w górach opóźnia się, więc jak do tej pory nie zauważono dużych ruchów wojsk Tsuranich, Wasza Wysokość. Było kilka sporadycznych napadów na pomniejsze garnizony, lecz nic jeszcze nie wskazuje, aby mieli u nas rozpocząć wiosenną ofensywę. Być może wyruszą przeciwko twemu ojcu?

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. Oddziały ojca zostały zasilone prawie całym garnizonem z Krondoru. – W zwięzłych słowach przedstawił to, co zaszło w Krondorze. Fannon słuchał z uwagą.

– Dobrze zrobiłeś, nie płynąc do obozu ojca. Tak... chyba prawidłowo oceniłeś sytuację. Trudno sobie wyobrazić coś gorszego niż zmasowane uderzenie Tsuranich na pozycje Borrica w chwili, kiedy właśnie wyruszałby przeciwko Guyowi. Na razie zatrzymajmy te wieści dla siebie. Twój ojciec i tak się wkrótce dowie, lecz im później, tym większe szansę, że przez kolejny rok uda się utrzymać Tsuranich w ryzach.

Arutha zasępił się.

– To nie może tak dłużej trwać, Fannon. Czas najwyższy, by już zakończyć tę wojnę. – Odwrócił się na chwilę i zauważył, że ludzie z miasta gapią się na Księżniczkę. – No cóż, my przynajmniej mamy jeszcze trochę czasu, by wymyślić, jak się przeciwstawić wrogowi... jeśli nam się uda.

Fannon zastanawiał się nad czymś przez dłuższą chwilę. Już, już miał się odezwać, ale nagle zrezygnował. Posmutniał, a na twarzy zagościł bolesny grymas.

– Mistrzu, o co chodzi?

– Arutha... mam bardzo ważną i smutną wiadomość... Roland nie żyje.

Arutha stał zaszokowany, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Przez chwilę przemknęło

mu nawet przez myśl, czy Fannon nie zażartował sobie z niego w niesmaczny sposób, ponieważ jego serce i umysł nie chciały przyjąć do wiadomości tej strasznej informacji.

– Jak to? Jak...?

– Tolburt zawiadomił nas trzy dni temu. Jest pogrążony w rozpacz. Młody panicz zginął w czasie napadu Tsuranich. Wzrok Aruthy powędrował ku wzgórzu, ku zamkowi.

– A Carline?

– No cóż, można się było spodziewać... płacze, ale trzyma się dzielnie.

Arutha poczuł, jak go coś dusi w gardle. Przemógł się z najwyższym trudem. Kiedy powrócił po chwili do Anity, Amosa i Martina, jego ściągnięta bólem twarz przypominała drewnianą maskę. Po mieście rozeszła się już wieść, że księżniczka Krondoru jest na nabrzeżu. Żołnierze, którzy przybyli z Fannonem i Gardanem, by powitać Księcia, utworzyli wokół niej milczący pierścień, trzymając ludek miejski w przyzwoitej odległości. Arutha przekazał smutne wieści Amosowi i Martinowi.

Po niedługim czasie przyprawdzono im konie. Dosiedli rumaków i ruszyli w górę, w stronę zamku. Arutha dźgnął swojego wierzchowca ostrogą i zanim reszta dotarła na wewnętrzny dziedziniec, zeskoczył już na ziemię. Większość służby zamkowej wyległa na dwór, by ich powitać. Arutha, nie przejmując się specjalnie ceremoniałem dworskim, podbiegł do Samuela, majordomusa.

– Będziemy gościli księżniczkę Krondoru. Każ natychmiast przygotować pokoje.

Będiesz jej towarzyszył do wielkiej sali. Powiedz, że za chwilę dotrzymam jej towarzystwa.

Przebiegł przez bramę do głównego zamku, mijając salutujących swemu Księżciu wartowników. Znalazł się przy komnatach Carline i zastukał w drzwi.

– Kto tam? – Dobiegł go cichy głos.

– Arutha.

Drzwi rozwarły się gwałtownie i Carline rzuciła się w ramiona brata, tuląc się do niego mocno.

– Tak się cieszę, że wróciłeś... nawet nie wiesz jak bardzo... – Cofnęła się o krok i popatrzyła mu prosto w oczy. – Przepraszam. Miałam zamiar pojechać do portu, by was powitać, ale jakoś nie mogłam się pozbierać.

– Fannon powiedział mi przed chwilą. Tak mi przykro, Carline.

Popatrzyła na niego spokojnie, z powagą. W jej twarzy dostrzegł, że pogodziła się z losem. Wzięła go za rękę i poprowadziła w głąb swoich komnat. Usiadła na kanapce.

– Zawsze brałam pod uwagę, że to się może zdarzyć. Taki głupi zbieg okoliczności...

Baron Tolburt napisał długi list, biedaczyna. Tak długo nie widział syna, a tu... jest zupełnie rozbity. – W jej oczach pojawiły się łzy. Opanowała się z trudem, unikając patrzenia na Aruthę.

– Roland umarł...

– Carline, nie musisz o tym mówić. Pokręciła głową.

– Już dobrze. Ale to tak boli... – Po policzkach popłynęły strumienie łez. Nie zważając

na to, mówiła dalej: – To boli, ale przemogę się. Roland mnie tego nauczył, Arutha. Dobrze sobie zdawał sprawę z niebezpieczeństwa i chciał, żebym... gdyby coś mu się przytrafiło, pogodziła się z tym i żyła dalej. Był dobrym nauczycielem. Ponieważ w końcu zrozumiałam,

jak bardzo go kocham, i powiedziałam mu o tym, zyskałam siłę, by uporać się ze stratą. Roland

umarł, próbując ratować krowy jakiegoś chłopca. – Uśmiechnęła się przez łzy. – To cały on,

prawda? Przez całą zimę budował spokojnie fort, a potem, kiedy pojawili się jacyś wygłodniałi

Tsurani i próbowali ukraść kilka wychudzonych krów, Roland wyskoczył z fortu z oddziałem

jazdy, by ich przegnać, i został trafiony z łuku. Tylko on został ranny, nikt więcej. Zanim

dotarli z powrotem do fortu, już nie żył. – Westchnęła boleśnie. – Tak często lubił się

wygłupiać... czasem wydaje mi się, że robił to naumyślnie.

Zaczęła płakać. Arutha patrzył na nią w milczeniu. Szybko zapanowała nad sobą.

– Taki płacz do niczego dobrego nie prowadzi. – Wstała, podeszła do okna i popatrzyła w dal. – Niech szlag trafi tę głupią wojnę!

Arutha podszedł i objął ją mocno.

– Niech trafi wszystkie wojny! Stali przez chwilę w milczeniu.

– No już dobrze... jakie wieści przywozisz z Krondoru? Arutha zdał jej krótką relację z wydarzeń w Krondorze, obserwując ją uważnie spod oka. Sprawiała wrażenie, że o wiele łatwiej pogodziła się ze stratą Rolanda niż kiedyś Puga. Arutha dzielił jej ból, lecz czuł też, że wszystko będzie w porządku. Z dumą i radością obserwował, jak w ciągu kilku ostatnich lat Carline dojrzała. Kiedy kończył opowieść szczegółami z ocalenia Anity, przerwała mu w pół słowa.

– Anita? Księżniczka Krondoru? Jest tutaj? Arutha skinął głową.

– Wyglądam pewnie okropnie, a ty, jak gdyby nigdy nic, sprowadzasz księżniczkę Krondoru. Jesteś potworem, Arutha! – Podbiegła do lustra z polerowanej stali, poprawiając pośpiesznie włosy i wycierając twarz wilgotną chusteczką.

Arutha uśmiechnął się ukradkiem. Pod płaszczem żałoby w jego siostrze nadal gorzał niepokonany, radosny duch.

Carline czesała zawzięcie włosy. Zerknęła na niego przez ramię.

– Ładna jest?

W miejsce krzywego uśmiešku na twarzy Aruthy zagościł szeroki uśmiech.

– O tak, jest bardzo ładna.

Carline wpatrzyła się z uwagą w twarz brata.

– Widzę, że będę musiała ją dobrze poznać. – Odłożyła grzebień i wyprostowała fałdy sukni. Podała mu rękę.

– Chodź, przecież nie możemy pozwolić, by twoja młoda pani czekała.

Trzymając się za ręce, wyszli z pokoju i zeszli schodami do wielkiej sali, by powitać

Anitę w Crydee.

# WIELKI

Opuszczony dom górował nad miastem.

Miejsce, na którym go zbudowano, było kiedyś świadkiem codziennego życia wielkiej, rodzinnej posiadłości. Stał na szczycie jednego z malowniczych pagórków otaczających miasto Ontoset, skąd jak powszechnie uważano, rozciągał się najwspanialszy widok na miasto w dole i morze na horyzoncie. Na skutek znalezienia się po przegranej stronie w jednej z rozlicznych, pomniejszych, lecz okrutnych w skutkach utarczek politycznych Imperium, rodzina popadła w niełaskę, co oznaczało często także katastrofę finansową. Po pewnym czasie zaniedbane budynki popadły w ruinę, a posiadłość została zapomniana. Bo chociaż było to jedno z najlepszych i najładniejszych miejsc w okolicy, pamięć o tym, że jest ono pechowe i nieszczęśliwe, sprawiała, że przesądni Tsurani nie wazyli się postawić tam stopy.

Pewnego dnia miasto obiegła wiadomość, że pasterze kula obudziwszy się, zobaczyli samotną, ubraną w czerń postać idącą powoli na szczyt wzgórza ku staremu domostwu.

Zgodnie z przyjętym zwyczajem i ze względu na swoją niską pozycję społeczną pośpiesznie oddalili się na pewną odległość, by nie wchodzić magowi w drogę. Zostali jednak w pobliżu, wypasając zwierzęta, co było źródłem ich skromnego utrzymania, żyli bowiem z wełny kula. Gdzieś około południa usłyszeli potworny huk, jakby bezchmurne niebiosy eksplodowały nagle przeraźliwym rechotem praprzodka wszystkich gromów świata. Stada rozbiegły się w popłochu. Parę zwierząt popędziło aż do podnóża pagórka. Pasterze, chociaż także przestraszeni, nie wpadli w panikę, ale jak na nich przystało, opanowali przerażenie i puścili się w pogoń za zwierzętami.

Jeden z nich, zwany Xanthis, dotarł na szczyt pagórka, gdzie jego oczom ukazała się postać widzianego wcześniej maga w czarnej szacie. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał zrujnowany budynek, rozciągał się wielki, okopcony dół ponad metrowej głębokości,

otoczony nienaruszonym trawnikiem. Pastuch przeraził się, że przeszkodził w czymś Wielkiemu, i zaczął się cichcem wycofywać, mając nadzieję, że nie zostanie zauważony, ponieważ mag był zwrócony do niego tyłem, a kaptur miał zarzucony na głowę. Nie zdążył jeszcze uczynić pierwszego kroku, kiedy czarnoksiężnik odwrócił się ku niemu, wpatrując się w niego parą niepokojąco przepastnych, ciemnobrązowych oczu.

Pasterz, zgodnie z przyjętym zwyczajem, padł natychmiast na kolana i spuścił wzrok ku ziemi. Nie ukorzył się jednak, ponieważ był wolnego stanu i chociaż nie pochodził ze szlacheckiego rodu, był jednak głową rodziny.

– Wstań – rozkazał mag.

Xanthis, zmieszany nieco, powstał ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Spójrz na mnie.

Podniósł wzrok. Tuż przed sobą miał twarz schowaną pod kapturem. Mag patrzył na niego z uwagą. Broda, równie ciemna jak oczy, okalała jasną twarz. Xanthis zmieszał się jeszcze bardziej, ponieważ tylko niewolnicy nosili brody. Mag uśmiechnął się przyjaźnie, widząc rosnący niepokój pasterza, po czym obszedł go dookoła, oglądając uważnie.

Mężczyzna jak na Tsuraniego był wysoki. Wyższy o kilka centymetrów od maga, mógł mieć około metra siedemdziesięciu pięciu. Ciemna skóra miała barwę kawy lub chochy. Oczy były czarne, a włosy przyprószone gdzieniegdzie siwizną. Pod krótką, zieloną szatą przeżyły się potężne mięśnie byłego żołnierza, co zdradzała wyprostowana sylwetka i kilka blizn. Wyglądał na człowieka po pięćdziesiątce, lecz w pełni sił i zdolnego do prowadzenia trudnego, pasterskiego żywota. Chociaż był niższy, przypominał mu trochę Gardana z Crydee.

– Jak ci na imię? – zapytał mag, stając znów przed pasterzem. Xanthis odpowiedział, a w jego głosie wyraźnie było słychać, że nie czuje się najpewniej.

– Pasterzu, czy zgodzisz się, że to dobre miejsce na dom? – spytał niespodziewanie



mag, wprawiając pastucha w osłupienie.

– Jeśli... jeśli taka jest twoja wola, Wielki – wyjąkał z trudem.

– Nie pytaj, jaka jest moja wola! – zawołał mag. – To ja pytam o twoje zdanie!

Xanothis z trudem panował nad wzbierającym w nim gniewem i złością na samego siebie o to, że nie zachował się poprawnie. Wielcy byli nietykalni, otoczeni najwyższą czcią i próba oszukania ich była równoznaczna z uwłaczaniem godności.

– Przebacz mi, o Wielki. Mówi się, że bogowie nie otaczają opieką tego miejsca.

– A kto tak mówi, co?

Ostry głos maga podziałał na starego mężczyznę jak policzek. Oczy zapłonęły gniewem, lecz zachował zimną krew.

– Ci, którzy mieszkają w mieście. Wielki, jak i mieszkańcy okolicznych wiosek. –

Pasterz spojrzał magowi prosto w oczy i wytrzymał jego spojrzenie.

W kącikach oczu maga pojawiły się wesołe zmarszczki, a usta rozchyliły się lekko w uśmiechu, lecz nadal mówił twardym, zdecydowanym głosem.

– Ale nie ty, prawda, pasterzu?

– Przez piętnaście lat byłem żołnierzem, Wielki. Już dawno doszedłem do wniosku, że bogowie darzą łaskami tych, którzy sami potrafią się troszczyć o siebie.

Mag uśmiechnął się szerzej, lecz nie był to jeszcze szczerzy, ciepły uśmiech.

– Człowiek, który polega na samym sobie. To dobrze. Cieszę się, że jesteśmy podobnego zdania. Mam zamiar postawić tu dom, ponieważ lubię patrzeć na morze.

Mag spostrzegł, że po jego słowach pasterz zeszywniał, a w oczach błysnęły iskiereki gniewu.

– Czy mam twoją zgodę, Xanothisie z Ontoset? Pastuch przestąpił z nogi na nogę.

– Wielki żartuje sobie ze mnie. Pewien jestem, że moja zgoda czy jej brak nie mają

najmniejszego znaczenia.

– To prawda, lecz unikasz ciągle odpowiedzi na moje pytanie. Czy mam twoją zgodę?

Xanthis opuścił nieco ramiona.

– Muszę zająć się stadem, Wielki. To wszystko. Bez urazy.

– Opowiedz mi o domu, który aż do dzisiaj stał w tym miejscu.

– To był dom pana Almachu, Wielki. Pewnego razu, kiedy rozgorzała walka o

stanowisko Wodza Wojny, udzielił swego poparcia niewłaściwemu kuzynowi, przeciwko

Almecho. – Wzruszył ramionami. – Byłem kiedyś dowódcą straży tego domu. Byłem mężem

pełnym dumy, co skutecznie ograniczało możliwości mego awansu jako żołnierza. Mój pan

wyraził zgodę, abym opuścił służbę u niego i ożenił się, przejąłem więc stada mego teścia.

Gdybym został żołnierzem, albo byłbym teraz niewolnikiem, albo by mnie zabili, albo, w najle-

pszym wypadku, byłbym posiwiąłym i steranym trudami wojownikiem. – Spojrzał w stronę

morza. – Co jeszcze chciałbyś wiedzieć, Wielki?

– Możesz wypasać swoje stada na tym wzgórzu, Xanthis. Trawożerne zwierzęta

utrzymują pastwiska i trawę w dobrym stanie, a ja nie lubię zaniedbanej ziemi. Trzymaj je po

prostu z dala od domu, gdzie będę pracował, bo w przeciwnym razie co jakiś czas będę ci

zabierał jedno zwierzę na kolację.

Nie mówiąc ani słowa więcej, mag wyciągnął spomiędzy fałd szaty jakieś urządzenie i

uruchomił je. Przez chwilę rozlegał się dziwny szum, jakby brzęczenie, po czym mag rozpląnął

się w powietrzu z lekkim trzaskiem. Przez dobrych kilka minut Xanthis stał bez ruchu, a

potem zabrał się ponownie do szukania zwierząt.

Wieczorem przy obozowym ognisku opowiedział rodzinie i innym pasterzom o swoim

spotkaniu z Wielkim. Chociaż wszyscy byli zdumieni, jednak nikt nie podawał w wątpliwość

jego słów. Xanthis mógł mieć różne wady, lecz wszyscy wiedzieli, że nigdy ani nie kłamał,

ani nie ubarwiał swoich relacji nieprawdziwymi faktami. A potem, mimo upływu kolejnych miesięcy, w czasie których wznoszono nowy, wielki dom, nie mogli się również przyzwyczać do czegoś innego. Co parę dni ten czy inny pasterz widział Xanothisa na szczycie pagórka, pogrążonego w rozmowie z Wielkim, podczas gdy kula pasły się na rozległych łąkach u ich stóp.

Na szczycie wzgórza stanął nowy, dziwny dom. Wkrótce stał się zarówno źródłem domysłów, jak i zazdrości. Domysły krążyły wokół właściciela, dziwnego Wielkiego, a obiektem zazdrości była konstrukcja domu i jego wygląd zewnętrzny, który stanowił pewną rewolucję w architekturze Tsuranich. Zniknęła tradycyjna, trzypiętrowa i otwarta w środku struktura. W jej miejsce pojawił się obszerny, parterowy budynek. Wokół niego wzniesiono szereg mniejszych domków, połączonych z głównym krytymi chodnikami. Niejednolity plan domostwa urozmaicony był dodatkowo maleńkimi ogródkami i malowniczymi strumyczkami wijącymi się pośród zabudowań. Jego konstrukcja budziła nie mniejsze emocje, ponieważ zbudowano go głównie z kamienia, a dach został przykryty wypalonymi płytkami ceglanyymi. Snuto rozliczne spekulacje, jak się mieszka w takim domu, między innymi uważano powszechnie, że latem, w czasie upałów jego wnętrze musi być przyjemnie chłodne.

Do ogólnej fascynacji domem i jego właścicielem dochodziły dwa dodatkowe elementy. Pierwszy to sposób, w jaki przystąpiono do budowy. Mag pojawił się pewnego dnia w Ontoset w domu Tumacela, najbogatszego w mieście lichwiarza. Zażądał pożyczki kwoty trzydziestu tysięcy imperiali i zniknął, zostawiając Tumacela pogrążonego w rozpacz z powodu utraconej płynności finansowej. W ten oto sposób Milamber poradził sobie z biurokracją Tsuranich. Każdy kupiec czy rzemieślnik, któremu Wielki zlecił jakąś usługę czy dostarczenie towarów, był zmuszony ubiegać się o zwrot poniesionych kosztów w cesarskim skarbcu. Powodowało to naturalną niechęć, opóźnienia w dostawach i dalekie od entuzjazmu

usługi. Milamber po prostu zapłacił za wszystko z góry, zostawiając problem uzyskania zapłaty z państwowej skatunki lichwiarzowi, który z racji swojego zawodu, posiadania odpowiednich ksiąg handlowych i sprytu był o wiele lepiej do tego przygotowany niż większość kupców.

Drugim budzącym ogromne zdumienie faktem była dekoracja domu, a właściwie jej brak. Zamiast pomalowanych krzykliwie i z rozmachem ścian, nowy dom zachował mury w prawie naturalnym stanie. W kilku miejscach zaledwie pojawiły się stonowane w barwie i wyrazie malowidła. Do prac przy ozdabianiu domu zatrudniono wielu młodych artystów, a kiedy je ukończyli, ogromnie wzrósł popyt na ich usługi. Nie minął miesiąc, a można już było mówić o pojawieniu się nowej fali w sztuce Tsuranich.

Na okolicznych polach pracowało pięćdziesięciu niewolników, którzy swobodnie mogli decydować o swoim czasie pracy. Ubrani byli w takie stroje, jakie nosili w Midkemii. Wszyscy, co do jednego zostali zabrani pewnego dnia z targu niewolników przez Wielkiego, który nie zapłacił za nich ani grosza.

Wielu odwiedzających Ontoset poświęcało jedno popołudnie, by wspiąć się na okoliczne wzgórza i podziwiać nowy dom. Oczywiście z pełnego szacunku dystansu. Pasterz Xanthis był wielokrotnie nagabywany o dziwnego Wielkiego, który zamieszkał wkrótce w nowym domu, lecz były żołnierz nic nie mówił, tylko bez przerwy się uśmiechał.

– Powszechne mniemanie, iż obecnie istniejące wielkie przejście do Midkemii znajduje się pod pełną kontrolą, jest prawdziwe tylko w części. – Milamber przerwał, dając czas pisarzowi, by ten mógł dokończyć podyktowane zdanie. – Wydaje się, że można otworzyć przetokę w czasie i przestrzeni bez uwalniania niszczycielskich energii, które zwykle towarzyszy przypadkowemu ich utworzeniu, w wyniku źle rzuconego zaklęcia magicznego czy też przez bliskość zbyt wielu niestabilnych urządzeń magicznych.

Po zakończeniu prowadzonych przez Milamberta badań nad specjalnymi aspektami

energii towarzyszącymi powstawaniu słuzy ich wyniki miały być włączone do zbiorów archiwalnych Zgromadzenia. Czytając w archiwach prace poświęcone różnorodnej tematyce, między innymi te o naturze połączeń między światami, Milamber stwierdził w większości z nich istotne nieprawidłowości czy wręcz rażące błędy. Najczęściej spotykanym była ich powierzchowność, brak dogłębnej analizy i doprowadzenia eksperymentu czy tematu do końca. Z chwilą odkrycia i opracowania procedur tworzenia przejść zaniechano dalszych, szczegółowych badań nad ich prawdziwą naturą.

Dyktował dalej: – Istotną słabością w koncepcji kontroli jest brak możliwości wyboru lokalizacji kontaktu, możliwości dokładnego „wycelowania” przejścia w ściśle określone miejsce po drugiej stronie. Fakt pewnego pokrewieństwa, wzajemnego przyciągania się pomiędzy nowo tworzoną a istniejącą już służą dobrze ilustruje przykład pojawienia się statku, na którego pokładzie znajdował się Fanatha, na brzegach Crydee, w świecie Midkemii.

Jednakże, jak wykazały dalsze próby, to powinowactwo jest ograniczone, przy czym natura takich ograniczeń nie jest jeszcze jasna. Chociaż prawdopodobieństwo pojawienia się drugiej przetoki w fizycznej bliskości pierwszej jest duże, jednak nie można traktować tego założenia jako pewnika.

Kiedy skryba dokończył notować zdanie, Milamber dodał jeszcze: – Otwartym pozostaje również pytanie, z jakich powodów przetoki charakteryzują się pewnymi niekonsekwencjami. Można co prawda założyć, że ich wielkość odpowiada energii włożonej w ich uformowanie, lecz inne cechy nie dają się ująć w żaden schemat. Niektóre słuzy działają tylko w jednym kierunku – zanim Milamber odkrył ten fakt, utracił bezpowrotnie niejedno cenne urządzenie magiczne – podczas gdy inne pozwalają na ruch w obie strony. Osobnym zagadnieniem są „połączone pary”, dwie, jednokierunkowe słuzy tworzące się jednocześnie, przy czym obie pozwalają na jednokierunkowy kontakt pomiędzy punktem wyjściowym a

docelowym. Choć mogły się one utworzyć w znacznej od siebie odległości, nie ulega wątpliwości, że są powiązane ze sobą...

Dźwięk dzwonka oznajmiającego przybycie kogoś ze Zgromadzenia przerwał jego słowa. Odprawił skrybę i udał się niezwłocznie do pokoju wzoru. Idąc na spotkanie, rozważał w duchu prawdziwy powód całkowitego pogrążenia się w ciągu ostatnich dwóch miesięcy w badaniach, którym było podświadome unikanie powzięcia ostatecznej decyzji, czy powrócić do majątku Shinzawai po Katalę?

Zdawał sobie dobrze sprawę, że w tym czasie – rozdzielono ich na prawie pięć lat, a poza tym w tej sytuacji nie mogła przecież żywić wielkich nadziei, że on kiedykolwiek jeszcze wróci – Katala mogła zostać żoną innego. Jednakże ani czas, ani nauka, ani surowa dyscyplina nie były w stanie stłumić jego uczuć do niej. Dochodząc do pokoju transportu, z posadzką wyłożoną kafelkami układającymi się w misterny wzór, podjął ostateczną decyzję: jutro uda się do Shinzawai, by zobaczyć się z Katalą.

Wszedł do środka w chwili, gdy Hochopepa schodził właśnie ze wzoru.

– A! Tu jesteś – przywitał go pulchny mag. – Ponieważ od naszego ostatniego spotkania minęły dwa tygodnie, postanowiłem złożyć ci wizytę.

– Miło mi cię widzieć. Zakopałem się po uszy w studiach i przyda mi się chwila wytchnienia.

Wyszli na zewnątrz do jednego z licznych ogródków.

– Już dawno chciałem cię o to zapytać, Milamber. Co przedstawia wzór, który sobie wybrałeś? Nie mogę się zorientować.

– To stylizowana rekonstrukcja wzoru, który widziałem kiedyś w fontannie. Trzy delfiny.

– Delfiny?

Kiedy usiedli wygodnie na poduszkach między miniaturowymi drzewkami

owocowymi, Milamber opowiedział pokrótce o morskich ssakach występujących na Midkemii.

– Ale dlaczego akurat delfiny z fontanny?

– Nie wiem. Być może działałem pod wpływem impulsu. A poza tym w czasie

ostatniego egzaminu na szczycie wieży ujrzałem coś, co przez miesiąc czy dwa jakoś do mnie nie dotarło.

– Co jedno ma wspólnego z drugim?

– Pamiętasz, w obrazie ukazującym ostateczne wyzwanie rzucone Obcemu, pojawia się ubrany w brązową szatę mag, który wykrzywił strukturę szczeliny, by zapobiec przejściu Kelewanu do wszechświata Nieprzyjaciela?

Hochopepa zamyślił się głęboko.

– Nie, Milamber, nie przypominam sobie. Trzeba jednak pamiętać, że zakłęcie, które służy do wywołania tego obrazu, oddziałuje na każdego z nas w trochę inny sposób. Kiedy porównasz swoje wizje z tym, co oglądali inni, odkryjesz wielką różnorodność doznań. Hm... ale przecież w czasach Obcego wszyscy magowie nosili czarne szaty. Kim mógł być ten inny, w brązowych?

– To człowiek, którego spotkałem wiele lat temu.

– Niemożliwe. Wizja przedstawiała wydarzenia sprzed wieków.

Milamber uśmiechnął się.

– A mimo to jednak widziałem go. Mój wzór z trzema delfinami miał upamiętnić tamto spotkanie.

– Przedziwne... chociaż z drugiej strony, są teorie, które mówią o czystej podróży w czasie, co by wyjaśniało twój przypadek, chyba że twój barbarzyński umysł wyciął ci wstrętnego psikus na wieży. – Ostatnie słowa powiedział z uśmiechem.

Milamber klasnął w dłonie i po chwili pojawił się sługa z poczęstunkiem na dużej tacy.

Był to Netoha, hadonra rodziny zamieszkującej stary dom. Milamber natknął się na niego w czasie, kiedy szukał kogoś, kto zająłby się zasadzeniem w ogrodach różnych roślin, które chciał mieć u siebie. Człowiek ten był na tyle śmiały, że sam podszedł do maga, co wyróżniało go zdecydowanie na tle przeciętnych Tsuranich. Od czasu upadku rodziny, dla której pracował, Netoha starał się bezskutecznie znaleźć pracę, na której się znał. Żył skromnie, ledwo wiążąc koniec z końcem. Powodowany po części współczuciem, a po części rzeczywistą potrzebą Milamber wziął go do siebie. W krótkim czasie Netoha stał się przydatny na setki różnych sposobów, o których młody mag nawet nie myślał przedtem. Ich związek był teraz równie satysfakcjonujący dla Milambera, jak i dla Netohy.

Hochopepa przyjął zaofiarowany napój i słodycze.

– Przybyłem, by cię o czymś powiadomić. Za dwa miesiące ma się odbyć Festiwal Cesarski, z różnymi turniejami, grami, zabawami i tak dalej. Wybierzesz się?

Milamber zaciekał się. Ruchem ręki odprawił Netohę.

– Jeszcze nigdy nie widziałem cię tak poruszonego. Czy to jakieś specjalne święto?

– Wódz Wojny urządza święto na cześć swego bratanka,

Cesarza. Na tydzień przed Festiwalem planuje rozpocząć wielką ofensywę i ma

nadzieję, że w czasie uroczystości będzie mógł ogłosić wielkie zwycięstwo. – Zniżył głos do

szeptu. – Ci, którzy mają dostęp do dworskich plotek, już dawno nie kryją, że Wódz

poddawany jest ostrym naciskom z wielu stron, by usprawiedliwić się z przebiegu wojny przed

Wysoką Radą. Mówi się nawet po cichu, że poczynił istotne ustępstwa wobec Partii Błękitnego

Koła, by zyskać ich poparcie w działaniach wojennych.

Prawdziwą jednak przyczyną, dla której to święto będzie zupełnie wyjątkowe, jest to, że

Światłość Niebios opuści mury Pałacu Kontemplacji, zrywając ze starodawną tradycją. To



może być dobra okazja dla ciebie, by zaistnieć oficjalnie w kręgach dworskich.

– Przykro mi, Hocho, ale nie mam ochoty uczestniczyć w żadnych festiwalach. W ramach pogłębiania wiedzy uczestniczyłem kilka dni temu w jednym z nich w Ontoset. Tańce mnie nudzą, żarcie okropne, a wino równie rozwodnione i mdłe, jak oficjalne przemowy. Jeszcze mniej interesują mnie turnieje i zabawy. Jeśli na tym polegają kręgi dworskie, to dziękuję, doskonale się bez tego obejść.

– Milamber, w twym wykształceniu jest wiele luk. Przywdzianie czarnej szaty nie oznacza jeszcze natychmiastowego, mistrzowskiego opanowania naszej sztuki. Ochrona Imperium to znacznie więcej niż siedzenie na tyłku i marzenie o nowych sposobach miotania energią czy też prowokowanie ekonomicznych katastrof na lokalnym rynku lichwiarskim. – Wziął kolejne ciasteczko i ponownie zaczął besztuć Milamberta. – Obawiam się, że jest kilka konkretnych powodów, dla których musisz jednak udać się ze mną na te obchody. Po pierwsze, za przyczyną swego równie zdumiewającego co wspaniałego domu stałeś się pewnego rodzaju osobistością w wyższych sferach państwa. Wieści rozeszły się już po wszystkich zakątkach Imperium, a roznoszą je głównie ci młodzi rozbójnicy, którym płacisz tak hojnie za wyrafinowane malunki, które tak kochasz. Doszło już do tego, że „wypada” mieć identyczne malowidła na swoim domu, że to pewnego rodzaju nobilitacja.

A to miejsce... – jego ręka zatoczyła szeroki łuk, a na twarzy pojawił się udawany zachwyty – każdy człowiek na tyle mądry i wyrafinowany, by zaprojektować i zbudować taki dom, jest z pewnością godzien uwagi. – Spoważniał. – A przy okazji, to, że zniknąłeś tajemniczo, zaszywając się na odludziu, ani na trochę nie ukróciło tych bzdur, wprost przeciwnie, twoja sława jeszcze bardziej wzrosła.

No tak, ale powróćmy do bardziej istotnych powodów niż towarzyskie. Jak sobie dobrze zdajesz sprawę, narasta zaniepokojenie z powodu tuszowania wieści na temat wojny.

Minęło ładnych parę lat, a postęp właściwie żaden. Mówi się coraz głośniejsze, że sam Cesarz może otwarcie wystąpić przeciwko polityce Wodza Wojny. A jeśli do tego dojdzie... – przerwał, nie kończąc myśli.

Milamber milczał przez chwilę.

– Hocho, wydaje mi się, że nadszedł już czas, żebym ci o czymś powiedział. Jeśli uznasz, że zasługuję przez to na karę śmierci, możesz wystąpić przed Zgromadzeniem, by mnie oskarżyć.

Hochopepa spoważniał raptownie, zamieniając się w słuch i porzucając swoje docinki i żarty.

– Ty, który mnie uczyłeś i wychowywałeś, dobrze wykonałeś swe zadanie, przepelnia mnie bowiem pragnienie robienia tego, co najlepiej służy interesom Imperium. Niewiele pozostało we mnie cieplejszych uczuć dla świata, w którym się narodziłem, a ty nigdy nie będziesz w stanie pojąć, co to oznacza. Jednakże w procesie tworzenia mnie tym, kim jestem dzisiaj, nigdy nie potrafiłeś wzbudzić w moim wnętrzu miłości do kraju, miłości, którą kiedyś odczuwałem do ojczyzny Crydee. Udało ci się stworzyć człowieka o silnym poczuciu obowiązku, ale to poczucie ani trochę nie jest łagodzone miłością.

Hochopepa milczał przez moment, analizując z uwagą słowa Milamberta. Po chwili, kiedy pojął w pełni ich sens, skinął powoli głową.

– Hocho, moja osoba może się okazać największym zagrożeniem dla Imperium od czasów, kiedy Obcy dokonał inwazji na wasze niebo. Jeśli bowiem zaangażuję się w politykę państwa, będę czystą, wypraną z wszelkich uczuć, sprawiedliwością, bez cienia litości.

Wiem wszystko o zwalczających się frakcjach w obrębie różnych partii, przechodzeniu całych rodów z jednej partii do drugiej, a także świadom jestem konsekwencji tych kroków. Czy wydaje ci się, że skoro siedzę na szczycie mego wzgórza, gdzieś na końcu świata, to nie

wiem o tych wszystkich przesunięciach, podskórnych drganiach politycznej menażerii w stolicy? Oczywiście, że wiem. Kiedy Partia Błękitnego Koła rozpadnie się, a jej członkowie sprzymierzą się z Partią Wojny czy Imperiałami, już następnego ranka wszyscy straganiarze z Ontoset dyskutują o tym zażarcie na targu. Wiem o wszystkim równie dobrze jak ci, którzy nie biorą bezpośredniego udziału w rozgrywkach politycznych. W czasie tych kilku miesięcy, które spędziłem na odludziu, doszedłem do jednego, podstawowego wniosku: Imperium powoli zabija samo siebie.

Starszy mag przez dłuższy czas pogrążony był w milczeniu.

– Czy zastanawiałeś się również nad tym, co w naszym systemie sprawia, że wyniszczamy sami siebie?

– Oczywiście. – Milamber wstał i przechadzał się przez chwilę. – Studiuję to zagadnienie i postanowiłem wstrzymać się na razie z działaniem. By zrozumieć dobrze historię, którą tak dobrze mi wykladałeś, potrzebuję jeszcze więcej czasu. Doszedłem już do pewnych wstępnych wniosków co do przyczyn niepowodzenia systemu, które posłużą mi jako punkt wyjściowy do dalszych studiów. – Przechylił głowę, pytając gestem, czy ma kontynuować. Hochopepa skinął głową, by mówić dalej. – Wydaje mi się, że mamy tu do czynienia z kilkoma bardzo poważnymi problemami, których zakres wpływów na Imperium pozostaje na razie w sferze domysłów.

– Po pierwsze – wzniosł wskazujący palec – ci, którzy są u władzy, bardziej zabiegają o swą własną wielkość niż o dobrobyt Imperium. A ponieważ przeciętny obserwator postrzega ich i utożsamia z samym Imperium, nietrudno to dostrzec.

– Nie rozumiem. Czy możesz to wyjaśnić dokładniej?

– Kiedy myślisz o Imperium, co ci przychodzi do głowy? Historia? Wielkie armie zmagające się na równinach? Może powstanie Zgromadzenia? A może myślisz o długim

szeregu kolejnych władców? Cokolwiek to jest, mam niemal pewność, że najważniejsza prawda pozostaje przeoczona. Imperium to wszyscy ci, którzy zamieszkują w jego granicach, począwszy od szlachetnie urodzonych panów aż po najniższego sługę, a nawet niewolników ciężko pracujących na polach. Imperium musi być postrzegane jako całość. Nie można widzieć go poprzez pryzmat ucieleśniającej je niewielkiej, widocznej części, w osobie Wodza czy też jako Wielkie Zgromadzenie. Rozumiesz to?

Hochopepa zmieszał się.

– Nie jestem pewien, ale myślę... Mów dalej.

– Jeżeli taki właśnie pogląd przyjmiemy za prawdziwy, to teraz rozważmy następne.

Drugi jest następujący. Nigdy nie wolno dopuścić do sytuacji, kiedy konieczność utrzymania stabilności przekreśla konieczność wzrostu.

– Ale przecież u nas przez cały czas jest wzrost! – sprzeciwił się Hochopepa.

– Nieprawda – zareplikował Milamber. – Wy jedynie zawsze powiększaliście stan swego posiadania, co może się wydawać wzrostem, jeśli spojrzeć na to powierzchownie.

Zastanów się, co się działo z waszą sztuką, muzyką, literaturą, badaniami naukowymi w czasie, kiedy wasze wojska wpisywały w wasze granice coraz to nowe ziemie. Nawet chełpiące się wielkimi osiągnięciami Zgromadzenie, tak naprawdę nie robi nic więcej poza tym, że stale udoskonala to, co już dawno jest znane. Zarzuciłeś mi pośrednio wcześniej, że marnuję czas, szukając nowych sposobów „miotania energią”. Co w tym złego? Nic. Jednak z pewnością jest coś nie tak ze społeczeństwem, dla którego „nowe” oznacza automatycznie „podejrzane”.

Hocho, rozejrzyj się dookoła. Wasi artyści są zaszokowani, ponieważ opisałem to, co widziałem na obrazach w młodości. Kilku młodych malarzy uległo fascynacji. Wasi muzycy poświęcają cały swój czas na uczenie się starych melodii i pieśni, by wykonywać je perfekcyjnie, co do nutki, a nikt nie komponuje nowych. Powstają jedynie coraz to bardziej

wyrafinowane wariacje na temat utworów sprzed kilkuset lat. Nikt nie pisze nowych powieści, powtarza się tylko w kółko stare. Hocho, wasz lud popadł w beznadziejną stagnację. Tocząca się wojna to tylko jeden przykład. Nie ma dla niej absolutnie żadnego usprawiedliwienia.

Została rozpętana z nawyku, by utrzymać pewne grupy u władzy, by wzbogacić tych, którzy już teraz opływają w dostatki czy wreszcie, by toczyć te wasze Gry Rady. A jaką cenę płacicie!

Każdego roku marnuje się niepotrzebnie tysiące istnień ludzkich, istnień, które tworzą, które są Imperium; jego własnych obywateli. Cesarstwo jest jak kanibal pożerający własnych ludzi.

Starszy mag był wstrząśnięty do głębi słowami Milamberta, które ukazywały mu obraz dokładnie odwrotny w stosunku do tego, który tkwił w nim samym: energiczne społeczeństwo, tętniąca życiem, barwna sztuka.

– Po trzecie – ciągnął Milamber – jeśli moim podstawowym obowiązkiem jest służba Imperium, a porządek społeczny tego Cesarstwa jest przyczyną jego wewnętrznej stagnacji, zatem zobowiązany jestem zmienić ten porządek, nawet gdybym musiał go zniszczyć.

Hochopepa poderwał głowę zaszokowany. Logika wywodu Milamberta była bez zarzutu, lecz z drugiej strony, zaproponowane rozwiązanie stanowiło potencjalne zagrożenie dla tego wszystkiego, co Hochopepa znał i wysoko cenił w życiu.

– Chociaż rozumiem, co mówisz, jest to jednak zbyt trudne do ogarnięcia umysłem w jednej chwili.

– Zwróć uwagę, Hocho – powiedział Milamber uspokajającym tonem – że nie twierdzę, iż zniszczenie istniejącego porządku społecznego jest jedynym rozwiązaniem. Wspomniałem o takiej możliwości, by cię poruszyć do głębi i uzmysłwić ci wagę sprawy. Jak widzisz, w swoich badaniach nie zajmuję się wyłącznie widocznym na zewnątrz mistrzostwem w posługiwaniu się energią, lecz także naturą społeczeństwa Tsuranich i Imperium. Wierz mi, Hocho, że jestem gotów poświęcić temu zagadnieniu tyle czasu, ile będzie trzeba, by je zgłębić. Wkrót-

ce zamierzam poszperać dokładniej w archiwach.

Hochopepa wpatrywał się z napięciem w twarz młodszego kolegi.

– Ostrzegam cię. Bądź przygotowany, że natkniesz się tam na materiały, które mogą wprowadzić niepokój i zamęt do twego serca i umysłu. Jak już powiedziałem, twoja nauka nie jest jeszcze ukończona.

Milamber pochylił się w stronę gościa.

– Ja już znalazłem materiały, które nie dają mi spokoju, Hocho. Wiele rzeczy, które powszechnie przyjęło się uważać za prawdę, opartych jest na fałszu.

– Pamiętaj, Milamber – Hochopepa zaniepokoił się – że są rzeczy zastrzeżone do wyłącznej wiadomości członków Zgromadzenia, lecz poruszanie pewnych tematów nie jest rozsądne, nawet między naszymi braćmi w magii. – Zamyślił się na chwilę, patrząc w bok. – Wiedz jednak, że kiedy skończysz szperać w starych, zakurzonych księgach i zwojach spoczywających w zatęchłych lochach archiwum i zapragniesz z kimś przedyskutować swoje odkrycia, zawsze będę gotów cię wysłuchać. – Spojrzał na przyjaciela. – Lubię cię i uważam, że jesteś dla nas jak odświeżający podmuch wiosennego wiatru, lecz nie zapominaj, że wielu wolałoby cię widzieć martwym. Lepiej nie rozpowiadaj szeroko o swych studiach nad społeczeństwem. Jeżeli chcesz pogadać o tym, zawiadom mnie albo Shimone.

– Zgoda. Ja też chcę, abys pamiętał o jednym, Hocho. Kiedy dojdę do konkretnych wniosków, co należy uczynić, zacznę działać.

Hochopepa wstał. Na jego twarzy malowała się głęboka troska.

– Nie chodzi o to, że nie zgadzam się z tobą, przyjacielu, potrzebuję po prostu więcej czasu, aby przemyśleć i ogarnąć lepiej to, co mi powiedziałaś.

– Hocho, nie mogłem powiedzieć ci nic poza prawdą, choćby była ona nie wiem jak trudna i niepokojąca.

– Bardzo to sobie cenię, Milamber. – Hochopepa uśmiechnął się ciepło. Muszę się nad tym poważnie zastanowić. – Powracało mu zwykłe, przekorne poczucie humoru. – Może udałbyś się ze mną do Zgromadzenia? Nie było cię dłuższy czas. Wiem, byłeś zajęty budową domu i wieloma innymi rzeczami, ale dobrze by było, gdybyś się pokazał od czasu do czasu. Milamber uśmiechnął się do przyjaciela.

– Oczywiście. – Gestem ręki wskazał, by Hochopepa poszedł przodem do pokoju wzoru. Idąc rozmawiali.

– Jeśli chcesz lepiej poznać naszą kulturę, Milamber, w dalszym ciągu nalegam, abyś pojawił się na obchodach Festiwalu Cesarskiego. W ciągu tego jednego dnia, siedząc na ławkach wokół areny, można będzie zaobserwować więcej działalności politycznej, niż spędzając miesiąc w Wysokiej Radzie.

Milamber odwrócił się do starszego przyjaciela.

– Być może masz rację. Zastanowię się nad tym.

Kiedy obaj pojawili się na wzorze Zgromadzenia, w pobliżu stał właśnie Shimone.

Widząc ich, skłonił się lekko.

– Witam. Już miałem ruszyć na poszukiwanie was. Hochopepa spojrział na niego z przekornym błyskiem w oku.

– Czyżbyśmy byli aż tak ważni dla funkcjonowania Zgromadzenia, że wysłano cię, abyś nas sprowadził? Shimone skłonił lekko głowę.

– Być może, ale nie dzisiaj. Wydawało mi się po prostu, że sprawa, która się pojawiła, może was zainteresować.

– Co się dzieje? – spytał Milamber.

– Wódz Wojny przesłał do Zgromadzenia pewne wiadomości, a Hodiku zgłosił wobec nich pytania. Pośpieszmy się. Zaraz zaczną.

Ruszyli szybkim krokiem w stronę głównej sali Zgromadzenia. Weszli do środka.

Wokół sporej, pustej przestrzeni wznosiły się amfiteatralnie rzędy prostych ławek. Zajęli miejsca w jednym z niższych rzędów. W sali znajdowało się już kilkuset Wielkich ubranych w czarne szaty. Na środku areny stał samotnie Fumita, kiedyś brat pana Shinzawai, który miał dzisiaj przewodniczyć dyskusji nad omawianą sprawą. Funkcja przewodniczącego była przydzielana drogą losowania jednemu z magów uczestniczących w obradach. Milamber od czasu, kiedy został zabrany z domu Shinzawai, tylko dwa razy widział Fumitę w Zgromadzeniu.

– Milamber – powiedział Shimone. – Ostatni raz widziałem cię pośród nas prawie trzy tygodnie temu.

– Proszę o wybaczenie, ale byłem bardzo zajęty wykańczaniem domu.

– Słyszałem. Chcąc nie chcąc stałeś się źródłem plotek na dworze cesarskim. Doszły mnie słuchy, że sam Wódz Wojny chciałby bardzo spotkać się z tobą.

– Może kiedyś.

Do rozmowy włączył się Hochopepa.

– Shimone, czy można zrozumieć człowieka, który zbudował tak przedziwny dom? –

Zwrócił się do Milambra:

– A niedługo pewnie poinformujesz nas, że się żenisz.

– Nie do wiary! – Milamber roześmiał się głośno. – Jak się domyśliłeś, Hocho?

– Żartujesz! Nie mówisz poważnie...

– A dlaczego nie miałbym się ożenić?

– Milamber, wierz mi, to nie jest rozsądny pomysł. Do dzisiaj żałuję, że się ożeniłem.

– Hocho, nie miałem pojęcia, że jesteś żonaty.

– Wolałem o tym nie mówić za głośno. Moja małżonka jest wspaniałą kobietą, chociaż



często nie potrafi powstrzymać ostrego języka i zjadliwego poczucia humoru. W moim własnym domu jestem jak jakiś sługa, którym można pomiatać do woli. Oto dlaczego widuję się z nią jedynie w czasie oficjalnych świąt. Częstsze spotkania fatalnie wpływają na mój system nerwowy.

– Milamber, kim jest twoja przyszła? – spytał Shimone. – Córką jakiegoś pana?

– Nie, to niewolnica, która pracowała ze mną w majątku Shinzawai.

– Hm... niewolnica... – rozmarzył się Hochopepa. – Tak, są jeszcze szanse...

Milamber ryknął śmiechem, a Shimone zachichotał pod nosem. Kilku magów spojrzało w ich stronę ze zdziwieniem. Teren Zgromadzenia nie był zazwyczaj miejscem radości i śmiechu.

Fumita podniósł rękę, sala uciszyła się.

– W dniu dzisiejszym Zgromadzenie będzie rozważać sprawę wniesioną przez Hodiku.

Chudy Wielki z ogoloną głową i haczykowatym nosem podniósł się z ławy przed

Milamberem i Hochopepa i poszedł w stronę środka areny.

Obrzucił wzrokiem zgromadzonych magów, a następnie przemówił.

– Przybyłem dzisiaj, by mówić o Imperium. – Była to oficjalna formuła, którą

otwierano wszystkie sprawy wnoszone przed Zgromadzenie. – Będę mówił dla dobra

Imperium – dodał, kończąc rytuał. – Chciałbym poddać pod obrady Zgromadzenia zgłoszone w

dniu dzisiejszym żądanie Wodza Wojny, by udzielić mu wsparcia i pomocy, aby mógł rozsze-

rzyć działania wojenne w świecie zwanym Midkemią.

Z ław buchnęły szydercze okrzyki: „Polityka!”, „Wracaj na miejsce” i inne. Po chwili

Shimone i Hochopepa zerwali się na równe nogi, krzycząc wraz z innymi: „Pozwólcie mu

mówić!” Fumita wznosił rękę i uciszył salę. Po kilku minutach zebrani uspokoili się na tyle, że

Hodiku mógł kontynuować.

– Mieliśmy już w przeszłości podobną sytuację. Piętnaście lat temu Zgromadzenie przesłało do Wodza polecenie, by zakończył wojnę przeciwko Konfederacji Thuril.

Inny mag zerwał się z miejsca.

– Gdyby kontynuowano na północy podbój Thuril, zostałyby zbyt mało oddziałów, by powstrzymać w tym roku migrację Thunów na południe. Sprawa była jasna: chodziło o ocalenie prowincji Szetac oraz Świętego Miasta. Teraz północne granice są bezpieczne. Sytuacja jest zupełnie inna niż wtedy.

Z ław krzyczano nieustannie, podając coraz to inne argumenty za i przeciw. Dopiero po kilku minutach udało się Fumicie przywrócić porządek. Hochopepa wstał z miejsca.

– Chciałbym usłyszeć powody, dla których Hodiku uważa, że to żądanie jest tak istotne dla bezpieczeństwa Imperium. Przecież każdy mag, który chce, może się włączyć bez przeszkód do podboju.

– Słuszna uwaga – odpowiedział Hodiku. – Rzeczywiście, nie ma najmniejszego powodu, by ci, którzy stoją na stanowisku, że wojna prowadzona w innej przestrzeni i czasie jest rzeczywiście w interesie Imperium, nie włączyli się, udzielając jej swego poparcia i pomocy. Nie zapominajmy, że bez pomocy Czarnych Szat, którzy już wcześniej służyli Wodzowi, w ogóle nie byłoby możliwe otwarcie tak wielkiej i trwałej szczeliny dla tego przedsięwzięcia. Nie mogę się natomiast zgodzić z tym, by Wódz wysuwał żądania wobec Zgromadzenia jako takiego. Jeśli pięciu czy sześciu magów postanowi służyć praktycznie tej sprawie, czy nawet zdecyduje się, ryzykując własnym życiem, udać się do tamtego świata, by walczyć na polu bitwy, to jest to ich wybór i sprawa. Jeśli jednak chociaż jeden mag odpowie na to żądanie, nie rozważywszy pierwaj szczegółowo całego zagadnienia, będzie to oznaczało, że Zgromadzenie zostało poddane woli Wodza Wojny.

Kilku magów nagrodiło oklaskami wyrażoną przez Hodiku obawę. Inni wydawali się

rozważać w sercu plusy i minusy. Tylko kilku wrzeszczało szyderczo i wyśmiewało mówcę.

Hochopepa znowu powstał.

– Chciałbym coś zaproponować. Podejmuję się wysłać w imieniu Zgromadzenia pismo do Wodza Wojny, w którym poinformuję go z żalem, że Zgromadzenie jako takie nie jest władne polecić żadnemu magowi, by działał zgodnie z jego żądaniem, jednak niech czuje się upoważniony, by prosić o służbę każdego z nas, który wyrazi na to zgodę.

Po sali rozszedł się pomruk aprobowający sugestię. Fumita przedstawił propozycję

Hochopepy formalnie.

– Hochopepa proponuje, że wyśle w imieniu Zgromadzenia pismo do Wodza określające naszą politykę w przedstawionej kwestii. Czy ktoś się sprzeciwia? – Kiedy nikt nie zgłosił sprzeciwu, zwrócił się do Hochopepy: – Zgromadzenie dziękuje Hochopepie za jego rozwagę i mądrość.

Na chwilę zamilkł.

– Jeszcze jedna sprawa wymaga naszej uwagi: stwierdzono, że moralne wartości reprezentowane przez nowicjusza Shiro nie kwalifikują go do Wyższej Sztuki. Kontakt myślowy ujawnił, że żywi wobec Imperium nieprzyjazne uczucia, które zaszczepiła mu babka ze strony matki, z pochodzenia Thuril. Czy Zgromadzenie wyraża zgodę?

Ręce wzniosły się w górę. Wokół każdej dłoni roztaczała się barwna poświata informująca, za czym każdy z nich głosuje. Kolor zielony oznaczał życie, czerwony – śmierć, a niebieski wstrzymanie się od głosu. Tylko Milamber się wstrzymał. Reszta, jak jeden mąż, głosowała za śmiercią. Jeden z magów powstał i Milamber wiedział, że już za chwilę nowicjusz zostanie ogłuszony, po czym zostanie teleportowany na dno jeziora, gdzie jego pozbawione życia ciało pozostanie na zawsze, zbyt zimne, by kiedykolwiek wypłynąć na powierzchnię.

Po zakończeniu obrad Shimone podszedł do Milambra.

– Powinieneś pojawiać się tu częściej. Prawie cię nie widzimy. Zbyt wiele czasu spędzasz w samotności.

– Tak, to prawda. – Milamber uśmiechnął się. – Postanowiłem, że od jutra to się zmieni.

W domu rozległ się dźwięk gongu i służba rzuciła się, by przygotować się na powitanie Wielkiego. Kamatsu, pan Shinzawai, wiedział, że mag uderzył w gong na terenie Zgromadzenia, chcąc uprzedzić gospodarza, że za chwilę pojawi się u niego w domu.

Laurie i starszy syn gospodarza siedzieli w pokoju Kasumiego pogrążeni po uszy w grze pashawa, w której używano malowanych kartoników. Gra ta była niezwykle popularna we wszystkich piwiarniach na terenie Midkemii, a teraz służyła jako jeszcze jeden element wszechstronnego wykształcenia młodego Tsuraniego, który postanowił do perfekcji poznać i opanować różne aspekty życia w świecie Lauriego.

Kasumi powstał.

– To pewnie mój były wuj. Muszę iść.

– A może to tylko pretekst – Laurie uśmiechnął się filuternie – by nie przegrać zbyt wiele, co? Tsurani potrząsnął głową.

– Obawiam się, że własnymi rękami sprowadziłem kłopot do własnego domu. Nigdy nie byłeś dobrym niewolnikiem, Laurie. Stajesz się coraz bardziej bezczelny i krnąbrny. Masz szczęście, że cię lubię.

Obaj roześmiali się głośno, po czym starszy syn gospodarza wyszedł. Po kilku minutach przybiegł do Lauriego usługujący w domu niewolnik z wiadomością, że pan natychmiast chce go widzieć u siebie. Laurie zerwał się na równe nogi, bardziej zaintrygowany przyczyną podekscytowania sługi niż z posłuszeństwa wobec swego pana. Poszedł szybko do pokoju gospodarza i zapukał delikatnie. Drzwi odsunęły się na bok. Kasumi dał mu znak, by wszedł do środka. Laurie przekroczył próg, spojrzał na pana i jego gościa i stanął jak wryty,

gapiąc się z niedowierzaniem.

Gość miał na sobie czarną szatę maga Tsuranich, Wielkiego, lecz twarz należała do Puga. Zaczął coś mówić, lecz przerwał w pół słowa. Znowu zaczął.

– Pug?

Pan domu spojrzał na niego wściekłym wzrokiem rozjuszony bezpośrednim zachowaniem niewolnika, lecz jego wybuch gniewu został powstrzymany przez Wielkiego.

– Czy mógłbym skorzystać z tego pokoju przez kilka minut, panie? Chciałbym pomówić z tym niewolnikiem na osobności.

– Twoja wola, Wielki. – Kamatsu, pan Shinzawai, skłonił się sztywno.

Opuścił szybko pokój w towarzystwie syna. W dalszym ciągu nie mógł się jeszcze otrząsnąć z szoku, jakiego doznał na widok byłego niewolnika. Ścierały się w nim burzliwie sprzeczne emocje. Nie mogło być mowy o żadnym oszustwie czy podstępnie, to z pewnością był Wielki, już sam sposób jego przybycia najdobitniej o tym świadczył. Jednak w głębi serca Kamatsu nie mógł pozbyć się wrażenia, że przybycie maga wróży niepowodzenie planu, który on i jego syn piastowali w sercach przez ostatnie dziewięć lat.

– Laurie, zamknij drzwi.

Laurie wykonał polecenie, a potem długo przyglądał się przyjacielowi. Wyglądał dobrze, lecz był zupełnie odmieniony. Nosił się niemal z królewskim dostojeństwem, jak gdyby czarna szata mocy, którą teraz miał na sobie, odzwierciedlała jakąś wewnętrzną siłę, której kiedyś nie posiadał.

– Ja... – zaczął i przerwał nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu wydusił z siebie: – Co u ciebie? Milamber skinął głową.

– Wszystko w porządku, stary przyjacielu. Laurie uśmiechnął się, podszedł do Milambra i objął go. Odsunął się o krok, przyglądając mu się uważnie.

– Niech no ci się przyjrzę. Milamber uśmiechnął się znowu.

– Nazywają mnie Milamber, Laurie. Chłopiec, którego znałeś kiedyś pod imieniem Pug, odszedł w przeszłość jak zeszłoroczne kwiaty. Usiądźmy, musimy porozmawiać. Usiedli przy stole. Napełnili filiżanki chochą. Laurie pociągnął łyżeczek gorzkawego napoju.

– Zapadłeś się pod ziemię czy jak? Nic o tobie nie słyszałem. Po roku uznałem cię za straconego na dobre. Przepraszam.

Milamber skinął powoli głową.

– To system, który obowiązuje w Zgromadzeniu. Od maga oczekuje się, by zerwał wszelkie kontakty z przeszłości poza tymi, które dają się podtrzymać z towarzyskiego punktu widzenia. Nie mając własnej rodziny czy klanu, nie musiałem się niczego wyrzekać. A ty zawsze byłeś biednym niewolnikiem, który nigdy nie miał swego miejsca pod słońcem. Któż mógłby być lepszym przyjacielem dla renegata, barbarzyńskiego maga?

Laurie kiwnął głową.

– Cieszę się, że wróciłeś. Zostaniesz?

– Moje miejsce nie jest tutaj. – Milamber pokręcił przecząco głową. – Poza tym mam pracę, którą się muszę zająć. Zostałem właścicielem majątku koło miasta Ontoset. Przybyłem po ciebie i Katalę, jeżeli... – Głos mu zamarł, jakby bał się dokończyć pytania.

Laurie wyczuł cierpienie przyjaciela.

– Ciągle tu jest i nie wyszła za męża. Nie mogła zapomnieć o tobie. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Na bogów Midkemii! Zupełnie wyleciało mi z głowy. Przecież nie mogłeś wiedzieć.

– Czego?

– Masz syna.

– Syna? – Milamber wyglądał, jakby dostał obuchem w głowę.

Laurie zaśmiał się.

– Urodził się w osiem miesięcy po tym, jak cię zabrano. To wspaniały chłopak. A

Katala jest wspaniałą matką. Milamber ochłonął nieco i nie posiadał się z radości.

– Laurie, proszę, możesz ich tutaj sprowadzić?

– Natychmiast. – Laurie zerwał się na równe nogi. Wybiegł z pokoju. Milamber

siedział, próbując zwalczyć za pomocą magicznych technik uspokajających umysł ogarniające go emocje.

Drzwi rozsunęły się na boki i w progu ujrzał Katalę. Stała niepewnie nie wiedząc, co powiedzieć i jak się zachować. Za nią stał Laurie z liczącym około czterech lat chłopczykiem na rękach.

Milamber powstał szybko i rozłożył ramiona. Katala rzuciła mu się w objęcia. Niewiele brakowało, a popłakałby się z radości. Stali przez chwilę, obejmując się mocno.

– Myślałam, że odszedłeś na zawsze – szepnęła. – Miałam cały czas nadzieję... ale sądziłem, że już nie wrócisz.

Stali tak jeszcze długo, smakując radość płynącą z wzajemnej bliskości. Odsunęła się trochę od niego.

– Pug, musisz poznać swego syna.

Laurie podszedł z chłopczykiem bliżej. Mały patrzył na Milambra ogromnymi, brązowymi oczami. Był mocno zbudowany i bardzo przypominał matkę. Jednak kiedy przechylił głowę w bok, można było zauważyć podobieństwo do chłopaka z zamku Crydee.

Katala wzięła go z rąk Lauriego i podała Milamberowi.

– William, to twój tata.

Dziecko przyjęło tę informację dość sceptycznie. Zaryzykował co prawda i uśmiechnął

się nieśmiało, lecz starał się zachować bezpieczną odległość.

– Chcę na dół – powiedział nagle.

Milamber roześmiał się i postawił dziecko na podłodze. Mały popatrzył w górę na ojca, po czym momentalnie przestał się nim interesować.

– O! – krzyknął i podbiegł do szachownicy pana Shinzawai. Po chwili bawił się już w najlepsze figurami. Milamber przyglądał mu się długo.

– William?

Katala stała tuż obok, obejmując go mocno w pasie, jakby obawiając się, że za chwilę może go znowu stracić. Laurie powiedział:

– Chciała, żeby chłopak miał imię z Midkemii, Milamber. Katala spojrzała na niego zaskoczona.

– Milamber?

– To moje nowe imię, kochana. Musisz się przyzwycząić, aby mnie tak nazywać.

Zachmurzyła się niezbyt zadowolona z nieoczekiwanej zmiany. – Milamber – powtórzyła, jakby smakując nowe imię. Wzruszyła ramionami. – Może być.

– Skąd się wzięło imię William?

Laurie podszedł do chłopca, który usiłował postawić jedną figurę na drugiej, i delikatnie odebrał mu szachy. Mały spojrzał na niego ze złością. – Chcę się bawić – powiedział z oburzeniem.

Laurie wziął go na rękę.

– Podałem jej kilkanaście imion i wybrała to.

– Spodobało mi się jego brzmienie... William. Słyszac swoje imię, mały spojrzał na matkę.

– Jestem głodny.



– Proponowałem, aby nazwać go James lub Owen, ale ona uparła się – powiedział

Laurie, kiedy mały usiłował wyrwać się z jego objęć.

Katala wzięła dziecko.

– Muszę go nakarmić. Zaprowadzę go do kuchni. – Pocałowała Milambra i wyszła.

Mag stał przez dłuższą chwilę w ciszy.

– To znacznie więcej, niż miałem nadzieję zastać. Bałem się, że może znalazła sobie kogoś innego.

– Nie ona, Pu... Milamber. Nie chciała mieć do czynienia z żadnym innym, a wielu starało się o jej względy. To dobra kobieta. Zawsze będziesz mógł na nią liczyć, nigdy się nie zawiedziesz, zobaczysz.

– Wiem, Laurie.

Usiedli. Od strony drzwi doszło ich dyskretne kasłanie. W progu stał Kamatsu.

– Czy mogę wejść, Wielki?

Milamber i Laurie chcieli wstać, lecz pan domu powstrzymał ich gestem ręki.

– Ależ nie, siedźcie, proszę.

Za ojcem wsunął się do pokoju Kasumi. Milamber zauważył dopiero teraz, że syn gospodarza miał na sobie takie ubranie, jakie nosiło się na Midkemii. Zdziwiony uniósł brew, lecz nie odezwał się ani słowem.

Kamatsu był wyraźnie zmieszany i zaniepokojony. Z trudem usiłował zebrać myśli. Po dłuższym milczeniu zwrócił się do maga.

– Wielki, czy mogę być z tobą całkiem szczery? Twoje dzisiejsze przybycie do nas było tak nieoczekiwane, a poza tym może się okazać przyczyną pewnych trudności...

– Ależ proszę. Nie chciałbym być źródłem zamieszania w twoim domu, panie. Pragnę tylko zabrać moją żonę i synka, a także tego oto niewolnika – powiedział, wskazując na

Lauriego.

– Twoja wola, Wielki. Kobieta i chłopiec powinni oczywiście pójść z tobą, lecz pozwól mi, błagam cię, zostawić u siebie niewolnika.

Milamber spoglądał to na jednego, to na drugiego. Obaj Shinzawai panowali jakoś nad sobą, lecz ze sposobu, w jaki patrzyli na siebie i na Lauriego, przebijał wielki niepokój. W ciągu ostatnich pięciu lat musiały zajść tu jakieś zasadnicze zmiany. Wzajemne stosunki pomiędzy zebranymi w pokoju nie były już związkiem, jakiego należało oczekiwać od panów i ich niewolnika.

– Laurie? – Milamber spojrzał w oczy przyjaciela. – O co chodzi?

Laurie zerknął najpierw na ojca i syna, a potem na Milambra.

– Jestem zmuszony prosić cię, abys coś mi obiecał. Kamatsu aż się zachłusnął z oburzenia i szoku.

– Laurie! Za wiele sobie pozwalasz. Nie wolno targować się z Wielkim. Jego słowa są prawem. Milamber wznosił rękę.

– Nie. Pozwól mu mówić.

Laurie spojrzał na niego błagalnym wzrokiem.

– Nie znam się na tych sprawach, Milamber. Wiesz dobrze, że nie przejmuję się formami... Być może łamię reguły i zwyczaje, ale proszę cię w imię naszej dawnej przyjaźni, abys zachował w absolutnej tajemnicy, tylko dla siebie, to wszystko, co usłyszysz w tym pokoju.

Mag przez dłuższą chwilę zastanawiał się. Mógł co prawda polecić staremu Shinzawai, by mu wszystko wyjawiał, i Kamatsu uczyniłby to natychmiast, jak żołnierz wykonujący rozkaz, jednak przyjaźń trubadura miała dla niego wielką wartość.

– Daję ci słowo, że nie powtórzę nikomu tego, co tutaj usłyszę.

Laurie odetchnął z ulgą i uśmiechnął się. Obaj Shinzawai odprężyli się nieco.

– Dobiłem z moimi panami targu. Jeżeli uda mi się wykonać pewne zadanie, to odzyskam wolność.

– To niemożliwe. – Milamber pokręcił przecząco głową. – Prawo nie zezwala, by obdarzać niewolnika wolnością. Nawet sam Wódz, gdyby chciał, nie może uwolnić niewolnika.

– A ty sam? – Laurie uśmiechnął się. Milamber spojrzał na niego ostro.

– Ja jestem poza prawem. Nikt nie może mi rozkazywać. Czyżbyś twierdził, że jesteś magiem?

– Ależ skądże, Milamber. Daleki jestem od tego. To prawda, tutaj mogę być tylko niewolnikiem. Ale mnie tu nie będzie. Wrócę na Midkemię.

Milamber spojrzał na niego zaskoczonym wzrokiem.

– Jak to możliwe? Istnieje tylko jedna szczelina i pozostaje ona pod całkowitą kontrolą magów wysługujących się Wodzowi Wojny. Nie ma żadnej innej, bo bym o niej musiał wiedzieć.

– Mamy pewien plan. Jest bardzo skomplikowany i wymagałby długiego tłumaczenia.

Krótko mówiąc, polega na tym, że będę towarzyszył Kasumiemu przebrany za kapłana Czerwonego Turkamu. Kasumi będzie dowodził oddziałem żołnierzy, którzy mają zastąpić tych na froncie. Nikt nie zauważy mego wzrostu, ponieważ kapłanów Czerwonego omija się raczej z daleka. Wszyscy żołnierze są lojalni wobec Shinzawai. Kiedy znajdziemy się już na Midkemii, przekradniemy się przez linię frontu i dotrzemy jakoś do wojsk Królestwa.

Milamber pokiwał powoli głową.

– No tak, rozumiem teraz, skąd lekcje języka i ten strój. Powiedz mi jednak, Laurie, czy w zamian za odzyskanie wolności chcesz szpiegować na rzecz Tsuranich? – W jego głosie nie

było dezaprobata, tylko proste pytanie o fakty.

Laurie poczerwieniał na twarzy.

– Nie idę tam jako szpieg, lecz jako przewodnik. Mam zaprowadzić Kasumiego do Rillanonu, by mógł się spotkać z Królem.

– Po co? – zdziwił się Milamber. Do rozmowy wtrącił się Kasumi.

– Idę, by spotkać się z waszym Królem i zaproponować pokój.

Milamber zaproponował.

– Na jakiej podstawie sądzicie, że można zakończyć wojnę, jeżeli Partia Wojny sprawuje ciągle całkowitą kontrolę nad Wysoką Radą?

– Przemawia za tym jeden istotny argument – odpowiedział Kamatsu. – Wojna trwa już od dziewięciu lat, a jej końca nie widać. Wielki, nie jest moją intencją pouczać cię, lecz jeśli pozwolisz, chciałbym naświetlić szerzej parę aspektów tej sprawy.

Milamber skinął lekko głową, dając znak, by gospodarz mówił dalej. Kamatsu napił się chochy i kontynuował.

– Od zakończenia wojny przeciwko Konfederacji Thuril Partia Wojny jest poddawana stałym naciskom, by utrzymać swoją dominację w Wysokiej Radzie. Każda, nawet najmniejsza potyczka z oddziałami Thuril na granicy sprawiała, że w Radzie natychmiast podnosiły się krzyki, by wznowić działania wojenne. Kiedy dochodziło do głosowania, Partia Wojny z trudem utrzymywała minimalną większość, i to dzięki potyczkom z Thuril oraz powtarzającym się napadom Tłumów przez północne przełęcz, by odzyskać utracone ziemie na południu. Niewiele brakowało, a dziesięć lat temu koalicja pod przewodnictwem Partii Błękitnego Koła wysadziłaby ich z siodła, ale wtedy właśnie Zgromadzenie odkryło ten przeskok do twojej byłej ojczyzny. Z chwilą, gdy odkryto, że są u was bogate złoża metali, w Radzie podniosła się wojenna wrzawa. W jednej chwili poszły na marne nasze wysiłki i osiągnięcia kilku lat.

Natychmiast próbowaliśmy przeciwstawić się temu szaleństwu. Z tego, co nam powiedział Laurie, wynika, że kruszce dobywane pod ziemią, to jedynie mizerne pozostałości w porzuconych dawno kopalniach. Złoża są tak nikłe, że lud zwany przez was Krasnoludami nie sądzi, aby warto je było dalej eksploatować. Zatem argument bogactwa metali odpada, to jedynie pretekst dla Tsuranich, by ponownie wznieść sztandar wojenny i przelewać krew.

Znasz, Wielki, naszą historię. Wiesz dobrze, jak trudno nam przychodzi rozstrzygać konflikty w pokojowy sposób. Sam byłem żołnierzem i dobrze znam chwałę wojenną, ale i niepotrzebne straty i cierpienie, które z sobą niesie. Laurie przekonał mnie, że moje podejrzania co do zwykłych mieszkańców Królestwa były słuszne. Nie jesteście ludem wojowniczym. Wbrew temu, co robią wasi panowie i ich armie, wy sami wolelibyście raczej handlować z nami.

Milamber przerwał mu.

– To wszystko prawda, lecz mam wątpliwości, czy ma to znaczenie w obecnym stanie rzeczy. Mój były naród, jeśli nie liczyć przygranicznych starć z goblinami na północy czy wzdłuż granic Keshu, nie uczestniczył w żadnych poważnych działaniach wojennych od ponad pięćdziesięciu lat. Teraz bębny wojenne huczą na całym zachodzie. Armie Królestwa poniosły znaczne straty, jest wielu zabitych i rannych. Kraj został napadnięty bez żadnej przyczyny. Nie wydaje mi się, aby byli skłonni ot tak po prostu zakończyć walki i przebaczyć. Z pewnością należy oczekiwać żądań wypłaty odszkodowań wojennych. Czy Wysoka Rada będzie gotowa poświęcić honor Tsuranuanni i zadośćuczynić za zło wyrządzone rękami żołnierzy?

Pan Shinzawai zmieszał się.

– Rada nie, jestem tego pewien. Lecz Cesarz na pewno tak.

– Cesarz? – zdziwił się Milamber. – A co on ma z tym wspólnego?

– Ichindar, niech błogosławieństwo niebios spocznie na nim, jest zdania, że wojna

zubaża kraj. W czasie wypraw przeciwko Thuril nauczyliśmy się, że niektóre granice są po prostu zbyt długie i zbyt oddalone od centrum kraju, by je można było skutecznie kontrolować. Koszty takich działań znacznie przewyższają wartość i znaczenie zwycięstwa. Światłość Niebios dobrze rozumie, że nie można walczyć na większym i bardziej oddalonym froncie niż ten, który obsadzamy teraz na Midkemii. Cesarz postanowił osobiście włączyć się do Gry Rady. Wiele wskazuje na to, że będzie to najważniejsza i największa Gra, jaka rozegrała się w historii Tsuranuanni. Światłość Niebios postanowiła zmusić Wodza Wojny do zawarcia pokoju, a nawet gdyby zaszła potrzeba, usunąć go ze stanowiska. Nie zaryzykuje jednak tak wielkiego zerwania z tradycją, jeśli nie będzie miał gwarancji, że król Rodne gotów będzie zasiąść do stołu rokowań z otwartym sercem. Cesarz musi wystąpić przed Wysoką Radą z ofertą zawarcia pokoju, mając go już w kieszeni. W przeciwnym razie będzie ryzykował zbyt wiele.

Tylko raz w dziejach Imperium doszło do królobójstwa, Wielki. Wysoka Rada oddała hołd zabójcy i obwołała go Cesarzem. Był synem tego, którego zabił. Jego ojciec próbował nałożyć podatki na świątynie. To wtedy właśnie Cesarz wziął osobisty udział w Grach Rady po raz ostatni. Może i jesteśmy twardym ludem, Wielki, nawet dla samych siebie, i jeszcze nigdy w dziejach Cesarz nie zamierzał uczynić tego, do czego dąży Ichindar, a co wielu, bardzo wielu, uzna za czyn nie do pomyślenia, za podeptanie honoru Imperium.

Jeśli jednak uda mu się przyjść do Rady z podpisanym pokojem, będzie to bezdyskusyjny znak, że bogowie udzielili temu przedsięwzięciu swego błogosławieństwa, i nikt nie odważy się wystąpić przeciw niemu.

– Wiele ryzykujesz, panie Shinzawai.

– Kocham swój naród i Cesarza, Wielki. Bez wahania oddam życie za ojczyznę na polu walki, tak jak narażałem je często, kiedy byłem młodszy, w czasie wypraw przeciwko Thuril. Zaryzykuję me życie, życie moich synów, honor mego domu, rodzinę i cały klan, by

doprowadzić Imperium do opamiętania. Tak jak Cesarz. Jesteśmy cierpliwym ludem. Plan działania był opracowywany od wielu, wielu lat. Partia Błękitnego Koła już dawno sprzymierzyła się potajemnie z Partią Pokoju. W trzecim roku wojny wycofaliśmy się z niej, by ośmieszyć Wodza i zorganizować szkolenie Kasumiego, które ma go przygotować do zbliżającej się podróży. Zanim ty, Wielki, i Laurie zostaliście sprowadzeni z obozu jako nauczyciele Kasumiego, my ponad rok spędziliśmy już w nieustannych podróżach do wielu panów, członków Partii Błękitnego Koła i Partii dla Pokoju, zapewniając sobie ich wsparcie i współpracę, by każdy dobrze odegrał swoją rolę w Grze Rady.

Jesteśmy Tsuranimi i Światłość Niebios nie pozwoliłaby na wszczęcie wstępnych kroków, nie mając wtajemniczonego i przygotowanego posłańca. Tym posłańcem, jak wiesz, Wielki, uczyniliśmy Kasumiego, przygotowując go najlepiej, jak tylko potrafiliśmy, by zwiększyć szansę bezpiecznego dotarcia do waszego byłego Króla. Musieliśmy działać w ten sposób. Jeżeli nasze starania zakończą się niepowodzeniem, a ktoś spoza kręgu wtajemniczonych dowiedziałyby się o tym, polecą wiele głów, w tym i moja. Taka jest cena dla przegrywających w Grze. Jeśli zabierzesz Lauriego, Wielki, Kasumi będzie miał bardzo niewielką szansę dotarcia do Króla, a wysiłki zmierzające ku zakończeniu wojny zostaną zawieszane do czasu, aż znajdziemy innego, godnego zaufania przewodnika, co z pewnością potrwa dwa lub trzy lata. Sytuacja jest krytyczna. Partia Błękitnego Koła po kilkuletnich negocjacjach z Partią Wojny jest ponownie częścią Koalicji na Rzecz Wojny. Wkrótce wyślemy na front kilka tysięcy ludzi, by ułatwić Kasumiemu przedostanie się do twojej byłej ojczyzny. Wkrótce nadejdzie właściwy moment. Musisz rozważyć, co oznacza nawet jeden, kolejny rok wojny. Gdyby Wodzowi udało się podbić wasze ziemie, jego pozycja może się stać zbyt mocna, by podejmowane przez nas kroki były w stanie zmienić sytuację.

Milamber zastanawiał się przez dłuższy czas w milczeniu.

– Kiedy ma to nastąpić? – spytał Kasumiego.

– Już wkrótce, Wielki. To sprawa zaledwie kilku tygodni. Wódz Wojny ma wszędzie swoich szpiegów. Wiemy, że pewne informacje o naszych planach już do niego dotarły. Nie ma wielkiego zaufania do nagłego zwrotu Partii Błękitnego Koła w Radzie, lecz z drugiej strony, nie może sobie pozwolić na to, by nie skorzystać z naszej pomocy. Dobrze wie, że najbardziej potrzebne jest mu w tej chwili wielkie, spektakularne zwycięstwo. Zaplanował na wiosnę zmasowane uderzenie na główne siły Królestwa, wojska księcia Borrica i Brucała. Ofensywa ma się rozpocząć tuż przed Festiwalem Cesarskim, tak by Wódz Wojny mógł osobiście ogłosić zwycięstwo w czasie Cesarskich Gier dla swej osobistej chwały.

– To tak jak gambit w końcówce w szachach, Wielki. Druzgocące zwycięstwo dostarczy Wodzowi wszystkich potrzebnych argumentów, by całkowicie kontrolować Wysoką Radę. Postanowiliśmy zaryzykować i wziąć w tym udział, szykując się do ostatniego ruchu. W czasie przygotowań do ofensywy na froncie będzie zamieszanie i bałagan. To najlepszy moment, by Kasumi i Laurie przemknęli przez linie. Jeżeli król Rodne wyrazi zgodę. Światłość Niebios pojawi się przed Wysoką Radą, ogłaszając oficjalnie zawarcie pokoju. Z tą chwilą wszystko, na czym opiera się siła i wpływy Wodza Wojny, legnie w gruzach.

Milamber pochylił głowę, rozważając to, co usłyszał.

– Myślę, że podjąłeś się zrealizować bardzo śmiały plan, panie Shinzawai. Dotrzymam słowa i nic nikomu nie powiem. Laurie może zostać z wami. – Spojrzał na przyjaciela. – Niech bogowie naszych przodków strzegą cię i sprawią, by twe działania zostały uwieńczone sukcesem. Modlę się, by wojna zakończyła się szybko. – Wstał. – Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, opuszczę was. Chciałbym zabrać żonę i dziecko i wrócić do domu.

Kasumi wstał i ukłonił się.

– Chciałbym powiedzieć jeszcze jedno. Wielki. Milamber dał znak, by mówił dalej.



– Dawno temu, kiedy poprosiłeś, by Katala została twoją żoną, a ja powiedziałem, że twoja prośba zostanie odrzucona, dodałem również, że istniały ku temu powody. Chcieliśmy, byś i ty także powrócił do swojej ojczyzny. Mam nadzieję, że rozumiesz to teraz. Jesteśmy twardym ludem, to prawda, Wielki, ale nie jesteśmy okrutni.

– Tak, stało się to oczywiste z chwilą wyjawienia waszego planu. – Spojrzał na Lauriego. – Ze względu na to, kim jestem teraz, moja ojczyzna jest tutaj, lecz gdzieś głęboko, w zakamarkach serca pozostała nie zmieniona część mego starego ja i dlatego zazdroszczę ci, że wracasz do ojczyzny. Zawsze będziesz gościł w moim sercu, stary przyjacielu. Powiedziawszy to, Milamber wyszedł z pokoju. Na zewnątrz, w ogrodzie zastał czekającą na niego Katalę. Patrzyła z czułością na bawiącego się w pobliżu syna. Podbiegła do Milamberta i objęła go mocno, smakując słodkie uczucie ponownego spotkania. Po długiej chwili odsunął ją od siebie i spojrzał jej w oczy.

– Chodź, kochana, trzeba zaprowadzić naszego syna do naszego domu.

## **WEWNĘTRZNA HARMONIA**

Martin płakał cicho.

Wielki Łowczy Crydee stał na skraju polany na granicy lasów Elvandar nad trzema poległymi w boju Elfami. Ich pozbawione życia ciała leżały na ziemi. Ramiona i nogi powykrzywiane były pod niemożliwymi kątami, a jasne twarze pokrywała krew. Martin doskonale wiedział, co śmierć oznacza dla Elfów, u których jedno czy najwyżej dwoje dzieci w rodzinie na sto lat było normą. Jedną z tych twarzy była mu doskonale znana. To Algavins, od lat dziecińczych towarzysz Galaina, który nie miał nawet trzydziestu lat i w świecie Elfów był zaledwie dzieckiem.

Usłyszał za sobą czyjeś kroki. Otarł szybko łzy, a twarz przybrała zwykły dla niego, beznamiętny wyraz. Usłyszał za plecami głos Garreta.

– O parę kroków dalej, u dołu szlaku, leży następna grupka. Tsurani przeszli w tym miejscu jak zły wiatr.

Martin przyjął wiadomość kiwnięciem głowy, po czym ruszył bez słowa dalej. Garret podążył za nim. Mimo że jeszcze bardzo młody, Garret był z pewnością najlepszym tropicielem Martina i teraz obaj przemykali lekko przez las, kierując się w stronę Elvandaru. Po kilkugodzinnym marszu przekroczyli rzekę na zachód od enklawy Tsuranich. Po pewnym czasie, gdy pograżyli się w bezpiecznych ostępach puszczy Elfów, usłyszeli zza drzew głos.

– Witaj, Marunie Długi Łuk.

Zatrzymali się obaj i czekali. Po chwili spomiędzy drzew niepostrzeżenie, jakby znikąd, wyszły trzy Elfy. Galain i jego dwaj towarzysze zbliżyli się do Martina i Garreta. Martin wskazał w stronę rzeki, a Galain pokiwał głową. Tylko tyle im wystarczyło, by potwierdzić, że obaj wiedzieli o śmierci Algavinsa i innych. Garret, chociaż daleko mu było jeszcze do poznania wszystkich subtelności życia Elfów, spostrzegł tę krótką wymianę gestów.

– Tomas? Calin? – spytał Martin.

– Radzą z Królową. Przynosisz jakieś wieści?

– Wiadomość od księcia Aruthy. Idziecie na Radę? Na twarzy Galaina pojawił się charakterystyczny dla Elfów półuśmieszek, przejaw ironicznego poczucia humoru.

– Tym razem padło na nas. Mamy pilnować tego przejścia. Musimy zostać przez jakiś czas. Przyjdziemy, jak tylko Krasnoludy przekroczą rzekę. Powinni tu być lada chwila.

Komentarz nie uszedł uwagi Martina. Pożegnali się i po chwili ruszyli w dalszą drogę do Elvandaru. Zbliżając się do polany otaczającej drzewne miasto Elfów, Martin zastanawiał się nad powodem wyłączenia Galaina i innych młodych Elfów z kręgu Rady. Od kiedy Tomas zamieszkał na stałe w Elvandarze, byli oni jego wiernymi towarzyszami. Martin był tam ostatni

raz na krótko przed oblężeniem Crydee, lecz w czasie tych kilku lat rozmawiał wielokrotnie z posłańcami natalskimi, którzy kursowali z wiadomościami pomiędzy Księciem a Elvandarem. Kilka razy też gawędził godzinami z Długim Leonem i Grimsworthem z Natalu, którzy nie byli raczej rozmowni, kiedy przebywali z dala od swoich, ale ponieważ w Wielkim Łowczym z Crydee wyczuwali pokrewną duszę, w jego towarzystwie nie byli tacy ostrożni i rozwiązywały im się języki. Martin był jedynym człowiekiem, poza strażnikami z Natalu, który mógł przekroczyć granice Elvandaru bez zaproszenia. Obaj jego rozmówcy opowiadali o wielkich zmianach, jakie zaszły na dworze królowej Elfów i Martin poczuł dziwny, cichy niepokój. Biegając swobodnym, długim krokiem, zbliżali się coraz bardziej do Elvandar.

– Łowczy, czy oni nikogo nie wyślą po ciała poległych w bitwie towarzyszy? – spytał Garret. Martin zatrzymał się i wsparł na łuku.

– Nie mają takiego zwyczaju. Pozwolą po prostu, aby puszcza zajęła się nimi, ponieważ wierzą, że ich dusze już dawno przebywają na Błogosławionych Wyspach. – Zamilkł na chwilę. – Spośród wszystkich tropicieli, jakich znałem, Garret, ty jesteś najlepszy. – Milczący młody towarzysz Martina aż poczerwieniał z radości, słysząc komplement. To nie pochlebstwo, chłopcze, a jedynie proste stwierdzenie faktu. Mówię o tym, ponieważ gdyby coś mi się przytrafiło, ty najprawdopodobniej zajmiesz moje miejsce.

Tępawy zwykle i trochę ponury wyraz twarzy Garreta zmienił się błyskawicznie.

Zaczął z uwagą słuchać słów Martina.

– Jeżeli stanie się coś, co mnie zabierze z tego życia, chciałbym mieć nadzieję, że pozostanie ktoś, kto zapobiegnie rozejściu się dróg Elvandar i świata ludzi.

Garret kiwnął z przekonaniem głową.

– Tak, chyba rozumiem.

– Musisz, Garret. Byłoby bardzo źle i smutno, gdyby każda z ras poszła swoją drogą. –

Martin mówił spokojnie i z namysłem. – Będziesz musiał poznać ich wierzenia, najlepiej jak tylko potrafisz, lecz o kilku rzeczach musisz wiedzieć już teraz. Szczególnie w czas wojny. Czy pamiętasz, jak mówiło się o niektórych kapłanach, że potrafią z powrotem przywołać zmarłego, jeśli od śmierci nie minęła więcej niż godzina?

– Słyszałem o tym, chociaż nie spotkałem nikogo, kto by twierdził, że widział to na własne oczy, ani nikogo, kto by znał naoczego świadka.

– To prawda. Ojciec Tully tak twierdzi, a przecież z pewnością nie należy do ludzi, którzy w sprawach wiary coś by kręcili czy zmyślali. – Spuścił wzrok. – Opowiem ci taką oto historię. Pewien ważny kapłan, nie wiem z jakiego zakonu, stwierdził w jakimś momencie, że oddalił się bardzo od bogów i związał z ludźmi i ich ziemskim życiem. Zdjął więc swoje wspaniałe szaty i złote ozdoby, założył prostą szatę z samodziału i został wędrownym mnichem. Błąkał się po pustkowiach, szukając w sobie pokory. Zrządzenie losu zaprowadziło go do Elvandaru, gdzie natknął się na dopiero co zmarłego na skutek nieszczęśliwego wypadku Elfa. Elf umarł dosłownie na kilka minut przed przybyciem kapłana. Ponieważ kapłan włada potężnymi mocami i pragnął gorąco dzielić się swym darem ze wszystkimi potrzebującymi, zaczął przywoływać Elfa ze śmierci. Jednak został powstrzymany przez jego żonę. Kiedy zapytał, dlaczego nie chce powrotu męża, odpowiedziała: „Nie ma u nas takiego zwyczaju. On jest już teraz w o wiele lepszym miejscu niż ten świat, a jeśli nawet uda ci się go stamtąd odwołać, to powróci wbrew własnej woli, a my będziemy cierpieć. Oto dlaczego nigdy nie wypowiemy jego imienia. Nie chcemy, aby w naszych głosach wyczuł tęsknotę i ból i powrócił pocieszyć nas, lecz kosztem swego własnego szczęścia”. Z tego, co wiem, żaden Elf nie został nigdy wyrwany z objęć śmierci i przywrócony życiu.

Ktoś powiedział mi kiedyś, że żaden Elf nie może ożyć w wyniku ludzkich działań. Inni mówią z kolei, że Elfy nie mają prawdziwej duszy i dlatego nie mogą powrócić. Wydaje mi się,

że oba poglądy są fałszywe, a same Elfy, dzięki znacznie bardziej czułym zmysłom niż nasze, wiedzą dużo lepiej, gdzie jest ich miejsce w świecie.

Garret milczał przez dłuższą chwilę, rozważając słowa Martina.

– To bardzo dziwna historia, Łowczy. Co spowodowało, że mi ją opowiedziałeś?

– Śmierć tamtych Elfów i twoje pytanie. Chciałem ci pokazać, jak bardzo się od nas różnią i że musisz mieć uszy i oczy szeroko otwarte, by poznać ich życie. Spędzisz pośród nich jakiś czas.

– Czy opowieść o zmarłym Elfie i kapłanie jest prawdziwa?

– Tak. Dopiero co zmarły Elf był królem Elfów, mężem królowej Aglaranny. Działo się to trzydzieści lat temu i byłem zaledwie chłopcem, lecz dobrze to zapamiętałem. Kiedy zdarzył się wypadek, znajdowałem się w grupie polujących i spotkałem kapłana.

Garret nic nie odpowiedział. Martin założył łuk i ruszyli w dalszą drogę.

Po krótkim biegu dotarli na skraj Elvandar. Martin zatrzymał się. Garret patrzył na gigantyczne drzewa z szeroko otwartymi z podziwu ustami. Chociaż promienie chylącego się ku zachodowi słońca kładły się dopiero w lesie długimi cieniami, jednak górne konary drzew już jarzyły się migotliwym, magicznym światłem.

Martin wziął Garreta pod ramię i delikatnie popychając, prowadził rozglądającego się chłopaka w stronę dworu królowej Elfów. Wszedł w krąg Rady i pozdrowił władczynię.

Aglaranna rozpromieniła się na jego widok.

– Witaj, Martinie Długi Łuk. Minęło dużo czasu, od kiedy gościłeś u nas po raz ostatni.

Martin przedstawił Garreta, który niezdarnie skłonił się przed Królową. W tej samej chwili na otwartej platformie dworu Elfów pojawiła się inna postać, do tej pory ukryta w cieniu.

Martin dorastał razem z dziećmi Elfów i kiedy było trzeba, potrafił doskonale skrywać

swoje emocje, jednak teraz wygląd Tomasa wstrząsnął nim do głębi i niewiele brakowało, a krzyknąłby głośno ze zdziwienia. Z trudem powstrzymał cisnące się na usta słowa i zmusił się, by nie patrzeć nieustannie w tamtym kierunku. Usłyszał, jak stojący obok Garret aż zachłysnął się z wrażenia. Słyszeli co prawda to i owo o zmianach, jakie zaszły w Tomasie, lecz nic nie było w stanie przygotować ich obu na widok górującego nad nimi olbrzyma. Spoglądały na nich obce oczy i niewiele pozostało ze szczęśliwego, wiecznie roześmianego chłopaka, który kiedyś wędrował za Martinem przez las, błagając o opowieści o Elfach, czy kopał piłkę z Garretem. Tomas podszedł do nich bliżej i bez odrobiny ciepła w głosie zapytał sucho:

– Jakie wieści z Crydee? Martin wsparł się na łuku.

– Księżę Arutha przesyła serdeczne pozdrowienia – powiedział do Królowej – oraz ma nadzieję, że Królowa pozostaje w dobrym zdrowiu. – Zwrócił się do Tomasa, który najwyraźniej uzurpował sobie jakieś prawo do rozkazywania w radzie Królowej. – Arutha przesyła następującą wiadomość: Czarny Guy, księżę Bas-Tyra sprawuje teraz rządy w Krondorze, a więc nie należy spodziewać się posiłków dla Dalekiego Wybrzeża. Ponadto Księżę ma poważne powody przypuszczać, że obcy planują wkrótce rozpoczęcie wielkiej ofensywy. Nie wie tylko, czy ruszą przeciwko Crydee, Elvandarowi, czy na armie księcia Borrica. Jedno wszakże można stwierdzić na pewno: południowe przyczółki nie są wzmocnione posiłkami poprzez kopalnie Krasnoludów, chociaż pozycje Tsuranich są silnie obsadzone i okopane. Moi tropiciele stwierdzili niewielkie ruchy w kierunku pomocy. Arutha sądzi, że Tsurani najprawdopodobniej zaatakują armie jego ojca i Brucala. – Umilkł na chwilę, po czym dodał ciszej: – Przynoszę także wiadomość, że młody szlachcic, przyjaciel Aruthy, zginął w walce. – Poinformował zebranych zgodnie ze zwyczajem Elfów, nie nazywając zmarłego po imieniu.

Na wieść o śmierci Rolanda w oczach Tomasa zamigotał przez króciutką chwilę ognek

wzruszenia, lecz błyskawicznie zgasł.

– W czasie wojny ludzie giną – powiedział tylko martwym głosem.

Calin zauważył, że ta krótka wymiana słów między Tomaszem a Martinem była bardzo osobista. Nikt z obecnych na Radzie nie znał dobrze Rolanda, chociaż Calin zapamiętał go z wieczornej uczyty w Crydee przed laty. Martin wyraźnie zaniepokoił się reakcją Tomasa na wiadomość o śmierci przyjaciela lat chłopięcych. Książę Elfów skierował ponownie rozmowę na temat wojny.

– To logiczne. Jeżeli obcy uda się złamać potęgę Królewskiej Armii Zachodu, będą mogli się skupić nie niepokojeni na innych frontach, zdobywając szybko i bez trudu Wolne Miasta i Crydee. W ciągu roku, najdalej dwóch, nad obszarami zwanymi kiedyś Bosanią Keshu załopoce ich sztandar. Potem będą mogli bez problemów wyruszyć na Yabon, a po pewnym czasie ku bramom Krondoru.

Tomas stanął niespodziewanie przed Calinem. Sprawiał wrażenie, że chce coś powiedzieć. Oczy zwężyły mu się w wąskie szparki. Pomiędzy nim a Królową nastąpiła jednak nagle wymiana znaczących spojrzeń i Tomas cofnął się na swoje miejsce na obrzeżach kręgu Rady. Calin mówił zaś dalej:

– Jeśli obcy nie obsadzili pozycji po zachodniej stronie gór, to Krasnoludy powinny do nas wkrótce dołączyć. Było co prawda kilka pojedynczych wypadów wroga na drugą stronę rzeki, lecz brak sygnałów świadczących o tym, że może nastąpić wielki atak. Tak, sędzę, że Arutha nie myli się w swoich przypuszczeniach i jeżeli Książęta poproszą, powinniśmy przyjść im z pomocą.

Tomas nie wytrzymał i zaatakował Calina.

– Jak to? Zostawić Elvandar bez obrony? – Na jego twarzy malowała się wściekłość.

Martin patrzył przerażony jego ledwo kontrolowanym wybuchem. – Bez całkowitego po-

zbawienia puszczy Elvandaru jego obrońców nie zbierzemy wystarczającej ilości żołnierzy, która mogłaby jakoś wpłynąć na przebieg takiej bitwy.

Chociaż na twarzy Calina nie drgnął nawet jeden mięsień, w jego oczach płonął równie wielki gniew, co w Tomasie. Elf mówił spokojnym i cichym głosem.

– To ja jestem komendantem Elvandaru. Nie zostawię naszych puszczy na pastwę losu, bez ochrony. Lecz nie zapominajmy, że jeśli obcy rzeczywiście rozpoczną wielką ofensywę przeciwko wojskom Książąt, tutaj nad rzeką nie zostanie ich tyłu, aby mogli nam zagrozić. Chyba nie muszę nikomu przypominać, że od chwili kiedy pokonaliśmy ich przy pomocy czarnoksiężnika i zginęły ich Czarne Szaty, ani razu nie wystąpili przeciwko nam. Gdyby jednak ruszyli na Borrica i Brucala i losy bitwy wisiałyby na włosku, to nasze oddziały, choćby skromne liczebnie, mogłyby przeważać szalę, szczególnie gdybyśmy uderzyli w ich słabszą flankę.

Tomas zachował zimną krew i stał przez moment bez najmniejszego ruchu. Po chwili podniósł wzrok i odezwał się lodowatym tonem.

– Krasnoludy słuchają rozkazów Dolgana, a Dolgan moich. Nie przyłączą się do nas, jeśli ja ich nie wezwę do wzięcia udziału w bitwie – powiedział i bez słowa opuścił krąg Rady.

Martin spoglądał za odchodzącym Tomaszem. Czuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach. Po raz pierwszy zdał sobie w pełni sprawę z mocy, jaka drzemała w tym przedziwnym połączeniu człowieka i... tego czegoś, cokolwiek to było, co żyło w chłopcu z Crydee. Co prawda zdołał dojrzeć zaledwie odrobinę tego, co zamieszkało we wnętrzu Tomasa, lecz to wystarczyło. Tomas stał się istotą, przed którą należało odczuwać respekt i strach.

Kątem oka dostrzegł ledwo widoczną zmianę w wyrazie twarzy Aglaranny. Wstała i zwróciła się do zebranych:

– Chyba będzie lepiej, jeżeli porozmawiam teraz z Tomaszem. Jest ostatnio bardzo



rozdrażniony.

Kiedy odeszła, przypuszczenie Martina zmieniło się w pewność. Bez względu na to, co jeszcze przed chwilą widział, jedno nie ulegało wątpliwości: był oto świadkiem konfliktu pomiędzy synem królowej Elfów i jej kochankiem, a także głębokiego wewnętrznego rozdarcia Aglaranny. Na jej twarzy dostrzegł tragedię osoby schwytej w potrzask losu, gdzie nie było miejsca na cień nadziei.

Gdy Królowa zniknęła im z oczu, Calin zabrał głos.

– Martin, pojawiłeś się w samą porę. Bardzo nam trzeba twojej mądrości i roztropności.

Martin skinął głową. Odesłał Garreta, by ten znalazł sobie coś do jedzenia, a kiedy chłopak zniknął, przez długą chwilę przypatrywał się w milczeniu księciu Elfów i pozostałym członkom Rady. Tathar stał na swoim zwykłym miejscu, z prawej strony tronu Królowej. Znał właściwie wszystkich starych i zaufanych doradców Królowej. Wielu z nich to starodawni czarodzieje.

Martin siedział spokojnie czekając, aż Calin zabierze głos. Książę Elfów milczał przez dłuższą chwilę. Martin przyglądał mu się spod oka. Znał go na wylot i doskonale wyczuwał jego wewnętrzny niepokój i wzburzenie. Łowczy, kiedy był chłopcem, uważał księcia Elfów za najdoskonalsze wcielenie wszystkich cnót Elfów. A teraz, kiedy dziecinne zauroczenie bohaterem minęło, nadal darzył Calina najwyższym szacunkiem.

– Martin, spośród wszystkich tu zebranych ty jeden znałeś Tomasa, zanim nastąpiła w nim zmiana. Co możesz powiedzieć o transformacji, której skutki miałeś okazję ujrzeć na własne oczy?

Martin nie śpieszył się z udzieleniem odpowiedzi, zastanawiał się długo.

– Przez ostatnie lata nie miałem praktycznie okazji, aby je zaobserwować... aż do dzisiaj. Nie ulega wątpliwości, że przemiany, jakie w nim nastąpiły, są ogromne. Nie mam jed-

nak najmniejszego pojęcia, co oznaczają i co zwiastują... Tomas nie był złym chłopakiem, nie rozrabiał za bardzo i nie szukał zwady, był ciekaw świata i próbował badać go na własną rękę. Miał w sobie pewną delikatność i nigdy nie powstrzymywał się przed wyrażaniem swoich uczuć. Raczej zrównoważony, chociaż gdy przyjacielowi groziło niebezpieczeństwo czy go bito, mógł stracić panowanie nad sobą. W sumie był jak większość innych chłopaków w jego wieku po prostu marzycielem.

– A teraz?

Martin był zakłopotany i wcale tego nie skrywał przed zebranymi.

– Teraz... teraz jest kimś, kto nie mieści się w granicach mego pojmowania... nie wiem.

– Nie przejmuj się, Martin – odezwał się Tathar. – Twe słowa są dla nas całkowicie jasne, prawdziwe i trafne, Tomas bowiem nie mieści się także w granicach naszego pojmowania spraw tego świata.

– Spośród wszystkich ludzi – powiedział cicho Calin – ty najlepiej znasz nasze dzieje.

Wiesz dobrze o wielkiej nienawiści do czasów, kiedy przyszło nam żyć w niewoli Valheru.

Wiesz, że odrzucamy Mroczny Szlak, którym kroczyli. Obawiamy się powrotu tej strasznej mocy równie mocno, jak inwazji Tsuranich i ich Czarnych Szat. Widziałeś Tomasa... i wiesz już, co jesteśmy zmuszeni rozważyć.

Martin skinął powoli głową.

– Tak. Jego życie zostało rzucone na szalę... – Wiele młodych Elfów ślepo go naśladuje

– powiedział Tathar. – Brak im dojrzałości i rozsądku, by przeciwstawić się subtelnemu wpływowi magii Valheru, która go otacza. A Krasnoludy? Także za nim podążają, choć może niezupełnie bezkrytycznie. No cóż, nie przejęły dziedzictwa strachu, które w nas tkwi, a w jego przywództwie pokładają wiele wiary i nadziei. Nie można mieć im tego za złe. Przez te osiem lat był przecież gwarantem ich przetrwania i wielokrotnie ocalił wielu z nich od niechybnej

śmierci.

Co do Tomasa, chociaż wiemy, że w walce z najeźdźcami był dla nas wielkim błogosławieństwem, mamy jednak świadomość, że być może trzeba będzie odsunąć na bok wszelkie inne względy poza jednym: czy ten półczłowiek a pół-Valheru będzie pragnął zostać naszym panem? – Tathar spochmurniał nagle. – Bo jeśli tak, to musi zostać unicestwiony.

Martin poczuł w sercu nagły chłód. Ze wszystkich chłopców, których znał w Crydee, trzech darzył szczególną przyjaźnią: Garreta, Tomasa i Puga. Kiedy Pug dostał się do niewoli Tsuranich, odczuł to bardzo boleśnie, chociaż jak zwykle nie dał tego po sobie poznać. Nie raz, nie dwa, zastanawiał się, czy został zabity, czy też dostał się do niewoli. A teraz nadszedł czas żałoby po Tomasie, bo bez względu na to, jak się potoczą jego losy, już nigdy nie będzie tym, kim był w przeszłości.

– Czy nic nie można zrobić? – spytał Calina. Calin gestem ręki dał znak, by odpowiedzi udzielił Tathar. Stary czarodziej powiódł wzrokiem po kręgu zebranych magów i uzyskał ich cichą zgodę. Zwrócił się do Martina.

– Robimy, co tylko w naszej mocy, by doprowadzić sprawę do szczęśliwego końca.

Ciągle jednak żyjemy z obawą w sercach, że jeśli Valheru zwycięży w nim i wystąpi z całą mocą, możemy nie dać rady. Nie ma w nas nienawiści do Tomasa. Jednak jest to tak, jak z wściekłym wilkiem: choć się nad nim litujesz, to i tak nie masz wyjścia – musisz go zabić.

Martin zapatrzył się ponurym wzrokiem w światła Elvandaru migoczące na tle gęstniejącego mroku. Zawsze, jak tylko sięgał pamięcią, widok ten przynosił mu ukojenie i szczęście. Tym razem tak się nie stało. W sercu czuł teraz tylko lodowatą gorycz.

– Kiedy podejmiecie ostateczną decyzję?

– Znasz zasady naszego postępowania, Martin – odpowiedział Tathar. – Zdecydujemy wtedy, kiedy będziemy musieli zdecydować.

Martin podniósł się powoli.

– Zatem moja rada jest taka: aż do chwili, gdy postępujące w Tomasie zmiany nie wykażą poza wszelką wątpliwość, iż zmierza ku Mrocznemu Szlakowi, nie dajcie się zwieść waszym odwiecznym obawom. Odkąd pamiętam, uczono mnie zawsze, że ci, którzy teraz władają Elvandarem, mają łagodniejszą naturę i bardziej niezależne umysły, niż ci, którzy zostali uwolnieni przez Valheru. Powstrzymajcie swoją rękę aż do ostatniej chwili. Może z tego być jeszcze jakieś dobro... a jeśli nawet nie dobro, to coś, co nie jest tylko złem.

Tamar pokiwał głową.

– Dobrej udzieliłeś nam rady. Przyjmujemy ją z wdzięcznością.

Martin był przygnębiony.

– Zrobię, co tylko będę mógł. Kiedyś potrafiłem wpłynąć na Tomasa, być może uda się to i obecnie. Oddalę się teraz, aby wszystko przemyśleć w samotności, a potem poszukam go i porozmawiam z nim.

Kiedy opuścił Radę Elfów, nikt nie wypowiedział ani słowa. Dobrze widzieli, iż w tej chwili serce miał równie ciężkie jak ich własne.

Pulsowanie w skroniach nasilało się nieustannie, jeszcze nie był to ból, ale coraz bardziej dokuczliwe i denerwujące uczucie. Tomas siedział w chłodzie na polanie nad spokojną taflą śródleśnego jeziora i walczył z samym sobą. Od kiedy zamieszkał na stałe w Elvandarze, nawiedzające go sny zmieniły się w cieniste, niewyraźne majaki i wizje, na wpół zapamiętane wyrazy, urywki zdań, ledwo uchwytnie imiona. Przestały go tak bardzo niepokoić jak poprzednio, nie dominowały już w codziennym życiu wyrazistością obrazu i realnością doznań, lecz ucisk w głowie rósł, przechodząc stopniowo w tępy, uporczywy ból. Kiedy znajdował się w ogniu bitwy, ogarnięty szkarłatnym szalem, ból zniknął, lecz gdy bitwa dobiegała końca, a szczególnie wtedy, kiedy opóźniał swój powrót do Elvandar, tętniący

łomot w skroniach wracał.

Usłyszał za sobą lekkie stapanie. Nie odwracając głowy, powiedział: – Chciałbym być sam.

– Znow cię boli, Tomas? – zapytała Aglaranna. Na ułamek sekundy poczuł, że wzbiera w nim przedziwne uczucie. Przechylił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał.

– Tak – odpowiedział oschle. – Niedługo wrócę do naszych komnat. Zostaw mnie teraz samego i przygotuj się na mój powrót.

Aglaranna cofnęła się o krok, jakby otrzymała policzek. Na jej dumnych rysach pojawił się grymas bólu. Nie przywykła, aby zwracano się do niej takim tonem. Odwróciła się i szybko odeszła.

Szła przez las, a jej sercem miały sprzeczne uczucia. Odkąd uległa pożądaniu Tomasa i swemu własnemu, straciła możliwość panowania nad nim czy raczej sprzeciwiania się jego żądaniom. Oto stał się jej panem i władcą, a ona odczuwała wstyd i ból. Ich pozbawiony radości i szczęścia związek nie był z pewnością powrotem utraconych dawno uczuć, na co miała cichą nadzieję. Nie mogła się jednak wyzwolić spod obojętności i bezwładności jej wolną wolę porywów, potrzeby bycia z nim, należenia do niego. Tomas był pełen energii, silny, a czasem okrutny. Poprawiła się w myślach: nie, nie okrutny, po prostu tak bardzo różnił się od wszelkich istot, które знаła, że nie można go było nawet porównywać do nich. Nie polegało to na tym, że był obojętny na jej potrzeby. On po prostu nie był świadom, że je miała. Kiedy zbliżała się do Elvandaru, jego światełka odbijały się migotliwymi refleksami w wielkich łzach spływających jej po policzkach.

Tomas tylko w pewnym stopniu zdawał sobie sprawę, że go opuściła. Gdzieś pod kopułą tępego bólu w głowie usłyszał słabiutki, przyzywający go głos. Wyteżył słuch, by zrozumieć słowa... znał ten głos, jego barwę... wiedział przecież, kto do niego woła...

– Tomas?

„Tak”.

Ashen-Shugar patrzył w dal na spustoszone równiny, suchą, spękaną ziemię pozbawioną kropli wilgoci poza bulgoczącymi, alkalicznymi kałużami, z których wydobywały się smrodliwe, trujące wyziewy. Powiedział głośno do swego niewidzialnego towarzysza: –  
Minęło sporo czasu, odkąd rozmawialiśmy po raz ostatni.

„Tamar i inni starają się nas trzymać z daleka od siebie. Często zapominam o tobie”.

Z północy powiał cuchnący wiatr. Zimne, mdlące podmuchy. Nozdrza przewiercał na wylot wszechobecny smród rozkładu i zgnilizny. Gdzieś pod resztkami powłoki szaleństwa, które pochwyciło w swe szpony cały świat, można było wyczuć delikatne, jeszcze nieśmiałe drgnienia życia.

– Nieważne. Znowu jesteśmy razem.

„Co to za miejsce?”

Pustkowie Wojen Chaosu. Pomnik na cześć Draken-Korina. Martwa tundra, która kiedyś była tętniącymi życiem łąkami i polami. Przetrwały tu tylko nieliczne żyjące istoty. Większość ucieka na południe ku bardziej sprzyjającym i gościnnym klimatom.

„Kim jesteś?”

Ashen-Shugar zaśmiał się głośno.

– Jestem tym, kim ty się stajesz. Stanowimy jedno. Przecież sam to powtarzałeś wiele razy.

„Zapomniałem”.

Ashen-Shugar zawołał donośnym głosem i Shuruga popędził ku niemu ponad szarą równiną, nad którą kłębiły się i huczały gromami czarne chmury. Potężny smok wylądował, a jego pan wspiął się na grzbiet. Valheru rzucił od niechcienia okiem na miejsce, gdzie leżała,

miotana wichrem, kupka ciemnego popiołu, jedyny dowód istnienia Draken-Korina.

– Chodź, zobaczymy, co los nam zgotował. Shuruga uniósł się w górę ku czarnym niebiosom i poleciełi ponad martwą pustką. Ashen-Shugar, siedząc wygodnie na szerokim grzbiecie smoka, milczał, smakując podmuchy wiatru na twarzy. Lecieli, a obok przepływał czas, dzieląc się z nimi zgonem jednej epoki i narodzinami nowej. Wznosili się coraz wyżej i wyżej, ku błękitowi jasnego, wolnego od koszmarów Wojen Chaosu nieba.

„To było warte bólu i cierpienia”.

– Nie wydaje mi się. Jest w tym ukryta jakaś nauka, lecz nie potrafię zgłębić jej znaczenia. Chociaż wydaje mi się, że ty już wiesz... – Ashen-Shugar przymknął oczy.

Pulsowanie w skroniach powróciło. „Tak, pamiętam”.

– Tomas?

Tomas otworzył gwałtownie oczy. Ujrzał Galaina stojącego niedaleko, na skraju polany.

– Czy mam przyjść później?

Tomas podniósł się powoli i o ciężale z miejsca, gdzie śnił przed chwilą.

– O co znowu chodzi? – spytał zmęczonym i ochrypłym głosem.

– Oddział Krasnoludów Dolgana dotarł do zewnętrznej puszczy i czeka na ciebie koło krętego strumyka. Krasnoludy, przekraczając rzekę, napadły jeden z przyczółków obcych. – Na twarzy młodego Elfa pojawił się wesoły uśmiech. – Udało im się w końcu zdobyć jeńców.

Na twarzy Tomasa pojawił się przez moment dziwny wyraz zachwytu pomieszanego z dziką furią. Galain, obserwując spod oka reakcję wojownika w bieli i złocie, doznał w sercu przedziwnego wrażenia. Jakby nasłuchując dalekiego wołania, Tomas mówił roztargnionym głosem.

– Idź do obozu Krasnoludów. Za chwilę dołączę do ciebie. Galain wycofał się do lasu, a

Tomas nasłuchiwał uważnie. Daleki głos stawał się coraz głośniejszy.

– Czyżbym się pomylił?

Słowa odbijały się echem po ogromnej, wysoko sklepionej sali, martwej i opustoszałej po ucieczce służby. Ashen-Shugar rozmyślał ponuro, siedząc na swoim tronie. Rozmawiał z cieniami przeszłości.

– Czyżbym się pomylił? – powtórzył ciszej. „A teraz poznałeś, co to wątpliwości i niepewność”, odezwał się nie odstępujący go na krok głos.

– Ten przedziwny spokój i cisza we wnętrzu, co to jest? „To zbliża się śmierć”.

Ashen-Shugar przymknął oczy.

– Tak myślałem. Tak nieliczni wychodzili cało z bitew. To wielka rzadkość. Ja jestem ostatni... ale chciałbym jeszcze raz polecieć na Shurudze.

„Odszedł. Umarł całe wieki temu”.

– Ale przecież leciałem na nim dziś rano. „To był sen. Jak i to teraz”.

– Czy i ja też oszalałem?

„Jesteś tylko wspomnieniem. To sen zaledwie.”

– Zatem uczynię, co zaplanowano. Przyjmę nieuniknione. Kto inny nadejdzie, by zająć moje miejsce.

„I to już się stało, ponieważ to ja właśnie jestem tym, który przyszedł, wziąłem twój miecz, przywdziałem twoją zbroję i kaftan i teraz twoje zadanie jest moim. Powstrzymam tych, którzy będą chcieli zniszczyć i splądrować ten świat”.

– W takim razie kontent jestem, iż umieram. Otworzył oczy i po raz ostatni powiódł wzrokiem po sali pokrytej teraz pyłem wieków. Władca Orlich Szczytów, zamykając na zawsze oczy, rzucił jeszcze ostatnie zaklęcie. Słabnące moce, z którymi jednak nadal nikt oprócz nowych bogów nie mógł się równać na tym świecie, opuściły zmęczone ciało, wtapiając



się w zbroję i przenikając ją. Z miejsca, gdzie przed chwilą spoczywał, wzniosły się ku górze delikatne smużki dymu. Po chwili w sali pozostały jedynie złota zbroja, biały jak śnieg kaftan, tarcza i złocisto-biały miecz.

„Ja jestem Ashen-Shugar, ja jestem Tomas”.

Tomas otworzył oczy i przez dłuższy czas nie mógł pojąć, dlaczego znajduje się na polanie. Poczł wzbierającą w nim dziwną namiętność, przyływ nowych sił wlewających się we wszystkie członki ciała. W umyśle rozległ się rozdzierający, donośny głos: Jestem Ashen-Shugar, Valheru. Unicestwię każdego, kto zechce zniszczyć mój świat.

Powziąwszy straszliwe postanowienie, opuścił polanę, by odszukać miejsce, do którego Krasnoludy sprowadziły jego wrogów.

– Ach, jak to miło znowu cię oglądać, przyjacielu Długi Łuk – powiedział Dolgan, pykając zawzięcie fajkę. Nie widzieli się od czasu przypadkowego spotkania w lesie kilka lat wcześniej, kiedy Krasnoludy maszerowały na wschód od Crydee w drodze do Elvandar.

Martin, Calin i kilka Elfów przyszli, aby zobaczyć jeńców wziętych przez Krasnoludy.

Czekali teraz związani w rogu polany, mierząc tych, którzy ich pojмали, ponurym i zawziętym wzrokiem. Na polanie pojawił się Galain.

– Tomas przyjdzie wkrótce.

– Dolgan, powiedz mi, jak to jest – powiedział Martin – że po tylu latach udało ci się pojmać jeńców, a do tego zdobyć jeden z przyczółków wroga?

Za grupą ośmiu spętanych wojowników stali żałośnie wyglądający, przestraszeni i niepewni swego losu niewolnicy Tsuranich. Dolgan machnął od niechcienia ręką.

– Zazwyczaj robimy wypady przez rzekę i kiedy się wycofujemy, jeńcy, którzy są albo nieprzytomni, albo niezbyt skorzy do współpracy, przeszkadzają nam, hamując odwrót. Tym razem nie mieliśmy specjalnego wyboru, ponieważ musieliśmy przeciąć rzekę Crydee. Jeszcze

kilka lat temu pewnie czekalibyśmy aż do nocy, by przejść ją cichcem, lecz w tym roku rozlokowali się wzdłuż brzegu tak gęsto, że nie da się wcisnąć nawet szpilki.

Wytropiliśmy ten oddziałek w odosobnionym miejscu. Składał się tylko z tej ósemki pilnującej niewolników. Byli zajęci naprawą okopów, które zostały uszkodzone, jak sądzę, w czasie jednego z ostatnich wypadów Elfów. Obeszliśmy ich cichcem dookoła, a potem kilku moich chłopaków wspięło się na drzewa, chociaż nie mogę powiedzieć, aby byli tym specjalnie zachwyceni. Najpierw załatwili trzech wartowników na zewnętrznych posterunkach, skacząc na nich z góry. Uciszyli ich, zanim ci zdążyli podnieść alarm. Pozostała piątka, śmierzące lenie, drzemała sobie w najlepsze. Wkradliśmy się do obozu i po kilku sprawnych i właściwie skierowanych ciosach młotem związaliśmy ich jak świnie. Reszta – wskazał kciukiem na niewolników – była zbyt przestraszona, by wydać z siebie choć jeden dźwięk. A potem, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że Tsurani z sąsiednich posterunków nie zorientowali się w niczym, postanowiliśmy ich tu przyprowadzić. Szkoda, żeby zostali nad rzeką. Pomyśleliśmy sobie, że może uda się z nich wyciągnąć coś ciekawego.

Dolgan ze wszystkich sił starał się zachować obojętny wyraz twarzy, lecz duma z wyczynu jego oddziału aż tryskała z oczu jak płonąca w mroku nocy latarnia.

Martin uśmiechnął się, gratulując zwycięstwa, i zwrócił się do Calina.

– Mam nadzieję, że dowiemy się, co czeka nas w najbliższej przyszłości. Czy ofensywa, której tak się obawiamy, nastąpi, a jeśli tak, to na którym froncie. Nauczyłem się co prawda kilku zwrotów w ich języku, ale nie poznałem go na tyle dobrze, by zrozumieć, co będą odpowiadali. Tylko ojciec Tully oraz mój tropiciel, Charles, posługują się płynnie językiem Tsuranich. A może spróbujemy przewieźć ich do Crydee?

– Mamy sposoby, by opanować ich mowę, pod warunkiem że będziemy dysponowali dostateczną ilością czasu. Mam wątpliwości, czy będą skłonni zachowywać się poprawnie w

czasie ewentualnej drogi do Crydee. Znając ich, można raczej przypuszczać, że przy każdej nadarzającej się okazji będą się starali podnieść alarm.

Martin rozważał w myślach słowa Elfa. W pewnej chwili ciszę przerwało jakieś zamieszanie za plecami. Odwrócił się.

Na polanę wbiegał właśnie długimi krokami Tomas. Dolgan powstał, by go powitać, lecz coś w wyrazie twarzy młodego wojownika i jego zachowaniu powstrzymało go. W oczach Tomasa dostrzegł szaleństwo. Opętanie, którego przebliski zauważył już kilka razy wcześniej, a które teraz świeciło pełnym, niczym nie stłumionym blaskiem.

Tomas przyjrzał się uważnie jeńcom, po czym wyciągnął powoli miecz z pochwy i skierował ostrze w ich stronę. Z jego ust wydobyły się słowa, które brzmiały obco zarówno w uszach Martina, jak i Krasnoludów, a które poruszyły Elfów do głębi i wstrząsnęły nimi. Kilku starszych padło na kolana, wznosząc ku niebu błagalną modlitwę. Młodsze Elfy odskoczyły do tyłu porażone podświadomym strachem. Jedyne Calin wytrwał, chociaż widać było po nim, że jest zszokowany. Po chwili odwrócił się powolutku w stronę Martina, a jego twarz była biała jak płótno.

– O bogowie, stało się! Prawdziwy Valheru zstąpił pomiędzy nas... – powiedział cichym i drżącym głosem.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na pozostałych, Tomas podszedł do pierwszego z brzegu, spętanego jeńca Tsuranich, a ten spojrzał na niego wzrokiem, w którym czaił się jednocześnie strach i wyzwanie. Nagłym i niespodziewanym ruchem złocisty miecz wznosił się wysoko w górę i śmignął w dół jak błyskawica. Głowa jeńca potoczyła się po ziemi. Na biały kaftan trysnęła krew, pokrywając go szkarłatnymi plamami. W okamgnieniu jednak krew jakby wyparowała, a kaftan lśnił znowu nieskazitelną bielą. Ze zbitej ciasno grupki niewolników wznosił się przeciągły, głuchy jęk. Związani żołnierze patrzyli przerażeni szeroko otwartymi

oczami. Powolnym, spokojnym ruchem Tomas obrócił się w kierunku kolejnego jeńca i znowu miecz zabrał kolejne życie.

Nadludzkim wysiłkiem woli Martin wyrwał się z paraliżującego zmysły szoku i zmusił się do zwrócenia wzroku w inną stronę, by nie patrzeć na rzeź. Czuł w sercu straszne, niewytłumaczalne przerażenie, lecz to było nic w porównaniu z uniżeniem i zwierzęcym strachem Elfów. Na twarzy Calina malowała się dzika wewnętrzna walka, kiedy za wszelką cenę chciał pokonać w sobie instynktowne poddanie się słowom wypowiedzianym w starożytnym języku Valheru, języku panów wszechświata, władców zamierzchłych wieków. Młodsze Elfy, nie tak dobrze obyte ze starodawną wiedzą, po prostu nie rozumiały, skąd się w nich brała przemożna, wprost obezwładniająca potrzeba posłuszeństwa wobec tego człowieka w złocie i bieli. Język Valheru nadal i niezmiennie był językiem władzy i mocy.

Tomas odwrócił się na moment od rzezi. Martina poraziła ogromna siła jego spojrzenia. Ostatnie okruchy, pozostałości po chłopcu z Crydee prysnęły jak bańka mydlana. Teraz jego życiem zawładnęła niepodzielnie obcy byt, nieznana istota. Ramię Tomasa odchyliło się do tyłu w zamachu. Martin sprężył się, by wykonać unik przed ciosem. Każda istota ludzka była potencjalną ofiarą i nawet Krasnoludy cofnęły się przed przerażającą grozą emanującą z Tomasa. Po sekundzie w jego oczach rozbłysła na krótki moment iskierka świadomości. Rozpoznał Martina.

– Martin – odezwał się dalekim, jakby nieziemskim głosem – na miłość, którą cię kiedyś darzyłem, uciekaj stąd, bo w przeciwnym razie twoje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Martin, mimo że obezwładniał go strach, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył, zebrał resztki odwagi.

– Nie będę stał i przyglądał się beczynnie, jak z zimną krwią zarzynasz bezbronnych! –

krzyknął.

W odpowiedzi ponownie zabrzmiał daleki głos, w którym pobrzmiwał majestat pradawnych dziejów i odzyskana potęga.

– Ci ludzie przybyli do mojego świata, Martin. Nikt nie ma prawa pożądać ziemi, która jest moim królestwem, która pozostaje pod moją władzą i której ja bronię, ja i tylko ja! Czy i ty, Martinie, chcesz wejść do mego świata? – Tomas odwrócił się na pięcie z nadludzką szybkością i na ziemię zważyło się bez głów dwóch następnych Tsuranich.

Martin nie wytrzymał i zaatakował, przebywając dzielącą ich przestrzeń jednym skokiem. Odepchnął Tomasa od więźniów. Wczepieni w siebie runęli na ziemię. Martin chwycił za nadgarstek ręki trzymającej złoty miecz.

Martin, silny jak tur, który mógł nieść na plecach całymi kilometrami upolowanego byka, nawet nie mógł marzyć, by się równać z Tomaszem. Z łatwością, jakby podnosił z ziemi niesfornego niemowlaka, Tomas odepchnął Martina, po czym błyskawicznie poderwał się na nogi. Łowczy znowu skoczył na niego, lecz tym razem Tomas czekał gotowy. Chwycił po prostu Martina za ubranie i przyciągnął do siebie.

– Nikt nie będzie się sprzeciwiał mej woli – powiedział i cisnął Martina ponad łąką, jakby ten ważył dziesięć razy mniej niż w rzeczywistości. Leciał w powietrzu wysokim łukiem, machając rękami i nogami i starając się kontrolować upadek. Gruchnął o ziemię z głuchym sieknięciem wyciśniętego z płuc powietrza.

Dolgan rzucił się mu na pomoc, ponieważ wszystkie Elfy nadal stały jak w transie, zahipnotyzowane wydarzeniami dookoła. Wódz Krasnoludów chlusnął wodą z bukłaka w twarz Martina i potrząsnął nim energicznie, by mu przywrócić przytomność. Kiedy po chwili Martin doszedł do siebie, powitały go zduszone okrzyki przerażonych niewolników przyglądających się rzezi Tsuranich.

Potrząsając głową i mrugając oczami, starał się odzyskać ostrość widzenia. Potworne sceny rozgrywające się przed jego oczami pływały i rozmywały się w rozedrganym wirze. Kiedy wreszcie przejrzał, aż wciągnął powietrze przez zaciśnięte z przerażenia zęby. Tomas zwałił na ziemię ostatniego żołnierza i zbliżał się powoli do skurczonych i sparaliżowanych strachem niewolników. Z przerażenia nie mogli wykonać najmniejszego ruchu. Oczami wychodzącymi z orbit patrzyli oniemiała na tego, który niósł im zagładę. W tym momencie przypominali Martinowi stadko saren schwytyanych nagle nocą przez smugę światła. Z ust Martina wydobył się upiorny, gardłowy ryk, kiedy Tomas zabił pierwszego niewolnika, żałośnie wyglądającego, wątłego mężczyznę. Wielki Łowczy próbował zerwać się na nogi. W głowie mu wirowało. Dolgan pomógł mu, wspierając go swym ramieniem. Tomas wznosił swój miecz i kolejny niewolnik padł martwy na ziemię. Złocista klinga błysnęła, wznosząc się znowu ku górze. Tomas wpatrywał się martwym wzrokiem w twarz następnej ofiary. Okrągłe ze strachu oczy, małe, nie więcej niż dwunastoletni chłopak, patrzył jak sparaliżowany, czekając na cios, który zakończy jego życie.

Niespodziewanie czas jakby przerwał krępujące go więzy. W umyśle Tomasa pojawił się unieruchomiony obraz z przeszłości. Przypatrywał się z uwagą ciemnej grzywie rozrzuconych w nieładzie włosów i wielkim, brązowym oczom chłopca. Dziecko przykucnęło, przywierając do ziemi, i czekało na wiszącą ponad głową śmierć. Kręciło machinalnie głową, a usta powtarzały w kółko bezgłośnie jedno słowo: – Nie... nie... nie...

W słabym świetle nad polanką Tomas ujrzał nagle starego ducha, niewyraźną wizję dawno zapomnianego przyjaciela. Wiąz, którą zapamiętał z najwcześniejszych lat dziecińczych, połączyła się na powrót ze świadomością. Przed oczami wirowały zamazane obrazy, przeszłość mieszała się z terażniejszością.

– Pug? – zapytał niepewnym głosem.

Jego umysł rozdarł potworny ból. Inna wola próbowała odzyskać władzę nad nim.

„Pug!” – krzyczał głos.

„Zabij go!” – wyrwała się ochrypla z wściekłości odpowiedź. W jego umyśle i sercu trwało zmaganie się dwóch przeciwstawnych woli.

„Nie!” – krzyczała jedna.

Dla wszystkich zgromadzonych na polanie wyglądał jak zamarły posąg. Jego targanym wewnętrzną walką ciałem wstrząsały dreszcze. Wysoko wzniesiony do góry miecz czekał na sygnał, by opaść w dół.

„To wróg! Zabij! Zabij!”

„To chłopiec! To tylko mały chłopiec!”

„To wróg!”

„Chłopiec!”

Twarz Tomasa pokryła się maską bólu. Zaciśnięte zęby. Naprężone do granic wytrzymałości mięśnie napinały skórę czaszki. Oczy robiły się coraz większe i bardziej okrągłe. Spod hełmu po czole i policzkach ściekały strużki potu.

Martin podniósł się chwiejnie na nogi. Poruszał się z trudem i powoli. Każdy krok ściągał mu twarz grymasem bólu.

Ramię Tomasa powolutku, centymetr po centymetrze opuszczało się w dół, drżąc w paroksyzmach toczących się we wnętrzu zmagania. Chłopiec trwał nieporuszenie jak w transie, tylko jego oczy śledziły ruch miecza.

„Ja jestem Ashen-Shugar! Jestem Valheru!” – śpiewał głos w sercu w nieokiełznanym nurcie gniewu, szaleństwa walki i żądzy krwi.

Naprzeciw tego oceanu wściekłości trwała samotna skała, spokojny, cichy głos, który powtarzał z prostotą: „Ja jestem Tomas”.

Ogromne fale ślepej wściekłości przewalały się z hukiem raz po raz przez skałę spokoju, pochłaniając ją w swej otchłani, wycofywały się po chwili z sykiem i szumem, by powracać znowu i znowu. Lecz za każdym razem fala przyływu malała, opadała. Stercząca niewzruszenie skała stawała się bardziej widoczna i wyraźna, wznosząc się coraz wyżej i wyżej ponad wściekłe bałwany. Umysł Tomasa rozdzierały głuche trzaski i grzmoty zamierzchłych, przesywających go na wskroś dawno minionych wieków. Zatoczył się, a po chwili popłynął ponad obcym krajobrazem, szukając błyszczącego punkciku światła, o którym wiedział, że jest drogą do wolności. Fale miały nim na wszystkie strony, a on ze wszystkich sił starał się utrzymać głowę ponad dławiącymi wodami czarnego oceanu. Przerażliwy, zły wiatr był złowroźnie ponurą pieśń. Tomas odparował cios wichury i znowu ujrzał w oddali punkcik światła. I znowu, jak poprzednio, fala czarnego przyływu przykryła go, odrzucając od celu, lecz tym razem była słabsza. Ponowił wysiłki, by dotrzeć do światełka, i wtedy nastąpiło jeszcze jedno, ostatnie i przerażające spiętrzenie fali, zakończone totalnym, niepowstrzymanym atakiem. „Jestem Ashen-Shugar!” W tym momencie nastąpiło przesilenie, złamanie woli, która pękła, jak trzaskająca pod ciężarem świeżo spadłego śniegu sucha gałąź, jak huk pękających lodów pod pierwszym dotknięciem wiosennych podmuchów, jak gdyby ostatni, zmasowany atak przyniósł straty, których nie można już odrobić.

Furia czarnego oceanu wyparowała gdzieś bezpowrotnie, fale uspokajały się, cichł wiatr. A on znowu stał twardo nogami na ziemi, samotna skała. „Jestem Tomas”. Iskrzący się daleko na horyzoncie począł gwałtownie rosnać w oczach, pędził ku niemu, był coraz bliżej i bliżej, aż wziął go w swoje świetliste objęcia.

„Jestem Tomas”.

– Tomas!

Zamrugał gwałtownie oczami. Znowu był na polanie. Tuż przed nim przywarł do ziemi



skulony chłopiec czekający na śmierć. Tomas odwrócił lekko głowę i ujrzał Martina, który stał o parę kroków z napiętym do granic wytrzymałości łukiem i wymierzoną w niego strzałą.

Wielki łowczy Crydee mówił coś do niego.

– Tomas, odłóż natychmiast miecz, bo jeśli tego nie uczynisz, to na bogów, zginiesz tam, gdzie stoisz.

Wzrok Tomasa powędrował wokół polany. Krasnoludy i kilka starszych Elfów stało z dobytą bronią, gotowe do walki. Calin, ciągle dygoczący na całym ciele, wyciągnął miecz i zbliżał się do niego powoli.

Martin obserwował Tomasa w napięciu, nie ze strachu, lecz ponieważ zdawał sobie sprawę z jego przerażającej siły i nadludzkiej szybkości. Czekał spokojnie. W oczach widział ciągle rozjarzone migotanie szaleństwa. Po paru chwilach ujrzał wyraźnie, jakby z oczu przyjaciela podniósł się nagle całun, szara zasłona. Tomas spojrzał na niego jasnym wzrokiem. Żłocisto-biały miecz wypadł z rozchylnych palców, a blade, prawie bezbarwne oczy napełniły się łzami. Tomas padł na kolana, a z ust wyrwał mu się przeciągły i mrozący krew w żyłach jęk rozpacz.

– Martin! – krzyknął rozdzierającym serce głosem. – Kim ja się stałem?

Martin zdjął strzałę z cięciwy i opuścił łuk, nie spuszczać jednak wzroku z Tomasa, który niezdarnie podnosił i przypasywał miecz. Na polanie pojawił się Tamar w towarzystwie innych czarodziejów. Zbliżyli się szybkim krokiem do Tomasa, a potem przyjrzeni się uważnie reszcie zgromadzonych na łące. Tomas łkał tak przeraźliwie i boleśnie, był tak przepojony smutkiem i nie dającym się ukoić żalem, że wiele Elfów zaczęło płakać wraz z nim.

Tamar zwrócił się do Martina.

– Odczuliśmy niedawno, że tkanina naszych czarów i zaklęć została rozdarta na kawałki i przybyliśmy natychmiast. Obawialiśmy się, że pojawił się Valheru... i chyba słusznie.

– Teraz?

– Druga szala równowagi... Nie ma najmniejszych wątpliwości, że Valheru został raz na zawsze wyparty, lecz teraz chłopiec musi odczuwać potworny ciężar długich wieków nieubłaganych, krwawych rzezi i mieć straszne poczucie winy z powodu radości mordowania. Te ciężary doświadczane przez śmiertelnych stały się ponownie jego udziałem. Zobaczymy, czy uda mu się przetrwać i wytrzymać, bo niewyobrażalny ból, żal i smutek mogą się dla niego zakończyć śmiercią.

Martin opuścił starego jak świat Elfa i podszedł spieszenie do Tomasa. Był pierwszym, w mrocznym świetle polany, który dostrzegł zmianę, jaka niepostrzeżenie zaszła w Tomasie. Zniknęły obce rysy twarzy, płonące, dzikie oczy i wyniosłe, dumne czoło. Miał przed sobą znowu Tomasa, Tomasa-człowieka, istotę ludzką, chociaż zostały w nim pewne ślady, które na zawsze miały świadczyć o przejściach, których doświadczył, cechy, które miały go zawsze wyróżniać spośród innych: spiczaste uszy Elfa i blade, prawie bezbarwne oczy. Odszedł na zawsze Władca Mocy, Starodawny, Valheru. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał dumny Władca Smoków, siedział zwinięty na ziemi, znękany, chory człowiek przerażony do granic wytrzymałości tym, co uczynił.

Kiedy Martin dotknął delikatnie jego ramienia, Tomas podniósł głowę. Zaczerwienione oczy, żalosalne i szalone z bóleści i smutku popatrzyły przez chwilę na Martina, po czym zamknęły się, jakby Tomas chciał ukryć się przed wzrokiem innych. Przez długi czas na polanie panowała absolutna cisza. Krasnoludy i Elfy patrzyły na niego w milczeniu, podobnie jak niewolnicy Tsuranich, którzy nic nie rozumiejąc, domyślali się jednak, że zdarzył się jakiś cud i że zostaną ocaleni. Wszyscy patrzyli, jak Martin Długi Łuk trzyma w objęciach, jak małe dziecko, łkającego mężczyznę w bieli i złocie, który płakał w udręce tak strasznej, że słuchający sami z trudem mogli powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

Aglaranna siedziała na swoim posłaniu, rozczesując długie, złocisto-rude włosy. Tak jak i poprzednio oczekiwała Tomasa, szarpana rozterką nadziei i obawy, że jednak się zjawi. Okrzyk z zewnątrz sprawił, że powstała. Owinęła się długą szatą i wyszła na zewnątrz. Stała na skraju platformy i patrzyła, jak grupa Elfów i Krasnoludów zbliża się ku sercu Elvandaru. Wraz z nimi nadchodził również Martin i jakieś istoty ludzkie, sądząc z ubioru, przybysze z innego świata.

Z trudem powstrzymała okrzyk. Zasłoniła usta dłońmi. W samym środku grupy kroczył Tomasz, a u jego boku mały chłopiec z zachwytem podziwiający wspaniałości Elvandaru. Aglaranna bojąc się, że to, co widzi przed sobą, jest złudą zrodzoną przez nadmierną nadzieję, bała się wykonać nawet najmniejszy ruch. Czas ciągnął się, kiedy stała jak posąg czekając. W końcu Tomasz stanął przed nią. Zostawił chłopca i podszedł bliżej. Martin wziął chłopca za rękę i pociągnął za sobą. Inni poszli w jego ślady, zostawiając Tomasa i królową Elfów sam na sam, czego oboje bardzo potrzebowali.

Tomasz wyciągnął powoli rękę i dotknął delikatnie jej twarzy, chłonąc oczami jej widok, jak wtedy, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy w Crydee. A potem, bez słowa, wziął ją w ramiona. Trzymał ją mocno w milczeniu pozwalając, by poczuła i napełniła się ciepłem miłości, które wezbrało w nim na jej widok.

Po długiej chwili przybliżył usta do jej ucha.

– Modlę się do bogów, o pani, by za każdą chwilę bólu i udręki, których doświadczyłaś przeze mnie, zechcieli mnie obdarzyć rokiem życia, abym mógł ci ofiarować radość i szczęście. Znowu jestem, pani, twym poddanym, który wielbi cię całym sercem i oddaje ci cześć. Aglaranna, zbyt szczęśliwa, by wypowiedzieć choć jedno słowo, przywarła do niego kurczowo całym ciałem, a jej męczarnie i łzy odeszły, zacierając się w niepamięci.

# EMISARIUSZ

Oddziały stały w milczeniu.

Długie kolumny żołnierzy czekały na swoją kolej, by przejść przez przetokę do świata Midkemii. Przechadzający się tu i ówdzie oficerowie pilnowali dyscypliny i spokoju. Laurie, w masce i szacie Czerwonego Kapłana, nie mógł się nadziwić władzy i pełnej kontroli, jaką oficerowie sprawowali nad swoimi ludźmi. Kodeks honorowy Tsuranich, który nakazywał wszelkie rozkazy wypełniać bez pytania, był mu zupełnie obcy.

Laurie i Kasumi szybko przesuwali się ku czołu kolumny, ku pierwszemu oddziałowi, który stał za przechodzącymi właśnie na drugą stronę. Laurie szedł na lekko ugiętych nogach i garbił się trochę, by zamaskować swój rzucający się w oczy wzrost. Tak jak mieli nadzieję, większość żołnierzy, kiedy przechodził koło nich fałszywy Czerwony Kapłan, odwracała wzrok w przeciwną stronę.

Gdy dotarli do samego czoła kolumny, Kasumi wszedł do szeregu. Jego młodszy brat, który z chwilą rozpoczęcia ofensywy awansował na dowódcę uderzenia, wydawał się nie zauważać ani spóźnienia swego dowódcy, ani przybycia wraz z nim kapłana Turakamu. Po dłużej się w nieskończoność chwili wyczekiwania nadeszła wreszcie upragniona komenda i ruszyli w kierunku lśniącej „nicości” znaczącej przetokę pomiędzy dwoma światami. Nastąpił krótkotrwały rozbłysk światła, chwilowy zawrót głowy i maszerowali już w siąpiącym deszczyku Midkemii. Spadły na nich i otoczyły wilgotnym całunem ni to mżawki, ni to gęste mgły. Żołnierze Tsuranich wychowani w gorącym klimacie owijali się szczelniej kapotami i pelerynami.

Oficer odpowiedzialny za porządek w obozie konferował krótko z Kasumim, po czym skierował ich oddział w kierunku północno-wschodnim, polecając rozbić namioty w ściśle określonej odległości od przejścia. Kasumi i Hokanu mieli się później zgłosić na odprawę do

namiotu Wodza. Sam Wódz Wojny wrócił co prawda do Kentosani, Świętego Miasta, by przygotować Cesarski Turniej, lecz jego zastępca miał ich poinstruować odnośnie zakresu obowiązków i wyznaczyć zadania dla podległych im oddziałów do czasu powrotu Wodza.

Szybkim krokiem pomaszerowali we wskazanym kierunku i sprawnie rozbili obóz.

Kiedy tylko wzniesiono namiot dowództwa, Laurie i bracia Shinzawai wsunęli się do środka.

Rozwijali szybko toboły z ubraniami i bronią Midkemii. Kasumi podniósł głowę.

– Gdy tylko wrócimy z odprawy z zastępcą komendanta, zjemy coś. Jeszcze dziś w nocy pójdziemy na patrol naszego odcinka i spróbujemy przekraść się przez linie. – Kasumi spojrzał na brata. – Wówczas, bracie, będziesz musiał ukryć naszą nieobecność tak długo, jak się tylko da. Z chwilą, kiedy nadejdą informacje o rozpoczęciu walk, będziesz mógł po prostu zameldować, że nie wróciliśmy z bitwy.

– Dobrze – zgodził się Hokanu – lecz teraz chodźmy już się zameldować.

– Nie wychodź na zewnątrz. – Kasumi spojrzał na Lauriego. – Nie chcemy niepotrzebnie ryzykować. Cholera! Jesteś najwyższym kapłanem, jakiego widziałem w życiu! Laurie kiwnął krótko głową, usiadł na poduszkach i spokojnie czekał.

Patrol przemykał bezszelestnie pośród drzew. Deszcz co prawda ustał, ale ochłodziło się gwałtownie i Laurie z trudem powstrzymywał dreszcze. Spędziwszy wiele lat w gorącym klimacie Kelewanu, stracił odporność na zimno. Zastanawiał się, jak nowe oddziały z Tsuranuanni zareagują, kiedy spadną pierwsze śniegi. Najprawdopodobniej z wystudiowaną obojętnością, bez względu na to, co będą czuli naprawdę. Żołnierz Tsuranich nigdy przecież nie pozwoli, by martwiło go coś tak trywialnego jak woda w stanie stałym padająca z nieba.

Wybrali Pomocną Przełęcz, gdzie linia frontu była najbardziej wyciągnięta i gdzie prawdopodobieństwo odkrycia ich w czasie jej przekraczania było najmniejsze. W momencie, kiedy wydostali się z doliny, natychmiast odbili bardziej na wschód, niż wymagało tego

zadanie patrolu.

Poza łagodnymi pagórkami i rzadkim lasem ciągnęła się droga z La-Mut do Zun. Po dotarciu do niej dwóch podróżników miało odłączyć się od patrolu i ruszyć do Zun, gdzie planowali kupić konie i udać się na południe. Jeżeli będą mieli szczęście, dotrą do Kronodoru w ciągu dwóch tygodni. Po zmianie wierzchowców mieli ruszyć do Saladoru, gdzie chcieli się zaokrętować na statek płynący do Rillanonu.

Jedyną przeszkodą pomiędzy nimi a drogą były spore oddziały Armii Królestwa.

Gdyby zostali wykryci przez królewski patrol, chcieli udawać podróżników, którzy zostali pochwyteni przez Tsuranich, lecz udało im się zbiec. Nie było mowy, aby ktoś wziął Lauriego za Tsuraniego. Z kolei Kasumi opanował język królewski w tak doskonały sposób, że mógł śmiało uchodzić za obywatela Królestwa pochodzącego gdzieś z Doliny Snów; w nadgranicznych rejonach Wielkiego Keshu posługiwano się kilkoma językami i lekki akcent w mowie Kasumiego był bardziej niż usprawiedliwiony.

Patrol biegł spokojnym truchtem, którym można było bez zmęczenia pokonywać całe kilometry. Laurie zdążał u boku Kasumiego, zachwycając się wytrzymałością żołnierzy. Nie widać było po nich najmniejszego zmęczenia, lecz on sam czuł wysiłek w kościach. Dobiegli do granicy sporej, otwartej równiny na skraju lasów. Hokanu zatrzymał oddział.

– Stąd ruszymy z powrotem w rejon patrolu. Nie powinniśmy się tu już natknąć na żadnych żołnierzy Tsuranich. Miejmy nadzieję, dla waszego dobra, że nie spotkamy również oddziałów królewskich.

Dał znak ręką i oddział ruszył. Kasumi i Laurie wzięli plecaki i tobołki z ubraniami.

Przez jakiś czas mieli podążać tropem patrolu, wykorzystując go jako osłonę na wypadek natknięcia się na oddział Królestwa.

Weszli w niewielką kotlinę i spostrzegli, że patrol zatrzymał się. Zamykający kolumnę

żołnierz odwrócił się do nich i przyłożywszy palec do ust, nakazał ciszę. Podkradli się do czoła oddziału. Laurie rozglądał się szybko dookoła w poszukiwaniu drogi ucieczki na wypadek kłopotów. Hokanu nachylił się ku nim.

– Przez chwilę wydawało mi się, że coś usłyszałem przed nami. Ale od kilku minut panuje absolutna cisza. Kasumi kiwnął głową.

– No to ruszajcie do przodu. Poczekamy, aż przejdziecie przez otwartą przestrzeń, a potem wejdziemy za wami do lasu.

– Wskazał ręką kępę drzew po drugiej stronie polany.

Kiedy patrol docierał do środka otwartej przestrzeni, wiatr rozwiał chmury i polanę zalało jasne światło księżyca.

– A niech to szlag trafi! – zaklął pod nosem Kasumi.

– Równie dobrze mogliby teraz iść z zapalonymi pochodniami.

Nagle pośród drzew zakotłowało się, rozległy się okrzyki. Ziemia zadrżała tętentem kopyt końskich. Spomiędzy maskujących ich, nisko zwieszonych gałęzi wypadli raptownie jeźdźcy odziani w kolczugi i henny. Pochylone piki mierzyły prosto w serca zaskoczonych Tsuranich.

Żołnierze Tsuranich ledwo mieli czas przegrupować się w prowizoryczną linię obrony, a jeźdźcy już wpadli na nich. Ciszę nocy przeszyły okrzyki i kwik koni. Konni przeszli przez Tsuranich jak nóż przez masło, pogalopowali jeszcze kawałek dalej, przegrupowali się na skraju polany, tuż koło dwóch uciekinierów, zawrócili konie i ponownie zaatakowali. Pozostali przy życiu Tsurani, mniej niż połowa oddziału, pobiegli na zachodni skraj polany, gdzie drzewa i uskok wzgórza utrudniały szarżę.

Laurie dotknął lekko ramienia Kasumiego, pokazując jednocześnie ruchem głowy w prawo. Po Kasumim widać było, że ledwo się powstrzymuje, by nie dołączyć do swoich ludzi.

Tsurani zerwał się nagle i pognął pochylony nisko, trzymając się w pobliżu skrajów drzew. Laurie popędził za nim. W pewnej chwili dostrzegł wąziutką, prawie zarośniętą ścieżkę skręcającą na wschód. Złapał Kasumiego za rękaw i wskazał w tamtym kierunku. Odwrócili się plecami do pola bitwy i ruszyli przed siebie.

Następny dzień zastał obu podróżników idących drogą do Zun. Obaj ubrani byli w wełniane koszule, spodnie i kapoty. Gdyby ktoś znający się na rzeczy przyjrzał się bliżej, mógłby stwierdzić, że materiał, z którego wykonano ich odzież, nie był wełną, lecz czymś, co bardzo ją przypominało. Pasy i buty uszyte zostały ze skóry needry, a potem ufarbowane tak, że do złudzenia przypominały świńską skórę. Stroje skrojono na modłę tych, które przeważnie widziało się na Midkemii, podobnie zresztą jak dobrano miecze u pasa.

Nie ulegało wątpliwości, że jeden z wędrowców był trubadurem, ponieważ z plecaka zwieszała się lutnia. Drugi wyglądał jak najemnik czy korsarz. Przygodny obserwator z pewnością nie odgadłby ich pochodzenia lub faktu, że u każdego z nich na dnie plecaka kryła się niewielka fortuna w kamieniach szlachetnych.

Po drodze minął ich oddział lekkiej jazdy zmierzającej na północ.

– Widzę, że od czasu, kiedy byłem tu ostatnio, sporo rzeczy uległo zmianie. Ci ludzie w lesie to byli królewscy lansjerzy z Krondoru, a ci, którzy nas teraz mijali, nosili barwy Szczytu Poszukiwacza. Musieli tu chyba ściągnąć wszystkie jednostki Armii Zachodu. Coś się szykuje.

A może dowiedzieli się jakoś o tym, że Wódz planuje rozpoczęcie wielkiej ofensywy?

– Nie wiem. Coś wisi w powietrzu i wydaje się, że sytuacja nie jest aż tak stabilna, jak nam mówiono w domu. Od śmierci pana Minwanabi i pojawienia się nowych sił w Wielkiej Grze, koalicje stały się bardzo niepewne i kruche. Być może Wódz Wojny jest bardziej zdesperowany sytuacją, niż ojciec oceniał. A koncentracja oddziałów w tym miejscu skłania mnie do podania w wątpliwość łatwego zwycięstwa Wodza. – Przez spory odcinek drogi



Kasumi milczał. – Mam nadzieję, że Hokanu znalazł się pośród tych, którzy dotarli do drzew. –

Po raz pierwszy wspomniał głośno brata i Laurie nie wiedział, co mu powiedzieć.

Dwa dni później Laurie, minstrel bawiący ostatnimi czasy w Tyr-Sog i Kenneth oraz najemnik z Doliny Snów siedzieli w Gospodzie Pod Zielonym Kotem w mieście Zun. Obaj wcinali, aż im się uszy trzęsły, ponieważ dwa ostatnie dni przebiedowali na żołnierskich racjach, sucharach i suszonych owocach.

Laurie spędził ponad godzinę, negocjując z handlarzem kamieni szlachetnych, o którego reputacji lepiej nie wspominać, i targując cenę kilku mniej szlachetnych kamieni. Zgodził się wreszcie odstąpić je za jedną trzecią rzeczywistej wartości.

– Jeżeli będzie myślał, że kamyczki zostały skradzione, nie będzie skory do zadawania zbyt wielu pytań.

– Dlaczego nie sprzedałeś mi wszystkich? – spytał Kasumi.

– Twój ojciec dał nam ich tyle, że do końca naszych dni moglibyśmy spoczywać na laurach. Wątpię, czy gdybyśmy zebrali wszystkich handlarzy z całego Zun, zdołaliby wskrobać dosyć złota, aby je kupić. Będziemy je sprzedawali pojedynczo po drodze. A poza tym nie można zapominać, że wazą znacznie mniej niż złoto.

Obaj mężczyźni skończyli posiłek, zapłacili i wyszli z gospody. Kasumi nie mógł oderwać wzroku od różnorodnych metali, które widział wszędzie dookoła. Na Kelewanie byłoby to bogactwo, które starczyłoby mu do końca dostatniego życia. Wystarczy wspomnieć, że pieniądze zapłacone srebrem za posiłek w karczmie starczyłyby na roczne utrzymanie całej rodziny Tsuranich.

Pośpieszyli jedną z głównych ulic handlowych miasta, kierując się w stronę południowej bramy. Gdy byli już prawie na miejscu, dowiedzieli się od przechodnia, że w pobliżu mieszka handlarz koni, który za uczciwą cenę sprzeda im wierzchowce i uprząż.

Odnaleźli go bez większego trudu. Był to chudy jak szczapa mężczyzna o haczykowatym nosie – miał na imię Brin. I znowu prawie godzinę Laurie spędził, targując się zawzięcie z handlarzem o dwa lepsze wierzchowce. Dobili w końcu targu, a na odchodnym usłyszeli jeszcze tyradę Brina o tym, czy sumienie pozwoli im jeszcze kiedyś zmrużyć oko w nocy, ponieważ ograbili uczciwego handlarza z pieniędzy, których potrzebował, by nakarmić głodujące dziatki.

Przejechali przez bramę, za którą rozpoczynała się droga do Ylith. Kasumi rozejrzał się po okolicy.

– Niektóre rzeczy na tej twojej ziemi zdają mi się dziwne i obce, ale kiedy usłyszałem, jak targujesz się z handlarzem, natychmiast przypomniał mi się rodzinny kraj. Nasi kupcy i handlarze są o wiele bardziej uprzejmi i nawet przez myśl by im nie przeszło, że mogą podnieść głos na klienta, ale w gruncie rzeczy i tu, i tam jest zupełnie tak samo. Oni wszyscy mają głodujące dzieci.

Laurie ryknął śmiechem, spiął konia ostrogami i pogalopował przed siebie. Po niedługim czasie miasto zniknęło im z oczu.

Na południe od Szczytu Poszukiwacza natknęli się na wojsko, tym razem były to regularne oddziały piechoty Królestwa i jednostki pomocnicze. Żołnierze maszerowali, podczas gdy oficerowie jechali konno. Laurie i Kasumi zatrzymali się na krótki popas i obserwowali maszerujące wojska. Wojownik Tsuranich przyglądał się im okiem znawcy. Regułami żołnierze w czerwonych mundurach szli porządnie, trzymając szyk i krok. Jednostki pomocnicze odziane w różnorodne stroje maszerowały w trochę luźniejszym szyku, ale i te wypadły nie najgorzej. Pochód wojska zamykały tabory. Wozy toczyły się równiutko, jeden za drugim, a doświadczeni woźnice utrzymywali właściwy dystans. Kiedy w końcu przeszli, Kasumi podszedł bliżej do Lauriego.

– Ci żołnierze są o wiele lepsi od wszystkich, których widziałem u was do tej pory. A ci w czerwieni, muszę przyznać, wyglądają zupełnie jak zawodowcy. Doskonale maszerują. Zresztą tamci drudzy też nie są najgorsi. Chociaż wyglądali jak oberwańcy, widać było, że nie z jednego pieca chleb jedli.

Laurie skinął głową.

– Rozpoznałem sztandar czerwonych – garnizon Shamata w Dolinie Snów. To doświadczona w bitwach jednostka. Nawojowali się nieźle z zagończykami z Keshu. Ci za nimi to wojska pomocnicze, najemnicy Valemen, ze świecą szukać równych im twardziel!. – Laurie znowu zaczął siodłać konia. – Tak naprawdę, Kasumi, to te łajzy doświadczeniem i walecznością dorównują twoim ziomkom.

Skończyli siodłać konie, po czym dosiedli ich i ruszyli w dalszą drogę. Nie minęło wiele czasu, kiedy objechali wzgórze Szczytu Poszukiwacza, a potem ujrzeli w oddali Morze Gorzkie.

Laurie ściągnął wodze i zapatrzył się w daleki, morski horyzont.

– Co to jest? – zapytał Kasumi. Laurie przysłonił oczy dłonią.

– Statki! Cała flota żegluje na północ. Siedział przez chwilę bez ruchu obserwując. Po pewnym czasie i Kasumi dojrzał białe punkciki na błękitcie morza.

– Dokąd płyną?

– Ylith to jedyny większy port na północ stąd. Pewnie wiozą zaopatrzenie dla wojska.

Ruszyli w dalszą drogę. Poczuli, jak narasta w nich niepokój i coraz częściej przynaglali konie do szybszego kłusu. Wszędzie dookoła widzieli oznaki nasilania się wojny, a im bardziej się ociągali, tym bardziej malały szansę powodzenia ich misji.

Czternaście dni później dotarli do północnej bramy Krondoru. Gdy przez nią przejeżdżali, kilku wartowników w czerni i złocie obrzuciło ich podejrzliwym spojrzeniem.

Laurie nachylił się ku Kasumiemu, mając pewność, że nikt go nie usłyszy.

– To nie są książęce kaftany. Nad Krondozem powiewa sztandar Bas-Tyry.

Jechali powoli w milczeniu.

– Co to oznacza? – zapytał Kasumi po jakimś czasie.

– Nie wiem. Ale chyba znam miejsce, gdzie będziemy się mogli dowiedzieć. – Minęli wiele uliczek, przy których po obu stronach znajdowały się magazyny, składy, warsztaty i inne handlowe budynki. Co jakiś czas dobiegały ich odgłosy z portowych doków, oddalonych zaledwie o kilka przecznic. Poza tym uliczki były zupełnie wymarłe i ciche.

– Dziwne... – zauważył Laurie, marszcząc brwi. – Ta część miasta o tej porze dnia jest zwykle ruchliwa i gwarna.

Kasumi rozglądał się dookoła, nie bardzo nawet wiedząc, co się spodziewał ujrzeć.

Miasta na Midkemii w porównaniu z miastami Imperium wydawały się małe i brudne. Mimo wszystko w otaczającej ich ciszy i bezruchu było rzeczywiście coś dziwnego. Zarówno w Ylith, jak i w Zun, chociaż były znacznie mniejsze niż Krondor, w godzinach południowych ulice tętniły życiem, kłębił się na nich tłum żołnierzy, kupców i zwykłych przechodniów. Im głębiej zapuszczali się w wąskie uliczki, tym większy niepokój zaczął odczuwać Kasumi.

Znaleźli się w jeszcze gorszej, bardziej zapuszczonej części miasta. Cztero- i pięciopiętrowe domy stały blisko siebie, przytulone jeden do drugiego, oddzielone pośrodku wąwozem pasażu. Mimo południowej godziny w zaułkach czał się głęboki cień. Przechodnie, których można było policzyć na palcach jednej ręki, kilku przekupniów i parę kobiet udających się na targ, przemykali pośpiesznie przy murach w milczeniu. Na ich twarzach malowała się ostrożność i nieufność.

Laurie przyprowadził Kasumiego do bramy, poza którą było widać szczyt

trzy piętrowego budynku. Laurie uniósł się w siodle i pociągnął za sznur dzwonka. Odczekał

kilka minut, a kiedy nadal nikt nie odpowiadał, pociągnął znowu.

Po chwili w bramie uchyliło się maleńkie okienko judasza, z którego wyjrzało dwoje bystrych oczu.

– O co chodzi?

– Lucas, to ty? – spytał Laurie ostrym głosem. – Co się tu dzieje? Dlaczego nie wpuszczasz zmęczonych wędrowców?

Oczy patrzącego rozszerzyły się gwałtownie. Judasz zatrzasnął się i po chwili brama zaczęła się otwierać powoli, protestując głośno skrzypieniem zawiasów. Zza niej wyłonił się jakiś mężczyzna i odepchnął wrota w bok.

– Laurie, ty łobuzie! – krzyknął, wpuszczając ich do środka. – To chyba pięć... nie, sześć lat!

Wjechali na podwórze. Laurie patrzył z niedowierzaniem na opłakany stan gospody.

Bok podwórza zamykała rachityczna stajnia. Nad głównym wejściem do karczmy wisiała spora deska z bajecznie kolorową, lecz mocno już wypłowiałą papugą o rozpostartych skrzydłach. Usłyszeli za sobą trzask zamykanej bramy.

Wysoki i szczupły mężczyzna o siwych włosach, nazwany Lucasem, podszedł do nich.

– Sami musicie zająć się końmi i odprowadzić je do stajni. Oprócz mnie nie ma tu nikogo i muszę wracać na salę, zanim goście wszystko rozkradną. Zobaczymy się w środku i pogadamy. – Odwrócił się i odszedł, zostawiając dwóch jeźdźców, by sami zajęli się końmi.

Kiedy zdejmowali siodła, Laurie zwrócił się do swego towarzysza.

– Wiele tu się dzieje rzeczy, których nie pojmuję. Tęczowa Papuga nigdy oczywiście nie była wytworną knajpą, ale zawsze należała do bardziej szacownych tawern w dzielnicy biedoty. – Przez kilka chwil w milczeniu wycierał boki swego wierzchowca. – Jeżeli w Krondorze jest jakieś miejsce, gdzie można się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje w mieście,

to właśnie tutaj. A poza tym w czasie wieloletniej włóczęgi po Królestwie nauczyłem się jednego: kiedy wartownicy strzegący bram miejskich pilnie obserwują każdego podróżnego, to czas najwyższy, by zaszyć się gdzieś, gdzie raczej nie trafią łatwo. W dzielnicy biedoty mogą co prawda, zanim się obejrzyysz, poderznąć ci gardło, lecz za to straży miejskiej tu nie ujrzysz, choćbyś szukał ze świecą. A nawet, jeżeli zjawią się za tobą, to ten, który próbował cię przed chwilą zakatrupić, najpewniej pomoże ci się ukryć, zanim sobie nie pójdą.

– I dopiero potem poderżnie ci gardło.

– Szybko się uczysz, Kasumi. – Laurie zaśmiał się głośno.

Kiedy oporzadzili konie, wzięli siodła i bagaże i wnieśli je do gospody. Powitał ich widok kiepsko oświetlonej sali z barem wzdłuż przeciwległej ściany. Po lewej znajdował się ogromny kominek, a po prawej wiodące na górę schody. W sali było kilka pustych stołów. Przy dwóch siedzieli goście, którzy obrzucili nowo przybyłych szybkimi spojrzeniami, by powrócić po chwili do swoich kufla i przyciszonej rozmowy.

Laurie i Kasumi przeszli przez salę i zbliżyli się do baru, za którym Lucas wycierał pucharki do wina ścierką, której wygląd świadczył o tym, że żywiła naturalną odrazę do słowa czystość. Położyli pakunki na podłodze przy sobie.

– Masz jakieś wino z Keshu? – zapytał Laurie.

– Trochę. Ale jest drogie. Odkąd zaczęły się kłopoty, handel z Keshem prawie zamarł.

Laurie patrzył przez chwilę na Lucasa, jakby wążąc w myślach cenę.

– W takim razie dwa piwa. Lucas napełnił dwa potężne kufle.

– Dobrze cię znowu widzieć, Laurie. Już się stęskniłem za twoim głosem i muzyką.

– Nie tak mówiłeś ostatnim razem. Jeśli pamięć mnie nie myli, porównałeś mój śpiew do pisku kota, który szuka zaczepki z psem.

Zachichotali obaj radośnie.

– Kiedy interesy idą jak po grudzie, złagodniałem dla prawdziwych przyjaciół.

Niewielu już nas pozostało. – W tym momencie rzucił w stronę Kasumiego znaczące spojrzenie.

– To Kenneth, Lucas, mój prawdziwy przyjaciel. Karczmarz przyglądał się badawczo Tsuranemu przez dłuższą chwilę, a potem uśmiechnął się.

– Poręczenie i rekomendacja Lauriego bardzo się liczą. Witaj. – Wyciągnął dłoń i Kasumi potrząsnął nią tak, jak to robiono w Królestwie.

– Cieszę się z twego powitania.

Lucas, słysząc jego akcent, zmarszczył brwi.

– Obcy?

– Z Doliny Snów – odpowiedział Kasumi.

– Z królewskiej strony, oczywiście – dodał Laurie. Lucas przyglądał się wojownikowi z uwagą. Po chwili wzruszył ramionami.

– Nieważne. Dla mnie nie ma to najmniejszego znaczenia, lecz musisz się mieć na baczności. Nastaly czasy wielkiej podejrzliwości i do obcych nie pała się wielką miłością. Patrz dobrze, do kogo otwierasz gębę, bo ostatnio rozeszły się pogłoski, że wojska Keshu znowu chcą wyruszyć na północ, a ty jesteś prawie z Keshu.

Zanim Kasumi zdążył cokolwiek powiedzieć, do rozmowy wtrącił się Laurie.

– Co to, znowu szykują się kłopoty z Keshem?

– Nie wiem. – Lucas pokręcił głową. – Trudno powiedzieć. Na targu więcej plotek niż pryszczy na żebraku. – Zniżył głos. – Dwa tygodnie temu dotarli tu jacyś kupcy. Mówili, że Imperium Wielkiego Keshu znowu ruszyło zbrojnie na dalekie południe, by ponownie podporządkować sobie byłych wasali z Konfederacji. Moim zdaniem przez pewien czas powinniśmy mieć względny spokój. Ponad sto lat temu doświadczyli na własnej skórze głupoty

walki na dwa fronty, kiedy to stracili całą Bosanię, a Konfederacji i tak nie pokonali.

– Byliśmy w podróży bardzo długo i niewiele słyszeliśmy nowinek. Dlaczego nad Kronforem powiewa sztandar Bas-Tyry?

Lucas błyskawicznie obrzucił spojrzeniem salę. Co prawda wydawało się, że pijący przy stołach nie zwracają na ich rozmowę najmniejszej uwagi, jednak dał Lauriemu znak ręką, by zamilkł.

– Pokażę panom pokój – powiedział głośno. Zarówno Laurie, jak i Kasumi zdziwili się nieco, lecz bez słowa podnieśli swoje pakunki i poszli za Lucasem na górę.

Zaprowadził ich do małego pokoiku, gdzie były tylko dwa łóżka i stolik nocny. Po zniknięciu drzwi Lucas podszedł bliżej do Lauriego.

– Ufam ci, Laurie, więc nie będę cię o nic pytał, lecz wiedz, że od czasu twego ostatniego pobytu w Kronforze bardzo wiele się zmieniło. Nawet tutaj, w dzielnicy biedoty, znajdziesz uszy, które należą do Wicekróla. Bas-Tyra ma całe miasto pod obcasem i tylko głupi gada nie patrząc, kto tego może słuchać.

Lucas usiadł na jednym łóżku, a Laurie i Kasumi na drugim.

– Bas-Tyra przybył do miasta z królewskim pełnomocnictwem mianującym go władcą Kronforu, z pełnią władz Wicekróla – mówił dalej Lucas. – Książę Erland wraz z całą rodziną zostali uwięzieni w pałacu, chociaż Guy nazywa to „aresztem ochronnym”. Zaraz potem Guy dobrał się ostro do miasta. Wzdłuż nabrzeży zaczęły grasować gangi łapaczy i teraz wielu żegluję we flocie pana Jessupa, podczas gdy ich żony i dzieci nie mają pojęcia, co się stało z ich kochanymi mężami czy tatusiami. Od nastania Guya każdy, kto wypowie się przeciwko Wicekrólowi czy Królowi, po prostu znika. Guy ma w mieście niezliczone rzesze tajnej policji, która podsłuchuje dosłownie pod każdymi drzwiami.

Z roku na rok rosną podatki, by pokryć koszty wojny, handel zamiera. Nie dotyczy to



tych, którzy sprzedają towary dla armii, ale i im płaci się w bezwartościowych kuponach.

Żyjemy w ciężkich czasach, a Wicekról nie robi absolutnie nic, by nam ulżyć. Trudno zdobyć żywność, a jeśli już coś się znajdzie, to i tak nie ma pieniędzy na zapłacenie. Wielu rolników, nie mogąc zapłacić podatków, straciło ziemię, która teraz leży odłogiem, bo nie ma chętnych, by ją uprawiać. Rolnicy napływają do miasta, powiększając jego ludność. Ogromna większość młodych mężczyzn została powołana do armii lub floty. Uważajcie bardzo na straż miejską. Mogą was przymknąć, a potem przymusowo zaciągnąć do wojska. To samo dotyczy gangów łapaczy do marynarki.

Chociaż z drugiej strony – zachichotał Lucas – trzeba przyznać, że nastąpiło pewne ożywienie, kiedy księżę Arutha przybył do Krondoru.

– Syn Borrica? Jest w mieście? Oczy Lucasa rozblęły niekłamanym szczęściem.

– Już nie. – Znowu zachichotał. – W zeszłym roku, zimą, nie zważając na nic. Księżę przybył do Krondoru. Musiał przepłynąć Mroczne Cieśniny w zimie, bo w przeciwnym razie w żaden sposób nie mógłby dotrzeć do miasta w tym czasie, kiedy dotarł. – Lucas opowiedział im szybko o ucieczce Aruthy i Anity.

– Wrócili do Crydee? – zapytał Laurie.

Lucas pokiwał głową.

– W zeszłym tygodniu rozmawiałem z kupcem z Carse. Prawdziwa kopalnia nowinek.

Powiedział między innymi, że słyszał, jakoby Tsurani kręcili się koło Jonril i że księżę Crydee jest gotów wysłać posiłki, gdyby zaszła taka potrzeba. Wynika z tego, że Arutha wrócił do Crydee.

– Domyślam się, że Guya omal nie rozerwało z wściekłości, kiedy się o tym dowiedział, co?

– Niestety, masz rację, Laurie. – Uśmiech znikł nagle z twarzy Lucasa. – Natychmiast

wtrącił księcia Erlanda do lochu, by wymusić na nim pozwolenie na poślubienie Anity. Liczył pewnie na to, że dziewczyna raczej wróci, niż pozwoli, by trzymał jej ojca w wilgotnej celi, lecz się pomylił. Mówi się teraz w mieście, że księżę Erland jest bliski śmierci z zimna i wilgoci. Nikt nie wie, co się może stać, kiedy Erland umrze. Cieszy się wielką popularnością i miłością poddanych. Mogą być kłopoty. – Laurie spojrział na przyjaciela, a w jego wzroku czaiło się nie zadane pytanie. – Nie, nie sędzę, żeby były rozruchy czy coś w tym rodzaju. Jesteśmy na to zbyt przygnębieni trudami życia i sytuacji. Ale sędzę, że na porannych apelach może się okazać, że ten czy inny żołnierz z jego oddziałów wyparował w nocy bez śladu. Poza tym pewnie pojawią się nagle zasadnicze problemy z dostawami do garnizonów i pałacu... no i tak dalej. Wiesz, o co mi chodzi. Nie mówiąc już o tym, że nie chciałbym być w skórze poborcy podatkowego Wicekróla, kiedy go wyślą następnym razem do dzielnicy biedoty.

Laurie rozważał przez chwilę w myślach zasłyszane wieści.

– Jedziemy na wschód. Co się dzieje na drogach? Lucas powoli pokręcił głową.

– Ludzie jeszcze trochę podróżują. Kiedy już miniecie Czarne Bagno, nie powinniście mieć kłopotów... tak sędzę. Mówi się, że na wschodzie nie zmieniło się wiele. Mimo wszystko poruszałbym się ostrożnie.

– Czy możemy mieć kłopoty z opuszczeniem miasta? – zapytał Kasumi.

– Brama północna to wciąż najlepsza droga, by opuścić miasto. Jak zwykle, obsada jest tam za mała. Za niewielką opłatą Szydery bezpiecznie przeprowadzą was na drugą stronę.

– Szydery? – spytał zaskoczony wojownik. Lucas aż uniósł brwi ze zdziwienia.

– Rzeczywiście musisz pochodzić z dalekich stron. Cech Złodziei. Sprawują kontrolę nad całą dzielnicą biedoty, a Sprawiedliwy ma znaczne wpływy pośród kupców i handlarzy, szczególnie w rejonie nabrzeży portowych. Dzielnica magazynów, warsztatów to po dzielnicy biedoty ich drugi dom. Jeżeli napotkacie na kłopoty przy bramie, Szydery pomogą wam się

wydostać.

– Nie zapomnimy o tym, Lucas – powiedział Laurie.

– A co z twoją rodziną? Jakoś nie widzę nikogo. Lucas jakby nagle skurczył się i zapadł w sobie.

– Moja żona umarła na febrę kilka lat temu. Obaj synowie w wojsku. Od roku nie miałem prawie wieści o nich. Według ostatnich, jakie dotarły, są z księciem Borricem i Brucalem na północy.

Na ulicach pełno weteranów wojennych. To ci, którzy nie mają rąk, nóg i oczu. Nigdy jednak nie zdejmują swoich starych kurtek mundurowych. Żaloszny a zarazem patetyczny widok...

– Zapatrzył się w dal. – Mam tylko nadzieję, że moi chłopcy nie skończą w taki sposób.

Laurie i Kasumi nic nie odpowiedzieli. Po chwili Lucas otrząsnął się z niewesołych myśli.

– No tak, muszę wracać na dół. Kolacja za cztery godziny, chociaż już nie taka, jakie kiedyś serwowałem swoim gościom. – Karczmarz wstał i ruszył w stronę drzwi. Wychodząc odwrócił się jeszcze. – Jeżeli będziecie musieli skontaktować się z Szydercami, dajcie mi znać. Kiedy wyszedł, Kasumi spojrzał na Lauriego.

– Trudno nadal uważać wojnę za rzecz wspaniałą i chwalebną, mając przed oczami twój kraj... Laurie tylko skinął głową.

Wnętrze magazynu było mroczne i zatechłe. Poza Kasumim, Lauriem i dwoma nowymi końmi nie było nikogo. Przenocowali pod Tęczową Papugą, a rano kupili za horrendalną cenę dwa wierzchowce. Następnie próbowali opuścić miasto. Kiedy dotarli w pobliże bramy, zostali zatrzyman przez oddział straży Bas-Tyry. Gdy stało się jasne, że nie zostaną łatwo przepuszczeni, Laurie i Kasumi rzucili się do ucieczki, po czym nastąpiła szaleńcza gonitwa

przez miasto. Zgubili swoich prześladowców dopiero w gmatwaniu uliczek dzielnicy biedoty i wrócili do Tęczowej Papugi. Lucas zawiadomił Sprawiedliwego i teraz czekali na złodzieja, który miał ich wyprowadzić z miasta.

Ciszę rozdarł przeciągły gwizd. W ułamku sekundy Kasumi i Laurie dobyli mieczów i czekali w pogotowiu. W tym momencie rozległ się wysoki, szyderczy chichot, a po chwili ktoś zeskoczył z góry i wylądował tuż koło nich. W mrocznym wnętrzu trudno było zgadnąć, skąd nieznajomy się pojawił, lecz Laurie przypuszczał, że nowo przybyły musiał od dłuższego już czasu ukrywać się na belkach dachu.

Niewielka postać podeszła bliżej. Mimo panującego mroku zauważyli, że był to mały, najwyżej trzynastoletni chłopiec.

– U Mamuśki wielkie przyjęcie – powiedział.

– I wszyscy będą się świetnie bawili – odpowiedział Laurie.

– Zatem to wy jesteście tymi podróżnikami.

– Ty będziesz przewodnikiem? – zapytał Kasumi, nie starając się ukryć swego zdumienia. Chłopak spojrzał na niego zadziornie.

– A tak – powiedział buńczucznie. – Jimmy Rączka będzie waszym przewodnikiem. I lepszego nie znajdziecie w całym Krondorze.

– Co mamy robić? – spytał Laurie.

– Po pierwsze trzeba uregulować sprawę zapłaty. Od każdego stówka.

Laurie bez słowa zanurzył dłoń w plecaku i wyciągnął kilka niewielkich kamieni. Podał je chłopcu.

– Czy to wystarczy?

Chłopak podszedł do drzwi magazynu i uchylił je lekko, robiąc szparkę, przez którą wpadł promień księżycowego światła. Okiem fachowca ocenił klejnoty i wrócił do dwóch

uciekinierów.

– Wystarczy. Za następną setkę możecie dostać jeszcze i to. – Pokazał zwój pergaminu.

Laurie wziął go do ręki, lecz w słabiutkim świetle nie mógł odczytać pisma.

– Co to jest?

Jimmy zachichotał radośnie.

– Królewska przepustka pozwalająca okazicielowi na swobodne podróżowanie

Królewskim Gościńcem.

– Prawdziwa? – spytał minstrel.

– Słowo honoru. Sam ją podwędziłem rano kupcowi z Ludland. Jest ważna jeszcze miesiąc.

– Załatwione – powiedział krótko Laurie i wręczył chłopcu jeszcze jeden klejnot.

Po chwili kamienie znalazły się bezpiecznie w sakiewce Jimmy'ego.

– Za chwilę przy bramie zacznie się małe zamieszanie. Kilku chłopaków odstawi przed strażą niewielkie przedstawienie. Gdy zabawa się rozkręci na całego, prześlizgniemy się przez bramę.

Wrócił bez słowa do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Czekali w milczeniu. Po chwili

Kasumi nachylił się do ucha Lauriego.

– Czy możemy mu ufać? – szepnął.

– Nie, ale nie mamy wyboru. Jeżeli Sprawiedliwy mógłby się bardziej obłowić, wydając nas, pewnie by to zrobił. Całe szczęście, że Szyderycy nie darzą wielką miłością straż miejskiej, szczególnie teraz, jak mówił Lucas, więc jest mało prawdopodobne, by nas wydali.

Ale trzeba mieć oko na wszystko.

Czas ciągnął się w nieskończoność. W końcu rozległy się gwałtowne okrzyki. Jimmy

gwizdnął przeraźliwie na palcach. Z zewnątrz dobiegła identyczna odpowiedź.

– Już czas – powiedział i zniknął za drzwiami. Laurie i Kasumi wzięli konie za uzdy i wyprowadzili na zewnątrz.

– Trzymajcie się blisko. Musimy iść szybko – powiedział mały przewodnik i nie oglądając się na nich, ruszył przed siebie.

Po okrążeniu budynku ich oczom ukazała się północna brama. Tuż przed nią rozgorzała gwałtowna bójka, w której, sądząc po wyglądzie, uczestniczyli marynarze i robotnicy portowi. Strażnicy robili, co mogli, by rozdzielić walczących, lecz za każdym razem, kiedy udało im się kogoś wypchnąć poza krąg bójki, z mrocznych zaułków koło bramy wyłaniała się następna postać, by natychmiast włączyć się w bijatykę. Po paru chwilach wszyscy wartownicy uwijali się jak w ukropie, próbując zaprowadzić porządek.

– Teraz! – szepnął Jimmy. Oderwał się od ściany i pochyliwszy się skoczył w stronę budynku wartowni. Obaj wędrowcy poszli błyskawicznie w jego ślady. Posuwali się ostrożnie wzdłuż muru. Wrzawa bójki tłumiła stukot końskich kopyt. Kiedy znaleźli się tuż koło bramy, spostrzegli nagle po drugiej stronie pojedynczego wartownika, którego wcześniej nie zauważyli.

Laurie chwycił Jimmy'ego za ramię.

– Trzeba go zdjąć błyskawicznie... – szepnął.

– Nie. Jeżeli żołnierze zobaczą wyciągniętą broń, wyskoczą z tamtej bójki jak z płonącego burdelu. Spokojna głowa, zostawcie to mnie.

Jimmy wyskoczył z mroku jak z procy i podbiegł do wartownika. Ten zastąpił mu drogę, mierząc włócznią prosto w pierś chłopca.

– Stać!

Jimmy uchylił się i z całej siły kopnął go w nogę powyżej wysokiego buta. Strażnik zawył boleśnie i spojrzał na małego napastnika rozwścieczonym wzrokiem.

– Ty pętaku...

Jimmy wywalił na niego język i ruszył pędem w kierunku doków. Wartownik, nie zważając na nic, pognął za nim, a dwóch wędrowców spokojnie prześlizgnęło się przez bramę. Po paru krokach, kiedy oddalili się od murów, dosiedli koni i pogalopowali w mrok, a za sobą jeszcze długo słyszeli wrzawę bitki.

Przez jeden dzień odpoczywali w gospodzie miejskiej u podnóża zamku Czarne Bagno.

Dwa dni galopowali przez pagórkowaty teren i konie potrzebowały wytchnienia przed dalszą podróżą przez trawiaste równiny do Krzyża Malaka. Miasteczko było spokojne i ciche i nie zdarzyło się nic ciekawego aż do chwili, kiedy w drzwiach gospody pojawił się mężczyzna w brudnej, brązowej szacie. Nowo przybyły był stary, przygarbiony i chudy jak szczapa.

Karczmarz podniósł wzrok znad kufla, które mył.

– Czego sobie życzysz?

– Proszę... panie, trochę jedzenia... – powiedział przybysz słabym głosem.

– Czy masz czym zapłacić?

– Potrafię wyrzec zaklęcie, dzięki któremu pozbędziesz się z domu szczurów, myszy i innych szkodników, panie. Może...

– Zjeżdżaj! Nie mam żarcia na zbyciu ani dla żebraków, ani dla magów. No już!

Wynocha! A jak zobaczę, że mi mleko nagle skwaśniało, poszczuję psami!

Mag rozejrzał się dookoła. Laurie wyciągnął rękę i dotknął ramienia Kasumiego, ponieważ jego zachowanie mogło zdradzić, skąd pochodził. Tsurani patrzył z otwartymi ze zdumienia ustami na rozgrywającą się przed nim scenę. Stał przed nim mag, którego traktowano równie źle jak on swoje ubranie. Dotyk Lauriego sprawił, że oprzytomniał i wziął się w garść. Mag odwrócił się powoli i wyszedł z karczmy.

Laurie zerwał się na równe nogi i podszedł szybkim krokiem do baru. Z trzaskiem

położył na ladzie kilka monet.

– Kawał zimnego mięsa. Bochenek chleba i bukłak z winem. Ale już. Na jednej nodze!

Karczmarz spojrział na niego zdziwiony, lecz monety przekonały go szybko, że trzeba wykonać polecenie. Po chwili zamówione jedzenie pojawiło się na ladzie. Laurie zgarnął je szybko, zawahał się przez moment, złapał jeszcze gomółkę sera z tacy i skoczył do drzwi.

Kasumi patrzył na to wszystko równie zdziwiony jak gospodarz.

Laurie spojrział w prawo i w lewo. W dali, na drodze, dostrzegł wyprostowaną sylwetkę staruszka, który szedł powoli, wspierając się na długim kiju. Pobiegł za nim, a kiedy go dogonił, zatrzymał gestem ręki.

– Przepraszam, ale byłem przed chwilą w gospodzie i... – wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał jedzenie i bukłak.

Dumny wzrok starego złagodniał.

– Dlaczego to czynisz, minstrelu?

– Mam przyjaciela, który jest magiem... wyjątkowego przyjaciela. Wyświadczył mi kiedyś wielką przysługę i ja... to znaczy... chciałbym się jakby zrewanżować.

Mag przyjął jego tłumaczenie i jedzenie. Kiedy pochłaniał chleb i mięso, Laurie niepostrzeżenie wsunął mu do pustej sakiewki przy pasie dwa drogocenne klejnoty. Jeżeli będzie żył skromnie, nie będzie już musiał wędrować głodny, pomyślał.

– Jak się nazywa twój przyjaciel, mag? Może go znam?

– Milamber.

Staruszek potrząsnął głową.

– Nigdy o takim nie słyszałem. Gdzie mieszka? Laurie spojrział na zachód, gdzie słońce układało się do spoczynku za pasmem wzgórz.

– Daleko stąd, przyjacielu... – powiedział drżącym ze wzruszenia głosem – bardzo



daleko stąd.

Statek kołysał się na falach, zbliżając się do portu. Załoga refowała żagle. Kasumi i Laurie stali na pokładzie, obserwując rosnące w oczach wieże i strzeliste iglice Rillanonu.

– Wspaniałe miasto – powiedział były oficer Tsuranich. – Może nie tak rozległe jak nasze, lecz jakże inne. Te wszystkie kamienne palce wyciągnięte ku niebu, kolorowe sztandary... wygląda jak miasto z bajki.

– Dziwne – powiedział Laurie. – Pug i ja czuliśmy dokładnie to samo, kiedy po raz pierwszy ujrzeliśmy Jamar. Ale to pewnie dlatego, że nasze miasta są takie inne.

Stali na nie osłoniętym pokładzie wystawieni na powiewy chłodnej bryzy, ale mimo to czuli ciepły dotyk promieni słonecznych. Mieli na sobie najwspanialsze ubrania, jakie mogli kupić w Saladorze, chcieli się bowiem godnie prezentować na dworze, a poza tym dobrze wiedzieli, że jeśli będą wyglądali jak obdartusy i włóczędzy, nikt ich nie dopuści przed oblicze Króla.

Kapitan zarządził zrefowanie ostatniego żagla i po chwili dopłynęli łagodnie do nabrzeża. Rzucono cumy czekającym na brzegu i po paru chwilach statek stał odpowiednio zabezpieczony.

Tak szybko, jak to tylko było możliwe, obaj podróżnicy zeszli na ląd i ruszyli do miasta.

Rillanon, starożytne i słynne miasto Midkemii, stolica Królestwa Wysp, powitało ich feerią barw roziskrzonych słońcem i sztandarami łopoczącymi na wietrze. Idąc ulicami i placami, wyczuwali jednak w atmosferze jakieś podskórne, bliżej nieokreślone napięcie. Gdziekolwiek skierowali swe kroki, przechodnie mówili przyciszonymi głosami, jakby obawiając się, że ktoś ich może podsłuchać. Nawet przekupnie przy ulicznych kramach zachwalali swe towary bez serca i werwy.

Dochodziło prawie południe i nie szukając nawet kwatery, skierowali się wprost do

pałacu. Kiedy stanęli przed główną bramą, oficer w purpurze i złocie Gwardii Domu Królewskiego zatrzymał ich i zapytał o cel wizyty.

– Przynosimy Królowi wiadomości niezwyklej wagi dotyczące wojny – powiedział Laurie.

Oficer obrzucił ich uważnym spojrzeniem. Obaj przybysze byli wytwornie i bogato ubrani i w niczym nie przypominali często nawiedzających pałacową bramę obłąkańców, przepowiadających rychłą zagładę świata czy też proroków głoszących bliżej nieznaną prawdę. Z drugiej strony był przekonany, że nie byli także dworskimi czy wojskowymi urzędnikami. Zdecydował się więc wybrać rozwiązanie najczęściej stosowane przez armie świata w każdym miejscu i we wszystkich czasach i przekazać ich swemu zwierzchnikowi.

W asyście gwardzisty udali się więc do biura asystenta królewskiego kanclerza. Musieli poczekać pół godziny, zanim asystent ich przyjął. W końcu poproszono ich do środka i stanęli przed obliczem zarządcy Domu Królewskiego, napuszonym, niewielkim człowieczkiem, obdarzonym wystającym brzuchem i chroniczną astmą.

– Z czym, panowie, przychodzicie? – zapytał uprzejmie, dając im jednak wyraźnie do zrozumienia, że tytuł, którym ich obdarzył, nie musiał być dla niego wiążący ani stały.

– Przynosimy Królowi wiadomość dotyczącą wojny – odpowiedział Laurie.

– Ach tak? – pociągnął nosem. – A dlaczegoż to, jeśli wolno wiedzieć, dokument ten, raport czy cokolwiek to jest, nie został dostarczony przez odpowiedniego, wojskowego kuriera, jak każe regulamin?

Kasumi, wyraźnie zdenerwowany oczekiwaniem i zwłoką, i to teraz, kiedy dotarli już do pałacu, nie zdzierzył dłużej.

– Proszę nas skierować do kogoś, kto może nam umożliwić rozmowę z Królem.

Zarządca Domu królewskiego aż poczerwieniał z gniewu.

– Nazywam się baron Gray. To ze mną będziesz rozmawiał, człowieku! Coraz bardziej mnie korci, aby rozkazać straży wyrzucić was na ulicę. Jego Wysokość nie może być niepokojony przez każdego szarlatana, któremu przyjdzie na to ochota. To mnie musicie najpierw usatysfakcjonować, a na razie wam się to nie udało.

Tego już było za wiele dla Kasumiego. Podskoczył do urzędnika i chwycił go za ubranie na piersi.

– A ja jestem Kasumi z rodu Shinzawai. Mój ojciec to Kamatsu, pan Shinzawai i komendant klanu Kanazawai. Chcę się widzieć z twoim Królem!

Baron Gray wyraźnie pobladł. Szarpał gwałtownie rękę Kasumiego i próbował coś powiedzieć. To, co przed chwilą usłyszał, zszokowało go i wstrząsnęło nim do głębi. Podobnie zresztą jak sposób, w jaki został potraktowany. Jego poczerwieniała twarz odzwierciedlała szalejącą we wnętrzu burzę. Straszne doświadczenie przerosło jego możliwości. Zaczął gwałtownie kiwać głową i po chwili Kasumi puścił go.

Baron wygładził stłamszoną szatę.

– Kanclerz królewski zostanie powiadomiony... natychmiast – powiedział i ruszył do drzwi. Laurie patrzył za nim czuwając czy – biorąc ich za szaleńców – Gray nie wezwie straży.

Jednak bez względu na to, jakie inne myśli kłębiły się teraz pod czaszką Barona, zachowanie Kasumiego przekonało go jednak, że był on zupełnie kimś innym niż dotychczas spotykani ludzie. Wysłano posłańca i po kilku minutach w pokoju pojawił się starszy mężczyzna.

– O co chodzi? – zapytał po prostu.

– Panie – zaczął zarządca – wydaje mi się, że powinieneś porozmawiać z tymi oto ludźmi i rozważyć, czy Jego Wysokość powinien ich przyjąć na audiencji.

Nowo przybyły odwrócił się ku nim i uważnie przyjrzał.

– Jestem księżę Caldric, kanclerz królewski. Jaki macie powód, by widzieć się z Jego

Wysokością?

– Przynoszę posłanie od Cesarza Tsuranuanni – powiedział Kasumi.

Król siedział na werandzie z widokiem na port. Poniżej, tuż przed pałacem płynęła górską rzeką, stanowiącą część oryginalnego systemu obronnego, chociaż już dawno straciła swoją funkcję jako fosa. Jej brzegi spinały eleganckie łuki licznych mostków, po których przechadzali się ludzie.

Rodric siedział i jak się wydawało, słuchał uważnie przemowy Kasumiego. Kiedy Tsurani przedstawił mu szczegółowo posłanie pokoju od Cesarza, bawił się bezwiednie złotą kulą.

Kiedy Kasumi skończył. Król przez długi czas siedział w milczeniu, jakby rozważając treść poselstwa. Kasumi wręczył księciu Caldricowi plik dokumentów, a potem spokojnie czekał na odpowiedź Króla. Kiedy cisza przedłużała się, Kasumi dodał: – Tak, w tych zwojach, na wypadek gdyby Wasza Wysokość chciała przestudiować je w spokojniejszej chwili, została przedstawiona szczegółowo propozycja Cesarza. Będę czekał, aż Wasza Wysokość raczy zastanowić się i przekazać swoją odpowiedź, którą zaniosę Cesarzowi.

Rodric nadal milczał. Zgromadzeni dworzanie zaczęli przestępować z nogi na nogę i rzucać na siebie nerwowe spojrzenia. Kasumi już miał ponownie zabrać głos, kiedy Król poruszył się i zaczął mówić.

– Zawsze mnie bawi widok moich maleńkich poddanych śpieszących ulicami miasta, są zupełnie jak mrówki w mrowisku. Zawsze się przy tym zastanawiam, co też sobie myślą, kiedy tak żyją swoim malutkim, prostym życiem. – Zwrócił się nagle do dwóch posłów: – Wiecie, że mógłbym teraz, z tego balkonu skazać każdego z nich na śmierć? Wystarczyłoby po prostu wskazać jednego i już byłoby po nim. Mógłbym po prostu powiedzieć do moich gwardzistów; „Widzicie tego człowieka w niebieskiej czapce? Idźcie i odetnijcie mu głowę”. I wiecie, że

zrobiliby to? Bo jestem Królem.

Laurie poczuł, jak po plecach przechodzą mu lodowate ciarki. To było gorsze niż w najstraszniejszym koszmarze sennym. Król sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał ani jednego słowa, które wypowiedział Kasumi. Kasumi lekko zwrócił głowę w jego stronę.

– Jeżeli misja skończy się niepowodzeniem, jeden z nas musi wrócić i zawiadomić ojca

– powiedział ledwo słyszalnym szeptem Kasumi w języku Tsuranich.

Król gwałtownie poderwał głowę. Oczy rozszerzyły mu się jak spodki.

– Co to było? – zapytał roztrzęsionym głosem. Głos stawał się piskliwy i histeryczny. –

Nie pozwolę, aby ktoś szeptał przy mnie! – Twarz przybrała dziki wyraz. – Wiecie, że ciągle szepczą i szepczą na mój temat, nic, tylko szepczą niełojalni i zdrajcy. Ale ja wszystko o nich wiem, wiem, kim są, ha! wkrótce jednak padną przede mną na kolana, już niedługo, na pewno.

Ten zdrajca Kerus kajał się na kolanach, zanim kazałem go powiesić. I powiesiłbym też całą rodzinę, gdyby nie uciekli do Keshu. – Skierował swoją uwagę na Kasumiego. – Myślisz, że mnie oszukasz swoją dziwną historyjką i tymi, jak je nazywasz, dokumentami? Każdy głupiec potrafi przejrzeć na wylot ciebie i twoje knowania. Jesteście szpiegami!

Książę Caldric coraz bardziej się denerwował i starał się uspokoić Króla. Kilku stojących nie opodal gwardzistów, wstydzących się za słowa Króla, przestępowało z nogi na nogę.

Król odepchnął od siebie próbującego znaleźć wyjście z sytuacji Księcia. Nie panował już nad opanowującą go histerią.

– Jesteście agentami tego zdrajcy Borrica. On i mój wuj uknuli spisek, aby ukraść mi tron. Ale powstrzymałem ich nieczne plany. Mój wuj Erland nie żyje... – przerwał na chwilę zmieszany. – Nie... to znaczy... chciałem powiedzieć, że jest chory. Przecież dlatego właśnie mój wiemy książę Guy został wysłany do Krondoru, by sprawować tam władzę aż do chwili,

kiedy mój ukochany wuj poczuje się lepiej. – Na moment jego spojrzenie nabrało wyrazu. Przetarł oczy. – Nie czuję się dobrze. Wybaczcie mi, proszę. Porozmawiam z wami jutro. – Wstał z fotela. Zrobił niepewnie jeden krok, po czym odwrócił się do Lauriego i Kasumiego. – O czym to chcieliście ze mną rozmawiać? Ach tak, o pokoju. Tak. Tak. To dobrze... bardzo dobrze. Ta wojna jest straszna. Musimy ją zakończyć, abym znowu mógł się zabrać za moje budowanie. Tak, muszę szybko wznowić moje budowanie...

Paź wziął Króla pod rękę i razem opuścili zebranych. Kanclerz królewski podszedł do nich.

– Chodźcie ze mną i nic nie mówcie.

Prowadził ich pośpiesznie przez labirynt pałacowych korytarzy. Dotarli w końcu do pokoju, przed którego drzwiami stało dwóch wartowników. Jeden z nich otworzył je i weszli do środka. Wewnątrz znajdowały się dwa duże łóżka i stół z kilkoma krzesłami w kącie.

– Trafiliście ze swoim przybyciem na fatalny moment. Nasz Król, jak z pewnością zauważyliście, jest chory i obawiam się, że nigdy z tego nie wyjdzie. Mam nadzieję, że jutro będzie w lepszym stanie i zrozumie wasze posłanie. Proszę, zostańcie w tym pokoju i nie ruszajcie się, aż po was przyślę. Zaraz przyniosą posiłek.

Podszedł do drzwi i odwrócił się na odchodnym. – Do jutra...

W nocy obudził ich donośny krzyk. Laurie zerwał się z łóżka i podszedł szybko do okna. Wyjrzał ostrożnie przez szparę w zasłonach. Na balkonie poniżej ujrzał niewyraźną postać Rodriga, który stał w nocnej koszuli i dźgał nagim mieczem krzaki. Laurie otworzył okno. Kasumi wstał również i dołączył do niego. Z dołu dochodziły okrzyki Króla.

– Mordercy! Zabójcy! Przyszli mnie zabić! Z pałacu wyskoczyło kilku gwardzistów i zaczęli przeszukiwać krzaki. Kilku paziów odprowadziło wrzeszczącego władcę do jego komnat.

– Zaprawdę, został dotknięty ręką bogów. Muszą mieć w nienawiści wasz naród.

– Obawiam się, przyjacielu Kasumi, że bogowie nie mają z tym wiele wspólnego.

Wydaje mi się, że najlepiej teraz zrobimy, obmyślając plan wydostania się stąd. Mam przecucie, że Jego Wysokość nie jest w stanie negocjować bardziej szczegółowych punktów traktatu pokojowego. Chyba musimy jak najszybciej dostać się na zachód i pogadać z księciem Borricem.

– A czy ów Książę będzie w stanie zakończyć wojnę? Laurie podszedł do krzesła, na którym rozwiesił swoje ubranie, i wziął bluzę.

– Mam nadzieję. Jeśli tutejsi panowie, widząc takie zachowanie Króla, stoją spokojnie i nic nie robią, to i tak prędzej czy później – raczej jednak prędzej – będziemy mieli wojnę domową. Lepiej zakończyć jedną wojnę przed rozpoczęciem następnej.

Ubrali się szybko.

– W tej chwili pozostaje mieć tylko nadzieję, że uda nam się znaleźć statek, który wychodzi w morze z rannym przyływem. Jeśli Król zarządził blokadę portu, to jesteśmy bez szans. To zbyt daleko, by dopłynąć wpław.

Kończyli się właśnie pakować, gdy drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł kanclerz królewski. Zatrzymał się w pół kroku, widząc ich ubranych i gotowych do drogi.

– Dobrze – powiedział, szybko zamykając za sobą drzwi. – Widzę, że się nie omyliłem, oceniając was. Macie głowy na karku. Król wydał rozkaz uśmiercenia szpiegów.

Laurie popatrzył na kanclerza z niedowierzaniem.

– On... on myśli, że jesteśmy szpiegami? Książę Caldric usiadł na krześle przy stole. Na jego twarzy malowało się znużenie i troska.

– A któż dziś może wiedzieć, co Jego Wysokość myśli? Jest kilku pośród nas, którzy próbują powstrzymać i mitygować jego szczególnie niebezpieczne szaleństwa, lecz z każdym

dniem staje się to coraz bardziej trudne do osiągnięcia. Trawi go straszna choroba, aż ciężko patrzeć. To prawda, że zawsze, odkąd tylko pamiętam, był zapalczywy i impulsywny, lecz jego planom przyświecała jakaś wizja, pewnego rodzaju szaleńcze wizjonerstwo, genialny rozmach, który mógł z nas uczynić największy naród na Midkemii.

Jest teraz wielu na dworze, którzy wykorzystują Króla i grając na jego obawach, posługują się nim w celu zrealizowania własnych korzyści czy planów. Obawiam się, że ja sam też zostanę wkrótce zaliczony do grona zdrajców i pójdę na śmierć jak wielu innych przede mną.

Kasumi przypiął miecz do pasa.

– Dlaczego nie odejdziesz, panie? Jeżeli to prawda, dlaczego nie miałbyś udać się z nami do księcia Borrica? Książę spojrział na starszego syna Shinzawai.

– Jestem szlachcicem Królestwa, a Rodric jest moim panem i władcą. Muszę uczynić wszystko, co w mej mocy – nawet jeżeli ceną za to byłoby me własne życie – aby nie dopuścić do tego, by w wyniku jego działań Królestwo poniosło uszczerbek. Nie mogę jednak podnieść na niego broni ani wspomagać tych, którzy do tego dążą. Nie mam pojęcia, jak tego typu sprawy wyglądają w twoim świecie, Tsurani, lecz ja muszę tu wytrwać. On jest moim Królem.

– Rozumiem. – Kasumi kiwnął głową. – To samo bym uczynił, będąc na twoim miejscu. Książę Caldric, jesteś odważnym człowiekiem.

Stary Książę wstał.

– Zmęczonym człowiekiem. Król przyjął mocny napój z mej ręki. Nikomu innemu nie ufa... obawia się trucizny. Poprosiłem medyka, by zaaplikował mu jakiś środek na sen. Kiedy się przebudzi, powinniście już być daleko na morzu. Nie wiem, czy będzie pamiętał o waszej bytności, ale możecie być pewni, że za dzień, najwyżej dwa, znajdzie się ktoś, kto mu o tym przypomni. Nie zwlekajcie. Jedźcie wprost do księcia Borrica i opowiedzcie mu, co tutaj



zaszło.

– Czy księżę Erland rzeczywiście nie żyje? – zapytał Laurie.

– Tak. Wiadomość o jego śmierci dotarła tydzień temu. Podupadł bardzo na zdrowiu i nie wytrzymał zimnego lochu. Następcą tronu jest teraz Borric. Rodne nigdy się nie ożenił... tak ogromna i głęboka jest jego obawa przed innymi. Losy Królestwa spoczywają w rękach Borrica. Pamiętajcie, żeby mu o tym powiedzieć.

Podeszli do drzwi. Zanim Caldric je otworzył, odwrócił się jeszcze raz do nich.

– Powiedzcie mu też, że gdyby wybierał się do Rillanonu, pewnie nie zastanie mnie przy życiu. To nawet dobrze, ponieważ musiałbym wystąpić przeciwko każdemu, kto podniesie broń przeciwko królewskiemu sztandarowi.

Zanim Laurie czy Kasumi zdążyli cokolwiek odpowiedzieć, Księżę otworzył drzwi. Na zewnątrz stało dwóch wartowników. Caldric polecił im eskortować obu posłów do nabrzeża.

– W porcie stoi na kotwicy Królewska Jaskółka. Dacie to kapitanowi – powiedział, wręczając Lauriemu kartkę papieru. – To królewski rozkaz, zgodnie z którym ma zawieźć was do Saladoru. – Podał im drugi dokument. – A to następny, nakazujący wszystkim oddziałom Armii Królewskich, aby udzieliły wam pomocy w podróży.

Podali sobie dłonie na pożegnanie, po czym obaj emisariusze poszli za wartownikami korytarzem. Laurie obejrzał się przez ramię na Caldrica. Stary, zmęczony Księżę stał przygarbiony czekając, aż odejdą. Na jego twarzy, poranej głębokimi bruzdami malowały się ból, smutek i strach. Kiedy po paru krokach skręcili za róg korytarza, Laurie pomyślał sobie, że nigdy, za żadne pieniądze nie zamieniłby się miejscem ze starym Księciem.

Boki końskie pokryły się płatami piany. Jeźdźcy galopowali pod górę, popędzając wierzchowce szpicrutami. Kończyli ostatni odcinek długiej, zaczętej ponad miesiąc temu podróży do księcia Borrica i teraz, kiedy koniec był bliski, śpieszyli się bardzo. Królewska

Jaskółka przywiozła ich chyżo do Saladoru, skąd natychmiast wyruszyli na zachód. Po drodze spali bardzo mało, tylko tyle, ile było absolutnie potrzeba. Zmieniali zmęczone konie, kupując świeże, lub gdy tylko było to możliwe, żądali dostarczenia wypoczętych od napotkanych po drodze konnych patroli, na podstawie królewskiego dokumentu otrzymanego od Caldrica.

Laurie nie był pewien, ale nie wykluczał, że odbyli tę podróż znacznie szybciej niż ktokolwiek przed nimi.

Po wyjeździe z Zun kilka razy byli zatrzymywani przez patrole, jednak po okazaniu królewskiego glejtu puszczano ich bez przeszkód. Zbliżali się do obozu Księcia.

Wódz Wojny Tsuranich rozpoczął swoją wielką ofensywę. Siły Królestwa stawiały mężnie opór przez tydzień, po czym załamały się, kiedy na ich stanowiska runęło dziesięć tysięcy świeżo przybyłych żołnierzy nieprzyjaciela. Rozgorzała okrutna, zjadła bitwa, która trwała przez trzy dni, po czym Armia Królewska musiała się w końcu wycofać. Linia frontu na znacznym odcinku załamała się, a Tsuranim udało się utworzyć silnie obsadzony przyczółek poza Pomocną Przełęczą.

Wskutek porażki nie tylko Elfy i Krasnoludy, ale także zamki Dalekiego Wybrzeża zostały odcięte od głównych sił Armii Królewskiej. Kiedy padł obóz, wybito wszystkie gołębie pocztowe i zostały przerwane wszystkie linie komunikacji. Nie wiadomo, co się dzieje na innych frontach.

Armie Zachodu przegrupowały się i zanim Lauriemu i Kasumiemu udało się odnaleźć obóz kwatery głównej, minęło sporo czasu. Zbliżając się do namiotu dowództwa, wszędzie dookoła widzieli ślady okrutnej porażki. Było to największe niepowodzenie wojsk królewskich od początku wojny. Gdziekolwiek skierowali wzrok, widzieli leżących rannych i chorych, a na twarzach tych, którym udało się wyjść z bitwy bez szwanku na ciele, malowało się przygnębienie i beznadzieja panująca w duszy.

Sierżant gwardii sprawdził ich glejt i posłał z nimi żołnierza, by wskazał im namiot księcia Borrica. Po chwili dotarli do niego. Giermek zajął się ich końmi, a wartownik, z którym przyszedli, wszedł do środka. Po krótkiej chwili z namiotu wyszedł młody, wysoki człowiek z jasną brodą i kaftanem z herbem Crydee. Tuż za nim pojawił się potężny człowiek z siwą brodą, sądząc po stroju – mag, a po nim jeszcze jeden, wysoki i barczysty, którego twarz przecinała blizna o poszarpanych brzegach. Laurie przez chwilę zastanawiał się, czy nie są to przypadkiem starzy przyjaciele Puga, o których wspominał, lecz szybko skoncentrował uwagę na młodym oficerze, który stanął przed nim.

– Przynoszę wiadomość dla księcia Borrica. Młodzieniec uśmiechnął się smutno.

– Mnie możesz ją przekazać, panie. Jestem Lyam, jego syn.

– Przepraszam, Wasza Wysokość, ale muszę osobiście rozmawiać z księciem Borricem. Taki rozkaz otrzymałem od księcia Caldrica.

Na wzmiankę o królewskim kanclerzu Lyam wymienił spojrzenia ze swoimi towarzyszami i odsunął na bok zasłonę przy wejściu do namiotu. Laurie i Kasumi weszli do środka, a reszta podążyła za nimi. Wewnątrz na żelaznym ruszcie płonął niewielki ogień. Pośrodku stał potężny stół z rozłożonymi mapami. Lyam zaprowadził ich do drugiej części obszernego namiotu, oddzielonej zasłoną od reszty. Odsunął ciężki materiał i oczom ich ukazał się człowiek leżący na pościeli.

Był wysoki, a włosy miał przyprószone siwizną. Ściągnięta, blada jak płótno twarz, posiniałe wargi. Oddychał z trudem przez sen, a każdemu oddechowi towarzyszył dobywający się z piersi charkot. Miał na sobie czystą koszulę nocną, lecz zza luźnego kołnierza prześwitywały spod spodu bandaże.

Lyam opuścił zasłonę, gdy do namiotu wszedł jeszcze ktoś. Stary mężczyzna z potężną grzywą siwych włosów, wysoki i barczysty.

– Kim oni są? – spytał cicho.

– Ci ludzie mają wieści od Caldrica dla ojca. Stary wojak wyciągnął rękę przed siebie.

– Dajcie to mnie.

Kiedy Laurie zawahał się, stary zdenerwował się.

– Do licha, chłopcze! – warknął przez zęby. – Jestem Brucal. Teraz, kiedy Borric jest ranny, ja jestem głównodowodzącym Armii Zachodu.

– Wiadomość nie jest na piśmie, Wasza Wysokość. Książę Caldric prosił, bym przedstawił mego towarzysza. To jest Kasumi z rodu Shinzawai, emisariusz Cesarza Tsuranuanni, który przybył do nas z propozycją zawarcia pokoju.

– Czy nareszcie będziemy mieli pokój? – rzekł Lyam. Laurie pokręcił głową.

– Z przykrością muszę donieść, że nie. Książę Caldric prosił również, aby powiedzieć, co następuje: Król postradał zmysły, a książę Bas-Tyra zabił księcia Erlanda. Stary Książę obawia się, że teraz jedynie Borric może ocalić Królestwo.

Brucal był wyraźnie wstrząśnięty wieściami. Zwrócił się do Lyama.

– Jak widać – powiedział przyciszonym głosem – plotki okazały się prawdziwe. Erland rzeczywiście był więźniem Guya. Erland nie żyje... wprost nie mogę w to uwierzyć. – Z niedowierzaniem kręcił głową. – Lyam, wiem dobrze, że myślisz teraz wyłącznie o ojcu, lecz musisz rozważyć jedno:

twój ojciec jest bliski śmierci; ty zostaniesz wkrótce księciem Crydee. Ponadto teraz, kiedy Erland nie żyje, z urodzenia staniesz się następcą tronu.

Brucal usiadł ciężko na stołku przy stole z mapami.

– Spada na ciebie wielki ciężar, lecz nie zapominaj, że Ziemia Zachodu będą oczekiwały, że teraz ty, jak poprzednio twój ojciec, przejmiesz nad nimi dowództwo. Nawet jeśli między obiema częściami Królestwa były jakieś więzi i uczucia, to teraz, kiedy na tronie w

Krondorze zasiada Guy, stały się one tak napięte, że grożą zerwaniem. Dla wszystkich stanie się za chwilę jasne, że Bas-Tyra chce zostać Królem, bo przecież nie można dopuścić, żeby szalony Rodric zasiadał długo na tronie. – Wbił w Lyama uważny wzrok. – Będziesz musiał wkrótce zdecydować, co my, na zachodzie, powinniśmy uczynić. Jedno twoje słowo może wywołać wojnę domową lub jej zapobiec.

# DECYZJA

Święte Miasto tętniło świątecznymi obchodami. Na szczytach wszystkich wysokich budynków powiewały na wietrze kolorowe sztandary i chorągwie. Głównymi ulicami, którymi szlachetnie urodzeni udawali się w lektykach na stadion, podążały nieprzebrane tłumy rzucające kwiaty i wznoszące okrzyki. Nadszedł dzień wielkiego świętowania i któż mógł martwić się w takim dniu?

Jednak był ktoś, kto był pogrążony w poważnych i niewesołych myślach. W pokoju wzoru przybycia dla stadionu rozchodziło się echo ostatnich uderzeń gongu sygnalizującego przybycie Wielkiego narodu Tsuranuanni. Milamber przerwał na chwilę poważne rozmyślenia i opuścił pomieszczenie wzoru, w pobliżu centralnej trybuny wielkiego stadionu cesarskiego. Zgromadzony tłum panów Cesarstwa spacerujących leniwie w oczekiwaniu na rozpoczęcie turnieju rozstał się skwapliwie, robiąc przejście Milamberowi, by mógł swobodnie dojść do miejsc zarezerwowanych dla magów. Zatrzymał się i rozejrzał po morzu czerni. Po chwili dostrzegł Shimone'a i Hochopepę, którzy zajęli mu miejsce koło siebie. Przeszedł przez alejkę dzielącą trybunę magów od miejsc dla dworu cesarskiego i zaczął przeciskać się w ich stronę. Zauważyli go i pomachali rękami na powitanie. Na arenie, poniżej ich miejsc, kilku przedstawicieli karłowatego ludu z Tsubar, tak zwanej Zagubionej Ziemi po drugiej stronie Morza Krwi, walczyło z wielkimi owadzimi stworami, podobnymi do Cho-ja, lecz pozbawionymi inteligencji. Ponieważ jednak walczone przy użyciu mieczy z miękkiego drewna, a ugryzienia potężnych szczęk nie czyniły wielkiej szkody, zmagania były bardziej komiczne niż niebezpieczne. Prosty ludek i stojąca niżej w hierarchii społecznej szlachta zajęli już swoje miejsca i bili brawo rozbawieni widowiskiem, kiedy wyższe sfery i wielcy Cesarstwa czekali, by wejść na stadion. Dla tych, którym udało się wspiąć na szczyty społecznej drabiny, pewna opieszałość i spóźnianie stawały się cnotą samą w sobie.

– Szkoda, że tak późno przybyłeś, Milamber – powiedział na powitanie Shimone. –

Niedawno zakończył się wyjątkowo ciekawy turniej.

– Sądziłem, że zabijanie zacznie się trochę później. Hochopepa gryzł z lubością orzechy gotowane w słodkich olejkach.

– Masz rację, ale nasz przyjaciel Shimone ma lekkiego bzika na punkcie gier i turniejów.

– W przeszłości młodzi oficerowie pochodzący ze szlachejnych rodów walczyli ćwiczebną bronią aż do pierwszej krwi, wykazując się umiejętnościami i zdobywając honory dla swoich klanów – powiedział Shimone.

– Nie mówiąc już o wynagrodzeniu cięższego i wymiernego gatunku... – wtrącił Hochopepa.

Shimone zignorował docinek i mówił dalej.

– Odbył się bardzo ciekawy pojedynek między synami Oronalmara i Kędy. Już dawno nie widziałem tak wspaniałej walki.

W czasie kiedy Shimone z zapalem opisywał przebieg spotkania dwóch młodzieńców, Milamber rozglądał się spokojnie dookoła. W oddali dostrzegł niewielkie sztandary Keda, Minwanabi, Oaxatucan, Xacatecas, Anasati i innych wielkich rodów Cesarstwa. Po chwili zauważył brak sztandaru Shinzawai i zaczął się zastanawiać nad przyczyną.

– O czym tak myślisz, Milamber? – spytał Hochopepa. Milamber pokiwał powoli głową.

– Zanim wyruszyłem na obchody, dostałem wiadomość, że wczoraj w Wysokiej Radzie zgłoszono wniosek, by zreformować podatki od ziemi i znieść niewolnictwo za długi. Wiadomość przysłał pan Tuclamekla. Łamałem sobie głowę, nie mogąc zrozumieć, po co mnie zawiadomił, aż doszedłem do miejsca, w którym dziękował mi za ukazanie pewnych koncepcji

reformy społecznej, które formalny wniosek przedstawiony Radzie miał wprowadzić w życie.

Byłem zaszokowany i oburzony jego czynem.

Shimone roześmiał się na głos.

– Bądź pewien, że gdybyś jako uczeń wykazał się takim brakiem inteligencji, ciągle byś jeszcze paradował w białej szacie.

Milamber spojrział na niego, nic nie rozumiejąc. Hochopepa położył mu rękę na ramieniu.

– Każde twoje wystąpienie przed Zgromadzeniem odbija się szerokim echem.

Opowiadasz bez końca o bolączkach społecznych, potrzebie zmian i tak dalej, a potem dziwisz się jak półgłówek, że ktoś cię wysłuchał?

– Przecież to, co powiedziałem naszym braciom magom, nie było przeznaczone do dyskusji poza salami Zgromadzenia.

– Ależ to nierozsądne – kpił Hochopepa. – Ktoś ze Zgromadzenia pogadał z przyjacielem, który przypadkiem nie był magiem!

– A mnie interesuje co innego – włączył się Shimone. – Jak doszło do tego, że twoje imię łączy się z pakietem ustaw reformatorskich zgłoszonych Wysokiej Radzie przez klan Hunzan?

Ku uciesze przyjaciół Milamber zmieszał się.

– Jeden z młodych artystów, którzy pracują przy ozdabianiu ścian mego domu, jest synem Tuclamekli. Rzeczywiście, któregoś dnia dyskutowaliśmy na temat różnic kulturowych i wartości społecznych w Królestwie i Cesarstwie Tsuranich. Ale była to tylko krótka dygresja, która wynikła z dłuższej dyskusji na temat różnic w stylach sztuki.

Hochopepa wznosił oczy ku niebu, jakby przyzywał boskiej pomocy.

– Kiedy usłyszałem, że Partia dla Postępu, która jak wiesz, jest zdominowana przez



klan Hunzan, który z kolei jest pod kontrolą rodu Tuclamekla, powołała się na ciebie jako na źródło inspiracji, nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Teraz jednak w każdym nieszczęściu, które prześladowe Imperium, widzę twoją robotę. – Spojrzał na przyjaciela z udawaną powagą. – Powiedz, czy prawdą jest, jak głosi plotka, że Partia dla Postępu ma zmienić nazwę na Partię Milambera?

Shimone ryknął śmiechem, a Milamber spojrział na Hochopepę znękanym wzrokiem.

– Katala śmieje się ze mnie, gdy się martwię takim gadaniem, Hocho. Też się możesz śmiać, ale oświadczam publicznie, nie było moją intencją, aby do tego doszło. Wyraziłem po prostu kilka luźnych uwag i opinii, a to co klan Hunzan czy Partia dla Postępu z tym zrobili, pozostaje całkowicie poza moją kontrolą.

Hochopepa nie mógł się oprzeć, by go dobrodusznie nie zbesztać.

– Obawiam się, że jeśli tak ważna i powszechnie znana osobistość jak ty nie chce prowokować podobnych wydarzeń, to powinna trzymać gębę zamkniętą na kłódkę.

Shimone pokładał się ze śmiechu. Milamber poczuł, że w nim też narasta radość.

– Niech i tak będzie, Hocho. Całą winę biorę na siebie. Chociaż z drugiej strony, poważnie już mówiąc, nie jestem do końca przekonany, czy Imperium jest już gotowe na zaakceptowanie zmian, które uważam za konieczne...

– Milamber – przerwał mu Shimone. – Znamy twoje argumenty i opinię na pamięć. Nie czas teraz i miejsce, by debatować nad społecznymi problemami Imperium. Nie zapominaj poza tym, że wielu członków Zgromadzenia czuje się urażonych tym, że zajmujesz się sprawami, które oni uważają za polityczne. I chociaż ja osobiście uważam twoje poglądy za postępowe i wnoszące świeży powiew do naszego życia, nie zapominaj nigdy, że robisz sobie wrogów.

Rozległ się dźwięk trąb i bębnow. Przerwali rozmowę, zbliżał się bowiem dwór

cesarski. Karły Tsubar i walczące owady zostały błyskawicznie spędzone z areny przez obsługę stadionu. Kiedy teren opustoszał, pojawili się inni osobnicy, którzy za pomocą grabi i szerokich drąg wyrównali sprawnie piaszczystą powierzchnię. Trąby rozbrzmiały po raz drugi i po chwili pojawił się początek cesarskiej procesji – heroldzi ubrani w cesarską biel. Dźwigali oni długie, wygięte trąby wykonane z rogów jakichś potężnych bestii. Trąby zawijały się im na plecy i sterczały ponad głowami. Tuż za nimi kroczyli dobosze wybijający monotony, równomierny rytm.

Kiedy czoło kolumny znalazło się na wprost cesarskiej loży, wkroczyła gwardia honorowa Wodza Wojny ubrana w zbroje i hełmy ze skór needry tak mocno wyprawionej, że pozbawionej wszelkiego koloru. Krawędzie pancerzy na piersiach i hełmów wykończone były lśniącym w promieniach słońca złotem. Milamber usłyszał, jak Hochopepa złorzeczy pod nosem na marnotrawstwo drogiego kruszcu.

Dotarli na wyznaczone pozycje. Starszy herold wystąpił do przodu o krok.

– Almecho, Wódz Wojny!

Tłum wokół areny zerwał się na nogi, wiwatując gromko na jego cześć. Wodzowi towarzyszył orszak różnych dostojników, wśród których czerniły się szaty kilku magów, „piesków Wodza”, jak mówili o nich inni członkowie Zgromadzenia. Pośród magów Wodza prym wiedli dwaj bracia, Elgahar i Ergoran.

Zagrzmiał następny krzyk herolda.

– Ichindar I Dziewięćdziesiąty pierwszy Cesarz!

Ryk tłumu powitał wejście młodego Cesarza, Światłości Niebios, który pojawił się w towarzystwie kapłanów reprezentujących wszystkie dwadzieścia obrządków. Tłum stał, wiwatując głośno. Grzmot oklasków i ryk okrzyków radości niósł się w nieskończoność i Milamber zaczął się zastanawiać, czy miłość ludu Tsuranich do swego Cesarza sprawi, że ten

stanie murem za nim, gdyby znalazł się kiedyś w konflikcie z Wódcem Wojny. Pomimo czci, jaką pośród Tsuranich cieszyła się tradycja, nie mógł sobie jakoś wyobrazić Wodza jako człowieka, który potulnie ustępuje na rozkaz Cesarza z zajmowanego stanowiska, chociaż miałyby to miejsce po raz pierwszy w dziejach Cesarstwa.

Hałas przycichł trochę.

Shimone nachylił się ku Milamberowi.

– Coś mi się wydaje, przyjacielu Milamber, że życie kontemplacyjne nie pasuje i nie służy zbyt Światłości Niebios. I wcale go za to nie ganię. Tylko pomyśl: siedzieć cały dzień, nie mając do towarzystwa nikogo poza tłumem kapłanów i głupkowatych dziewczuch, które dobiera się dla niego wedle urody, a nie zdolności konwersacyjnych. To musi być przerażająco nudne.

Milamber zaśmiał się głośno.

– Wątpię, czy większość mężczyzn podzieliłaby tę opinię. Shimone wzruszył ramionami.

– Ciągle zapominam, że kiedy rozpocząłeś studia, nie byłeś już taki młody, a poza tym masz żonę.

Usłyszawszy wzmiankę o żonach, Hochopepa skrzywił się boleśnie i wtrącił się do rozmowy.

– Wódz Wojny chce coś ogłosić.

Almecho powstał z miejsca i wznosił rękę, uciszając tłumy. Po chwili zapanował spokój i ponad areną rozległ się jego donośny głos.

– Bogowie uśmiechnęli się do Tsuranuanni! Przynoszę wam wieści o wielkim zwycięstwie nad barbarzyńcami z obcego świata! Zmiażdżyłem ich największą armię i teraz nasi wojownicy świętują zwycięstwo! Już wkrótce wszystkie ziemie nazywane Królestwem

legną u stóp Światłości Niebios. – Odwrócił się i skłonił uniżenie Cesarzowi.

Wieści ogłoszone przez Wodza ubodły boleśnie Milambra. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, zaczął podnosić się powoli z miejsca. W ostatniej chwili Hochopepa chwycił go mocno za rękę.

– Jesteś Tsuranim! – syknął mu w ucho. Milamber otrząsnął się z ogarniających go uczuć i opanował z trudem.

– Dziękuję, Hocho. Niewiele brakowało, a zapomniałbym się.

– Cicho! – syknął znowu Hochopepa.

Skupili swoją uwagę na Wodzu, który przemawiał dalej.

– ...i jako wyraz naszego oddania Światłości Niebios dedykujemy mu święto i rozgrywki.

Ponad areną zerwały się znowu gromkie wiwaty i oklaski tłumów. Wódz zasiadł na swoim miejscu.

Milamber pochylił się ku swoim przyjaciołom.

– Nie wydaje się, aby Cesarz był zachwycony wieściami z wojny. – Hochopepa i Shimone spojrzeli w stronę władcy, na którego twarzy malował się stoicki spokój.

Hochopepa pokiwał głową.

– Dobrze skrywa uczucia, ale masz rację. Chyba coś go niepokoi.

Milamber, znając dobrze przyczynę zmartwienia Cesarza, milczał. Zwycięstwo ogłoszone przed chwilą stępi pokojową inicjatywę Błękitnego Koła, umacniając jednocześnie pozycję Wodza, kosztem Cesarza.

Shimone poklepał lekko Milambra po ramieniu.

– Turniej się rozpoczyna.

Otworzyły się wielkie wrota i na arenie pojawili się pierwsi zawodnicy. Milamber przez

cały czas obserwował z uwagą Cesarza. Był młody, miał najwyżej dwadzieścia parę lat i inteligentny wygląd. Wysokie czoło i długie do ramion, brązowo-rude włosy. W pewnej chwili Cesarz, chcąc odpowiedzieć siedzącemu obok kapłanowi, zwrócił twarz w stronę Milambra i mag ujrzał błysk słońca w zielonych oczach. Ich wzrok spotkał się na chwilę i Milamber dostrzegł w ułamku sekundy, że Cesarz go rozpoznał. Zatem powiedziano ci o mojej roli w twoim planie, pomyślał. Cesarzowi nawet nie drgnęła powieka. Kontynuował rozmowę, jak gdyby nic się nie zdarzyło i nikt poza Milamberem niczego nie zauważył.

– To turniej o uzyskanie łaski przebaczenia – powiedział Hochopepa. – Będą walczyli, aż na placu boju zostanie tylko jeden z nich i jemu właśnie będą darowane przestępstwa.

– Jakich przestępstw się dopuścili? – spytał Milamber.

– Typowych – poinformował Shimone. – Drobne kradzieże, zebranie bez zgody świątyni, dawanie fałszywego świadectwa, unikanie płacenia podatków, niewykonywanie usankcjonowanych prawem poleceń i temu podobne.

– A co z najcięższymi zbrodniami?

– Morderstwa, zdrada, bluźnierstwo, uderzenie własnego pana, żadna z tych zbrodni nie podlega przebaczeniu. – Podniósł głos, przekrzykując zgiełk tłumu. – Przestępcy są osadzani w więzieniach razem z jeńcami wojennymi i skazywani na nieustanną walkę, aż zginą.

Wartownicy opuścili arenę, zostawiając jej piasek we władaniu więźniów.

– Pospolici przestępcy – powiedział Hochopepa. – Nie możemy niestety oczekiwać ciekawego widowiska.

Uwaga była nad wyraz słuszna, ponieważ grupka więźniów przedstawiała opłakany wygląd. Poza przepaskami na biodrach byli zupełnie nadzy. Obcy im oręż i tarcze trzymali niezdarnie, nie bardzo wiedząc, co mają z nimi począć. Wielu było starych i chorych, zagubionych i zmieszanych. Trzymali swoje topory, miecze i włócznie luźno zwieszane przy

boku.

Zagrzmiały trąby oznajmiające początek walki i po paru chwilach starcy i chorzy leżeli martwi na piasku areny. Kilku z nich nawet nie zdążyło wnieść oręża w obronnym geście – by choć próbować utrzymać się przy życiu. Po kilku minutach ponad połowa więźniów zginęła lub konała na piasku. Wydarzenia toczyły się teraz wolniej, ponieważ zawodnicy stanęli twarzą w twarz z przeciwnikami, którzy dorównywali im siłą, umiejętnościami i przebiegłością. Grupka walczących topniała w oczach, a chaotyczny rytm walki zmieniał się. Coraz częściej się zdarzało, że kiedy jeden z zawodników padł martwy, jego przeciwnik zostawał samotnie obok innej walczącej pary, co prowadziło czasem do walki na trzy fronty. Tłum wył z radości, gwizdał i klaskał, ponieważ takie nieskoordynowane pojedynki oznaczały dużo więcej krwi i bólu.

Na końcu zostało trzech zawodników. Dwóch z nich nie zdołało rozstrzygnąć swej walki i obaj stali, dysząc ciężko na krawędzi wyczerpania. Trzeci zawodnik podchodził ostrożnie, starając się utrzymać równy dystans pomiędzy sobą a pozostałą dwójką i czekając na dogodny moment do ataku.

Chwila ta nadeszła kilka sekund później. Skoczył nagle do przodu i posługując się mieczem i nożem, ciał jednego z przeciwników w skroń, zwalając go na ziemię.

– Idiota! – krzyknął Shimone. – Ślepy czy co? Nie widzi, że ten drugi jest silniejszy?

Powinien poczekać, aż będzie miał okazję załatwić niespodziewanie tego sprawniejszego, a dopiero potem walczyć ze słabszym.

Milamber był poruszony do głębi. Shimone, jego dawny nauczyciel i mistrz, był najbliższym po Hochopepie przyjacielem. Jednak pomimo całej swojej wiedzy i mądrości domagał się więcej krwi, jak najgłupszy prostak zajmujący na stadionie najtańsze miejsce. Choćby nie wiadomo jak się starał, Milamber nie potrafił wykrzesać w sobie entuzjazmu

Tsuranich dla śmierci innych. Spojrzał na Shimone'a.

– Z pewnością był zbyt zajęty, by zwracać uwagę na niuanse taktyki. – Shimone, pochłonięty bez reszty obserwowaniem walki, nie zauważył sarkazmu komentarza.

Milamber spostrzegł nagle, że Hochopepa nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co działo się na arenie. Chytry mag, dla którego turniej był jedynie kolejną okazją studiowania subtelnych aspektów Gry Rady, nastawił ucha, starając się podsłuchać jak najwięcej toczących się dookoła nich rozmów. Dla Milamberta ta absolutna obojętność dla śmierci i cierpienia o kilka metrów niżej była równie wstrząsająca, co fascynacja Shimone'a.

Po paru sekundach było już po walce. Człowiek z nożem odniósł zwycięstwo. Tłum wiwatował na jego cześć, rzucając na piasek monety, by powracający do życia w społeczeństwie nie zaczynał go z pustym trzosem.

W czasie, kiedy porządkowano arenę, Shimone zawołał stojącego w pobliżu herolda i zapytał o dalszy program turnieju. Kiedy go wysłuchał, odwrócił się do przyjaciół rozpromieniony.

– Jest tylko kilka dobranych par, a potem dwa specjalne turnieje: oddział więźniów przeciwko wygłodniałemu harulth, a na koniec kilku żołnierzy z Midkemii, którzy staną przeciw wziętym do niewoli wojownikom Thuril. To powinno być bardzo interesujące.

Z twarzy Milamberta można było wyczytać, że nie podziela tej opinii. Doszedł do wniosku, że nadszedł odpowiedni czas, by zadać pytanie, które nurtowało go od samego początku.

– Hocho, czy widziałeś kogoś z rodu Shinzawai? Starszy mag rozglądał się po trybunach, wypatrując sztandarów co znamienitszych rodów Imperium. – Minwanabi, Anasati, Keda, Tomargu, Xacatecas, Acoma... nie, Milamber. Nie wydaje mi się, aby przybył ktoś z twoich poprzednich... hm... dobroczyńców. Zresztą nie dziwi mnie to za bardzo.

– Dlaczego?

– Popadli ostatnimi czasy w niełaskę u Wodza Wojny. Nie wykonali jakiegoś powierzonego przez niego zadania czy coś w tym rodzaju. Dotarły też do mnie wieści, że chociaż ich klan niespodziewanie przyłączył się do działań wojennych, znaleźli się na liście podejrzanych. Klan Kanazawai czerpił ciągle chwalebny przeszłość, a ród Shinzawai jest z nich wszystkich najbardziej staroświecki.

Nadeszło popołudnie i przed oczami zebranych rozgrywały się kolejne pojedynki i turnieje. Każdy następny był ciekawszy od poprzedniego, ponieważ ich uczestnicy reprezentowali coraz wyższy poziom. Zakończył się właśnie kolejny pojedynek. Na stadionie zapadła cisza. Nawet trybuny szlachetnie urodzonych milczały w pełnym napięcia oczekiwaniu na następny, niezwykle pokaz. Na arenę wkroczyło dwudziestu wojowników, którzy sądząc po wzroście, musieli pochodzić z Midkemii. Byli uzbrojeni w sznury, obciążone ciężarkami sieci, włócznie i długie, zakrzywione noże. Półnaczy, tylko w przepaskach na biodrach, kroczyli ku środkowi areny. Posmarowane oliwą ciała błyszczały w promieniach popołudniowego słońca. Stanęli spokojnie, rozglądając się z ciekawością dookoła, lecz siedzący na trybunach żołnierze dostrzegali ledwo widoczne oznaki napięcia towarzyszące żołnierzom przed walką. Po chwili rozwarły się ogromne, podwójne wrota po przeciwnej stronie areny i na stadion wytoczył się powoli sześcionogi potwór.

Harulth składał się wyłącznie z długich kłów i ostrych jak brzytwa pazurów. Do tego dochodziło wojownicze usposobienie, skóra gruba i twarda jak pancerz oraz wielkość, którą przypominał występujące na Midkemii słonie. Zatrzymał się, mrugając oczami, by przyzwyczaić wzrok do pełnego słońca, po czym błyskawicznie ruszył na grupkę przed sobą. Rozpierzchli się każdy w inną stronę, chcąc go zmylić. Harulth w prostocie swego prymitywnego mózgu nawet się nie zatrzymał, by zbadać nową sytuację, tylko pognął za jed-



nym nieszczęśnikiem, dopadł go w trzech ogromnych skokach, przygniótł nogami do ziemi i pożał w dwóch kęsach. Reszta przegrupowała się za bestią, szybko rozwijając sieci.

Sześcionogi zwierz obrócił się błyskawicznie, o wiele szybciej i sprawniej, niż można było sądzić po jego masie, i zaatakował ponownie. Tym razem wojownicy czekali do ostatniej chwili, zarzucili sieci i rozbiegli się na boki. Brzegi sieci były zaopatrzone w haki, które wbiły się w grubą skórę bestii. Zwierz zaplątał się, zatrzymał i zaczął szarpać gwałtownie krępującą ruchy sieć. Uzbrojeni we włócznie wojownicy wykorzystali krótki moment, kiedy bestia była pochłonięta rozrywaniem sieci, i skoczyli do przodu, miotając swoim orężem. Oszołomiony i oglupiały harulth poderwał łeb, nie bardzo wiedząc, skąd nadszedł nowy ból. Po chwili stało się jasne, że włócznie nie były dobrą bronią, ponieważ nie wbiły się dostatecznie głęboko w ciało zwierza. Jeden z wojowników zorientował się w sytuacji szybciej niż pozostali. Chwycił za ramię stojącego najbliżej towarzysza i pokazał na tył zwierzęcia. Podbiegli do ogona miotającego się po piasku z siłą tarana.

Naradzali się przez chwilę, po czym w chwili kiedy bestia wybrała sobie nową ofiarę, rzucili włócznie na ziemię. Zwierz skoczył do przodu i w mgnieniu oka porwał w paszczę następnego wojownika. Zajęty pożeraniem stał bez ruchu kilka chwil. Dwójka z tyłu ruszyła biegiem i z rozpędu wskoczyła na ogon. Przez kilka sekund wydawało się, że bestia nic nie zauważyła. Dopiero po chwili okręciła się gwałtownie wokół własnej osi o sto osiemdziesiąt stopni, zrzucając jednego z wojowników na ziemię. Zanim oszołomiony upadkiem żołnierz zdołał zareagować, już znalazł się w szczękach potwora. Drugiemu udało się jakoś utrzymać na ogonie i teraz, wykorzystując chwilowy bezruch stwora pożerającego jego towarzysza, wciągnął się wyżej i po kilku sekundach znalazł się nad tylnymi nogami. Zamachnął się i z całej siły wbił długie ostrze pomiędzy obciążone luźniejszą skórą kręgi kręgosłupa. Była to bardzo desperacka zagrywka i tłum zawył z radości, wiwatując na cześć odważnego

wojownika.

Klinga przebiła się przez twardą chrząstkę między kręgami i przecięła rdzeń. Potwór ryknął wściekle i zaczął się obracać, by zwalić w piach nieproszonego jeźdźca, lecz było już za późno. Ostatnia para nóg ugięła się bezwładnie pod ciężarem ciała. Ogłupiały harulth stał przez kilka chwil, ruszając rozpaczliwie przednimi nogami, by powstrzymać opadający na ziemię tył.

Dwa razy obracał błyskawicznie głowę na kark, by chwycić zębami swego małego prześladowcę, lecz miał zbyt grubą szyję, by go dosięgnąć. Wojownik wyszarpnął nóż i przywierając mocno do ciała bestii, pełził powoli do przodu. W tym czasie reszta włóczyków skakała przed nosem bestii, odwracając jej uwagę. Trzy razy omal nie zleciał z grzbietu, lecz zdołał jakoś utrzymać się na górze. Kiedy znalazł się przed środkową parą nóg, znowu wbił nóż między kręgi. W ciągu sekundy nogi zawiodły stwora i środek tułowia zapadł się ciężko, wyrzucając wojownika w powietrze jak z procy. Harulth zaryczał z wściekłości i bólu, lecz był całkowicie unieruchomiony. Wojownicy cofnęli się o kilka kroków i czekali spokojnie.

Przecięcie rdzenia okazało się skuteczne. Po paru chwilach stwór zwałił się na bok. Przednie nogi ryły piach przez kilka sekund, po czym bestia znieruchomiła.

Zachwycony tłum zawył z radości. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by wojownicy pokonali harultha, nie ponosząc przy tym pięciokrotnie wyższych strat. W tych zawodach zginęło tylko trzech ludzi. Wojownicy stali wyczerpani dookoła powalonego potwora. Broń wypadła im z odrętwiałych palców. Chociaż zmagania trwały zaledwie dziesięć minut, jednak włożona w walkę energia, maksymalna koncentracja i strach sprawiły, że wszyscy byli bliscy omdlenia. Odrętwiali, nie zwracając uwagi na rozwrzeszczany radośnie tłum, szli potykając się ku wyjściu. Jedyne na twarzy tego, który faktycznie zabił bestię, malowało się jakieś uczucie. Szedł powoli, powłócząc nogami i nie przejmując się tłumami, płakał.

– Co go tak gryzie? – spytał zdumiony Shimone. – Przecież odniósł wielkie

zwycięstwo.

Milamber musiał zmobilizować całą siłę woli, by zachować spokój.

– Płacze, ponieważ jest wyczerpany, przestraszony i ma wszystkiego dosyć. – Po chwili dodał miękko: – I jest bardzo daleko od domu. – Przełknął z trudem ślinę, zwalczając narastającą w nim wściekłość. – A poza tym wie dobrze, że to wszystko na nic, że to nie ma sensu. Bo przecież za jakiś czas znowu wkroczy na tę arenę, a potem jeszcze raz i jeszcze raz, by walczyć z różnymi stworami, innymi ludźmi, a nawet przyjaciółmi z ojczyznej ziemi, i wcześniej czy później umrze na tym piasku.

Hochopepa popatrzył uważnie na Milambra. Shimone zmieszał się. – Gdyby nie przypadek, mógłbym teraz być razem z tymi na arenie – dodał Milamber. – Ci, którzy walczyli, są ludźmi. Mieli swoje rodziny, domy, kochali się i śmiali, a teraz czekają na śmierć.

Hochopepa machnął ręką.

– Milamber, masz nieprzyjemny zwyczaj brania wszystkiego do siebie.

Milamber czuł, że ma powyżej uszu krwawego widowiska. Z trudem powstrzymywał gniew i obrzydzenie. Postanowił jednak zostać. Postanowił być Tsuranim.

Znowu uprzątnięto piaszczystą arenę. Zagrzmiały trąby. Za moment miał się rozpocząć ostatni turniej tego popołudnia. Z przeciwległego końca stadionu wybiegło dwunastu dumnie wyglądających wojowników. Mieli na sobie skórzane stroje bitewne, ich nadgarstki były opięte skórzanymi, nabijanymi ćwiekami opaskami, a na głowach nosili bajecznie kolorowe pióropusze. Chociaż Milamber widział ich po raz pierwszy w życiu, jednak rozpoznał stroje z wizji na szczycie wieży. Byli to potomkowie dumnych Jeźdźców Węży, Thuril. Wszyscy, jak jeden mąż, patrzyli przed siebie twardym, pełnym determinacji wzrokiem.

Z drugiego końca wymaszerowało na arenę dwunastu wojowników odzianych w kolorowe imitacje zbroi z Midkemii. Ich własne metalowe pancerze uznano za zbyt cenne i

pozbawione polotu dla potrzeb turnieju, więc artyści Tsuranich przygotowali dla nich stylizowane imitacje.

Wojownicy Thuril patrzyli na nowo przybyłych nieugiętym, pełnym pogardy i nienawiści wzrokiem. Ze wszystkich ludzkich ras zamieszkujących ten świat jedynie Thuril zdołali stawić skuteczny opór Imperium. Thuril byli najwspanialszymi wojownikami górskimi na Kelewanie, a ich ulokowane pośród górskich szczytów forty i wysoko położone pastwiska opierały się skutecznie wszelkim zakusom najeźdźców. Przez długie lata, aż do podpisania deklaracji pokojowej, zmuszali Imperium do trwania w pogotowiu. Na skutek tego, że nie tworzyli mieszanych związków z niższymi rasami Kelewanu, które uważali za stojące niżej od nich, wszyscy byli wysokiego wzrostu.

Znowu zagrzmiały trąby i nad stadionem zapadła cisza. Po chwili rozległ się potężny i czysty głos herolda.

– Oto ci żołnierze Konfederacji Thuril złamali postanowienia traktatu podpisanego przez ich własne narody oraz Imperium, występując zbrojnie przeciwko żołnierzom Cesarza, i dlatego zostali odrzuceni przez własny lud, który skazał ich na banicję, pozbawił wszelkich praw, a następnie wydał ich nam, by zostali przykładnie ukarani. Będą więc teraz walczyli z jeńcami pojmanymi w świecie zwanym Midkemią. Walka będzie trwała, dopóki nie zostanie tylko jeden z nich. – Tłum wzniósł radosny okrzyk.

Znowu dźwięk trąb. Wojownicy ustawili się w szyku bojowym. Midkemieanie przyklękli z bronią gotową do obrony, lecz górale Thuril stali wyprostowani jak trzciny z wyniosłym wyrazem twarzy. Jeden z nich wystąpił przed pozostałych i zatrzymał się przed najbliższym wojownikiem z Midkemii. Szerokim ruchem ręki wskazał trybuny i zaczął coś szybko mówić pogardliwym tonem.

Milamber poczuł, jak twarz oblewa mu gorący rumieniec gniewu pomieszanego ze

wstydem. Scena rozgrywająca się przed ich oczami wzburzyła go strasznie. Owszem, na Midkemii też były różne zawody i turnieje, słyszał o nich nieraz. W niczym jednak nie przypominały obecnego widowiska. Ludzie biorący udział w walkach w Krondorze i większych miastach Królestwa byli zawodowcami, którzy zarabiali na życie walką, a walki trwały tylko do pierwszej krwi. Co jakiś czas zdarzał się co prawda pojedynek na śmierć i życie, lecz zawsze były to sprawy osobiste i dochodziło do niego jedynie wtedy, kiedy zostały wyczerpane inne środki pokojowego załatwienia sprawy. To, w czym uczestniczył obecnie, było bezmyślnym marnotrawstwem ludzkiego życia, mającym na celu dostarczenie rozrywki znudzonym i próżnym osobnikom, którzy za wszelką cenę, za cenę coraz drastyczniej szych środków, starali się zaspokoić wewnętrzną potrzebę wykazania samym sobie, że ich własne życie było coś warte. Milamber rozejrzał się po siedzących dookoła i wyraz ich twarzy przyprawił go niemal o mdłości.

Wojownik Thuril kontynuował swoją przemowę. Midkemianie patrzyli na niego z uwagą, a w ich zachowaniu można było zaobserwować zmianę nastroju. Z początku byli spięci, gotowi do walki, teraz wyraźnie się rozluźnili. Thuril ciągle mówił, wskazując nieustannie na zgromadzony tłum.

W pewnym momencie jeden z żołnierzy z Midkemii, wysoki i barczysty, powstał i zrobił krok do przodu, jakby chciał coś powiedzieć. Góral przybrał pozycję obronną i stanął z wzniesionym w górę mieczem, gotowy do zadania ciosu. Zza jego pleców rozległ się czyjś donośny, uspokajający głos i stojący Thuril wyraźnie się uspokoił.

Wojownik z Midkemii zdjął powoli hełm. Ukazała się zmęczona, wychudła twarz, którą okalały zlepione potem czarne kosmyki włosów. Obrzucił wzrokiem trybuny. Widownia, niezadowolona z nieoczekiwanego zachowania wojowników, zaczęła szemrać i narzekać głośno. Żołnierz skłonił na krótko głowę, a potem cisnął na ziemię miecz i tarczę. Odwrócił się

do swoich i powiedział coś. Po chwili inni poszli za jego przykładem i na piasku znalazł się cały oręż.

Milamber rozważał dziwne zachowanie ze zmarszczonym czołem. Shimone nachylił się ku niemu.

– To się skończy rzezią, zobaczysz. Thuril nie będą walczyli między sobą i jak widać, nie mają też zamiaru walczyć z barbarzyńcami. Widziałem kiedyś sześciu górali Thuril, którzy wykończyli wszystkich, którzy zostali wysłani przeciwko nim, a potem odmówili walki między sobą. Kiedy w końcu przybyli wartownicy, by ich pozabijać, ci stawili im opór i przepędzili na cztery wiatry. Skończyło się tym, że zawołano bieżników, którzy stanęli na murach i wystrzelali ich jak kaczki. Straszna hańba. Widownia nie wytrzymała. Wybuchły zamieszki, a nadzorujący turniej został dosłownie rozdarty na strzępy. Zginęło ponad stu obywateli.

Milamber odetchnął z ulgą. Przynajmniej został mu oszczędzony widok tego, jak ludzie Katali i jego rodacy mordują się wzajemnie. Pośród tłumu zaczęły się wznosić coraz donośniejsze okrzyki niezadowolenia szydzące z odmawiających walki wojowników. Hochopepa szturchnął Milambra w bok.

– Spójrz tylko, Wódz Wojny nie wydaje się zbyt zadowolony.

Milamber popatrzył we wskazanym kierunku. Wyraz twarzy zmieniał się stopniowo, kiedy jego podarunek złożony w hołdzie Cesarzowi zmieniał się powoli w farsę. Almecho wstał powoli z miejsca w pobliżu Światłości Niebios i ryknął na całe gardło.

– Niech się rozpocznie walka!

Na polecenie szefa turnieju na arenę wbiegli potężnie zbudowani nadzorcy, wymachując pejcami. Okrążyli stojących bez ruchu wojowników i zaczęli ich bić. Milamber patrzył, jak strażnicy walili na oślep skózanymi biczami w żołnierzy Thuril i z Midkemii, wrywając kawałki ciała z nie osłoniętych miejsc, i poczuł, jak fala potwornego,

nieopanowanego gniewu wzbiera w jego wnętrzu. Dla Milambera, który pracował przecież na bagnach, palący ból zadany pejczem nie był obcy. Czuł każde uderzenie spadające na tych na arenie, tak jakby sam otrzymał cios.

Pośród tłumu rosło zniecierpliwienie. Nie przyszli na stadion, aby oglądać biczowanie stojących bez ruchu zawodników. Coraz częściej dawały się słyszeć szydercze okrzyki i gwizdy kierowane w stronę łoża cesarskiej. Co bardziej odważni ciskali na piasek drobne monety i śmieci, by w ten sposób wyrazić swoją opinię o prezentowanym widowisku. W pewnej chwili jeden z nadzorców zniecierpliwiał się, podbiegł do wojownika Thuril i z całej siły uderzył go rękojęścią pejcza w twarz. Zanim zdążył zareagować, góral doskoczył do niego i wyrwał mu pejcz z ręki. W ułamku sekundy owinał go wokół szyi prześladowcy i zaczął dusić. Pozostali nadzorcy rzucili się na pomoc zaatakowanemu towarzyszowi i zaczęli bez opamiętania walić pejczami w samotnego wojownika Thuril. Po kilkunastu uderzeniach zlany krwią góral zachwiał się na nogach i opadł na kolana, ani na moment jednak nie wypuszczając swej siniejącej ofiary. Spadł na niego nowy grad uderzeń. Cała zbroja pokryła się krwią i strzępami skóry, on jednak nie puszczał pejcza owiniętego wokół szyi nadzorcy.

Kiedy ten w końcu umarł z wybałuszonymi oczami, patrzącymi pusto z czarno-sinej twarzy, górala opuściły resztki sił. Bezwładne ciało nadzorcy padło na piasek, a wojownik Thuril osunął się na ziemię koło niego.

Pierwszym, który zareagował, był jeden z żołnierzy z Midkemii. Z powolnym wyrachowaniem i zaciętą twarzą podniósł spokojnie jeden z mieczy i przebił na wylot stojącego najbliżej strażnika. W okamgnieniu pozostali wojownicy z Midkemii i Thuril jak jeden mąż chwycili za porzuconą broń i nie minęła nawet minuta, a na skrwawionym piasku leży zwłoki wszystkich nadzorców. Po skończeniu błyskawicznego ataku wszyscy jeńcy, znowu jak jeden mąż, rzucili broń na piach.

Milamber walczył z samym sobą, by zachować spokój. Dla biednych więźniów mógł czuć jedynie podziw i szacunek. Woleli przyjąć śmierć z obcych rąk, niż zabijać się wzajemnie. Niewykluczone, że niektórzy z nich galopowali razem z nim przez dolinę kilka lat temu, by odnaleźć magiczną machinę, dzięki której Tsurani pojawili się w ich świecie. Choć zewnątrz wydawał się spokojny i opanowany, wewnątrz aż kipiał gniewem.

– Mam złe przeczucia – szepnął Hochopepa. – Cokolwiek Almecho chciał zyskać dzisiaj w oczach Cesarza, by wzmocnić swą pozycję, legło w gruzach. Odnoszę wrażenie, że nie za dobrze przyjmuje niechęć twoich byłych rodaków do umierania ku uciesze Światłości Niebios.

– Niech szlag trafi takie uciechy! – wyrzucił z siebie jadownicie Milamber. Spojrzał na Hochopepę płonącymi gniewem oczyma, czego gruby mag jeszcze nigdy nie miał okazji widzieć. Milamber zaczął się podnosić z miejsca. – I wszystkich, którzy znajdują przyjemność w oglądaniu tak krwawego sportu.

Hochopepa chwycił go z całej siły za rękę i próbował posadzić z powrotem na miejscu.

– Milamber, opamiętaj się!

Milamber nie zwracał już na niego uwagi. Wyrwał się i wstał.

On i jego towarzysze wpatrywali się w lożę cesarską, gdzie kapitan straży konferował pośpiesznie z Wodzem Wojny. Milamber poczuł, jakby wdzierąca się w niego dziwna, gorąca fala. Przez parę sekund walczył z przemożną pokusą, by przenieść Wodza pomiędzy tych na dole, na arenie i sprawdzić, jak sobie poradzi z tymi, którzy nie chcieli ładnie i grzecznie umierać na jego rozkaz.

Ponad wrzawą rozległ się nagle donośny głos Almecho. Zapadła nagle, martwa cisza.

– Nie, nie łuczniczy. Te zwierzęta nie są godne umierać śmiercią wojownika. – Zwrócił się do jednego z wysługujących się mu magów i wydał krótkie polecenie. Mag skinął głową i



zaczął recytować zaklęcie. Milamber poczuł narastającą dookoła obecność magii. Włosy zjeżyły mu się na karku.

Na trybunach rozległ się zduszony okrzyk. Wojownicy padli bez zmysłów na piasek, miotając się półprzytomnie.

– Związać ich! – wrzasnął Wódz. – Postawić rusztowanie i natychmiast ich powiesić na oczach wszystkich.

Znowu zapadła martwa, pełna niedowierzania cisza. Po chwili w kilku miejscach naraz rozległy się pojedyncze okrzyki.

– Nie! To żołnierze, nie wolno! Hańba! Bez honoru! Hochopepa przymknął oczy, westchnął głośno i zaczął mówić po części do swoich przyjaciół, a po części do samego siebie.

– No tak, Wódz znowu dał się ponieść nerwom i pokazał swoje słynne humory. Niezły pasztet. Oj, nie wzmocni to jego pozycji w Wysokiej Radzie, oj nie. Nie mówiąc już o stabilności Imperium, którą teraz naraża na szwank swoim zachowaniem.

Jak rozwścieczona bestia w klatce, Wódz szarpał się na wszystkie strony, rozglądając wokół. W jego najbliższym sąsiedztwie zapadła momentalnie cisza, lecz ci, którzy siedzieli daleko, podchwycili okrzyki. Według wszelkich reguł Tsuranich była to zbyt wielka zniewaga, na którą mogli się jedynie zgodzić ci, którzy i tak już byli pozbawieni wszelkiego honoru.

Chociaż wrzask i sprzeciwianie się władzy jest sportem gawiedzi, to jednak jeńcy wykazali ponad wszelką wątpliwość, że są wojownikami i jako tacy zasługiwali na honorową śmierć.

Hochopepa zwrócił się do Milamberra, chcąc coś powiedzieć, ale kiedy zobaczył wyraz twarzy przyjaciela, zaniemówił z przerażenia. Malowała się na niej nieopanowana wściekłość, równa tej, która rozsadzała Wodza Wojny. Przeczuwając, że za chwilę może się wydarzyć coś strasznego, Hochopepa odwrócił się do Shimone'a, by prosić o pomoc, lecz Shimone też wpatrywał się w milczeniu w przerażający grymas na twarzy Milamberra.

– Milamber, nie! – To było wszystko, co mógł z siebie wydusić Hochopepa przez ściśnięte gardło. Po sekundzie niewolnik, który został magiem, ruszył przed siebie. Przemknął obok zszokowanego Hochopepy, rzucając w biegu: – Czuwaj nad bezpieczeństwem Cesarza! – Milamberowi aż szumiało w głowie od nagłego przyływu emocji, nad którymi musiał panować przez tyle lat. Teraz tamy otworzyły się i tłamszone przez lata uczucia wylały się gwałtownie na zewnątrz. Owładnęła nim przedziwna i niesamowicie silna pewność. Nie jestem Tsuranim! – przyznał sam przed sobą. Nie mogę przykładać do tego ręki. Po raz pierwszy od chwili założenia czarnej szaty jego dwie natury znalazły się w stanie perfekcyjnej harmonii. To, co się działo, było hańbą według wszelkich zasad obu kultur i z przerażającą klarownością pokazało mu, co ma czynić. Nie miał już najmniejszych nawet wątpliwości.

Na wszystkich trybunach, z wyjątkiem cesarskiej, słychać było rytmiczne skandowanie: „Miecz, miecz, miecz!” Zgromadzony tłum żądał dla znajdujących się na arenie śmierci godnej wojownika. Rytmiczny grzmot okrzyku był dla Milamberta jak łomocący w skroniach puls. Każdy kolejny krzyk wzmagął wymykającą się już spod kontroli furję. Milamber dotarł do miejsca pomiędzy trybuną magów a cesarską. Przyjrzał się żołnierzom i cieślom wbiegającym na piasek areny. Oszołomionych Midkemian i Thuril wiązano jak zwierzęta prowadzone na rzeź. Wściekłość tłumu dochodziła do punktu krytycznego. Niektórzy młodszy oficerowie, niżsi rangą, wywodzący się ze szlacheckich rodów, szykowali się, by dobyć broni, zeskoczyć na arenę i walczyć w obronie prawa jeńców do żołnierskiej śmierci. Więźniowie byli mężnymi przeciwnikami, a wielu z siedzących na trybunach widzów walczyło już zarówno przeciwko Thuril, jak i żołnierzom Królestwa. Z radością zabiliby ich na polu walki, lecz nie mogli patrzeć spokojnie, jak dzielnych wrogów spotyka takie upokorzenie.

Czarna fala gniewu, nienawiści i cierpienia przewaliła się przez serce i duszę Milambra. Jego rozwścieczony umysł krzyczał w bezgłośnym proteście mimo prób zapanowania nad emocjami. Głowa przechyliła się gwałtownie, oczy uciekły w głąb, pokazując białka, a w umyśle, jak dwa razy w przeszłości, pojawiły się ogniste litery. Jednak poprzednio nie miał ani dość siły, ani wiedzy, by ująć tę szczególną chwilę we własne ręce. Ze zwierzęcą radością skoczył na oślep w otchłań otwierającej się w nim nowej mocy. Prawe ramię wysunęło się gwałtownie do przodu, a z końców palców trysnął oślepiająco błękitny płomień potwornej energii. Mimo jasno jeszcze świecącego słońca ludzie na trybunach zasłonili oczy. Błyskawica z hukiem uderzyła w piasek między żołnierzy z gwardii Wodza Wojny, rozrzucając ich na wszystkie strony jak liście niesione wiatrem. Słudzy, którzy wchodzili właśnie na płytę stadionu z budulcem na szubienicę, zostali rzućni na kolana. Widzowie w niższych rzędach kręcili głowami oszołomieni siłą eksplozji. Na całym stadionie w ułamku sekundy zapadła martwa cisza.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę źródła wybuchu. Stojący w pobliżu Milambra bezwiednie zaczęli przesuwać się do tyłu. Twarz poczerwieniała mu z gniewu. Ciemne oczy badawczo lustrowały arenę i trybuny. Milamber wykonał krótki ruch dłonią w dół.

– Koniec!

Poza Shimone'em i Hochopepą nikt się nie ruszył. Chociaż nie mieli pojęcia, jakie są zamierzenia Milambra po tym, co zrobił, wzięli sobie do serca jego polecenie. Ruszyli pośpiesznie w stronę młodego Cesarza, który jak reszta widowni siedział bez ruchu na pół oszołomiony, na pół zafascynowany pokazem siły. Nachylili się ku niemu i konferowali przez krótką chwilę, po czym miejsce Ichindara opustoszało.

– Kto się ośmielił! – rozległ się wściekły ryk na lewo od Milambra. Zwrócił się w tamtą stronę.

Milamber znalazł się twarzą w twarz z Wodzem, który w swojej białej zbroi stał jak jakiś rozjuszony półbóg. Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości, identyczny jak na twarzy maga.

– Ja się ośmielam! – krzyknął Milamber. – To nie może trwać! I nie będzie! Nikt więcej nie będzie umierał ku uciechu innych!

Almecho, Wódz Wojny wszystkich Narodów Tsuranuanni omal nie wyskoczył ze skóry.

– Jakim prawem to czynisz!? – wrzasnął łamiącym się z wściekłości głosem. Żył na szyi nabrzmiały mu niebezpiecznie, mięśnie dygotały jak w gorączce, a po czole spływały kropelki potu.

Milamber obniżył głos. Wypowiadał słowa powoli, z namaszczeniem, z kontrolowaną, wyzywającą wściekłością.

– Prawem czynienia tego, co uznaję za stosowne! – Zwrócił się do najbliższego stojącego wartownika. – Jeńcy na arenie mają być natychmiast uwolnieni. Są wolni!

Żołnierz zawahał się przez moment, lecz dryl Tsuranich momentalnie wziął górę.

– Twoja wola. Wielki.

– Stój! – Usłyszeli wściekły wrzask Wodza. Przez trybuny przeleciał zduszony okrzyk.

W całej historii Imperium nie doszło nigdy do otwartej konfrontacji pomiędzy Wodzem Wojny a Wielkim. Żołnierz zatrzymał się niezdecydowany.

– Moje słowa są prawem. Ruszaj! – warknął przez zęby Milamber.

Gwardzista ruszył przed siebie.

– Łamiesz prawo! Nikt nie może uwolnić niewolnika! – wrzasnął Almecho.

W Milamberze znowu wzbierał gniew.

– Ja mogę! Jestem poza prawem! – krzyknął. Wódz cofnął się o krok, jakby otrzymał

niewidzialny cios. Po raz pierwszy w życiu ktoś ośmielił się sprzeciwić jego woli w ten sposób.

Żaden Wódz Wojny w historii Imperium nie doświadczył takiej publicznej hańby. Z

wściekłości aż kręciło mu się w głowie.

Tuż obok Wodza zerwał się na nogi jeden z magów.

– Oświadczam, że jesteś zdrajcą i fałszywym Wielkim. Chcesz podkopać władzę

Wodza i wprowadzić chaos w porządku Imperium. Odpowiesz za tę zniewagę!

Wokół obu magów rozpętało się piekło. Wszyscy, którzy znajdowali się w zasięgu ich głosu, zrywali się gwałtownie na nogi i uciekali do tyłu. Milamber przyjrzał się uważnie magowi wysługującemu się Wodzowi.

– Czy chcesz wystawić swoją moc przeciwko mojej?

Wódz spojrzał na Milamberta ze straszliwą i nie skrywaną nienawiścią. Nie odrywając ani na sekundę palącego wzroku od twarzy młodego maga, rozkazał swemu sługusowi: – Zniszcz go!

Milamber wyciągnął raptownie ramiona ku górze i skrzyżował je w nadgarstkach. W jednej chwili otoczyła go złocista, opalizująca poświata. Jego przeciwnik cisnął w niego rozjarzoną błyskawicę. Niebieska kula energii uderzyła w złotą tarczę, rozpryskując się nieszkodliwie.

Milamberta zalała fala niepowstrzymanego gniewu. Zebrał się w sobie, szykując do walki na śmierć i życie. Już dwa razy w życiu sięgał do głęboko ukrytych pokładów mocy i czerpał z nich pełną garścią. Po raz pierwszy, kiedy został zaatakowany przez trolle, po raz drugi – w czasie walki z Rolandem. Teraz odrzucił na bok ostatnie bariery dzielące jego świadomy umysł i działanie od ukrytych zasobów. Minęły czasy, gdy moce te stanowiły dla niego niewytłumaczalną tajemnicę. Teraz było to jak źródło bijące ze stoku góry, z którego czerpał wszystkie życiodajne siły i moce magiczne. Po raz pierwszy w życiu dane mu było

stanać twarzą w twarz z absolutnie klarownym i pełnym obrazem oraz zrozumieniem tego, kim był w rzeczywistości. Nie był Czarną Szatą, którego działania ograniczały starożytne nauki jednego świata, lecz adeptem Wyższej Sztuki, mistrzem władającym w pełni i niepodzielnie mocami dwóch światów.

Mag Wodza Wojny wpatrywał się w niego przerażony. Było to coś więcej niż ciekawostka magiczna, jakiś barbarzyński mag z podbitego prawie świata. Stała przed nim postać, która budziła instynktowne przerażenie. Wyciągnięte ku niebu ramiona, ciało szarpane paroksyzmami nieokiełznanej wściekłości, płonące wewnętrzną mocą i wbite w niego straszne oczy.

Milamber klasnął w dłonie ponad głową. Nad stadionem rozległ się potworny huk. Stojący bliżej niego zachwiali się na nogach. Z wzniesionych wysoko dłoni wystrzeliły w górę promieniste zygzaki energii. Wokół jego postaci pojawił się skrzący wir niewyobrażalnej mocy, który coraz szybciej i szybciej mknął strzeliście ku górze. Fontanna rozjarzonych do białości linii zatrzymała się nad stadionem, a po chwili spłaszczyła się, pokrywając trybuny świetlistym baldachimem. Migotliwy pokaz trwał jeszcze przez kilka chwil, po czym niebiosy eksplodowały, gwałtownie oślepiając na zawsze tych, którzy wnieśli wzrok ku górze. Niebo pociemniało raptownie, a światło słońca przyćmiło się, jakby powoli zasnuwano wokół niego szare, zwiewne zasłony.

Głos Milambra rozległ się wyraźnie w najdalszych zakątkach ogromnego stadionu.

– To, że przez całe wieki żyliście tak, jak żyliście, nie upoważnia was do okrucieństwa.

Każdy z was staje oto przed sądem i nie znajduję żadnego, który byłby bez winy.

Trybuny magów zaczęły opuszczać czarno odziane postacie, lecz nie wszyscy, zostało jeszcze wielu. Co bardziej rozsądni przedstawiciele pospólstwa wymykali się ukradkiem przez najbliższe wyjścia, lecz inni trwali na miejscach sądząc, że to jeszcze jeden turniej

zorganizowany ku ich uciesze. Wielu było po prostu zbyt pijanych czy zauroczonych niesamowitym pokazem, by w pełni dotarło do nich znaczenie ostrzeżenia maga.

Ramię Milambra zatoczyło łuk.

– Wy wszyscy, którzy czerpaliście przyjemność i radość ze śmierci i upokorzenia innych, zobaczcie teraz, jak smakuje zagłada, gdy staje się z nią twarzą w twarz! – Jego ostatnim słowem towarzyszył głuchy jęk przerażenia na trybunach.

Milamber wznosił jedną rękę ponad głowę. Momentalnie zapadła martwa cisza. Zamarł nawet letni wiaterek. Milamber przemówił nagle z przerażającą mocą. Na dźwięk jego słów twarze widzów zrobiły się kredowobiałe, jakby sama śmierć wcieliła się w postać maga i przemówiła do nich ludzkim głosem. Słowa Milambra niosły się ogłuszającym echem ponad stadionem.

– Bójcie się i rozpaczajcie, ja bowiem jestem Mocą! Wokół jego postaci rozległ się narastający z każdą sekundą przeraźliwy, świdrujący w mózgu dźwięk. Magia, która rozpętała się nad stadionem, była tak potężna, że drgały cząsteczki powietrza.

– Wiatr! – krzyknął strasznym głosem Milamber. Ponad trybunami powiała nagła bryza. Gorzka, cuchnąca strasznym smrodem zgnilizny i padliny, odrażająca i ohydna w dotyku. Okropny jęk przerażenia i cierpienia przemknął na skrzydłach wiatru. Wiało coraz silniej i gwałtowniej. Każdy następny podmuch niósł coraz większą grozę, straszny krzyk rozpacz. Robiło się coraz chłodniej i chłodniej. Ci, którzy nie znali chłodu, dygotali, kuląc się z zimna. Lodowate podmuchy wyciskały strumienie łez. Wysoko ponad stadionem uformował się ogromny, czarny wał chmur.

Wichura wyła, pochłaniając okrzyki przerażenia i zawodzenie tłumów. Szlachetnie urodzeni próbowali uciekać. Owładnięci jedną jedyną myślą, zbyt przerażeni, by myśleć jasno, kopiąc i gryząc przedzierali się na oślep przez swoje własne rodziny, tratując na śmierć

starszych i bardziej powolnych. Dziesiątki ludzi zostało zrzuconych z trybun na piasek areny, inni, wciśnięci między ławki, błagali o pomoc na kolanach.

Ogromne, czarno-szare chmury pędziły nad stadionem, wirując dziko dokładnie nad Milamberem. Mag skąpany był w niesamowitym, pulsującym energią świetle. Stał niewzruszenie w oku cyklonu. Przerazająca, ciemna postać. Ogłuszające wycie wichury przeciął nagle jak nóż ostry głos Milambera.

– Deszcz!

Lodowate krople, niesione podmuchami wiatru, zaczęły siec po twarzach. Deszcz wzmagał się z każdą sekundą, przechodząc szybko w przygniatające boleśnie do ziemi strumienie wody, a po chwili w istny potop. Ludzie bici bezlitośnie kaskadami wody o strasznej, nienaturalnej sile padali bez zmysłów na ziemię. Kilku osobom udało się przedrzeć do tuneli prowadzących na stadion, reszta, ogłupiała z przerażenia chwyciła się rozpaczliwie sąsiadów.

Kilku magów usiłowało przeciwstawić się zaklęciom Milambera, lecz nadaremnie. Po chwili padli omdlali z wyczerpania na ziemię. Żaden z nich nie zetknął się jeszcze z takim pokazem czystej, pierwotnej i nagiej mocy. Stanęli oko w oko z prawdziwym, niekwestionowanym mistrzem magii, tym, który potrafił sobie podporządkować podstawowe elementy wszechświata. Mag, który rzucił wyzwanie Milamberowi, leżał oszołomiony, rzucony na oparcie swego krzesła. Mrugał głupkowato oczami, starając się bezskutecznie uchwycić w otaczającym chaosie szczątki porządku i logiki. Wódz Wojny stał sztywno wyprostowany i za wszelką cenę chciał oprzeć się sile huraganu i nawałnicy oraz grozie, która zapanowała nad wszystkimi dookoła.

Milamber opuścił ramię, by po chwili wznieść je znów przed siebie.

– Ogień! – ryknął strasznym głosem i znowu wszyscy, nawet najbardziej oddaleni,



usłyszeli go wyraźnie.

Chmury zapłonęły jakby wewnętrznym ogniem, a nieboskłon buchnął nagle płachtami przeraźliwych barw. Pośród mroku płomienie o wszystkich kolorach i odcieniach tęczy zawirowały w dzikim tańcu, ścigane przez poszarpane zygzaki błyskawic, jakby bogowie oznajmiali nadejście ostatecznego sądu nad rodzajem ludzkim. Materia wszechświata oszalała. Ludzie na trybunach wyli ze strachu zdławieni pierwotnym przerażeniem.

Na ziemię lunął ognisty deszcz. Płonące krople spadały na odkryte ramiona, twarze, przepalały ubranie. Przeraźliwe wycie sięgnęło zenitu. Ludzie uderzali się na oślep i nadaremnie po rękach, włosach, po całym ciele, chcąc ugasić pożerający ich ciała ogień.

Kolejni magowie zmykali ze stadionu, zabierając po drodze nieprzytomnych towarzyszy. Na trybunach przeznaczonych dla Wielkich został tylko Milamber. Smród przypalanego ciała i palących się włosów mieszał się z kwaśnym, mdlącym odorem strachu.

Milamber skrzyżował ramiona przed sobą i opuścił wzrok.

– Ziemia!

Pod nogami rozległy się głuche pomruki. Grunt zaczął lekko dygotać i wibrować.

Wstrząsy nasilały się z każdą chwilą, a powietrze syczało wściekle i bzyczało, jakby nad stadion nadleciała wielka chmura gigantycznych owadów. Głuchy grzmot zaczął pulsować we wspólnym rytmie z bzyczeniem. Ziemia poruszała się leniwie.

Potem coraz gwałtowniej i szybciej. Pojedyncze wstrząsy przechodziły w konwulsyjne drgania, grunt falował spazmatycznie we wszystkie strony. Milamber stał spokojnie, jakby znajdował się na wyspie pośród wzburzonego oceanu. Ziemia, gleba stały się płynne. Ludzie ciskani wstrząsami spadali na arenę jak niezdarne kukły. Stadion, miotany pierwotnymi mocami, drżał w posadach. Posągi chwiały się na postumentach i spadały z hukiem. Ogromne wrota zamykające tunele prowadzące na arenę zostały wyrwane z przeraźliwym trzaskiem z

zawiasów osadzonych w starym drewnie. Kołysały się i obijały przez chwilę jak w pijanym widzie, by opaść w chmurze kurzu na piasek areny, miażdżąc leżących tam ludzi. Oszalałe z przerażenia stwory, trzymane pod areną, rzucały się na pręty klatek, kruszyły zamki, wrywały drzwi i wydostawały się na wolność. Oślepienie paniką pędziły przez tunele i wyrwane bramy wyjąc, skomląc i rycząc, kiedy spadał na nie płonący deszcz ognia. Doprowadzone do ostateczności rzucały się na oszołomionych widzów, zabijając i rozrywając na strzępy kogo po padło. Na stadionie rozgrywały się dantejskie sceny. Jakiś ogłupiały z przerażenia człowiek siedział na piasku, otrzepując się monotonnym ruchem z płonących kropel z nieba, podczas gdy tuż obok potwór z puszczy gdzieś na końcu świata wypruwał flaki z sąsiada.

Arena poczęła zawodzić jękliwie, gdy ogromne, starodawne głazy zaczęły się przesuwać. Spajająca je od tysiąca lat zaprawa w ułamku sekundy zmieniła się w pył. Cały stadion zaczął się zapadać. Przeszywające okrzyki o zmiłowanie ginęły w wyciu wiatru i kakofonii huku i trzasku walących się trybun. Furia natury wzmagała się, z każdą chwilą sięgając zenitu. Wydawało się, że za moment świat rozpadnie się na kawałki. Milamber wznosił ramiona ponad głowę. Złączył na chwilę dłonie i ponad głowami rozległ się potworny, przewyższający poprzednie, grzmot.

Nagle wszystko uspokoiło się. Zapadła cisza.

W górze czyste, niebieskie niebo. Słońce świeci jasno. Od wschodu wieje łagodny wietrzyk. Ziemia stoi tak, jak przystało, solidnie i nieruchomo. Ognisty deszcz jest tylko wspomnieniem.

Cisza, która teraz zapadła, była wprost ogłuszająca. Po chwili tu i ówdzie rozległy się jęki rannych i łkanie przerażonych. Wódz Wojny stał nieporuszony jak posąg. Biała jak płótno twarz. Odkryte ramiona i policzki poorane szramami po płonących kropkach. W miejscu, gdzie jeszcze nie tak dawno stał wszechwładny władca Cesarstwa, znajdował się teraz człowiek

pozbawiony wszelkich uczuć poza obezwładniającym przerażeniem. W wybałuszonych szaleńczo oczach błyskały białka. Poruszał bezwiednie ustami, jakby chciał coś powiedzieć, ale z jego ust nie wydobyło się ani jedno słowo.

Milamber ponownie wznosił ręce ponad głowę i Wódz, łkając spazmatycznie z przerażenia, runął na plecy. Mag klasnął w dłonie i rozpląnął się w powietrzu.

Popołudniowy wiatr niósł woń letnich kwiatów. Katala, która postanowiła, że oboje nauczą się ojczystego języka męża i ojca, bawiła się w ogrodzie z Williamem w zagadki słowne.

Ponieważ znajdowali się na wschód od Świętego Miasta, zapadał już prawie wieczór.

Zachodzące słońce wisiało nisko nad horyzontem, a w ogrodzie kładły się długie cienie. Nie słysząc gongu oznajmiającego przybycie męża. Katala podskoczyła ze strachu, kiedy Milamber pojawił się niespodziewanie w drzwiach. Spojrzała na niego i wyczuła natychmiast, że stało się coś złego. Wstała powoli.

– Mężu, co się stało? William podbiegł do ojca.

– Opowiem ci wszystko później. Teraz musimy zabrać Williama i szybko uciekać.

William wczepił się w czarną szatę ojca.

– Tata! – krzyknął, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Milamber podniósł syna i objął mocno.

– William, wyruszamy w podróż do mej ojczystej ziemi. Musisz być dzielnym chłopakiem i nie płakać.

Chłopczyk wysunął załośnie dolną wargę, bo skoro tata prosił go, by nie płakał, to pewnie było sto powodów, by się natychmiast rozbeczeć, lecz dzielnie kiwnął głową i powstrzymał cisnące się do oczu łzy.

– Netoha! Almorella! – zawołał Milamber i po chwili służący wbiegli do ogrodu.

Netoha skłonił się przed panem, a Almorella podbiegła do Katali. Katala nalegała, by dziewczyna towarzyszyła im, kiedy Milamber przeniósł swą rodzinę z posiadłości Shinzawai do swego nowego domu. Almorella była bardziej siostrą dla Katali, a ciotką dla małego niż niewolnicą. Zorientowała się momentalnie, że coś złego się wydarzyło i jej oczy zaszkliły się łzami.

– Opuuszczacie nas... – Bardziej stwierdziła, niż zapytała.

Netoha spojrział uważnie na swego pana.

– Twoja wola, Wielki?

– Tak, opuszczamy dom. Musimy. Nie mam wyjścia, przepraszam. – Netoha przyjął wieści ze stoickim spokojem, jak przystało na prawdziwego Tsuraniego, lecz Almorella rzuciła się w objęcia Kalali, lejąc obficie łzy.

– Chciałbym zapewnić wam bezpieczną i dostatnią przyszłość. Już dawno przygotowałem stosowny dokument na wypadek takiej sytuacji, jaka pojawiła się dziś właśnie. Kiedy odejdziemy, pójdziecie do mej pracowni. Wszystkie moje prace są skatalogowane. Nad biurkiem, na najwyższej półce znajdziecie pergamin z czarną pieczęcią. Netoha, daję ci posiadłość na własność. – Spojrział na Almorellę. – Wiem, że macie się ku sobie. Dokument, którym czynię Netohę właścicielem domu i ziemi, zawiera klauzulę, która daje ci wolność, Almorella. Netoha będzie dla ciebie dobrym mężem. Nie martw się, nawet sam Cesarz nie może zignorować dokumentu opatrzonego pieczęcią Wielkiego.

Na twarzy Almorelli krzyżowały się zmienne i sprzeczne uczucia. Patrzyła na niego z niedowierzaniem, szczęściem i bólem. Pokiwała powoli głową na znak, że rozumie, a w jej oczach malowała się bezbrzeżna wdzięczność.

Milamber zwrócił się ponownie do Netohy.

– Niżej położone pastwiska daję na własność Xanthisowi, pasterzowi. Netoha,

zaopiekuj się dobrze pozostałymi domownikami.

W pracowni znajdziesz kilka zwojów zabezpieczonych czerwoną pieczęcią. Trzeba je natychmiast spalić. Pamiętaj, nie wolno ci pod żadnym pozorem złamać czerwonych pieczęci przed spaleniem. Wszystkie pozostałe prace masz przesłać na ręce Hochopepy ze Zgromadzenia z wyrazami szczerej i głębokiej przyjaźni oraz nadzieją, że uznaje za przydatne. Będzie wiedział, co z nimi zrobić.

Almorella jeszcze raz objęła Katalę i czule ucałowała Williama. Netoha zganił ją wzrokiem.

– Dziewczyno, pośpiesz się. Nie jesteś jeszcze panią tego domu, a przed nami ważne zadanie. – Hadonra począł się schylać w ukłonie. Zatrzymał się i popatrzył na Milambera.

– Wielki, życzę ci... wszystkiego... dobrego... – powiedział przerywanym głosem. –

Skłonił się pośpiesznie i ruszył w stronę pracowni maga. Nim zdążył się obrócić, Milamber zauważył, że jego oczy zaszkliły się łzami.

Splakana Almorella poszła za Netoha do domu. Katala spojrzała na Milambera.

– Już?

– Już. – Zaprowadził oboje do pokoju wzoru. – Zanim spróbujemy przedostać się przez szczelinę, muszę dowiedzieć się jeszcze jednego. – Skierował swą wolę na inny wzór. Przez chwilę zakryła ich biaława mgiełka, po czym znaleźli się w innym pomieszczeniu. Pośpiesznie ruszyli w stronę drzwi. Katala poznała natychmiast, że są w domu pana Shinzawai.

Pobiegli korytarzem i nie bawiąc się w żadne ceremonie, otworzyli bez pukania drzwi do pracowni Kamatsu. Zaskoczony gospodarz poderwał gniewnie głowę, lecz wyraz jego twarzy uległ natychmiastowej przemianie, kiedy spostrzegł, kto mu zakłócił spokój.

– O Wielki! Co się stało? – spytał, wstając pośpiesznie. Milamber szybko zrelacjonował mu wydarzenia dnia. Katala stała obok słuchając i była coraz bledsza. Pan Shinzawai pokręcił

powoli głową.

– O Wielki, wygląda na to, że uruchomiłeś procesy, które na zawsze zmienią wewnętrzny porządek Cesarstwa. Mam nadzieję, że nie był to cios śmiertelny. Zobaczymy. Miną całe lata, zanim poznamy wszystkie skutki twoich działań. Już teraz Partia dla Postępu zaczyna chodzić koło Partii Pokoju, sugerując stworzenie koalicji. W bardzo krótkim czasie zdołałeś wywrzeć na mą ojczystą ziemię ogromny wpływ.

Milamber próbował mu przerwać, lecz Kamatsu mówił dalej.

– Ale w tej chwili nie to jest, oczywiście, najważniejsze. Ty, który byłeś kiedyś moim niewolnikiem, uczyłeś się co prawda bardzo szybko, lecz nadal nie jesteś prawdziwym Tsuranim. Musisz wiedzieć, że Wódz Wojny nie może dopuścić do takiej sytuacji bez utraty twarzy. Najprawdopodobniej odbierze sobie życie, odchodząc w hańbie z tego świata, lecz ci, którzy szli za nim, jego klan, rodzina, podwładni, wszyscy, którzy byli z nim związani, zaprzysięgną ci śmierć. Być może już teraz czyha na ciebie wynajęty morderca lub mag gotowy działać przeciw tobie. Wielki, nie masz wyboru. Jedynym ratunkiem jest ucieczka do twego ojczystego świata, twoja i całej rodziny.

William doszedł do wniosku, że nadszedł najbardziej odpowiedni moment, by się rozplakać. Mimo iż ze wszystkich sił starał się być dzielny, jego mama bała się strasznie i chłopczyk to wyczuwał. Milamber odwrócił się na chwilę od Kamatsu, wyrecytował zaklęcie i William momentalnie pogrążył się w głębokim śnie.

– Będzie spał aż do chwili, kiedy będziemy już bezpieczni.

Kalala kiwnęła głową. Chociaż bardzo nie lubiła, kiedy chłopca poddawano magicznym zabiegom, wiedziała, że to dla jego dobra.

– Kamatsu, nie obawiam się żadnego maga, lecz boję się o Imperium. Wiem już, że bez względu na to, jak bardzo się starali moi nauczyciele ze Zgromadzenia, nigdy nie będę pra-

wdziwym Tsuranim. Z całą pewnością jednak służę i będę służył Imperium. Doświadczając głębokiego obrzydzenia w czasie pokazów na arenie, upewniłem się co do pewnego podejrzenia, które nurtowało mnie od dłuższego czasu. Imperium musi zmienić kierunek swego marszu, w przeciwnym razie bowiem grozi mu nieuchronny upadek i zagłada. Słabe i przegniłe serce tej kultury nie jest już w stanie podtrzymywać własnego ciężaru i, podobnie do drzewa ngaggi z przegniłym wnętrzem, musi runąć pod ciężarem własnej masy. Są i inne fakty, które dane mi było poznać w czasie pobytu u was, o których co prawda nie wolno mi mówić, lecz wiedz, że wszystkie wskazują na konieczność wielkiej zmiany.

Muszę odejść. Gdybym został, zarówno Zgromadzenie, jak i Wysoka Rada czy wreszcie samo Imperium podzieliłoby się na przeciwne obozy. Trudno mi opuszczać wasz świat i czynię to tylko dlatego, że moje usunięcie się leży w najlepiej pojętym interesie narodu Tsuranuanni. Tak w końcu zostałem ukształtowany i wyuczony. Zanim odejdę, muszę wiedzieć, czy miałeś jakieś wiadomości od Lauriego i twego syna w sprawie zawarcia pokoju przez Cesarza?

– Nie. Wiemy tylko, że zniknęli w czasie potyczki zaraz pierwszej nocy. Po walce ludzie Hokanu przeszukali dokładnie cały teren, lecz nie znaleźli żadnego śladu. Zakładamy więc, że im się udało. Mój młodszy syn jest pewien, że dotarli do drogi poza liniami wojsk Królestwa. Od tamtego czasu cisza, żadnych wieści. Inni członkowie naszej frakcji czekają z równą niecierpliwością i niepokojem co ja sam.

Milamber zastanawiał się przez chwilę.

– Zatem Cesarz nadal nie jest gotów do działania. Miałem nadzieję, że to nastąpi szybko, a ja i moja rodzina będziemy mogli bezpiecznie opuścić Imperium w czasie chwilowego zawieszenia broni, zanim opozycja się zorganizuje. Po tym, jak Wódz publicznie ogłosił zwycięstwo nad armią księcia Borrice, możemy nigdy nie doczekać się pokoju.

– Wyraźnie widać. Wielki, że nie jesteś rodowitym Tsuranim. Po tym, jak zniszczyłeś turniej specjalnie zorganizowany przez Wodza na cześć Światłości Niebios, Almecho popadnie w niełaskę, a w jego partii. Partii Wojny, z pewnością zagości chaos. Klan Kanazawai ponownie wycofa się z Koalicji na Rzecz Wojny, a nasi sprzymierzeńcy w Partii Błękitnego Koła zdwoją wysiłki na forum Wysokiej Rady, prac w stronę zawarcia zawieszenia broni, a potem pokoju. Partia Wojny została praktycznie pozbawiona sprawnego przywódcy. Nawet gdyby Wódz Wojny okazał się człowiekiem bez honoru i nie pozbawił się życia, i tak zostanie szybko usunięty, ponieważ Partia Wojny potrzebuje teraz gwałtownie mocnego przywódcy. Minwanabi są bardzo ambitni. Już od trzech pokoleń usiłują dochrapać się bieli i złota. Nie tylko zresztą oni. Forum Wysokiej Rady stanie się wkrótce świadkiem podobnych żądań ze strony innych klanów i rodów. Powstanie duże zamieszanie i chaos, rozpęta się kolejna tura Gier Rady, fala tajemnych rokowań, podchodów i chwilowych przymierzy, a my zyskamy przez to czas potrzebny do wzmocnienia własnej pozycji.

Kamatsu przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Milambera.

– Mówiłem, że niektórzy już teraz knują, by pozbawić cię życia. Wracaj do swej ojczyzny. Nie ociągaj się – powinieneś bez większych przeszkód przedostać się na drugą stronę. Moim zdaniem tylko nieliczni będą podejrzewać, że możesz natychmiast wyruszyć ku szczelinie. Głowę daję, że minie co najmniej tydzień, zanim inni magowie dojdą do siebie i zaczną trzeźwo myśleć. – Uśmiechnął się ciepło. – Byłeś dla nas, Wielki, jak świeży powiew wiatru w dusznym, zamkniętym pokoju. Żałuję bardzo, że opuszczasz nasz świat, ale musisz to zrobić natychmiast. Nie ma czasu do stracenia.

– Mam szczerą nadzieję, panie Shinzawai, że nadejdzie taki dzień, kiedy będziemy mogli spotkać się ponownie na spokojnej, przyjacielskiej rozmowie, jest bowiem wiele rzeczy, których oba nasze narody mogą się wzajemnie nauczyć od siebie.



Pan Shinzawai położył dłoń na ramieniu Milambera.

– Ja również żywię nadzieję, że taki dzień nadejdzie, Wielki. Będą ci towarzyszyły moje modlitwy. I jeszcze jedno. Jeżeli przypadkiem natkniesz się w swoim świecie na Kasumiego, powiedz mu, proszę, że jego ojciec często myśli o nim. Proszę, odejść już, do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedział mag. Wziął żonę pod ramię i pośpiesznie ruszyli w kierunku pokoju wzoru. W chwili, kiedy tam dotarli, rozległ się donośny dźwięk gongu. Milamber zasłonił żonę i syna swoim ciałem. Przez ułamek sekundy ponad wzorem na podłodze zawisł obłoczek białawej mgiełki. Kiedy się rozwiął, tuż przed nim stał zaskoczony Fumita.

– Milamber! – powiedział i zrobił krok w jego stronę.

– Fumita, stój! Starszy mag zatrzymał się w pół kroku.

– Nie bój się. Nie chcę cię skrzywdzić. Wieści o tym, co się stało na stadionie, dotarły właśnie do tych członków Zgromadzenia, którzy nie uczestniczyli w uroczystościach. W Zgromadzeniu wrze. Tapek i inne sługusy Wodza Wojny żądają twej śmierci. Hochopepa i Shimone bronią cię zawzięcie. Jeszcze nigdy nie było takiego podziału. W Wysokiej Radzie Partia Wojny oficjalnie zażądała zawieszenia niezależności Zgromadzenia na czas działań wojennych. Partia dla Postępu i Partia Pokoju otwarcie przystąpiły do koalicji z Partią Błękitnego Koła. Imperium stanęło na głowie!

Starszy mag, relacjonując ostatnie wydarzenia, garbił się coraz bardziej. Postarzał się gwałtownie.

– Wydaje mi się, że wiele z twoich poglądów jest słusznych, Milamber. Jeżeli chcemy uniknąć zgnilizny i rozkładu, nasz naród i państwo potrzebują zmian, ale dlaczego tak wiele naraz i w takim tempie? Sam już nie wiem...

Na chwilę zapadła cisza. Stali, patrząc bez słowa na siebie.

– Fumita, musisz uwierzyć w jedno. Pamiętaj, że wszystko to uczyniłem jedynie dla dobra Imperium. Starszy mag pokiwał powoli głową.

– Tak, Milamber, wierzę ci... a przynajmniej chcę ci wierzyć. – Wyprostował się nieco.

– Niezależnie od tego, jak to wszystko się skończy, przed Zgromadzeniem stoi ogromne zadanie, kiedy wszystko się uspokoi i jakoś ułoży. Być może uda nam się naprowadzić Imperium na zdrowszy dla niego kurs.

Ale teraz musisz szybko odejść. Żołnierzy możesz się nie obawiać. Żaden cię nie zatrzyma, ponieważ jedynie nieliczni poza Świętym Miastem wiedzą o twoich wyczynach. Musisz jednak uważać na magów na usługach Wodza Wojny. Niewykluczone, że już cię szukają. W czasie turnieju udało ci się, ponieważ zaskoczyłeś naszych braci magów. Kiedy jednak sprzymierzą się przeciw tobie, nawet twoja wielka moc, którą się popisałeś, nie pomoże ci wiele. Będziesz musiał zabić następnego maga lub sam zginąć.

– Tak, Fumita, wiem. Muszę iść. Nie chcę zabijać magów, ale zrobię to, jeśli będę musiał.

Fumita, słysząc te słowa, spojrzał na niego z bólem.

– Jak zamierzasz dostać się do przejścia do twego świata? Nie byłeś tam nigdy, prawda?

– Nie, ale mam zamiar udać się do Miasta na Równinach, a stamtąd wezmę lektykę.

– To zbyt wolny sposób. Podróż lektyką do rejonu przejścia zajmie ci ponad godzinę. –

Sięgnął między fałdy szaty i wydobyl urządzenie transferujące, i podał je Milamberowi.

– Trzecie ustawienie przeniesie cię bezpośrednio do samej przetoki.

Milamber przyjął dar. – Fumita, chcę, żebyś wiedział, że będę próbował zamknąć służę.

Fumita pokręcił przecząco głową.

– Milamber, nie wydaje mi się, aby mogło ci się udać – nawet przy użyciu tak wielkiej

mocy, którą dysponujesz. Pamiętaj, że nad utworzeniem wielkiego przejścia pracowały całe rzesze magów, a wszystkie zaklęcia kontrolujące są zlokalizowane po stronie Kelewanu.

Konstrukcja po stronie Midkemii pełni jedynie rolę stabilizującą umiejscowienie przejścia.

– Wiem o tym. Ty też się wkrótce dowiesz o wszystkim, ponieważ przesłałem swoje prace do Hocho. Moje „tajemnicze” badania i studia były poświęcone energiom związanym z przejściami w czasie i przestrzeni.

Sądzę, że zgromadziłem na ten temat większą wiedzę niż jakikolwiek inny mag ze Zgromadzenia. Zdaję sobie sprawę, że podjęcie próby zamknięcia przejścia ze strony Midkemii to działanie desperackie i związane ze śmiertelnym niebezpieczeństwem, lecz ta wojna musi się skończyć.

– Dobrze, uciekaj więc czym prędzej do twej ojczyzny i czekaj. Jestem pewien, że Cesarz wkrótce zacznie działać. Nawet gdyby Wódz przegrał wojnę, nie osłabiłoby to jego pozycji równie mocno jak to, czym go poczęstowałaś na stadionie. Jeśli Światłość Niebios zarządzi pokój, być może uda nam się zająć kwestią przejścia między światami. Powstrzymaj się, póki się nie dowiesz, jaka będzie reakcja Króla na propozycję zawarcia pokoju.

– Zatem i ty uczestniczysz w Wielkiej Grze? Fumita uśmiechnął się.

– Nie jestem jedynym magiem, który się zniżył, by wziąć udział w rozgrywkach politycznych, Milamber. Hochopepa i ja tkwiliśmy w tym po uszy od samego początku. Idź już i niech bogowie ci towarzyszą. Życzę ci bezpiecznej podróży i długiego, szczęśliwego i dostatniego życia w twoim świecie.

Przeszedł koło Milambra i jego rodziny i zniknął w głębi domu. Kiedy stracili go z oczu, Milamber uruchomił urządzenie.

Żołnierz aż podskoczył ze strachu. Siedział sobie spokojnie pod drzewem, rozkoszując się chłodnym cieniem w upalnym wieczorze, a tu nagle tuż przed nim pojawił się mag w

towarzystwie kobiety i dziecka. Zanim zdążył zerwać się na nogi, cała trójka szła już w kierunku służby oddalonej o kilkaset metrów. Kiedy dotarli do urządzenia, sporej platformy otoczonej ze wszystkich stron wysokimi tyczkami, pomiędzy którymi migotała świetliście „nicość”, oficer nadzorujący przemieszczanie się oddziałów wyprężył się na baczność.

– Usuń tych ludzi z platformy.

– Twoja wola, Wielki. – Wydał rozkaz i żołnierze znajdujący się już na platformie wycofali się karnie. Milamber wziął Katalę za rękę i wprowadził ją w iskrzącą się służbę.

Jeden krok, chwila zagubienia i stali oto w samym środku obozu Tsuranich w dolinie Szarych Wież. Była noc, ognie płonęły jasno. Kilku oficerów, zaskoczonych niezwykle przybyszami, odwróciło się gwałtownie w ich stronę, lecz posłusznie zeszli im z drogi.

– Czy zdobyliście jakieś konie? Jeden z oficerów pokiwał tępo głową.

– Sprowadź natychmiast dwa. Osiodłane.

– Twoja wola. Wielki – odpowiedział żołnierz i ruszył pędem po wierzchowce.

Po chwili stanęły przed nimi dwa rumaki. Kiedy żołnierz zbliżył się do nich, Milamber poznał, że był to Hokanu. Młodszy syn Shinzawai rozejrzał się szybko ukradkiem i podał wodze Milamberowi.

– Wielki, właśnie dotarła do nas wiadomość, że w czasie Turnieju Cesarskiego zdarzyło się coś strasznego, chociaż nie wiemy dokładnie co, ponieważ informacja nie jest zbyt jasna. Podejrzewam, że twoje nagłe pojawienie się w obozie musi się jakoś z tym wiązać. Nie ma czasu do stracenia. Obóz jest pod kontrolą ludzi Wodza Wojny i jeżeli dojdą do tego samego wniosku co ja, nie wiadomo, co mogą zrobić, wszystko jest możliwe. Musisz uciekać, i to szybko.

Milamber wziął na ręce Williama. Kalala dosiadła konia przy pomocy Hokanu. Podał jej syna i sam wskoczył na siodło.

– Hokanu, widziałem się przed chwilą z twoim ojcem. Jesteś mu potrzebny. Wracaj do niego najszybciej, jak możesz.

– Tak, Wielki, wrócę do posiadłości mego ojca... – Hokanu zawahał się przez moment.

– Jeżeli spotkasz się z moim bratem, przekaż mu, proszę, że żyję i że wszystko w porządku. Nie miał ode mnie żadnych wieści.

Milamber obiecał, że przekaże wiadomość. Odwrócił się do Katali i ujął wodze jej wierzchowca.

– Trzymaj się siodła, kochanie. Ja wezmę Williama.

Nie tracąc czasu, wyjechali z obozu. Po drodze kilka razy byli zatrzymywani przez strażę, jednak widok czarnej szaty powodował, że wartownicy natychmiast wycofywali się.

Przez kilka godzin jechali ku wolności i bezpieczeństwu przez okolicę oświetloną jasnym światłem księżyca. Mrok nocy co jakiś czas przeszywało echo żołnierskich nawoływań.

Katala, córka wojownika, ku zachwytowi Milamberta zachowywała się jak żołnierz, wspaniale wytrzymując trudy podróży. Chociaż siedziała na koniu po raz pierwszy w życiu i została nagle wyrwana z własnego świata do zupełnie obcego, dziwnego i mrocznego, gdzie nie знаła nikogo, co musiało być dla niej przerażającym doświadczeniem, nie narzekała. W tej trudnej sytuacji udowodniła to, czego się już dawno domyślał, że jest zbudowana z bardzo twardego i odpornego materiału.

Po wielogodzinnej jeździe, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność, zatrzymał ich nagły okrzyk dochodzący z mroku. Pomędzy drzewami poruszały się ciemne, ledwo widoczne sylwetki.

– Stój! Kto idzie? – Usłyszeli ostry głos, pytający w języku Królestwa. Trójka jeźdźców zatrzymała się w miejscu, a w okrzyku jadącego przodem mężczyzny słychać było wyraźną ulgę.

– Pug z Crydee!

# NIEPOKOJE

Kulgan siedział w milczeniu.

Radość spotkania po latach zaprawiona było goryczą cierpienia. Pug stał u wezglowia łoża księcia Borrica, nie kryjąc ogromnego bólu, kiedy umierający Księżę uśmiechnął się słabo do niego. Lyam, Brucal i Meecham stali nie opodal, rozmawiając po cichu. Katala starała się zająć Williama, by nie przeszkadzał w rozmowie Puga i Księcia.

Głos osłabionego chorobą Borrica był bardzo słaby, ledwo słyszalny. Oddychał z trudem, a po twarzy przebiegały skurcze bólu.

– Jakże się cieszę, że wróciłeś do nas, Pug. Podwójnie, kiedy patrzę na twą żonę i syna.

– Zakaszlał ochryple, a w kącikach ust pojawiła się krwawa piana.

Katala wzruszona do głębi miłością, jaką jej mąż darzył umierającego, płakała cichutko. Borric wyciągnął rękę w stronę Kulgana i potężny mag podszedł bliżej i stanął koło swego byłego ucznia.

– Tak, Wasza Wysokość?

Borric wyszeptał coś i Kulgan zwrócił się do Meechama.

– Bądź tak dobry i odprowadź Katalę i chłopca do naszego namiotu. Czekają tam Laurie i Kasumi.

Katala rzuciła Pugowi pytające spojrzenie, lecz on kiwnął potakująco głową. Meecham wziął już małego na ręce. Chłopczyk przypatrywał mu się trochę nieufnie. Kiedy wyszli, Borric usiłował dźwignąć się wyżej. Kulgan pomógł mu, podkładając poduszki pod plecy. Księżę z zaciśniętymi z bólu oczami kaszlał długo i głośno.

Kiedy w końcu odzyskał oddech, westchnął głęboko i zaczął mówić powoli.

– Pug, czy pamiętasz, jak cię wynagrodziłem, gdy uratowałeś życie Carline przed

trollami? – Pug tylko skinął głową. Był tak wzruszony, że bał się otworzyć usta, by nie

rozplakać się otwarcie. Borric ciągnął dalej: – Czy przypominasz sobie obietnicę jeszcze innego daru? – Pug znowu skinął głową. – Szkoda, że nie ma z nami Tully'ego, ponieważ mógłby ci go wręczyć, ale opowiem w skrócie. Od wielu, wielu lat prześladowała mnie myśl, że traktując magów jak osobników będących poza społeczeństwem, jak żebraków, Królestwo w rzeczywistości marnuje jeden z największych zasobów, jakie posiada. Długoletnia i wierna służba Kulgana udowodniła, że miałem rację. A teraz ty powróciłeś do nas... chociaż nie zrozumiałem wiele z tego, co mi opowiadałeś, wiem, że zostałeś mistrzem swojej sztuki. Miałem nadzieję, liczyłem, że tak się stanie, ponieważ miałem kiedyś wizję. Zostawiłem dla ciebie w depozycie u zaufanych ludzi pewną sumę w złocie. Miała czekać, aż zostaniesz mistrzem magii. Chciałbym, abyś ty, Kulgan i inni magowie wykorzystali te fundusze na utworzenie centrum nauki, gdzie wszyscy chętni będą mogli przyjść i czerpać wiedzę. Od Tully'ego dostaniesz dokumenty oraz instrukcje, które wyjaśnią ci szczegółowo mój projekt. W tej chwili pytam tylko o jedno: Czy zgodzisz się wziąć na siebie ten obowiązek i ciężar? Czy zbudujesz akademię, w której będzie się studiowało magię i inne dziedziny nauki? Pug kiwnął głową. W jego oczach pojawiły się łzy. Kulgan stał oszołomiony, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Jego największe, najbardziej ukochane marzenie, życiowa ambicja, którymi dzielił się z Księciem nad kielichem wina, nabierały realnych kształtów, stawały się rzeczywistością.

Borric znowu zaczął kaszleć. Kiedy atak minął, mówił dalej:

– Posiadam tytuł własności pewnej wyspy w samym sercu Wielkiego Jeziora

Gwiazdzistego, w pobliżu Shamata. Kiedy ta wojna dobiegnie wreszcie końca, jedź tam i zbuduj akademię. Być może pewnego dnia zostanie ona najwspanialszym centrum nauki w Królestwie.

Kolejna, jeszcze straszniejsza fala kaszlu wstrząsnęła ciałem Księcia. Przez kilka chwil



otwierał gwałtownie usta, wciągając łapczywie powietrze. Skinął na Lyama i wskazał na Puga.

– Powiedz mu – rzekł i opadł ciężko na poduszki. Lyam przełknął z trudem ślinę, walcząc z cisnącymi się do oczu łzami.

– Kiedy dostałeś się do niewoli u Tsuranich, ojciec chciał, by została po tobie jakaś trwała pamiątka. Zastanawiał się, co w najbardziej odpowiedni sposób upamiętniłoby twoją odwagę, którą wykazałeś się po trzykroć. Oprócz tego, że uratowałeś życie mej siostrze, dwa razy uratowałeś przecież życie Kulganowi. Doszedł do wniosku, że jedyną rzeczą, której nigdy nie miałeś, było prawdziwe nazwisko, ponieważ nikt nie znał twoich rodziców. Rozkazał, by sporządzono stosowny dokument, który został już przesłany do królewskich archiwów. Na mocy tego dokumentu twoje imię zostało dopisane do listy członków rodziny conDoin.

Adoptował cię w ten sposób do naszego rodu. – Uśmiechnął się z trudem. – Pug, żałuję tylko, że nie mogłem podzielić się z tobą tą wiadomością w bardziej radosnych okolicznościach.

Pug, ogarnięty ogromną wdzięcznością i uczuciem, klęknął u boku księcia Borrica.

Przez ściśnięte gardło nie mógł wydusić ani jednego słowa. Wziął tylko w ręce jego dłoń i ucałował pierścień.

– Pug... nie mógłbym być bardziej dumny z ciebie niż z własnego syna. – Gwałtownie wciągnął powietrze. – Noś nasze nazwisko z honorem.

Pug ścisnął mocarną kiedyś, a teraz bezwładną i słabą dłoń. Oczy Borrica zaczęły się zamykać. Oddech stawał się coraz krótszy i urywany. Pug puścił jego rękę. Książę dał znak, aby wszyscy zbliżyli się do niego. Czekali, aż z Księcia ulecą ostatnie iskierki życia. Nawet stary, zaprawiony w bojach Brucal miał zaczerwienione od płaczu oczy.

Książę zwrócił głowę w jego stronę.

– Będziesz świadkiem, stary towarzyszu. Zdziwiony książę Yabon uniósł brew i spojrzał pytającym wzrokiem na Kulgana.

– Nie rozumiem.

– Książę pragnie, abyś był świadkiem jego oświadczenia, które składa na łożu śmierci.

Ma do tego prawo.

Borric zwrócił spojrzenie ku Kulganowi.

– Dbaj o wszystkich moich synów, stary przyjacielu. Niech prawda zostanie wyjawiona.

– Co to znaczy „wszystkich moich synów”? – Lyam spojrzał zaskoczony na Kulgana. – Jaka prawda?

Kulgan popatrzył na Borrica, który słabo skinął głową.

– Twój ojciec uznaje oficjalnie swego najstarszego syna, Martina – powiedział mag spokojnym, cichym głosem.

– Martina? – Oczy Lyama rozszerzyły się jak spodki. W nagłym przypiływie energii ramię Borrica wysunęło się raptownie do przodu. Chwycił mocno Lyama za rękaw i przyciągnął do siebie.

– Martin jest twoim bratem – wyszeptał. – Uczyniłem mu wielką krzywdę. Jest bardzo dobrym człowiekiem. Darzę go wielką miłością. – Zwrócił spojrzenie na Brucala. – Poświadcź! – wychrypiał z trudem.

Brucal skinął głową. Po siwych jak śnieg wąsach spływały ciurkiem łzy.

– Co ja, Brucal, książę Yabon, poświadczam. Oczy Borrica zasły nagle mgłą. W głębi piersi rozległ się głuchy, rozdzierający dźwięk. Książę znieruchomiał.

Lyam padł na kolana i zaszlochał. Inni nie starali się już dłużej powstrzymać łez i dali upust swemu bólowi i żałości. Pug jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył takiej chwili, w której ogromna radość pomieszana była z tak wielkim i strasznym cierpieniem.

Tego wieczora w namiocie, który Meecham kazał postawić dla Puga i jego rodziny,

mimo licznej grupki, która tam się zebrała, panowało milczenie. Wiadomość o śmierci Borrica okryła obóz żalobnym kirem ciszy. Nawet Kulgan, który ucieszył się bardzo ze szczęśliwego powrotu swego terminatora, był poważny i zadumany. Dzień mijał powoli. Pug od nowa odkrywał stare znajomości, lecz spotkanie po latach było stonowane, bez krzykliwej wesołości, która zwykle towarzyszy takim okazjom. Co jakiś czas ktoś z zebranych opuszczał namiot i oddalał się na skraj obozu, by w ciszy i samotności побыć sam na sam z własnymi myślami. Opowiadano sobie spokojnie wydarzenia, które miały miejsce na przestrzeni ostatnich dziewięciu lat. W tej chwili Pug opowiadał przyjaciołom o ucieczce z Cesarstwa.

Katala czuwała nad Williamem, który spał zwinięty w kłębek na łóżku z ramieniem zarzuconym na kark Fantusa. Smok i chłopczyk tylko raz rzucili na siebie okiem i zdecydowali od razu, że są przyjaciółmi. Meecham siedział przy ogniu, obserwując uważnie pozostałych. Laurie i Kasumi, zgodnie ze zwyczajem Tsuranich, siedzieli na podłodze, słuchając zakończenia opowieści Puga.

Pierwszy odezwał się Kasumi.

– Wielki, dlaczego mogłeś opuścić Cesarstwo teraz dopiero, a nie wcześniej?

Zaskoczony Kulgan uniósł brwi. Jeszcze nie do końca ogarnął umysłem zmiany, jakie zaszły w jego dawnym terminatorze. W dalszym ciągu z trudem przychodziło mu zrozumienie wyjaśnień o Wyższej i Niższej Drodze. Z niedowierzaniem patrzył również na wielki szacunek, z jakim Tsurani zwracał się do chłopca. Nie – poprawił się w myśli – do młodego człowieka.

– Po otwartej konfrontacji z Wodzem Wojny stało się dla mnie jasne, że najlepiej przysłużyć się Cesarstwu, jeśli je opuszczę. Mój dalszy pobyt mógł jedynie zaognić linie podziałów wewnętrznych, i to w czasie, który jest potrzebny Cesarstwu, by zabić rany.

Wojna, która wysysa resztki sił i zasobów państwa, musi się skończyć. Trzeba jak najszybciej doprowadzić do zawarcia pokoju.

– Oj tak, tak – wtrącił Meecham. – To samo w Królestwie. Dziewięć lat wojny wykrwawiło nas bez reszty...

Niedbały ton, jakim zwracano się do Puga, sprawiał, że Kasumi czuł się bardzo nieswojo.

– Wielki, a co będzie, jeśli Cesarzowi nie uda się powstrzymać nowego Wodza? Rada z pewnością szybko wybierze nowego.

– Nie wiem, Kasumi. Wtedy pewnie będę musiał podjąć próbę zamknięcia przejścia.

Kulgan zaciągnął się głęboko fajką, wypuszczając ogromny kłęb gęstego dymu.

– Pug, nadal nie rozumiem wszystkiego. Z tego, co powiedziałaś poprzednio, wynika, że nic nie może ich powstrzymać przed otwarciem nowej śluzy czy przetoki, czy jak się to tam nazywa.

– Masz rację, jeżeli będą chcieli, to otworzą nowe przejście. Musisz jednak pamiętać o ich bardzo niestabilnej naturze. Nie ma żadnego sposobu, by kontrolować śluzę, by zapanować nad tym, gdzie ona się pojawi. Ta pomiędzy nami a Kelewanem powstała na skutek czystego przypadku. Po utworzeniu tego pierwszego przejścia, inne pójdą jakby w jego ślady... jakby droga, wiodąca z jednego do drugiego świata, oddziaływała na inne przetoki jak magnes na metal.

Tsurani z pewnością będą próbowali odtworzyć przejście, lecz każda następna próba zaprowadzi ich prawdopodobnie do innych, nowych światów. Jeżeli uda im się powrócić tu właśnie, to jedynie przez czysty przypadek, szansa jedna na tysiąc. Gdyby udało się zamknąć przejście, miną całe lata, zanim tu zdołają powrócić, jeżeli w ogóle to nastąpi.

– Wspomniałaś o tym – powiedział Kulgan – że Wódz może sobie odebrać życie. Czy w związku z tym można mieć nadzieję, że w walkach nastąpi teraz chwila wytchnienia?

Do rozmowy włączył się Kasumi, który udzielił odpowiedzi na pytanie maga.

– Obawiam się, że nie, przyjacielu Kulganie. Znam dobrze zastępcę Wodza. Pochodzi z dumnego i starego rodu Minwanabi, z potężnego klanu. Gdyby mógł kiedyś przedstawić na forum Wysokiej Rady relację z odniesienia wspaniałego zwycięstwa, byłoby to w interesie jego klanu. Moim zdaniem zaatakuje wszystkimi siłami za parę dni.

Kulgan pokręcił głową.

– Meecham, chyba będzie lepiej, jeśli poprosisz księcia Lyama, by do nas dołączył.

Musi się o tym dowiedzieć. – Wysoki sługa wstał bez słowa i opuścił namiot.

– Poznałem trochę ten świat – Kasumi zmarszczył czoło – i podzielam zdanie

Wielkiego. Z pewnością pokój byłby korzystny dla obu narodów, ale jakoś nie widać, by miał wkrótce nadejść.

Młody Książę wszedł za Meechamem do namiotu i po kilku minutach Kasumi powtórzył swoje ostrzeżenie.

– Zatem musimy się jak najlepiej przygotować do odparcia ataku – skomentował krótko Lyam. Kasumi zmieszał się.

– Panie, upraszam o przebaczenie, lecz gdy rozpocznie się walka, nie mogę stanąć do boju przeciwko własnemu narodowi. Czy zgodzisz się, bym powrócił na nasze własne pozycje? Książę przez parę chwil zastanawiał się nad odpowiedzią. Pug spostrzegł, że na jego twarzy pojawiły się głębokie bruzdy, nieomylny znak przeżywanych trosk i wynikającego z dowodzenia poczucia odpowiedzialności. W przeszłość odeszły roziskrzone radością oczy i wszechobecny uśmiech, który zawsze gościł na jego twarzy. Bardziej niż kiedykolwiek przypominał teraz swego ojca.

– Rozumiem. Rozkażę, by przepuszczono cię przez nasze linie, ale musisz dać mi słowo, że nie powtórzysz nic z tego, co tu słyszałeś.

Kasumi przyrzekł milczeć i wstał, chcąc odejść. Pug podniósł się również.

– Kasumi, jako mag Tsuranuanni, wydaj ci ostatni rozkaz. Wracaj do swego ojca.

Bardzo cię potrzebuje. Śmierć jeszcze jednego żołnierza nie przyda się na wiele twemu narodowi.

– Twoja wola. Wielki. – Kasumi skłonił się nisko. Na odchodnym uściskał Lauriego i opuścił namiot w towarzystwie Lyama.

Kulgan popatrzył na Puga.

– Opowiedziałeś mi tak wiele... trudno to wszystko pojąć. Wydaje mi się, że najlepszym w tej chwili rozwiązaniem będzie udanie się na odpoczynek. Strasznie jestem zmęczony. Stary mag z trudem wstał.

– Kulgan, jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie, które już dawno chciałem ci zadać. Co z Tomasem?

– Twój przyjaciel z dzieciństwa miewa się całkiem dobrze. Jest z Elfami z Elvandaru. Tak jak marzył, został bardzo sławnym wojownikiem.

Pug uśmiechnął się radośnie.

– Cieszę się bardzo. Dziękuję.

Kulgan, Lawie i Meecham życzyli im dobrej nocy i opuścili namiot. Katala spojrzała uważnie na Puga.

– Mężu, jesteś zmęczony. Czas na odpoczynek. Pug podszedł do łóżka i usiadł.

– Zdziwiasz mnie. Przeszłaś przez tyle trudów dzisiaj, a troszczysz się i niepokoisz o mnie. Wzięła go za rękę.

– Kiedy jestem z tobą, wszystko jest tak, jak powinno być, ale ty wyglądasz, jakbyś dźwigał na barkach ciężar całego świata...

– Obawiam się, kochanie, że raczej dwóch światów, a nie tylko jednego.

Przebudził ich donośny odgłos trąb. Mieli właśnie wstać z łóżka, kiedy zostali

przestraszeni nagłym wtargnięciem Lauriego do namiotu. Przeświecające zza odrzuconej na bok zasłony przy wejściu słońce powiedziało im, że spalili bardzo długo.

– Król idzie! – Podał Pugowi jakieś ubranie. – Włóż to na siebie.

Pug zrozumiał natychmiast, że chodzenie po obozie i pokazywanie się wszystkim nie byłoby rozsądne. Posłuchał rady przyjaciela i szybko się ubrał. Laurie odwrócił się do nich tyłem, by Katala mogła narzucić na siebie ubranie. Potem podbiegła do łóżka Williama.

Chłopczyk siedział na posłaniu, rozglądając się dookoła ze strachem. Uspokoił się szybko i zaczął ciągnąć smoka za ogon. Fantus, obruszony do głębi takim spoufalaniem się małego, zaprotestował głośnym prychnięciem.

Pug i Laurie wyszli z namiotu i udali się w pobliże namiotu dowództwa, górującego ponad rozłożonymi wokół obozem armiami Królestwa. Z południowego krańca zbliżała się szybko grupa otaczająca Króla. Tysiące żołnierzy, widząc przemykający w pobliżu sztandar królewski, wznosiło radosne okrzyki, pozdrawiając monarchę. Większość z nich jeszcze nigdy nie widziała władcy, a teraz jego obecność pośród nich podnosiła ich na duchu, który bardzo ucierpiał po klęsce doznanej od Tsuranich.

Laurie i Pug trzymali się nieco na uboczu, lecz na tyle blisko namiotu dowództwa, aby słyszeć, co się dzieje w środku. Książę Brucal wpatrywał się w Króla, ale Lyam dostrzegł ich obecność i kiwnął przyzwalająco głową.

Dwa szeregi Królewskiej Gwardii podjechały pod sam namiot, po czym rozdzieliły się, tworząc szpaler, którym zbliżył się Król.

Rodric, Król Ziem Zachodu i Wschodu, dosiadał ogromnego, bojowego konia. Rumak zatrzymał się tuż przed oczekującymi Książętami i zaczął nerwowo grzebać kopytem w ziemi.

Rodric miał na sobie wspaniałą, obwiedzioną złocistym brzegiem zbroję. Na pancerzu wiły się wymyślne esy-floresy w kształcie herbu. Na głowie zaś nosił złoty henn zwieńczony koroną.

Poranny wiatr rozwiewał poły płaszcza w kolorze królewskiej purpury.

Monarcha siedział przez chwilę bez ruchu, po czym zdjął hełm i podał go paziowi. Nie schodząc z konia, przypatrywał się obu swoim dowódcom z krzywym uśmiechem na ustach.

– A cóż to, nie witacie swego suzerena?

Obaj Książęta skłonili się. Brucal pierwszy zabrał głos.

– Zostaliśmy po prostu zaskoczeni niespodziewanym przybyciem Waszej Wysokości.

Nie mieliśmy czasu, by się odpowiednio przygotować do powitania.

Rodric roześmiał się na całe gardło, lecz nie był to radosny, beztroski śmiech, pobrzmiwała w nim nutka szaleństwa.

– Nic nie wiedzieliście, bo was nie zawiadomiłem. Chciałem was zaskoczyć. – Spojrzał na Lyama. – A kimże jest ów człowiek w kaftanie ze znakami Crydee?

– To Lyam, Wasza Wysokość – odpowiedział Brucal. – Książę Crydee.

– Bzdura! Będzie Księciem, jeżeli ja powiem, że nim jest! – wrzasnął Król na całe gardło. Lecz niespodziewanie jego nastrój zmienił się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. – Och, tak mi przykro z powodu śmierci twego ojca – powiedział pojednawczym tonem. Zachichotał nagle histerycznie. – No, ale wiesz, że był zdrajcą, prawda? Ha! I tak miałem zamiar go powiesić. – Na te słowa Lyam zesztyniał i aż pochylił się do przodu. Brucal chwycił go mocno za ramię.

Król zauważył jednak jego ruch i wrzasnął piskliwym głosem.

– Co to?! Chciał się rzucić na Króla. Zdrajca! Jesteś taki sam jak twój ojciec i ta cała reszta. Brać go! Straże! – krzyczał, wskazując ręką na młodego Księcia. Gwardziści królewscy zsiadli z koni i w tej samej chwili żołnierze Armii Zachodu ruszyli, aby ich powstrzymać.

– Stój! – krzyknął donośnym głosem Brucal i żołnierze zatrzymali się w pół kroku.

Brucal obrócił ledwo dostrzegalnie głowę w stronę Lyama.



– Teraz od ciebie zależy, czy za chwilę wybuchnie wojna domowa... – syknął cicho.

– Wasza Wysokość – odezwał się Lyam – oddaję się w twoje ręce. – Pośród szeregów Armii Zachodu dał się słyszeć głośny szmer.

Król popatrzył na niego zimnym, pustym wzrokiem.

– Wiesz, że każę cię powiesić, prawda? Straże! Zabrać go do namiotu i nie wypuszczać.

– Gwardziści pośpiesznie wykonali rozkaz. Król ponownie skierował swoją uwagę na Brucalą.

– A ty, książę Brucal? Czy będziesz lojalny wobec mnie, czy też może wolisz, aby w

Yabon, podobnie jak wkrótce w Crydee, zasiadł nowy Książę, co?

– Zawsze byłem i pozostanę wierny Koronie, Wasza Wysokość – usłyszał w

odpowiedzi monarcha. Rodne zsiadł z konia.

– Tak... wierzę ci. – Znowu zachichotał histerycznie. – Wiesz, że mój ojciec miał o

tobie bardzo wysokie mniemanie, prawda? – Wziął Księcia pod ramię i razem weszli do namiotu dowództwa.

Laurie dotknął lekko ramienia Puga.

– Lepiej schowajmy się do namiotu. Jeśli któryś z dworzan Króla mnie rozpozna, mogą skończyć na szubienicy razem z Księciem.

Pug skinął głową.

– Znajdź Kulgana i Meechama. Spotkajmy się za parę minut w moim namiocie.

Laurie oddalił się szybkim krokiem, by wykonać prośbę Puga, a młody mag wrócił do swojego namiotu. Katala karmiła właśnie Williama gulaszem, który został jeszcze z poprzedniego dnia.

– Obawiam się, kochana, że wpadliśmy po uszy w nowe kłopoty. Król jest w obozie.

Jego szaleństwo jest większe, niż sądziłem. Musimy szybko stąd odejść. Już kazał uwięzić Lyama...

Katala spojrzała na niego zaskoczona.

– Ale dokąd pójdziemy?

– Chyba uda mi się przenieść nas razem do Crydee, do księcia Aruthy. Zamek Crydee znam na pamięć, tak dobrze, jakby znajdował się tam wzór przybycia. Nie powinienem mieć kłopotów z przeniesieniem nas tam.

Po kilku minutach dołączyli do nich Kulgan, Laurie i Meecham. Pug przedstawił w zarysie plan swej ucieczki z obozu. Kulgan przecząco pokręcił głową.

– Pug, zabierz Katalę i chłopca. Ja muszę zostać na miejscu.

– Ja też – dorzucił Meecham.

Pug spojrzał na nich z niedowierzaniem.

– Dlaczego, Kulgan?

– Służyłem ojcu Lyama, a teraz służę jemu. Jeśli Król będzie forsował wykonanie na nim egzekucji, z pewnością wybuchnie walka. Armie Zachodu nie będą stały beczynn timer przyglądając się, jak wieszają ich Lyama, bądź tego pewien. Król ma przy sobie tylko oddział Gwardii, więc zostaną szybko pokonani. No a potem... a potem wybuchnie wojna domowa. Bas-Tyra wyruszy na zachód na czele Armii Wschodu i Lyam z pewnością będzie potrzebował mojej pomocy.

– Konflikt nie zostanie szybko rozstrzygnięty – wtrącił Meecham. – Co prawda Armie Zachodu to zaprawieni w długoletnich bojach weterani, lecz nie można zapominać, że są już znużeni wojną, a duch bojowy i zapał przygasł ostatnio. Armie Wschodu są wypoczęte i gotowe. Czarny Guy zaś to najlepszy generał w całym Królestwie. To będzie długotrwała walka.

Pug zgodził się z argumentacją przyjaciół.

– Może jednak do tego nie dojdzie? Wygląda co prawda na to, że Brucal opowie się za

Lyamem, lecz co będzie, jeśli zmieni zdanie? Czy możemy mieć pewność, że gdyby zabrakło przewodnictwa, Yabon, Ylith i Tyr-Sog pójdą za Lyamem, a nie Królem?

Kulgan westchnął głęboko.

– Brucal nie zawiedzie. Nienawidzi Bas-Tyry równie mocno jak Borric, chociaż jego powody nie są tak osobiste. W każdym kolejnym posunięciu, by złamać i podporządkować sobie Ziemię Zachodu, widzi rękę Guya. Odnoszę wrażenie, że książę Yabon z wielką chęcią skróciłby Rodrica o głowę, lecz nie ma to w tej chwili większego znaczenia. Lyam będzie raczej wolał podporządkować się, akceptując los, niż ryzykować rozpętanie wojny domowej, a w rezultacie, niechybną utratę Ziemi Zachodu na rzecz Tsuranich. Musimy poczekać na rozwój wypadków.

– Zatem tym bardziej powinieneś udać się do Crydee, Pug. Gdyby Lyam miał umrzeć, pretendentem do tronu zostanie automatycznie Arutha. Król, kiedy już raz przeleje krew, nie będzie mógł się zatrzymać w pół drogi. Będzie musiał zabić również Aruthę. Nawet Martin, którego prawa do korony są skażone pochodzeniem z nieprawego łoża, i Carline będą ścigani aż do skutku i zlikwidowani. Ten sam los może czekać także Anitę. Rodne nie będzie ryzykował, aby mieć gdzieś na zachodzie konkurenta do korony. Tak, w przypadku śmierci Lyama, rozlew krwi nie ustanie aż do chwili, kiedy albo Rodne, albo Aruha nie zasiądą na tronie całego Królestwa nie zagrożeni przez żadną konkurencję. Pug, jesteś bez wątpienia najbardziej potężnym magiem w naszym Królestwie. – Pug chciał w tym momencie zaprotestować, lecz Kulgan nie dopuścił go do głosu i ciągnął dalej: – Może nie jestem prawdziwym mistrzem, ale znam się na sztuce magii wystarczająco dobrze, aby na podstawie opisanych przez ciebie wydarzeń ocenić prawidłowo twą moc i możliwości. Pamiętam też dobrze twoje obietnice z dzieciństwa. Jesteś w stanie dokonać rzeczy, o które nikt w Królestwie, poza tobą, nie może się pokusić. Arutha będzie bardzo potrzebował twojej

pomocy, Pug, ponieważ jeśli Lyam zginie, nie będzie mógł tego puścić płazem. Po załatwieniu sprawy z Tsuranimi, Crydee, Carse i Tulan wyruszą na bój. Inni, szczególnie Brucal, dołączą do nich. A to, jak wiesz, oznacza wojnę domową.

Meecham odchylił na chwilę zasłonę przy wyjściu, aby splunąć na zewnątrz, i zamarł nagle w bezruchu. Rozchylił szerzej materiał i odwrócił się w stronę pozostałych.

– No to chyba koniec waszego sporu – powiedział, wskazując przed siebie ręką.

Zerwali się na nogi, podbiegli do wyjścia i spojrzeli we wskazanym kierunku. Ponieważ żaden z nich nie miał sokołego wzroku Meechama, przez dłuższą chwilę wpatrywali się w dal, nie mogąc nic dostrzec. Po pewnym czasie daleko nad południowo-wschodnim horyzontem ujrzeli wiszącą wysoko chmurę kurzu. Buro-szary obłok rozciągał się na kilka kilometrów, oddzielając błękitne niebo od ziemi ciemnym pasem.

– Armie Wschodu – powiedział Meecham poważnym głosem.

Laurie, Kulgan, Pug i Meecham stali w pobliżu namiotu dowództwa w grupie żołnierzy z La-Mut. Razem z nimi znajdował się szlachetnie urodzony Vandros z La-Mut, były oficer kawalerii, który przed laty dowodził wypadem do doliny, kiedy to po raz pierwszy ujrzeli konstrukcję umożliwiającą przejście pomiędzy dwoma światami. W niecały rok po dostaniu się Puga do niewoli umarł ojciec Vandrosa i tytuł książęcy przeszedł na syna. Vandros wielokrotnie udowodnił, że jest jednym z najlepszych dowódców polnych Królestwa.

Ku szczytowi wzgórz, na którym stał namiot dowództwa armii, zbliżała się konna grupa panów. Król oczekiwał ich przybycia w towarzystwie Brucala. Każdemu zbliżającemu się szlachcicowi towarzyszył chorąży z rozwianym na wietrze sztandarem swego pana. Vandros wymieniał po cichu nazwy każdej reprezentowanej tu armii.

– Rodez, Timons, Ran, Cibon... są wszyscy. – Zwrócił się do Kulgana: – Wątpię, czy pomiędzy nami a Rillanonem został choć tysiąc żołnierzy.

Laurie rozglądał się po tłumie, wyciągając wzrok.

– Kogoś mi brak... nie ma chyba Bas-Tyry. Vandros jeszcze raz obrzucił wzrokiem łopoczące sztandary.

– Salador, Głęboki Taunton, Cypel... rzeczywiście, masz rację. Nie ma sztandaru ze złotym orłem na czarnym tle.

– Bas-Tyra nie jest głupi – wtrącił Meecham. – On już teraz siedzi na tronie w Krondorze. Jeżeli powieszą Lyama, a Rodne na przykład zginąłby w bitwie, z Krondoru na tron w Rillanonie już tylko maleńki kroczek.

Vandros ponownie zwrócił swoją uwagę na gromadzących się panów Królestwa.

– Patrzcie, jest obecny prawie cały skład Kongresu. Jeżeli zdarzyłoby się, że wrócą do Krondoru bez Króla, to Guy zostanie błyskawicznie powołany na tron. Wielu z nich to jego ludzie.

– A kto jedzie pod sztandarem Saladoru? Przecież to nie Kerus?

Vandros splunął z obrzydzeniem na ziemię.

– To Ryszard, były baron Dolth, a teraz książę Saladoru. Król kazał powiesić Kerusa.

Ryszard włada teraz trzecim co do wielkości i potęgi Księstwem Wschodu. To jeden z pupilków Guya.

Kiedy już wszyscy panowie zgromadzili się przed obliczem Króla, Ryszard z Saladoru, zwałisty i czerwony na twarzy mężczyzna, wystąpił przed szereg.

– Panie, przybyli już wszyscy. Gdzie mamy rozbić obóz?

– Obóz? Jaki obóz? Nie rozbijamy żadnego obozu, mój Książę. Ruszamy dalej! –

Zwrócił się do księcia Brucala:

– Brucal, na co czekasz? Stawiaj pod broń Armie Zachodu!

Stary Książę wydał rozkazy i wkrótce po całym obozie rozbiegli się heroldzi, krzycząc,

by stawano do szeregu. Po paru chwilach ponad obozem rozległ się donośny dźwięk trąb i głuchy łoskot bębnow.

Vandros opuścił przyjaciół i dołączył do swoich żołnierzy. Wokół nich zrobiło się nagle pusto. Pug, Kulgan i reszta odsunęli się na ubocze, by nie skupiać na sobie uwagi Króla. Rodric zwrócił się do zebranej szlachty.

– Mamy za sobą dziewięć lat rządów tych mięczaków z zachodu. Teraz ja sam pokażę, jak się prowadzi atak z prawdziwego zdarzenia, atak, który na dobre przepędzi wroga z naszych ziem. – Zerknął na Brucala. – Przez wzgląd na twój podeszły wiek, mój Książę, oddaję dowództwo nad piechotą księciu Ryszardowi. Ty zostaniesz w obozie.

Stary książę Yabon, który właśnie zakładał zbroję, spojrzał na Króla boleśnie dotknięty rozkazem.

– Wasza Wysokość – powiedział zimnym i ostrym głosem. Skłonił się sztywno, okręcił na pięcie i zniknął we wnętrzu namiotu dowództwa.

Przyprowadzono wierzchowca Króla i Rodric wskoczył na siodło. Paż podał mu zwieńczony koroną hełm. Król nałożył go od razu na głowę.

– Niech piechota podąża za nami najszybciej jak może. A teraz, panowie, ruszamy galopem!

Rodric spiął gwałtownie rumaka ostrogami i ruszył w dół pagórka. Za nim popędziła Gwardia Królewska i zgromadzona szlachta. Kiedy wreszcie zniknęli im z oczu w tumanie kurzu, Kulgan odwrócił się do przyjaciół.

– A teraz, panowie, czekamy.

Dzień włókł się niemiłosiernie długo. Każda mijająca godzina wydawała się ciągnąć leniwie w nieskończoność jak osobny, dłużący się dzień. Wszyscy siedzieli w namiocie Puga, zastanawiając się nad tym, co się działo na zachód od nich. Armia wymaszerowała z obozu pod

królewskim sztandarem, przy dźwiękach bębnów i trąb. Na pozycje Tsuranich ruszyło ponad dziesięć tysięcy jazdy i dwadzieścia tysięcy piechoty. W namiotach zostało jedynie kilku żołnierzy, ranni i kompania dyżurna. Po gwarze obozowym towarzyszącym im nieustannie poprzedniego dnia panująca dookoła martwa cisza robiła przygnębiające wrażenie.

William zbudził się w końcu i zaczął kaprysić, więc Katala wyprowadziła go na dwór, by mógł się pobawić. Fantus powitał to posunięcie z wielką radością i ulgą, ponieważ przy swoim niezmordowanym towarzyszu zabaw nie miał ani jednej spokojnej chwili dla siebie.

Kulgan siedział w milczeniu, pykając fajeczkę. Co jakiś czas wymieniali co prawda parę zdań na temat różnych zagadnień magii, lecz przeważnie nie odzywali się do siebie.

Laurie pierwszy przerwał ciszę. Zerwał się z miejsca raptownie i obrzucił wzrokiem smętnych towarzyszy.

– Mam powyżej uszu tego głupiego czekania! Trzeba pójść do księcia Lyama i wspólnie zdecydować, co robić, kiedy Król powróci.

Kulgan zniecierpliwionym gestem odesłał go na miejsce.

– Lyam, jako nieodrodny syn swego ojca, nic nie zrobi, bo nie chce rozpętać wojny domowej. Przynajmniej nie tutaj i nie teraz.

Pug siedział z boku, bawiąc się bezwiednie sztyletem.

– Lyam dobrze wie, że teraz, gdy Armie Wschodu są w obozie, wybuch walk byłby jednoznaczny z oddaniem Ziem Zachodu w ręce Tsuranich oraz włożeniem korony na głowę Bas-Tyry. Wolałby wejść na szubienicę i sam sobie założyć sznur na szyję, niż doprowadzić do tego.

– To najgorszy rodzaj głupoty... – oburzył się Laurie.

– Nie – sprzeciwił się Kulgan. – To nie głupota, trubadurze, lecz sprawa honoru. Lyam, podobnie jak przed nim jego ojciec, wierzy święcie w to, że obowiązkiem warstwy szlacheckiej

urodzonych jest poświęcenie całego życia, a nawet śmierć, jeśli byłaby taka potrzeba, dla dobra Królestwa. Teraz, gdy Borric i Erland nie żyją, Lyam jest następny w kolejce do tronu.

Ponieważ jednak Rodne nie wyznaczył swego następcy, sprawa sukcesji nie jest wcale taka jasna. Lyam nigdy nie zgodziłby się włożyć korony na głowę, gdyby wiedział, że może być uznany przez niektórych za uzurpatora. Z Aruthą sprawa przedstawia się nieco inaczej. On zrobiłby to, co byłoby w danej chwili dla niego najbardziej korzystnym rozwiązaniem. Wbrew swojej woli wzięłby koronę, a tym, co inni o nim powiedzą, martwiłby się dopiero wtedy, gdyby zaczęli mówić.

Pug pokiwał głową.

– Myślę, że Kulgan bardzo trafnie to ujął. Nie znam co prawda braci tak dobrze jak on, lecz wydaje mi się, że byłoby chyba lepiej, gdyby urodzili się w odwrotnej kolejności. Wiem, że Lyam byłby dobrym Królem, lecz jestem przekonany, że Aruthą byłby wielkim Królem. Ludzie byliby gotowi pójść za Lyamem na śmierć, lecz młodszy brat w podobnej sytuacji wykorzystałby swą przebiegłość i spryt, aby ich zachować przy życiu.

– Bardzo słuszna ocena – skomentował Kulgan. – Jeżeli jest ktoś, kto potrafiłby znaleźć wyjście z tego chaosu, to właśnie Aruthą. Jest równie mężny i waleczny jak ojciec, a do tego dorównuje Czarnemu Guyowi sprawnością umysłu i byłby w stanie zapanować nad intrygami dworskimi, chociaż ich nienawidzi z całego serca. – Kulgan uśmiechnął się. – Kiedy byli jeszcze dziećmi, nazywaliśmy Aruthę „chmurką burzową”. Kiedy się zezłościł, stawał się ponury i posepny, mamrotał coś pod nosem i zrzędził jak stary. Lyam odwrotnie, wściekał się szybko, jeszcze szybciej rzucał z pięściami na przeciwnika, lecz równie szybko przebaczał i zapominał.

Wspominki Kulgana zostały przerwane przez okrzyki z zewnątrz. Skoczyli na równe nogi i wybiegli z namiotu.



Obok nich przebiegł zdyszany i zbryzgany krwią żołnierz w kaftanie z La-Mut. Rzucili się za nim. Dopadli do namiotu dowództwa w chwili, kiedy wychodził z niego Brucal. Stary książę Yabon rzucił krótkie pytanie.

– Jakie wieści?

– Książę Vandros przesyła wiadomość. Zwycięstwo! – W oddali spostrzegli następnych jeźdźców zbliżających się do obozu. – Przejechaliśmy przez nich jak wiatr. Linia frontu na wschodzie została przerwana... zlikwidowaliśmy wysunięty przyczółek... zrobiliśmy wyłom, odcinając ich wysunięte pozycje, potem skręciliśmy gwałtownie na zachód i wyparliśmy w głąb nadciągające posiłki... piechota zajęła mocne pozycje, a kawaleria spycha wroga ku Pomocnej Przełęczy. Uciekają w popłochu! Ten dzień należy do nas!

Żołnierz ledwo mówił z wysiłku. Ktoś podał mu bukłak z winem. Chwytał go łapczywie, otworzył szeroko usta i przechylił, trzymając wysoko nad twarzą. Szkarłatny strumień rozbryzgiwał się na wszystkie strony, spływając po brodzie i dalej, gdzie łączył się z inną czerwienią, która splamiła mu kaftan na piersi. Odrzucił na bok pusty worek.

– To nie wszystko. Ryszard z Saladoru padł i Książę z Silden. Król został ranny.

Na twarzy Brucala pojawił się niepokój.

– Co z nim?

– Obawiam się, że nie najlepiej... – odpowiedział jeździec, starając się jednocześnie utrzymać wierzchowca, który nerwowo tańczył, kładąc uszy po sobie. – To poważna rana. Kiedy koń pod nim padł, Król został cięty mieczem przez hełm. Prawie stu naszych zginęło, broniąc go. Tsurani ciągnęli w stronę jego królewskiego kaftana jak ćmy do światła. Już go wiozą. – Jeździec wskazał za siebie kciukiem.

Pug i reszta zebranych spojrzeli we wskazanym kierunku. Na przedzie kolumny jechał gwardzista podtrzymujący siedzącego przed nim Króla. Twarz monarchy była zboczona

krwią. Prawą ręką trzymał się siodła, lewa zwisała bezwładnie. Zatrzymali się przed wejściem do namiotu. Żołnierze rzucili się, by pomóc zdjąć Króla z konia. Chcieli wnieść go do środka, lecz zatrzymał ich słabym i przerywanym głosem.

– Nie... nie zabierajcie mnie ze słońca. Przynieście krzesło... chcę usiąść...

Kiedy przyniesiono i ustawiono krzesło, na szczyt pagórka dotarli członkowie jego świty. Rodric został posadzony ostrożnie. Oparł się ciężko i siedział z przechyloną bezwładnie głową. Po twarzy spływała strużka krwi. Przez ranę na czubku głowy przeświecała białawo kość czaszki. Kulgan podszedł szybko do monarchy.

– Wasza Wysokość, czy mogę zająć się raną? Król z trudem usiłował rozpoznać, kto do niego mówi.

Przez chwilę wodził dookoła niewiającym wzrokiem, po czym odzyskał ostrość widzenia.

– Kto mówi? Mag? Tak, to mag Borrica. Tak, proszę... boli mnie bardzo...

Kulgan zamknął oczy i przywołał swą moc, by ulżyć cierpieniu Króla. Po paru sekundach położył rękę na ramieniu Rodrica i stojący wokół usłyszeli, jak władca Królestwa westchnął z wyraźną ulgą.

– Dziękuję ci, magu, bardzo mi pomogłeś, już mi lepiej. – Rodric usiłował odwrócić trochę głowę. – Książę Brucal, sprowadź, proszę, Lyama.

Lyam przebywał w swoim namiocie pod strażą. Czym prędzej wysłano żołnierza, aby go sprowadził. Po chwili młody Książę klęczał już u boku swego kuzyna.

– Mój panie, jesteś ranny?

Do Kulgana podszedł kapłan Dala, który zgodził się z diagnozą postawioną przez maga.

Spojrzał na Brucala i pokręcił powoli głową. Przyniesiono bandażę i zioła i naprędce opatrzone ranę. Kulgan zostawił kapłana zajmującego się Królem i dołączył do innych, zebranych wokół.

Pojawiła się Katala z Williamem na rękach.

– Obawiam się, że rana jest śmiertelna. Kość czaszki jest pęknięta, a przez szczelinę sączy się płyn...

Patrzyli, stojąc w milczeniu. Kapłan odsunął się na bok i rozpoczął modły w intencji Rodrica. Przed Królem zebrali się wszyscy panowie Królestwa poza kilkoma, którzy dowodzili walczącą piechotą. Do obozu wpadali kolejni jeźdźcy. Dołączali szybko do grupy pytając, co się stało. Król drgnął i lekko uniósł głowę. Zapadła cisza jak makiem siał.

– Lyam – powiedział Król słabym głosem. – Byłem chory, prawda? – Lyam nic nie odpowiedział, lecz jego twarz wyraźnie zdradzała, że w jego wnętrzu walczą sprzeczne uczucia. Nie darzył kuzyna miłością, to prawda, lecz przecież był to Król.

Rodne uśmiechnął się z trudem. Jedna połowa twarzy prawie się nie poruszała, jakby nie kontrolował już mięśni. Rodne wyciągnął przed siebie prawą, sprawną rękę. Lyam ujął ją w swoją dłoń.

– Lyam, nie wiem, o czym ostatnio myślałem, to, co się działo, wydaje się mrocznym i przerażającym snem. Ten sen pochwycił mnie jak potrzask, ale teraz uwolniłem się... – Na czole pojawiły się kropelki potu. Twarz robiła się coraz to bledsza. – Zły duch, który mnie męczył, został wypędzony... widzę teraz, że często nie miałem racji, że wyrzodziłem wiele zła...

– Nie, panie, to nie było zło.

Król zakaszlał gwałtownie, po czym, kiedy atak ustał, z trudem łapał powietrze szeroko otwartymi ustami.

– Lyam, mój czas się kończy. – Jego głos przybrał nieco na sile. – Brucal, będziesz świadczył. – Stary Książę popatrzył na swego władcę nic nie rozumiejącym wzrokiem.

Podszedł bliżej i stanął u boku Lyama.

– Jestem, Wasza Wysokość.

Król chwycił Lyama mocno za rękę i podciągnął nieco w górę na oparcie krzesła.

Mówił silniejszym i bardziej pewnym głosem.

– My, Rodric, czwarty monarcha, który nosił to imię, dziedziczny władca Królestwa

Wysp, oświadczamy wszem i wobec, że Lyam conDoin, nasz kuzyn tej samej co my krwi, krwi królewskiej, jako najstarszy męski członek rodu conDoin zostaje mianowany niniejszym następcą tronu naszego Królestwa.

Lyam rzucił Brucalowi rozpaczliwe spojrzenie, lecz stary Księżę ruchem głowy nakazał mu milczenie. Zrozpaczony Lyam zwiesił ponuro głowę i chwycił mocno Króla za rękę.

– Co ja, Brucal, księżę Yabon, uroczyście poświadczam. Głos Rodrica słabł z sekundy na sekundę.

– Lyam, proszę cię o jedną tylko przysługę. Twój kuzyn Guy czynił wszystko na mój rozkaz. Szczerze żałuję, że szaleństwo doprowadziło mnie do obalenia Erlanda. Wiedziałem dobrze, że zesłanie go do lochu równało się wyrokowi śmierci i nie zrobiłem nic, aby to powstrzymać. Miej litość nad Guyem. Prawda, że to bardzo ambitny człowiek, lecz w głębi serca nie jest zły.

Potem Król mówił o swoich planach rozwoju Królestwa. Prosił o ich kontynuowanie, lecz nie kosztem ludności. Mówił jeszcze o bardzo wielu rzeczach, między innymi o swoim dzieciństwie i tym, jak bardzo żałuje, że nigdy się nie ożenił. Po chwili wypowiedane słowa były już tak niewyraźne, że nikt nie mógł go zrozumieć. Głowa opadła mu na pierś.

Brucal rozkazał gwardzistom, by zajęli się Królem. Dźwignęli go delikatnie i zanieśli do namiotu. Brucal i Lyam weszli do środka, podczas gdy reszta panów czekała na zewnątrz. Z pola bitwy nadciągało coraz więcej żołnierzy, którym przekazywano wieści. Wokół namiotu

dowództwa stała prawie jedna trzecia wszystkich Armii Królestwa, morze wzniesionych ku górze twarzy spływające w dół, po zboczach pagórka. Nikt nie odezwał się ani słowem.

Żołnierze czuwali w ciszy przy łożu swego umierającego Króla.

Brucal zasłonił za sobą wejście, odcinając czerwone promienie zachodzącego słońca.

Kapłan Dala zbadał Króla, po czym podniósł wzrok na Brucala i Lyama.

– Już nie odzyska przytomności, panowie. Teraz to już tylko kwestia czasu.

Brucal wziął Lyama pod ramię i odprowadził na bok.

– Lyam – powiedział szeptem, nachylając się do ucha Księcia – kiedy ogłoszę cię następcą tronu, masz milczeć.

Lyam wyrwał ramię z uścisku Brucala i wbił oczy w twarz starego żołnierza.

– Byłeś świadkiem, Brucal! – wyrzucił z siebie gwałtownie ściszone głosem. –

Słyszałeś, że ojciec uznał oficjalnie Martina za swego syna, a mojego brata. On jest teraz najstarszym męskim potomkiem rodu conDoin. Oświadczenie Rodrica o sukcesji jest nieważne, ponieważ zakładało, że to. ja jestem najstarszy!

Brucal zaczął mówić delikatnym tonem, chociaż jego słowa dalekie były od delikatności.

– Lyam, jest wojna, którą musisz doprowadzić do końca. Potem, jeśli uda ci się dokonać tego skromnego wyczynu, musisz zabrać ojca i Rodrica do Rillanonu, by pochować ich w grobowcu twoich przodków. W dniu pogrzebu Rodrica rozpocznie się dwunastodniowa żałoba w całym kraju. Potem, trzynastego dnia w południe wszyscy pretendenci do tronu muszą się stawić przed obliczem kapłanów Ishap oraz całym składem tego cholernego Kongresu Panów. Masz przed sobą dużo czasu, by zdecydować, co powinieneś zrobić. Zrozum jednak, że teraz musisz zostać następcą tronu. Nie ma innego wyjścia.

A poza tym nie możesz zapominać o Bas-Tyrze. Jeżeli będziesz się wahał, on znajdzie

się w Rillanonie wraz ze swoją armią na miesiąc przed tobą. A to oznacza, chłopcze, że będziesz miał na głowie wyniszczającą wszystkich wojnę domową. Jak tylko obiecasz, że będziesz trzymał gębę na kłódkę, natychmiast wysyłam do Krondoru moje zaufane oddziały, by mocą królewskiej pieczęci aresztowały Czarnego Guya. Wrzucą go do lochu, zanim jego własne oddziały zdążą zareagować i ich powstrzymać. Zaręczam ci, że znajdzie się wystarczająco wielu lojalnych mieszkańców Krondoru, którzy zapewnią powodzenie tej akcji. Będziesz siedział pod kluczem, zanim tam dotrzesz. Potem możesz go przewieźć do Rillanonu na koronację swoją lub Martina. Zrozum jedno, Lyam, musisz działać! I to natychmiast! Na bogów, bądź pewien, że jeżeli mianujesz Martina rzeczywistym następcą tronu, w ciągu dwudziestu czterech godzin sługusy Bas-Tyry rozpętają wojnę domową! Dotarło do ciebie, co powiedziałem?

Lyam w milczeniu skinął głową i westchnął głośno.

– Ale czy ludzie Guya dopuszczą do jego aresztowania?

– Nawet sam dowódca jego osobistej gwardii nie sprzeciwi się królewskiemu rozkazowi, szczególnie jeśli podpiszą go również przedstawiciele Kongresu Panów. Już moja w tym głowa, żeby takie podpisy pojawiły się na nakazie... – powiedział, zaciskając pięść.

Lyam milczał przez jakiś czas. W końcu podniósł głowę.

– Masz rację. Nie chcę, aby przeze mnie Królestwo popadło w kolejne tarapaty.

Uczynię, jak mówisz.

Powrócili do łoża Króla i czekali. Minęły prawie dwie godziny, kiedy kapłan, który co jakiś czas przykładał ucho do piersi Króla, podniósł na nich wzrok i skinął głową.

– Król nie żyje.

Brucal i Lyam pochyłili głowy i odmówili razem z kapłanem cichą modlitwę za zmarłego. Po chwili książę Yabon zdjął pierścień z palca Rodrica i zwrócił się do Lyama.

– Chodź, już czas.

Podszedł do wyjścia i odsunął na bok zasłonę. Lyam wyrzwał na zewnątrz. Słońce już dawno zaszło, a na czystym niebie migotały tysiące gwiazd. W obozie zapalano ogniska i tysiące żołnierzy trzymało w rękach płonące pochodnie, co sprawiało wrażenie, jakby na stokach wzgórza i wokół niego rozlało się morze płomieni. Chociaż znużeni i głodni po zwycięskiej bitwie, wszyscy czekali wytrwale.

Przed namiotem pojawili się Lyam i Brucal.

– Król umarł – oznajmił stary Księżę. Chociaż na jego twarzy malował się kamienny spokój, oczy miał zaczerwienione. Lyam, blady jak ściana, stał wyprostowany z wysoko podniesioną głową.

Brucal wznosił coś wysoko ponad głowę. Światło pochodni rozbłysło głęboką czerwienią w zagłębieniu dłoni. Stojący najbliżej panowie pokiwali powoli głowami, potwierdzając, że widzą znak i symbol, pierścień, który nosili wszyscy Królowie z rodu conDoin, począwszy od czasów Delonga Wielkiego, który przebył wody dzielące Rillanon od stałego lądu i zatknął sztandar Królestwa Wysp na kontynencie.

Brucal ujął dłoń Lyama w swoją i włożył mu pierścień na palec. Lyam przyjrzał się z uwagą staremu, zniszczonemu sygnetowi i pięknemu rubinowi, który mimo wieków błyszczał jak nowy głębokim szkarłatem. Podniósł wzrok na otaczający go tłum. Jeden z panów, księżę Rodez, wysunął się do przodu i ukląkł przed Lyamem.

– Wasza Wysokość.

Jeden po drugim klękali następni, szlachta ze wschodu i zachodu składała hołd swemu władcy. Jak wycofująca się fala uciekająca od brzegu, zgromadzone wokół namiotu tłumy przyklękały, a po chwili stał jedynie Lyam.

Patrzył na szlachtę i żołnierzy, a wzruszenie, które go nagle ogarnęło, nie pozwalało mu

wyrzec ani słowa. Położył rękę na ramieniu Brucala i dał znak, by wszyscy powstali.

Tysięczne rzesze zerwały się na nogi, a powietrze zadrgało od gromkich okrzyków radości.

– Wiwat, Lyam! Niech żyje następca!

Żołnierze Królestwa krzyczeli na całe gardło. Ich radość była tym większa, że zaledwie parę godzin temu wisiała nad ich głowami groźba wojny domowej, o czym wielu przecież dobrze wiedziało. Nieznajomi zupełnie ludzie z zachodu i wschodu obejmowali się i świętowali wspólnie, ciesząc się, że zdołali uniknąć straszliwej przyszłości.

Lyam wznosił obie ręce i po chwili zapadła cisza. Jego donośny głos poniósł się ze szczytu wzgórza tak, że wszyscy mogli go usłyszeć.

– Niech dziś w nocy nikt nie świętuje. Wytlumić bębny i wyciszyć trąby, dziś w nocy będziemy opłakiwać śmierć Króla.

Brucal wskazywał na mapę.

– Ich wysunięta pozycja została całkowicie otoczona. Odparto wszystkie próby przedarcia się do głównych oddziałów. Mamy tu, jak w worku, prawie cztery tysiące ich żołnierzy. – Była późna noc. Rodric został pochowany ze wszystkimi możliwymi w obozie honorami.

Nie było zwykłej przy królewskich pogrzebach pompy, ale też i wojna wymusiła na nich skromne uroczystości. Rodric został pośpiesznie zabalsamowany i pochowany w pełnej zbroi koło Borrica na zboczu pagórka naprzeciwko obozu. Po zakończeniu wojny mieli być przeniesieni do grobowców swoich przodków w Rillanonie.

Młody następca studiował pilnie mapę, oceniając sytuację w świetle ostatnich doniesień z linii frontu. Tsurani trwali mocno w Północnej Przełęczy, u wejścia do doliny. Piechota okopała się na wprost ich pozycji, zatykając jak korkiem wojska w głębi doliny i odcinając



jednocześnie ich oddziały wzdłuż rzeki Crydee, a także okrążonych poprzedniego dnia.

– Co prawda przełamaliśmy ich ofensywę – powiedział Lyam – ale nie zapominajmy, że jest to kij, który ma dwa końce. Nie możemy walczyć na dwóch frontach jednocześnie.

Musimy być przygotowani na wypadek, gdyby Tsurani chcieli ruszyć na nas z południa; Mimo niewątpliwego sukcesu i zmiany sytuacji, koniec nie jest wcale taki bliski, jakby się mogło wydawać.

– Ale przecież otoczeni z pewnością poddadzą się już wkrótce. Są całkowicie odcięci, mają niewielkie zapasy wody i żywności i nie mogą liczyć na odsiecz. Za kilka dni zaczną cierpieć głód.

Do rozmowy wtrącił się Pug.

– Przepraszam, że przerywam, książę Brucal, lecz tak się nie stanie, oni będą trwali do końca.

– Co mieliby zyskać przez stawianie oporu? Znajdują się w beznadziejnym położeniu...

– Wiążą w ten sposób wasze siły, które w przeciwnym razie mogłyby atakować ich główny obóz. Sytuacja wewnętrzna w Imperium ustabilizuje się wkrótce na tyle, że magowie będą mogli opuścić Zgromadzenie, a wtedy transport żywności i wody będzie mógł się odbywać bez żadnych przeszkód. Każdy kolejny dzień trwania na pozycjach umacnia Tsuranich jak posiłki z Kelewanu. Nie wolno zapominać, że Tsurani wolą raczej umrzeć, niż dać się wziąć do niewoli.

– Czy rzeczywiście honor wymaga od nich, by zginęli? – spytał Lyam.

– Tak. Na Kelewanie ci, którzy dostaną się do niewoli, zostają niewolnikami. Pojęcie wymiany jeńców wojennych nie jest im w ogóle znane.

– W takim razie musimy wykorzystać natychmiast wszystkie dostępne siły i zaatakować otoczone wojska – skomentował Brucal. – Musimy ich zniszczyć, zmiażdżyć, by

nasze oddziały mogły się potem zająć innymi sprawami.

– Drogo za to zapłacimy – zauważył Lyam. – Tym razem nie będzie elementu zaskoczenia, a Tsurani okopali się tam jak krety. Możemy ponieść ogromne straty, nawet dwukrotnie wyższe niż przeciwnik.

Kulgan siedział z boku w towarzystwie Lauriego i Meechama.

– To naprawdę tragiczne, że jedyne, cośmy zyskali, to rozszerzenie frontu walk, i to wkrótce po tym, jak Cesarz zaproponował zawarcie pokoju.

– Może nie jest jeszcze za późno? – powiedział Pug.

Lyam spojrzał na niego.

– Co przez to rozumiesz? Kasumi z pewnością już wysłał wiadomość, że oferta została odrzucona.

– Tak, wiem, lecz może jest jeszcze czas, by ich zawiadomić, że wkrótce będziemy mieli nowego Króla, który jest gotów zasiąść do stołu rokowań.

– A kto miałby zanieść tę wiadomość? – spytał Kulgan. – Jeśli wrócisz na ziemię Cesarstwa, twe życie nie będzie warte flinta kłaków.

– Równocześnie możemy rozwiązać dwa problemy. Wasza Wysokość, czy upoważnisz mnie, bym obiecał Tsuranim, że otoczone oddziały będą mogły bezpiecznie powrócić na pozycję, ich głównych sił?

Lyam zastanawiał się przez chwilę.

– Tak, jeżeli dadzą żołnierskie słowo honoru, że przez najbliższy rok nie powrócą na pole walki.

– Zatem postanowione, wracam do Imperium – powiedział Pug. – Mimo nieszczęść, które na nas spadły, szansę zakończenia wojny nie są jeszcze zaprzepaszczone.

Straże Tsuranich były czujne. Żołnierze stali na wysuniętych pozycjach, a ich nerwy

były napięte jak postronki. Usłyszeli nagle odgłos zbliżających się kopyt końskich. Napięcie wzrosło.

– Nadchodzą! – krzyknął jeden z nich. Żołnierze chwycili za broń i popędzili ku barykadom. Okopy z prawdziwego zdarzenia na południu były nietknięte, lecz tutaj, na zachodnim krańcu byłego przyczółka, odgrodzono się od wroga byle jakimi, płytkimi okopami i powalonymi drzewami. Łucznicy stali w pogotowiu. Założone na cięciwy strzały drgały gotowe pomknąć na spotkanie celu, lecz spodziewany atak nie nastąpił. Po chwili pojawiła się samotna postać na koniu. Jeździec trzymał wysoko ponad głową złożone dłonie, znak rokowań. A co więcej, był ubrany w czarną szatę.

Podjechał powolutku do krawędzi barykady i zapytał w nieskazitelnym języku Tsuranich.

– Kto tu dowodzi?

– Komendant Watami – odpowiedział zaskoczony oficer.

– Widzę, że dowódca uderzenia zapomniał o dobrych manierach – zbeształ go ostrym tonem nieznajomy. Przyjrzał się uważnie znakom i kolorom na pancerzu i hełmie oficera. – Czy wszyscy Chilapaningo są tak źle wychowani?

Oficer stanął natychmiast na baczność.

– Upraszam o przebaczenie. Wielki... – wyjąkał zdenerwowanym głosem. – To dlatego, że nie oczekiwaliśmy... że nagle...

– Sprowadź tu natychmiast komendanta Watauna.

– Stanie się wedle twojej woli, Wielki.

Po chwili pojawił się dowódca przyczółka Tsuranich. Był to stary wiarus o pałakowatych nogach i beczkowatym torsie. Nie obchodziło go, czy to Wielki czy nie, jego główną troską było bezpieczeństwo jego ludzi. Obrzucił maga podejrzliwym wzrokiem.

– Jestem, Wielki.

– Przybywam z rozkazem: ty i twoi żołnierze macie wrócić do doliny.

Komendant Wataun uśmiechnął się ponuro i pokręcił głową.

– Z przykrością muszę odmówić wykonania twego rozkazu, Wielki. Dotarły do nas wieści o twych wyczynach, jak również o tym, że Zgromadzenie zakwestionowało twój status.

Być może w tej chwili nie znajdujesz się już poza prawem. Gdyby nie to, że przybyłeś do nas ze znakiem rokowań, już dawno kazałbym cię pochwycić, chociaż z pewnością drogo by nas to kosztowało.

Pug poczuł, jak policzki oblewa mu gorący rumieniec. Spodziewał się co prawda, że Zgromadzenie może go wykluczyć ze swoich szeregów, lecz teraz, gdy to usłyszał, przeszył go ból i gorycz. Z żalem pomyślał, że ze względu na szkolenie, które przeszedł, nadal będzie czuł się w jakimś sensie lojalny wobec obcego Imperium, a w swoim świecie nigdy nie będzie się już czuł jak w domu.

Westchnął głęboko.

– Cóż więc zamierzasz uczynić?

– Trzymać pozycję. – Komendant wzruszył ramionami. – I umrzeć, jeśli będzie trzeba.

– W takim razie złożę ci oficjalną propozycję. Sam będziesz musiał zdecydować, czy to podstęp czy nie. Kasumi z rodu Shinzawai posłował w imieniu Światłości Niebios do Króla Midkemii z ofertą zawarcia pokoju. Co prawda Król odrzucił propozycję, lecz będzie wkrótce nowy władca, który jest gotów rozpocząć rokowania. Chciałbym, abyś się udał do Świętego Miasta, do Cesarza i przekazał mu, że książę Lyam chce pokoju. Czy zrobisz to?

Komendant zamyślił się głęboko.

– Jeżeli to, co powiedziałaś, jest prawdą, byłbym głupcem, gdybym nadal marnował życie moich ludzi. Jakich gwarancji jesteś gotów udzielić?

– Daję ci słowo honoru jako Wielki – jeśli to ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie – że wszystko, co ci powiedziałem, jest prawdą. Obiecuję ponadto, że wszyscy twoi żołnierze będą mogli bezpiecznie wrócić do doliny pod warunkiem złożenia uroczystej obietnicy, że na rok powrócą do Imperium. Ja sam pojedę z wami jako zakładnik aż do wejścia do doliny, do waszych linii. Czy to wystarczy?

Komendant rozważał w duchu odpowiedź, rozglądając się po swych przemęczonych, wygłodniałych i spragnionych żołnierzach.

– Zgadzam się, Wielki. Jeśli wolą Światłości Niebios jest zakończenie tej wojny, kimże ja jestem, abym miał ją przedłużyć?

– Oaxatucan zawsze byli znani ze swej wielkiej odwagi, a teraz ich mądrość czyni ich godnymi wielkich honorów.

Komendant skłonił się i odwrócił ku swoim żołnierzom.

– Przekażcie dalej. Wymarsz... do domu.

Wiadomość, że Cesarz zgadza się na zawarcie pokoju dotarła do obozu po czterech dniach. Pug wręczył Wataunowi wiadomość, którą tamten miał przenieść przez przetokę. Zwój został opatrzony czarną pieczęcią Zgromadzenia i nikt nie ośmieliłby się powstrzymać jego jak najszybszego dostarczenia do adresata. Pismo zostało skierowane do Fumity. Pug prosił go, by udał się do Świętego Miasta i powiadomił Cesarza, że nowy Król pragnie zawrzeć pokój i nie będzie żądał odszkodowań i reparacji wojennych.

Kiedy Pug odczytywał odpowiedź Cesarza, na twarzy Lyama pojawiło się wielkie wzruszenie. Sam Cesarz miał przejść za miesiąc przez służbę i podpisać formalny układ z Królestwem. Niewiele brakowało, a Pug rozplakałby się na głos, kiedy skończył czytać posłanie z Imperium. Wieść o tym, że wojna się skończyła, rozeszła się po obozie lotem błyskawicy. I po chwili całe wzgórze huczało od radosnych okrzyków.

Pug i Kulgan siedzieli w namiocie starszego maga. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat czuli się prawie jak za dawnych dobrych czasów. Pug kończył właśnie opowieść o systemie nauczania nowo przyjmowanych do akademii magii na Kelewanie.

– Pug – powiedział Kulgan, pykając solidnie z fajki. – Czy nie wydaje ci się, że teraz, kiedy wojna dobiegła końca, moglibyśmy się znowu zająć naszymi magicznymi sprawami?

Tylko że teraz role się odwróca, ty będziesz mistrzem, a ja studentem.

– Możemy się wiele nauczyć jeden od drugiego. Obawiam się jednak, że stare przyzwyczajenia z trudem ustępują pola. Chyba nigdy się nie przyzwyczaję do myśli, że mógłbyś być moim uczniem. A poza tym jest wiele rzeczy, które ty potrafisz, a ja ciągle nie.

– Naprawdę? – Kulgan zdziwił się. – Sądziłem, że twoja wielkość o niebo przewyższa moją prostą i skromną sztukę.

Pug poczuł się nagle zmieszany i niepewny jak za dawnych czasów, kiedy terminował u Kulgana.

– Ciągle się ze mnie nabijasz, Kulgan. Stary mag zaśmiał się donośnym głosem.

– Tylko troszeczkę, chłopcze. No cóż, zważywszy na mój podeszły wiek, ty jesteś wciąż chłopcem. Nie tak łatwo przejść do porządku nad tym, że mierny uczeń stał się niespodziewanie najpotężniejszym magiem w innym świecie.

– Masz rację, mierny to właściwe słowo... Z początku – chyba zdawałeś sobie z tego sprawę – chciałem zostać żołnierzem. No a potem, gdy wreszcie zdecydowałem się zabrać porządnie za naukę, nastąpiła inwazja Tsuranich. – Pug uśmiechnął się. – Wydaje mi się, że tego dnia, kiedy stałem samotnie na środku dziedzińca pod obstrzałem spojrzeń całego dworu Księcia, zrobiło ci się mnie po prostu żal, byłem przecież jedynym, który nie został powołany do służby.

– Masz rację, ale tylko częściowo, chociaż to ja przecież byłem pierwszym, który

wyczuł w tobie moc. Zdaje się, że miałem rację, bez względu na to, jak długi, zadziwiający i skomplikowany był łańcuch wydarzeń, który doprowadził twe wrodzone zdolności do wydania owocu. Pug westchnął.

– Zgromadzenie jest niczym, jeśli nie doprowadza do końca procesu nauki. Z chwilą wykrycia mocy u przyszłego adepta sztuki magicznej droga jest bardzo uproszczona. Wszystko sprowadza się do jednej alternatywy: całkowity sukces lub śmierć. Kiedy wszystkie inne myśli zostają ci zabrane, uczniowi nie pozostaje nic innego, jak poświęcić się studiowaniu magii. Gdyby nie to, nie wiem, czy byłbym w stanie cokolwiek osiągnąć.

– Chyba nie. Gdyby Tsurani nie nadeszli, przed tobą nadal rozciągałaby się długa i mozolna droga ku wielkości.

Siedzieli rozmawiając, nie mogąc się nacieszyć własnym towarzystwem.

Niepostrzeżenie zapadła ciemność. Zapalili ogień i dalej gawędzili. Po pewnym czasie do namiotu zajrzała Katala. Chciała się dowiedzieć, czy mąż będzie towarzyszył jej i synowi w czasie uczty, którą z okazji zakończenia wojny miał wydać król Lyam. Zajrzała po cichu do środka. Kulgan i Pug, nieświadomi tego, co działo się dookoła, pogrążeni byli bez reszty w rozmowie.

Na ustach dziewczyny pojawił się delikatny i pełen czułości uśmiech. Wycofała się bez szmeru i wróciła do syna.

## **PODSTĘPY**

Tomas obudził się gwałtownie.

Z czarnego jak atrament mroku przed świtaniem coś wołało do niego. Usiadł na posłaniu, wyteżając zmysły i starając się przypomnieć sobie, co go przebudziło.

Aglaranna poruszyła się obok przez sen. Od chwili pamiętnego sporu z Martinem o jeńców Tsuranich nie dręczyły go już przedziwne sny i napady ślepej wściekłości. Tomas nie

był już ani chłopcem z Crydee, ani Władcą Smoków, lecz zupełnie nową istotą, która łączyła w sobie cechy tamtych dwóch.

Aglaranna przebudziła się i powolnym, łagodnym ruchem położyła mu dłoń na ramieniu. Wyczuła, że był spokojny, mięśnie nie były napięte jak kiedyś, gdy walczył ze starożytnym koszmarem. Westchnęła z ulgą.

– Tomas, co się stało? Położył rękę na jej dłoni.

– Nie wiem, przed chwilą zdarzyło się coś dziwnego. – Siedział bez ruchu z lekko przekrzywioną głową, jakby czegoś nasłuchiwał. – Zmiana, może przesunięcie pewnego układu. Nie wiem dokładnie.

Królowa Elfów nie odezwała się ani słowem. Od kiedy została jego kochanką, zdołała się już przyzwyczać do wprost niezrównanej zdolności wyczuwania zdarzeń, które zachodziły zupełnie gdzie indziej, zdolności, której mogli mu pozazdrościć nawet najwięksi starożytni czarodzieje. Gdy odzyskał swoje człowieczeństwo, ta część spuścizny po Valheru – niezwykle uwrażliwiona świadomość – rozkwitła pełnym blaskiem. Królowa dumiała nad tym wielokrotnie, zastanawiając się i dziwiąc, a jednocześnie znajdując pociechę i uspokojenie w tym, że moce Valheru wyostrzyły się i stały się bardziej widoczne dopiero w momencie, kiedy na powrót stał się w pełni człowiekiem. Tak jakby jakaś tajemnicza siła celowo je przytępiała aż do chwili, gdy osiągnie mądrość i roztropność, które pozwolą mu właściwie je wykorzystać.

Tomas przestał nasłuchiwać.

– To coś na wschodzie, jakaś mieszanka wielkiej radości i wielkiego smutku. – Głos miał ochrypy ze wzruszenia. – Nasza epoka odchodzi w przeszłość, umiera.

Zsunął się z posłania i stanął wyprostowany. Mimo panującego mroku przenikliwy wzrok królowej Elfów dostrzegł potężne, prężące się mięśnie. Tomas stał w progu sypialni, patrząc na rozciągający się przed nim Elvandar i słuchając odgłosów nocy. Wszędzie panował



niezmacony spokój.

Cudowny zapach lasu, słodki i uderzający do głowy, mieszał się z delikatnymi woniami ziół i przypraw z wieczornej kolacji i świeżym zapachem pieczonego na ranny posiłek chleba. Echo niosło pośród drzew śpiew nocnych ptaków, którym zaczęli nieśmiało wtórować ich dzienni bracia. Daleko, poniżej wschodniego horyzontu słońce przygotowywało się, by rozpocząć nowy dzień. Chłodny, poranny wietrzyk dotykający nagiej skóry był jak pieszczota. Jeszcze nigdy w swoim młodym życiu Tomas nie czuł się tak wspaniale, nie przepełniała go dotąd taka harmonia i wewnętrzny spokój.

Ramiona Aglaranny objęły go w pasie. Poczul, jak przywiera do niego całym ciałem. Czul poprzez skóre bicie jej serca.

– Panie mój, miłości moja, czas wrócić do łóża. Obrócił się w jej objęciach, wyczuwając żar jej ciała na swoim.

– Jest tam coś... – Objął ją mocno, lecz delikatnie. – Jakby iskierka nadziei...

Poczul rosnące w sobie i w niej gwałtowne pożądanie.

– Och, gdybyż to była prawda. Spojrzał na jej twarz. Wyostrzone aż do bólu zmysły chłoneły jej widok.

– Nigdy nie trać nadziei, moja pani. Schylił się i zaczął ją całować namiętnie – cokolwiek go obudziło, szybko poszło w niepamięć.

Lyam siedział w milczeniu w swoim namiocie. Układał właśnie w myślach treść listu, który chciał przesłać do Crydee, kiedy wszedł wartownik i oznajmił przybycie Kulgana i Puga. Lyam powstał, chcąc ich powitać, a kiedy żołnierze wyszli, poprosił, aby usiedli.

– Bardzo mi brakuje waszej mądrości i doświadczenia. – Usiadł ciężko na krzesło i ręką wskazał rozłożone przed nim karty pergaminu. – Jeśli Arutha ma zdążyć na rozpoczęcie rokowań pokojowych, ten list musi być wysłany jeszcze dzisiaj. Ale, jak dobrze wiecie, pisanie

listów nigdy mi za dobrze nie szło, a poza tym przyznaję, że relacjonowanie wydarzeń ubiegłego tygodnia przychodzi mi z najwyższym trudem.

– Mogę spojrzeć? – spytał Kulgan, wskazując na list. Lyam dał przyzwolenie ruchem ręki. Mag wziął pergamin ze stołu i zaczął czytać.

– „Do mego ukochanego brata i siostry. Z najgłębszym smutkiem i żalem muszę wam donieść o śmierci ojca. Został śmiertelnie ranny w czasie wielkiej ofensywy Tsuranich, gdy prowadził przeciwnatarcie, chcąc uratować żołnierzy, którzy zostali okrążeni, głównie górali Hadati, z oddziałów pomocniczych garnizonu w Yabon. Jego poświęcenie i odwaga były tak wielkie, że już teraz Hadati śpiewają pieśni i opowiadają sagi ułożone ku jego czci. Odszedł z tego świata, myśląc o swoich dzieciach, a jego miłość ku nam była naprawdę wielka. Zmarł również Król i na mnie spadł obowiązek dowodzenia obiema armiami. Arutha, bardzo bym pragnął, byś do mnie przyjechała. Zbliżamy się do końca wojny i Cesarz gotów jest zawrzeć pokój. Za dwadzieścia dziewięć dni, w samo południe, mamy się spotkać w pomocnej dolinie Szarych Wież. Carline, weź statek i popłyń razem z Anitą do Kronodoru. Jest tam wiele do zrobienia, a poza tym księżnej Alicji dobrze zrobi towarzystwo córki. Zaraz po zawarciu pokoju dołączę do was z Aruthą. Z wyrazami miłości, dzieląc z wami smutek i ból, wasz kochający brat, Lyam”. Kulgan milczał przez chwilę.

– Myślałem – powiedział Lyam – że może mógłbyś dodać to i owo, aby list był bardziej elegancki?

– Wydaje mi się, że powiadomiłeś ich o śmierci ojca w sposób prosty i delikatny. To bardzo dobry list, Lyam. Lyam, zmieszany, poprawił się nerwowo w krześle.

– Tyle jeszcze trzeba napisać. Nic nie powiedziałem o Martinie.

Kulgan wziął pióro do ręki.

– Przepiszę to od nowa, wygląda na to, że miałeś jakieś kłopoty z piórem? –

Uśmiechnął się ciepło. – Pamiętam, że zawsze wolałeś miecz od pióra i pergaminu. Pod koniec dodam prośbę, żeby Martin udał się do Kronodoru razem z twoją siostrą. Sądzę, że Gardan i Fannon też mogliby się ruszyć i odbyć tę podróż. No i oczywiście kompania honorowa z zamkowego garnizonu, żeby oddać hołd tym, którzy tak dzielnie i wiernie służyli Crydee. Potem będziesz miał mnóstwo czasu, by zastanowić się, jak masz powiedzieć Martinowi to, co musisz mu przekazać.

Pug pokręcił ze smutkiem głową.

– Tak bardzo żałuję, że do tej listy nie można dodać imienia Rolanda. – Po przybyciu do obozu Pug dowiedział się o śmierci młodego szlachcica z Tulan. Kulgan opowiedział mu wszystko, co wiedział o wydarzeniach w Crydee i gdzie indziej, które w ciągu ostatnich kilku lat miały związek z jego przyjaciółmi.

– Ależ ze mnie głupiec! – krzyknął niespodziewanie Lyam. – Przecież Carline nie ma pojęcia o tym, że wróciłeś, Pug. Kulgan, musisz o tym koniecznie napisać.

– Mam nadzieję, że nie zareaguje na to zbyt gwałtownie, przecież minęło tyle lat...

Kulgan, napisz to delikatnie, żeby nie doznała szoku.

Kulgan zachichotał radośnie.

– Już bardziej bym się obawiał szoku, kiedy się dowie, że masz żonę i dziecko.

Wspomnienia z lat młodości i burzliwej znajomości z Księżniczką powróciły jak żywe.

– Hm... mam również nadzieję, że wyrosła z pewnych... poglądów, które miała dziewięć lat temu.

Po raz pierwszy od śmierci ojca Lyam, szczerze rozbawiony niewyraźną miną Puga, roześmiał się na cały głos.

– Nie martw się, Pug. Przez ten czas korespondowałem wiele z bratem i siostrą i wydaje

mi się, że Carline bardzo się zmieniła i dojrzała. To już nie ta sama smarkula, którą kiedyś znałeś. Teraz jest młodą kobietą. Pamiętaj, że kiedy się rozstaliście, miała piętnaście lat. Pomyśl tylko o zmianach, które w ciągu tych dziewięciu lat zaszły w tobie.

Pug pokiwał głową.

Kulgan skończył przepisywanie listu i podał go Lyamowi. Ten przeczytał go i podziękował.

– Dziękuję, Kulgan. Napisałeś dokładnie to, o co mi chodziło. Teraz brzmi to bardziej delikatnie.

Zasłona przy wejściu do namiotu odchyliła się gwałtownie i do środka wszedł Brucal. Jego stara, poorana zmarszczkami twarz promieniała szczęściem.

– Bas-Tyra uciekł!

– Jak? – zapytał zaskoczony Lyam. – Przecież nasi żołnierze są o co najmniej tydzień drogi od Krondoru, a może nawet dalej.

Stary Książę opadł ciężko na krzesło.

– W rzeczach Ryszarda z Saladoru, który padł w bitwie, odkryliśmy klatkę z gołębiami pocztowymi. Jeden z jego ludzi zawiadomił Guya o śmierci Ryszarda i o tym, że zostałeś mianowany następcą tronu. Przesłuchaliśmy go. Przyznał się, że był szpiegiem Bas-Tyry na dworze Ryszarda. Guy uciekł z miasta. Dobrze wie, że jednym z pierwszych zadań, które podejmiesz jako Król, będzie powieszenie tego psubrata. Podejrzewam, że zwiął prosto do Rillanonu.

– Wydawało mi się raczej, że to byłoby ostatnie miejsce na Midkemii, gdzie chciałby teraz przebywać – zdziwił się Kulgan.

– Cokolwiek by o nim powiedzieć, na pewno nie jest głupcem. Zszedł do podziemia, co do tego nie ma wątpliwości, lecz przekonacie się, że zanim wszystko się jakoś ułoży, od-

czujecie jeszcze na własnej skórze jego robótkę. Dopóki korona nie spocznie mocno na głowie Lyama, Guy jest nadal wielką potęgą w Królestwie.

Lyam, który przypomniał sobie nagle przedśmiertną deklarację ojca, zaniepokoił się, słysząc ostatnią uwagę. Od chwili upomnienia, by ani słowem nie wspominał o Martinie, wszyscy mówili tylko o koronacji Lyama, a nikt o możliwych roszczeniach do tronu ze strony Martina.

Lyam otrząsnął się z niewesołych myśli. Brucal mówił dalej.

– Tak czy siak, na razie, dopóki Guy zaszył się w mysiej dziurze, mamy trochę spokoju, a większość problemów za sobą. Wojna zbliża się do końca i wreszcie będziemy mogli się zabrać za dzieło odbudowy Królestwa. Muszę przyznać, że ja szczególnie się z tego raduję. Jestem już za stary na te wojenne i polityczne bzdury. Żałuję tylko, że nie mam syna, któremu mógłbym teraz wszystko przekazać i odejść na zasłużony odpoczynek.

Lyam przyglądał się Brucalowi z pełnym czułości niedowierzaniem.

– Ot, bajdurzysz byle co, stary wygo, przecież ty nigdy dobrowolnie nie schylišz karku przed losem. Jak cię znam, będziesz drapał i szarpał każdy centymetr życia aż do łoża śmierci, a do tego dnia jeszcze daleko, bardzo daleko.

– A kto mówi o umieraniu? – prychnął gniewnie Brucal. – Miałem na myśli, że mógłbym spokojnie polować z psami i sokołem, połowić trochę ryby i tak dalej. A poza tym, kto wie? Może przygniotłam sobie jeszcze jaką ładniutką dziewczuchę, taką powiedzmy siedemnaste- albo osiemnastolatkę, która wytrzyma ze mną, wyjdzie za mąż i urodzi syna? Jeśli tylko ten głupkowaty młodzik Vandros zbierze się w końcu w sobie i poślubi moją Felinah, ani się obejrzyście, jak szybko zostanie księciem Yabon, kiedy ja odejdę na zasłużony odpoczynek. Dlaczego zwleka? Nikt tego nie wie i on chyba też nie. – Podniósł się z trudem z krzesła. – Marzę o gorącej kąpieli i krótkiej drzemce przed kolacją. Pozwolisz, że cię opuszczę,

panie?

Lyam skinął głową. Kiedy Brucal wyszedł, zwrócił się do pozostałych.

– Chyba nigdy nie przyzwyczaję się do tego, że ludzie ciągle pytają o zgodę, czy mogą przyjść, odejść, usiąść i tak dalej.

Pug i Kulgan również wstali. Kulgan uśmiechnął się do Lyama.

– Lepiej się przyzwyczajaj, bo od tej chwili wszyscy będą o to pytali. Za waszym pozwoleniem...

Udając obrzydzenie, Lyam dał znak, że mogą odejść.

Rada zebrała się w pełnym składzie. Aglaranna zajęła miejsce na tronie. Poza zwykłymi członkami Rady obecny był również Martin, który stał obok Tomasa. Kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca, Aglaranna zabrała głos.

– Tathar, ty prosisz, by zwołać Radę. Przedstaw proszę sprawę, z którą przybyłeś.

Tathar skłonił się lekko przed Królową.

– My, członkowie Rady, uważamy, że nadszedł już czas na zrozumienie.

– Co takiego? – spytała z niedowierzaniem w głosie królowa Elfów.

– Bardzo długo trudziliśmy się nad tym, by doprowadzić sprawę Tomasa do

bezpiecznego i spokojnego końca. Wszyscy, jak tutaj jesteśmy, dobrze wiemy, że otoczyliśmy go naszą magią, by złagodzić szalejącą w nim burzę, wyciszyć moc Valheru tak, by młody, przemieniony przez nią człowiek nie dostał się na zawsze pod jej wpływy.

Stary Elf zamilkł na chwilę. Martin nachylił się ku Tomasowi.

– Hm... kłopoty.

Tomas zaskoczył go lekkim uśmiechem i mrugnięciem oka. Po raz kolejny Martin miał okazję przekonać się z ulgą, że władzą nad tym młodym człowiekiem dzielił się po równo wesoły chłopak, którego znał z Crydee, i Władca Smoków.

– Wszystko będzie w porządku – szepnął półgębkiem Tomas.  
– Doszliśmy do wniosku – ciągnął dalej Tamar – że dzieło to dobiegło szczęśliwego końca, ponieważ nie musimy się już dłużej obawiać Tomasa jako Starodawnego.  
– To rzeczywiście dobra nowina – powiedziała Aglaranna. – Czy jednak to właśnie było powodem zwołania Rady?

– Nie, pani. Musimy rozstrzygnąć jeszcze jedną kwestię. Bo chociaż, jak powiedziałem, nie obawiamy się już Tomasa, to jednak nie podporządkujemy się jego władzy.

Aglaranna zerwała się z miejsca z gniewnym marsem na twarzy.

– A któż ośmiela się tak twierdzić? Czy jest ktoś, kto choć jednym słowem napomknął, że Tomas pożąda władzy? Tathar bronił się twardo przed gniewem Królowej.

– Pani, patrzysz na wszystko zaślepiona miłością. – Zanim zdążyła odpowiedzieć, podniósł w górę rękę. – Nie rzucaj na mnie twardych słów, córo mego najstarszego przyjaciela, bo nie oskarżam cię. To, że dzieli z tobą łóżko, nie powinno interesować nikogo poza tobą samą. Nie mamy ci tego za złe. Nie możemy jednak przymykać oczu na to, że zyskał środek, dzięki któremu może rościć sobie prawa. Chcielibyśmy więc teraz raz na zawsze rozstrzygnąć tę istotną dla nas kwestię.

Aglaranna pobladła gwałtownie. Tomas wystąpił o krok do przodu.

– Jaki środek? – spytał rozkazującym tonem.

Tathar spojrział na niego zdziwiony.

– Nosi pod sercem twoje dziecko. Nie wiedziałeś? Tomasowi zabrakło słów. Szarpały nim sprzeczne emocje. Dziecko! Ale przecież nie powiedziano mu. Spojrział na Tathara.

– Skąd wiesz?

Tathar uśmiechnął się do niego z ojcowską wyrozumiałością.

– Stary jestem, Tomas. Potrafię dostrzec pewne oznaki. Tomas skierował wzrok na

Aglarannę.

– Czy to prawda? Skinęła głową.

– Nie chciałam ci mówić aż do chwili, kiedy nie można by już było dłużej ukryć prawdy.

Poczuł w sercu ukłucie niepewności i zwątpienia.

– Ale dlaczego?

– By ci oszczędzić zmartwień. Dopóki trwa wojna, nie powinienes sobie zaprzętać głowy niczym innym. Nie chciałam cię obciążać innymi myślami.

Tomas stał przez długą chwilę w ciszy, po czym odrzucił głowę do tyłu i ponad lasem przetoczył się gromki, radosny śmiech.

– Dziecko. Niech bogom będzie chwała! Tathar wpatrywał się uważnie w Tomasa.

– Czy żądasz tronu?

– O tak, Tathar, o tak – powiedział Tomasz z uśmiechem na twarzy.

Calin zabrał głos po raz pierwszy.

– Tomasz, to moje dziedzictwo. Jeśli chcesz je osiąść, będziesz musiał o nie walczyć ze mną. Tomasz uśmiechnął się ciepło do Calina.

– Synu mej ukochanej, nie skrzyżuję z tobą miecza.

– Jeśli pragniesz być naszym Królem, musisz. Tomasz podszedł spokojnym krokiem do Calina. Nigdy nie darzyli się zbyt wielkim uczuciem, ponieważ Calin o wiele bardziej niż inni obawiał się potencjalnego zagrożenia, jakie osoba Tomasa stwarzała wobec jego ludu. Młody Elf był gotów, gdyby zaszła potrzeba, stanąć do walki na śmierć i życie.

Tomas położył rękę na jego ramieniu i głęboko popatrzył mu w oczy.

– Ty jesteś następcą. Nie miałem na myśli zostania waszym Królem. – Cofnął się o krok

i zwrócił się do całego Zgromadzenia. – Jestem tym, kim jestem, i kogo widzicie stojącego



przed wami, istotą o dwóch dziedzictwach. Posiadłem moc Valheru, chociaż się z nią nie narodziłem, a umysł mój przechowuje wspomnienia z czasów, które już dawno obróciły się w pył. Pamiętam jednak również me chłopięce lata, potrafię odczuwać radość, śmiać się i cieszyć się delikatnym dotykiem kochanki. – Spojrzał na królową Elfów. – Żądam jedynie prawa zasiadania u boku mej Królowej, z waszym błogosławieństwem, jako małżonek. Przyjmę jedynie tę władzę, którą ona albo wy będziecie gotowi mi przyznać, nic więcej. Jeżeli zdecydujecie, że nie otrzymam żadnej, i tak pozostanę u jej boku. – Potem z mocą w głosie dodał jeszcze: – Nie ustąpię wszakże z jednym: prawa dziedziczne naszego dziecka nie zostaną w niczym ograniczone ze względu na jego nieprawne pochodzenie.

Pośród zebranych dał się słyszeć szmer uznania. Tomas stanął przed Aglaranną.

– Pani, czy przyjmiesz mnie jako swego męża? – zapytał w starożytnym języku Elfów.

Aglaranną siedziała z błyszczącymi oczami. Spojrzała na Tathara.

– Tak. Czy jest ktoś, kto chciałby mi zabronić tego prawa? Tamar rozejrzał się po innych doradcach Królowej. Nie widząc sprzeciwu, obrócił się w stronę Królowej.

– Zgoda została udzielona, pani.

Pośród zebranych Elfów podniosły się radosne okrzyki aprobujące decyzję Królowej i Tomasa. Wkrótce dookoła zaczęły się gromadzić coraz większe tłumy zwabione niecodziennym ruchem i wrzawą w czasie obrad Rady. Nowo przybyli po usłyszeniu radosnej wiadomości włączali się do ogólnej wesołości, wiwatując i śmiejąc się. Wszyscy dobrze wiedzieli o wielkiej miłości, jaką Królowa darzyła wojownika w złocisto-białej zbroi, i uznali, że jest on godny tego, by zostać jej mężem.

– Tomas, jesteś roztropny i mądry jak Elfy – powiedział Calin. – Gdybyś postąpił inaczej, mogłoby się to stać źródłem niesnasek i niepokojów lub w najlepszym razie powodem poważnych i długotrwałych wątpliwości. Przyjmij wyrazy podziękowania za wielką rozwagę.

Tomas uchwycił mocno wyciągniętą ku niemu dłoń.

– Nie mogłem postąpić inaczej, Calin. Twoje prawa do tronu nie ulegają najmniejszej wątpliwości. Kiedy wasza Królowa i ja udamy się w podróż na Błogosławione Wyspy, nasze dziecko będzie twoim lojalnym poddanym.

Aglaranną podeszła do Tomasa. Martin przyłączył się do nich.

– Życzę wam radości i szczęścia we wszystkim. Tomas najpierw objął mocno przyjaciela, a potem Królową. Calin krzyknął donośnie, prosząc o ciszę. Kiedy wrzawa i śmiechy ucichły, zabrał głos.

– Czas na jasną i prostą mowę. Niech wszystkim będzie wiadomo, że to, co było powszechnie znane od wielu lat, zyskało teraz oficjalne potwierdzenie. Tomas zostaje wojennym przywódcą Elfów i księżęcym małżonkiem Królowej. Jego słowom mają być posłuszni wszyscy, wyjąwszy Królową. Powiedziałem to ja, Calin.

– I ja, Tathar, również potwierdzam prawdziwość tych faktów – dołączył jak echo stary Elf. Po tych słowach członkowie Rady skłonili się przed Królową i jej przyszłym mężem.

– Dobrze się składa, że kiedy opuszczam Elvandar, powraca do niego pokój i szczęście.

– Opuszczasz nas? – spytała Aglaranną.

– Obawiam się, że muszę. Wojna nadal trwa, a ja jestem ciągle wielkim łowczym

Crydee. A poza tym – dodał z szelmowskim uśmiechem – boję się, że młodemu Garretowi coraz bardziej odpowiada leniuchowanie i korzystanie z waszej hojności i gościnności. Muszę go trochę przegnać po szlaku, zanim się spacie jak wieprz.

– Ale na ślubie będziesz, prawda? – spytał Tomas. Kiedy Martin zaczął się usprawiedliwiać i przeproszać, Aglaranną przerwała mu.

– Ceremonia może się odbyć nawet jutro. Martin zgodził się.

– Jeżeli chodzi tylko o jeden dzień, to z przyjemnością zostanę.

Niespodziewanie rozległ się czyjś donośny okrzyk. Obejrzeli się. Przez tłum przepychał się Dolgan. Po chwili przywódca Krasnoludów stanął przed nimi.

– Nie zostaliśmy co prawda zaproszeni do udziału w Radzie, ale kiedy usłyszeliśmy okrzyki, ciekawość zwyciężyła i oto jesteśmy. – Za jego plecami widać było, że zbliżają się następne krępe postacie.

Tomas położył dłoń na ramieniu Dolgana.

– Witam cię, stary towarzyszu. Dobrze, że jesteś z nami. Przybyliście na uroczystości.

Jutro odbędzie się ślub. Krasnolud uśmiechnął się do nich porozumiewawczo.

– To dobrze, dobrze... bo też i czas ku temu był już najwyższy...

Jeździec popędził konia obok linii Tsuranich. W dalszym ciągu czuł się nieswojo widząc, jak nieprzebrane tłumy udają się na wschód. Niedawni wrogowie patrzyli za jeźdźcem galopującym w stronę Elvandaru z lekkim niepokojem i czujnością.

Laurie powstrzymał konia w pobliżu wystającej skały, gdzie oficer Tsuranich w czarno

- pomarańczowej zbroi nadzorował pochód swoich żołnierzy. Sądząc po insygniach i barwach, był to co najmniej dowódca armii, który stał w otoczeniu licznych dowódców uderzenia i dowódców patroli. Laurie zbliżył się do głównodowodzącego.

– Gdzie znajduje się najbliższy bród przez rzekę? Pozostali oficerowie spojrzeli na niego podejrzliwie. Nawet jeśli dowódca armii zdziwił się, kiedy barbarzyńca zwrócił się do nich prawie bezbłędnie w języku Tsuranich, nie dał tego poznać po sobie, zachowując kamienną twarz. Skinął głową w kierunku, skąd nadchodzili jego żołnierze.

– To blisko stąd. Niecała godzina marszu. A na twojej bestii z pewnością znacznie mniej. Bród oznaczony jest dwoma wielkimi drzewami po obu stronach polany, powyżej niewielkiego wodospadu.

Laurie bez trudu rozpoznał barwy rodowe dowódcy, ponieważ należał on do jednej z

pięciu wielkich rodzin.

– Dziękuję, dowódcu armii. Wyrazy szacunku i honor dla twego domu, synu

Minwanabi.

Dowódca wyprostował się. Nie wiedział oczywiście, kim jest jeździec, ale zachował się uprzejmie, a na uprzejmość trzeba odpowiedzieć tym samym.

– Honor i szacunek dla twego domu, nieznajomy.

Laurie pojechał stępą wzdłuż kolumny przygnębionych żołnierzy Tsuranich, wlokących się noga za nogą brzegiem rzeki. Odnalazł bez trudu polankę powyżej niewielkiego wodospadu i wjechał w wodę. Chociaż prąd w tym miejscu był bystry, jednak udało mu się dotrzeć na drugi brzeg bez specjalnych przeszkód. Poczuł na twarzy pył wodny, który podmuchy wiatru unosiły w górę rzeki. Po długiej i męczącej jeździe chłodne kropelki przynosiły ulgę i przyjemny chłód. Siedział w siodle od wczesnych godzin poranka, wyruszył bowiem w drogę jeszcze przed świtem, a miał dotrzeć do celu dopiero po zapadnięciu zmroku. Powinien się wtedy znaleźć na tyle blisko Elvandar, by napotkać przednie straże Elfów. Był pewien, że z zainteresowaniem będą obserwowały z ukrycia odwrót Tsuranich, i miał nadzieję, że jeden z nich zaprowadzi go do ich Królowej.

Ponieważ sądzono, że posłaniec może uniknąć wielu niepotrzebnych kłopotów, jeśli będzie znał język Tsuranich, Laurie zgłosił się na ochotnika, by zanieść wiadomość. Jak się okazało, pomysł był dobry, ponieważ w czasie podróży został trzykrotnie zatrzymany. Za każdym razem, dzięki znajomości mowy Tsuranich, udało mu się dogadać z podejrzliwymi oficerami, wyjaśniając szczegółowo cel swojej jazdy. Niby oficjalnie obowiązywało zawieszenie broni, lecz obie strony nie darzyły się jeszcze zbyt wielkim zaufaniem.

Kiedy rzeka zniknęła za jego plecami, Laurie zsiadł z konia, by dać mu chwilę wytchnienia. Prowadził wierzchowca powoli, by ten ochłonał. Po pewnym czasie zatrzymał

się, zdjął siodło i zaczął wycierać boki konia ostrowłosą szczotką, którą wyjął z podróżnej sakwy. W pewnej chwili spomiędzy drzew wyłoniła się bezszelestnie jakaś postać. Laurie przestraszył się nie na żarty, bo nie był to Elf, lecz ciemnowłosa mężczyzna o siwiejących skroniach, ubrany w brązową, długą szatę. W ręku trzymał potężny kostur. Nie spiesząc się, spokojnym krokiem podszedł do trubadura. Zatrzymał się o metr przed nim i wsparł na lasce.

– Witaj, Laurie z Tyr-Sog.

Nieznajomy zachowywał się dziwnie. Laurie nie mógł sobie przypomnieć, żeby go kiedyś spotkał.

– Czy znam ciebie?

– Nie, lecz ty nie jesteś mi obcy, trubadurze. Laurie krok po kroku przesuwał się w stronę siodła, gdzie leżał miecz. Nieznajomy uśmiechnął się lekko i przesunął ręką w powietrzu. W tej samej chwili Lauriego zlała fala spokoju i pewności. Zatrzymał się natychmiast, zapominając zupełnie o mieczu. Kimkolwiek jest ten mężczyzna, z pewnością nie jest niebezpieczny, pomyślał w duchu.

– Co cię sprowadza do puszczy Elfów, Laurie? Nie zdając sobie sprawy, dlaczego tak czyni, Laurie odpowiedział szczerze:

– Niosę wiadomość dla królowej Elfów.

– Co masz jej przekazać?

– Że Lyam został następcą tronu i że znowu zapanował pokój. Lyam zaprasza Elfy i Krasnoludy do doliny, gdzie za trzy tygodnie zostanie podpisany pokój.

Nieznajomy pokiwał powoli głową.

– Aha. Idę właśnie do królowej Elfów. Powtórzę jej wiadomość. Ty z pewnością masz wiele do roboty i lepiej potrafisz wykorzystać twój czas.

Laurie zaczął protestować, lecz przerwał po chwili. Dlaczego miałby podróżować aż do

samego Elvandaru, skoro nieznajomy i tak tam idzie? Strata czasu.

Kiwnął głową na zgodę. Mężczyzna zachichotał pod nosem.

– A może byś rozbił tu obóz na noc? Już późno i jesteś zmęczony. Słyszysz ten kojący szmer wody? A poza tym niewykluczone, że spadnie deszcz, spójrz tylko, jakie ciemne chmury nadciągają. Jutro wrócisz do Księcia i powiesz mu, że zaniósłeś wiadomość do Elvandaru.

Rozmawiałeś z Królową i Tomaszem i oboje spełnią jego życzenie. Krasnoludy z Kamiennej Góry też się o tym dowiedzą. Powiesz Lyamowi, że Elfy i Krasnoludy przybędą. Może być spokojny, przybędą na pewno.

Laurie kiwnął głową. To, co mówił nieznajomy, brzmiało bardzo sensownie.

Mężczyzna obrócił się, by ruszyć w dalszą drogę.

– Aha... jeszcze jedno, chyba będzie lepiej, jeśli nie wspomnisz nikomu o naszym spotkaniu.

Laurie nic nie odpowiedział, lecz zgodził się bez wahania. Kiedy postać w brunatnej szacie skryła się między drzewami, Laurie poczuł ogromną ulgę i szczęście, że oto wraca już z Elvandaru, a wiadomość dotarła bez przeszkód do adresata.

Ceremonia odbyła się na zacisznej polanie, gdzie w obecności Tamara Aglaranna i Tomas wymienili słowa przysięgi małżeńskiej. Poza tą trójką, zgodnie z tradycją Elfów, w czasie składania ślubów nie było nikogo. Tathar pomodlił się o błogosławieństwo bogów i pouczył oboje o obowiązkach, jakie mają wobec siebie.

Po zakończeniu obrzędu Tathar zwrócił się do nich:

– No, a teraz wracajcie do Elvandaru. Czas na zabawę i ucztę. Sprawiliście swemu ludowi wielką radość, moja Królowo i Książę.

Powstali z klęczek i objęli się mocno. Po chwili Tomas odsunął się trochę od żony.

– Do końca życia będę pamiętał ten dzień, ukochana. Zrobił jeszcze krok, przyłożył

dłonie do ust i w starożytniej mowie Elfów krzyknął na całe gardło:

– Belegroch! Belegroch! Przybądź do nas. Rozległ się tętent galopujących koni. Po chwili na polanie pojawiło się niewielkie stado białych koni, które podbiegły ku nim i stanęły dęba, pozdrawiając królową Elfów i jej małżonka. Tomas jednym susem wskoczył na grzbiet najbliższego stojącego. Rumak Elfów stał spokojnie.

– Tomas, nie mogłeś znaleźć lepszego sposobu, by udowodnić, że teraz stanowisz z nami jedno – powiedział Tathar.

Aglaranna i stary Elf dosiedli koni i wszyscy razem pojechali z powrotem do Elvandar. Kiedy ich oczom ukazało się leśne miasto, ponad drzewa wzbił się radosny, gromki okrzyk zgromadzonych Elfów. Widok Królowej i jej księcia małżonka jadącego na rumaku Elfów był dla nich, jak powiedział Tamar, ostatecznym potwierdzeniem miejsca Tomasa w Elvandarze.

Uczta trwała przez wiele godzin. W czasie jej trwania Tomas zaobserwował z radością, że jego szczęście dzielili z nim wszyscy. By potwierdzić oficjalnie rangę Tomasa, do sali obrad przyniesiono drugi tron i teraz Aglaranna siedziała koło niego. Każdy Elf, który nie miał służby i nie śledził ruchów obcych z Kelewanu, stawał przed parą nowożeńców, przysięgając wierność i posłuszeństwo oraz błogosławiąc ich związek. Krasnoludy również pojawiły się z gratulacjami, by po chwili, po złożeniu życzeń, dołączyć całym sercem do uczujących, napełniając polany Elvandar hałaśliwym śpiewem.

Zabawa trwała do późnych godzin nocnych. W pewnej chwili Tomas zeszywniał. Poczł, jakby go przeszył podmuch lodowatego wiatru. Aglaranna wyczuła natychmiast zmianę nastroju męża i chwyciła go z całej siły za ramię.

– Mężu, co się stało?

Wzrok Tomasa był utkwiony daleko w przestrzeń.

– Coś dziwnego jak wtedy, w nocy... nadzieja, ale pomieszana ze smutkiem.

Nagle u stóp Elvandaru, na skraju ogromnej polany rozległ się krzyk. Przedarł się poprzez gwar uczujących, ale nikt nie rozumiał, o co chodzi. Tomas wstał i razem z Aglaranna podeszli do brzegu ogromnej platformy. Spojrzał w dół. Niżej stał zwiadowca Elfów, dysząc ciężko.

– Co się stało? – krzyknął Tomas.

– Panie, obcy wycofują się.

Tomas stanął jak wryty. Te proste słowa odczuł jak cios zadany obuchem między oczy.

Jego umysł nie potrafił przyjąć i ogarnąć myśli, że po tylu latach nieustannych walk Tsurani mogą się po prostu wycofać. Otrząsnął się z dziwnych myśli.

– Co robią? Zmieniają szyk?

– Nie. – Zwiadowca pokręcił głową. – Nie przegrupowują się. Poruszają się spokojnie i powoli. Ich żołnierze są jacyś przygnębieni. Zwijają obozy wzdłuż całej rzeki Crydee i ruszają na wschód.

Na uniesionej ku górze twarzy zwiadowcy malowało się uczucie niedowierzania i zdziwienia pomieszanego z radosnym oczekiwaniem i pewnością. Rozejrzał się po zebranych, a potem powiedział zwyczajnie:

– Wycofują się na dobre.

Wokół buchnął okrzyk dzikiej radości. Wiele Elfów nie kryło łez – wyglądało na to, że wojna skończyła się wreszcie. Tomas obrócił się ku żonie. Po jej policzkach płynęły łzy. Objęła go mocno i przez chwilę stali w milczeniu. Po pewnym czasie świeżo upieczony książę małżonek odwrócił się do Calina.

– Wyślij natychmiast zwiadowców. Niech śledzą każdy ich krok. To może być tylko podstęp.



– Czy rzeczywiście ich podejrzewasz, Tomas? – spytała Aglaranna. Pokręcił głową.

– Chcę się jedynie upewnić, lecz coś wewnątrz mówi mi, że to naprawdę koniec wojny.

Musiałem wtedy odczuwać nadzieję na pokój pomieszaną ze smutkiem z porażki...

Dotknęła delikatnie jego policzka. Uśmiechnął się i powiedział:

– Wyślę szybkobiegaczy do głównego obozu wojsk Królestwa i zapytam księcia

Borrica o wieści z pierwszej ręki.

– Jeśli to rzeczywiście pokój, on sam nas powiadomi.

– Rzeczywiście. – Popatrzył na nią uważnie. – Masz rację. Spokojnie poczekamy. –

Wpatrywał się czułością w twarz żony, kobiety, która chodziła po tym świecie już kilkaset lat, a wciąż była tak piękna, jak właśnie rozkwitająca ku pełnej kobiecości, młoda dziewczyna.

– Na zawsze zapamiętam ten dzień, dzień podwójnie szczęśliwy.

Ani Tomas, ani Aglaranna nie zdziwili się, kiedy ujrzeli niespodziewanie w Elvandarze czarnoksiężnika. Po jego pierwszej wizycie przestali się dziwić czemukolwiek, co miało z nim jakikolwiek związek. Bez zbędnych ceregieli i zapowiadania swego przybycia wysunął się nagle niespodzianie spomiędzy drzew na obrzeżach polany i ruszył w stronę drzewnego miasta.

Kiedy Macros pojawił się przed Królową i Tomasem, zgromadził się już cały dwór Królowej, nie wyłączając Martina.

Skłonił się lekko.

– Pozdrowienia, pani, dla ciebie i twego małżonka.

– Witaj, Czarny Macrosie – odpowiedziała Królowa. – Czy przybyłeś, aby wyjawić nam tajemnicę wycofania się obcych?

Macros wsparł się jak zwykle na swoim kosturze i skinął głową.

– Przynoszę wam wieści. – Mówił powoli, jakby dobierał uważnie każde słowo. –

Powinniście wiedzieć, że zarówno Król, jak i książę Crydee, Borric, nie żyją. Następcą tronu

został Lyam.

Tomas spojrział na Martina, który stał obok. Wielki Łowczy pobladł nagle jak płótno, jakby z jego twarzy odpłynęła cała krew. Opanował się co prawda i stał nieporuszenie jak posąg, lecz Tomas był pewien, że wiadomość poruszyła go do głębi. Tomas zwrócił się do Macrosa.

– Nie znałem Króla, lecz Księżę był wspaniałym i prawym człowiekiem. Wielka szkoda...

Macros podszedł do Martina, który obserwował go uważnie. Chociaż nigdy się nie spotkali, Martin wiedział o sławie, jaką się cieszył, z opowiadań Aruthy o spotkaniu na wyspie i relacji Tomasa o jego interwencji w czasie ataku Tsuranich na Elvandar.

– Ty, Martinie Długi Łuk, masz natychmiast udać się do Crydee. Razem z księżniczką Carline i Anitą popłyniecie na statku do Krondoru. – Martin chciał coś odpowiedzieć, lecz Macros wznosił rękę do góry i cały dwór jakby wstrzymał nagle oddech. Macros nachylił się lekko ku Marcinowi i szeptem dorzucił: – W ostatniej chwili swego życia twój ojciec wymówił z miłością twe imię. – Opuścił rękę i wszystko znowu było tak, jak poprzednio.

Martin był zupełnie spokojny, nie czuł lęku. Odwrotnie, po słowach maga ogarnęła go niespodziewanie fala ulgi i odprężenia. Wiedział, że nikt poza nim nie zdawał sobie sprawy z sensu słów czarodzieja.

Macros zwrócił się ponownie do całego dworu.

– No, a teraz czas na coś weselszego. Wojna się skończyła. Lyam i Ichindar spotykają się za dwadzieścia dni, by podpisać traktat pokojowy.

Dworzanie wzniesli radosny okrzyk, a po chwili szczęśliwa wiadomość została przekazana Elfom na niższych poziomach miasta. Po kilku minutach echo poniosło pomiędzy niebotycznymi drzewami gromkie wiwaty i okrzyki radości. Na platformie znowu pojawił się

Dolgan, trąc z zapamiętaniem zaspane oczy.

– A cóż to? Kolejne uroczystości bez nas? Wystarczy, że na chwilę się zdrzemnę, a już... Jeszcze trochę, a pomyślę sobie, że nie jesteśmy mile widzianymi gośćmi.

Tomas zaśmiał się głośno.

– Nic z tych rzeczy, Dolgan. Ruszaj czym prędzej po swoich braci i dołączcie do nas.

Razem będziemy świętowali. Wojna skończyła się!

Dolgan wyciągnął fajkę i wysypał grudkę nie dopalonego tytoniu, którą strącił nogą poza krawędź platformy.

– Nareszcie – powiedział, rozchylając kapciuch z tytoniem. Odwrócił się bokiem, jakby był bez reszty pochłonięty nabijaniem fajki, a Tomas udał, że nie dostrzega, jak po rumianych policzkach wodza Krasnoludów spływają łzy.

Arutha siedział samotny na tronie swego ojca w wielkiej sali zamkowej. W rękę trzymał list od brata, który przeczytał już kilka razy, nie mogąc się pogodzić z myślą, że ojciec rzeczywiście odszedł na zawsze. Siedział pochylony i było mu ciężko na sercu.

Carline przyjęła wiadomość o śmierci ojca nadspodziewanie dobrze, zaszła się tylko na długi czas w kącie swego ogrodu, aby być sam na sam ze swoimi myślami.

Przez głowę młodego Księcia przelatywały tysiące myśli. Przypominał sobie, jak po raz pierwszy został zabrany przez ojca na polowanie, a także inną sytuację, kiedy wrócił z łowów u boku Martina, a potem słuchał, pękając z dumy i szczęścia, jak ojciec gratuluje mu sporego byka, którego ustrzelił. Jak przez mgłę pamiętał ból i płacz, kiedy dowiedział się o śmierci matki, lecz było to dawno i czas ukoił już cierpienie. Niespodziewanie przypomniał sobie, jak ojciec rozgniewał się strasznie podczas wizyty w pałacu królewskim, i westchnął ciężko. – Przynajmniej – powiedział sam do siebie – prawie wszystko, o czym marzyłeś, spełniło się, ojcze. Rodric odszedł na zawsze, a Guy popadł w niełaskę.

– Arutha? – rozległ się nagle głos z przeciwnego końca sali.

Książę podniósł wzrok. Z cienia przy wejściu wyszła Anita. Jej stopy obute w miękkie pantofelki stąpały bezszelestnie po kamiennej posadzce.

Zatopiony w myślach nie zauważył w ogóle, kiedy weszła. Nadchodzący wieczór pogрузił ogromną salę w mroku i dziewczyna przyniosła lampę.

– Paziowie nie chcieli ci przeszkadzać, ale ja nie mogłam znieść myśli, że siedzisz tu samotnie i w ciemności.

Arutha ucieszył się bardzo na jej widok i poczuł ulgę. Anita, młoda, wyjątkowo rozsądna, a jednocześnie delikatna w obejściu, była pierwszą ze znanych Arucie osób, która potrafiła przedrzeć się przez zewnętrzną powłokę spokoju i ironicznego poczucia humoru i dostrzec prawdziwy, nie zafałszowany pozorami obraz jego wnętrza. Nie tylko wyczuwała i rozumiała jego nastroje o wiele lepiej niż ci, którzy znali go od dzieciennych lat, lecz potrafiła też właściwie dobranym słowem rozweselić go i pocieszyć.

Nie czekając, aż jej odpowie, mówiła dalej: – Słyszałam już, Arutha. Strasznie mi przykro.

Arutha uśmiechnął się.

– Jeszcze nie ukoił się ból po śmierci twego ojca, a już dzielisz mój własny. Jesteś bardzo dobra...

Wiadomość o śmierci Erlanda dotarła tydzień wcześniej, gdy przyłynął statek z Krondoru. Anita pokręciła głową, aż miękkie, rude włosy zafalowały gwałtownie wokół twarzy.

– Ojciec chorował ciężko od wielu, wielu lat. Dobrze nas przygotował na swoją śmierć. Właściwie, kiedy został wtrącony do lochu, byliśmy niemal pewni, że to już koniec. Wiedziałam o tym, kiedy wyjeżdżałam z Krondoru.

– Ale udowodniłaś, że potrafisz walczyć ze słabością. Mam nadzieję, że również będę potrafił zapanować nad bólem i cierpieniem... Jest tak wiele do zrobienia.

– Myślę, że będziesz wspaniałym władcą w Krondorze, Arutha – powiedziała miękko. – Ty w Krondorze, a Lyam w Rillanonie.

– Ja? W Krondorze? Staralem się, jak mogłem, by o tym nie myśleć.

Anita siedziała u jego boku, zajmując tron, na którym Carline towarzyszyła swemu ojcu w czasie oficjalnych spotkań. Wyciągnęła dłoń i położyła ją na ręce Aruthy, spoczywającej na oparciu tronu.

– Musisz. Po Lyamie ty jesteś następcą, a księżę Krondoru to tytuł przysługujący oficjalnie następcy tronu. Tylko ty możesz tam objąć władzę, nikt inny.

Arutha wyglądał na nieszczęśliwego i zagubionego.

– Anita, zawsze myślałem, że pewnego dnia zostanę Księciem w jakimś pomniejszym zamku albo oficerem armii któregoś z baronów pogranicza. Ani przez myśl mi nie przeszło, że będę rządził... Nawet nie jestem pewien, czy chcę być księciem Crydee, a co dopiero Krondoru. A poza tym jestem pewien, że Lyam się ożeni. Odkąd pamiętam, wpadał dziewczynom w oko. Szczególnie teraz, kiedy jako Król będzie mógł wybierać do woli. Gdy urodzi się mu syn, on może zostać księciem Krondoru.

Anita pokręciła energicznie głową.

– Nie, Arutha. Jest zbyt wiele do zrobienia, i to teraz, bez dalszej zwłoki. Zachodnie Królestwo potrzebuje silnej ręki, twojej ręki. Kolejny Wicekról nie zdoła zdobyć zaufania, ponieważ każdy z panów zacznie natychmiast podejrzewać tego, który byłby mianowany na to stanowisko. To musisz być ty!

Arutha przypatrywał się uważnie młodej kobiecie. W ciągu tych pięciu miesięcy, które spędziła w Crydee, zaczęło mu bardzo na niej zależeć, chociaż nie potrafił wyrazić swych

uczuć. Kiedy byli razem, najczęściej gubił się i nie wiedział, co powiedzieć. Anita zmieniała się z dnia na dzień. Coraz mniej w niej było niedojrzałej dziewczyny, a coraz więcej wspaniałej, pięknej kobiety. Ciągle jednak była bardzo młoda, co sprawiało, że czuł się nieswojo. Kiedy toczyła się wojna, starał się nie myśleć o planach ich ojców co do ewentualnego małżeństwa, wyjawionych pamiętnej nocy na pokładzie Rączego Konia. Teraz jednak, kiedy pokój był już już, Arutha stanął nagle z tym problemem twarzą w twarz.

– Anita, zgadzam się, że to, co mówisz, może być prawdą, ale nie zapominaj, że ty masz również prawo do tronu. Przecież sama mówiłaś o planach twego ojca, który poprzez nasze małżeństwo chciał wzmocnić twoje roszczenia wobec tronu w Krondorze.

Spojrzała na niego ogromnymi, zielonymi oczami.

– Ten plan był po to, by pokrzyżować ambicje Guya. Miał wzmocnić pozycję twego ojca lub brata na wypadek, gdyby Rodric umarł bezdzietnie. Nie musisz się czuć tym związany...

– Gdybym rzeczywiście przeniósł się do Krondoru, co ty zrobisz?

– Matka i ja posiadamy inne majątki. Jestem przekonana, że całkiem nieźle będziemy mogły żyć z dochodów, które przynoszą.

Dusząc w sobie narastające emocje, Arutha zmusił się, by mówić powoli i spokojnie.

– Nie miałem właściwie czasu, by się nad tym poważniej zastanowić. W czasie ostatniego pobytu w Krondorze przekonałem się na własnej skórze, jak mało wiem o miastach, a przecież o sprawowaniu władzy, rządzeniu i tak dalej wiem jeszcze mniej. Ciebie przygotowywano do takich zadań. Ja... ja byłem tylko drugim synem. Mam spore luki w wykształceniu.

– Tutaj i w Krondorze jest wielu świątłych ludzi, którzy z pewnością będą ci gotowi służyć pomocą i radą. Ty masz zdrowy rozsądek i trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość. Do-

strzegasz z łatwością to, co musi być zrobione, a także masz odwagę, by za to się zabrać.

Wstała, nachyliła się ku niemu i pocałowała lekko w policzek.

– Nadszedł czas, byś się poważnie zastanowił i zdecydował, w jaki sposób najlepiej będziesz mógł wesprzeć swego brata. Mogę ci doradzić tylko jedno, abyś się starał, by ten nowy obowiązek i odpowiedzialność nie przygniotły cię i nie smuciły.

– Spróbuję. Ale czułbym się znacznie lepiej i pewniej, gdybym wiedział, że ty i twoja matka jesteście w pobliżu – dorzucił pośpiesznie.

Uśmiechnęła się do niego ciepło.

– Będziemy pod ręką, gdybyś potrzebował rady, Arutha. Najprawdopodobniej przeniesiemy się do majątku na wzgórzach otaczających Kronдор, tylko kilka godzin konnej jazdy z pałacu. Kronдор jest jedynym domem, jaki miałam, a matka mieszkała tam od wczesnych lat dzieciennych. Jeżeli będziesz chciał się z nami zobaczyć, wystarczy, że zażadasz, a my z radością pojawimy się na dworze. A gdybyś z kolei chciał chwili wytchnienia od obowiązków, zawsze będziesz mile widzianym gościem w naszym domu.

Arutha uśmiechnął się do dziewczyny.

– Coś mi mówi, że będę bardzo częstym gościem, i mam nadzieję, że nie będę z czasem traktowany jak uprzykrzona mucha.

– Nigdy, Arutha.

Tomas stał samotnie na platformie, obserwując poprzez gałęzie rozgwieżdżone niebo.

Wyostrzone zmysły Elfa powiedziały mu, że za nim ktoś się pojawił. Skinął głową, witając czarodzieja.

– Przeżyłem zaledwie dwadzieścia pięć lat na tym świecie, Macros, lecz w sercu dźwigam wspomnienia wieków. Przez całe swoje dorosłe życie prowadziłem wojny. To wszystko wydaje się jak sen.

– Lepiej nie zmieniamy tego snu w koszmar senny, Tomas.

Tomas spojrział z uwagą na maga.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Przez dobrą chwilę Macros nie odezwał się ani słowem. Tomas cierpliwie czekał. Po długim milczeniu Macros zabrał głos.

– Widzisz, Tomas, jest jeszcze jedna rzecz, którą trzeba koniecznie zrobić. Na ciebie spada obowiązek definitywnego zakończenia wojny.

– Nie podoba mi się to, co mówisz, Macros. Przecież sam powiedziałaś, że wojna się skończyła.

– W dniu spotkania Lyama i Cesarza musisz zgromadzić Elfy i Krasnoludy na zachodnim krańcu doliny. Kiedy monarchowie spotkają się na środku, wtedy dojdzie do zdrady.

– Jaka zdrada? – Na twarzy Tomasa pojawił się gniew.

– Nie mogę więcej powiedzieć ponad to, że kiedy Ichindar i Lyam zasiądą do stołu rokowań, musisz zaatakować Tsuranich wszystkimi swoimi siłami. Tylko w ten sposób można ocalić Midkemię przed całkowitym unicestwieniem.

Tomas spojrział na niego podejrzliwie.

– Prosisz o bardzo wiele jak na kogoś, kto sam nie chce dać więcej.

Macros wyprostował się, dzierżąc swą laskę jak władca berło.

Ciemne oczy zwięziły się w szparki, a brwi zmarszczyły się nad haczykowatym nosem.

Mówił spokojnym głosem, lecz czuło się, że we wnętrzu aż gotuje się z gniewu. Nawet Tomas poczuł, jak po grzbiecie przeszły mu ciarki.

– Więcej! – powiedział ostrym jak brzytwa głosem. – Otrzymałeś ode mnie wszystko,

Valheru! Znalazłeś się tutaj jedynie dzięki moim wieloletnim działaniom. Przygotowaniom na



twoje przyjście poświęciłem większą część życia niż twoje całe. Gdybym nie pokonał Rhuagha, a potem nie zaprzyjaźnił się z nim, nie wyszedłbyś żywy z chodników kopalń Mac Mordain Cadal. To ja byłem tym, który przygotował zbroję i miecz Ashen-Shugara, zostawiając je razem z młotem Tholina i darami dla smoka, byś ty, całe wieki później, mógł je tam odnaleźć. To ja postawiłem twe stopy na tej drodze. Gdybym dawno temu nie przyszedł ci z pomocą, Elvandar już dawno obróciłby się w zgliszcza i popioły. Czy naprawdę sądzisz, że Tathar i inni czarodzieje Elvandaru byli jedynymi, którzy trudzili się dla twojego dobra i na twoją rzecz? Bez mego wsparcia i pomocy w ciągu tych ostatnich dziewięciu lat dary smoka już dawno by cię zniszczyły. Żadna zwykła ludzka istota nie byłaby w stanie oprzeć się tak starodawnej i potężnej magii bez interwencji i pomocy, której jedynie ja byłem w stanie udzielić. Kiedy zostałeś porwany w przeszłość i opanowany przez nawiedzające cię sny, to ja doprowadziłem cię z powrotem do teraźniejszości, to ja przywróciłem ci zdrowe zmysły. – Głos czarnoksiężnika potężniał z każdą chwilą. – To ja obdarzyłem cię mocą, byś mógł wpłynąć na Ashen-Shugara i przekonać go! Byłeś moim narzędziem! – Tomas cofnął się przed narastającą, lecz kontrolowaną furią maga. – Nie, Tomas, rzeczywiście, ja nie dałem ci dużo. Ja ci dałem wszystko!

Po raz pierwszy od chwili przywdziania zbroi w Mac Mordain Cadal Tomas poczuł strach. Wszystkie zmysły, każda, najmniejsza cząsteczka jego ciała, krzyczały przerażone tym, jak wielką moc posiadał czarnoksiężnik. Zdał sobie nagle sprawę, że Macros, gdyby tylko chciał, mógłby go jednym ruchem ręki zmieść z powierzchni świata jak uprzykrzoną muchę. – Kim jesteś? – spytał cichym, lekko drżącym głosem, starając się zapanować nad strachem.

Gniew Macroosa wyparował nagle jak kamfora. Czarnoksiężnik wsparł się ponownie na lasce. W tej samej chwili uleciały nie tylko wszystkie obawy Tomasa, lecz również wszelkie

wspomnienie o nich. Macros zachichotał pod nosem.

– Zapominam się czasami. Przepraszam. – Spoważniał ponownie. – Nie żądam tego od ciebie, Tomas, jako wyrazu wdzięczności. Uczyniłem, co uczyniłem i nic mi nie jesteś winien. Wiedz wszakże jedno: zarówno stworzenie zwane Ashen-Shugar, jak i chłopca zwanego Tomaszem łączyła wspólna cecha – wielka i trwała miłość do tego świata. Każdy z nich kochał go na swój własny, niezrozumiały dla drugiego sposób, równie niepojęty, jak i samo uczucie. Ty posiadasz oba aspekty owej miłości ziemi: rządzę Valheru, by bronić i sprawować pełnię władzy, oraz wewnętrzną potrzebę chłopaka z zamku, by opiekować się i dbać o nią. Gdybyś jednak zawiódł i nie wykonał zadania, które przed tobą postawiłem, gdybyś się zawahał i nie podjął właściwej decyzji, kiedy nadejdzie pełnia czasu, to musisz wiedzieć i zdawać sobie sprawę ze straszliwych tego konsekwencji. Świat, na którym teraz się znajdujemy, zostanie zgubiony, zgubiony tym razem na zawsze. Prawdę swoich słów potwierdzam najświętszą i najbardziej uroczystą przysięgą.

– Zatem uczynię, jak kazałeś. Macros uśmiechnął się.

– Idź więc na razie do swej żony, księżę małżonku Elvandaru, lecz gdy nadejdzie właściwy moment, zwołaj swoją armię. Udam się teraz do Kamiennej Góry, ponieważ Harthom i jego żołnierze dołączą do ciebie. Potrzebny jest każdy miecz i topór wojenny.

– Czy poznają cię?

Macros spojrzał Tomasowi w oczy.

– Z pewnością, z pewnością, Tomasie z Elvandaru. Nigdy nie powątpiewaj...

– Zbiorę całą potęgę Elvandaru. – W głosie Tomasa pojawiła się ponura nuta. – I na zawsze położymy kres tej wojnie.

Macros machnął kosturem i rozpląnął się w powietrzu. Tomas stał długo samotnie, starając się zwalczyć obawę, która zagościła na nowo w jego sercu, że ta wojna będzie trwała

zawsze.

# ZDRADA

Armie stanęły naprzeciw siebie.

Stare wiarusy mierzyły się nieufnie wzrokiem ponad otwartą przestrzenią doliny. Nie potrafili jeszcze stać spokojnie oko w oko z wrogiem, z którym walczyli zajadle przez dziewięć lat, czy nawet dłużej. W skład każdej ze stron wchodziły ponad tysiąc-osobowe kompanie honorowe reprezentujące szlachejne rody z Królestwa i klany z Imperium. Ostatnie jednostki inwazyjnej armii Tsuranich przekraczały właśnie granicę między dwoma światami, wracając do domu, do Kelewanu, zostawiając za sobą jedynie honorową asystę Cesarza. Armia Królewska rozłożyła się obozem na dwóch przełęczach prowadzących do doliny i miała tu pozostać aż do chwili sfinalizowania traktatu pokojowego. Świeżo zrodzone zaufanie rosło ostrożnie i bardzo powoli.

Po królewskiej stronie doliny Lyam czekał na przybycie Cesarza, siedząc na białym rumaku bojowym. W pobliżu, w wyczyszczonych i wypolerowanych do błysku pancerzach, czekali konno panowie Królestwa. Towarzyszyli im dowódcy milicji straży miejskich Wolnych Miast oraz oddział Strażników Natalskich.

Po drugiej stronie rozległ się donośny dźwięk trąb oznajmiających przybycie Cesarza.

Po chwili z szarości przetoki wyłoniła się grupa towarzyszących mu osób, która pod łopoczącymi na wietrze sztandarami Imperium, ruszyła w kierunku czoła kontyngentu Tsuranich.

Czekając na herolda Tsuranich, który szedł spokojnym krokiem przez dzielącą obu monarchów kilkusetmetrową przestrzeń, książę Lyam odwrócił się, by przyjrzeć się otaczającym go jeźdźcom. Pug, Kulgan, Meecham oraz Laurie dzięki swoim zasługom dla Królestwa zajmowali honorowe miejsca. W pobliżu znajdowali się również książę Vandros i kilku innych oficerów, którzy wyróżnili się w czasie wojny. Tuż obok Lyama na przestępującym nerwowo z nogi na nogę, wielkim, bojowym kasztanowatym ogierze siedział

Arutha.

Pug również rozglądał się dookoła. Widząc tyle symbolicznych znaków dwóch potężnych narodów, z których losem był tak ściśle związany, czuł zawrót głowy. Po drugiej stronie doliny dostrzegał sztandary potężnych, doskonale mu znanych rodów Cesarstwa: Keda, Oaxatucan, Minwanabi i wiele, wiele innych. Za plecami łopotały w podmuchach bryzy flagi i proporce Królestwa, wszystkich Księstw od Crydee na zachodzie, po Ran na wschodzie. Kulgan dostrzegł zamyślane spojrzenie swego byłego ucznia i szturchnął go lekko w ramię długą laską, którą trzymał w ręku.

– Wszystko w porządku?

– Tak, nic mi nie jest. Po prostu przez chwilę dałem się opanować atmosferze... trochę wspomnieniom. Dzisiejszy dzień wydaje mi się trochę dziwny... nie uważasz? Obie strony w czasie wojny były zażartymi wrogami, a jednak ja związany jestem równie silnie z jedną, jak i drugą krainą. Odkrywam stopniowo, że są we mnie pokłady uczuć, do których jeszcze nie dotarłem.

Kulgan uśmiechnął się.

– Będziesz miał dużo czasu na introspekcję... później. Być może Tully i ja będziemy ci mogli służyć pomocą w tym zakresie. – Stary kapłan, nie chcąc stracić okazji uczestniczenia w podpisywaniu traktatu pokojowego, towarzyszył Arucie w czasie morderczej jazdy.

Czternaście dni spędzonych w siodle odcisnęło jednak swe piętno i teraz Tully, złożony boleścią, leżał w namiocie Lyama. Mimo to kapłan tak się wyrywał z łóżka, by towarzyszyć grupie królewskiej, że tylko wyraźny rozkaz Lyama zmusił go do pozostania w namiocie.

Posel Tsuranich stanął przed Lyamem. Skłonił się nisko, po czym zaczął przemawiać w swoim języku. Pug podjechał bliżej, by tłumaczyć.

– Jego Cesarska Wysokość, Ichindar, dziewięćdziesiąty pierwszy Cesarz, Światłość

Niebios, władca wszystkich narodów Tsuranuanni, przesyła pozdrowienia swemu bratu w Królestwie, Jego Najwyższej Królewskiej Wysokości, księciu Lyamowi, władcy ziem zwanych Królestwem i zapytuje, czy Księżę zechce przyjąć jego zaproszenie, by spotkać się na środku doliny?

– Przekaż swemu panu – odpowiedział Lyam – że dziękując za jego pozdrowienia, przesyłam własne oraz że z przyjemnością spotkam się z nim we wskazanym miejscu. – Pug przetłumaczył wypowiedź Lyama, dodając odpowiednie a niezbędne ozdobniki i formalności Tsuranich. Herold skłonił się nisko i powrócił do swych szeregów.

Cesarska lektyka ruszyła do przodu. Lyam dał znak, by towarzyszyła mu wyznaczona uprzednio eskorta, i także ruszył w kierunku środka doliny. Pug, Kulgan i Laurie towarzyszyli władcy, Meecham został razem z żołnierzami.

Jeźdźcy Królestwa pierwsi dotarli na miejsce i czekali spokojnie, aż orszak Cesarza dołączy do nich. Lektykę niosło dwudziestu niewolników dobranych idealnie pod względem wzrostu i wyglądu. Potężne mięśnie napinały się z wysiłkiem pod wielkim ciężarem inkrustowanej złotem lektyki. Białe, delikatne jak pajęczyna i ozdobione drogimi kamieniami wielkiej wartości i piękności firanki wisiały na wykładanych złotem drewnianych wspornikach. Drogocenne klejnoty i metal chwytały jasne promienie słońca, iskrząc się świetliście.

Tuż za lektyką maszerowali przedstawiciele najpotężniejszych rodów Imperium, komendanci wojenni klanów. Było ich pięciu, po jednym z każdego pięciu rodów, które wybierały spośród siebie Wodza Wojny.

Opuszczono delikatnie lektykę na ziemię i Ichindar, Cesarz narodów Tsuranuanni, wyszedł na zewnątrz. Miał na sobie złocistą zbroję o bezcennej, według standardów Tsuranich, wartości. Na głowie nosił henn z grzebieniastym czubem, także wykonany ze złota. Podszedł

do Lyama, który zsiadł z konia, by go powitać. Pug, który miał tłumaczyć, podszedł i stanął z boku przy obu władcach. Cesarz skłonił krótko głowę w jego stronę.

Lyam i Ichindar przyglądali się sobie uważnie i obaj zdawali się zdumieni młodością drugiego. Ichindar był zaledwie trzy lata starszy od nowego następcy tronu.

Lyam powitał Cesarza wyrazami przyjaźni i nadzieją pokoju. Ichindar odpowiedział w podobnym duchu. Następnie Światłość Niebios zbliżył się i wyciągnął prawą rękę.

– Jak rozumiem, taki u was panuje zwyczaj? Lyam wziął dłoń Cesarza w swoją.

Napięcie nagle opadło i po obu stronach doliny wzniosły się w niebo radosne okrzyki. Obaj młodzi monarchowie uśmiechali się i potrzęsali mocno i energicznie za ręce.

– Niech gest ten stanie się dla obu naszych narodów zaczątkiem trwałego pokoju.

– Co prawda pokój to nowa rzecz dla Tsuranuanni, lecz mam nadzieję, iż szybko się nauczymy. Ze względu na moje działania w łonie Wysokiej Rady nastąpił rozłam. Mam nadzieję, że handel oraz dobrobyt zyskany dzięki temu, że się będziemy wzajemnie od siebie uczyli, pojedna przeciwne frakcje.

– To również moje życzenie. By upamiętnić rozejm i pokój, przygotowałem dla Waszej Wysokości podarek. – Dał znak ręką i spoza linii królewskich oddziałów wybiegł truchtem żołnierz, prowadząc na lince pięknego, karego konia bojowego. Czarne siodło było wysadzane złotem, a z kuli zwieszał się szeroki miecz z rękojeścią i pochwą wysadzanymi drogimi kamieniami.

Ichindar spoglądał na wierzchowca z lekkim sceptycyzmem, lecz kiedy ujrzał kunsztownie wykonany miecz, oczy zaświeciły mu się ze zdumienia i zachwytu. Ważył miecz w dłoni przez kilka chwil i przyglądał mu się z uwagą. – Wielki mi czynisz honor, książę Lyam. Ichindar odwrócił się do jednego z członków swojej eskorty, który z kolei zarządził, by przyniesiono bliżej skrzynię. Dwóch niewolników postawiło ją przed Cesarzem. Skrzynia

została wykonana z rzeźbionego drewna ngaggi, które lśniło pięknym, głębokim blaskiem. Wokół wizerunków zwierząt i roślin Tsuranich biegł skomplikowany wzór hieroglifów. Rzeźby były prawdziwym dziełem sztuki. Każdy detal był kunsztownie podbarwiony jaśniejszymi i ciemniejszymi odcieniami sprawiając, iż płaskorzeźba wyglądała jak żywa. Skrzynia sama w sobie stanowiła wspaniałą i piękny podarunek, lecz kiedy podniesiono jej wieko, w promieniach słońca zaśnił cudownym blaskiem stos drogocennych kamieni, z których żaden nie był mniejszy niż kciuk mężczyzny.

– Na forum Wysokiej Rady miałbym trudności z usprawiedliwieniem wypłaty odszkodowań wojennych, ponieważ moja pozycja u jej członków nie jest w tym momencie najlepsza, lecz podarunkowi upamiętniającemu podobną jak dzisiejsza okazję nie mogą się sprzeciwić. Mam nadzieję. Książę, że klejnoty te pomogą zadośćuczynić w pewnym stopniu zniszczeniom, których dokonał mój naród.

Lyam skłonił się lekko.

– Jesteś hojny, panie. Pozwól, że podziękuję ci w imieniu Midkemii. Czy zechcesz towarzyszyć mi i spożyć ze mną lekki posiłek? – Cesarz skinął głową. Lyam dał znak, by wzniesiono namiot. Kilkunastu żołnierzy przygalopowało do nich i zeskoczyło z koni. Kilku przywiozło tyczki, inni bele materiału. W krótkim czasie wzniesiono przestronny namiot o otwartych bokach. Ustawiono stoły i krzesła. Jeszcze inni żołnierze sprawnie ustawiali na stołach wino i jedzenie.

Pug przyciągnął duży, wyłożony poduszkami fotel dla Cesarza, a Arutha przysunął identyczny dla brata. Obaj władcy zasiedli przy stole.

– Ten fotel jest znacznie wygodniejszy niż mój własny tron – powiedział Ichindar. – Muszę sobie sprawić poduszki.

Puchary napełniono winem i Lyam i Cesarz wzniesli kolejno toasty za swoje zdrowie.



Kolejny toast, w którym uczestniczyli wszyscy zebrani, wzniesiono za pokój.

Ichindar zwrócił się do Puga.

– Wszystko wskazuje na to, Wielki, że obecne spotkanie bardziej wyjdzie na zdrowie zebranym niż to, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

Pug skłonił się.

– Mam taką nadzieję. Wasza Cesarska Mość. Liczę, że uzyskałem przebaczenie za zakłócenie Cesarskiego Turnieju. Cesarz zmarszczył brwi.

– Zakłócenie? To było raczej bliższe totalnej destrukcji.

Podczas gdy Pug tłumaczył pozostałym wypowiedź Ichindara, ten uśmiechał się smutno.

– Wielki wprowadził do mojego Imperium wiele nowinek. Obawiam się, że nawet długo po tym, jak jego imię zostanie zapomniane, ciągle będziemy mieli do czynienia ze skutkami jego pomysłów i dzieł. No tak, ale to należy do przeszłości. Skoncentrujmy się lepiej na przyszłości.

Podczas gdy obaj monarchowie rozpoczęli dyskusję o tym, jak najlepiej ułożyć przyszłe stosunki pomiędzy dwoma światami, honorowi goście obu stron stali wokół, przysłuchując się rozmowom.

Tomas obserwował uważnie namiot na środku doliny. Calin i Dolgan czekali po obu stronach. Za nimi stała w pogotowiu ponad dwutysięczna armia Krasnoludów i Elfów.

Wkroczyły do doliny Pomocną Przełęczą, posuwając się wzdłuż oddziałów Armii Królewskich. Obeszły następnie dolinę, by zebrać się w lasach na jej zachodnim skraju, skąd miały doskonały widok na przebieg wydarzeń.

Tomas odwrócił się do swych towarzyszy.

– Nie dostrzegam nic, co mogłoby świadczyć o zdradzie czy jakichś podstępnych

knowaniach.

Podszedł do nich inny Krasnolud, Harthom z Kamiennej Góry.

– Słusznie mówicie, wodzu Elfów. Wszystko wygląda spokojnie... tylko to ostrzeżenie czarnoksiężnika...

Nie skończył, bo oto nagle ponad równiną zadrgało powietrze, jakby obraz, który mieli przed oczami, zaczął rozplýwać się i migotać zarazem. Po chwili spostrzegli, że żołnierze Tsuranich dobywają broni.

Tomas odwrócił się do zgromadzonych z tym.

– Gotuj się!

Do namiotu podjechał żołnierz Królestwa. Dostojnicy Tsuranich obrzucili go nieufnym spojrzeniem. Do tej pory jedynymi żołnierzami, którzy znaleźli się w pobliżu namiotu, byli ci, którzy usługiwali przy stole.

– Wasza Wysokość! – krzyknął. – Dzieje się coś dziwnego.

– Co? – zapytał Lyam zaniepokojony poruszeniem posłańca.

– Z naszych pozycji widać jakieś postacie w lasach po zachodniej stronie.

Lyam powstał i przysłonił oczy dłonią. W pobliżu drzew rzeczywiście widać było sylwetki. Lyam odczekał chwilę, aż Pug przetłumaczy Cesarzowi ostatnie wypowiedzi.

– To chyba Krasnoludy i Elfy. – Zwrócił się do Ichindara. – Wysłałem wiadomość do królowej Elfów i wodzów Krasnoludów o zawarciu pokoju. Pewnie się zbliżają.

Cesarz podszedł do Lyama i przyglądał się odległemu lasowi.

– To dlaczego pozostają między drzewami? Dlaczego się ukrywają?

Lyam skinął na jeźdźca.

– Pojedź do tych w lesie i poproś ich, by dołączyli do nas. Żołnierz ruszył z kopyta.

Kiedy był w połowie drogi dzielącej go od lasu, spomiędzy drzew wysypały się na zielono

ubrane Elfy i Krasnoludy w zbrojach. Pędziły w ich stronę. Powietrze wypełniło się zawołaniami i okrzykami wojennymi. Ichindar patrzył zmieszany na zbliżający się tłum nie wiedząc, co począć. Kilku jego towarzyszy dobyło broni. Od linii Tsuranich oderwał się pojedynczy żołnierz i podbiegł do namiotu.

– Wasza Wysokość, jesteśmy zgubieni! To zasadzka! Wszyscy Tsurani, jak jeden mąż, wyciągnęli broń i cofnęli się.

– To tak paktujecie o pokój? – krzyczał Ichindar. – Z jednej strony usta wypowiadające przysięgi i zobowiązania, a z drugiej, za plecami, podstępne knowania i zdrada?

Chociaż Lyam nie rozumiał jego słów, to jednak ton wypowiedzi wszystko wyjaśniał.

Chwycił mocno Puga za ramię.

– Powiedz mu, że nic o tym nie wiem! Pug nadaremnie starał się przekrzyczeć rosnącą wrzawę. Moźnowładcy Tsuranich cofali się, otaczając ciasnym kręgiem Światłość Niebios.

Zastępy Tsuranich pędziły na pomoc Cesarzowi.

Lyam dostrzegł nadbiegających żołnierzy Tsuranich. Ponad wrzawą wzniósł się jego krzyk.

– Do tyłu! Do tyłu! Wracać na nasze linie! – Midkemianie szybko dosiadali koni.

Pug usłyszał nagle głos Ichindara.

– Ty zdrajco! Pokazałeś wreszcie swoją prawdziwą naturę! Tsuranuanni nigdy nie będzie rokować z pozbawionymi honoru i czci. Zetrzemy wasze Królestwo na proch!

Elfy i Krasnoludy starły się z żołnierzami Tsuranich. Zewsząd rozlegały się odgłosy walki. Lyam i jego towarzysze pocwałowali ku swoim oddziałom, które czekały na znak, by włączyć się do walki. Lyam ściągnął gwałtownie wodze rumaka i zatrzymał się. Książę Brucal podbiegł do niego.

– Ruszamy na nich, Wasza Wysokość? Lyam pokręcił przecząco głową.

– Nie, nie będę przykładał ręki do zdrady.

Odwrócił się i przyglądał rozgrywającej się przed jego oczami scenie. Elfy i

Krasnoludy spychały systematycznie Tsuranich w stronę konstrukcji śluzy. Cesarz i jego gwardia krążyli dookoła, starając się unikać rejonu walk, utrzymując tysięcosobowy oddział honorowej asysty między atakującymi a sobą. W mgiełce przetoki co i raz pojawiali się gońcy.

Po chwili spomiędzy tyczek maszyny runęła fala żołnierzy Tsuranich. Ruszali natychmiast w bój. Gnąca się i pękająca linia obrony Tsuranich zatrzymała się w miejscu, by po chwili zacząć spychać Elfy i Krasnoludy.

Arutha podjechał do Lyama.

– Lyam! Musimy atakować. Nie widzisz, co się dzieje? Krasnoludy i Elfy wkrótce ulegną. Po drugiej stronie śluzy, tylko o krok od nas, jest ponad dziesięć tysięcy żołnierzy wroga. Jeśli naprawę chcesz zakończyć kiedyś tę przekłętą wojnę, musimy przechwycić i utrzymać tę maszynę w naszych rękach.

Pug przepchnął się z koniem do drugiego boku wierzchowca Lyama.

– Lyam! – krzyknął. – Musimy zrobić tak, jak mówi Arutha.

Młodym następcą tronu nadal szarpały wątpliwości. Pug krzyczał coraz głośniej:

– Zrozum! Przez te dziewięć lat miałeś do czynienia jedynie z częścią potęgi Imperium.

Na naszych ziemiach przebywali jedynie żołnierze należący do klanów Partii Wojny. Aż do dzisiaj miałeś wielu ukrytych sprzymierzeńców, którzy blokowali ostateczną wyprawę przeciwko Królestwu. Przed chwilą zdrada rozwścieczyła tego jednego, który może zażądać bezwzględnego posłuszeństwa ze strony wszystkich klanów Imperium. Ichindar może rozkazać wszystkim klanom Kelewanu, by ruszyły na wojnę!

Nigdy nie miałeś do czynienia z więcej niż trzydziestoma tysiącami żołnierzy na

wszystkich frontach. Do jutra trzydzieści tysięcy może zalać tę dolinę. Za tydzień ich liczba się

podwoi. Lyam, nie zdajesz sobie sprawy, jak potężna jest jego siła. W ciągu roku może wysłać przeciwko nam milion żołnierzy i tysiąc magów! Musisz działać! Natychmiast!

Lyam siedział sztywno wyprostowany. Na jego twarzy malowały się sprzeczne, bolesne uczucia.

– Czy możesz nam pomóc?

– Mogę spróbować, jeżeli uda wam się otworzyć dla mnie wolne przejście ku machinie, lecz nie wiem, czy będę potrafił zamknąć śluzę. To prawda, władam wieloma innymi mocami, lecz nawet jeżeli uda mi się pokonać moje uwarunkowania i będę w stanie sprzeciwić się Imperium... nawet jeśli wytracę wszystkich żołnierzy Tsuranich w dolinie, to i tak nie na wiele się to przyda, bo o parę kroków stąd czekają kolejne, nieprzebrane rzesze.

Lyam skinął krótko głową i zwrócił się do Aruthy.

– Wyślij natychmiast jeźdźców ku Pomocnej i Południowej Przełęczy. Powołaj wszystkie Armie Królestwa pod broń. – Arutha obrócił konia na tylnych nogach. Wydał głośno rozkazy i po chwili ku obu przełęczom pomknęli jeźdźcy.

Lyam zwrócił się do Puga.

– Jeśli potrafisz nam pomóc, zrób to, lecz masz poczekać, aż droga będzie wolna i bezpieczna. Jesteś jedynym mistrzem wielkiej sztuki magicznej w naszym świecie. – Wskazał ręką na Lauriego, Meechama i Kulgana. – Oni też mają się trzymać z dala od walki. To nie ich sprawa. Jeśli nam się nie powiedzie, użyj swojej mocy i sztuki, by powrócić do Krondoru.

Carline i Anita muszą być przewiezione na wschód, do stryjecznego dziadka Caldrica, ponieważ Ziemię Zachodu z pewnością będą zdobyte przez Tsuranich. – Wyciągnął miecz i dał rozkaz ataku.

Tysiąc jeźdźców ruszyło powolutku do przodu – ruchoma ściana stali z każdą chwilą poruszała się szybciej i szybciej. Czuwający nad porządkiem oficerowie wykrzykiwali rozkazy

i tysiąc konnych pędziło jak jeden mąż. Lyam stanął w strzemionach i wskazując na Tsuranich, dał sygnał do ataku. Równy szereg jeźdźców przyspieszył raptownie i załamał się. Każdy pędził już teraz na własną rękę. Tsurani usłyszeli tętent nadciągającej kawalerii i wielu z nich wycofało się z walki z Elfami i Krasnoludami, by utworzyć obronny wał z tarcz. Pug, Laurie, Meecham i Kulgan patrzyli zafascynowani, jak ruchoma ściana jazdy zderza się z prowizoryczną linią obrony przeciwnika. Rozległy się okrzyki ludzi i przeraźliwy kwik koni. Włócznie gięły się i pękały z trzaskiem. Linia tarcz załamała się w kilku miejscach, tam gdzie obrońcy padli martwi na ziemię. Szybko jednak zostali zastąpieni przez tylne szeregi i pierwszy atak sił królewskich został odparty. Lyam przegrupował swoje oddziały i błyskawicznie zaatakował ponownie. Tym razem zdołał się przedrzeć przez linię tarczowników.

Pug spostrzegł, jak prawe skrzydło Tsuranich załamuje się i zwija pod naporem konnicy. Środek ich linii, gdzie stał sam Cesarz, wprowadzając porządek i zagrzewając ludzi do boju, wytrzymał. Nawet z tej odległości Pug widział, jak wielmoże Tsuranich usiłują nakłonić Cesarza do ucieczki.

Cesarz stał wyprostowany z wyciągniętym mieczem, głośno wydając rozkazy.

Odmówił opuszczenia pola walki i swoich żołnierzy. Ustawił oddziały ciasnym kręgiem wokół maszyny słuzy, by inni mogli z Kelewanu wrócić do doliny. Obejrzał się. Z przejścia wysypywały się kolejne zastępy. Wkrótce powinno być ich wystarczająco wiele, by pokonać niewielkie siły Królestwa.

Poczuł, jak ziemia drży lekko pod stopami. Nagle jeden z panów wskazał coś za plecami Ichindara. Cesarz obejrzał się. Spomiędzy drzew na pomocnym skraju doliny wypadali jeźdźcy. Całe setki. Kawaleria z północy pierwsza odpowiedziała na wezwanie Lyama. Cesarz skierował nowo przybyłych żołnierzy na pomocny odcinek, by odparli nowe niebezpieczeństwo.

Z lewej strony dobiegł ich donośny okrzyk. Odwrócili się w tym kierunku. Gigantyczny wojownik w złocie i bieli wyrąbywał pośród Tsuranich korytarz, dążąc wprost ku Światłości Niebios. Wszyscy możnowładcy Tsuranich rzucili się w jego stronę, by przeciąć mu drogę. Dowódca jednego z klanów stojący w pobliżu Cesarza rzucił się biegiem w jego stronę.

– Wasza Wysokość, musisz natychmiast uciekać. Nie utrzymamy się długo. Jeśli zginiesz, Imperium zabraknie serca i bogowie odwrócą się od nas.

Ichindar próbował się przeciągnąć koło niego, rwąc się do walki. Ogromny, biało-złocisty wojownik zważył na ziemię kolejnego wielmożę Tsuranich. Był coraz bliżej.

– Niebios, wybaczenie mi – zawołał oficer i uderzył Cesarza odwróconym na płask mieczem w tył głowy. Ichindar osunął się bezwładnie na ziemię. Oficer zawołał kilku żołnierzy, by przenieśli Cesarza przez służę.

– Cesarz zemdłał! Zabierzcie go w bezpieczne miejsce! – Nie pytając o nic, żołnierze dźwignęli bezwładne ciało najwyższego wodza i ponieśli je szybko w stronę służy.

Obok dowódcy armii pojawił się inny, niższy rangą.

– Panie, wszyscy wielmoże zginęli! – krzyczał. Dowódca obejrzał się za siebie. Garstka żołnierzy zastąpiła mu drogę, usiłując go powstrzymać po tym, jak wybił wszystkich starszych rangą komendantów klanów towarzyszących Cesarzowi. Dowódca armii spojrzał za siebie.

Żołnierze niosący Ichindara znikali właśnie w świetlistej mgiełce przejścia. Cesarz był bezpieczny! Z tamtej strony nadbiegali następni żołnierze. Nie było czasu do stracenia.

Odwrócił się do swego podwładnego.

– Przejmuję dowództwo! Jesteś moim zastępcą. Pchnij więcej ludzi na północny odcinek!

Oficer popędził, by przegrupować na północny odcinek obrony świeże oddziały. W tej samej chwili wściekłym galopem wjechała w ich pozycje konnica z Północnej Przełęczy.

Atakujący z północy wbili się w Tsuranich z donośnym trzaskiem. Pośpiesznie

wzniesiona ściana tarcz zachwiała się, lecz jednak wytrzymała napór przeciwnika. Dowódca obrzucił wzrokiem pozostałe odcinki, modląc się w duchu, by również wytrzymały, aż nadejdą posiłki.

Pug i jego trzech towarzysze patrzyli, jak jazda z północy uderza z impetem w mur tarcz.

Włócznie pękały, konie, rżąc przeraźliwie, waliły się na ziemię. Tratowano rannych. Żywy mur wytrzymał jednak i wojska królewskie wycofały się, by przegrupować się i ponowić atak.

Oddziały Lyama powoli spychano w tył. Księżę zarządził odwrót, by skoordynować swój atak

z jazdą z pomocy. Na zachodzie Elfy i Krasnoludy pod wodzą Tomasa przemieszały się z

Tsuraniami i sprawiały im najwięcej kłopotów, chociaż i oni spychani byli powoli do tyłu.

Gdy jazda wycofała się, Tsurani zwrócili się przeciwko Elfom i Krasnoludom.

Żołnierze, którzy do tej pory tworzyli obronny mur z tarcz na pomocy i południu, ruszyli z pomocą towarzyszom na zachodniej flance.

Meecham z uwagą obserwował ich manewry.

– Jeśli Elfy natychmiast się nie wycofają, Tsurani dobiorą im się do skóry. – Jakby

usłyszano jego przestrożę, walka na zachodnim odcinku ucichła nagle. Elfy i Krasnoludy, pod osłoną łuczników Elfów, wycofywały się pośpiesznie.

Kulgan podszedł bliżej do Puga.

– Ta krótka przerwa wzmocni Tsuranich. – Przez przejście między tyczkami wlewała

się kolejna fala oddziałów przeciwnika. – Jeśli Lyamowi nie uda się przedrzeć do maszyny w następnym ataku, Tsurani okrzepną bardzo, a my odwrotnie... nasze szansę będą ciągle malały.

– Jedyna możliwość, by ich zatrzymać i zakorkować przejście, to ustawić wokół

wejścia śluzę łuczników. Stały ostrzał do wnętrza, na drugą stronę, powinien zatrzymać ich

wystarczająco długo, by można było wznieść jakąś zaporę po tej stronie. A potem może uda się



unieruchomić przetokę na dobre.

Do rozmowy włączył się Laurie.

– Czy nie można jej po prostu zniszczyć? Tamten sposób jest bardzo ryzykowny.

Pug zastanawiał się przez chwilę w milczeniu.

– Nie jestem pewien, czy moc, którą dysponuję, umożliwi zniszczenie przejścia.

Wszystko jednak wskazuje na to, że nadszedł moment, by się o tym przekonać i spróbować.

Już spinał konia ostrogami, by ruszyć w stronę maszyny, kiedy powstrzymał go

donośny okrzyk.

– Nie!

Wszyscy obrócili się w tamtą stronę. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą nie było

nikogo, stała ubrana w brązową szatę postać z długą laską w ręku.

– Nawet twoja moc nie sprostą temu zadaniu, Wielki.

– Macros! – wykrzyknął Kulgan.

Na twarzy czarnoksiężnika pojawił się gorzki uśmiech.

– Tak jak przepowiedziałem, jestem z wami, gdy najbardziej mnie potrzebujecie,

nadeszła bowiem właśnie godzina wielkiej próby.

– Co należy uczynić? – zapytał Pug.

– Zamknę przejście, lecz będę potrzebował waszej pomocy. – Zwrócił się do Kulgana: –

Widzę, że ciągle masz laskę, którą ci dałem. To dobrze. Zsiadajcie z koni.

Pug i Kulgan zeskoczyli na ziemię. Pug dopiero teraz przypomniał sobie, że laska,

której Kulgan nigdy się nie pozbywał, była tą samą, którą otrzymał od Macrosa.

Macros stanął przed Kulganem.

– Wbij mocno koniec laski w ziemię. – Odwrócił się i podał Pugowi drugą laskę, z którą

przybył. – Obie stanowią bliźniaczą parę. Trzymaj ją z całej siły. Ani na chwilę, ani na sekundę

nie puszczaj jej z ręki, jeżeli chcesz przetrwać czas próby i wykonać zadanie. – Odwrócił się i patrzył przez chwilę na toczącą się nie opodal walkę. – Właściwa godzina wybije wkrótce, ale jeszcze nie w tej chwili. Mamy bardzo mało czasu. Słuchajcie uważnie. – Popatrzył na Puga, a potem na Kulgana. – Kiedy to się skończy i jeśli uda się unicestwić przejście, wróćcie na moją wyspę. Znajdziecie tam wytłumaczenie wszystkiego, co się zdarzyło do tej pory, chociaż, być może, nie usatysfakcjonuje ono was w pełni. – Na jego ustach znowu pojawił się gorzki uśmiech. – Kulgan, jeśli chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć swego byłego ucznia, trzymaj się tej laski za wszelką cenę, ze wszystkich sił. Ani na chwilę nie możesz skierować swej uwagi w inną stronę niż Pug. I pamiętaj, koniec laski ani na ułamek sekundy nie może utracić kontaktu z ziemią Midkemii. Zrozumiano?

– Ale co z tobą? Głos Macrosa stał się ostry.

– Pozwól, że moim bezpieczeństwem sam się będę zajmował. Nie kłopotz się o mnie.

Moje miejsce w tym dramacie zostało już dawno przewidziane przez opatrzność... tak jak i wasze. A teraz patrzcie.

Skierowali swą uwagę na bitwę. Oddziały Królestwa na północy zaatakowały ponownie. Lyam i Tomas wydali jednocześnie rozkaz swoim oddziałom, by dołączyły do nich. Jazda uderzyła z impetem w linię tarcz i front Tsuranich pękł w kilku miejscach. Przez krótką chwilę konnica królewska zapanowała niepodzielnie na polu bitwy. Oddziały Tsuranich cofnęły się. Potem jednak chwilowo uzyskana przewaga zniknęła. Skłębiony tłum piechoty rzucił się na jazdę, wyrzynając konie i ściągając jeźdźców na ziemię. Równowaga powróciła. Wokół machiny przejścia falowało morze zwartych w śmiertelnych zmaganiach postaci. Już nikt nie panował nad porządkiem i taktyką walki. Ludzie walczyli w obronie własnego życia nie po to, by zyskać przewagę nad przeciwnikiem i zwyciężyć, ale po prostu by przeżyć. Ponad doliną unosił się jednostajny odgłos uderzeń metalu w twarde drewno i skóry i przeraźliwe

okrzyki konających. Gdziekolwiek spojrzeli, krew lała się strumieniami.

Macros przeniósł wzrok na Puga.

– Nadszedł czas. Chodź ze mną.

Pug ruszył za ubranym w brązową szatę czarnoksiężnikiem. Z całej siły trzymał w dłoni laskę. Wierzył niezachwianie w ostrzeżenie Macrosa, że była ona jego jedyną szansą na przetrwanie tego, co na niego czekało w niedalekiej przyszłości. Przeszli przez tłum walczących, jakby osłonięci niewidzialnymi mocami. Kilka razy ten czy inny żołnierz zastępował im drogę, chcąc zadać śmiertelny cios, ale natychmiast obok pojawił się inny, który rzucał się na niego, wiążąc w walce. Konie stawały dęba, by ich stratować, ale dosłownie w ostatniej chwili okręcały się na tylnych nogach i opadały obok. Wyglądało to tak, jakby otwierało się przed nimi wolne przejście i zamykało szczelnie tuż za nimi.

Zbliżali się do tego, co pozostało z linii obrony Tsuranich. Jeden z trzymających tarczę żołnierzy padł pod ciosem włóczni. Przeszli spokojnie nad ciałem i znaleźli się w środku stosunkowo spokojnego kręgu wokół maszyny. Z Kelewanu wylewały się nieustannie do Midkemie kolejne zastępy Tsuranich. Krąg poszerzał się z każdą chwilą. Macros i Pug weszli spokojnie na platformę. Przebiegający tuż obok żołnierze jakby nie dostrzegali dwóch magów. Macros wkroczył w zamgloną pustkę przetoki. Pug postępował tuż za nim. Zamiast spodziewanego przejścia na drugą stronę, do Kelewanu, jakby zawisli w bezbarwnej przestrzeni. Zabrakło poczucia kierunku. Przestrzeń, w której trwali, nie była niczym oświetlona, lecz nie była też mroczna, dostrzegali tylko różne odcienie szarości. Pug poczuł się samotny. Towarzyszyło mu jedynie bicie własnego serca, jedyny znak i pociecha, że jego trwanie w życiu nie skończyło się.

– Macros? – powiedział cicho.

– Tutaj, Pug – dotarła do niego odpowiedź Macrosa.

– Nie widzę cię. Usłyszał chichot.

– Nie, ponieważ nie ma tu żadnego światła. To, co widzisz, to jedynie iluzja, delikatne złudzenie, które zaistniało dzięki mojej sztuce, byś miał jakiś punkt odniesienia. Bez odpowiedniego przygotowania nawet twoja powszechnie znana moc nie uratowałaby cię przed postradaniem zmysłów. Przyjmij po prostu, że umysł ludzki jest kiepsko przygotowany, by sobie poradzić z miejscem, w którym się znajdujemy.

– Co to za miejsce?

– To miejsce pomiędzy. To tutaj właśnie zmagali się ze sobą bogowie podczas wojen chaosu i tu też dokonamy naszego dzieła.

– Ludzie umierają, Macros. Musimy się pośpieszyć.

– W tym miejscu czas nie istnieje, Pug. Dla tych, którzy teraz walczą, zniknęliśmy zaledwie na ułamek sekundy. Możemy tu się zestarzeć i umrzeć, a na polu bitwy nie minie nawet jedna, pełna sekunda.

Ale i tak musimy się śpieszyć z wykonaniem naszego zadania. Nawet ja nie potrafię tego wykonać bez przeznaczenia części energii na utrzymanie nas przy życiu, energii, której będziemy bardzo potrzebować, by dokończyć dzieła. Nie wolno nam się ociągać, lecz jest parę rzeczy, o których muszę ci powiedzieć. Czekałem bardzo długo, abyś wypełnił swoją obietnicę. Nie mógłbym zaniknąć przejścia bez twojej pomocy.

Chociaż zmysły buntowały się na widok otaczającej go ze wszystkich stron szarej przestrzeni i głosu, jakby oderwanego od ciała, rozlegającego się tuż koło niego, Pug przemówił.

– To ty byłeś tym, który przesunął przejście w bok, kiedy przybył Obcy, a Nieprzyjaciół usiłował odzyskać narody Tsuranuanni. Przecież to wymagało niezmiernych mocy.

Usłyszał chichot czarnoksiężnika.

– Zatem zapamiętałeś ten szczegół? No cóż, byłem wtedy młodszy. – I tak, jakby wiedział, że to nie jest wystarczająca odpowiedź, dodał od razu: – Wtedy przejście było dzikie, naturalne, było tworem woli stojących na szczytach wież Zgromadzenia. Ja tylko przesunąłem je w inne miejsce, niweczając plany Nieprzyjaciela, a i wtedy wiązało się to z ogromnym ryzykiem. Teraz mamy do czynienia z w pełni kontrolowaną służą, mocno osadzoną w Kelewanie i podtrzymywaną przez magiczną maszynę. Przetoka jest kontrolowana przez liczne, zawile i ściśle powiązane ze sobą zaklęcia, które sprawiają, że przejście pozostaje w pełnej harmonii z Midkemią, i to one właśnie mogą mi uniemożliwić manipulowanie nią. Jedyne, co jestem w stanie uczynić, to zlikwidować przejście, a do tego potrzebna mi jest twoja pomoc.

Zanim jednak sprawimy, że ten szczególny dramat dobiegnie końca, muszę ci przekazać jeszcze jedno: kiedy dotrzesz na moją wyspę, zrozumiesz większość rzeczy. Nade wszystko jednak chciałbym cię prosić, abyś kiedy usłyszysz moje posłanie, pamiętał o jednym, i to na zawsze. Wszystko, cokolwiek uczyniłem, uczyniłem, ponieważ takie było moje przeznaczenie. Chciałbym cię prosić, abyś dobrze o mnie myślał.

Chociaż Pug nie widział czarnoksiężnika, jednak wyczuwał jego bliską obecność. Już otwierał usta, by odpowiedzieć, kiedy przerwał mu głos Macrosa.

– Kiedy skończę, wykorzystaj wszystkie resztki energii, które ci pozostaną, aby przenieść się do Kulgana. Laska będzie ci służyła pomocą, ale i tak musisz wykorzystać wszystkie, absolutnie wszystkie, siły woli i umysłu do wykonania zadania. Jeśli zawiedziesz, przestaniesz istnieć.

Macros ostrzegał go już po raz drugi i po raz pierwszy od lat, Pug poczuł strach.

– A co z tobą?

– Trzymaj się, Pug. Ja mam już co innego na głowie. Pug odniósł nagle przemożne

wrażenie odmiany, jak gdyby materia otaczającej go nicości zaczęła się subtelnie zmieniać.

– Na moją komendę musisz wyzwolić całą, absolutnie całą potęgę swej mocy. To, co uczyniłeś w czasie Turnieju Cesarskiego, było zaledwie przedsmakiem, preludium tego, co musisz uczynić w tej chwili.

– I o tym też wiesz? I znowu chichot.

– Byłem obecny w czasie igrzysk, chociaż zajmowałem miejsce bardzo skromne w porównaniu do twojego. Przyznać muszę, że twój występ zrobił spore wrażenie. Nawet ja musiałbym się niezłe napocić, by zapewnić widzom podobne przedstawienie. No tak, ale nie mamy już więcej czasu na pogaduszki. Czekaj na mój znak, a potem wyzwól swoją energię i skieruj ją w moją stronę.

Pug nic nie odpowiedział. Czuł przed sobą obecność czarnoksiężnika, jak gdyby Macros zdefiniował czy zmaterializował ją specjalnie dla niego. I znowu odniósł wrażenie zachodzącej wokół zmiany. Niespodziewanie szarą nicość rozdarł oślepiający błysk. Po nim nastąpiła ciemność. I nagle eksplozja, szalony wybuch energii, podobnie jak wtedy, kiedy obserwował przejście przy Złocistym Moście. Z każdej strony tryskały gejzery barw tak jasnych, że prawie białych. Pierwotne siły, o których nie miał pojęcia i których nie rozpoznawał.

– Pug! Teraz! – doszedł go krzyk Macrosa.

Pug w mgnieniu oka nagiął swą wolę w kierunku stojącego przed nim zadania. Sięgnął w najgłębsze otchłanie swego bytu i wydobył na powierzchnię wszystkie zasoby magicznej mocy, którą zdołał wyrwać dwom światom. Siły, które były w stanie unicestwić całe góry, zawracać bieg rzek, obracać w perzynę miasta. Wszystkie te siły zogniskował w jednym punkcie, by po chwili odrzucić je gwałtownie od siebie jak coś, co wzięte do ręki sprawiło nagły ból. Skierował je w stronę, gdzie jak wyczuwał, znajdował się czarnoksiężnik. Nastąpiła szalona, niepowstrzymana, niewyobrażalna wprost eksplozja gigantycznych mocy. Pierwotna

materia czasu i przestrzeni zawyla przeraźliwie, protestując przeciwko tej nowej obecności.

Pug czuł namacalnie, jak podstawowa materia wszechświata skręca się i zwija wokół niego, jakby chcąc wypchnąć intruzów na zewnątrz. Po chwili napięcie zelżało gwałtownie, coś puściło i zostali nagle wyrzuceni w przestrzeń.

Pug stwierdził nagle, że unosi się, płynie w całkowitej, nieprzeniknionej czerni.

Dryfował odrętwiały, a przez mózg przepływały niespójne, oderwane od siebie myśli. Jego umysł nie był w stanie przyjąć tego, co wyczuwał. Znajdował się na krawędzi utraty zmysłów. Jak przez mgłę czuł, że palce rozluźniają się, a laska powoli wyslizguje z dłoni. Powodowany jedynie ślepy instynkt, chwycił ją kurczowo, spazmatycznie. Poczul, jak coś go delikatnie szarpie, ciągnie. Umysł opierał się lodowatej czerni, która usiłowała nim owdądnać. Staral się za wszelką cenę coś sobie przypomnieć. Wokół robiło się coraz zimniej i zimniej. Płuca, spragnione powietrza, płonęły żywym ogniem. Ponownie starał się coś sobie przypomnieć, ale to coś umykało, nie dawało się zmaterializować. I znowu poczul szarpnięcie, a po chwili doszedł go słabiutki, ledwo słyszalny, lecz znajomy głos, tuż obok.

– Kulgan? – powiedział słabym głosem i pochłonał go mrok.

Dowódca armii Tsuranich przeżył. Zastanawiał się nad tym niewątpliwym cudem, kiedy spoglądał na tych, którzy padli martwi wokół maszyny przejścia. Eksplozja, która nastąpiła przed chwilą, zabiła setki. Inni, trochę bardziej oddaleni od służby, leżeli nieprzytomni, powaleni siłą wybuchu.

Powstał niepewnie z ziemi. Rozejrzał się dookoła, oceniając sytuację. Potworne w swej gwałtowności unicestwienie służby nie wyszło na zdrowie również siłom Królestwa. Żołnierze jazdy za wszelką cenę usiłowali zapanować nad oszalałymi ze strachu końmi. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, widział cwałujące na oślep po dolinie rumaki, które zrzuciły jeźdźców. Dookoła panował chaos i strach. Jednak ci, którzy znajdowali się dalej, na obrzeżach pola rażenia, nie

byli oszołomieni w takim stopniu jak będący w epicentrum, i tu, i tam walka rozgorzała od nowa.

Teraz, gdy zostali nieodwołalnie odcięci od Kelewanu, nadzieja na nadejście posiłków czy choćby bezpieczny powrót do domu była znikoma, właściwie żadna. W dalszym ciągu jednak liczebnie prawie dorównywali przeciwnikowi i była szansa, że dotrzymają im pola, jeśli nawet nie zwyciężą. Być może później będzie czas, by martwić się przejściem do Kelewanu. Odgłosy walki ucichły nagle, jak nożem uciął. Dowódca Tsuranich rozejrzał się szybko po okolicy, lecz nie zauważył w pobliżu żadnego oficera wyższego rangą. Zaczął głośno wykrzykiwać rozkaz formowania ściany z tarcz i szykowania się do odparcia kolejnego ataku. Oddziały Królestwa przegrupowywały się powoli. Nie atakowali jednak, lecz zajmowali pozycje naprzeciwko Tsuranich. Ich dowódca czekał spokojnie, podczas gdy jego ludzie szykowali linię obrony. Obejrzał się dookoła. Zewsząd byli otoczeni jazdą nieprzyjaciela. Jednak atak nadal nie nadchodził.

Napięcie rosło powoli, lecz nieubłagane. Dowódca Tsuranich zarządził, by podniesiono platformę. Czterech żołnierzy chwyciło tarczę, na której stanął, a następnie został dźwignięty w górę. Obrzucił wzrokiem horyzont. Oczy rozszerzyły mu się nagle.

– Nadciągają posiłki. – Daleko, na południu dostrzegł nadciągające kolumny oddziałów królewskich z Południowej Przełęcz. Oddaliły się wcześniej od miejsca rokowań pokojowych i dopiero teraz nadciągały w stronę pola walki.

Okrzyk z pomocy kazał mu się obrócić w tamtą stronę. Spomiędzy drzew wychodziły niezliczone szeregi piechoty Królestwa. I znowu spojrzał na południe, wytyczając wzrok. W mgiełce unoszącej się nad dalekim horyzontem dostrzegł nieprzebrane ciżby piechoty idącej w kolumnach za kawalerią. Rozkazał, by opuszczono go na ziemię. Podszedł jego zastępca.

– Co się dzieje?



– Cała armia wróciła na pole bitwy. – Przełknął z trudem ślinę. Zwykła dla Tsuranich

obojętność i niewzruszony spokój pękły jak bańka mydlana. – Na matkę bogów! Jest ich chyba ze trzydzieści tysięcy!

– Zatem zanim umrzemy, damy im bitwę godną ballad – powiedział zastępca.

Komendant rozejrzał się dookoła. Zewsząd otaczali go ranni, krwawiący czy

oszołomieni wybuchem żołnierze. Z oddziałów królewskich zaledwie jedna trzecia brała do tej pory udział w walce. Dwadzieścia tysięcy wypoczętych żołnierzy Królestwa zmierzało ku czterem tysiącom Tsuranich, z których połowa nie była w stanie walczyć w pełni swoich sił i możliwości.

Dowódca pokręcił głową.

– Nie, nie będzie walki. Zostaliśmy odcięci od domu... być może już na zawsze. To nie ma sensu. Po co?

Przeszedł obok oniemiałego ze zdumienia zastępcy, a następnie przekroczył linię tarcz.

Wzniósł ponad głowę obie ręce w geście poddania i szedł powoli w kierunku Lyama, oczekując z niedowierzaniem i obawą chwili, kiedy to stanie się pierwszym w historii oficerem Tsuranich, który podda swoje oddziały. Po kilku minutach stanął przed Księciem. Zdjął hełm i ukląkł.

Podniósł wzrok w górę, ku twarzy złotowłosego Księcia Królestwa.

– Panie, księżę Lyam. Oddaję mych ludzi pod twoją opiekę. Czy przyjmiesz naszą kapitulację? Lyam skinął głową.

– Tak, Kasumi. Przyjmuję waszą kapitulację.

Ciemność. Mrok. Po chwili nadciągająca szarość. Pug zmusił się do otwarcia ciężących jak kamień powiek. Tuż nad sobą ujrzał znajomą twarz Kulgana.

Stary nauczyciel uśmiechnął się szeroko.

– Jak to dobrze widzieć, że znowu jesteś pośród nas. Nie wiedzieliśmy, czy jeszcze

żyjesz. Byłeś zimny jak lód. Możesz usiąść?

Pug chwycił wyciągniętą ku sobie rękę. Obok klęczał Meecham i pomagał mu usiąść.

Poczuł, jak w ciepłych promieniach słońca lodowaty chłód uchodzi z ciała. Siedział w bezruchu przez kilka minut.

– Chyba będę żył... – rzekł w końcu. W chwili, gdy wypowiedział te słowa, poczuł ogromny napływ powracających raptownie sił. Jeszcze chwila i wiedział, że może powstać. Odważył się i stanął na nogi.

Rozejrzał się wokół. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się kolumny Armii Królestwa.

– Co się stało?

– Przejście zostało zniszczone. Tsurani, którzy przetrwali, poddali się. Wojna dobiegła końca – usłyszał głos Lauriego.

Z wrażenia omal nie zemdlął. Popatrzył po twarzach otaczających go przyjaciół i dostrzegł w ich oczach wielką ulgę. Niespodziewanie Kulgan chwycił go w ramiona.

– Pug, zaryzykowałeś własne życie, by zakończyć szaleństwo. To zwycięstwo w wielkim stopniu zawdzięczamy tobie.

Pug stał w milczeniu. Po chwili odsunął się od byłego mistrza.

– To Macros zakończył wojnę. Czy powrócił?

– Nie. Tylko ty. A gdy tylko się tu znalazłeś, zniknęły obie laski. Nie ma po nim żadnego śladu.

Pug potrząsnął głową, starając się wydobyć z mglistego obłoku.

– Co teraz?

Meecham obejrzał się przez ramię.

– Chyba byłoby dobrze, gdybyś mógł dołączyć do Lyama. Powstało tam jakieś zamieszanie.

Po przejściach we wnętrzu służy Pug był ciągle jeszcze osłabiony, więc Kulgan i Laurie pomogli mu dojść na miejsce. Zbliżyli się do grupy, w której stali Lyam, Arutha, Kasumi i Zgromadzenie panów Królestwa. Po drugiej stronie pola bitwy zauważyli zbliżające się Krasnoludy i Elfy, a za nimi oddziały Królestwa z północy.

Pug zdziwił się bardzo, gdy dostrzegł starszego syna Shinzawai, ponieważ sądził, że Kasumi wrócił do Kelewanu. Dowódca Tsuranich stojący nieruchomo z pochyloną głową, bez broni i hełmu wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. Nie zauważył nadejścia Puga i jego towarzyszy.

Pug zwrócił wzrok w stronę Krasnoludów i Elfów. Na przedzie pochodu kroczyły cztery postacie. Dwie rozpoznał, byli to Dolgan i Calin. Szedł z nimi jeszcze jeden Krasnolud, który nie był mu znany. Gdy cała czwórka znalazła się przed obliczem Księcia, Pug zdał sobie nagle sprawę, że wysoki wojownik w złocie i bieli to jego przyjaciel z lat chłopięcych. Aż go zatkało. Patrzył zdumiony, nie mogąc ochłonąć z wrażenia, tak zaskoczyły go zmiany, jakie zaszły w Tomasie. Jego stary przyjaciel górował nad wszystkimi wzrostem, a z wyglądu również dobrze mógł być człowiekiem, jak i Elfem.

Lyam był zbyt wyczerpany walką, by dać upust rozsadzającej go wściekłości. Spojrzał tylko na komendanta wojennego Elvandaru i zapytał cicho.

– Tomas, jaki miałeś powód, by zaatakować?

– Tsurani dobyli broni, Lyam – odrzekł książę małżonek królowej Elfów. – Szykowali się do ataku na namiot rokowań. Nie zauważyłeś?

Pomimo zmęczenia Lyam podniósł głos.

– Jedyne, co zauważyłem, to twoje hordy atakujące uczestników konferencji pokojowej. Nie spostrzegłem nic niewłaściwego w obozie Tsuranich.

Kasumi podniósł głowę.

– Wasza Wysokość, przysięgam na mój honor, że dożyliśmy broni dopiero wtedy, gdy zostaliśmy przez nich zaatakowani. – Wskazał ręką na oddziały Tomasa.

Lyam zwrócił się ponownie do Tomasa.

– Czyż nie przesłałem do was wiadomości o mającym nastąpić rozejmie i pokoju?

– Tak – potwierdził Dolgan. – Sam byłem obecny w momencie, kiedy czarnoksiężnik przyniósł wieści.

– Czarnoksiężnik? – zdziwił się Lyam. Odwrócił się i zawołał. – Laurie! Chciałbym z tobą zamienić parę słów.

– Słucham, Wasza Wysokość? – powiedział Laurie i podszedł bliżej.

– Czy zaniósłeś wiadomość do królowej Elfów, jak kazałem?

– Na mój honor, rozmawiałem z samą Królową. Tomas spojrział Lyamowi prosto w oczy. Odrzucił lekko głowę w tył, a twarz przybrała wyzywający wyraz.

– A ja przysięgam, że nigdy, aż do tej chwili, nie widziałem tego człowieka.

Wiadomość o zaplanowanej przez Tsuranich zdradzie przyniósł nam Macros.

Kulgan i Pug wystąpili do przodu przed innymi zebranych.

– Wasza Wysokość – zaczął Kulgan – jeśli kryje się za tym ręka czarnoksiężnika, a wiemy dobrze, że przez cały czas działał nieprzerwanie za kulisami, jeśli można tak powiedzieć, wydaje się, że najlepiej będzie rozwiązać tę tajemnicę w spokojniejszej i bardziej stosownej chwili.

Lyam złościł się nadal, lecz do rozmowy włączył się Arutha.

– Zostawmy to na razie. Rozwikłamy nieporozumienie w obozie.

Lyam skinął krótko głową.

– Wracamy do obozu. – Następca zwrócił się do Brucala: – Zajmij się odpowiednią eskortą dla więźniów i przyprowadź ich do obozu. – Skierował wzrok na Tomasa. – Ciebie też

chciałbym zobaczyć w swoim namiocie, gdy wrócimy. Musimy wyjaśnić wiele rzeczy. –

Tomas zgodził się, chociaż nie wyglądał na bardzo szczęśliwego z tego powodu.

– Wracamy natychmiast do obozu – krzyknął Lyam. – Wydajcie odpowiednie rozkazy.

Oficerowie sił królewskich rozjechali się do swoich oddziałów, by przygotować je do wymarszu. Tomas odwrócił się i stanął twarzą w twarz z nieznanym mężczyzną, stojącym tuż obok. Spojrzał zdziwiony na uśmiechniętą twarz.

– Cóż to, oślepeś, chłopcze, czy co? – zapytał Dolgan. – Nie poznajesz swego przyjaciela z dzieciństwa?

Tomas obrzucił uważnym spojrzeniem zbliżającego się, wyczerpanego do granic możliwości maga.

– Pug? – rzucił niepewnym głosem. Wyciągnął ramiona i wziął w objęcia zaginionego przyjaciela, który był mu prawie bratem. – Pug!

Stali razem, milcząc pośród gwaru maszerujących obok armii. Po policzkach obu spływały ciurkiem łzy. Kulgan podszedł do nich i położył im dłonie na ramionach.

– No, chodźcie już, chłopcy. Musimy wracać. Wiem, że macie wiele do obgadania, a teraz, bogom niech będą dzięki, jest na to mnóstwo czasu.

W obozie trwała wielka feta. Po raz pierwszy od ponad dziewięciu lat żołnierze królewskich armii wiedzieli, że nie będą musieli następnego dnia narażać swego życia czy zdrowia. Wokół płonących ognisk rozbrzmiewały wesołe śpiewy, a nad całym terenem obozu unosił się radosny śmiech. I dla większości nie miało wielkiego znaczenia, że ranni leżeli w namiotach pod opieką kapłanów i że niektórzy nie doczekają pierwszego dnia pokoju czy nie posmakują słodkich owoców zwycięstwa. Świętujących żołnierzy obchodziło tylko to, że dane im było znaleźć się pośród żywych. Później nadejdzie czas, by oplakiwać padłych w boju towarzyszy. Teraz wznosili kielichy za żyjących i za życie.

W namiocie Lyama atmosfera była bardziej stonowana. W czasie powrotnej jazdy do obozu Kulgan myślał intensywnie nad wydarzeniami mijającego dnia. Kiedy docierali do namiotu, mag z Crydee zdołał pozbierać w mniej czy bardziej spójną całość porzucane luźno fragmenty. Przedstawił swój obraz zebrany w namiocie, a teraz właśnie kończył swoją wypowiedź.

– Zatem – ciągnął – intencją Macroasa, jak się wydaje, było zamknięcie przejścia.

Wszystko wskazuje na to, że ta straszna dwulicowość została spowodowana i wykorzystana w tym właśnie celu.

Lyam siedział, mając po obu bokach Aruthę i Tully'ego.

– W dalszym ciągu nie jestem w stanie pojąć, co go opętało, by podjąć tak drastyczne środki działania. Dzisiejszy konflikt kosztował życie ponad dwu tysięcy ludzi.

Pug zabrał głos.

– Podejrzewam, że odpowiedź na to i wiele innych pytań uzyskamy, gdy dotrzemy na jego wyspę. Aż do tego czasu nie możemy zgadywać, co się za tym kryło naprawdę.

Lyam westchnął ciężko i zwrócił się do Tomasa.

– Zostałem przynajmniej przekonany, że działałeś w dobrej wierze. Cieszy mnie to.

Ciężko by mi było pogodzić się z myślą, że to ty właśnie jesteś odpowiedzialny za dzisiejszą rzeź.

Tomas podniósł do ust kielich z winem i upił mały łyk.

– Ja również się cieszę, że nie mamy powodów do konfliktu. Muszę jednak przyznać, że czuję się podle wykorzystany.

– Jak i my wszyscy – dopowiedzieli, jak nakładające się echo, Harthom i Dolgan. Głos zabrał Calin.

– Najprawdopodobniej my wszyscy stanowiliśmy część jakiegoś planu Czarnego.

Być może będzie tak, jak powiedział Pug, i rzeczywiście dowiemy się prawdy na Wyspie Czarnoksiężnika, lecz jakakolwiek ona jest, ja i tak nie zgadzam się z szafowaniem ludzkim życiem.

Lyam zwrócił głowę w kierunku Kasumiego, który siedział sztywno, bez ruchu, jakby to, co się działo dookoła, nie miało z nim żadnego związku.

– Kasumi, co mam zrobić z tobą i twoimi ludźmi? Na dźwięk swego imienia Kasumi odzyskał zwykłą bystrość. Spojrzał na księcia Lyama.

– Wasza Wysokość, wiem trochę o waszych zwyczajach i życiu. Laurie sporo mnie nauczył. Nadal jednak jestem Tsuranim. W naszym świecie oficerów czekałaby pewna śmierć, a zwykłych żołnierzy niewolnictwo. Nie mogę ci doradzać w tych sprawach, ponieważ po prostu nie wiem, w jaki sposób zwykło się postępować z jeńcami wojennymi w waszym świecie.

Mówił spokojnym, jednostajnym głosem, pozbawionym wszelkich emocji. Lyam już miał coś dodać, jednak znak dany przez Puga powstrzymał go w pół słowa. Mag chciał coś powiedzieć.

– Kasumi?

– Tak, Wielki? – Tomas, zdziwiony wielką atencją w głosie Tsuraniego i tytułem, aż poderwał głowę, lecz nie odezwał się ani słowem. W czasie krótkotrwałej, powrotnej drogi do obozu przyjaciele z chłopięcych lat nie mieli czasu, by szczegółowo podzielić się swoją historią. Wymienili jedynie podstawowe fakty i zdarzenia.

– Co byś uczynił, gdybyś nie poddał się Księżciu?

– Walczylibyśmy, aż śmierć by nas zabrała. Wielki. Pug skinął głową.

– Rozumiem. W takim razie odpowiedzialny jesteś za ocalenie życia prawie czterech tysięcy swoich ludzi? I dodatkowo tysiąca żołnierzy Królestwa, czy nie tak?

Wyraz twarzy Kasumiego złagodniał. W spojrzeniu pojawił się wstyd.

– Przebywałem pośród twojego narodu, Wielki. Ze wstydem przyznaję, że zapomniałem o podstawowych zasadach wychowania Tsuranich. Sprowadziłem hańbę na swój dom. Kiedy Księżę zadecyduje o losie moich ludzi, poproszę o pozwolenie na odebranie sobie życia, chociaż może uznać, że nie jestem godzien umrzeć tak honorowo.

Brucal i reszta spojrzeli po sobie zaszokowani. Lyam zachował kamienny spokój.

– Nie zasłużyłeś na hańbę – powiedział po prostu. – Umierając nie przysłużysz się swojej sprawie. Przestała istnieć z chwilą zniszczenia przetoki do Kelewanu.

– U nas jest taki zwyczaj.

– Już nie. Teraz ta ziemia jest twoją ziemią rodzinną, ponieważ nie masz żadnej innej. Z tego, co Kulgan i Pug opowiadali o przetokach do innych światów, wynika, że jest mało prawdopodobne, byś kiedykolwiek powrócił do Tsuranuanni. Pozostaniesz tu i jest moją intencją i wolą, by ten fakt obrócić na naszą obopólną korzyść.

W oczach Kasumiego pojawiły się iskierki nadziei. Następca tronu zwrócił się w stronę księcia Brucala.

– Księżę Yabon, jak Księżę ocenia żołnierzy Tsuranich? Stary Księżę uśmiechnął się.

– Zaliczam ich do najlepszych, jakich widziałem w życiu. – Kasumi wyprostował się nieco. Spojrzał z dumą dookoła. – Swoją zaciekłością dorównują Bractwu Mrocznego Szlaku, lecz mają bardziej szlachetną naturę. Są równie zdyscyplinowani jak zagończycy z Keshu, a wytrzymali jak Strażnicy Natalscy. Nie ulega wątpliwości, że to doskonali żołnierze.

– Czy armia złożona z takich chwatów przyczyniłaby się do wzrostu bezpieczeństwa na północnym pograniczu? Brucal uśmiechnął się.

– Garnizon La-Mut poniósł w czasie wojny najbardziej dotkliwe straty. Oczywiście, że bardzo by się tam przydali.



Pan La-Mut potwierdził opinię swego Księcia. Lyam zwrócił się do Kasumiego.

– Czy w dalszym ciągu będziesz chciał odebrać sobie życie, jeśli twoi ludzie odzyskają wolność i nadal będą żołnierzami?

– Jak to możliwe. Wasza Wysokość? – zapytał syn rodu Shinzawai.

– Jeśli ty i twoi ludzie złożą przysięgę na wierność Koronie, oddam was pod komendę pana z La-Mut. Będziecie wolnymi ludźmi i obywatelami Królestwa. Spocznie na was obowiązek obrony północnej granicy przed wrogami ludzkości zamieszkującymi Ziemię Północy.

Kasumi siedział milcząc i nie bardzo wiedząc, co ma powiedzieć. Laurie podszedł do niego.

– Kasumi, to nie żadna hańba.

Na twarzy Tsuraniego pojawił się nagle wyraz ogromnej ulgi.

– Akceptuję propozycję. Moi ludzie z pewnością także.

– Zamilkł na chwilę, po czym dorzucił: – Przybyliśmy jako gwardia honorowa Cesarza.

Z tego, co tu usłyszałem, my także zostaliśmy wykorzystani przez czarnoksiężnika. Nie dopuszczę, aby z jego powodu miała się przelać choćby jednak kropla krwi więcej. Dziękuję Waszej Wysokości.

– Wydaje mi się, że nobilitacja i stopień kapitana powinny być odpowiednie dla dowódcy prawie czterech tysięcy ludzi – powiedział książę Vandros. – Czy Książę się zgadza?

– Brucal skinął twierdząco głową. – Chodź, kapitanie, powinniśmy spotkać się z nowymi podkomendnymi.

Kasumi powstał, skłonił się przed Lyamem i opuścił namiot w towarzystwie księcia La-Mut. Arutha dotknął lekko ramienia brata. Książę obrócił się w jego stronę.

– Dość już spraw państwowych. Czas świętować zakończenie wojny.

Lyam uśmiechnął się.

– To prawda. – Spojrzał na Puga. – Magu, skocz na jednej nodze po swoją piękną żonę i wspaniałego syna. Chciałbym mieć wokół siebie atmosferę, która przypomina dom rodzinny.

Tomas spojrzał na Puga z niedowierzaniem.

– Żona? Syn? Co tu jest grane? Pug zaśmiał się głośno.

– Długo by trzeba mówić. Nadrobimy zaległości, kiedy tylko wrócę z rodziną.

Poszedł do swojego namiotu, gdzie Katala opowiadała Williamowi bajkę. Oboje zerwali się na równe nogi i rzucili się, by go przywitać, ponieważ od jego powrotu jeszcze się z nim nie widzieli. Wysłał tylko żołnierza z wiadomością, że jest cały i zdrow, ale bardzo zajęty u Księcia.

– Katala, Lyam zaprasza cię na ucztę. William pociągnął ojca za długą szatę.

– Tatusiu, ja też chcę pójść. Pug wziął go na rękę.

– Tak, William. Ty też.

Uczta w namiocie miała spokojniejszy przebieg niż huczne świętowanie na zewnątrz, ale i tak doskonale się bawili przy wtórze ballad Lauriego, ponieważ wszystkich opanowało cudowne poczucie radości i lekkości z powodu pokoju, który po tylu latach zawitał w ich progi. Chociaż posiłek składał się z tych samych obozowych potraw co poprzednio, odnosiło się jednak wrażenie, że smakował o wiele lepiej. Do radosnego nastroju przyczyniły się również znaczne ilości wina wypite tego wieczoru.

Lyam siedział z kielichem w ręku. Inni zebrani w namiocie rozmawiali po cichu w kilku luźnych grupkach. Następca tronu trochę za dużo wypił, lecz nikt mu tego nie miał za złe, ponieważ wszyscy dobrze wiedzieli, przez co przeszedł w ostatnich miesiącach. Kulgan, Tully i Arutha, którzy go znali najlepiej, wiedzieli, że myślami był teraz przy ojcu, który, gdyby nie pojedyncza strzała Tsuranich, siedziałby teraz z nimi i cieszył się pokojem. Obarczony odpowiedzialnością za losy wojny i sukcesją tronu Lyam nie miał właściwie czasu, jak jego

brat, by opłakiwać śmierć ojca. Teraz po raz pierwszy odczuł w pełni poniesioną stratę.

Tully wstał.

– Zmęczony jestem, Wasza Wysokość – powiedział na głos. – Czy pozwolisz, panie, bym się oddalił? Lyam uśmiechnął się do starego nauczyciela.

– Oczywiście. Dobranoc, Tully.

Inni szybko poszli w ślady kapłana, zostawiając następcę tronu w namiocie. Na zewnątrz goście życzyli sobie wzajemnie dobrej nocy. Po chwili Laurie, Kulgan, Meecham i Krasnoludy również opuścili towarzystwo, zostawiając Puga z rodziną oraz Calina i Tomasa. Przyjaciele z dzieciństwa spędzili cały wieczór, opowiadając sobie przeżycia ostatnich dziewięciu lat. Obaj byli równie zdumieni, słuchając nawzajem swych opowieści. Pug, podobnie zresztą jak i Kulgan, był wyraźnie zainteresowany magią Jeźdźców Smoków. Obaj też postanowili, że któregoś dnia muszą odwiedzić podziemny Dwór Smoka. Dolgan zaoferował się, że z przyjemnością posłuży im za przewodnika.

Przebudzona po latach uśpienia przyjaźń rozgorzała w młodych sercach pełnym ogniem, chociaż zdawali sobie dobrze sprawę z tego, że to już nie to samo co niegdyś, w obu bowiem zaszły liczne i poważne zmiany. Zbroja smoka i czarna szata obrazowały tę zmianę równie dramatycznie, co towarzystwo Kalali i Williama.

Katala była wprost oczarowana Krasnoludami i Elfami. Williama fascynowało wszystko, a szczególnie Krasnoludy. Zmęczony nadmiarem wrażeń długiego dnia spał teraz słodko w ramionach matki. Katala nie wiedziała zupełnie, co sądzić o Tomasie. Chociaż w wielu aspektach przypominał bardzo Calina, z drugiej jednak strony, był również podobny do innych ludzi w obozie.

Tomas przypatrywał się śpiącemu chłopcykowi.

– Jest bardzo podobny do swojej mamy, ale widzę, że to również niezły urwis, co

nieodparcie przypomina mi innego chłopaka, którego kiedyś znałem.

Pug uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że jego życie będzie się toczyło znacznie spokojniej.

Arutha wyszedł z namiotu brata i dołączył do nich. Stał obok obu chłopców, którzy przed laty udali się z nim w podróż do kopalń Mac Mordain Cadal.

– Pewnie nie powinienem tego mówić, Calin, ale dawno, dawno temu, kiedy przybyłeś z pierwszą wizytą na dwór mego ojca, podsłuchano rozmowę dwóch chłopaków kotłujących się na wozie siana.

Pug i Tomas spojrzeli na Księcia nic nie rozumiejącym wzrokiem.

– Co, nie pamiętacie już? Wysoki, chudy jak szczapa blondyn siedział okrakiem na piersi niższego obiecując, że pewnego dnia zostanie wielkim wojownikiem, którego Elvandar powita z otwartymi ramionami.

Pug i Tomas ryknęli śmiechem.

– Tak, pamiętam teraz... – powiedział Pug.

– A ten drugi przysięgał, że zostanie największym i najpotężniejszym magiem Królestwa.

– Być może Williamowi również uda się zrealizować swoje marzenia – powiedziała Katala.

Arutha uśmiechnął się, a w jego oczach pojawiły się przewrotne ogniki.

– No to musisz na niego bardzo uważać. Zanim usnął, ucieliśmy sobie niezłą pogawędkę. Wyjawiał mi, między innymi, że jak dorośnie, chce zostać Krasnoludem. – Wszyscy, z wyjątkiem Kalali, ryknęli śmiechem. Dziewczyna patrzyła przez chwilę na uśpionego synka, po czym dołączyła do ogólnej wesołości.

Arutha i Calin życzyli pozostałym dobrej nocy i odeszli do swoich namiotów. Tomas

też się pożegnał.

– No, na mnie też już czas. Pora do łóżka.

– Czy pojedziesz z nami do Rillanonu? – spytał Pug.

– Nie, nie mogę. Chcę być ze swoją panią. Lecz kiedy dziecko przyjdzie na świat, musicie nas koniecznie odwiedzić. Będzie wielkie święto i wspaniała uczta. – Oboje obiecali, że przyjadą z radością. – Rankiem wyruszamy do domu. Krasnoludy też wracają do swoich wiosek. Czeka ich tam mnóstwo pracy. A poza tym tak dawno nie widzieli się z rodzinami. Co więcej teraz, kiedy odnalazł się Młot Tholina, mówi się coraz częściej o zwołaniu zgromadzenia ludowego, by obwołać Dolgana Królem na zachodzie. – Zniżył głos do szeptu. – Chociaż nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mój stary przyjaciel raczej potraktowałby Młotem pierwszego, który otwarcie ośmieliłby się zgłosić tę propozycję. – Położył rękę na ramieniu Puga. – Dobrze, że udało się nam obu przejść przez to wszystko... nawet w najgłębszej otchłani mego przedziwnego szaleństwa ani przez chwilę nie zapomniałem o tobie.

– I ja też, Tomas. Nigdy o tobie nie zapomniałem.

– Mam nadzieję, że gdy uda ci się odkryć tajemnicę na Wyspie Czarnoksiężnika, prześlesz mi wiadomość?

Pug obiecał, że z pewnością nie zapomni go powiadomić. Objęli się mocno na pożegnanie i Tomas ruszył w kierunku swojego namiotu. Po zrobieniu dwóch kroków zatrzymał się jednak i odwrócił do nich. W oczach błyszczała mu chłopięca przekora.

– Chociaż... dałbym dużo, aby być przy twoim spotkaniu z Carline, kiedy pojawisz się, ciągnąc za sobą żonę i syna.

Pug zaczerwienił się po uszy. Kiedy myślał o zbliżającym się nieuchronnie spotkaniu po latach, w sercu pojawiały się mieszane uczucia. Machnął ręką za oddalającym się Tomaszem i odwrócił się do żony. Katala patrzyła na niego twardym wzrokiem. Usta miała mocno

zaciśnięte.

– Pug, kto to jest Carline? – spytała podejrzenie spokojnym tonem.

Arutha wszedł do namiotu dowództwa. Lyam podniósł wzrok na brata.

– Sądziłem, że już dawno śpisz – powiedział młodszy brat. – Zmęczony jesteś.

– Potrzebowałem trochę czasu, by spokojnie pomyśleć. Ostatnio nie miałem ani chwili dla siebie. Musiałem sobie uporządkować pewne rzeczy – Lyam mówił zmęczonym, niespokojnym głosem.

Arutha usiadł koło brata.

– Co to za rzeczy?

– Wojna, ojciec, ty, ja – pomyślał o Martinie – i inne sprawy. Arutha, ja nie wiem, czy mogę być Królem. Arutha uniósł lekko brwi.

– Lyam, nie wydaje mi się, abyś miał wybór. Po prostu będziesz Królem i już. Musisz się tylko postarać, aby ci to jak najlepiej wyszło.

– Mógłbym zrzec się korony na rzecz brata – powiedział Lyam powoli – podobnie jak uczynił to Erland w stosunku do Rodrica.

– I dopiero wtedy byś namieszał. Murowany sposób, by rozpętać wojnę domową.

Królestwo nie może sobie pozwolić na debatę na forum Kongresu. Między zachodem a wschodem nadal jest zbyt wiele nie zagojonych ran. A do tego Bas-Tyra ciągle znajduje się na wolności.

Lyam westchnął ciężko.

– Ty byłbyś lepszym Królem, Arutha. Arutha roześmiał się szczerze.

– Ja? Ledwo mogę strawić perspektywę zostania księciem Krondoru, a co dopiero...

Posłuchaj, kiedy byliśmy dziećmi, zawsze ci zazdrościłem tego, jak szybko zdobywasz sympatię innych. Ludzie zawsze woleli ciebie niż mnie. Kiedy podrosłem, zrozumiałem, że nie

chodzi o to, że mnie nie lubią, lecz że jest w tobie coś takiego, co wyzwala zaufanie i miłość ludzi do ciebie. To wspaniała cecha u kogoś, kto ma być Królem. Nigdy ci nie zazdrościłem, że zajmiesz miejsce ojca jako Księżę, tak jak i teraz nie zazdroszczę ci korony. Myślałem sobie, że po zakończeniu wojny udam się w dłuższą podróż i zobaczę kawałek świata, lecz jak wiesz, nie jest to możliwe. Muszę zająć się rządzeniem w Krondorze. Zatem nie próbuj włożyć mi na barki dodatkowego brzemienia władania Królestwem. Nie przyjmę go.

– Mimo wszystko nadal twierdzą, że byłbyś lepszym Królem. – Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie prosto w oczy.

Arutha zmarszczył czoło w zamyśleniu. Po chwili spojrział na brata z powątpiewaniem.

– Być może. Ale to ty masz być Królem i oczekuję, że będziesz nim przez dłuższy czas.

– Przeciągnął się i wstał. – Zmykam do łóżka. To był długi i ciężki dzień. – Podeszedł do wyjścia z namiotu. – Przestań się troskać, Lyam. Będziesz bardzo dobrym władcą. Mając do pomocy Caldrica, który cię wspomogę radą, Kulgana, Tully'ego i Puga, przeprowadzisz nas przez trudy czasu odbudowy.

– Arutha, jeszcze jedno, zanim pójdziesz... – Arutha czekał spokojnie, aż Lyam zastanowi się. – Chciałbym, abyś udał się z Kulganem i Pugiem na Wyspę Czarnoksiężnika. Byłeś już tam kiedyś i pragnąłbym poznać twoją opinię na temat tego, co tam zastaniecie. – Prośba brata nie spodobała się Anicie i zaczął protestować, lecz Lyam przerwał mu w pół słowa. – Wiem, że chcesz jak najprędzej znaleźć się w Krondorze, ale to tylko kilka dni. Będziesz miał prawie dwa tygodnie między naszym przybyciem do Rillanonu a koronacją, wystarczy, abyś do nas dołączył na czas.

Arutha chciał się w pierwszej chwili ponownie sprzeciwić, lecz powstrzymał się i wyraził zgodę. Na ustach pojawił się krzywy uśmiešek.

– Musisz polegać na samym sobie, Lyam. Jeśli ja nie wezmę korony, ty z nią zostaniesz.

– Śmiejąc się, wyszedł z namiotu. – Nie mamy przecież trzeciego brata, który mógłby się o nią ubiegać.

Lyam został sam i sączył wino z kielicha. Znowu westchnął ciężko.

•– Jest trzeci brat, Arutha – powiedział sam do siebie po cichu. – I niech bogowie wstawią się za mną, bym potrafił podjąć słuszną decyzję.

## **SPUŚCIZNA**

Statek rzucił kotwicę.

Załoga refowała ostatnie żagle, a grupa mająca zejść na ląd zebrała się przy burcie.

Meecham patrzył, jak majtkowie szykują długą łódź wiosłową. Obaj magowie, którzy mieli o wiele więcej pytań niż pozostali, wyczekiwali z utęsknieniem wizyty w zamku Macroza.

Arutha, który już dawno pogodził się z konieczną zwłoką, też się niecierpliwił. Stwierdził też, że nie ma ochoty uczestniczyć w długim pochodzie żałobnym, który opuścił Ylith w dniu, w którym statek wypłynął z portu. Ból po stracie ojca pogrzebał głęboko w sercu i chciał się z nim uporać w swoim czasie. Lawie pozostał z Kasumim, chcąc ułatwić proces asymilacji żołnierzy Tsuranich z załogą garnizonu La-Mut, i miał dołączyć do nich później, już w Rillanonie.

Lyam i znaczniejsza szlachta wyruszyli na kilku statkach do Krondoru, asystując w ostatniej podróży Borricowi i Rodricowi. W Krondorze miały do nich dołączyć Anita i Carline, by następnie w uroczystym kondukcie odprowadzić zmarłych do Rillanonu, gdzie mieli spocząć na zawsze w grobowcu swoich przodków. Po tradycyjnym, dwunastodniowym okresie żałoby Lyam miał otrzymać koronę. Do tego czasu wszyscy uczestnicy uroczystości powinni dotrzeć do Rillanonu. Pug i Kulgan mieli więc na wykonanie swego zadania wystarczająco dużo czasu.

Przygotowanie łodzi dobiegło końca i Pug, Kulgan i Arutha dołączyli do Meechama.

Spuszczono łódź na wodę i sześciu żołnierzy pochyliło się nad wiosłami.



Kiedy marynarze dowiedzieli się, że nie będą musieli towarzyszyć czteroosobowej grupce na ląd, odetchnęli z ulgą, ponieważ, mimo zapewnień obu magów, że nic im nie grozi, nie mieli najmniejszej ochoty stawiać stopy na Wyspie Czarnoksiężnika.

Lódź dobiła do plaży i pasażerowie wyskoczyli na ląd. Arutha rozejrzał się dookoła.

– Wygląda na to, że od naszego ostatniego pobytu nie zaszły tu żadne zmiany.

Kulgan przeciągnął się z lubością, ponieważ kajuty na statku nie grzeszyły nadmiernym metrażem, a poza tym cieszył się, że wreszcie czuje pod stopami suchy i stały ląd.

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Założę się, że Macros dobrze dbał o swój dom.

Arutha odwrócił się do wioślarzy.

– Wasza szóstka zostanie tutaj. Jeśli usłyszycie, że wołamy, macie natychmiast przybiec. – Nie zwlekając dłużej, Książę ruszył ścieżką pod górę. Pozostali poszli bez słowa w jego ślady. Dotarli do rozwidlenia ścieżki.

– Przychodzimy jako goście – powiedział Arutha. – Nie chciałem, byśmy sprawiali wrażenie intruzów czy najeźdźców.

Kulgan, zajęty uważnym obserwowaniem zamku, do którego się zbliżali, nic nie odpowiedział. W oknie na wysokiej wieży nie widać było teraz dziwnego, błękitnego blasku, tak doskonale widocznego, kiedy byli na wyspie poprzednim razem. Zamek wyglądał na opuszczony. Panowała absolutna cisza i bezruch. Zwodzony most był opuszczony, a krata podniesiona.

– Przynajmniej nie musimy brać zamku szturmem – zauważył Meecham.

Doszli do krawędzi zwodzonego mostu i zatrzymali się. Ponad nimi wznosiły się posępne wysokie mury i górujące nad nimi strzeliste wieże. Ponura, zbudowana z ciemnego i nieznanego im kamienia, bryła. Wokół wysokiego łuku ponad bramą rozsiadły się dziwaczne rzeźby nieznanych stworzeń, które wpatrywały się w nich szklanym wzrokiem. Skrzydlate

bestie z rogami na głowach siedziały przycupnięte na kamiennych parapetach. Zostały tak po mistrzowsku wykonane, że sprawiały wrażenie, jakby przysiadły tylko na chwilę dla odpoczynku, by zaraz znowu zerwać się do lotu.

Przeszli po deskach mostu na drugą stronę głębokiej przepaści oddzielającej zamek od reszty wyspy. Meecham wyjrzał z ciekawości poza krawędź. Skaliste urwiska opadały stromo aż do poziomu morza, a tam w wąskim gardle przewalały się z hukiem spienione fale.

– To lepsze niż wszystkie fosy razem wzięte. Zastanowisz się dwa razy, zanim spróbujesz przejść na drugą stronę, szczególnie jeśli z murów bez przerwy strzelają.

Wkroczyli na dziedziniec i rozglądali się dookoła, jakby oczekując, że otworzą się któreś z licznych drzwi w murach i ktoś wyjdzie ich powitać. Ani śladu żywego ducha, chociaż dziedziniec i otoczenie głównego zamku utrzymane było w nienagannym porządku.

Kiedy przez dłuższy czas nikt się nie pojawił, Pug odwrócił się do swoich towarzyszy.

– Pewnie to, czego szukamy, znajduje się w zamku. Ruszyli za nim szerokimi schodami wiodącymi do głównego wejścia. Zostało im jeszcze kilka stopni, gdy drzwi zaczęły się powoli otwierać. W głębi mrocznego wnętrza dostrzegli niewyraźny zarys jakiejś postaci. Kiedy podwoje otworzyły się na całą szerokość, uderzając z donośnym hukiem w grube mury, nieznajomy ruszył ku nim i po chwili pojawił się na oświetlonym słońcem progu.

Meecham bezwiednym, automatycznym ruchem dobył miecza, ponieważ postać, która pojawiła się przed nimi, przypominała do złudzenia goblina. Meecham obrzucił nieznajomego badawczym spojrzeniem, ale ponieważ nie wykonywał on żadnych podejrzanych ruchów, a tylko stał spokojnie u szczytu schodów, czekając na nich, schował miecz.

Nieznajomy był wyższy niż przeciętne gobliny, wzrostem dorównywał niemal

Meechamowi. Wydatne łuki brwiowe i ogromny nos przykuwały uwagę patrzących, jednak ogólnie rzecz biorąc, rysy miał szlachetniejsze niż gobliny. Dwoje czarnych, błyszczących

oczu patrzyło uważnie, kiedy ruszyli ponownie ku górze. Po chwili stanęli przed drzwiami.

Dziwny stwór powitał ich szerokim uśmiechem, szczerząc wielkie zęby. Chociaż głowę pokrywał gęszcz czarnych włosów, a skóra miała lekko zielonkawy odcień jak u goblinów, jednak nieznajomy nie garbił się po małpiemu, a stał wyprostowany jak ludzkie istoty. Ubrany był w jasnozieloną bluzę i takie same spodnie uszyte z dobrego, delikatnego materiału. Na nogach miał wysokie, sięgające kolan, czarne, błyszczące buty.

– Witajcie, panowie, witajcie – powiedział stwór, nie przestając się szeroko uśmiechać.

– Jestem Gathis i mam honor pełnić obowiązki gospodarza domu podczas nieobecności mego pana – kontynuował lekko syczącym głosem,

– Twoim panem jest Czarny Macros? – spytał Kulgan.

– Oczywiście. Zawsze nim był. Proszę, wejdźcie do środka. Cała czwórka weszła za Gathisem do przestronnego hallu. Zatrzymali się i rozglądali przez chwilę dookoła. Poza tym, że nie było w ogóle ludzi i typowych dla takich sal sztandarów i znaków herbowych, hali do złudzenia przypominał ten na zamku w Crydee.

– Mój pan zostawił szczegółowe instrukcje co do waszej wizyty, oczywiście na tyle, na ile mógł przewidzieć jej przebieg, więc przygotowałem już zamek na wasze przybycie. Co panowie powiedzą na lekki posiłek i napoje? Wszystko jest gotowe. Wino czeka.

Kulgan pokręcił głową. Nie był pewien, czym lub kim jest witający ich stwór, lecz nie czuł się zbyt dobrze w towarzystwie kogoś, kto tak bardzo przypominał sługę Bractwa Mrocznego Szlaku.

– Macros powiedział nam, że zostawi dla nas jakąś wiadomość. Chciałbym ją natychmiast zobaczyć. Gathis skłonił się lekko.

– Wedle życzenia. Proszę pójść za mną.

Poprowadził ich długim labiryntem korytarzy do krętych schodów prowadzących na

potężną wieżę. Weszli na górę i znaleźli się przed zamkniętymi na klucz drzwiami.

– Mój pan powiedział, że będziecie w stanie otworzyć te drzwi bez mojej pomocy. Jeśli nie udałoby się to wam, mam uznać was za oszustów i ostro potraktować.

Słyszając te słowa, Meecham gwałtownym ruchem sięgnął po miecz. Pug uspokoił go, kładąc rękę na ramieniu.

– Od zamknięcia przejścia utraciłem co prawda połowę mocy, tę, którą uzyskałem w Kelewanie, lecz to zadanie nie powinno być dla mnie problemem.

Pug skoncentrował się na otwarciu drzwi. Jednak zamiast typowej dla drzwi reakcji, czyli otwarcia się, zaszła zmiana w samej ich materii. Patrzący odnieśli wrażenie, jakby drewno stawało się powoli płynne, wirowało i przelewało, zanikając stopniowo, a jego powierzchnia przybierała nową formę. Po paru chwilach wyraźnie już można było dostrzec zarysy twarzy wyrzeźbionej w drewnie z zadziwiającą wiernością. Dziwna płaskorzeźba przypominała trochę Macrosa. Wydawało się, że czarnoksiężnik śpi. W pewnej chwili oczy otworzyły się niespodziewanie, ożyły. Czarne źrenice wyraźnie odcinały się od bieli białek. Usta poruszyły się, a z ich głębi wydobył się głęboki i dźwięczny głos mówiący w nieskazitelnym języku Tsuranich.

– Co jest pierwszym obowiązkiem?

– Służyć Cesarstwu – odpowiedział bez chwili namysłu Pug.

Twarz zaczęła się powoli wtapiać w powierzchnię drzwi, a kiedy zniknęła kompletnie i nie został po niej najmniejszy ślad, drzwi otworzyły się same. Weszli do środka. Byli w pracowni Czarnego Macrosa, dużym pokoju zajmującym całą górną część wieży.

– Jak widzę, mam honor gościć panów Kulgana, Puga i Meechama? – Zwrócił się do czwartego gościa. – A to zapewne ksiązę Arutha, nieprawdaż? – Ksiązę potwierdził skinieniem głowy. – Mój pan nie był pewien, czy Ksiązę przybędzie, chociaż uważał to za wysoce prawdopodobne. Co do pozostałych trzech panów, był pewien, że się pojawią. – Ręką zatoczył

łuk, obejmując gestem cały pokój. – Wszystko, co tu widzicie, jest do waszej dyspozycji. A teraz przeproszę panów na chwilę i oddalę się, by przynieść pozostawioną dla was wiadomość i trochę wina.

Gathis wyszedł z pracowni, a oni oglądali z zaciekawieniem jej wnętrze. Wszystkie ściany, poza jedną pustą, z której jak było widać po śladach, usunięto niedawno półkę czy szafę, od podłogi po sufit zastawione były uginającymi się pod ciężarem opasłych ksiąg i zwojów pergaminowych półkami. Otaczające ich bogactwo nieomal sparaliżowało Puga i Kulgana, którzy nie mogli się zdecydować, w którym miejscu powinni rozpocząć poszukiwania.

Arutha rozwiązał ten problem za nich, podchodząc po prostu do jednej z półek, na której leżał potężny zwój obwiązany czerwoną wstążką. Wziął go do ręki i położył na okrągłym stole stojącym pośrodku pokoju. Kiedy rozwijał pergamin, padła na niego wiązka promieni słonecznych z jedyne go, ogromnego okna pracowni.

Kulgan, zaciekawiony tym, co Książę oglądał, podszedł bliżej.

– To mapa Midkemii!

Pug i Meecham również podeszli do stołu i stanęli za Kulganem i Arutha.

– Cóż za mapa! – wykrzyknął zachwycony Książę. – Pierwszy raz taką widzę. – Puknął palcem w potężny łąd w centrum. – Patrzcie! Tu jest Królestwo. – W poprzek ładu biegł niewielki napis „Królestwo Wysp”. Poniżej zaznaczono wyraźną linią granice Imperium Wielkiego Keshu. Jeszcze dalej zaś na południe od Imperium rozciągały się tereny Konfederacji Keshu.

– Jeśli się nie mylę – powiedział Kulgan – jeszcze żaden mieszkaniec Królestwa nie zapuścił się nigdy na ziemie Konfederacji. Jedyne wiedza, jaką dysponujemy na ich temat, pochodzi z Imperium lub od kilku bardziej śmiałych kapitanów, którzy odwiedzili niektóre

porty Konfederacji. Niewiele wiemy o tym, jak nazywają się zamieszkujące ją narody, a już zupełnie nic o nich samych.

– W krótkim czasie nauczyliśmy się wiele o naszym świecie – powiedział Pug. –

Zauważcie tylko, jak maleńką część kontynentu zajmuje Królestwo. – Wskazywał palcem na ogromną połąć Ziem Północy sąsiadujących z Królestwem od północy i równie wielką, jeśli nie większą, poniżej Konfederacji. Cały kontynent nosił nazwę Triagia.

– Jak widać, nasza stara Midkemia jest o wiele bardziej złożona i rozległa, niż nam się to kiedykolwiek śniło. – Pokazywał kolejne kontynenty po drugiej stronie morza. Nazywały się Winet i Novindus. Linie i punkty na mapie pokazywały granice państw i miasta. Widać też było dwa potężne archipelagi. Na wielu wyspach oznaczono pojedyncze miasta. Kulgan kręcił głową zachwycony i zdziwiony.

– Dochodziły do nas czasami pogłoski o kupcach z dalekich ziem pojawiających się w portach handlowych Konfederacji Keshu czy też układających się z piratami z Wysp Zachodzącego Słońca, lecz wkładaliśmy je pomiędzy legendy. Nic dziwnego, że nigdy nie słyszeliśmy o istnieniu tych miejsc. Kapitan, który odważyłby się wziąć kurs na tak odległe porty, musiałby być szalenie odważny.

Kroki powracającego Gathisa oderwały ich od mapy. Po chwili pojawił się w drzwiach, trzymając w rękach tacę z karafką wina i czterema kielichami.

– Mój pan kazał mi przekazać, abyście się cieszyli gościnnością tego domu tak długo, jak macie życzenie. – Postawił tacę na stole, po czym nalał wina do kielichów. Następnie wyjął spomiędzy fałd bluzy zwój i wręczył go Kulganowi. – Polecił mi także, abym wręczył wam to. Pozwolicie, panowie, że na czas, w którym będziecie się zapoznawać z przesłaniem mego pana, oddalę się. Gdybyście mnie potrzebowali, wystarczy po prostu wypowiedzieć me imię, a zjawię się natychmiast. – Skłonił się lekko i wyszedł z pokoju.

Kulgan przyglądał się z uwagą zwojowi. Zalakowany był pieczęcią z czarnego wosku z wyciśniętą literą M. Złamał pieczęć i rozwinął pergamin. Przeczytał po cichu początek i zwrócił się do pozostałych.

– Usiądźmy.

Pug zwinął wielką mapę w rulon, odłożył na miejsce i dołączył do reszty, zasiadając przy stole. Wysunął krzesło i razem z Aruthą i Meechamem czekał na Kulgana. Stary mag pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Posłuchajcie... – powiedział i po chwili zaczął czytać na głos.

– „Magom Kulganowi i Pugowi przesyłam pozdrowienia. Przewidziałem niektóre pytania, które będziecie chcieli mi zadać, i pozwoliłem sobie na nie odpowiedzieć najlepiej, jak umiem. Obawiam się, że jest wiele innych, które muszą pozostać bez odpowiedzi, jak choćby te, które mnie dotyczą. Są jednak dziedziny, w które nie mogę was wprowadzić. Nie jestem tym, kogo Tsurani nazywają Wielkim, chociaż, jak Pug wie, wielokrotnie nawiedzałem ich świat. Moja magia jest zarezerwowana i charakterystyczna tylko dla mnie. Nie daje się ująć w ramy żadnych opisów czy porównań w kategoriach waszej Wyższej czy Niższej Drogi.

Wystarczy może tylko wspomnieć, że kroczę po wielu drogach.

Uważam się za sługę bogów, chociaż być może przemawia w tej chwili przeze mnie pycha i próżność. Jakakolwiek jest prawda, faktem jest, że podróżowałem do wielu ziem i trzymałem się dla wielu różnorodnych spraw.

Nie będę wiele mówił o wczesnych latach mego życia. Nie pochodzę z tego świata.

Urodziłem się na ziemi odległej bardzo zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Nie różni się wiele od waszej, lecz są istotne powody, dla których można by ją uznać za dziwną, według waszych standardów.

Jestem tak stary, że wolę o tym nie pamiętać. Stary nawet według miary Elfów. Z

powodów, które nie są mi znane, żyję od wieków, chociaż mój własny lud jest równie śmiertelny, jak i wasz. Być może z chwilą wkroczenia w domenę sztuk magicznych obdarzyłem się podświadomie prawie nieśmiertelnością, a może jest to dar lub przekleństwo bogów.

Z chwilą, gdy zostałem czarnoksiężnikiem, spadł na mnie los poznania mej własnej przyszłości, tak jak inni znają dobrze swą przeszłość. Nigdy nie cofałem się przed tym, co mnie oczekiwało w przyszłości, chociaż nie raz, nie dwa bardzo chciałem to uczynić. Służyłem zarówno wielkim królom, jak i prostym chłopom. Zamieszkiwałem w najwspanialszych miastach i nędznych ruderach. Rozumiałem często mój własny udział w różnych wydarzeniach, choć nie zawsze, nigdy jednak nie zboczyłem ani o włos ze ścieżki, którą mi wyznaczyło przeznaczenie”.

Kulgan przerwał na chwilę.

– To wyjaśnia, skąd tyle wiedział – rzekł i powrócił do lektury.

– „Ze wszystkich zadań, w których dane mi było uczestniczyć, najtrudniejszą była rola w wojnach o przejście między dwoma światami. Nigdy przedtem nie czułem tak wielkiej pokusy, by zawrócić z drogi, która była przede mną. Nigdy też nie ponosiłem odpowiedzialności za stratę tylu istnień ludzkich. Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo ich wszystkich opłakuję i boleję nad ich śmiercią. Kiedy będziecie rozważać moją »zdradę«, nie zapominajcie ani na chwilę o sytuacji, w jakiej się znajdowałem.

Nie byłem w stanie zamknąć przejścia bez pomocy Puga. Los zrządził, że wojna toczyła się przez cały czas, kiedy on opanowywał arkana sztuki magicznej na Kelewanie. Mimo strasznej ceny, jaką przyszło wielu zapłacić, nie można zapominać o korzyści dzięki temu osiągniętej. Pośród was, na Midkemii, jest teraz ktoś, kto potrafi praktykować sztukę Wyższej Drogi, która zaginęła bezpowrotnie w okresie pojawienia się człowieka w czasie wojen chaosu.



Oczywiście, tylko historia oceni korzyści, jakie z tego faktu wynikną, lecz sądzę, że są one niezwykle cenne.

Jeśli chodzi o zamknięcie przejścia w chwili, kiedy pokój był już na wyciągnięcie ręki, mogę jedynie powiedzieć, że było to nieodzowne i miało ogromne, nie dające się przecenić, znaczenie. Wielcy ze świata Tsuranich zapomnieli, że przetoki pomiędzy dwoma światami są narażone na odkrycie ich przez Nieprzyjaciela”. – Kulgan przerwał i podniósł zdziwiony wzrok na Puga. – Nieprzyjaciela? Obawiam się, Pug, że mowa tu o czymś, co wymaga twego objaśnienia.

Pug opowiedział im szybko to, co wiedział o legendarnym Nieprzyjacielu.

– Czy to możliwe, by tak przerażający byt rzeczywiście istniał? – spytał Arutha. Ton jego głosu zdradzał, że powątpiewa.

– To, że kiedyś istniał, nie podlega dyskusji. A kiedy mamy do czynienia z bytem tak potężnym, nie można wykluczyć, że udało mu się przetrwać. Muszę jednak przyznać, że ze wszystkich przyczyn, dla których Macros działał w ten, a nie inny sposób, ten akurat powód uważałbym za najmniej prawdopodobny. Żadnemu członkowi Zgromadzenia ani przez myśl to nie przeszło... aż nie chce się wierzyć...

Kulgan czytał dalej:

– „Przetoka jest dla niego jak jasny promień światła w mroku nocy i przyciąga tę potworną, przerażającą istotę przez otchłań czasu i przestrzeni. Być może minęłyby całe lata, zanim pojawiłby się, lecz kiedy by już dotarł tutaj, wszystkie moce waszego świata mogłyby się okazać niewystarczające, by się go pozbyć z Midkemii. Przetoka musiała być zamknięta.

Mam nadzieję, że teraz przyczyny, dla których chciałem się upewnić, iż przejście zostanie rzeczywiście zamknięte, nawet za cenę tak wielu istnień ludzkich, staną się dla was oczywiste”.

Pug przerwał Kulganowi.

– „Staną się oczywiste”? Co Macros miał na myśli?

– Wydaje się, że Macros był przede wszystkim badaczem natury ludzkiej. Czy byłby w stanie sam nakłonić Króla czy Cesarza do zamknięcia przejścia na dobre, podczas gdy utrzymując je, można było osiągnąć tak wielkie i wymierne korzyści dla obu stron? Być może nie. Któż to może wiedzieć? Tak czy owak zawsze mielibyśmy do czynienia z jakże ludzką pokusą, by zostawić śluzę otwartą, „choć jeszcze przez chwilę”. Sądzę, że Macros doskonale sobie z tego zdawał sprawę i dlatego chciał doprowadzić do sytuacji, w której po prostu nie byłoby żadnego wyboru.

Kulgan powrócił do lektury zwoju.

– „Co teraz nastąpi, nie potrafię powiedzieć. Moje widzenie wydarzeń przyszłych zakończyło się wraz z eksplozją przetoki. Czy nadeszła w końcu moja wyznaczona godzina, czy też jest to początek jakiejś nowej ery mojej egzystencji, tego nie wiem. Na wypadek gdybyście jednak byli wtedy świadkami mej śmierci, zdecydowałem się na następujące działanie. Wszystkie moje prace, poza kilkoma, znajdują się w pracowni. Proszę, aby zostały wykorzystane dla dalszego pogłębiania wiedzy o Niższej oraz Wyższej Drodze Magii. Życzeniem moim jest, abyście stali się właścicielami wszystkich ksiąg i zwojów i wykorzystali je dla tego celu. W Królestwie zaczyna się właśnie nowa epoka magii i chciałbym, aby inni korzystali z owoców mego trudu i przemyśleń. Składam ten nowy wiek w wasze ręce. Podpisano, Macros”.

Kulgan odłożył zwój na stół.

– Jedną z ostatnich rzeczy, które mi powiedział, było to, abyśmy go zachowali w życzliwej pamięci – powiedział Pug.

Przez dłuższy czas w pracowni panowała absolutna cisza. W końcu Kulgan wyrwał się z zamyślenia.

– Gathis! – zawołał.

Po kilku sekundach w progu pojawił się ciemny stwór.

– Tak, mistrzu Kulgan?

– Czy znasz treść tego zwoju?

– Tak, Mistrzu. Mój pan udzielił mi nadzwyczaj szczegółowych instrukcji. Chciał być pewien, że jesteśmy świadomi jego żądań.

– Jesteśmy? O kim mówisz? – spytał Arutha. Gathis wyszczerzył zębiska w szerokim uśmiechu.

– Ja jestem tylko jednym ze sług mistrza Macroza. Innym polecono, by trzymali się od was z daleka, ponieważ sądzono, że ich widok może was zaniepokoić. Mój pan był całkowicie wolny od typowych ludzkich uprzedzeń i oceniał każde stworzenie jedynie podług osobistej wartości.

– A ty? Kim... czym ty właściwie jesteś? – zapytał Pug.

– Pochodzę z rasy pokrewnej goblinom, podobnie jak Elfy związane są z Mrocznym Bractwem. Jesteśmy starą rasą, która poza kilkoma wyjątkami wyginęła na długo, zanim ludzie pojawili się nad Morzem Gorzkim. Tych nielicznych, którym udało się przetrwać, Macros sprowadził na zamek. Ja jestem już ostatni.

Kulgan przyglądał mu się uważnie. Poza odrażającym wyglądem było w stworze coś, co sprawiało, że dał się lubić.

– Co teraz zrobisz?

– Będę czekał na powrót mego pana, utrzymując jego dom w należytym porządku.

– Zatem spodziewasz się, że powróci? – zapytał Pug.

– Najprawdopodobniej tak. Za dzień czy za rok, czy za wiek. To nie ma najmniejszego znaczenia. Jeżeli powróci, wszystko będzie gotowe na jego przyjęcie.

– A co, jeżeli zginął na zawsze? – spytał Arutha.

– W takim wypadku zestarzeję się tutaj, czekając na niego, i w końcu umrę. Ale nie wydaje mi się to prawdopodobne. Służyłem Czarnemu od dawna... od bardzo dawna. Pomiędzy nami istnieje pewnego rodzaju porozumienie. Gdyby rzeczywiście umarł, chyba bym o tym wiedział. On jest po prostu nieobecny. Nawet gdyby umarł, może powrócić. Dla mego pana czas nie jest tym samym, czym jest dla innych ludzi. Będę czekał. Nie przeszkadza mi to. Pug rozważał odpowiedź Gathisa.

– Tak, rzeczywiście musiał być mistrzem wszelkiej sztuki magicznej.

Usta Gathisa rozciągnęły się w uśmiechu od ucha do ucha.

– Gdyby to słyszał, uśmiełby się szczerze, panie. Pamiętam, jak zawsze narzekał, że jest jeszcze tak wiele do nauczenia się, a tak mało na to czasu. A były to słowa, które wypowiadał człowiek, który pojawił się na tym świecie tak dawno, że nie da się tego nawet policzyć.

Kulgan wstał z krzesła.

– Będziemy musieli sprowadzić ludzi ze statku, by przenieśli te wszystkie rzeczy.

– Nie kłopotz się tym, mistrzu Kulgan. Kiedy będziecie gotowi, wracajcie spokojnie na statek. Zostawcie tylko na plaży dwie łodzie. Następnego dnia o brzasku znajdziecie wszystko gotowe i zapakowane do podróży na pokładzie.

Kulgan kiwnął głową.

– Dobrze. No cóż, nie pozostaje więc nic innego, jak tylko zabrać się za katalogowanie tych wszystkich dzieł przed drogą.

Gathis podszedł do jednej z półek i wziął zwój pergaminu.

– W przewidywaniu waszych potrzeb, panie, przygotowałem już listę wszystkich zgromadzonych tu prac.

Kulgan rozwinął zwój i zaczął czytać katalog. Im dłużej czytał, tym bardziej oczy robiły

mu się okrągle ze zdumienia.

– Posłuchajcie tylko! – krzyknął po chwili podekscytowanym głosem. – Jest tu kopia

Oczekiwań związanych z transformacją materii, Vitalusa. – Oczy robiły się ogromne jak

spodki. – I Badanie czasu Spandrica. Uważano, że dzieło to zaginęło sto lat temu. – Obrzucił

towarzyszy zdumionym spojrzeniem. – I chyba ze sto prac opatrzonych imieniem Macroasa. To

skarb! Prawdziwy skarb! Jest tak wielki, że niepodobna nawet w przybliżeniu określić jego

prawdziwej wartości.

– Miło mi, że Mistrz tak uważa – powiedział uszczęśliwiony Gathis.

Kulgan zaczął wyliczać dzieła, które chciał natychmiast zobaczyć. Arutha wszedł mu w

słowo.

– Kulgan, poczekaj. Cierpliwości. Kiedy się do nich dorwiesz, będziemy cię musieli

związać, by wrócić na statek. Wracajmy na pokład i spokojnie poczekajmy, aż nam to wszystko

dostarczą. Pamiętaj, że musimy niedługo ruszać w drogę.

Kulgan wyglądał jak dzieciak, któremu zabrano cukierki. Arutha, Meecham i Pug

parsknęli śmiechem.

– Kulgan, nie ma żadnego istotnego powodu, by tu dłużej zostawać – powiedział Pug. –

Po koronacji mamy całe lata, by przestudiować te dzieła. Rozejrzyj się tylko. Czy chcesz to

wszystko pochłonąć za jednym zamachem?

Na twarzy potężnego maga pojawił się wyraz rezygnacji.

– No cóż... niech i tak będzie... Pug rozglądał się po pokoju.

– Tylko pomyśl. Akademia nauk magicznych, a w jej sercu biblioteka Macroasa.

Oczy Kulgana rozświeciły się wewnętrznym blaskiem.

– Na śmierć zapomniałem o zapisie księcia Borrica. Miejsce nauki. Skończyły się

czasy, gdy młodzi adepci sztuki magicznej terminowali u tego czy innego maga. Teraz będą się

uczylu od wielu. Z tą spuścizną i twoją osobistą wiedzą, Pug, mamy wspaniały początek.

– Jeżeli mamy w ogóle mieć jakiś początek, ruszajmy bez zwłoki w drogę. – Arutha przywołał Kulgana do porządku. – Mamy mieć nowego Króla, a im dłużej będziesz zwlekał, tym większe niebezpieczeństwo, że cię stąd nigdy nie wyrwiemy.

Kulgan spojrział na niego urażonym wzrokiem.

– Mogę chyba zabrać kilka rzeczy, by je przestudiować w czasie rejsu? Macie coś przeciwko temu?

Arutha wznosił obie dłonie w pojednawczym geście.

– Weź, co chcesz – powiedział ze smutnym uśmiechem. – Ale błagam, nie bierz więcej, niż zmieści się do łodzi.

Kulgan uśmiechnął się. Momentalnie wrócił mu dobry humor.

– Zgoda. – Zwrócił się do Gathisa: – Czy mógłbyś przynieść te dwa tomy, o których mówiłem?

Gathis podał mu dwie stare, wyczytane księgi. Kulgan popatrzył na niego zdumiony.

– Sądziłem, że uda wam się osiągnąć taki właśnie kompromis i zdjąłem je z półki, kiedy dyskutowaliście ten problem. Kulgan, idąc powoli ku drzwiom, przypatrywał się z nabożeństwem starym księgom, nie przestając kręcić z niedowierzaniem głową. Reszta poszła w jego ślady. Gathis zamknął drzwi. Goblinowaty stwór poprowadził ich labiryntem korytarzy, a potem przy głównym wejściu pożegnał, życząc szczęśliwej podróży.

Gdy ogromne wrota zatrzasnęły się za nimi, Meecham zwrócił się do towarzyszy.

– Wydaje się, że Macros, odpowiadając na każde nasze pytanie, zrodził pięć następnych.

– Twej uwadze nie można odmówić trafności, stary przyjacielu – odpowiedział Kulgan.

– Być może uda się rozjaśnić nieco mrok niewiedzy, gdy zapoznamy się bliżej z notatkami i

pracami Macrosa, a być może nie, no cóż, niewykluczone, że tak właśnie ma być.

# ODRODZENIE

W Rillanonie panował odświętny nastrój.

Jak okiem sięgnąć, trzepotały głośno na wietrze różnokolorowe sztandary i proporce.

Girlandy letnich kwiatów zajęły miejsce czarnych flag, którymi oznaczono czas oficjalnej żałoby po zmarłym Królu i jego kuzynie Borricu. Nadeszła pora koronacji nowego Króla i lud cieszył się i wiwatował. Co prawda mieszkańcy stolicy niewiele wiedzieli o Lyamie, ale miło było na niego patrzeć, a on hojnie obdarzał tłum uśmiechami, więc zaakceptowano go bez wahania. Prosty lud odnosił wrażenie, jakby spoza ciemnych chmur okresu panowania Rodrica wyjrzało nagle jasne, radosne słońce.

Jedynie nieliczni zdawali sobie sprawę z wszechobecności gwardzistów królewskich przeczesujących nieustannie miasto i wypatrujących czujnym wzrokiem agentów Bas-Tyry czy potencjalnych zabójców nasłanych na nowego monarchę. Jeszcze mniej osób zauważyło ubranych w zwykłe stroje osobników, którzy pojawiali się natychmiast w pobliżu tworzących się spontanicznie grupek na ulicach i pilnie nastawiali ucha, co też lud mówi o nowym Królu. Arutha pogalopował w stronę pałacu, zostawiając za sobą Puga, Kulgana i Meechama. Przeklinał pod nosem pech, który opóźnił ich przybycie o ponad tydzień. Najpierw niecałe trzy dni drogi od Krondoru wpadli w ciszę morską, a potem jeszcze ślamazarna podróż do Saladoru. Było wczesne popołudnie i kapłani Ishap nieśli już w pochodzie ulicami miasta nową koronę Króla. Za niecałe trzy godziny pojawią się przed tronem, a Lyam przyjmie od nich symbol swojej władzy.

Arutha zbliżał się do bram pałacu i na dziedzińcu rozległy się okrzyki straży.

– Księżę Arutha przybywa!

Arutha rzucił w biegu wodze najbliższemu paziowi i skacząc po dwa stopnie, wbiegł po schodach. Kiedy był o parę kroków od głównego wejścia, Anita wybiegła mu na spotkanie. Jej



twarz rozpromieniał radosny uśmiech.

– Och! – krzyknęła. – Jak cudownie znowu cię widzieć!

Powitał ją uśmiechem.

– Ja też się cieszę, Anita. Muszę się przygotować do ceremonii. Gdzie Lyam?

– Poszedł samotnie do Królewskiego Grobowca. Zostawił wiadomość, abys

natychmiast po przyjeździe przyszedł do niego. – Zatrokała się nagle. – Dzieje się coś  
dziwnego, ale nikt nie wie co. Od wczorajszej kolacji jedynie Martin Długi Łuk widział się z

Lyamem. A kiedy zobaczyłam Martina po ich spotkaniu, miał przedziwny wyraz twarzy.

Arutha roześmiał się beztrosko.

– Martin zawsze dziwnie wygląda. Chodź, pójdziemy do Lyama.

Anita nie pozwoliła jednak, aby zbagatelizował czy zignorował ostrzeżenie.

– Nie, idź sam. Tak polecił Lyam. A poza tym muszę się już przebierać do uroczystości.

Arutha, posłuchaj mnie uważnie, coś przedziwnego wisi w powietrzu, naprawdę!

Arutha spojrział na nią uważniej. Anita zawsze potrafiła dobrze ocenić sytuację.

– W porządku. I tak muszę poczekać, aż przyniosą moje rzeczy ze statku. Zobaczę się z

Lyamem, a potem, gdy tajemnica się wyjaśni, dołączę do ciebie w czasie ceremonii.

– Dobrze.

– Gdzie Carline?

– Krząta się przy różnych sprawach. Powiem jej, że już jesteś.

Pocałowała go w policzek i pośpiesznie się oddaliła. Arutha nie odwiedzał krypty, w

której spoczywali jego przodkowie, od czasów dzieciństwa, kiedy to przybył po raz pierwszy

do Rillanonu na koronację Rodrica. Poprosił pazia, by go tam zaprowadził, i ruszył za

chłopcem labiryntem korytarzy.

Przez kolejne wieki pałac ciągle się zmieniał. Dobudowywano skrzydła, ponad

zniszczonymi przez pożary, trzęsienia ziemi czy wojny konstrukcjami pojawiały się nowe, jednak w samym sercu rozległej bryły ostał się cudem pierwszy, starożytny zamek. Jedynym znakiem, że wkroczyli już w starodawne wnętrza, było pojawienie się ścian z ciemnego, wygładzonego przez wieki kamienia. Przed wejściem, ponad którym wykuto herb rodu conDoin, lwa w koronie trzymającego w łapach miecz, trzymało wartę dwóch gwardzistów.

– Książę Arutha – powiedział paź. Wartownicy otworzyli drzwi. Arutha wszedł do niewielkiego przedsionka, z którego prowadziły w dół długie schody.

Schodził powoli wzdłuż jasno płonących pochodni zatkniętych w szczeliny osmalonej sadzą ściany. Schody skończyły się i Arutha stanął przed potężnymi drzwiami pod wysoko sklepionym łukiem. Po obu stronach wznosiły się posągi starodawnych królów rodu conDoin w bohaterskich pozach. Po prawej stronie stał posąg Dannisa o zatartych przez czas rysach, przedstawiający pierwszego króla conDoin, który władał w Rillanonie przed siedmiuset pięćdziesięciu laty. Po lewej figura Delonga, jedyne Króla, który otrzymał przydomek „Wielki” i pierwszy poniósł sztandar Rillanonu na kontynent, podbijając Bas-Tyrę dwa i pół wieku po Dannisie.

Arutha przeszedł pomiędzy podobiznami swoich przodków i wkroczył do właściwej krypty. Szedł powoli pomiędzy rzędami antenatów swego rodu, pochowanych w ścianach grobowca czy leżących w wielkich, kamiennych katafalkach. Drogę wyznaczali mu królowie i królowe, książęta i księżniczki, łobuzy i łajdacy, święci i wielcy uczeni. Przy końcu potężnych katakumb dostrzegł sylwetkę Lyama siedzącego u stóp katafalku, na którym spoczywała kamienna trumna ojca. Na wieku wykuto podobiznę twarzy Borrice, co sprawiało wrażenie, jakby zmarły książę Crydee był pogrążony w spokojnym śnie.

Arutha podchodził powoli, nie chcąc przeszkadzać pogrążonemu w myślach bratu.

Po chwili Lyam podniósł na niego wzrok.

– Już się bałem, że się spóźnisz.

– Ja też. Trafiliśmy na fatalną pogodę i rejs ślimaczył się w nieskończoność. Ale wszyscy już dotarli. Lyam, o co chodzi? Co to za tajemnicze sprawy? Anita powiedziała, że spędziłeś tu całą noc i że masz jakąś tajemnicę. O co chodzi?

– Długo, bardzo długo się nad tym zastanawiałem, Arutha. Za kilka godzin dowie się o tym całe Królestwo, chciałem jednak, abyś ty pierwszy, przed innymi, dowiedział się o tym, co uczyniłem, i wysłuchał tego, co powiedzieć muszę.

– Anita mówiła, że dziś rano był tu z tobą Martin. Lyam, o co chodzi, powiedz wreszcie.

Lyam odsunął się nieco od grobowca ojca i wskazał na napis wykuty w kamieniu:

TU SPOCZYWA BORRIC, TRZECI KSIĄŻĘ CRYDEE, MAŁŻONEK

CATHERINE, OJCIEC MARTINA, LYAMA, ARUTHY ORAZ CARLINE.

Wargi Aruthy poruszały się bezgłośnie, lecz przez dłuższą chwilę nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. W milczeniu kręcił głową.

– Lyam, co to za szaleństwo?

Lyam stanął między Aruthą a wykutą w kamieniu twarzą ich ojca.

– To nie szaleństwo, Arutha. Na łożu śmierci ojciec uznał Martina za swego syna.

Martin jest naszym bratem. Jest najstarszy.

Twarz Aruthy wykrzywił grymas wściekłości.

– Dlaczego mi nic nie powiedziałeś? – krzyknął znękany głosem. – Jakim prawem ukrywałeś to przede mną? Lyam podniósł głos.

– Wszyscy, którzy wiedzieli, przysięgli, że zachowają to w tajemnicy. Nie mogłem ryzykować, że ktoś dowie się, zanim nie zostanie zawarty pokój. Stawka była zbyt wielka.

Arutha przecisnął się koło brata i jeszcze raz wpatrzył się z niedowierzaniem w napis.

– Wszystko zaczyna pasować... specjalne prawa... wykluczenie Martina z Dnia

Wyboru, to, że ojciec zawsze chciał wiedzieć, gdzie Martin przebywa, czy wreszcie to, że Martin miał całkowitą swobodę, mógł chodzić, gdzie tylko chciał. – W słowach Aruthy pobrzmiwała gorzka nuta. – Ale dlaczego teraz właśnie? Dlaczego ojciec uznał Martina po tylu latach milczenia i nieprzyznawania się do niego?

Lyam próbował uspokoić i pocieszyć brata.

– Zebrałem wszystkie możliwe szczegóły, jakie udało mi się wyciągnąć od Kulgana i Tully'ego. Poza nimi nie wiedział absolutnie nikt. Nawet Fannon. W pierwszym roku po objęciu władzy, po śmierci dziadka, ojciec udał się z wizytą do Brucala. Poderwał tam piękną pokojówkę i spłodził z nią dziecko. Martina właśnie. Dowiedział się o jego istnieniu dopiero po pięciu latach. Przybył na dwór, spotkał mamę i ożenił się. Gdy usłyszał o Martinie, jego matka podrzuciła go już mnichom w opactwie Silbana. Ojciec zdecydował, że na razie Martin pozostanie pod ich opieką.

Kiedy przyszedłem na świat, zaczął odczuwać wyrzuty sumienia, że ma syna, którego nie widział na oczy. Gdy skończyłem sześć lat, Martin był już gotowy do Wyboru. Ojciec zorganizował jego przyjazd do Crydee. Nie chcąc jednak okryć wstydem mamy, nie przyznał się do niego.

– To dlaczego teraz?

Lyam odwrócił się i przez chwilę wpatrywał w podobiznę ojca wykutą w kamieniu.

– Któż może wiedzieć, jakie myśli pojawiają się w mózgu człowieka w godzinie śmierci? Być może większe poczucie winy? Może poczucie honoru? Jakikolwiek był rzeczywisty powód, ojciec oficjalnie uznał Martina, biorąc Brucala za świadka.

W głosie Aruthy ciągle pobrzmiwał gniew.

– Tylko, że teraz to my, niezależnie od tego, co kierowało postępowaniem ojca, musimy się uporać z tym całym szaleństwem. – Popatrzył na Lyama ostrym wzrokiem. – A co Martin

powiedział, kiedy go wezwałeś na dół, by zobaczył napis?

Lyam spojrział w bok, jakby to, co miał powiedzieć, sprawiało mu wielki ból.

– Stał długo w milczeniu, a potem... a potem zaczął płakać. W końcu powiedział:

„Cieszę się, że ci powiedział”. Aruthą, on wiedział! – Lyam chwycił mocno brata za ramię. –

Przez te wszystkie lata ojciec sądził, że Martin nic nie wie o należnych mu z urodzenia prawach, lecz on wiedział. I ani razu... nigdy nie próbował wykorzystać tej wiedzy na swoją korzyść.

Aruthą uspokoił się nieco.

– Czy powiedział coś jeszcze?

– Tylko „Dziękuję, Lyam”. Potem wyszedł. Aruthą przechadzał się przez moment w milczeniu. Potem stanął przed Lyamem.

– Martin to dobry i prawy człowiek, nie spotkałem lepszego od niego. Będę pierwszym, który to otwarcie przyzna. Jednakże to oficjalne uznanie za syna! Na bogów, czy zdajesz sobie sprawę, co uczyniłeś?

– Działiałem całkowicie świadomie.

– Rzuciłeś na szalę wszystko to, co udało się osiągnąć przez dziewięć ostatnich lat. Czy mamy walczyć przeciwko ambitnym panom ze wschodu, którzy są gotowi wystąpić przeciwko tobie w imieniu Martina? Czy po to zakończyliśmy jedną wojnę, by natychmiast rozpoczynać następną, jeszcze bardziej bezsensowną i gorzką?

– Nie będzie sprzeciwu.

Arutha zatrzymał się w pół kroku. Oczy zwęziły mu się w wąskie szparki.

– O czym ty mówisz? Czy Martin obiecał, że nie zgłosi swego prawa do tronu?

– Nie. Zdecydowałem, że w wypadku gdyby Martin chciał przyjąć koronę, nie będę wchodził mu w drogę.

Arutha stał przez chwilę, wpatrując się w brata szeroko rozwartymi oczami i nie mogąc wydobyć z siebie słowa ze zdumienia. Zrozumiał po raz pierwszy wątpliwości, o których Lyam wspominał, kiedy rozmawiali o jego wstąpieniu na tron.

– Nie chcesz być Królem – powiedział Arutha oskarżycielskim tonem.

Lyam roześmiał się gorzko.

– Nikt przy zdrowych zmysłach tego nie chce. Ty sam nie powiedziałeś nic innego, jak to właśnie, pamiętasz? Nie wiem, czy będę w stanie podołać ciężarom władania Królestwem. Teraz jednak decyzja i rozwiązanie problemu nie spoczywa w moich rękach. Jeśli Martin zgłosi swoje roszczenia, uznam jego prawo do tronu bez słowa sprzeciwu.

– Jego prawo! Królewski pierścień został przekazany tobie w obecności większości panów Królestwa. Nie jesteś chorym Erlandem, który zrzekł się korony na rzecz bratanka na skutek słabego zdrowia i ze względu na niezbyt jasną sukcesję. Zostałeś oficjalnie mianowany następcą tronu!

– Oświadczenie o sukcesji jest nieważne. – Lyam opuścił głowę. – Rodne mianował mnie następcą jako „najstarszego męskiego członka rodu conDoin”, którym nie jestem. Jak już wiesz, jest nim Martin.

Arutha stanął twarzą w twarz z bratem.

– To prawda, Lyam, ale te twoje kruczki prawne mogą stać się przyczyną zniszczenia Królestwa! Jeśli Martin zgłosi swoje roszczenia na forum kongresu, kapłani Ishap przełamią koronę na pół, a rozwiązanie sprawy zostanie przekazane w ręce kongresu panów. Nawet teraz, gdy Guy się ukrywa, są dziesiątki książąt, baronów i innych panów, którzy bez wahania są gotowi poderżnąć gardło swemu sąsiadowi, by tylko zwołać obrady takiego kongresu. W czasie jego trwania połowa dóbr ziemskich w Królestwie zmieni swoich właścicieli w zamian za oddanie pożądanego głosu. Ale zabawa! Prawdziwy karnawał!

Jeżeli to ty weźmiesz koronę Bas-Tyry, nie będzie miał pola do żadnego manewru. Gdy jednak zdecydujesz się poprzeć Martina, wielu odmówi swego wsparcia. Guy niczego innego nie pragnie, jak tylko kongresu, który znajdzie się w sytuacji bez wyjścia. Założę się o wszystko, co posiadam, że teraz, dokładnie w tej chwili, Guy jest gdzieś w mieście i knuje całą parą, by do tego doprowadzić. Jeśli panowie ze wschodu zbuntują się, Guy błyskawicznie wypłynie na wierzch, a wtedy wielu uda się pod jego sztandar.

Lyam spojrział wzburzony na brata.

– Arutha, nie potrafię powiedzieć, co się stanie. Jedno wszakże wiem na pewno, nie mogłem postąpić inaczej, niż postąpiłem.

Przez moment Arutha wyglądał tak, jakby miał uderzyć Lyama.

– Być może rzeczywiście odziedziczyłeś po ojcu wspaniałe poczucie honoru rodzinnego, lecz to na resztę, na nas wszystkich spadnie problem nieuniknionej jatki! Niech niebiosa mają litość nad nami! Lyam, tylko pomyśl, co się stanie, gdy jakiś nie znany zupełnie do tej pory, bezimienny myśliwy zasiądzie na tronie conDoin tylko dlatego, że prawie czterdzieści lat temu nasz ojciec zabawił się z ładniutką pokojówką! Jak nic będziemy mieli na głowie wojnę domową!

Lyam twardo trzymał się swego zdania.

– A gdybyś ty znalazł się na moim miejscu, czy pozbawiłbyś Martina dziedzicznego prawa?

Gniew Aruthy wyparował. Spojrział na brata zdumiony.

– Bogowie! Przyznaj, że po prostu czujesz się winny, ponieważ ojciec, przez całe swoje życie, nie przyznał się do Martina, prawda? – Odsunął się od Lyama, jakby chciał mu się przyjrzeć z większej odległości. – Gdybym to ja znalazł się na twoim miejscu, z pewnością odmówiłbym Martinowi tego prawa. Po trzydziestu siedmiu latach... jakie znaczenie ma kilka

dni? Gdy już zostałbym Królem i miał zapewnione bezpieczeństwo tronu, nadałbym mu tytuł książęcy, oddałbym armię pod jego dowództwo, mianował pierwszym doradcą i uczynił wszystko, co tylko trzeba, by ocalić sumienie, lecz nie przed zapewnieniem Królestwu całkowitego bezpieczeństwa i stabilności. Nie dopuściłbym, bez względu na to, jakie kroki należałoby podjąć, by Martin odgrywał Borrica Pierwszego, a Guy Jona Pretendenta.

Lyam westchnął głęboko. W jego oczach widać było żal.

– Zatem ja i ty reprezentujemy dwa odmienne typy ludzi. Jak pamiętasz, powiedziałem ci jeszcze w obozie, że byłbyś dużo lepszym Królem niż ja. Być może masz rację, ale co się stało, to się nie odstanie.

– Czy Brucal wie o tym wszystkim?

– Tylko nas trzech. – Spojrzał bratu prosto w oczy. – Wiedzą o tym tylko synowie naszego ojca.

Arutha, zdenerwowany ostatnią uwagą, aż poczerwieniał na twarzy.

– Lyam, nie zrozum mnie źle. Bardzo lubię Martina, wierz mi, lecz w tym wypadku mamy do czynienia z zagadnieniami, które daleko wykraczają poza osobiste uwarunkowania. – Zamyślił się na chwilę. – No cóż, a więc wszystko w rękach Martina. Jeśli rzeczywiście nie mogłeś postąpić inaczej, przynajmniej nie zrobiłeś tego publicznie. I tak będzie niezłe zamieszanie, jeśli Martin wystąpi w czasie koronacji. Wiedząc o wszystkim z góry, możemy się jakoś przygotować.

Arutha ruszył ku schodom. Zatrzymał się po paru krokach i odwrócił do brata.

– To, co powiedziałeś, ma dwa ostrza, Lyam. Być może jest właśnie tak, że ponieważ nie możesz odmówić prawa Martinowi, będziesz jednak lepszym Królem niż ja. Wiedz jednak, że choć bardzo cię kocham, nie dopuszczę, aby przez sukcesję Królestwo się rozpadło.

Lyam sprawiał wrażenie, jakby już nie potrafił się spierać z bratem. W jego głosie



brzmiało znużenie i nacechowana zniechęceniem rezygnacja, gotowość do zdania się na to, co los przyniesie,

– Co zrobisz?

– To, co będę musiał. Dopilnuję, aby ci, którzy pozostają lojalni wobec nas, zostali ostrzeżeni. Jeśli nie będzie można uniknąć otwartej walki, przynajmniej będziemy mieli za sobą przewagę zaskoczenia przeciwnika. – Przerwał na chwilę.

– Lyam, powtarzam jeszcze raz, ponieważ chcę, abyś o tym nie zapomniał, że wobec Martina żywię jedynie przyjazne uczucia. Przez wiele lat włączyłem się z nim po lasach polując, poza tym w znacznym stopniu przyczynił się do wyrwania Anity kapusiom Guya, a to jest dług, którego nigdy nie uda mi się spłacić. W innym miejscu i czasie z radością powitałbym go jako brata. Gdyby jednak miało dojść do rozlewu krwi w kraju, nie zawaham się go zabić. Arutha odwrócił się na pięcie i opuścił kryptę swych przodków. Lyam został sam i z każdą chwilą czuł narastający chłód i piętrzący się na barkach ciężar wieków.

Pug wyglądał przez okno, wspominając przeszłe lata. Katala stanęła obok i wyrwała go z zadumy.

– Ślicznie wyglądasz – powiedział. Miała na sobie piękną suknię w kolorze głębokiej czerwieni wykończoną u góry i przy rękawach złotą lamówką. – Najwspanialsza księżniczka z dworu królewskiego nie dorównuje ci urodą i wdziękiem.

Uśmiechnęła się, słysząc komplement.

– Dziękuję ci, mężu. – Okręciła się dookoła, prezentując suknię. – Księżę Caldric to chyba prawdziwy czarodziej. Jak to możliwe, aby jego służba w ciągu zaledwie dwóch godzin zdołała odnaleźć to wszystko i przygotować? To dopiero są prawdziwe czary. – Pogładziła z radością materiał sukni.

– Zajmie mi trochę czasu, zanim się przyzwyczaję do tych ciężkich i drugich sukien.

Chyba jednak wolę krótkie, zwykłe ubrania w domu... Ale to piękny strój. I widzę, że w tym twoim zimnym świecie takie ubiory są konieczne. – Lato dobiegało końca i w ciągu kilku ostatnich dni ochłodziło się znacznie. Za niecałe dwa miesiące można się będzie spodziewać pierwszych opadów śniegu.

– Jeśli ci się wydaje, że teraz jest zimno, to poczekaj tylko, aż zima przyjdzie.

Do pokoju wpadł William, który zajmował sąsiadującą z nimi sypialnię. – Mamo! Tato!

– krzyczał na całe gardło w dziecięcym zachwycie. Ubrany był w bluzę i spodnie kunsztownie uszyte z doskonałego materiału, których nie powstydziliby się młody panicz dworski. Skoczył z rozpędu w wyciągnięte ramiona ojca.

– Gdzie idziecie? – spytał, patrząc na nich szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Idziemy zobaczyć, jak Lyam zostaje Królem. Kiedy nas nie będzie, słuchaj piastunki i nie drażnij Fantusa.

Mały obiecał, że będzie i że nie będzie, w kolejności zaleceń, lecz psotny uśmieszek, który zaigrał na jego wargach, podawał w wątpliwość wiarygodność jego przyrzeczeń. Służąca, która miała pełnić rolę piastunki, weszła za nim i zabrała ze sobą z powrotem do jego pokoju.

Pug i Katala wyszli z apartamentów, które przydzielił im Caldric, i udali się do sali tronowej. Gdy wyszli zza rogu, zobaczyli Lauriego, który opuszczał właśnie swój pokój. Obok stał zdenerwowany Kasumi.

Laurie rozpromienił się na ich widok.

– Ach! Tu jesteście. Miałem nadzieję, że uda mi się z wami zobaczyć przed rozpoczęciem uroczystości.

Kasumi skłonił się nisko przed Pugiem, chociaż teraz mag, zamiast długiej, czarnej szaty ubrany był w modną bluzę i spodnie rdzawego koloru.

– Bądź pozdrowiony. Wielki.

– Kasumi, to należy już do przeszłości. Skoro jesteś tu z nami, proszę, abys nazywał mnie po prostu Pug.

– Wspaniale obaj wyglądacie – powiedziała Katala. – Nowy strój i ten mundur.

Jesteście tacy przystojni.

Laurie miał na sobie jaskrawy strój, który był ostatnim krzykiem mody. Żółta bluza, na wierzchu zielona kamizelka i obcisłe, czarne spodnie wpuszczone w wysokie do kolan buty.

Kasumi miał na sobie mundur kapitana garnizonu La-Mut, ciemnozieloną bluzę i spodnie, a na wierzchu kaftan z herbem La-Mut, głową szarego wilka.

Trubadur uśmiechnął się do niej.

– W tym całym zamieszaniu kilku ostatnich miesięcy na śmierć zapomniałem, że jestem właścicielem niewielkiej fortuny w kamieniach szlachetnych. Ponieważ nie mam żadnej możliwości oddania ich panu Shinzawai, a jego syn odmawia ich przyjęcia, wygląda na to, że według prawa są moje. Już nie będę się musiał kłopotać szukaniem bogatej wdowy z gospodą.

– Kasumi, jak tam twoi ludzie? – spytał Pug.

– Nieźle... ogólnie nieźle, chociaż w dalszym ciągu między nimi a żołnierzami z

La-Mut istnieje pewne napięcie. Z czasem wszystko się ułoży. Tydzień po odejściu do garnizonu spotkaliśmy Mroczne Bractwo, to prawda, potrafią nieźle walczyć, ale

rozpędziliśmy ich na cztery strony świata. Oba garnizony, Tsurani i La-Mut, świętowały hucznie wspólne zwycięstwo. To był dobry początek.

To było coś więcej niż spotkanie. Wieści o bitwie dotarły do samego Rillanonu.

Bractwo Mrocznego Szlaku oraz ich sprzymierzeńcy, gobliny, zdobyli szturmem jeden z osłabionych w czasie wojny nadgranicznych garnizonów w okolicy Yabon. Tsurani zeszedli ze swej trasy do Zim, popędzili na północ i uwolnili garnizon. Walczyli jak szaleńcy, by ocalić

swoich byłych przeciwników od przewyższającej ich liczebnie nawały goblinów. Przegnali ich aż w góry na pomoc od Yabon.

Laurie mrugnął do Puga.

– Tsurani zasłużyli sobie na miano bohaterów i kiedy przybyli tu, do Rillanonu, zgotowano im owacyjne przyjęcie. – Ponieważ stolica oddalona była od centrum zmagających wojennych, jej mieszkańcy nie czuli wielkiej nienawiści do byłych wrogów i powitali ich w sposób, który byłby nie do pomyślenia w Wolnych Miastach, Yabon czy wzdłuż Dalekiego Wybrzeża. – Wygląda na to, że to powitanie wywarło na ludziach Kasumiego spore wrażenie. Nie wiem, czy nie zbyt wielkie.

– Tak, to prawda – zgodził się Kasumi. – Przyjęcie, jakie nam zgotowano, nie byłoby możliwe w naszym świecie, ale tutaj...

– Tak czy siak, nie ulega wątpliwości, że Tsurani pokonali dzielący ich od nas dystans jednym skokiem, jeśli można się tak wyrazić. U ludzi Kasumiego rozwinęło się nagle, lecz dogłębne zainteresowanie i szacunek dla win i piw Królestwa. Doszło nawet do tego, że wielu z nich udało się nawet przełamać obrzydzenie do wysokich kobiet.

Kasumi patrzył w bok, a na jego ustach pojawił się pełen zakłopotania uśmiech. Laurie ciągnął dalej:

– Nasz dzielny kapitan tydzień temu bawił w gościnie u jednej z bogatszych rodzin kupieckich, która pragnie nawiązać szersze kontakty handlowe z zachodem. I od tego czasu, nie wiedzieć czemu, ciągle się go widuje w towarzystwie córki pewnego bogatego kupca. Kalala zaśmiała się głośno, a Pug, widząc zakłopotanie Kasumiego, uśmiechnął się przyjacielsko.

– Zawsze był bystrym uczniem... Kasumi spuścił głowę, a policzki mu poczerwieniały.

Nie przestawał się jednak uśmiechać szeroko.

– No tak... chociaż z drugiej strony trudno uwierzyć, że wasze rodaczki mają aż tyle swobody. Teraz już wiem, dlaczego wy obaj mieliście tak silną wolę i upór, wyssaliście je z mlekiem swoich matek.

Uwagę Lauriego przykuło czyjeś zbliżanie się. Pug dostrzegł na twarzy przyjaciela wyraz niekłamanego podziwu. Mag odwrócił się i powędrował wzrokiem za spojrzeniem trubadura. Jego oczom ukazał się miły widok pięknej kobiety, która zbliżała się do nich w towarzystwie przybocznej straży. Oczy Puga zrobiły się nagle okrągłe jak spodki. Poznał Carline. Zgodnie z tym, co zdradzał jej dziewczęcy wygląd, wyrosła na piękną kobietę. Zbliżyła się do nich i ruchem ręki oddaliła żołnierza. We wspaniałej, zielonej szacie oraz wysadzanej perłami tiarze, zdobiącej jej długie, czarne włosy wyglądała dostojnie i godnie.

– Mistrzu magii, czy nie powitasz swej starej przyjaciółki? Pug skłonił się przed Księżniczką, a Kasumi i Laurie poszli w jego ślady. Katala dygnęła wdzięcznie, jak nauczyła ją jedna z pokojówek.

– Wasza Wysokość mi pochlebia tym, że raczyła zapamiętać prostego chłopaka z zamku – powiedział Pug. Carline uśmiechnęła się. Błękitne oczy rozbłysły.

– Och, Pug, nigdy nie byłeś dla mnie jakimś tam chłopakiem. – Spojrzała w bok i ujrzała Katalę. – Czy... czy to twoja żona? – Gdy skinął głową i przedstawił je sobie nawzajem, Księżniczka podeszła do Katali i pocałowała ją w policzek. – Słyszałam, że jesteś piękna i urocza, ale widzę, że opis mego brata nawet w połowie nie dorównuje rzeczywistości.

– Wasza Wysokość jest zbyt łaskawa – odpowiedziała Katala.

Kasumi zaczął się znowu kręcić nerwowo, lecz Laurie stał jak kamienny posąg, nie mogąc oderwać oczu od młodej piękności w zielonej sukni. Katala musiała go mocno chwycić za ramię, by przywrócić do realnego świata.

– Laurie, czy nie zechciałbyś oprowadzić mnie i Kasumiego po pałacu, zanim

rozpocznie się uroczystość?

Laurie uśmiechnął się szeroko, skłonił się przed Księżniczką i ruszył przodem, prowadząc za sobą Katalę i Kasumiego. Pug i Carline patrzyli przez chwilę w milczeniu za oddalającą się grupką.

– Masz naprawdę czarującą żonę.

– Tak, rzeczywiście jest wyjątkowa. Carline była szczerze ucieszona ze spotkania.

– Słyszałam też, że masz synka.

– Williama. Straszny z niego łobuziak, ale kocham go nad życie.

Przez twarz Carline przemknął cień zazdrości.

– Bardzo bym chciała go zobaczyć. – Zamilkła na moment, a potem dodała: –

Poszcęściło ci się...

– Tak, Wasza Wysokość, spotkało mnie wielkie szczęście. Wzięła go pod rękę i zaczęli się powoli przechadzać.

– Dlaczego jesteś taki sztywny i formalny? A może powinnam mówić do ciebie

Milamber, bo jak słyszałam, znany byłeś pod takim imieniem? – Mówiąc to, uśmiechnęła się.

Odpowiedział jej tym samym.

– Sam już nie wiem... chociaż tutaj Pug wydaje się bardziej odpowiednim imieniem. –

Pokazał zęby w uśmiechu. – Odnoszę wrażenie, że dużo o mnie wiesz.

Wydęła lekko usta.

– Zawsze byłeś moim ulubionym magiem. Wybuchnęli gromkim śmiechem. Pug zniżył głos.

– Carline, tak mi przykro z powodu śmierci twego ojca.

Spoważniała.

– Lyam powiedział mi, że byłeś przy nim w ostatnich chwilach. Tak się cieszyłam, że

doczekał twego bezpiecznego powrotu do nas. Czy wiedziałeś, jak bardzo cię kochał?

Wzruszenie ogarnęło Puga.

– Dał mi imię. Nie mógł tego dobitniej okazać, prawda? Wiesz o tym?

Twarz Carline rozjaśniła się.

– Tak, Lyam też mi powiedział o tym. W pewnym sensie jesteśmy teraz kuzynami –

powiedziała ze śmiechem. Spacerowali wzdłuż korytarza, a ona mówiła do niego miękkim głosem.

– Pug, byłeś moją pierwszą miłością, lecz także kimś więcej, zawsze byłeś moim przyjacielem. Jestem szczęśliwa, że przyjaciel wrócił do domu.

Zatrzymał się i pocałował ją lekko w policzek.

– I twój przyjaciel też jest szczęśliwy, szczęśliwy, że jest nareszcie w domu.

Na jej policzkach pojawił się rumieniec. Poprowadziła go w stronę maleńkiego ogródka na zalanym słońcem tarasie. Usiedli na kamiennej ławie. Carline westchnęła głęboko.

– Szkoda tylko, że nie ma z nami ojca i Rolanda...

– Tak, bardzo się zasmuciłem, gdy usłyszałem o śmierci Rolanda.

Pokiwała powoli głową.

– Ten lekkoduch nacieszył się swym krótkim życiem o wiele bardziej niż inni, którym dane było dożyć starości. Wiesz co, tak sobie myślę, że chociaż skrywał wiele za maską wesołości i bez troski, był jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich spotkałam w życiu. Brał każdą, nadchodzącą minutę i wyciskał z niej życie do ostatniej kropelki. – Pug podniósł wzrok i przyglądał się jej z uwagą. Oczy dziewczyny błyszczały ogniem szczęśliwych wspomnień. – Gdyby żył, wyszłabym za niego. Podejrzewam, że kłócilibyśmy się każdego dnia, och, bogowie, jak on mnie czasami wkurzał... Ale byłam przy nim szczęśliwa. Potrafił mnie rozbawić do łez. Tyle mnie nauczył o życiu. Na zawsze go zachowam w pamięci...

– Carline, cieszę się, że potrafiłaś odnaleźć ukojenie po stratach i bólu, że jest w tobie spokój. Długie lata byłem niewolnikiem, potem magiem gdzieś daleko, w obcym świecie zmieniłem się bardzo. Ty też się bardzo zmieniłaś.

Przechyliła głowę, by przypatrzeć mu się dokładnie.

– Nie, nie wydaje mi się, abyś się aż tak bardzo zmienił. Zostało jeszcze sporo z chłopca, który był potwornie roztrzęsiony z powodu względów, które mu okazywałam.

– Tak, chyba masz rację. – Pug roześmiał się. – Ty zresztą też w pewnym sensie nie zmieniłaś się albo jeśli nawet, to zachowałaś przynajmniej zdolność wprowadzania mężczyzn w stan roztrzęsienia wewnętrznego, gdy można przyjąć reakcję Lauriego za miarę twego oddziaływania.

Spojrzała na niego rozpromienionym wzrokiem. Na ustach rozkwitł czarujący uśmiech.

Pug poczuł gdzieś głęboko w sercu delikatne ukłucie, echo młodzieńczych uczuć do dziewczyny. Teraz jednakże nie czuł niepokoju i niepewności. Wiedział, że zawsze będzie kochał Carline, chociaż nie w taki sposób, o jakim śnił, będąc chłopcem. Było to coś znacznie więcej niż nagły poryw namiętności i coś innego niż głęboko tkwiąca w sercu więź z Kalalą. Wiedział, że zawsze będzie darzył Carline prawdziwą, pozbawioną podtekstów, przyjaźnią i przywiązaniem.

Carline nawiązała do ostatniej uwagi Puga.

– Czy to ten piękny blondyn, z którym rozmawiałeś kilka minut temu? Kto to?

Pug uśmiechnął się znacząco.

– Wszystko wskazuje, że to twój najbardziej oddany sługa. Laurie, trubadur z Tyr-Sog i łobuz o nie ograniczonym sprycie i zniewalającym uroku osobistym. W jego piersi bije gorące serce i mieszka nieustraszony duch. To prawdziwy przyjaciel. Opowiem ci kiedyś, jak z narażeniem własnego życia ocalił moje.



Carline przechyliła śmiesznie głowę na bok.

– Ten pan wydaje mi się coraz bardziej intrygujący. – Pug odetchnął z ulgą. Mimo upływu ładnych paru lat, większego opanowania i ciężkich, życiowych doświadczeń była to wciąż ta sama, dawna Carline.

– Obiecałem mu kiedyś żartem, że ci go przedstawię. Jestem pewien, że nic nie sprawiłoby mu teraz większej radości niż możliwość spełnienia tej obietnicy.

– Trzeba to będzie jakoś zaaranżować. – Wstała. – Ale teraz, Pug, obawiam się, że najwyższy już czas, bym przygotowała się do koronacji. Za chwilę zaczną bić w dzwony i przybędą kapłani. Porozmawiamy później.

Pug również podniósł się z ławy.

– Czekam na to z niecierpliwością, Carline.

Podał jej ramię. W tym momencie usłyszał za sobą czyjś głos.

– Pug, panie Pug, czy mógłbym zamienić kilka słów. Odwrócili się oboje. O kilka kroków dalej, w głębi ogródka stał Martin Długi Łuk. Skłonił się przed Księżniczką.

– Mistrz Długi Łuk! To tu się ukrywasz! Nie widziałam cię od wczoraj.

– Chciałem być sam przez jakiś czas. – Martin uśmiechnął się lekko. – W Crydee, kiedy przychodzi na mnie taki nastrój, zaszywam się po prostu w lesie. Tutaj... – wskazał ruchem ręki ogromne, tarasowate ogrody – to najlepsze, co udało mi się znaleźć.

Spojrzała na niego spod oka, jakby chciała go zbesztać, lecz po chwili wzruszyła tylko lekko ramionami i uśmiechnęła się.

– No cóż, mam nadzieję, że uda ci się znaleźć czas, by wziąć udział w uroczystościach koronacyjnych. A teraz, jeśli panowie pozwolą, muszę uciekać. Późno już. – Przyjęła z wdziękiem ich grzeczne pożegnanie i zostawiła samych.

– Cieszę się, że znowu cię widzę, Pug.

– I ja również, Martin. Ze wszystkich moich starych przyjaciół ty ostatni mnie witasz.

Poza tymi, którzy są w Crydee i których zobaczę później, ty zamykasz listę. Wróciłem do domu. – Pug spostrzegł, że Martina coś gryzie. – Martin, czy coś się stało?

Łowczy spojrzał w dal ponad ogrodami i miastem na daleki, morski horyzont.

– Lyam powiedział mi, Pug. Powiedział także, że i ty wiesz.

Pug natychmiast zrozumiał.

– Byłem przy śmierci twego ojca, Martin – powiedział cichym, spokojnym głosem.

Martin zaczął powoli iść przed siebie, aż dotarł do niskiego, kamiennego murku okalającego ogród. Wsparł się mocno o wystające głazy.

– Mojego ojca... – powiedział z goryczą w głosie. – Tyle lat czekałem, by powiedział do mnie: „Martin, jestem twoim ojcem”. – Przełknął z trudem ślinę. – Nigdy nie obchodził mnie spadek, dziedzictwo i tak dalej. Byłem szczęśliwy jako wielki łowczy Crydee, to mi wystarczało... gdyby tylko sam mi to powiedział...

Pug zastanawiał się przez chwilę, co powiedzieć.

– Martin, wielu ludzi robi rzeczy, których potem gorzko żałują. Jedyne nielicznym dana jest szansa i możliwość naprawiania swoich starych błędów. Gdyby strzała Tsuranich uśmierciła go natychmiast lub gdyby zdarzyło się sto innych okoliczności, może nie zdążyłby zrobić nawet i tego, co uczynił w ostatnich chwilach życia.

– Wiem, Pug, wiem. Ale to niewielka pociecha.

– Czy Lyam powtórzył ci jego ostatnie słowa? Powiedział: „Martin jest twoim bratem. Wyrządziłem mu krzywdę, Lyam. Jest dobrym człowiekiem i bardzo go Kocham”.

Kostki zaciśniętych na kamieniach dłoni aż pobieleały.

– Nie, nie powtórzył – powiedział cicho.

– Księżę Borric nie był prostym człowiekiem. Chociaż poznałem go, kiedy byłem

jeszcze chłopcem, wiem jedno, że cokolwiek by o nim powiedzieć, jednego nie można mu zarzucić: w jego sercu nigdy nie zagościła nieprawość i zło. Nie twierdzę, że wiem, dlaczego postąpił tak, jak postąpił, ale to, że cię bardzo kochał, jest pewne.

– Jakie to było głupie, przecież wiedziałem, że był moim ojcem. On zaś nigdy się nie dowiedział, że matka mi powiedziała. Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym poszedł do niego i powiedział, że wiem o wszystkim?

– Tylko bogowie to wiedzą. – Pug położył delikatnie dłoń na ramieniu Martina. – Dziś tylko jedno liczy się naprawdę: co ty teraz zrobisz. Jeśli Lyam ci powiedział, oznacza to, że zamierza publicznie wyjawić twe dziedziczne prawa do korony. Jeśli już to zrobił, na dworze będzie wrzało. Jesteś najstarszy i twoje prawo do tronu jest pierwsze. Czy zdecydowałeś już, co zrobisz?

Martin przyjrzał się uważnie Pugowi.

– Bardzo spokojnie mówisz o tym wszystkim, Pug. Czy moje ewentualne roszczenia i w ogóle to całe zamieszanie nie denerwuje cię, nie obchodzi?

– Martin, nie możesz oczywiście tego wiedzieć, ale w Imperium Tsuranuanni byłem zaliczany do najpotężniejszych ludzi. W pewnych dziedzinach moje słowo liczyło się bardziej niż wszystkie rozkazy królewskie razem wzięte. Wydaje mi się, że wiem, jaką moc ma władza i jaki typ ludzi dąży do jej zdobycia. Wątpię, Martin, byś miał jakieś wielkie, osobiste ambicje, chyba że aż tak bardzo się zmieniłeś od czasów, kiedy mieszkałem w Crydee. Jeśli sięgniesz po koronę, uczynisz to tylko i wyłącznie z powodów, które w twoim mniemaniu uznasz za słuszne i przekonujące. Być może to jedyny sposób, by uniknąć wojny domowej, bo jeśli zdecydowałbyś się na przyjęcie korony, Lyam jako pierwszy złoży ci przysięgę wierności i lojalności. Niezależnie od tego, jaki powód przeważy, wiem, że nie będziesz działał pochopnie i zrobisz absolutnie wszystko, co w twojej mocy, by działać roztropnie i być dobrym władcą

Królestwa.

Martin spojrział na niego z podziwem.

– Bardzo się zmieniłeś, Pug. O wiele bardziej, niż sądziłem. Chciałbym ci serdecznie podziękować za szczerą i uprzejmą ocenę mojej osoby, lecz wydaje mi się, że byłbyś jedyną osobą w całym Królestwie, która podzielałaby ten pogląd.

– Czy prawda jest tu czy tam, to nie ma znaczenia. Jesteś nieodrodnym synem swego ojca i wiem, że nie splamisz honoru swego domu.

I znowu w słowach Martina zabrzmiała nuta goryczy.

– Znajdą się tacy, którzy samo moje pochodzenie uznają za hańbę. – Popatrzył na rozciągające się u ich stóp miasto. Potem odwrócił się w stronę Puga. – O ile łatwiej by było, gdyby wybór był prosty, lecz Lyam zatroszczył się o to, by go skomplikować. Jeśli zdecyduję się wziąć koronę, niektórzy się zbuntują. Jeśli z kolei zrezygnuję na korzyść Lyama, z pewnością znajdą się tacy, którzy będą chcieli mnie wykorzystać jako pretekst do wystąpienia przeciwko Lyamowi.

Niech bogowie czuwają nad nami, Pug. Gdyby sprawa rozgrywała się pomiędzy mną a Aruthą, bez chwili wahania ustąpiłbym mu miejsca. Lecz Lyam? Nie widziałem go od siedmiu lat, a czas ten niewątpliwie go odmienił. Sprawia wrażenie człowieka stale szarpanego wątpliwościami i rozterkami. Wspaniały i sprawny dowódca na polu bitwy, to prawda, ale Król? Staję przed przerażającą mnie perspektywą, że być może okazałbym się lepszym niż on Królem.

Pug mówił spokojnie i cicho.

– Martin, tak jak już powiedziałem wcześniej, wiem, że jeśli zgłosisz swe prawo do tronu, uczynisz to jedynie z powodów, które będziesz uważał w głębi serca za słuszne. A głównie z poczucia obowiązku wobec kraju.

Martin zacisnął prawą dłoń w pięść i podniósł do twarzy.

– Gdzie kończy się obowiązek, a zaczynają osobiste ambicje? Gdzie kończy się sprawiedliwość, a zaczyna zemsta? Jest we mnie jakaś część, część pełna zła i chciwości, która podszeptuje: „Martin, nie bądź głupi i wyciśnij dla siebie przy sposobności wszystko, co się tylko da”. A dlaczegoż by nie król Martin? A inna część szepcze z kolei, że być może ojciec wyjawiał mi prawdę, wiedząc, że któregoś dnia będę musiał zostać Królem? Och, Pug. Co jest moim obowiązkiem, a co nie?

– Odpowiedź na to pytanie każdy musi znaleźć sam w swoim sercu. W tym nie mogę ci pomóc, Martin, wierz mi. Sam musisz zdecydować.

Martin oparł się łokciami o murek i ukrył twarz w dłoniach.

– Pug... jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym na chwilę zostać sam...

Pug odszedł bez słowa, rozumiejąc dobrze, że targany wątpliwościami Martin musi w najbliższym czasie zdecydować o swoim losie. I losie Królestwa.

Pug odnalazł Katalę, Lauriego i Kasumiego rozmawiających z księciem Brucalem i Vandrosem. Zbliżając się usłyszał słowa Brucala.

– Zatem teraz, kiedy ten półgłówek – wskazał ręką na Vandrosa – w końcu zdecydował się poprosić o rękę mej córki, będziemy wreszcie mieli ślub i wesele. Może doczekam się jednak wnuków przed śmiercią? Tylko patrzcie, co się dzieje, jeśli ktoś tak długo zwleka z żeniactwem. Zanim własne dzieci ożenią się czy wyjdą za mąż, ty już jesteś stary... – Skłonił się lekko, widząc Puga. – Ach, magu, nareszcie. Gdzie to się podziewałeś, co?

Katala uśmiechnęła się do męża.

– Czy spotkanie po latach z Księżniczką udało się?

– O tak, bardzo.

Stuknęła go wskazującym palcem w pierś.

– A kiedy już będziemy sami, powtórzysz mi wszystko... każde słowo. Pamiętaj.

Pozostali, widząc zmieszanie Puga, ryknęli śmiechem, chociaż on dobrze wiedział, że Katala tylko żartuje.

– Ach, magu, masz taką uroczą żoneczkę, szkoda, że nie mam znowu sześćdziesiątki...

– puścił oko do Puga – bo jak nic, bym ci ją podkradł i miałbym w nosie skandal. – Wziął Puga pod rękę i zwrócił się do Kalali: – Zamiast tego, obawiam się, że muszę, jeśli pani pozwoli, wykraść raczej trochę czasu męża.

Popychając lekko Puga przed sobą, opuścił zdziwione towarzystwo. Zatrzymał się dopiero, kiedy znaleźli się poza zasięgiem ich głosu.

– Mam złe wiadomości.

– Wiem.

– Lyam to głupiec, szlachetny głupiec. – Zamyślił się przez chwilę, patrząc przed siebie.

Przed oczyma przesuwały mu się obrazy z przeszłości. – Tak, to nieodrodny syn swojego ojca...

a i wnuk swego dziada, jak pamiętam. Tak jak jego przodkowie jest ogromnie wyczulony na sprawy honoru. – Przez mózg znowu przeszła fala wspomnień. – Dużo bym dał, by jego poczucie obowiązku było równie silne. – Zniżył głos prawie do szeptu. – Dopilnuj, by żona trzymała się blisko ciebie. Straże w pałacu noszą królewską purpurę i będą bronić Króla do ostatniej kropli krwi... kimkolwiek on będzie. Ale może być gorąco. Wielu wschodnich panów jest impulsywnych i gwałtownych, przyzwyczaili się, że ich każde, nawet najdrobniejsze żądania są spełniane natychmiast. Może się okazać, że niektórzy będą chcieli siać zamieszanie i gardłować, ale szybko się przekonają, że zamiast gardłować mogą stracić gardło.

Ludzie Vandrosa i moi rozmieszczeni są w całym pałacu, a Tsurani Kasumiego gotowi na każde skinienie Lyama, na zewnątrz. Nie podoba się to wschodnim panom, ale ponieważ Lyam jest oficjalnym następcą tronu, nie mogą mu się sprzeciwić. Razem z tymi, którzy będą z

nami, możemy błyskawicznie opanować i utrzymać pałac.

Teraz, kiedy Bas-Tyra ukrywa się, a Ryszard z Saladoru nie żyje, frakcje ze wschodu zostały praktycznie pozbawione przywódców. Mimo to jest ich na wyspie dostatecznie dużo i mają w mieście i w okolicy wystarczająco dużo oddziałów różnych „gwardii honorowych”, aby obrócić teren wyspy w małe pole bitwy, gdyby uciekli z zamku przed mianowaniem nowego Króla. Nie, nie wypuścimy pałacu z rąk. Żaden zdradziecki panek ze wschodu nie opuści jego progów, by knuć kolejne spiski z Czarnym Guyem. Osobiście dopilnuję, aby każdy z nich zgiał kolano przed nowym monarchą, niezależnie od tego, który brat weźmie koronę.

Pug spojrział na niego zdziwiony.

– Zatem poprzysz Martina?

Głos starego wojaka stał się ochryply i ostry w tonie, chociaż nadal mówił szeptem.

– Nikt nie rzuci mego Królestwa w odmęty wojny domowej, magu. Nikt, dopóki starczy tchu w piersi. Rozmawialiśmy z Aruthą. Żadnemu z nas to się nie podoba, lecz nie zmienimy kursu ani na jotę. Jeżeli Królem zostanie Martin, wszyscy złożą mu hołd. Jeśli zaś Lyam weźmie koronę, Martin albołoży mu przysięgę wierności, albo, klnę się na ojców, nie wyjdzie z tego pałacu żywy. Jeżeli zaś korona zostanie przełamana przez kapłanów, żaden z panów nie wystawi nosa z pałacu, dopóki Kongres nie obwoła jednego z braci Królem, nawet jeśli nam przyjdzie siedzieć w tej cholernej sali przez cały rok! Udało się już złapać kilku agentów Guya w mieście. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że jest w Rillanonie. Jeśli przed zwołaniem obrad udałoby się wymknąć choćby garstce panów, jak nic, mamy na karku wojnę domową. – Uderzył mocno pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki. – Niech szlag trafi te wszystkie tradycje i obrzędy. W czasie, gdy rozmawiamy, kapłani idą cały czas w kierunku pałacu, a każdy krok zbliża ich do momentu wyboru. Ach, gdyby tylko Lyam zadziałał wcześniej, dał nam więcej czasu albo w ogóle nic nie robił. Albo gdyby się udało przyskrzynić Guya... Albo chociaż

gdyby się udało porozmawiać z Martinem, ale zniknął jak kamfora...

– Ja z nim rozmawiałem. Oczy Brucala zwęziły się.

– W jakim jest nastroju? Co postanowił?

– Jak się domyślasz, bije się cały czas z myślami. To wszystko zważyło się na niego jak grom z jasnego nieba. Od początku wiedział, kto był jego ojcem, ale zdecydował się milczeć i zabrać swoją tajemnicę do grobu. A teraz, nagle, został wepchnięty do samego środka wiru wydarzeń. Nie wiem, co zrobi, naprawdę. I wydaje mi się, że on także nie będzie wiedział, aż do ostatniej chwili, gdy kapłani złożą przed nim koronę.

Brucal pogładził się w zamyśleniu po brodzie.

– No cóż... to, że wiedział o wszystkim i nie próbował tego użyć dla swoich osobistych korzyści, wystawia mu dobre świadectwo. Ale i tak nie ma już czasu. – Wskazał w stronę grupki stojącej przy głównym wejściu. – Wracaj lepiej do żony. Miej oczy szeroko otwarte, magu, nie można bowiem wykluczyć, iż będziemy potrzebować twego kunsztu, zanim dzień przeminie.

Dołączyli do reszty, po czym Brucal i Vandros, rozmawiając cały czas przyciszonymi głosami, wprowadzili wolno Kasumiego do środka. Zanim Katala zdążyła otworzyć usta, Laurie rzucił pytanie:

– Co się święci? Kiedy wyprowadziłem Katalę i Kasumiego na balkon wychodzący na dziedziniec, zobaczyłem wszędzie ludzi Kasumiego. Przez moment miałem wrażenie, że Imperium jednak wygrało wojnę. Jednak nie udało mi się nic od niego wyciągnąć, nie puścił pary z ust.

– Brucal dobrze wie, że można im całkowicie ufać. Bez zbędnych pytań wypełnią każdy rozkaz Kasumiego.

– O co tu chodzi, mężu? Znowu problemy?



– Nie ma teraz czasu, by to wyjaśnić szczegółowo. Może się okazać, że do korony pretendować będzie więcej niż jedna osoba. Trzymaj się blisko Kasumiego, Laurie... i miej broń w pogotowiu. Jeśli zaczną się kłopoty, róbcie to, co Aruthą.

Laurie tylko kiwnął głową, a na jego twarzy pojawił się gorzki grymas. Dobrze rozumiał sytuację. Wszedł do sali.

– William? – spytała Katala.

– Jest w bezpiecznym miejscu. Jeśli coś się zacznie, to jedynie w wielkiej sali. W pokojach dla gości powinno być spokojnie. Dopiero po wszystkim będzie miejsce na prawdziwy żal i smutek. – Wyraz jej twarzy wskazywał, że nie zrozumiała, o czym mówił, lecz pokornie przyjęła jego słowa. – Chodź, musimy zająć miejsca w środku.

Pośpiesznym krokiem udali się w stronę honorowych miejsc w przednich rzędach.

Przepychając się przez tłum chętnych ujrzenia na własne oczy koronacji nowego Króla, słuchali narastającej fali plotek. Doszli wreszcie do Kulgana. Potężny mag skinął im głową na przywitanie. Meecham trzymał się o kilka kroków z tyłu i stał plecami do ściany. Jego oczy nieustannie lustrowały wszystkich znajdujących się w zasięgu miecza od Kulgana. Pug zauważył kątem oka, że stary, długi nóż myśliwski wepchnięty był luźno do nie zabezpieczonej paskiem pochwy. Meecham mógł sobie nie zdawać sprawy, o co w tym wszystkim chodziło, lecz nie będzie się wahał ani sekundy, by zbrojnie wystąpić w obronie swego starego towarzysza.

– Co się dzieje? – syknął Kulgan. – Wszędzie było cicho i spokojnie, aż nagle, dosłownie kilka minut temu, rozszumiało się jak w ulu.

Pug nachylił się do ucha Kulgana.

– Niewykłuczone, że Martin zgłosi swoje prawo do tronu. Oczy starszego maga rozszerzyły się jak spodki.

– Niech bogowie mają nas w opiece! To znaczy, że za chwilę będzie tu wrzało. –

Rozejrzał się szybko po sali. Większość panów Królestwa zajęła już swoje miejsca. Westchnął z żalem. – Za późno, by coś zdziałać... teraz możemy tylko czekać.

Amos biegł przez ogród jak oszalały, klnąc na czym świat stoi.

– A w ogóle to po jaką cholere komu tyle róż? Martin podniósł wzrok i w ostatniej chwili chwycił ciśnięty w jego stronę przez kapitana kryształowy puchar.

– Co... – zdążył powiedzieć, a Amos Trask już napełniał kielich winem z kryształowej karafki, którą trzymał pod pachą.

– Sądziłem, że kielich wypity w towarzystwie starego kumpla ze statku przyda ci się dla kurażu.

Martin obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

– Co to ma znaczyć?

Amos spokojnie napełnił trunkiem własny puchar i pociągnął tęgi łyk.

– Już wszyscy o tym gadają, przyjacielu. Lyam to porządny gość, ale ma chyba kamienie zamiast mózgu, jeśli myśli, że może najpierw kazać kamieniarzom wyryć twoje imię na grobowcu ojca, a potem skłonić ich do milczenia czymś tak nieistotnym jak królewski rozkaz. W niecałą godzinę po tym, jak chłopaki skończyły swoją robotę na dole, nie było w pałacu ani jednego sługi, który by nie wiedział, że jesteś nowym, pierwszym oficerem na pokładzie. Wszyscy o tym wiedzą, możesz mi wierzyć. Martin napił się wina.

– Dziękuję, Amos. – Przyglądał się pod światło głębokiej czerwieni płynu w kielichu. –

Czy mam zostać Królem, Amos?

Amos ryknął głębokim, szczerym śmiechem.

– Mam na ten temat dwa poglądy, Martin. Po pierwsze, uważam, że zawsze lepiej być kapitanem niż zwykłym majtkiem i dlatego też jestem kapitanem, a nie zwykłym marynarzem.

Po drugie, między statkiem a Królestwem istnieje jednak niewielka różnica.

Martin roześmiał się wesoło.

– Piracie, nic mi nie pomagasz, nic a nic! Amos spojrzał na niego urażonym wzrokiem.

– Niech mnie kule biją! Jak to nie? Przecież zmusiłem cię, byś się w końcu uśmiechnął, no nie?

Oparł się wygodnie łokciem na murku ogrodowym i napełnił ponownie kielich winem.

– Tylko spójrz. Tam, w królewskim basenie portowym. Ten piękny trzymasztowiec.

Cudo! Nie miałem ostatnio wiele czasu, lecz teraz, po ogłoszeniu królewskiej amnestii, znajdzie się pełno wspaniałych chłopaków, gotowych rzucić wszystko w diabły, by pożeglować pod wodzą kapitana Trencharda. Dlaczego nie mielibyśmy się urwać stąd i trochę pobuszować po morzach, co? Co ty na to?

– Przedni pomysł. – Martin pokręcił głową. – Trzy razy w życiu postawiłem nogę na pokładzie statku z tobą i trzy razy omal nie postradałem życia.

Amos spojrzał na niego boleśnie dotknięty.

– Pierwsze dwa razy były z winy Aruthy. A trzeci nie był z mojej... przecież to nie ja wysłałem tych przeklętych piratów, by ścigali nas od Saladoru aż do Rillanonu. A poza tym, jeśli się zamustrujesz pod moim dowództwem, to my będziemy ścigali, a nie nas. Morze Królewskie jest dla kapitana Trencharda nowiutkie i świeżutkie... i stoi otworem, kiwając palcem. No! Co ty na to, młodzieńcze?

– Nie, Amos. – Martin spoważniał. – Chociaż muszę przyznać, że mając ciebie pod bokiem, ciągnie mnie na morze równie mocno jak do lasów. Ale od tego, o czym wkrótce muszę zdecydować, nie ma ucieczki. Na dobre czy złe jestem najstarszym synem i pierwszy mam prawo do korony. – Spojrzał na Amosa twardo. – Sądysz, że Lyam może być Królem?

Amos pokręcił głową.

– Oczywiście. Ale to nie jest właściwe pytanie, prawda? Tak naprawdę chcesz się

dowiedzieć, czy Lyam może być dobrym Królem? Nie wiem, Martin. Ale jedno ci powiem. Nie raz, nie dwa widziałem, jak żeglarze bledli ze strachu w czasie bitwy, a jednak walczyli dalej, nie poddawali się. Czasem nie wiemy, do czego jest zdolny człowiek, aż nadejdzie dla niego czas działania. – Amos zamilkł na chwilę, rozważając następne słowa. – Lyam, jak powiedziałem, to porządny facet. Trochę zgłupiał ze strachu przed królowaniem, i nie mam mu tego za złe. Ale kiedy już się znajdzie na tronie... tak, wydaje mi się, że byłby dostatecznie dobrym Królem.

– Dużo bym dał za pewność, że się nie mylisz. Rozległ się gong, a po chwili zaczęto bić w wielkie dzwony.

– No cóż, nie zostało ci wiele czasu na podjęcie decyzji, Martin. Kapłani Ishop są już przy zewnętrznej bramie, a kiedy dotrą do sali tronowej, nie będzie już czasu, by przecinać cumy i odbijać. Twój kurs zostanie oznaczony na zawsze.

Martin odwrócił się od ściany.

– Amos, dziękuję, że byłeś przy mnie... i za wino. To co, ruszamy, by zmienić losy Królestwa?

Amos dopił ostatnie krople wina z kryształowego pucharu i cisnął go z rozmachem na ziemię.

– To ty decydujesz o losach Królestwa, Martin – powiedział, przekrzykując wysoki brzęk roztrzaskującego się kryształu. – Ja przyjdę później... być może, jeśli uda mi się coś zorganizować... to znaczy, względem tego stateczku, o którym mówiłem... Jeśli zmienisz zdanie co do zostania Królem albo dojdiesz do wniosku, że potrzebny ci szybki transport, by wynieść się z Rillanonu, zajrzyj do doków przed zachodem słońca. Będę się kręcił w okolicy... zawsze przyjmę cię z chęcią do załogi.

Martin mocno uściśnął dłoń kapitana.

– Obyś zawsze miał pomysły wiatry, piracie. Amos oszczędł, zostawiając Martina sam na sam z myślami. Po chwili Martin wyrwał się z zamyślenia, podjął decyzję i ruszył w kierunku sali tronowej.

Wyciągając szyję, Pug patrzył na wchodzących do sali. Długim przejściem wiodącym ku tronowi kroczył książę Caldric, prowadząc pod rękę wdowę po Erlandzie, księżną Alicję.

Tuż za nimi szły Anita i Carline. Pug usłyszał przy uchu szept Kulgana.

– Sądząc po bladych obliczach i grobowej powadze, idę o zakład, że Arutha powiedział im, co może nastąpić.

Kiedy Anita i Carline zbliżały się do swoich miejsc, Pug zauważył, że Anita z całej siły trzyma za rękę starszą kuzynkę.

– To niesamowite, by w takich okolicznościach odkryć, że ma się starszego brata.

– Nieźle się trzymają, zważywszy na okoliczności... – szepnął Kulgan.

Głęboki dźwięk gongu oznajmił przybycie kapłanów Ishop do przedsionka sali. W

progu pojawili się Arutha i Lyam. Obaj mieli na sobie szaty w królewskiej czerwieni. Szli

szybko w kierunku przednich rzędów i tronu. Arutha obrzucał zebranych krótkimi

spojrzeniami, jakby starając się ocenić nastrój panujący na sali. Lyam z kolei był spokojny i

opanowany, gotowy przyjąć to, co przyniesie los.

Pug spostrzegł, że Arutha zamienił szeptem kilka słów z Fannonem, a stary Mistrz

Miecza nachyla się i szepcze coś do ucha sierżanta Gardana. Obaj rozglądali się z napięciem po

sali, trzymając dłonie w pobliżu rękojeści mieczów.

Nigdzie nie było widać Martina. Nachylił się do ucha Kulgana.

– A może Martin zdecydował się na unik? Kulgan rozejrzył się po sali.

– Nie... jest tam.

Pug spojrzał w stronę, w którą Kulgan wskazał ruchem głowy. Przy przeciwległej

ścianie, prawie w samym rogu, wznosiła się potężna kolumna. Martin stał ukryty głęboko w jej cieniu. I chociaż nie było widać rysów twarzy, jednak charakterystyczna sylwetka nie pozostawiała cienia wątpliwości – to był on.

Rozległo się bicie w dzwony. Pug zwrócił głowę w kierunku głównego wejścia, w którym pojawił się pierwszy kapłan Ishap. Za nim ukazali się następni. Szli równym, miarowym krokiem. Od strony bocznych drzwi rozległ się trzask zamykanych zasuw. Zgodnie z tradycją od rozpoczęcia uroczystości aż do jej zakończenia sala tronowa była odcięta od reszty świata.

Szesnastu kapłanów wkroczyło do wnętrza. Wielkie drzwi wejściowe zatrzasnęły się za nimi z hukiem. Ostami kapłan, dzierżący w jednej dłoni potężny kij, a w drugiej ogromną pieczęć z wosku, zatrzymał się na chwilę przed drzwiami i szybkim ruchem przymocował ją do nich. Pug dostrzegł, że na pieczęci widnieje siedmioboczny znak Ishap, a wewnątrz pulsuje magiczna moc. Dobrze wiedział, że drzwi mógł teraz otworzyć jedynie ten kapłan, który osobiście założył pieczęć, lub inny dysponujący wielką mocą i sztuką magiczną, lecz z wielkim dla siebie ryzykiem.

Po opieczętowaniu wejścia kapłan z długą laską przeszedł między dwuszeregiem braci kapłanów, którzy spokojnie czekali na niego, recytując cichą modlitwę. Jeden z nich trzymał na poduszce ze szkarłatnego atłasu nową, wykonaną przez kapłanów koronę. Korona Rodrica została zniszczona ciosem, który jednocześnie zakończył jego życie, lecz nawet gdyby ocalała, i tak, jak kazał zwyczaj, zostałaby pochowana wraz z nim. Jeśli w dniu dzisiejszym nie zostanie wybrany nowy Król, nowa korona zostanie rozbita o kamienną posadzkę sali i aż do chwili, gdy Kongres poinformuje kapłanów, że dokonał wyboru nowego Króla, nie zostanie wykonana następna. Pug nie mógł wyjść z podziwu, jak wielką wagę można przywiązywać do prostej obręczy wykonanej ze złota.

Kapłani ruszyli do przodu. Stanęli przed tronem, wokół którego czekali już kapłani niższych porządków. Jak kazał zwyczaj, zapytano Lyama, czy pragnie, aby kapłan opiekujący się rodziną przewodniczył inwestyturze, i Lyam wyraził zgodę. Ojciec Tully stał na czele delegacji ze świątyni Astalon. Pug wiedział, że stary kapłan szybko i bez niepotrzebnych pytań potrafi zapanować nad sytuacją bez względu na to, który z synów Borrica weźmie koronę, i uznał to za mądry wybór.

Najwyższy kapłan Ishap uderzył laską miarowo szesnaście razy w kamienną posadzkę. Głuchy odgłos poniósł się echem przez salę tronową, a kiedy przebrzmiał, zapanowała cisza, jak makiem zasiał.

– Przybyliśmy, by ukoronować Króla! – wygłosił tradycyjną formułę najwyższy kapłan.

– Niech Ishap błogosławi Królowi! – odpowiedzieli zgodnym chórem pozostali kapłani.

– W imieniu Ishap, jedynym bogiem ponad wszystkimi, oraz w imieniu czterech większych i dwunastu mniejszych bogów, niech wystąpią wszyscy, którzy zgłaszają swe prawo do tronu.

Arutha i Lyam podeszli do kapłanów. Pug wstrzymał oddech. W chwilę później z cienia pod kolumną wyłonił się Martin i także stanął przed kapłanami.

Kiedy tylko Martin pokazał się zebrany, w całej sali rozległy się zduszone okrzyki, ponieważ wielu nie słyszało pogłosek lub, jeśli nawet słyszeli, nie dawali im wiary.

Kiedy cała trójka znalazła się przed obliczem najwyższego kapłana, ten stuknął laską w podłogę.

– Oto miejsce i godzina decyzji! – oznajmił kapłan, po czym zwrócił do Martina i położył koniec laski na jego ramieniu. – Jakie masz prawo, by stawać przed nami?

Martin przemówił wyraźnym, mocnym głosem.

– Prawo urodzenia. – Pug wyraźnie wyczuwał obecność magii. Kapłani nie pozostawiali zgłaszania roszczeń do tronu jedynie na łasce honoru i tradycji. Każdy, dotknięty laską kapłana, nie mógł fałszywie świadczyć.

Powtórzono tę samą procedurę i pytania wobec Lyama i Aruthy.

I znowu laska spoczęła na ramieniu Martina.

– Powiedz swoje imię i na czym opierasz swe roszczenie. W wyciszonej sali rozległ się donośny głos Martina.

– Jestem Martin. Najstarszy syn Borrica, najstarszy potomek królewskiego rodu.

Pośród tłumu rozległ się wyraźny szmer, który ucichł natychmiast, gdy kapłan uderzył laską w posadzkę. Koniec laski znalazł się na ramieniu Lyama.

– Jestem Lyam. Syn Borrica, potomek królewskiego rodu. W tym momencie dało się słyszeć kilka głosów.

– Następca! Następca!

Kapłan zawahał się przez chwilę, po czym powtórzył całą ceremonię z Aruthą.

– Jestem Aruthą. Syn Borrica, potomek królewskiego rodu. Kapłan spojrzał uważnie na trzech młodych ludzi. Zatrzymał wzrok na Lyamie.

– Czy ty jesteś uznanym następcą tronu? – spytał kapłan, a koniec laski spoczął na ramieniu Lyama.

– Prawo sukcesji zostało mi nadane w sytuacji, kiedy nie wiadano jeszcze o Martinie.

Nadanie to nie miało mocy, ponieważ Rodric uznał mnie za najstarszego, męskiego potomka rodu conDoin.

Kapłan zdjął laskę z jego ramienia i przez chwilę konferował po cichu z pozostałymi kapłanami. Podczas gdy kapłani zbili się w ciasny krąg, by przedyskutować nieprzewidziany



obrót wydarzeń, w sali panowała głucha cisza. Czas włókł się niemiłosiernie długo, aż w końcu najwyższy kapłan obrócił się ponownie ku trzem braciom. Oddał laskę jednemu z kapłanów, a sam wziął w ręce złotą koronę Królestwa. Wniósł ku niebu krótką modlitwę.

– O Ishap, zechciej prowadzić nas wszystkich i obdarzyć mądrością i roztropnością.

Niech wyznaczony uczyni to, co powinien. – Jego głos nabrał mocy. – Nie ulega wątpliwości, że sukcesja nie jest oczywista. – Stał przed Martinem, wyciągając koronę w jego stronę.

– Martin, najstarszy synu królewskiej krwi, jako pierwszy masz prawo do korony. Czy zgodzisz się podjąć ten ciężar i być naszym Królem?

Martin spojrzał na koronę. W sali zapadła ciężka, głucha cisza. Wszyscy wpatrywali się jak urzeczeni w wysokiego mężczyznę w zielonym stroju. Czekając na odpowiedź, tłum w sali wstrzymał oddech.

Powolnym ruchem Martin wyciągnął ręce, wziął koronę z poduszki i wznosił ją w górę.

Setki spojrzeń wędrowały ku górze, śledząc złocistą obręcz. Nagle przez wysokie okno wpadł promień słońca. Drogocenne kamienie ożyły, zalewając salę szkarłatno-złocistym blaskiem.

Martin trzymał koronę wysoko ponad głową.

– Ja, Martin, niniejszym, teraz i na zawsze, zrzekam się prawa do korony Królestwa

Wysp, w imieniu własnym oraz mego potomstwa, począwszy od chwili obecnej aż do ostatniego pokolenia. – Obrócił się szybko i nałożył koronę na czoło Lyama. Ponownie rozległ się donośny głos Martina rzucającego wyzwanie zgromadzonym na sali.

– Niech żyje Lyam! Prawdziwy i niekwestionowany Król! Nastąpiła chwila ciszy, podczas której do zgromadzonych docierało znaczenie słów Martina. Aruthą obrócił się twarzą do oszołomionego, milczącego tłumu.

– Niech żyje Lyam! Prawdziwy i niekwestionowany Król!

Lyam stał, mając po bokach dwóch braci. Po sekundzie sala eksplodowała gromkimi

okrzykami radości i wiwatami.

– Niech żyje Lyam! Niech żyje Król!

Najwyższy kapłan czekał spokojnie przez dłuższy czas, pozwalając zebrany, by dali upust swej radości, po czym odebrał laskę i uderzył o podłogę. Po chwili zapadła cisza. Kapłan stanął przed Lyamem.

– Lyamie, czy zgodzisz się wziąć na siebie ten ciężar i być naszym Królem?

Lyam spojrzał mu prosto w oczy.

– Tak, będę waszym Królem.

I znowu sala zawrzała okrzykami radości i wiwatami na cześć nowego monarchy. Tym razem kapłan nie przerywał tłumom. Pug rozejrzał się dookoła i dostrzegł wyraźną ulgę na twarzach wielu, Brucala, Caldrica, Fannona, Vandrosa i Gardana, wszystkich, którzy stali w napięciu i pełnej gotowości, by stawić czoło problemom.

Po dłuższym oczekiwaniu najwyższy kapłan uciszył salę stuknięciem laski.

– Tully, z zakonu Astalon! – powiedział donośnym głosem i stary kapłan rodziny wystąpił do przodu.

Inni kapłani zdjęli z barków Lyama czerwoną szatę, a założyli inną w królewskiej purpurze. Kapłani cofnęli się, odstupując od Lyama, a przed nim stanął Tully. Zwrócił się na chwilę w stronę Aruthy i Martina.

– Wszyscy mieszkańcy Królestwa składają dzięki za waszą mądrość i wyrozumiałość.

Obaj bracia odstąpili od Lyama i stanęli przy Anicie i Carline. Carline uśmiechnęła się ciepło do Martina i wzięła go ukradkiem za rękę.

– Dziękuję, Martin – szepnęła. Tully stanął twarzą do Zgromadzenia.

– Oto miejsce i godzina. Za chwilę będziemy świadkami koronacji Jego Wysokości, Lyama, pierwszego monarchy o tym imieniu, jako naszego prawdziwego i jedyne Króla. Czy

jest ktoś, kto chciałby zgłosić sprzeciw?

Kilku wielmożów ze wschodu miało dosyć niepewne i nieszczęśliwe miny, ale nikt nie podniósł ręki. Tully ponownie zwrócił się w stronę Lyama, który ukląkł przed kapłanem, a ten położył dłoń na jego głowie.

– Oto miejsce i godzina. Na ciebie spada ten ciężar, Lyamie, pierwszy monarcho tego imienia, synu Borrica z królewskiej linii conDoin. Czy zgadzasz się wziąć ten ciężar na swe barki i być naszym Królem?

– Będę waszym Królem.

Tully zdjął rękę z głowy Lyama, schylił się i ujął jego dłoń, ściskając mocno królewski pierścień na palcu.

– Oto miejsce i czas. Czy ty, Lyamie conDoin, synu Borrica, z królewskiego rodu, obiecujesz i przysięgasz bronić i ochraniać Królestwo Wysp, służąc wiernie jego ludowi, zapewniając mu dobrobyt i szczęście?

– Ja, Lyam, obiecuję i przysięgam.

Tully rozpoczął długą liturgię. Kiedy modlitwy dobiegły końca, Lyam wstał z klęczek.

Tully zdjął rytualną mitrę i podał ją najwyższemu kapłanowi Ishap, a ten z kolei wręczył ją jednemu z kapłanów z zakonu Tully'ego. Tully ukląkł przed Lyamem i ucałował pierścień.

Powstał i podprowadził Lyama do tronu. Kapłani Ishap odmówili krótką modlitwę.

– Niech Ishap błogosławi Króla!

Lyam zasiadł na tronie. Przyniesiono i położono mu na kolanach starodawny miecz, który służył kiedyś pierwszemu Królowi z rodu conDoin, Dannisowi, jako znak, że będzie bronił Królestwa nawet za cenę swego życia.

Tully odwrócił się i skinął w kierunku najwyższego kapłana Ishap, który ponownie uderzył laską w podłogę.

– I oto minęła godzina wyboru. Niniejszym ogłaszam wszem i wobec, że Lyam

Pierwszy jest naszym prawowitym, jedynym i niekwestionowanym Królem.

Ostatnim słowom towarzyszył ryk tłumu.

– Niech żyje Lyam! Wiwat Lyam!

Kapłani Ishap zaintonowali cichą modlitwę i ruszyli za najwyższym z nich w stronę

drzwi. Ten uderzył w woskową pieczęć końcem laski, a ta rozpadła się na dwie połowy z

głośnym trzaskiem. Uderzył w drzwi jeszcze trzy razy i stojący na zewnątrz wartownicy

rozchylił skrzydła drzwi na boki. Zanim wyszedł z sali, wygłosił jeszcze ostatnie słowa rytuału

koronacji do tych, którym nie było dane uczestniczyć osobiście w ceremonii.

– Roześlijcie wiadomość. Lyam jest naszym Królem! Lotem błyskawicy wieści

rozniosły się najpierw po sali, potem po całym pałacu, by po chwili dotrzeć w najdalsze zakątki

miasta. Rozradowani ludzie wznosili na ulicach toasty za zdrowie nowego władcy i nawet

jeden na tysiąc nie zdawał sobie sprawy, jak blisko tragedii znalazło się tego dnia Królestwo.

Kapłani Ishap opuścili salę tronową i wszystkie oczy spoczęły znowu na nowym

monarsze.

Tully dał znak członkom rodziny królewskiej i Arutha, Martin oraz Carline podeszli

przed oblicze brata. Lyam wyciągnął dłoń, Martin ukląkł i ucałował pierścień na palcu brata.

Arutha i Carline poszli w jego ślady.

Alicja przyprowadziła do tronu Anitę, pierwszą osobę z długiego szeregu szlachetnie

urodzonych, rozpoczynając w ten sposób długotrwałą ceremonię przyjmowania hołdu i

przysięgi wierności władcy Królestwa Wysp. Książę Caldric przyklęknął z trudem przed

Królem, a kiedy wstał, w oczach miał łzy szczęścia i ogromnej ulgi. Po złożeniu przysięgi

Brucal wstał, nachylił się ku Królowi i przez chwilę szeptał mu coś do ucha. Lyam skinął

głową.

Potem długim rzędem nadchodzili następni i następni, aż wreszcie, po ładnych paru godzinach, nadszedł czas na złożenie hołdu i przysięgi przez ostatnich baronów Pogranicza, strażników Północnych Bagien, którzy odpowiadali bezpośrednio przed samym Królem i tylko przed nim. Wstali i wrócili do pozostałych czekających cierpliwie.

Lyam oddał miecz Dannisa czekającemu obok paziowi i wstał.

– Życzeniem naszym jest, aby wkrótce rozpoczęły się uroczyste obchody koronacji.

Zanim to jednak nastąpi, są przed nami niecierpiące zwłoki sprawy państwowe, którymi musimy się zająć natychmiast. Większość z nich jest radosna z wyjątkiem jednej smutnej, którą musimy załatwić jako pierwszą.

Jak zauważyliście z pewnością, brak pośród nas jednej osoby, tej, która pragnęła zawładnąć tronem, na którym mam dziś przywilej zasiadać. Nikt nie może zaprzeczyć, że Guy du Bas Tyra knuł zdradę. To nie ulega wątpliwości. Jak nie ulega również wątpliwości, że popełnił haniebne morderstwo. Jednak życzeniem zmarłego Króla było, aby w tej kwestii okazać litość i miłosierdzie. Ponieważ wolę taką wyraził umierający Rodne, wyrażamy zgodę na ulaskawienie, chociaż z przyjemnością widzielibyśmy Guya du Bas-Tyrę ponoszącego pełne konsekwencje swoich uczynków.

Życzeniem naszym jest, aby od dnia dzisiejszego stało się wiadomym powszechnie, iż Guy du Bas-Tyra zostaje wyjęty spod prawa i zostaje skazany na banicję, a wszelkie jego tytuły, stanowiska i majątek przechodzą na własność korony. Życzeniem naszym jest także, aby jego nazwisko i herb zostały na zawsze usunięte z rejestru panów Królestwa. Niech żaden człowiek nie waży się udzielić mu schronienia, ogrzać przy ogniu, dać jedzenia czy wody do picia. – Przerwał na chwilę i rozejrzał się po zgromadzonych wielmożach Królestwa. –

Niektórzy z tutaj zgromadzonych byli sprzymierzeńcami byłego Księcia, więc nie mamy wątpliwości, że wiadomość o naszym postanowieniu dotrze do niego szybko. Powiedzcie mu,

by uciekł, niech idzie do Keshu, Queg czy Roldem. Powiedzcie mu, niech ukryje się na Ziemiach Północy, jeśli tamci nie zechcą go przyjąć w swoich granicach. Jeśli po upływie tygodnia znajdować się będzie na terytorium Królestwa, może pożegnać się z życiem. Nikt ze zgromadzonych nie odezwał się ani słowem. Po chwili Lyam ciągnął dalej: – Miniony czas był dla Królestwa okresem wielkich cierpień, łez i bóleści. Teraz nadszedł moment, abyśmy wkroczyli w nową erę, czas pokoju i dobrobytu. – Przerwał i dał znak obu braciom, by dołączyli do jego boku. Arutha spojrzał na Martina. Uśmiechnął się niespodziewanie i w nieoczekiwanym wybuchu uczuć objął mocno obu braci. Przez dłuższą chwilę, gdy trzej bracia trwali w mocnym, męskim uścisku, w sali panowała absolutna cisza, po czym zgromadzeni zaczęli wznosić radosne okrzyki i wiwatować.

W tym czasie Lyam mówił do braci. Z początku Martin uśmiechał się szeroko, po czym nagle wyraz jego twarzy uległ gwałtownej zmianie. Zarówno Lyam, jak i Arutha kiwali gwałtownie głowami, lecz jego twarz była blada jak płótno. Zaczął coś mówić z napięciem, sprzeciwiając się czemuś gwałtownie. Lyam przerwał mu w pół słowa i wznosił rękę, nakazując zebranym ciszę.

– W Królestwie naszym zajdą teraz pewne zmiany porządkowe. Niech się stanie wszystkim wiadome, że nasz ukochany brat Arutha jest od tej chwili księciem Krondoru oraz, aż do chwili, kiedy w naszym własnym domu pojawi się syn, również następcą tronu. – Aruthy, jak można było zauważyć po zmianie na twarzy, nie ucieszyła zbytnio ta ostatnia informacja. Lyam mówił dalej: – Życzeniem naszym jest także, by księstwo Crydee, dom rodzinny naszego ojca, pozostał w naszej rodzinie tak długo, jak długo nie wygaśnie ta gałąź. Dlatego mianuję Martina, naszego ukochanego brata, księciem Crydee, wraz ze wszystkimi przysługującymi mu posiadłościami, tytułami i prawami.

I znowu radosne okrzyki tłumu. Martin i Arutha zeszli niżej, zostawiając brata na

tronie. Nowy Król ciągnął dalej:

– Niech książę La-Mut i kapitan Kasumi z La-Mut zbliżą się do tronu.

Kasumi i Vandros, słysząc swoje imiona, podnieśli raptownie głowy. Kasumi od samego rana był zdenerwowany wielkim zaufaniem i ważnym zadaniem, jakim obdarzył go Vandros. Zwyciężył w nim jednak tradycyjny spokój i opanowanie Tsuranich. Dołączył szybko do boku Vandrosa i razem podeszli pod tron.

Obaj ukłękli przed majestatem.

– Książę Brucal prosił mnie, bym ogłosił publicznie tę radosną wiadomość. Jego wasal, książę Vandros pojmie za żonę jego córkę, Felinah.

Z tłumu rozległ się tubalny, wyraźny głos Brucala.

– Najwyższy czas... – Kilku starszych dworzan Rodrica oburzyło się gwałtownie, lecz Lyam dołączył do ogólnego wybuchu radości.

– Książę prosił również o pozwolenie przejścia na emeryturę i przeniesienia się do swoich posiadłości, gdzie mógłby spokojnie korzystać z owoców swej długiej i wielce nam wszystkim użytecznej służby Królestwu. Udzieliliśmy na to naszej zgody. Ponieważ Książę nie ma własnego syna, prosił nas, aby jego tytuł przeszedł na tego, który będzie mógł kontynuować jego wierną służbę państwu, na tego, który wykazał się niezwykleymi zdolnościami w dowodzeniu wojskami Armii Zachodu w garnizonie La-Mut w czasie niedawno zakończonych działań wojennych. W uznaniu i podzięce za jego odważne czyny i wierną służbę zatwierdzamy niniejszym jego małżeństwo i z radością ogłaszamy, iż Vandros otrzymuje tytuł księcia Yabon, wraz ze wszystkimi przysługującymi mu posiadłościami, tytułami i prawami.

Proszę wstań, książę Vandros.

Vandros stanął na lekko trzęsących się nogach przy boku swego przyszłego teścia.

Brucal klepnął go z rozmachem w plecy i mocno uściskał dłoń. Lyam zwrócił się do

Kasumiego i uśmiechnął.

– Pomiedzy nami znajduje się ktoś, kto do niedawna zaliczany był do naszych nieprzyjaciół. Teraz zaliczany jest do naszych wiernych poddanych. Kasumi z rodu Shinzawai, za twe wysiłki, by sprowadzić pokój na dwa walczące ze sobą światy, jak również za twą roztropność i odwagę w obronie naszych ziem przed Bractwem Mrocznego Szlaku przekazujemy ci dowództwo nad garnizonem La-Mut i nadajemy tytuł księcia La-Mut, wraz ze wszystkimi przysługującymi posiadłościami, tytułami i prawami. Powstań, książę Kasumi.

Kasumi aż zaniemówił z wrażenia. Powolnym ruchem wyciągnął rękę, ujął dłoń Króla i ucałował pierścień tak, jak podpatrzył u innych.

– Mój panie i władco, oddaję ci swój honor i życie. Lyam zwrócił się do Vandrosa.

– Książę Vandros, czy zgodzisz się uznać i przyjąć Kasumiego jako swego wasala?

Vandros uśmiechnął się.

– Z radością, Wasza Wysokość.

Kasumi, z błyszczącymi z dumy oczami dołączył do Vandrosa. Brucal z radości klepnął go mocno w plecy, gratulując tytułu.

Ponieważ na skutek intryg dworskich, jak i zniwa śmierci w czasie wojny, powstało kilka wakatów, Król nadał jeszcze kilka tytułów i urzędów. Kiedy wszystkim wydawało się, że ceremonia dobiega końca, Lyam zwrócił się do wszystkich zebranych.

– Niech do tronu przybliży się Pug, pan z Crydee. Pug zdumiony wywołaniem swego imienia spojrzał najpierw na Katalę, a potem na Kulgana.

– O co...?

Kulgan popchnął go bezceremonialnie w kierunku tronu.

– Idź, to się dowiesz.

Pug stanął przed Lyamem i skłonił się.



– To, co się dokonało, było do tej pory prywatną sprawą pomiędzy moim ojcem a tym człowiekiem. Teraz jest naszym życzeniem, aby stało się powszechnie wiadomym w całym Królestwie, iż człowiek ten, zwany niegdyś Pugiem, sierotą z Crydee, został wpisany w poczet członków naszej rodziny. – Wyciągnął rękę i Pug ukląkł, całując pierścień. Następnie Lyam schylił się, objął Puga za ramiona i przymusił, aby powstał.

– Tak jak było to wolą mego ojca, jest również i naszą. Niech wszyscy mieszkańcy Królestwa dowiedzą się, że począwszy od dnia dzisiejszego człowiek stojący przede mną nazywa się Pug conDoin i jest członkiem rodziny królewskiej.

Wielu zgromadzonych zaskoczyła niespodziewana adopcja i wyniesienie Puga, jednak ci, którym znane były jego dokonania, wzniesli radosne okrzyki na jego cześć.

– Oto nasz kuzyn Pug, Książę.

Katala, ignorując wszelkie dworskie zwyczaje, rzuciła się, by uściskać męża. Kilku panów ze wschodu zmarszczyło surowo czoła, lecz Lyam roześmiał się radośnie i ucałował ją w policzek.

– Chodźcie! – krzyknął. – Nadszedł czas zabawy i radości. Naprzód tancerze, muzycanci i kielichy! Niech zostaną wniesione stoły, jadło i napitki. Niech króluje nam radość i wesele!

Przez całe popołudnie trwało nieprzerwane świętowanie. Heroldowie, stając u boku króla, odczytywali na głos posłania i gratulacje od tych, którzy nie mogli wziąć osobistego udziału w koronacji. Posłania takie wystosowali liczni możnowładcy oraz król Queg, jak również monarchowie pomniejszych królestw na wschodnich wybrzeżach. Swoje gratulacje i wyrazy szacunku przesłali również kupcy i mistrzowie rzemiosł z Wolnych Miast. Nadeszły także życzenia od Aglaranny i Tomasa, i Krasnoludów zachodu, z Kamiennej Góry i Szarych Wież. Stary król Halfdan, władca wschodnich Krasnoludów z Dorgin, przekazał najlepsze

życzenia pomyślności. Takie same, wraz z prośbą liczniejszych spotkań, które mogłyby doprowadzić do pokojowego uregulowania sprawy Doliny Snów, nadeszły z Wielkiego Keshu. Posłanie to zostało osobiście podpisane przez Cesarzową.

Słyszając to ostatnie, Lyam zwrócił się do Aruthy:

– Jeśli Kesh przesłało nam osobiste posłanie swej władczyni w tak krótkim czasie, oznacza to, że Cesarzowa może się pochwalić posiadaniem na Midkemii najbardziej utalentowanych i sprawnych szpiegów. Będziesz musiał mieć oczy szeroko otwarte w Krondorze, bracie.

Arutha, niezbyt zadowolony z tej perspektywy, westchnął ciężko. Pug, Laurie, Meecham, Gardan, Kulgan, Fannon i Kasumi zasiadali przy królewskim stole, ponieważ Lyam osobiście nalegał, by towarzyszyli w ucztach rodziny królewskiej. Nowy książę La-Mut był ciągle jeszcze oszołomiony swą pozycją, lecz oczy błyszczały mu szczęściem. Nawet w hałaśliwym wnętrzu sali biesiadnej słyhać było zza murów jego żołnierzy śpiewających świąteczne pieśni Tsuranich. Pug zastanawiał się w duchu, jaki niepokój musiały one wzbudzać wśród pałacowej służby.

Katala dołączyła do męża informując, że syn i Fantus, wyczerpani wspólną zabawą, zapadli w słodką drzemkę. Zwróciła się do Kulgana:

– Mam nadzieję, że twój ulubieniec będzie w stanie wytrzymać ten nieustanny atak.

Kulgan zaśmiał się głośno.

– Fantus uwielbia, kiedy zwraca się na niego uwagę.

– Kulgan – powiedział Pug – gdy tak się zastanawiam nad długą listą dzisiejszych nadań, awansów i tak dalej, dziwi mnie, że nie było ani jednej wzmianki o tobie. Przecież służyłeś wiernie rodzinie królewskiej najdłużej ze wszystkich, poza Tullym i Fannonem.

Kulgan prychnął.

– Tully, Fannon i ja spotkaliśmy się wczoraj z Lyamem, zanim dowiedzieliśmy się, że zamierza oficjalnie uznać Martina i namieszać potężnie na dworze. Bąkał coś pod nosem o urzędach, nagrodach i tak dalej, ale ubłagaliśmy go, aby nas w to nie mieszał. Kiedy zaczął się sprzeciwiać, powiedziałem, że nie interesuje mnie, co robi w odniesieniu do Tully'ego i Fannona, ale jeśli poważy się mnie ciągać przed tron na oczach wszystkich, nie zwlekając zamienię go w ropuchę.

Anita, która podsłuchiwała wymianę zdań, zaśmiała się radośnie.

– Zatem to prawda!

Pug przypomniał sobie w tym momencie rozmowę z Anitą w Krondorze przed laty i również parsknął śmiechem. Cofnął się pamięcią w przeszłość i zamyślił nad tym wszystkim, co przydarzyło mu się od chwili, gdy dawno temu przypadkiem trafił do puszczańskiej chatki Kulgana. Po wielu niebezpieczeństwach i burzach życiowych był teraz bezpieczny z rodziną i przyjaciółmi. Przed nim, w przyszłości, jawiła się nowa, wielka przygoda, akademie sztuk magicznych. Żałował, że inni, Hochopepa, Shimone, Kamatsu, Hokanu, jak również Almorella i Netoha, nie mogą dzielić z nim radości i szczęścia. Pragnął także całym sercem, by Ichindar i panowie Wysokiej Rady dowiedzieli się kiedyś o prawdziwej przyczynie, dla której w dniu podpisywania traktatu pokojowego musiała nastąpić zdrada. Ale przede wszystkim pragnął znaleźć się w towarzystwie Tomasa.

– O czym tak myślisz, mężu?

Pug wyrwał się z zadumy i uśmiechnął.

– Myślałem sobie, kochana, że mimo tego wszystkiego, co mi się przydarzyło w życiu, jestem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

Katala położyła delikatnie dłoń na jego ramieniu, uśmiechając się ciepło. Tully pochylił się nad stołem i spojrzał w bok, w przeciwny koniec, gdzie Carline zaśmiewała się w głos z

jakiejś ciętej uwagi Lauriego, a on siedział, wpatrując się w dziewczynę. Nie ulegało wątpliwości, że zgodnie z przewidywaniami i obietnicą Puga, uznała go za czarującego kompana... a nawet więcej. Wyglądało na to, że przystojny trubadur zawładnął całkowicie jej myślami... i nie tylko myślami.

– Coś mi się wydaje, że rozpoznaję na twarzy Carline ten szczególny wyraz. Laurie może mieć spore kłopoty. Do rozmowy włączył się Kasumi.

– Znając naszego przyjaciela Lauriego, jest to ten rodzaj kłopotów, który powitałby z radością. Tully zamyślił się.

– Hm, przypomniałem sobie właśnie, że księstwo Bas Tyra potrzebuje nowego pana, a on wydaje się wystarczająco kompetentnym, młodym człowiekiem, hm...

Kulgan nie wytrzymał.

– Dość tego! Nie wystarczy wam tej całej pompy? Czy za wszelką cenę musisz wydać biednego chłopaka za siostrę Króla, by móc ponownie puszyć się w czasie uroczystości w pałacu? Bogowie! Przecież dopiero dzisiaj spotkali się po raz pierwszy w życiu!

Wydawało się, że za chwilę Tully i Kulgan znowu pogrążą się bez reszty w jednej ze swoich słynnych dyskusji, lecz Martin przerwał im krótko.

– Zmieńmy temat. W głowie mi się jeszcze kręci i nie potrzeba nam waszych sporów.

Kulgan i Tully wymienili zdziwione spojrzenia, po czym obaj uśmiechnęli się.

– Tak jest, mój panie – powiedzieli jednocześnie. Martin jęknął głucho, podczas gdy reszta siedzących bliżej ryknęła śmiechem. Martin pokręcił głową.

– To takie dziwne wrażenie... po wielu latach obaw i stałych problemów... jeszcze tak niedawno. Jak się przypatrzeć bliżej, to przecież omal nie dołączyłem do Amosa... – Podniósł głowę i rozejrzał się. – A właśnie, gdzie Amos?

Arutha pogrążony w rozmowie z Anitą, słysząc imię żeglarza, również podniósł głowę i

spojrzał na nich.

– Ano właśnie, gdzie ten pirat?

– Wspominał coś o zorganizowaniu statku – odpowiedział Martin. – Sądziłem, że jak zwykle żartuje, ale od chwili koronacji nigdzie go nie widziałem.

– Zorganizowanie statku! Niech bogowie mają nas w opiece! – Zerwał się na nogi. – Za pozwoleniem Waszej Wysokości...

– Leć i przyprowadź go tutaj – powiedział Lyam. – Z tego, co mi o nim opowiadaliście, zasługuje na nagrodę. Martin również powstał.

– Pojadę z tobą, mogę? Arutha uśmiechnął się.

– Z przyjemnością.

Obaj bracia pośpiesznie wybiegli z sali i po chwili znaleźli się na dziedzińcu. Paziowie trzymali w pogotowiu konie dla wyjeżdżających wcześniej gości. Arutha i Martin chwycili dwa pierwsze z brzegu, bezceremonialnie pozbawiając dwóch pomniejszych wielmożów ich wierzchowców. Obaj panowie stali z szeroko otwartymi ustami, a na ich twarzach malowały się na przemian to wściekłość, to zdziwienie.

– Wybaczenie, panowie – krzyknął Arutha, galopując w kierunku bramy.

Przelecieli pędem po łukowatym moście nad rzeką Rillanon.

– Powiedział, że wypłynie o zachodzie słońca – krzyknął Martin.

– Może się uda! – Pędzili na łeb na szyję wąskimi, krętymi uliczkami w stronę portu.

Miasto pękało w szwach od ludzi, którzy przyjechali specjalnie na święto koronacji, i kilka razy musieli zwalniać, by nie zrobić komuś krzywdy. Dotarli w końcu do granic portu i ściągnęli wodze, zatrzymując rumaki.

Przed wejściem do królewskiego basenu portowego siedział pojedynczy wartownik.

Wyglądało na to, że śpi. Arutha zeskoczył z konia i energicznie potrząsnął żołnierzem. Z głowy

żołnierza zleciał henn, a on sam przechylił się na bok i osunął na ziemię. Arutha nachylił się nad nim.

– Żyje, ale jutro będzie miał ciężki dzień. Arutha wskoczył z powrotem na konia i ruszyli pędem wzdłuż długiego nabrzeża, kierując się w stronę ostatniego basenu. Kiedy skręcili ku główce długiego mola, powitały ich okrzyki marynarzy wiszących wysoko w olinowaniu statku.

Przepiękny statek wypływał powolutku z basenu. Zatrzymali konie. Na pokładzie dostrzegli potężną sylwetkę Amosa. Pomachał do nich ręką. Był jeszcze na tyle blisko, że mogli zobaczyć, że się uśmiecha od ucha do ucha.

– Ha! Wygląda na to, że wszystko dobrze się kończy! Arutha i Martin zeskoczyli na ziemię. Dystans pomiędzy statkiem a nabrzeżem zwiększał się powoli.

– Amos! – krzyknął Arutha.

Amos wyciągnął rękę w stronę wysokiego budynku.

– Chłopaki, które trzymały tu wartę, są w tym magazynie. Trochę posiniaczeni, ale żyją.

– Amos! To statek Króla! – wrzasnął Arutha, machając gwałtownie ręką, by Amos wracał do portu. Amos Trask wybuchnął śmiechem.

– Wydawało mi się, że Królewska Jaskółka to wspaniała nazwa. No cóż, powiedz bratu, że któregoś dnia zwrócę mu statek.

Martin nie wytrzymał i zaczął się śmiać. Po chwili dołączył do niego Arutha.

– Ty piracie! – krzyknął. – Przekonam Lyama, by ci go dał na własność.

Ponad wodami portu poniósł się pełen bólu i rozczarowania krzyk Amosa.

– Ach, Arutha, pozbawiasz życie całej przyjemności!